



THEODORE DREISER



SIOSTRA CARRIE

Rozdział I

MAGNES PRZYCIĄGA: SAMA WŚRÓD OBCYCH POTĘG

Kiedy Caroline Meeber wsiadła do popołudniowego pociągu chicagowskiego, całkowity jej rynsztunek składał się z małego kuferka, z torby (tania imitacja skóry krokodylej), z nędznego śniadania w tekturowym pudełku oraz z sakiewki zawierającej kartkę papieru z adresem siostry przy ulicy Van Buren i cztery dolary gotówką. Działo się to w sierpniu 1889 roku. Miała lat osiemnaście, była ładna, nieśmiała, nieświadoma i pełna złudzeń młodego wieku. Jeżeli cień żalu przenikał myśli Carrie, to nie był to żal po tym, co opuszczała. Kilka łez uronionych przy pożegnalnym pocałunku z matką; ściśnięcie w gardle, gdy pociąg z łoskotem mijał młyn, w którym ojciec pracował za dniówkę; patetyczne westchnienie na widok zielonych łąk okalających miasteczko - i oto na zawsze zerwały się wątle nici łączące ją z domem i wiekiem dziewczęcym.

Można oczywiście wysiąść na następnej stacji i wrócić. I wielkie miasto ma codziennie połączenie takimi oto pociągami. Columbia City nie jest znowu tak bardzo daleko, jeżeli już dojedzie do Chicago. Co znaczy, proszę, kilka godzin, kilkaset mil? Spojrzała na kartkę papieru z adresem siostry i zastanowiła się. Patrzyła na zielony krajobraz przesuwany się szybko za oknami, aż zatarł go szybszy bieg jej myśli o tym, jak też może wyglądać Chicago?

Kiedy osiemnastoletnia dziewczyna opuszcza dom rodzicielski, dzieje się z nią jedno z dwojga: albo dostaje się w zbawcze ręce i staje się lepsza, albo prędko nabiera piętna kosmopolitycznych cnót i staje się gorsza. Utrzymać pośrednią równowagę w jej warunkach niepodobna. Wielkie miasto ma swoje chytryści i podstępny, jak ma je o wiele mniejszy i bardziej ludzki Kusiciel. Miasto kryje w sobie siły przyciągające, które działają z całą potęgą na egoizm, właściwy najbardziej kulturalnym jednostkom ludzkim. Blask tysiąca świateł częstokroć zniewala jak przenikliwe spojrzenie zalotnych i czarujących oczu. Urabianie niezsutego i prostego umysłu prawie w połowie dokonuje się siłami nadludzkimi. Kakofonia dźwięków, zgiełk życia, rojowisko ludzkie w jednakowej mierze przemawiają do zdumionych zmysłów. Jeżeli nie znajdzie się pod ręką doradca, który w porę szepnie ostrzeżenie,

jakimiż kłamstwami zaleją bezbronne uszy! Oceniane niewłaściwie piękno tych rzeczy jak muzyka zbyt często obezwładnia, potem osłabia, potem demoralizuje prostsze ludzkie pojęcia.

Caroline albo siostra Carrie, jak ją nazywano w rodzinie, obdarzona była zmysłem obserwacji i analizy. Jakkolwiek zainteresowanie się sobą nie było w niej zbyt silnie rozwinięte, stanowiło główną cechę jej charakteru. Ożywiona młodzieńczymi marzeniami, piękna nieuchwytnym czarem wieku dojrzewania z figurką obiecującą kształtność, z oczyma błyszczącymi wrodzoną inteligencją - była ślicznym typem Amerykanki średniej klasy, o dwa pokolenia odległej od emigrantów. Książki były poza kręgiem jej zainteresowań, wiedza - zamknięta na siedem pieczęci. Pomimo subtelного wdzięku była jeszcze surowa. Z trudem nosiła swą ładną główkę. Ręce jej nie miały wyrazu. Stopy, aczkolwiek małe, były za płaskie. A jednak było w niej zainteresowanie swoją urodą, głębokie zrozumienie rozkoszy życia, ambicja wygrania w rzeczach natury materialnej. Rycerzyk, na wpół uzbrojony, pragnący poznać tajemnicze miasto, snujący szalone marzenia o jakimś nie określonym bliżej zwycięstwie nad kimś, kto by się stał ofiarą i niewolnikiem, włączającym się u jej niewieścich nóżek.

- A to - odezwał się głos tuż nad uchem Carrie - jedna z miłszych miejscowości rozrywkowych w Wisconsin.

- Naprawdę? - odpowiedziała nerwowo.

Pociąg minął właśnie Waukesha. Od dłuższego już czasu czuła za sobą obecność mężczyzny. Czuła, że patrzy na jej bujne włosy. Kręcił się wciąż w pobliżu niej, więc zorientowała się, że jest obiektem jego zainteresowań. Skromność dziewczęca i ów zmysł mówiący, jak wypada postąpić w takich okolicznościach, nakazywały nie dopuścić do jakiegokolwiek spoufalenia, ale zuchwałość i magnetyczny wpływ owego osobnika, zrodzone z poprzednich zwycięstw i doświadczeń, przeważyły. Odpowiedziała.

Pochylił się, położył łokieć na oparciu jej ławki, postanawiając kontynuować przyjemną rozmowę.

- Tak, to miejsce wycieczek dla mieszkańców Chicago. Hotele są przepełnione. Pani nie zna tych okolic, prawda?

- Owszem - odpowiedziała Carrie. - To jest, mieszkam w Columbia City. Ale nigdy tutaj nie byłam.

- A więc to pani pierwsza podróż do Chicago - zauważył.

Przez cały ten czas Carrie kątem oka spoglądała na niego. Cera, rumieńce na policzkach, wąsiki, kapelusz pilśniowy. Teraz odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Instynkt samoobrony i instynkt zalotności walczyły w jej duszy.

- Tego nie powiedziałam - rzekła.

- A! - zawołał w bardzo miły sposób, robiąc minę winowajcy. - Zdawało mi się, że pani tak powiedziała!

Miała przed sobą typ komiwojażera, podróżującego w interesach swego domu handlowego. Kategoria ludzi, których w owych czasach ochrzczono przezwiskiem „dobosze”. Ten zresztą zasługiwał na nowsze określenie, które przyjęło się między Amerykanami około roku 1880 i było treściwym ujęciem indywidualności człowieka, który strojem i zachowaniem pragnie wzbudzić zachwyty u młodych wrażliwych niewiast: „Kręciołek”. Ubrany był w sukienny garnitur brązowy w kratę, nowość w owych czasach, ale który później stał się rodzajem uniformu biurowego. Głęboko wycięta kamizelka obnażała gors sztywnej koszuli w białe i czerwone paski. Z rękawów marynarki wyglądały mankiety z tego samego materiału co koszula, zapięte na wielkie, płaskie guziki ze złota; zdobiły je żółte agaty, znane pod nazwą „kocie oczy”. Na palcach miał kilka pierścionków, jeden z nieodzowną pieczętką, a z kamizelki zwieszał się ładny złoty łańcuszek, do którego przyczepione były tajemnicze insygnia Zakonu Łosiów. Całość była prawie wytworna. Uzupełniały ją trzewiki na grubych podeszwach, bardzo błyszczące, i pilśniowy kapelusz. Słowem, był to młodzieniec pociągający. I wierzcie mi, nic, co mogłoby przemawiać za nim, nie uszło pierwszemu spojrzeniu Carrie.

Zanim ten gatunek osobników zniknie raz na zawsze, niech mi wolno będzie podkreślić najcharakterystyczniejsze cechy jego szczęśliwych poczynań i metod. Wytworny strój był oczywiście pierwszym ku temu warunkiem: bez niego byłby niczym. Doskonałe zdrowie fizyczne wraz z silnym pożądaniem kobiety - oto warunek drugi. Umysł wolny od rozważań nad potęgami kierującymi światem, wspierany niezbyt silnym, ale nie zaspokojonym pragnieniem rozkoszy rozmaitego rodzaju. Metoda jego zawsze była prosta. Podstawowy jej element stanowiła zuchwałość, na dnie której kryło się silne pożądanie i uwielbienie dla kobiet. Wystarczyło mu raz zobaczyć młodą niewiastę, aby zbliżyć się do niej z uprzejmą poufałością, nie pozbawioną zalotności, co w większości wypadków doprowadzało do przy-

chylnej zgody. Jeżeli zdradzała choćby najmniejszą tendencję do kokieterii, natychmiast zawierał znajomość, jeżeli zaś „połknęła haczyk”, nazywa! ją po imieniu. Jeżeli odwiedzał kiedy domy towarowe, to po to, aby pochylać się poufale nad kontuarem i gawędzić ze sprzedawczyniami. W kołach bardziej ekskluzywnych, w pociągu lub poczekalni kolejowej, działał wolniej. Skoro się pojawiał pożądany obiekt, cały zamieniał się w uwagę. Prawił przyjęte komplementy, torował drogę do wagonu salonowego, niósł bagaż lub jeśli nadarzyła się ku temu sposobność, zajmował miejsce obok, w nadziei, że uda mu się ją emablować przynajmniej do celu jej podróży. Poduszka, książka, podnózek, podniesienie firanki: wszystko to było w zasięgu jego uprzejmości. Jeżeli po przybyciu do kresu podróży współtowarzyszki nie wysiadł razem z nią i nie niósł za nią bagaży, znaczyło to, że w swoim własnym przekonaniu - chybił.

Kobieta powinna napisać kiedyś filozofię stroju. Choćby była najmłodsza, pojmuje ją do głębi. Istnieje niedostrzegalna, nikła granica w „wyglądzie” mężczyzny, która w sposób wiadomy tylko kobiecie dzieli godnych uwagi od niegodnych jej. Skoro jakiś osobnik przekroczył tę nikłą granicę w dół, nie obdarzy go jednym spojrzeniem. Jest jeszcze inna granica w stroju mężczyzny, ta która każe kobiecie zastanowić się nad jej własnym ubraniem. Granicę tę nakreślił osobnik stojący obok Carrie. Uświadomiła sobie nierówność. Jej skromna, granatowa sukienka, obszyta czarną wełnianą taśmą, wydała się jej nędzna. Bolał ją niemal wygląd znoszonych trzewików.

- Zastanówmy się - ciągnął. - Znam mnóstwo osób w rodzinnym mieście pani. Morgenroth, krawiec, i Gibson, właściciel towarów łokciowych.

- Och, zna ich pan? - zapomniała podniecona wspomnieniem pożądania, które budziły w niej ich wystawy.

Nareszcie znalazł klucz do jej zainteresowań. Nie porzucał go. W chwilę później przysiadł się już do Carrie. Mówił o handlu ubraniami gotowymi, o swoich podróżach, o Chicago, o rozrywkach, których to miasto dostarcza.

- Jeżeli pani tam jedzie, to powinna pani się świetnie bawić! Ma pani krewnych?

- Jadę do siostry - powiedziała.

- Musi pani zobaczyć Park Lincoln - mówił. - I Bulwar Michigan. Stawiają tam teraz olbrzymie domy. To drugi Nowy Jork... olbrzymi. Tyle jest tam do oglądania! Teatry, tłumy na ulicach, piękne gmachy... Z pewnością będzie się tam pani podobało!

To, co mówił, sprawiało jej nieomal ból. Zrozumiała swoją nicość wobec tych wszystkich wspaniałości. Wiedziała, że rozrywki nie są dla niej, a jednak było coś obiecującego w obrazie, jaki nakreślił przed jej oczyma. I było coś miłego w zachowaniu tego jego mościa w wytwornym garniturze. Nie mogła się nie uśmiechnąć, kiedy powiedział, że mu przypomina pewną aktorkę. Nie była głupia, a jednak i tego rodzaju uwaga miała dla niej wartość.

- Zostanie pani dłuższy czas w Chicago? - zapytał mimochodem w toku swobodnej już teraz rozmowy.

- Nie wiem - rzekła niepewnie Carrie. Nagle mózg jej przecięła myśl: a nuż nie znajdzie pracy w Chicago?

- W każdym razie kilka tygodni? - zapytał, badawczo patrząc jej w oczy.

Działy się teraz między nimi rzeczy o wiele większe niż te, które wyrażały wymienione słowa. Wyczuł w niej coś niewytłumaczalnego, co tworzy piękno i czar. Ona wiedziała, że od pierwszego spojrzenia budzi w nim zainteresowanie pod tym jednym względem, który w kobiecie rodzi jednocześnie lęk i zadowolenie. Zachowanie Carrie było swobodne choćby dlatego, iż nie nauczyła się jeszcze owych drobnych afektacji, za którymi kobiety kryją swe prawdziwe uczucia. Czasami robiła wrażenie prawie wyzywającej. Rozumna przyjaciółka, gdyby taką kiedykolwiek miała, przestrzegłaby Carrie, że nie patrzy się mężczyźnie w oczy z takim natężeniem.

- Dlaczego pan pyta? - rzekła.

- No, bo ja myślę zabawić w Chicago kilka tygodni. Muszę dokładnie zbadać nasze składy i zaopatrzyć się w nowe próbki. Mógłbym oprowadzić panią po mieście.

- Nie wiem, czy pan może to zrobić... To jest, nie wiem, czy ja mogę... Będę mieszkać u siostry i...

- Tak, ale jeżeliby się sprzeciwiła, to jakoś to zrobimy. - Wyjął notesik i ołówek, jak gdyby sprawa była z góry przesądzona. - Jaki jest pani adres?

Wyciągnęła z torebki kartkę papieru z adresem siostry. Sięgnął do kieszeni i wyjął gruby pugilares. Wypełniony był papierami, prospektami, zielonymi banknotami. Pugilares wywarł na Carrie silne wrażenie, żaden z jej dotychczasowych wielbicieli nie posiadał takiego pugilaresu! Prawdę mówiąc, żaden doświadczony podróżny ani człowiek światowy nigdy jeszcze nie zbliżył się do niej na taką odległość. Pugilares, lakierowane trzewiki,

zgrabny nowy garnitur oraz ton, jaki sobie nadawał, składały się w oczach Carrie na świat szczęścia, którego on był punktem środkowym. To usposobiło ją życzliwie do wszystkich jego poczynań.

Wyjął czysty bilet wizytowy z napisem: Barlett, Caryoe and Company. W rogu z lewej strony było: Chas, H. Drouet.

- To ja - powiedział, wsadzając jej do rąk bilet i wskazując na nazwisko. - Wymawia się Drue. Rodzina nasza ze strony ojca jest z pochodzenia francuska.

Patrzyła na bilet, gdy on chował pugilares. Potem wyjął list z bocznej kieszeni marynarki.

- To Dom, dla którego pracuję - ciągnął wskazując na rysunek. - Na rogu State i Lake. - Duma dźwięczała w jego głosie. Wiedział, że to coś znaczy być związanym z taką firmą, i chciał dać to odczuć Carrie.

- Jaki jest adres pani? - zapytał znowu, przygotowując się do pisania.

Patrzyła na jego rękę.

- Carrie Meeber - powiedziała z wolna. - Trzysta pięćdziesiąt cztery, dzielnica Zachodnia, ulica Van Buren, pytać o Hansona.

Zapisał to starannie i znowu wyciągnął pugilares.

- Będzie pani w domu, jeżeli zajdę w poniedziałek wieczorem? - zapytał.

- Przypuszczam.

Jakaż to prawda, że słowa są jedynie nikłym cieniem owych tonów, które chcielibyśmy w nich zawrzeć! Są to małe, słyszalne ogniwo, łączące wielkie, niesłyszalne uczucia i cele. Oto tych dwoje rzuca nic nie znaczące zdania, wyjmuje i chowa torebki i pugilaresy, ogląda bilety - oboje równie nieświadomi swoich rzeczywistych, nieartykułowanych uczuć. Żadne z nich nie było dostatecznie mądre, by dojrzeć pracę myśli drugiego. On nie potrafiłby powiedzieć, czy mu się udały jego zaloty. Ona nie zdawała sobie sprawy, ku czemu zmierza, dopóki nie dała mu swego adresu. Wtedy pojęła, że uległa jakiejś nowej mocy, on zaś zrozumiał, że odniósł zwycięstwo. Już czuli oboje, że są w jakiś sposób ze sobą związani. Ujął w swoje ręce ster rozmowy. Słowa przychodziły mu łatwo. I ona była śmielsza.

Zbliżali się do Chicago. Pociągi mijaly ich z błyskawiczną szybkością. Na wielkich przestrzeniach płaskich, otwartych prerii widzieli linie słupów telegraficznych, biegnących poprzez pola ku miastu. W oddali widać było nieomylnie znaki podmiejskich osiedli: ol-

brzymie smugi dymu strzelały w niebo.

Coraz częściej spotykali dwupiętrowe domy, w otwartym polu, bez ogrodzenia i bez drzew - samotne forpoczty zbliżającej się armii domów.

Dla dziecka, geniusza obdarzonego wyobraźnią lub dla kogoś, kto nigdy nie podróżował, zbliżenie się po raz pierwszy do miasta jest rzeczą cudowną. Zwłaszcza wieczorem, w owej porze między światłem a mrokiem świata, gdy życie z jednej sfery czy z jednych warunków przechodzi w drugie. Ach, obietnice nocy!

Czegóż nie kryją one dla znużonych życiem! Jakichże nadziei nie szepczą wówczas po raz nie wiadomo który! Mówi dusza człowieka znudzonego pracą: „Wkrótce będę wolna. Wstąpię w krąg wesołości. Ulice, latarnie, jasne pokoje, w których ktoś czeka z obiadem, wszystko to dla mnie. Teatry, halle, zebrania, drogi spoczynku i ścieżki wesela należą do mnie w nocy!” Choćby cała ludzkość zamknięta była przy warsztatach pracy, nastrój ten przenika na zewnątrz. Jest w powietrzu. Najlepsi czują czasami rzeczy, których by nigdy nie potrafili wyrazić ani opisać. Zrzucają wówczas brzemień pracy.

Carrie wyjrzała oknem. Jej towarzysz podniecony zachwytem dziewczyny - tak zaraźliwa jest rzecz każda - na nowo zainteresował się miastem i pokazywał po kolei jego cuda.

- To północno-zachodnie Chicago - mówił Drouet. - A to jest rzeka Chicago - tu wskazał wąski błotnisty strumień, pokryty wysokopiennymi masztami wędrowców z dalekich wód, zarzucających kotwice w czarnej przystani. Pierzchły w łoskocie i chrzęście szyn. - Chicago staje się wielkim miastem - dodał. - To cudo! Zobaczysz mnóstwo ciekawych rzeczy.

Nie bardzo słyszała, co mówi. Serce jej przeszył lęk. Fakt, że jest samotna, z dala od domu, że zanurza się w bezkresne morze, zaciążył. Nie mogła zapanować nad sobą. Brakło jej tchu. Czowała się słaba, tak mocno biło jej serce. Przymknęła oczy, usiłując myśleć, że to nic, że Columbia City jest przecież tak niedaleko...

- Chicago! Chicago! - wołał konduktor, otwierając drzwiczki.

Pociąg pędził teraz bardziej zaludnioną okolicą, pełną zgielku i turkotu. Zaczęła zbierać swoje ubogie bagaże i mocniej ścisnęła w rękę sakiewkę. Drouet podniósł się, wstrząsnął nogami chcąc wygładzić spodnie i ujął swoją nową walizę z żółtej skóry.

- Pewnie wyjdą na pani spotkanie? - powiedział. - Pani pozwoli, że pomogę jej wynieść kuferek?

- Ach, nie! - zawołała. - Wolę, żeby pan tego nie robił. Wolałabym, żeby pan nie stał przy oknie, kiedy podejdzie do mnie siostra.

- Dobrze - powiedział uprzejmie. - Postoję tu niedaleko. A gdyby siostra pani nie przyszła, bezpiecznie dostawię panią do domu.

- Pan jest taki uprzejmy! - rzekła Carrie, wdzięczna za okazywaną jej dobroć.

- Chicago! - wołał konduktor przeciągając zgłoski. Wjechali pod szklany dach, gdzie już się paliły lampy, a dookoła stały wagony pasażerskie. Pociąg włókł się teraz żółtym krokiem. Podróżni tłoczyli się do drzwi.

- No, jesteśmy! - powiedział Drouet, torując drogę do wyjścia. - Do widzenia, do niedziaku!

- Do widzenia! - powtórzyła, ujmując wyciągniętą dłoń.

- Proszę pamiętać! Stoję tu niedaleko, póki siostra nie odnajdzie pani!

Spojrzała z uśmiechem w jego oczy.

Wyszli. Udawał, że jej nie widzi. Mizerna, blada kobieta dość pospolitej powierzchowności poznała Carrie na peronie i podbiegła do niej.

- A, siostra Carrie! - zawołała, wykonując coś w rodzaju uścisku powitalnego.

Carrie natychmiast wyczuła różnicę napięcia atmosfery uczuciowej. Czuła, jak w tym gwarze nowości i wrzawie zimna rzeczywistość ujmuje jej dłoń. Nie dla niej świat blasku i wesołości. Nie dla niej zabawy. Siostra jej przyniosła ze sobą zapowiedź pracy i trosk.

- Jakże tam w domu? - zaczęła. - Ojciec, mama?

Carrie odpowiadała, ale patrzyła w bok. Pod sklepieniem, koło drzwi prowadzących do poczekalni i wyjścia na ulicę stał Drouet. Oglądał się. Kiedy się przekonał, że go widzi i jest bezpieczna pod opieką siostry, odwrócił się i poszedł posławszy jej na pożegnanie cień uśmiechu. Tylko Carrie widziała ten uśmiech. Odniosła wrażenie, że coś traci, kiedy ruszył ku wyjściu. Gdy zniknął, boleśnie odczuła jego brak. W towarzystwie siostry czuła się zupełnie sama. Sama wśród bezmyślnego, wzburzonego morza.

Rozdział II

PRZED CZYM DRŻY NĘDZA: GRANIT I MOSIĄDZ

Flat (tak nazywano wówczas jednopiętrowe lokale w domach dochodowych) zajmowane przez Minnie znajdowało się na ulicy West Van Buren, zamieszkaney przez rodziny robotników i urzędników, ludzi, którzy przybyli do Chicago i w dalszym ciągu przybywali z szybkością 50 000 głów rocznie. Mieszkanie było na trzecim piętrze. Okna frontowe wychodziły na ulicę, gdzie w nocy paliły się światła sklepów i gdzie bawiły się dzieci. Dla Carrie dźwięk dzwoneczków przy tramwajach konnych był równie miły, jak nowy. Wyjrzała na oświetloną ulicę, gdy Minnie wprowadziła ją do frontowego pokoju. Dziwił ją zgiełk, ruch, odgłosy wielkiego miasta, ciągnącego się na wiele mil w każdym kierunku.

Pani Hanson po wymienieniu uścisków powitalnych oddała siostrze swoje dziecko i poszła kończyć przygotowanie do wieczerzy. Mąż jej zadał Carrie kilka pytań i znów zatopił się w gazecie. Był obecnie zatrudniony przy czyszczeniu wozów w chłodni. Było mu obojętne, czy siostra żony istnieje, czy nie. To, że zjawiła się osobiście, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Ograniczył się do jednej tylko uwagi: jakie ma szanse na znalezienie pracy w Chicago.

- To wielkie miasto - rzekł. - Możesz się o coś zahaczyć w ciągu kilku dni. Każdy może.

Zgodnie z porozumieniem miała pracować i płacić za swoje utrzymanie. Hanson był to człowiek spokojny, oszczędny. Spłacił już kilka rat miesięcznych za dwie działki gruntu w odległej Zachodniej dzielnicy. Ambicją jego było zbudować tam kiedyś dom.

Tymczasem, zanim podano wieczerzę, Carrie rozejrzała się po mieszkaniu. Miała zmysł obserwacyjny i kobiecą intuicję.

Czuła więzy ubożego i ciasnego życia. Ściany pokoi były wyklejone niegustownymi tapetami. Podłogi pokrywały maty, w hallu leżał cienki dywan z gałganków. Już na pierwszy rzut oka widać było, że umeblowanie jest tanie, jedno z tych, którego dostarczają sklepy sprzedające na raty.

Siedziała z Minnie w kuchni, kołysząc dziecko, dopóki nie podniosło krzyku. Wtedy

wstała i zaczęła chodzić i śpiewać, aż Hanson, któremu to przeszkadzało w czytaniu, podniósł się i odebrał od niej małą. Tu wyszła na jaw sympatyczna cecha jego charakteru. Był cierpliwy. Widać było, że bardzo jest przywiązany do dziecka.

- No, no, cicho, cicho - mówił z wyraźnym szwedzkim akcentem.

- Pewnie zechcesz przede wszystkim zwiedzić miasto, prawda? - zapytała Minnie podczas jedzenia. - Dobrze, pójdziemy w niedzielę do Parku Lincolna.

Carrie zauważyła, że Hanson nic na to nie odpowiedział. Zdawał się myśleć o czymś innym.

- Muszę się za coś obejrzeć jutro - powiedziała. - Mam przed sobą piątek i sobotę, więc to niczemu nie przeszkodzi. W jakiej stronie jest dzielnica handlowa?

Minnie zaczęła tłumaczyć, ale małżonek sam pokierował dalszą rozmową.

- Tam - rzekł pokazując na wschód. - Na wschodzie.

- Po czym wygłosił najdłuższe przemówienie, jakie słyszała z jego ust. Dotyczyło ono położenia Chicago. - Pochodź najlepiej po wielkich domach towarowych wzdłuż ulicy Franklina, a potem po drugiej stronie rzeki - kończył. - Mnóstwo dziewcząt tam pracuje. I do domu będziesz miała wygodnie: to niedaleko stąd.

Carrie skinęła głową i zaczęła wypytywać siostrę o sąsiedztwo. Minnie mówiła półgłosem, dzieląc się swymi skąpymi wiadomościami, podczas gdy Hanson bawił się z małą. Wreszcie zerwał się i oddał dziecko żonie.

- Muszę wstać wcześniej, więc się położę - zniknął we drzwiach prowadzących z hallu do małej sypialni.

- Zaczyna pracę bardzo wcześniej - tłumaczyła Minnie

- więc musi wstawać o wpół do szóstej.

- A o której ty wstajesz, żeby mu zrobić śniadanie? - zapytała Carrie.

- Dwadzieścia minut po piątej.

Kończyły wspólnie pracę dnia. Carrie zmywała naczynia, Minnie rozebrała małą i położyła ją do łóżka. Ruchy Minnie zdradzały przyzwyczajenie do pracy; Carrie wyczuła, że ma zawsze pełne ręce roboty.

Zacząła pojmować, że musi wyrzec się myśli utrzymywania stosunków z Drouetem. Nie mógłby tu przyjść. Widziała w gestach Hansona, w przygnębieniu Minnie, wreszcie w całej atmosferze, jaką tchnęło mieszkanie szwagrostwa, zdecydowaną opozycję przeciwko

wszystkiemu, co nie było pracą. Jeżeli Hanson siaduje wieczorami z gazetą w pokoju frontowym, jeżeli kładzie się o dziewiątej, a Minnie trochę później - czegoż mogą się spodziewać po niej? Zrozumiała, że musi znaleźć pracę i podstawy egzystencji, zanim wolno jej będzie pomyśleć o jakimkolwiek towarzystwie. Niewinny flircik z Drouetem wydawał się jej teraz czymś niemożliwym.

- Nie - powiedziała do siebie. - Nie może tu przyjść...

Poprosiła siostrę o papier i atrament (były na kominku w jadalni) i kiedy Minnie poszła spać o dziesiątej, wyjęła kartę Droueta i usiadła do pisania:

Nie mogę przyjąć pana tutaj. Musi pan poczekać, napiszę znowu. Mieszkanie mojej siostry jest takie małe.

Zamyśliła się, co jeszcze napisać w liście. Chciała napomknąć coś o znajomości zawartej w pociągu, ale na to była zbyt nieśmiała... Zakończyła w sposób prawie szorstki, dziękując mu za uprzejmość, po czym namyślała się nad formułą podpisania swego nazwiska, wreszcie zdecydowała się na surowe „życzliwa”, które z kolei zmieniła na „oddana”. Zakleiła i zaadresowała list, i przeszła do pokoju frontowego z niewielką alkową, która miała służyć jej za sypialnię. Przysunawszy jedyny fotel bujający do okna, usiadła patrząc w milczącym zdumieniu w noc i ciemne ulice. Wreszcie znużona własnymi myślami zdrzemnęła się w fotelu. W końcu posłała łóżko i poszła spać.

Kiedy obudziła się nazajutrz o godzinie ósmej, Hansona już nie było. Siostrę zastała w jadalni, która służyła jednocześnie za bawialnię. Minnie szyła. Przygotowawszy sobie śniadanie, Carrie zasięgnęła rady siostry, w którą stronę warto się udać. Minnie zmieniła się bardzo, odkąd Carrie widziała ją ostatni raz. Była to teraz szczupła, sterana, dwudziesto-ośmioletnia kobieta, jej pojęcia o życiu ukształtowały się pod wpływem męża. Poglądy Minnie na przyjemności i obowiązki stały się jeszcze surowsze i ciaśniejsze od tych, które jej narzucano w młodości. Zaprosiła Carrie nie dlatego, że się za nią stęskniła, ale dlatego, że Carrie nie zadowalał pobyt w domu, a tu mogła prawdopodobnie znaleźć pracę i płacić za swoje utrzymanie. Miło jej było widzieć Carrie u siebie, podzielała jednak opinię męża na kwestię znalezienia pracy. Każda praca jest dobra pod warunkiem, że przynosi, powiedzmy, pięć dolarów tygodniowo na początek. Panna sklepowa - oto z góry przesądzony los nowo przybyłej. Zaangażuje się do jednego z wielkich domów towarowych i będzie tam pracowała, dopóki... dopóki coś się nie przydarzy. Żadna z tych panien sklepowych nie wiedziała, co

mianowicie. Nie marzyły o awansie. Nie liczyły właściwie na małżeństwo. Rzeczy będą sły swoim porządkiem, zanim to lepsze coś się nie stanie i nie wynagrodzi Carrie za przybycie i pracę w mieście. W takim to nastroju rozpoczęła nazajutrz swoje poszukiwania pracy.

Zanim pośpieszymy za Carrie w jej wędrówkach, niech nam wolno będzie spojrzeć na środowisko, w którym upływać będzie jej życie. W roku 1889 Chicago charakteryzował nadzwyczaj szybki rozrost, który usprawiedliwiał awanturnicze wyprawy nawet młodych dziewcząt. Liczne i szerokie możliwości handlowe nadawały mu rozległą sławę, która na kształt olbrzymiego magnesu przyciągała do siebie ze wszystkich okolic ludzi, zarówno tych pełnych nadziei, jak i tych, którzy zwątpili; tych, którzy mieli nadzieję dorobić się fortuny, i tych, których majątki i interesy gdzie indziej pochłoneły katastrofy. Było to miasto liczące pięćset tysięcy mieszkańców, a mające ambicję, zuchwałość i energię milionowej metropolii. Ulice i domy Chicago rozrzucone były na przestrzeni siedemdziesięciu pięciu mil kwadratowych. Mieszkańcy zajmowali się nie tyle ustalonym handlem, ile przemysłem obliczonym na wzrost ludności. Uderzenie młotów, pracujących nad wznoszeniem nowych gmachów, rozlegało się ze wszystkich stron. Powstawały olbrzymie fabryki. Wielkie kompanie kolejowe, które od dawna wyczuły dobrą przyszłość tych terenów, zajęły olbrzymie połacie ziemi dla celów komunikacyjnych i transportowych. Linie tramwajowe przeprowadzono daleko za miasto w przewidywaniu szybkiego jego rozrostu. Miasto zbudowało całe mile ulic i kanałów na gruntach, gdzie dawniej stał, być może, jeden jedyny dom-pionier zgiełkliwych ulic przyszłości. Nowe dzielnice, wystawione na działanie wiatrów i deszczów, oświetlały nocą długie szeregi lamp gazowych, migocących na wicherze. Chodniki biegły wzdłuż ulic, mijając tu dom, tam szopę, odległe od siebie, często stojące na otwartej prerii.

Środek miasta stanowiła dzielnica handlowa i sklepy. Do niej zdążał zazwyczaj nie znający miejscowych warunków poszukiwacz pracy. Było cechą charakterystyczną Chicago w owych czasach (nie spotyka się tego we wszystkich miastach), że każda poszczególna firma, mająca niejaki pretensje, zajmowała oddzielny budynek. Umożliwiała to ilość niezabudowanych gruntów. Nadawało to imponującego wyglądu większości przedsiębiorstw, których biura mieściły się na parterze na oczach całej ulicy. Wielkie szyby lustrzane, teraz tak powszechne, wtedy właśnie dopiero wchodziły w użycie i nadawały parterowym biurom wyraz dystynkcji i zamożności. Przypadkowy przechodzień mógł widzieć szereg polituro-

wanych mebli biurowych, tafle szkła, urzędników pracujących w pocie czoła i biznesmenów w wytwornych garniturach i nieskazitelnej bieliźnie, przechadzających się lub siedzących grupkami. Błyszczące miedziane lub niklowe tabliczki przy wielkich kamiennych wejściach opiewały nazwę i rodzaj firmy w słowach raczej skąpych i pełnych rezerwy. Całe to wielkomiejskie centrum posiadało poważny i uroczysty wygląd i obliczone było na wzbudzenie zdumienia i onieśmienia u zwykłych aplikantów, aby przepaść między ubóstwem a bogactwem ukazać głębszą i szerszą.

W tę oto ważną dzielnicę handlową zagłębiła się nieśmiało Carrie. Szła na wschód od ulicy Van Buren najpierw dzielnicą mniej wspaniałą, która przeszła stopniowo w masę szop i składów węglowych, a wreszcie oparła się o rzekę. Szła dzielnie przed siebie, gnana uczciwą chęcią znalezienia pracy, wstrzymywana na każdym kroku zainteresowaniem, jakie budziło w niej to, co widziała, oraz uczuciem graniczącym z beznadziejnością na widok takiego mnóstwa bogactw i potęgi, których pojąć nie była w stanie. Ten olbrzymi budynek, co to takiego? Te dziwne zakłady i wielkie przedsiębiorstwa - do czego służą? Mogła zrozumieć cel małego zakładu kamieniarza w Columbia City. Ogładzał kawałki marmuru na rozmaity użytek. Ale gdy oczom jej ukazały się składy i podwórza wielkich zakładów kamieniarskich, natłoczone platformami, poprzerzynane dokami prowadzącymi do rzeki, pokratowane olbrzymimi dźwigami z drewna i stali - znaczenie ich przerastało jej mały światek.

Takiego samego uczucia doznała na widok wielkich składów kolejowych, na widok szeregu okrętów na rzece, na widok fabryk dotykających brzegów wody. Przez otwarte okna widziała ruchliwe postacie mężczyzn i kobiet w roboczych fartuchach. Wielkie ulice były dla Carrie tajemnicą, biura - prawdziwym labiryntem kryjącym w sobie tych, od których wszystko zależy. Nie umiała wyobrazić sobie owych ludzi inaczej, jak liczących pieniądze, wspaniale ubranych, jeżdżących karetami. Miała niejasne tylko pojęcie o tym, co ci ludzie znaczą, jak pracują, do czego wszystko to prowadzi. Wszystko było cudowne, wszystko dalekie, wszystko olbrzymie. Upadła na duchu i serce jej przestawało bić na myśl, że ma wejść do któregoś z tych potężnych koncernów, prosząc o jakąkolwiek pracę, o cokolwiek, co potrafi zrobić, o cokolwiek bądź.

Rozdział III

ŻĄDAMY OD LOSU: CZTERY PIĘCDZIESIĄT TYGODNIOWO

Znalazłszy się wreszcie po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy składów hurtowych, zaczęła oglądać się za drzwiami, do których mogłaby się zgłosić. Gdy tak przypatrywała się wielkim szybom i imponującym szyldom, zrozumiała, że biorą ją za to, czym jest: za poszukującą pracy. Nigdy dotychczas tego nie robiła, więc stchórzyła. Aby uniknąć pewnego rodzaju wstydu, jaki czuła na myśl, że złapano ją na szpiegowaniu, gdzie można znaleźć pracę, przyspieszyła kroku i przyjęła wyraz obojętny, właściwy osobom odbywającym przechadzkę. W ten sposób minęła wiele domów komisowych i hurtowni, nie patrząc na nie. Wreszcie przeszedłszy kilka bloków poczuła, że tak nie można, i zaczęła się oglądać, nie zwalniając jednak kroku. Zaraz potem spostrzegła wielkie drzwi, które z jakiegoś powodu przykuły jej uwagę. Zdobila je tabliczka mosiężna. Zdawały się być wejściem do wielkiego, siedmiopiętrowego ula. „Może potrzeba kogoś” - pomyślała i przeszła ulicę. Gdy niespełna kilka stóp dzieliło ją od upragnionego celu, zobaczyła przez okno młodzieńca w popielatym garniturze. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy młodzieniec ów ma coś wspólnego z koncertem, ale ponieważ patrzył w jej kierunku, odwaga opuściła Carrie; przebiegła mimo, nazbyt zawstydzona, żeby wejść. Po drugiej stronie stał sześciopiętrowy gmach z szyldem: „Storm and King”, na który patrzyła z rosnącą nadzieją. Był to skład hurtowy towarów łokciowych i zatrudniał kobiety. Do tego domu postanowiła wejść, „żeby tam nie wiem co”. Przeszła jezdnię i skierowała się wprost ku wejściu. W tej samej chwili dwóch mężczyzn zjawili się na progu. Przystanęli. Pocztalion wyprzedził Carrie na paru stopniach prowadzących do wejścia i zniknął. Kilkunastu przechodniów oderwało się od tłumu płynącego bocznymi ulicami i przeszło obok niej, gdy tak stała niezdecydowana. Obejrzała się bezradnie i czując, że jest przedmiotem obserwacji, zawróciła. Było to zadanie zbyt trudne. Nie potrafi przejść obok tych ludzi.

Porażka odbiła się boleśnie na jej nerwach. Nogi niosły ją mechanicznie naprzód, każdy krok był ucieczką, co czyniła chętnie. Mijała blok za blokiem. Na rozmaitych rogach ulic czytała na latarniach nazwy takie, jak: Madison, Monroe, La Salle, Clark, Dearbon, State, i szła wciąż przed siebie, chociaż nogi bolały ją od stąpania po kamieniach. Cieszyło ją

poniekąd, że ulice są szerokie i czyste. Słońce poranne grzało coraz więcej, czyniąc zacienioną stronę ulicy przyjemnie chłodną. Spojrzała na błękitne niebo nad sobą, silniej niż kiedykolwiek w życiu odczuwała jego czar.

Ale własne tchórzostwo zaczęło ją w końcu niepokoić. Zawróciła z postanowieniem pójścia do „Storm and King”, by tam zapytać o pracę. Po drodze napotkała wielki hurtowy skład obuwia. Przez szerokie okno zajrzała do oddziału egzekucyjnego, oddzielonego matowymi szybami. Poza tą przegródką, na wprost wejścia od ulicy siedział przy stoliku szpakowaty jegomość. Przed nim leżała wielka księga. Przeszła kilkakrotnie obok tej instytucji, nie mogąc się zdobyć na krok decydujący, ale widząc, że nikt jej nie obserwuje, wśliznęła się przez drzwi i stanęła, czekając pokornie.

- No, panienko - rzekł szpakowaty jegomość, patrząc na Carrie uprzejmie. - Czego sobie pani życzy?

- Jestem... chciałabym... czy pan... nie potrzebuje kogo? - wyjąkała.

- Nie w tej chwili - rzekł z uśmiechem. - Nie w tej chwili. Proszę zająć w przyszłym tygodniu. Czasami mamy wolne miejsca.

Przyjęła odpowiedź w milczeniu i wyszła niezgrabnie. Miła forma tego przyjęcia prawie zdziwiła Carrie. Myślała, że to będzie o wiele trudniejsze, że padną słowa przykre i zimne. Jakie, nie wiedziała. Że nie kazali jej się wstydić i nie dali odczuć przykrego położenia, wydało się Carrie dziwne.

Trochę ośmielona zdobyła się na odwagę i weszła do następnego wielkiego budynku. Był to skład ubrań, zobaczyła tu więcej ludzi - doskonale ubranych mężczyzn około pięćdziesiątki.

Posługacz zbliżył się do niej.

- Do kogo pani? - zapytał.

- Chciałabym pomówić z dyrektorem - rzekła. Pobiegnął do jednego z trzech panów, którzy stali rozmawiając.

Pan ten podszedł do Carrie.

- Słucham? - zapytał zimno. To powitanie odebrało jej resztę odwagi.

- Może potrzebuje pan pracownicy? - zapytała.

- Nie - rzucił krótko i wykręcił się na pięcie.

Wybiegła jak szalona, posługacz obojętnie otworzył przed nią drzwi; z radością zmie-

szała się z tłumem. Był to śmiertelny cios dla jej poprzedniego pogodnego nastroju.

Szła teraz czas jakiś bez celu, zawracając to tu, to tam, patrząc na wielkie przedsiębiorstwa jedno obok drugiego, ale nie znajdowała w sobie dość odwagi, by wejść i zadać swoje proste pytanie. Przyszło południe, z nim głód. Wynałazła skromną jadłodajnię i weszła, ale zmieszała się, widząc, że ceny są zbyt wygórowane na jej skromną sakiewkę. Talerz zupy - oto wszystko, na co mogła sobie pozwolić. Przełknąwszy, wyszła szybko. Ale to powróciło jej siły i dodało odwagi do dalszej wędrówki.

Przeszedłszy kilka domów, aby znaleźć odpowiednie miejsce do próbowania szczęścia, napotkała znowu firmę „Storm and King”. Tym razem udało się jej tam wejść. Kilku dżentelmenów konferowało tuż obok, nie zwrócili jednak na nią uwagi. Pozwolono jej stać z oczyma nerwowo utkwionymi w podłogę. Gdy doszła prawie do kresu rozpacz, jeden z jegomościów za biurkiem, tuż obok bariery, zwrócił się do niej.

- Kogo pani chce widzieć? - zapytał.

- Kogokolwiek, jeśli pan taki łaskaw - odpowiedziała. - Szukam pracy.

- O, pani chce widzieć pana McManusa. Proszę, niech pani siada - i wskazał krzesło pod sąsiednią ścianą. Zabrał się z powrotem do pisania. Po chwili niewielki tęgi jegomość wszedł z ulicy.

- Panie McManus! - zawołał urzędnik od biurka - ta pani chce z panem mówić!

Niewielki jegomość zwrócił się do Carrie. Podniosła się i podeszła.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał, przyglądając się jej ciekawie.

- Chciałabym wiedzieć, czy mogę dostać jakieś zajęcie? - zapytała.

- W jakim charakterze? - W jakimkolwiek.

- Czy ma pani praktykę w handlu towarami łokciowymi?

- Nie, sir!

- Pisze pani na maszynie? Zna pani stenografię?

- Nie, sir!

- Nic nie mamy dla pani. Zatrudniamy tylko wykwalifikowane siły.

Zaczęła cofać się ku drzwiom, gdy nagle uderzył go smutny wyraz jej twarzy.

- Pracowała pani kiedy?

- Nie, sir! - odpowiedziała.

- To wątpliwe, żeby pani mogła znaleźć zajęcie w interesie hurtowym tego typu. Pró-

bowała pani w domach towarowych? Wyznała, że nie.

- Gdybym był panią - rzekł prawie życzliwie - spróbowałbym przede wszystkim w domach towarowych. Często poszukują tam młodych dziewcząt w charakterze sprzedających.

- Dziękuję panu - rzekła. Ten dowód życzliwego zainteresowania dodał jej otuchy.

- Tak - powtórzył, gdy szła ku drzwiom - radzę pani spróbować w domach towarowych - i zniknął.

W tej epoce domy towarowe przeżywały pierwszą fazę swoich szczęśliwych operacji i nie było ich wiele. Pierwsze trzy założono w Stanach Zjednoczonych w roku 1884 w Chicago. Carrie знаła firmy z ogłoszeń w „Daily News”. Postanowiła je odszukać. Słowa pana McManusa powróciły jej odwagę, która ją opuściła. Ośmieliła się znowu mieć nadzieję, że jednak coś zdobędzie. Czas jakiś zszedł jej na chodzeniu tam i z powrotem. Łudziła się, że może przypadkiem natknie się na któryś z domów towarowych, łatwo bowiem dusza, zdecydowana osiągnąć trudny a konieczny cel, pociesza się pozorami, jakie stwarza szukanie, choćby nie uwieńczone realnym wynikiem. Wreszcie zwróciła się do oficera policji. Kazał jej iść jeszcze dwa bloki; tam znajdzie „Jarmark”.

Gdyby domy towarowe miały na zawsze zniknąć, zasługują na osobny rozdział w historii handlu naszego kraju. Była to kombinacja rozmaitych gałęzi sprzedaży detalicznej. Takiego rozkwitu drobnego handlu świat nie widział przedtem. Wzorował się na organizacji drobnych, dochodowych przedsiębiorstw. Setki sklepów połączone w jeden, oparte na bardziej imponujących i ekonomicznych podstawach. Wspaniałe, żywe, dochodowe przedsiębiorstwa, zatrudniające mnóstwo urzędników i kierowane przez licznych dyrektorów. Carrie szła przez rojne sklepienia, podniecona gustownym rozłożeniem klejnotów, świecidełek, ubrań. Każda poszczególna wystawa pociągała ją i zaciekawiała. Nie była w stanie opanować pragnienia posiadania każdego z tych przedmiotów oddzielnie, jednak nie przystanęła przy żadnym. Nie było tam nic, czego by nie mogła użyć. Nic, czego by od dawna nie pragnęła posiadać. Eleganckie pończochy i pantofle, wytworne suknie i spódniczki, koronki, wstążki, grzebienie do włosów, torebki - każda rzecz budziła w niej pożądanie i boleśnie dawała odczuć fakt, że żaden z tych przedmiotów nie leży w granicach zawartości jej sakiewki. Poszukiwała pracy. Była wyrzutkiem społeczeństwa, bezrobotną, taką, którą pierwszy lepszy funkcjonariusz od razu mógł określić jako osobę ubogą, potrzebującą.

Nie należy myśleć, że była istotą nerwową, wrażliwą, delikatną, rzuconą bezlitośnie w zimny, wyrachowany, niepoetyczny świat. Taką, oczywiście, nie była. Ale kobiety są szczególnie wrażliwe na to, jak są ubrane.

Carrie nie tylko czuła przyływ pożądania wszystkiego, co było nowe i ładne w odziale dla kobiet, ale zauważyła również (nie bez ściśnięcia serca) piękne kobiety, które ją potraçały, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, mijając ją z zupełną obojętnością. Należały do personelu domu towarowego. Carrie nie przywykła do widoku swoich szczęśliwych siostr w City. Nie miała dotychczas pojęcia o charakterze i powierzchowności panien sklepowych, przy których wyglądała tak nędznie. Były przeważnie ładne, niektóre nawet piękne. Wyraz niezawisłości i obojętności, zwłaszcza u tych, które cieszyły się większymi łaskami, miał w sobie pewną pikanterię. Suknie ich były zręcznie skrojone, czasami nawet eleganckie. Jeżeli oczy Carrie spotkały się z oczyma którejś z tych dziewcząt, to po to, aby wyczytać w nich surową analizę jej położenia: skromna sukienka i ów cień zachowania mówiły im wszystkim aż nadto jasno, kim jest. Płomień zazdrości gorzał w sercu Carrie. Zdawała sobie niejasno sprawę z tego, co daje miasto: pieniądze, szyk, swobodę, wszystko, czego kobieta może zapragnąć, więc całym sercem marzyła o sukniach i o tym, co piękne.

Na drugim piętrze mieściły się biura dyrekcji; Carrie rozpytawszy się przedtem, poszła tam. Zastała już inne dziewczęta poszukujące pracy jak ona, ale pewniejsze siebie i swobodniejsze, co zawdzięczały miastu. Dziewczęta przyglądały się jej z bolesną ciekawością. Po trzech kwadransach czekania wezwano ją.

- No - zagadnął Żyd o żywych ruchach, siedzący przy obracalnym biurku pod oknem - pracowała pani kiedy w magazynie?

- Nie, sir! - rzekła Carrie.

- A, pani nie pracowała! - rzekł i przyjrzał się jej badawczo.

- Nie, sir! - odpowiedziała.

- No, my wolimy panny mające praktykę. Nie możemy zatrudnić pani.

Carrie czekała nie wiedząc, czy ma uważać rozmowę za skończoną.

- Proszę nie czekać! - krzyknął. - Proszę pamiętać, że nie mamy czasu!

Carrie szybko skierowała się ku drzwiom.

- Zaczekaj pani! - zawołał. - Proszę zostawić adres. Czasami potrzebujemy pomocnic.

Wydostawszy się wreszcie na ulicę, z trudem powstrzymała łzy. Nie tyle ostatnia bru-

talna odmowa, ile doświadczenia całego dnia podziały na nią. Była zmęczona, zdenerwowana. Porzuciła myśl zwrócenia się do innych domów towarowych, więc szła bez celu, czując się bezpieczniejsza i pewniejsza siebie w tłumie.

W swoich wędrówkach trafiła na ulicę Jackson niedaleko rzeki i trzymała się już brzegów tej imponującej arterii komunikacyjnej, gdy skrawek papieru, zapisany atramentem i przytwierdzony do muru, zwrócił jej uwagę. Papier ów opiewał: „Dziewczeta potrzebne - na maszynę i wykańczarki”. Zawahała się chwilę, ale weszła.

Firma „Speigelheim & Co”, wyrabiająca czapki dla chłopców, zajmowała jedno piętro gmachu, pięćdziesiąt stóp szerokie i około osiemdziesięciu głębokie. Był to lokal oświetlony raczej skąpo (w najciemniejszych kątach paliły się lampy), zastawiony maszynami i warsztatami. Przy tych ostatnich pracowało kilkanaście dziewcząt i mężczyzn. Dziewczeta były to istoty przeważnie bezbarwne, z twarzami powalanymi olejem i pyłem, ubrane w liche, niezgrabne, perkalowe sukienki i mniej lub więcej znoszone trzewiki. Wiele z nich zakasywało rękawy ukazując nagie ramiona; niektóre z powodu gorąca obnażały kark. Stanowiły charakterystyczny typ najniższego rzędu robotnic - niedbałe, leniwe, blade z powodu złych warunków higienicznych. Nie były jednak nieśmiałe, nie brakowało im ciekawości, były zuchwale, obrotne w języku.

Carrie rozglądała się zmieszana. Czuła, że nie ma najmniejszej ochoty pracować tutaj. Poza spojrzeniem spod oka, co tylko zwiększało zmieszanie Carrie, nikt nie zwracał na nią uwagi. Czekala. Wreszcie cały oddział uświadomił sobie jej obecność. Zaczęto szeptać. Majster, ubrany w fartuch i koszulę, zbliżył się w końcu.

- Pani do mnie? - zapytał.

- Może potrzebuje pan pomocy? - zapytała Carrie nauczywszy się w końcu pytać dokładnie.

- Potrafi pani szyć czapki? - dorzucił.

- Nie, sir - odrzekła.

- Ma pani jaką praktykę w tego rodzaju pracy? - zapytał. Odpowiedziała przecząco.

- Hm... - rzekł majster w zamyśleniu, pocierając ucho - potrzebujemy wykańczarki.

Dobieramy siły wykwalifikowane. Nie mamy czasu na naukę. - Przerwał i spojrział w okno.

- Ale możemy wziąć panią na próbę.

- Ile pan płaci tygodniowo? - zapytała Carrie, ośmielona pewną delikatnością jego za-

chowania i prostotą słów.

- Trzy pięćdziesiąt - odrzekł.

- O! - nieomal wyrwało się z ust Carrie. Opanowała się jednak i pozwoliła myślom umrzeć, zanim wyraziła je słowami.

- Właściwie nikogo nie potrzebujemy na razie - rzekł oglądając się, jak gdyby była martwym przedmiotem. - Ale może pani przyjść w poniedziałek - dodał. - Znajdzie się dla pani robota.

- Dziękuję - rzekła Carrie bez zapału.

- Jeżeli pani przyjdzie, proszę przynieść fartuch.

Odszedł, pozostawiając Carrie przy windzie i nie interesując się nawet, jak się nazywa.

Chociaż widok wnętrza pracowni i proponowana płaca spadły jak grom na marzenie Carrie, fakt, że po tylu przykrych doświadczeniach jednak znalazła pracę, miał w sobie coś kojącego. Nie mogła jakoś uwierzyć, że chociaż ma większe aspiracje, przyjmie to miejsce. Przywykła do czegoś lepszego. Swoboda, jaką daje życie na prowincji, buntowała się przeciwko więziennym warunkom. Nie żyła nigdy w brudzie. Mieszkanie siostry było czyste. Pracownia ponura i niechlujna, dziewczęta ordynarne i niedbałe. Muszą być zepsute i złe. A jednak ofiarowano jej miejsce! Więc Chicago nie jest takie straszne, jeżeli otrzymała miejsce w ciągu jednego dnia. Znajdzie później inne, lepsze.

Następne doświadczenia nie mogły dodać jej otuchy. Ze wszystkich przyjemniejszych lub bardziej imponujących miejsc odsyłano ją z brutalną sztywnością. W innych znowu, do których się zgłosiła, poszukiwano tylko sił wykwalifikowanych. Spotykała się z przykrą odmową, zwłaszcza w pewnym sklepie ubrań gotowych, gdzie weszła aż na czwarte piętro, aby zapytać o posadę.

- Nie, nie - rzekł jegomość dobrze zbudowany, pochylony nad mizernie oświetlonym warsztatem. - Nie potrzebujemy nikogo. Proszę się nie naprzykrzać.

W miarę jak kończył się dzień, opuszczały ją nadzieje, odwaga, siły. Była jednak zdumiewająco uparta. Tak poważny wysiłek zasłużył na lepszą zapłatę. Zmęczonym jej zmysłom wydawało się, że dzielnica handlowa staje się coraz surowsza, bardziej przytłaczająca, bezduszna w swojej obojętności. Jak gdyby wszystko było dla niej zamknięte, a walka zbyt uciążliwa, by jej nikłe nadzieje mogły się ziścić. Mężczyźni i kobiety biegli dłu-

gimi łamanymi szeregami. Czowała dokoła siebie prąd energii i pracy, czowała swoją własną bezradność, nie bardzo uświadamiając sobie, że jest nikłą słomką, rzuconą na wodę. Nadaremnie oglądała się dokoła, szukając, gdzie mogłaby zapytać o pracę. Nie znalazła ani jednych drzwi, do których starczyłoby jej odwagi zapukać. Wszędzie będzie to samo. Jak poprzednio - upokorzenie, prośby i krótka odmowna odpowiedź. Wyczerpana na duszy i na ciele zawróciła na zachód w kierunku mieszkania Minnie. Rozpoczął się ów uciążliwy, bezpłodny odwrót, który z zapadnięciem nocy staje się udziałem tylu ludzi poszukujących pracy. Przechodząc przez Piątą ulicę w kierunku ulicy Van Buren, gdzie postanowiła wsiąść do tramwaju, Carrie doszła do wielkiego hurtowego składu obuwia. Przez szyby ujrzała za biurkiem jegomościa w średnim wieku. Jeden z owych zagubionych impulsów, rodzących się tak często ze świadomości porażki, ostatni wykwit nie wykonanych i udaremnionych planów odezwał się w Carrie. Śmiało minęła drzwi i podeszła do jegomościa, który spojrzał w jej zmęczoną twarz z nagle rozbudzonym zainteresowaniem.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Może pan ma dla mnie robotę? - rzuciła.

- Nie wiem, doprawdy - rzekł uprzejmie. - Jakiej pracy pani poszukuje? Nie jest pani maszynistką, prawda?

- O, nie! - odpowiedziała Carrie.

- Hm... zatrudniamy tu tylko buchalterki i maszynistki. Ale niech pani pójdzie zapytać na górę. Przed paru dniami poszukiwali robotnic. Proszę pytać o pana Brown.

Pospieszyła do bocznych drzwi i wjechała windą na czwarte piętro.

- Poproś pana Brown, Willie - rzekł windziarz do posługacza.

Willie pobiegł i po chwili wrócił oznajmiając, że pan Brown kazał usiąść i czekać. Zraz przyjdzie.

Był to magazyn nie dający żadnego wyobrażenia o charakterze całej instytucji, przeto Carrie nie mogła przewidzieć, jakiego rodzaju byłaby to praca.

- Więc poszukuje pani jakiegokolwiek pracy - rzekł pan Brown dowiedziawszy się, co ją tu sprowadza. - Pracowała pani kiedy w fabryce obuwia?

- Nie, sir - odrzekła Carrie.

- Jak się pani nazywa? - zapytał, a gdy mu powiedziała, dodał: - Nie wiem właściwie, czy znajdę coś dla pani... Zgodziłaby się pani pracować za cztery pięćdziesiąt tygodniowo?

Carrie zbyt była zmęczona poprzednimi porażkami, żeby odczuć, że nie jest to dużo. Spodziewała się, że zaproponuje jej nie mniej niż sześć. Przyjęła jednak, a on zapisał jej nazwisko i adres.

- Dobrze - rzekł w końcu. - Proszę zgłosić się w poniedziałek o ósmej. Myślę, że jednak znajdę coś dla pani.

Wyszła od niego uradowana tymi możliwościami, przekonana, że wreszcie coś dostała. Natychmiast krew zaczęła krążyć szybciej. Natężenie nerwów ustąpiło. Wyszła na rojne ulice, wyczuwając zmianę atmosfery. Strumień ludzki płynął teraz jakby wolniej. Zauważyła, że mężczyźni i kobiety uśmiechają się. O uszy jej obijały się urywki rozmów, śmiechy. Powietrze było lżejsze. Ludzie wylewali się z budynków: praca była skończona na ten dzień. Spostrzegła, że są zadowoleni, a myśl o domu siostry i oczekującej wieczery skłoniła ją do przyspieszenia kroku. Szła prędko, może zmęczona, ale nie znużona. Co Minnie powie. Ach, zima w Chicago - światła, tłumy, rozrywki! Jednak to wielkie, piękne, wesołe miasto! Firma, która ją zaangażowała, wydała się jej wspaniałą instytucją. W oknach miała wielkie, lustrzane szyby. Prawdopodobnie nada się tam. Wróciły myśli o Drouecie, o tym, co jej opowiadał. Czuła, że życie jest lepsze, lżejsze, pogodniejsze. Wsiadła do tramwaju w najlepszym nastroju, czując przyjemne pulsowanie krwi. Będzie mieszkała w Chicago - powtarzała sobie w duchu. Będzie żyła lepiej niż kiedykolwiek... będzie szczęśliwa.

Rozdział IV

MARNOTRAWSTWO MARZEŃ: FAKTY ODPOWIADAJĄ ZGRZYTEM

Przez następne dwa dni Carrie oddawała się najśmielszym marzeniom. Wyobrażnia jej lekkomyślnie tonęła w przyjemnościach i rozrywkach, jakie stałyby się jej udziałem, gdyby była szczęśliwym dzieckiem fortuny. Szybko i zdecydowanie, z wdziękiem i radością wydawała swoje nędzne cztery i pół dolara tygodniowo. Gdy przed udaniem się na spacer siedziała w bujaku, patrząc na wesoło oświetlone ulice, te cztery i pół dolara otwierały dla przyszłej ich posiadaczki drogę do każdej radości, do każdej błyskotki, których pożądać może serce niewieście. „Będę się doskonale bawiła!” - myślała Carrie.

Siostra jej, Minnie, nie wiedziała nic o tych szalonych myślach, chociaż wyczerpywały możliwości wszelkich rozkoszy. Zbyt była zajęta kuchnią i obrachowywaniem siły kupna osiemdziesięciu centów, przeznaczonych na obiad niedzielny. Kiedy Carrie wróciła do domu, podniecona pierwszym sukcesem i gotowa pomimo zmęczenia dyskutować o tych zajmujących zdarzeniach, które doprowadziły do objęcia posady, Minnie uśmiechnęła się na znak aprobaty i zapytała, czy siostra będzie musiała wydawać co na przejazdy. Ta myśl nie przyszła Carrie do głowy i na krótko rzuciła cień na łunę jej entuzjazmu. Była w owym nastroju, który pozwala na odejmowanie od jednej sumy sum innych, nie umniejszając pierwszej, czuła się przeto zupełnie szczęśliwa.

Kiedy Hanson o ósmej wrócił do domu, wydał się Carrie nieco pochmurny - zwykły jego nastrój przed kolacją. Wyrażało się to zresztą nie w tym, co mówił, ale w uroczystym wyrazie jego twarzy i w milczącym wałęsaniu się po mieszkaniu. Posiadał żółte, dywanowe pantofle, które lubił wkładać i na które natychmiast zamieniał swoje ciężkie trzewiki. To wraz z umyciem twarzy zwykłym mydłem do prania (aż się stawała czerwona i świecąca) stanowiło jego jedyne przygotowania do wieczornego posiłku. Po czym brał gazetę i czytał w milczeniu.

Jak na młodego mężczyznę był to charakter raczej ponury i tak działał na Carrie. Działał tak zresztą na całą atmosferę domu, jak to się zwykle dzieje, narzucając żonie ów taktowny i onieśmielony sposób bycia: bała się narazić na milczącą replikę. Pod

wrażeniem słów Carrie rozpogodził się trochę.

- Nie straciłaś czasu, co? - rzekł uśmiechając się lekko.

- Nie - odrzekła Carrie z odcieniem dumy.

Zadał jej jeszcze kilka pytań, po czym zaczął się bawić z małą, porzucając ów temat.

Na nowo podjęła ten temat Minnie przy stole.

Ale Carrie nie dała się sprowadzić do zwykłego poziomu obserwacji, który panował w mieszkaniu Hansonów.

- Musi to być wielkie przedsiębiorstwo - powiedziała w pewnej chwili. - Olbrzymie szyby i mnóstwo urzędników. Jegomość, z którym rozmawiałam, powiedział, że zatrudniają mnóstwo ludzi.

- Nie jest trudno znaleźć pracę - rzekł Hanson. - Trzeba tylko szukać, gdzie należy.

Minnie pod wpływem ciepła bijącego od Carrie oraz niezwyklej rozmowności męża zaczęła opowiadać siostrze o tym, co trzeba zobaczyć, przyjemność ta nic nie kosztuje.

- Musisz zobaczyć Michigan Avenue - rzekła. - Są tam piękne domy! To taka piękna ulica.

- Gdzie jest „R. H. Jacobs”? - zapytała Carrie, wymieniając teatr naówczas bardzo słynny, w którym grywano melodramaty.

- O, niedaleko stąd - rzekła Minnie. - Przy ulicy Halstead, na prawo.

- To chciałabym tam iść! Przechodziłam dzisiaj ulicę... Halstead, prawda?

W tym miejscu nastąpiła przerwa nieco dłuższa, niż tego wymagała naturalna odpowiedź. Myśli - to dziwnie przenikliwy element. Gdy Carrie wspomniała, że chciałyby pójść do teatru, cień zgorzienia, że można pragnąć rzeczy pociągających za sobą wydatki pieniężne, cienie uczuć, jakie słowa te wzbudziły w Minnie i Hansonie - lekko zabarwiły atmosferę mieszkania. Minnie odpowiedziała: - Naturalnie - ale Carrie zrozumiała, że chodzenie do teatru nie jest rzeczą, którą się w tym domu pochwała. Przeszono mówić o teatrze, dopóki Hanson nie zjadł i nie poszedł z gazetą do pokoju frontowego.

Zostawszy same, siostry zaczęły rozmawiać trochę swobodniej. Carrie nuciła, zmywając naczynia.

- Przeszłabym się po ulicy Halstead, jeżeli to nie bardzo daleko - powiedziała. - Dlaczego nie miałabym iść dzisiaj do teatru?

- O, nie sądzę, żeby Sven wybrał się dzisiaj do teatru - odpowiedziała Minnie. - Musi

tak wcześnie wstawać.

- Nie żałowałyby... Na pewno bawiłyby się dobrze.
- Kiedy on nie chodzi po teatrach...
- Ale ja chciałabym pójść... Chodźmy we dwie: ty i ja.

Minnie zamyśliła się chwilę nie nad tym, czy może iść, kwestię tę od razu załatwiła odmownie, lecz nad tym, w jaki sposób odwrócić uwagę siostry od tego tematu.

- Pójdziemy kiedy indziej - rzekła, nie znajdując nic innego.

Carrie natychmiast odgadła przyczynę opozycji.

- Mam pieniądze - powiedziała. - Zabiorę cię ze sobą. Minnie pokiwała głową.
- Mógłby iść z nami - nalegała Carrie.
- Nie - łagodnie rzekła Minnie, umyślnie hałasując naczyniami dla odwrócenia uwagi siostry. - Nie zechce.

Minęło kilka lat, odkąd Minnie ostatni raz widziała siostrę. Lata te zmieniły jej charakter. Z natury nieśmiała, zwłaszcza gdy pozbawiona była wpływów lub środków, miała tak silny pociąg do rozrywek, iż pod tym jednym względem zdradzała upór. Gdy w innych sprawach gotowa była do ustępstw, tu bronila swego stanowiska.

- Poproś go! - mówiła przymilnie.

Minnie rozmyślała, jaką pomocą będzie dla nich zarobek Carrie. Opłaci komorne i ułatwi rozmowę z mężem o pieniądzach na inne wydatki. Ale jeżeli Carrie od początku będzie myślała o zabawie? Minnie przewidywała nieporozumienia. Jeżeli Carrie nie pojmie całej powagi swego zadania i nie weźmie się porządnie do pracy, na co zdał się jej przyjazd do miasta? Nie były to myśli natury zimnej, wyrachowanej. Były to raczej poważne refleksje umysłu, który niezmiennie, bez skarg podporządkowywał się temu, czego wymagały okoliczności.

Wreszcie ustąpiła tyle, że poszła zapytać Hansona. Czyniła to jednak bez najmniejszej ochoty.

- Carrie namawia nas na teatr - powiedziała patrząc na męża. Hanson podniósł oczy znad gazety. Wymienili spojrzenia, które wyraźnie mówiły: - Nie spodziewaliśmy się tego po niej...

- Nie mam ochoty - rzekł. - A na co Carrie chciałaby iść?
- Do „R. H. Jacobs”.

Pochylił się nad gazetą i odmownie potrząsnął głową.

Kiedy Carrie przekonała się, jak przyjęto jej projekt, zrozumiała lepiej, czego ma oczekiwać po trybie życia tych ludzi. Rzuciło to na nią cień smutku, nie wywołało jednak jawnego sprzeciwu.

- Chyba zejść na dół i postoję przed schodami - powiedziała po chwili.

Minnie nie sprzeciwiała się, więc Carrie włożyła kapelusz i zeszła.

- Dokąd poszła Carrie? - zapytał Hanson. Słyszając, że drzwi zamknięto, wszedł do jadalni.

- Powiedziała, że postoi przed schodami - odrzekła Minnie. - Sądzę, że chce popatrzeć na ulicę.

- Nie powinna była myśleć o wydawaniu pieniędzy na teatry, prawda? - zapytał Hanson.

- To przez ciekawość - broniła Minnie. - Wszystko jest dla niej takie nowe.

- Nie wiem... może - rzekł Hanson i zwrócił się do dziecka. Czoło miał zmarszczone.

Rozmyślał nad oceanem próżności i lekkomyślności, w jaki zanurzyć się jest zdolna młoda dziewczyna. Dziwił się, że Carrie może chcieć czegoś podobnego, mając tak mało do wydania.

W sobotę Carrie wyszła sama; najpierw w stronę rzeki, która ją pociągała, potem z powrotem ulicą Jackson, otoczoną domami i trawnikami, dzięki czemu w przyszłości zamieniono ją na bulwar. Uderzył ją widok bogactw, aczkolwiek prawdopodobnie ani jedna osoba widziana na ulicy nie przedstawiała sobą wartości ponad sto tysięcy dolarów. Cieszyła się, że wyszła z mieszkania, pojęła bowiem, że jest to miejsce smutne i monotonne i że wesołości i rozrywki szukać należy gdzie indziej. Myśli jej nabrały większej swobody. Poczęła snuć przypuszczenia, gdzie może być Drouet? Nie była pewna, czy jednak nie zgłosi się w poniedziałek wieczorem, i chociaż możliwość ta krępowała ją trochę, czuła cień pragnienia, żeby jednak to zrobił.

W poniedziałek wstała wcześniej i przygotowała się do pójścia do pracy. Ubrała się w znoszoną bluzkę ze spłowiałego granatowego perkalu, w spódniczkę z lekkiej wełny i mały słomkowy kapelusz, który przez całe lato nosiła w Columbia City. Trzewiki jej były stare, krawat zmiętoszony i wygnieciony skutkiem długiego noszenia. Wyglądałaby w tym stroju jak przeciętna panna sklepowa, gdyby nie rysy twarzy, które nie były pospolite i czyniły z

niej zjawisko słodkie, miłe i delikatne.

Niełatwa to rzecz wstać o świcie, kiedy przywykło się spać do siódmej i ósmej jak Carrie w domu. Domyśliła się, jakie jest życie Hansonów, gdy na wpół śpiąc zajrzała do jadalni o szóstej. Hanson kończył w milczeniu śniadanie. Nim się ubrała, wyszedł. Wtedy zaszli do śniadania, ona, Minnie i dziecko, dość już duże, żeby móc siedzieć przy stole i roztrącać talerze łyżką. Odwaga opuściła Carrie, gdy stanęła wobec faktu wstąpienia na drogę poważnych i nowych obowiązków. Z marzeń jej pozostały tylko popioły - ale popioły te nie mogły stłumić tlejących iskier nadziei. Ogarnęło ją tak wielkie przygnębienie i takie zdenerwowanie, że jadła w milczeniu, starając się odgadnąć, jaka jest ta fabryka trzewików, praca, zachowanie towarzyszek. Przeczowała niejasno, że zetknie się z wielkimi właścicielami, że pracować będzie tam, dokąd zaglądają poważni, szykownie ubrani panowie.

- No, niech ci się poszczęści - powiedziała Minnie, kiedy Carrie gotowała się do wyjścia. Zgodziły się, że lepiej będzie chodzić piechotą, przynajmniej tego rana, żeby się przekonać, czy może to robić codziennie; sześćdziesiąt centów tygodniowo na tramwaje stanowiło w warunkach Carrie poważną pozycję.

- Opowiem ci wieczorem, jak było - powiedziała Carrie.

Znalazłszy się na rozświetlonej ulicy, mijając tłumy robotników, tramwaje konne z dzwoneczkami wiozące drobnych urzędników i dziewczęta do domów towarowych, mężczyzn i kobiety wychodzących z każdych drzwi i dążących szybkim krokiem - Carrie czuła, że odzyskuje odwagę. W słoneczny poranek, pod sklepieniem błękitnego, pogodnego nieba, pod świeżym tchnieniem wiatru - jakież obawy prócz tych najczarniejszych mogą się ostać?! W nocy lub w mroku ciemnego pokoju obawy i nieufność wzrastają szybko. Ale w blaskach słońca nawet strach przed śmiercią pierzcha.

Carrie szła prosto przed siebie, minęła rzekę i skręciła w Piątą ulicę. Ulica w tym miejscu podobna była do skalistego kanionu o ścianach z brunatnego kamienia i czerwonych cegieł. Wielkie okna błyszczące były i czyste. Tramwaje częściej tu przebiegały. Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta poruszali się we wszystkich kierunkach. Spotykała rówieśnice, patrzące na nią jakby z pogardą za jej brak wiary w siebie. Zdumiewała ją wspaniałość owego życia, konieczność znajomości tak wielu rzeczy, żeby znaczyć w nim cośkolwiek. Ogarnął ją strach przed własną niezaradnością. Nie potrafi, nie będzie umiała nadażyć. Czyż nie odmawiano jej wszędzie dlatego, że nie umie tego lub owego? Będą się

na nią gniewać, irytować, wypędzą ją sromotnie.

Nogi się pod nią ugiwały i czuła ścisnięcie w gardle, gdy doszła do fabryki obuwia Adamsa przy Piątej ulicy i stanęła w windzie. Wsiadłszy na piątym piętrze nie spotkała nikogo. Po obu stronach wznosiły się aż pod sufit pudełka. Stała przerażona, czekając, aż ktoś nadejdzie.

Nagle zjawił się pan Brown. Zdawał się jej nie poznawać.

- Czego pani sobie życzy? - zapytał.

Serce w Carrie zamarło.

- Pan kazał mi się dowiedzieć dzisiaj o robotę...

- O! - przerwał. - Nazwisko pani? Hm...

- Carrie Meeber.

- A, tak - powiedział. - Proszę za mną.

Prowadził ją ciemnymi pasażami, między ścianami pudeł pachnących nowymi trzewikami, aż doszli do żelaznych drzwi, które prowadziły do właściwej fabryki. Była to wielka, niska izba, pełna huczących, turkoczących maszyn, przy których pracowali mężczyźni w białych koszulach i wełnianych fartuchach. Szła za nim posłusznie między szeregami turkoczących automatów, patrząc przed siebie, lekko zarumieniona. Doszedłszy do kąta w głębi, wsiedli do windy, która ich zawiozła na szóste piętro. Z szeregu ludzi schylonych nad maszynami pan Brown wywołał jednego.

- To ta dziewczyna - po czym zwrócił się do Carrie: - Proszę iść za nim. - Wyszedł, a Carrie pospieszyła za swoim nowym zwierzchnikiem do stolika w kącie stanowiącym rodzaj biura.

- Nie pracowaliście nigdy w czymś takim, prawda? - zapytał prawie surowo.

- Nie, sir - odpowiedziała.

Zdawał się niezadowolony, że mu wyznaczono taką robotnicę, ale wpisał jej nazwisko i poprowadził wzdłuż szeregu dziewcząt, siedzących za pracującymi maszynami. Położył rękę na ramieniu dziewczyny, która za pomocą odpowiedniej maszyny wybijała dziurki w jednej połowie cholewki.

- Pokażcie tej dziewczynie, jak się to robi - rzekł. - A potem przyjdźcie do mnie.

Robotnica, do której się zwrócił, powstała pospiesznie i ustąpiła Carrie swojego miejsca.

- To nietrudno - rzekła pochylając się. - Bierzesz cholewkę w ten sposób, przyciskasz listwą i puszczasz w ruch maszynę.

Słowom jej towarzyszył czyn. Wzięła kawał skóry, mający prawdopodobnie utworzyć cholewkę męskiego trzewika, przycisnęła ją odpowiednią listewką i puściła w ruch kółko stalowe, umocowane z boku. Maszyna natychmiast zaczęła wycinać w cholewce drobne otworki, mające służyć do przewlekania sznurowadła. Dziewczyna, kazawszy Carrie przyglądać się czas jakiś, pozwoliła jej wreszcie spróbować. Widząc, że daje sobie radę, odeszła.

Kawałki skóry napływały od dziewczyny siedzącej po prawej stronie maszyny i przechodziły do robotnicy po stronie lewej. Carrie pojęła natychmiast, że praca ta wymaga wielkiego pośpiechu, inaczej towarzyski jej będą musiały czekać i robota się opóźni. Nie miała czasu na rozglądanie się i pilnie pochyliła się nad maszyną. Dziewczyny po prawej i lewej ręce rozumiały stan i uczucia Carrie i poniekąd starały się jej ulżyć, o ile, oczywiście, odważyły się pracować wolniej.

Tak pracowała jakiś czas, znajdując dla swoich nerwowych obaw i wyobrażeń ulgę w monotonnym, jednostajnym ruchu maszyny. W miarę jak płynęły minuty, zorientowała się, że w izbie było dość ciemno. Pachniało świeżymi skórami, ale to nie sprawiało jej przykrości. Czowała na sobie oczy innych robotnic i drżała, czy aby nie pracuje za wolno.

W pewnej chwili, gdy starała się naprostować listwę, gdyż krzywo założyła skórę, mignął jej przed oczyma cień wielkiej ręki. Ręka ta naprostowała listwę. Był to majster. Serce biło jej tak mocno, że z trudem podjęła pracę.

- Puszczając w ruch maszynę - rzekł. - Puszczając w ruch maszynę. Nie zatrzymywać innych.

To wróciło jej przytomność. Szybko zabrała się do roboty, oddychając z trudem, dopóki cień stojący za nią nie zniknął. Westchnęła z ulgą.

W miarę jak posuwał się ranek, w pokoju stawało się goręcej. Czowała potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem i napicia się wody, ale nie śmiała tego zrobić. Krzesło, na którym siedziała, nie miało oparcia ani podnóżka. Zaczęło jej być niewygodnie. Po chwili rozboleły ją plecy. Próbowwała zmienić pozycję, kręciła się, ale to niewiele pomogło. Ogarnęło ją znużenie.

- Wstań. Dlaczego nie wstaniesz? - zapytała dziewczyna po prawej ręce bez żadnych wstępów. - Nikt nie będzie miał o to pretensji.

Carrie spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Chyba spróbuję - rzekła.

Wstała i czas jakiś pracowała w ten sposób, ale pozycja stojąca okazała się jeszcze bardziej niedogodna. Plecy i ramiona bolały od ciągłego pochylania się.

Nastrój panujący w izbie działał na nią przygnębiająco. Nie śmiała się obejrzeć, ale spoza chrzęstu maszyny do uszu jej dolatywały urywki rozmów.

- Widziałas wczoraj wieczorem Henryka? - zapytała dziewczyna po lewej stronie swoją sąsiadkę.

- Nie.

- Szkoda, żeś nie widziała, jaki miał krawat. Powiadam ci: elegant!

- Tss - tamta pochyliła się nad maszyną. Pierwsza zamilkła natychmiast i twarz jej spoważniała. Majster przechodził wolnym krokiem, badawczo przyglądając się każdej robotnicy. Gdy tylko odszedł, podjęto rozmowę.

- Słuchaj - mówiła dziewczyna po lewej stronie Carrie - wiesz, co on powiedział?

- Nie.

- Mówił, że widział nas wieczorem z Edwardem Harrisem u Martina.

- Nie! - parsknęły śmiechem.

Młodzieniec o jasnej czuprynie, stanowczo domagającej się ostrzyżenia, przecisnął się między maszynami, oparłszy na brzuchu kosz ze skrawkami skóry. Znalazłszy się tuż obok Carrie wyciągnął prawe ramię i schwycił za łokieć jedną z dziewcząt.

- Zostaw! - zawołała gniewnie. - Okpisz!

Uśmiechnął się szeroko za całą odpowiedź.

- Wskrobek! - zawołał, gdy się za nim obejrzała. Nie było w nim nic rycerskiego.

Carrie z trudem tylko mogła usiedzieć. Nogi ją bolały. Pragnęła rozprostować się. Czy południe nigdy nie nadejdzie?! Zdawało się Carrie, że pracuje cały dzień. Nie była wcale głodna, tylko osłabiona i oczy ją bolały, gdyż musiała patrzeć ciągle w jeden punkt, gdzie maszyna wybijała dziurki. Dziewczyna po prawej ręce wyczuła cierpienie Carrie i współczuła z nią. Za bardzo się przejmuje - to, co robi, nie wymaga takiego natężenia fizycznego ani nerwowego. Nic jednak nie można było na to poradzić. Połówki cholewek wciąż napływały. Ręce bolały ją w przegubach, potem rozboleły ją palce, w końcu miała wrażenie, że jest garścią zmęczonych, obolałych mięśni, zmuszonych na wieki do tej samej pozycji i wy-

konujących ten sam mechaniczny ruch, który był coraz bardziej, aż do mdłości, nienawistny. Gdy tak myślała, czy to się kiedykolwiek skończy, rozległ się wielki dzwon od strony windy. Koniec. W izbie zawrzało. Wszystkie dziewczęta w jednej chwili zerwały się z krzesel i pobiegły do sąsiedniego pokoju. Z oddziału po prawej stronie wychodzili mężczyźni. Turkot kół cichł, aż przeszedł w łagodne brzęczenie. Zaległa wymowna cisza, w której każdy głos dźwięczał dziwnie.

Carrie podniosła się i poszła po swoje śniadanie. Była jak zeszywniała, oszołomiona, chciało się jej pić. Idąc do małego przepierzenia z desek, gdzie przechowywano śniadania i okrycia, natknęła się na majstra.

- Jakże tam idzie? - zapytał. - Dajecie sobie radę?
- Zdaje mi się, że tak - odpowiedziała pokornie.
- Hm... - odrzekł, nie znajdując nic lepszego, i odszedł.

W lepszych warunkach praca ta nie byłaby tak uciążliwa; ale nowy socjalizm, domagający się lepszych warunków pracy dla robotników, nie miał jeszcze naówczas dostępu do zakładów przemysłowych.

Izba przesiąknięta była odorem oleju i świeżych skór - kombinacja, w połączeniu ze stęchlizną panującą w budynku, niemiła nawet podczas zimna. Podłoga, aczkolwiek skrapiana wodą co wieczór, miała wygląd opłakany. Nie zrobiono nic dla wygody pracowników, panował bowiem pogląd, że można coś zyskać, dając robotnikowi jak najmniej i czyniąc jego pracę jak można najtrudniejszą i najmniej płatną. Nikomu do głowy nie przyszło to, co znamy obecnie jako obracalne krzesła, podnóżki, jadalnie dla dziewcząt, czyste fartuchy i za darmo żelazko do fryzowania. Umywalnie były to ubikacje nieprzyjemne, zaniedbane, jeżeli nawet nie plugawe; atmosfera w całej fabryce ponura.

Wypiwszy pełny kubek wody, którą zaczerpnęła z wiadra stojącego w rogu, Carrie obejrzała się, gdzie mogłaby usiąść i zjeść spokojnie. Towarzyszki jej porozsiadały się na parapetach okien albo ławkach, zwolnionych przez kolegów, którzy już wyszli. Wszędzie siedziały gromadki dziewcząt. Zbyt nieśmiała, żeby się im przedstawić, Carrie wróciła do maszyny i usiadłszy na krześle wyjęła zawiniątko ze śniadaniem. Słuchała rozmów i uwag dokoła siebie. Były przeważnie głupie i najeżone żargonowymi wyrażeniami. Niektórzy z mężczyzn obecnych w izbie prawili komplementy dziewczętom siedzącym w długich szeregach.

- Słuchaj, Kitty - zawołał jeden do dziewczyny, która wykonywała pas walca na maleńkiej przestrzeni pod oknem - pójdziesz ze mną na bal?

- Uważaj, Kitty - wołał drugi - osmalisz sobie włosy na karku!

- Głupiec! - brzmiała jej odpowiedź.

Słuchając tej gadaniny dziewcząt i chłopaków, Carrie instynktownie zamknęła się w sobie. Nie przywykła do tego. Czuła, że jest w tym coś ordynarnego, niskiego. Bała się, że któryś z chłopaków zwróci się do niej - chłopcy ci w porównaniu z Drouetem wydawali się nieobcy i śmieszni. Jak większość kobiet klasyfikowała ludzi według sukien, ubierając w szacunek, dobroć i dystynkcję sukienne garnitury, a obdarzając mniej pięknych cechami niegodnych uwagi - tych w owijkach i dżemprach.

Była szczęśliwa, gdy krótkie pół godziny minęło i koła na nowo zaczęły warczeć. Będzie się męczyła, ale to ją zabezpieczy od zaczepek. Iluzja pierzchła, gdy jeden z przechodzących koło niej chłopców bezceremonialnie stuknął ją palcem pod żebro. Odwróciła się z oczami pałającymi oburzeniem, ale on już odszedł i odwrócił się tylko po to, żeby się do niej uśmiechnąć. Z trudem opanowała płacz.

Dziewczyna siedząca obok Carrie zauważyła to:

- Nie przejmuj się - rzekła. - To smarkacz.

Carrie nic nie odpowiedziała, ale pochyliła się nad robotą. Czuła, że nie wytrzyma takiego życia. Miała inne pojęcie o pracy. Przez całe popołudnie myślała o mieście tam za oknami, o wspaniałych wystawach, o tłumach na ulicach, o pięknych budynkach. Wróciły wspomnienia Columbia City i lepszych czasów. O trzeciej była przekonana, że musi być szósta. O czwartej, że zapomniano nakręcić zegar, że każą im pracować bez końca. Majster stał się w jej oczach ludożercą, który kręci się opodal tylko po to, żeby na wieki trzymać je przy tym warsztacie. Urywki zasłyszanych rozmów przekonały Carrie wyraźnie, że nie ma najmniejszej ochoty przyjaźnić się z tymi dziewczętami. Kiedy wybiła szósta, wybiegła pospiesznie, z rękami obolałymi, z nogami zeszywniałymi od długiego siedzenia.

Gdy przechodziła przez długą sień w kapeluszu, młody robotnik pociągnięty jej urodą ośmielił się ją zaczepić.

- Słuchaj, Maggie - zawołał - poczekaj, to wyjdziemy razem!

Było to rzucone w jej kierunku tak niedwuznacznie, że wiedziała, do kogo mówi, ale nawet się nie obejrzała.

W zatłoczonej windzie inny młody usmolony chłopak, pragnąc zawrzeć znajomość, zajrzał jej beczelnie w twarz.

Inny znowu, który przed drzwiami czekał na swoją przyjaciółkę, uśmiechnął się na widok Carrie.

- Idziemy w jedną stronę? - zapytał wesoło.

Carrie skierowała się na zachód z ciężkim sercem. Skręcając za róg ujrzała wielką, błyszczącą szybę, a za nią stół, przy którym ją zaangażowano. Otaczał ją tłum wesoły, gwarny, ruchliwy. Czuła niejaką ulgę, ale tylko dlatego, że się wreszcie wyzwoliła. I czuła wstyd w obliczu lepiej ubranych dziewcząt. Czuła, że zasłużyła na lepszy los, i serce jej się zbuntowało.

Rozdział V

KWIAT LŚNIĄCY WŚRÓD NOCY: ILE SĄ WARTO NAZWISKA

Drouet nie odwiedził Carrie tego wieczora. Otrzymałszy list, przestał po prostu o niej myśleć. Włóczył się po mieście bawiąc się, jak on to rozumiał. Tego wieczora zjadł obiad w cieszącej się lokalną sławą restauracji „Rector”, na parterze, przy zbiegu ulic Clarka i Monroe. Potem odwiedził lokal Fitzgeralda i Moya przy ulicy Adamsa *vis à vis* imponującego Federal Building. Pochylony nad błyszczącym stołem wypił szklanekę doskonałej whisky i kupił dwa cygara, z których jedno natychmiast zapalił. W oczach Droueta było to w skrócie *high life* - piękny przykład tego, jakie to życie jest w istocie.

Drouet nie był hulaką. Nie był człowiekiem bogatym. Pożądał jednak wszystkiego, co najlepsze (w jego pojęciu), i tego rodzaju rzeczy wydawały mu się właśnie częścią owego „najlepszego”. Restauracja „Rector” z błyszczącymi marmurowymi ścianami i posadzką, z mnóstwem świateł, z piękną zastawą porcelany i sreber i przede wszystkim ze swoją reputacją lokalu, w którym zbierają się aktorzy i ludzie interesu, wydawała się Drouetowi miejscem odpowiednim dla człowieka zamożnego. Lubił wytworne ubrania, dobre jedzenie, a nade wszystko towarzystwo i znajomość ludzi bogatych. Kiedy jadł obiad, sprawiało mu prawdziwą przyjemność wiedzieć, że Józef Jeferson nadejdzie niebawem, że o parę stolików

od niego siedzi Henryk Dixie, znakomity w owych czasach aktor. W „Rectorze” zawsze mógł mieć tę satysfakcję, spotykało się tam bowiem polityków, biznesmenów, aktorów, złotą młodzież. Wszyscy oni jedli i pili w rozgwarze wesołej rozmowy.

„Ten i ten tam siedzi” - oto pospolita uwaga owych panów, zwłaszcza tych, którzy jeszcze nie osiągnęli, ale pragnęli osiągnąć wyżyny finansowe, upoważniające do zjedzenia obiadu w tej restauracji.

- Co pan mówi! - brzmiała odpowiedź.

- Jak to? Pan nie wie? Przecież to dyrektor opery.

Kiedy takie urywki rozmów obijały się o uszy Droueta, poprawiał się na krześle i jadł z większą przyjemnością. Jeżeli próżność była jego cechą, to rosła przy takich rozmowach. Jeżeli miał ambicje - rozmowy takie podniecały je. I on będzie kiedyś w możliwości rzucić zwitek zielonych banknotów. Tymczasem mógł tylko jadać tam, gdzie oni.

Sympatia, jaką darzył Fitzgeralda i Moya, to jeszcze jedna sztuka z tego samego tuzina. Był to rzeczywiście wspaniały lokal w pojęciu chicagowskim. Podobnie jak restauracja „Rector” tonął w powodzi świateł spływających z pięknych kandelabrow. Posadzki wyłożone były barwnymi taflami, ściany tworzyły boazerie z pięknego, politurowanego drzewa, które odbijało światła, i barwnych stiuków, nadających temu lokalowi wygląd iście wspaniały. Długi bar błyszczał światłem, politurowanym drzewem, rżniętym i kolorowym szkłem, mnóstwem fantastycznych flaszek. Był to naprawdę wspaniały lokal z bogatymi draperiami, wymyślnymi trunkami, z przysmakami, jakimi nie mógł się poszczycić żaden inny.

W „Rectorze” Drouet zawarł znajomość z niejakim panem Hurstwoodem, dyrektorem „Fitzgerald and Moy”. Pokazano mu go jako człowieka zamożnego i znanego w mieście. Hurstwood wyglądał na takiego, miał pod czterdziestkę, był dobrze zbudowany i wyrobiony towarzyszko. Robił solidne, poważne wrażenie, na co składał się po części jego nieskazitelny strój, piękna bielizna, klejnoty i nade wszystko poczucie ważności swojej osoby. Drouet natychmiast powziął o nim mniemanie, że to jeden z tych, których warto poznać, i nie tylko chętnie zawarł z nim znajomość, ale odwiedzał lokal przy ulicy Adamsa, ilekroć miał ochotę coś wypić lub wypalić cygaro.

Hurstwood był typem ciekawym w swoim rodzaju. Sprytny i rozumny w drobiazgach, umiał wywierać dodatnie wrażenie. Zajmował stanowisko kierownicze wielkiej wagi - był

niejako stewardem. Funkcja imponująca, bez dostępu jednak do spraw finansowych. Zawdzięczał ją wytrwałości i pracy wieloletniej: z barmana w zwykłym lokalu stał się tym, czym był teraz. Posiadał niewielki gabinet z meblami z drzewa wiśniowego, gdzie w obracalnym biurku chował nieskomplikowane rachunki - zamówienia i zapotrzebowania. Główne funkcje wykonawcze i finansowe spoczywały w rękach właścicieli, panów Fitzgeralda i Moya, oraz kasjera, do którego należała kontrola wpływów.

Przechadzał się poważnie, ubrany w doskonale skrojony garnitur z importowanego sukna, w kamizelkę ostatniej mody, z której zwieszał się złoty łańcuszek od zegarka, pięknie cyzelowany (zegarek był najnowszego modelu). Na palcu miał jeden jedyny pierścionek, w krawacie szpilkę z niebieskim diamentem. Znał z nazwisk i witał jowialnym: „Jak się masz, stary!” setki aktorów, polityków, kupców i innych znakomitości w mieście. Że mógł to robić, stanowiło część jego powodzenia. Umiał subtelnie cieniować stopnie swojej przyjaźni i bezceremonialności od: „Witam pana!”, skierowanego do urzędnika zarabiającego piętnaście dolarów tygodniowo, a który przez częste bywanie w lokalu orientował się w jego pozycji, do: „Jak się masz, stary?”, jakim witał notablów i bogaczy, którzy znali go osobiście i godzili się na jego przyjaźń. Była jednak klasa ludzi zbyt bogatych, zbyt sławnych albo ustosunkowanych, względem których nie mógł sobie pozwolić na żadną poufność. W stosunku do nich zachowywał się tak, aby zapewniwszy sobie ich życzliwość, nie uwłaczać swojej postawie i godności. Byli wreszcie ludzie ani biedni, ani bogaci, już sławni, ale jeszcze nie wzięci, z którymi żył na stopie koleżeńskiej. Ludzie, z którymi najdłużej i najpoważniej rozmawiał. Lubił bywać i zabawić się od czasu do czasu, lubił wyścigi, teatr, zawody sportowe niektórych klubów. Trzymał konia i powozik. Miał żonę i dwoje dzieci, którym żyło się doskonale w pięknym domu w dzielnicy Północnej w pobliżu Parku Lincoln. Jednym słowem, był zupełnie znośnym typem licznej w naszej Ameryce klasy, o jeden stopień poniżej ludzi rzeczywiście bogatych.

Hurstwood lubił Droueta. Podobał mu się jego niefrasobliwy humor i miła powierzchowność. Wiedział, że Drouet jest tylko komiwojażerem, i to od kilku lat zaledwie, ale firma „Barlett, Caryoe and Company” był to poważny i bogaty handlowy dom, a Droueta tam ceniono. Hurstwood znał dobrze pana Caryoe'a, gdyż od czasu do czasu zdarzało mu się z nim pić w towarzystwie innych panów, kiedy rozmowa była ogólna. Drouet posiadał dar bardzo cenny w jego zawodzie - poczucie humoru, i potrafił opowiedzieć anegdotę, gdy za-

szała potrzeba. Umiał mówić z Hurstwoodem o wyścigach, umiał mówić interesująco o sobie i swoich doświadczeniach z kobietami, o handlu w miastach, które objeżdżał, jednym słowem, był zawsze miłym towarzyszem. Tego wieczoru był w wyjątkowo dobrym usposobieniu: firma przyjęła przychylnie jego sprawozdanie, wybrał już odpowiednie wzory i miał wytknięty cel podróży na następnych sześć tygodni.

- Jak się masz, stary! - zawołał Hurstwood, gdy Drouet wszedł około ósmej. - Jak ci idzie, Charley? - Lokal był tego dnia natłoczony.

Drouet uścisnął mu dłoń, uśmiechnął się przyjaźnie, podeszli do baru.

- Doskonale!

- Nie widziałem cię sześć tygodni. Gdzieżeś się podziewał? Kiedyś przyjechał?

- W piątek - rzekł Drouet. - Miałem doskonałą podróż.

- Bardzo się cieszę! - powiedział Hurstwood, przy czym w spojrzeniu jego zapaliły się ciepłe błyski, prawie gasząc zwykły obojętny wyraz jego oczu. - Czego się napijesz? - dodał, gdy barman w śnieżnej marynarce i takimż krawacie pochylił się ku nim zza baru.

- *Old Pepper* - powiedział Drouet.

- Proszę tego samego i dla mnie - rzekł Hurstwood. - Jak długo myślisz zabawić w mieście?

- Tylko do czwartku. Jadę do St. Paul.

- George Evans był tu w sobotę i mówił, że cię spotkał w Milwaukee w zeszłym tygodniu.

- Tak, widziałem George'a - rzekł Drouet. - Dzielny chłop, prawda? Pysznieśmy się zabawili.

Barman postawił przed nimi szklanki i butelkę. Przyrządzali sobie trunek rozmawiając. Drouet napełnił szklankę do dwóch trzecich - według przepisu, Hurstwood natomiast nalał tylko kilka kropli whisky i rozcieńczył ją wodą sodową.

- Co się dzieje z Caryoe'em? - zapytał. - Nie widziałem go już kawał czasu.

- Leży podobno. Mówią, że to stary podagryk.

- Ale w swoim czasie zrobił ładne pieniądze, co?

- Tak, mnóstwo! - odpowiedział Drouet. - Ale nie pożyje długo. Teraz Barley przychodzi do biura.

- Ma jednego syna, prawda?

- Tak, ten szybko puszcza!

- Sądzę, że biznes na tym nie ucierpi... Zostaną przecież inni współwłaściciele!

- Nie, wielkiej krzywdy nie można zrobić!

Hurstwood stał, odchyliwszy poły żakietu, z rękami w kieszeniach, z klejnotami połyskującymi na palcach. Był obrazem wymyślnego komfortu.

Człowiekowi nie lubiącemu pić i obdarzonemu nieco głębszym umysłem, ten gwarny, tonący w powodzi światła, błyszczący lokal musi się wydawać czymś nierealnym, dziwnym komentarzem na marginesie życia i natury. Jak ómy do światła zlatywali się tu tłumnie ludzie. Rozmowy, które się tu słyszy, niewysokie dają pojęcie o intelektualnym poziomie bywalców. Widać na pierwszy rzut oka, że kombinatorzy inne wybierali lokale dla opracowywania swoich planów, że politycy spotykali się tutaj dla omówienia spraw czysto formalnych (ludzie, obdarzeni dobrym słuchem, łatwo mogliby coś pochwycić). Niepodobna usprawiedliwić istnienia takich lokali potrzebą napicia się, gdyż większość tych, którzy je odwiedzali, nie miała wyraźnego pociągu do alkoholu. A jednak musi się znaleźć jakieś wytłumaczenie faktu, że ludzie się tu zbierają, tu gadają, tu lubią przebywać i rozpychać się łokciami. Tego rodzaju instytucje społeczne musiały powstać przez dziwne skojarzenie ludzkich namiętności i podświadomych pragnień - inaczej by nie istniały.

Droueta jak innych pociągała chęć zabawy i chęć przebywania z lepszymi od siebie. Przyjaciele, których tu spotykał, zachodzili do lokalu może dlatego, że podświadomie szukali towarzystwa, blasku, atmosfery, jaka tu panowała. Można patrzeć na to zjawisko jako na zapowiedź lepszych czasów, lepszego porządku społecznego, gdyż rzeczy, które tu ludzi przyciągały, aczkolwiek zmysłowe, nie były złe. Żadne zło nie może grozić z kontemplacji wspaniale udekorowanej sali. Jedynym może złem było to, że rzecz taka budzi w materialistach ambicję urządzenia sobie życia z równym komfortem. W tym ostatnim wypadku winić należy nie dekoracje, ale wrodzony pociąg owych ludzi. Że takie lokale mogą wzbudzić w człowieku gorzej ubranym chęć dorównania człowiekowi ubranemu lepiej, z trudem można złożyć na karb czegokolwiek innego prócz ambicji, właściwej pewnemu typowi ludzi. Usuńcie czynnik, który budzi tyle zastrzeżeń i skarg - alkohol - a nie znajdzie się nikt, kto wypowiedziałby się przeciwko pięknu i wesołości, które zostaną. Życzliwość, z jaką patrzymy na nasze modne restauracje, jest najlepszym tego dowodem.

A jednak pozostaje fakt - zalany potokami światła pokój, wytworne stroje, towarzy-

stwo, małostkowa, egoistyczna gadanina; zdezorganizowany, bezcelowy, bezplanowy sposób myślenia, którego ta gadanina jest wyrazem, zamiłowanie do światła, wykwintu, bogactwa, które człowiekowi stojącemu z zewnątrz, w obliczu odwiecznych gwiazd wydać się musi czymś dziwnym, powierzchownym. W obliczu gwiazd i świeżego powiewu nocy jest sztucznym kwiatem, lampą, dziwnym, błyszczącym kwiatem nocy, wonną, przyciągającą i usypiającą owady różą rozkoszy.

- Widzisz tego jegomościa? - zapytał Hurstwood, przyglądając się gościowi w cylindrze i płaszczu „książę Albert”, z czerwonymi błyszczącymi policzkami człowieka dobrze odżywionego.

- Gdzie?

- Tam - wskazał ruchem oka Hurstwood. - Ten w cylindrze.

- A, tak! - powiedział Drouet udając, że nie patrzy. - Kto to?

- Jules Wallace, spirytysta. Drouet przyjrzał mu się zaciekawiony.

- Nie wygląda na człowieka, który widuje duchy, co?

- Nie wiem - odrzekł Hurstwood. - Ale to pewne, że robi na tym pieniądze! - oczy mu błysnęły.

- Nie obchodzą mnie te rzeczy, a ciebie?

- Widzisz, nigdy nie można powiedzieć - rzekł Hurstwood. - Musi w tym coś być. Chociaż nie powiem, żebym sobie tym zaprzętał głowę. Ale, ale - dodał - co robisz z dzisiejszym wieczorem?

- Idę na „Dziurę w ziemi” - wymienił Drouet głośną w owym czasie sztukę.

- To idź. Dochodzi ósma - wyjął zegarek.

Tłum rzednął. Jedni szli do teatru, inni do klubów, innym wreszcie spieszo było do najrozkoszniejszej z zabaw - w każdym razie dla ludzi ich typu - do kobiet.

- Tak, czas na mnie.

- Przyjdź po teatrze. Chciałbym ci coś pokazać.

- Doskonale! - ucieszył się Drouet.

- Nie masz planów na dzisiaj, prawda?

- Nie.

- Więc zajdź koniecznie.

- Jadąc we czwartek spotkałem w pociągu dziewczynkę... cukierek! - rzucił Drouet,

żegnając się z Hurstwoodem. - Muszę koniecznie ją odszukać, zanim wyjadę.

- Nie zaprzętałbyś sobie głowy! - powiedział Hurstwood.

- Kiedy mówię ci, szyk - rzucił Drouet, chcąc zaimponować przyjacielowi.

- Więc o dwunastej - powiedział Hurstwood.

- Stoi - rzekł Drouet.

Tak padło imię Carrie w tym najweselszym i najfrywolniejszym z miejsc, i to właśnie wtedy, gdy mała wyrobnica użalała się nad swoją nędzą, nieodłączną od pierwszego stadium jej przeznaczenia.

Rozdział VI

DZIEWCZĘ I MASZYNA: NOWOCZESNY RYCERZ

Tego wieczora Carrie wyczuła nową fazę atmosfery mieszkania Hansonów. Fakt, że pozostała niezmienna, gdy jej, Carrie, uczucia tak były inne, pouczył ją najlepiej, jaki miała charakter. Minnie po tym, co siostra powiedziała poprzednio, spodziewała się najlepszej relacji. Hanson sądził, że Carrie będzie zadowolona.

- No - zapytał, wchodząc z hallu w ubraniu roboczym i zaglądając przez drzwi do jadalni - jak ci poszło?

- O - powiedziała Carrie - zmęczyłam się. Nie podoba mi się ta praca.

Było w niej coś, co mówiło wyraźniej niż słowa, że jest znużona i rozczarowana.

- Jakiego rodzaju dali ci robotę? - rzekł, ociągając się chwilę przed pójściem do łazienki.

- Przy maszynie.

Jasne było, że to wszystko obchodzi go tylko o tyle, o ile ma przynieść korzyść domowi. Był trochę zirytowany, ponieważ nie było napisane w księdze przeznaczeń, że Carrie będzie zadowolona.

Minnie pracowała z mniejszym zapałem, odkąd Carrie wróciła. Potrawy skwierczały mniej przyjemnie teraz, kiedy Carrie wyraziła swoje niezadowolenie. Dla Carrie jedyną pociechą w strapieniu całego dnia mógł być miły dom, życzliwe przyjęcie, smaczna wieczerza,

ktoś, kto by powiedział: „Bądź odrobinę cierpliwa. Znajdziesz coś lepszego!” Ale nic podobnego jej nie spotkało. Zaczynała rozumieć, że uważają jej skargi za nieuzasadnione, że sądzą, iż powinna pracować i nic nie mówić. Wiedziała, że ma płacić cztery dolary za pokój i utrzymanie. Czuła, że to będzie strasznie ponure życie z tymi ludźmi.

Minnie nie była towarzyszką dla siostry, była za stara. Myśli Minnie stosowały się ściśle do warunków, w jakich żyła. Jeżeli Hanson miał jakieś przyjemne myśli, to je ukrywał. Zdawał się dokonywać wszystkich swoich myślowych operacji bez udziału gestów fizycznych. Był milczący jak opuszczony pokój. Carrie przeciwnie, miała krew młodą i nieco wyobraźni. Miłość i zaloty - były to dla niej tajemnice przyszłości. Potrafiła myśleć o rzeczach, które lubiłaby robić, o sukniach, które lubiłaby nosić; o tym, gdzie chciałaby być. Oto rzeczy zaprzatające myśli Carrie. Nie znajdowała nikogo, kto by ją zrozumiał, i odczuwała to jako nieustanną opozycję przeciwko sobie.

Opowiadając przebieg dnia, zapomniała o zapowiadanych odwiedzinach Droueta. Teraz, gdy się przekonała, jak niegościnni są ci ludzie, wołała, żeby nie przychodził. Nie wiedziała, co powie, jak się wytłumaczy, jeżeli Drouet jednak przyjdzie. Po kolacji przebrała się. Ubrana starannie wydawała się przemiłą istotką z wielkimi oczami i smutnym uśmiechem. Twarz jej wyrażała wszystkie jej uczucia: oczekiwanie, niezadowolenie, przygnębienie. Pozmywawszy naczynia przeszła się kilka razy po pokoju, próbowała rozmawiać z Minnie, wreszcie postanowiła pójść i postać pod schodami. Jeżeli Drouet nadejdzie, spotka się z nim tam. Na twarzy jej odbił się jakby cień radości, gdy kładła kapelusz.

- Zdaje mi się, że Carrie nie jest zadowolona z pracy - powiedziała Minnie do męża, gdy ten w chwilę później wszedł z gazetą do jadalni.

- Powinna jednak czas jakiś tam pozostać - rzekł. - Czy poszła na dół?

- Tak.

- Gdybym był tobą, poradziłbym jej, żeby się trzymała posady... tygodnie mogą upłynąć, zanim znajdzie inną.

Minnie przytaknęła.

- Gdybym był tobą - zaczął po chwili - zabroniłbym jej wystawać pod schodami... To nie wygląda przyzwoicie.

- Powiem jej - rzekła Minnie.

Życie ulicy przez dłuższy czas interesowało Carrie. Nigdy nie miała dość zastanawia-

nia się nad tym, dokąd ci wszyscy ludzie dążą, jak się bawią. Wyobraźnia Carrie obracała się w bardzo ciasnym kole, ograniczając się wyłącznie do strojów, pieniędzy, wyglądu, zabawy. Chwilami odżywały wspomnienia o Columbia City, od czasu do czasu wracała myślą do doświadczeń dzisiejszego dnia, ale na ogół mały świątek otaczający Carrie przykuwał do siebie w zupełności jej uwagę.

Pierwsze piętro domu, w którym Hansonowie wynajmowali piętro trzecie, zajmowała piekarnia. Do tej piekarni, gdy Carrie stała przed drzwiami, zszedł Hanson po chleb. Spozstrzegła go dopiero w chwili, gdy stanął tuż obok.

- Przyszedłem po chleb - rzekł i minął ją.

Tu jednak okazało się, jak zaraźliwe są myśli. Hanson rzeczywiście zszedł po chleb, chociaż jednocześnie nurtowała go ciekawość, co też może robić szwagierka? Zaledwie zbliżył się do Carrie, gdy ta to odgadła. Oczywiście nie zdawała sobie sprawy, skąd przyszło jej do głowy takie przypuszczenie, ale wywołało ono w niej pierwszy odruch antypatii do Hansona. Wiedziała już, że go nie lubi. Był podejrzliwy.

Czasami jedna myśl wystarczy, aby zabarwić dla nas cały świat. Hanson przerwał bieg myśli Carrie, toteż zaledwie odszedł - i ona wróciła do mieszkania. W miarę jak upływały kwadransy, zaczęła rozumieć, że Drouet nie przyjdzie, i sama nie wiedząc dlaczego była trochę rozżalona, jak gdyby o niej zapomniano. Poszła na górę, gdzie panowała już cisza. Minnie szyla pod lampą. Hanson udał się na spoczynek. Zmęczona i rozczarowana Carrie nie znalazła nic lepszego do roboty, jak oznajmić, że i ona się położy.

- Naturalnie - powiedziała Minnie. - Musisz jutro tak wcześnie wstać.

Ranek nie był lepszy. Hanson już wychodził, kiedy Carrie stanęła w progu swego pokoju. Minnie próbowała nawiązać rozmowę podczas śniadania, ale tak mało miały wspólnych zainteresowań! Tak jak poprzedniego dnia, Carrie poszła piechotą, zaczynała bowiem pojmować, że po zapłaceniu mieszkania i utrzymania nie starczy jej już z czterech dolarów pięćdziesiąt na tramwaje. To wydało się jej losem godnym pożałowania. Ale poranne słońce rozwiało pierwsze przykrości dnia.

W fabryce przeżyła długi dzień, równie męczący jak poprzedni, tylko mniej nowy. Starszy majster, obchodząc warsztaty, zatrzymał się przed nią.

- W jaki sposób dostaliście się do nas? - zapytał.

- Pan Brown mnie przyjął.

- Ach, pan Brown! - powiedział i dodał: - Nie opóźniać roboty!

Koleżanki wydały się Carrie jeszcze mniej pociągające. Zdawały się zadowolone ze swego losu i pod pewnym względem trywialne. Carrie posiadała więcej od nich wyobraźni. Nie przywykła do żargonu. Miała także wrodzony lepszy smak w rzeczach dotyczących stroju. Przykrość sprawiało jej słuchanie tego, co mówiła dziewczyna po lewej ręce - widocznie jadła chleb nie z jednego pieca.

- Muszę z tym zrobić koniec - słyszała Carrie, jak się zwierzała sąsiadce. - Z tym, co oni tu płacą, i z przesiadywaniem po nocy nie dam rady. Za wiele jak na moje zdrowie.

Były swobodne z mężczyznami, młodymi czy starymi, i wymieniały z nimi wulgarne żarty, co z początku bardzo raziło Carrie. Widziała, że biorą ją za taką samą i tak samo próbują się do niej odzywać.

- Hallo! - zagadnął ją w południe wysoki chłopak „od obcasów”. - Jesteś milusia! - Spodziewał się usłyszeć zwykle „wypchaj się” i był zdumiony, że Carrie po prostu odeszła.

Tego wieczora poczuła się jeszcze bardziej samotna w ponurym mieszkaniu siostry. Nie mogła tego dłużej znieść. Domyśliła się, że Hansonowie rzadko albo nawet i wcale nie przyjmują gości. Stojąc przed drzwiami na ulicy nabrała ochoty przejść się kawałek. Jej lekki chód i wolny krok zwróciły uwagę. Naraziła się na ordynarną zaczepkę. Był to mężczyzna pod czterdziestkę, dobrze ubrany. Na widok Carrie odwrócił się, zwolnił kroku i zapytał:

- Wybraliśmy się na przechadzkę wieczorkiem, co?

Carrie spojrzała na niego zdumiona, opanowała się jednak na tyle, że zdołała wykrztusić:

- Nie znam pana - i odwróciła się plecami.

- Och, to drobnostka - powiedział tamten uprzejmie.

Nie zamieniwszy z nim więcej słowa uciekła i prawie bez tchu dopadła drzwi. Było coś w spojrzeniu tego jegomościa, co ją przeraziło.

Przez resztę tygodnia nic się nie zmieniło. Raz czy dwa poczuła się tak zmęczona, że wróciła tramwajem. Nie była silna i siedzenie ze zgiętymi plecami męczyło ją. Jednego wieczora położyła się chyba nawet wcześniej od Hansona.

Transplantacja dziewcząt i kwiatów nie zawsze się udaje. Często bowiem trzeba bogatszej gleby, lepszych warunków atmosferycznych, żeby móc utrzymać naturalny roz-

wój. Byłoby lepiej, gdyby zmiana w życiu Carrie odbyła się mniej gwałtownie, łagodnie. Uczyniłaby lepiej, nie śpiesząc się z szukaniem pracy, czekając, aż lepiej pozna miasto, które ją tak bardzo pociągało.

Pierwszego dżdżystego ranka odczuła brak parasola. Minnie pożyczyła jej swój, ale był znoszony i spłowiały. Była w Carrie pewnego rodzaju próżność, która wzdrygnęła się na ten widok. Poszła do jednego z wielkich domów towarowych i kupiła parasol, płacąc dolara i dwadzieścia pięć centów ze swoich skromnych dochodów.

- Dlaczegoś to zrobiła, Carrie? - zgorszyła się Minnie.

- Parasol był mi potrzebny.

- Ty szalona dziewczyno.

Uraziło to Carrie, chociaż nie dała tego po sobie poznać. Ani jej się śni być zwykłą wyrobnicą! Niech to sobie wybiją z głowy.

Pierwszej soboty wieczorem Carrie wpłaciła umówioną sumę czterech dolarów. Minnie miała lekkie wyrzuty sumienia, biorąc od siostry pieniądze, ale nie wiedziała, jak wytłumaczyć mężowi, gdyby wzięła mniej. Ten szlachetny człowiek z uśmiechem zadowolenia odtrącił jej cztery dolary od sumy, jaką wydzielał na wydatki domowe. Cieszył się, że będzie mógł spłacać większe raty. Co się tyczy Carrie, to ta łamała sobie głowę nad tym, w jaki sposób mogłaby się bawić i ubierać za pięćdziesiąt centów tygodniowo. Dąsała się, aż się w końcu zbuntowała.

- Pójdę się przejść - powiedziała po kolacji.

- Chyba nie sama, co? - zapytał Hanson.

- Owszem.

- Ja bym nie szła na twoim miejscu - rzekła Minnie. Z tonu, jakim wypowiedziała ostatnie słowa, pierwszy raz odgadli, że nie jest z nich zadowolona.

- Co się z nią dzieje? - zapytał Hanson, gdy poszła do pokoju frontowego po kapelusz.

- Nie wiem - odpowiedziała Minnie.

- Powinna wiedzieć, że się nie wychodzi samej - powiedział Hanson.

Ostatecznie Carrie nie poszła daleko. Wróciła i stanęła przed drzwiami. Nazajutrz poszli do parku Garfielda, ale to się nie podobało Carrie. Nie wyglądała dostatecznie elegancko. Na drugi dzień w fabryce wysłuchiwała barwnych opowieści koleżanek, jak to one się bawią. Było im wesoło. Przez kilka dni z rzędu padał deszcz i musiała jechać tramwajem. Jed-

nego dnia, biegnąc za tramwajem w stronę ulicy Van Buren, przemokła do nitki. Przez cały wieczór siedziała samotnie w oknie frontowym pokoju i patrzyła zamyślona na odbicie światła na mokrym chodniku. Wystarczało jej fantazji, żeby być przygnębioną.

W sobotę zapłaciła drugie cztery dolary i z rozpaczą schowała do kieszeni pozostałość: pięćdziesiąt centów. Z rozmów z dziewczętami, z którymi nawiązała znajomość w fabryce, Carrie wywnioskowała, że z zarobku pozostaje im stosunkowo wiele więcej na osobiste wydatki. Każda z nich miała jakiegoś chłopca (od czasu zawarcia znajomości z Drouetem brakowało go i Carrie), który fundował. Skończyło się na tym, że znienawidziła lekkomyślnych młodzieńców w fabryce. Żaden z nich nie miał cienia delikatności. Sądziła ich po tym, jacy byli w pracy.

Nadszedł dzień, kiedy dały się we znaki pierwsze podmuchy zimy. Wełniste chmury goniły po niebie, dymy wlokły się długimi smugami tuż przy ziemi, wiatr hulał na rogach ulic. Carrie stanęła wobec problemu zimowego ubrania. Co zrobi? Nie ma zimowego żakietu ani kapelusza, ani trzewików. Trudno było mówić o tym z Minnie, ale wreszcie zdobyła się na odwagę.

- Nie wiem, co zrobię z tym ubraniem - powiedziała pewnego dnia, kiedy siedziały razem. - Potrzebuję kapelusza.

Minnie spoważniała.

- Dlaczego nie zatrzymasz części pieniędzy i nie kupisz sobie kapelusza? - zapytała, z góry biadając nad sytuacją, jaką wytworzy niezapłacenie przez Carrie tygodniowej należności.

- Chciałabym tak zrobić przez tydzień lub dwa, jeżeli pozwolisz - powiedziała Carrie.

- Możesz zapłacić dwa dolary?

Carrie zgodziła się ochoczo, rada, że uniknęła przykrew sytuacji, i wesoła, że znalazła wyjście. Przede wszystkim musi mieć kapelusz. W jaki sposób Minnie wytłumaczyła się przed Hansonem, nie dowiedziała się Carrie nigdy. Nie powiedział ani słowa, ale w powietrzu unosiły się myśli, które czyniły atmosferę nie do zniesienia.

Ten nowy układ byłby niezły, gdyby nie przysłała choroba. Pewnego popołudnia po deszczu ochłodziło się raptownie. Carrie wciąż jeszcze chodziła bez żakietu. Wyszła z ciepłej fabryki o szóstej i drżała z zimna. Tego dnia łamało ją w kościach i bolała ją głowa. Z rana miała dreszcze i pójście do pracy jeszcze pogorszyło jej stan. Do wieczora czuła się

bardzo źle i wróciwszy do domu, nie chciała jeść. Minnie zauważyła jej przygnębienie i zapytała, co jej dolega?

- Nie wiem - powiedziała Carrie - ale czuję się naprawdę niedobrze. - Oparła się o piec, drżała z zimna, poszła spać chora. Na drugi dzień miała gorączkę.

Minnie była tym szczerze zmartwiona, starała się być dla siostry miła. Hanson radził wrócić na jakiś czas do domu. Kiedy po trzech dniach wstała, nie łudzono się, że ją zatrzymają na posadzie. Zima była za pasem, nie miała ciepłego ubrania, straciła pracę.

- Nie wiem - powiedziała Carrie. - Wyjdę w poniedziałek... może co znajdę.

Jeżeli to możliwe, starania jej były jeszcze gorzej wynagrodzone niż za pierwszym razem. Suknie nie nadawały się już do noszenia. Ostatnie pieniądze wydała na kapelusz. Przez trzy dni włóczyła się po mieście w ostatecznej rozpacz. Nastrój u Hansonów stał się nie do zniesienia. Z nienawiścią myślała wieczorem, że ma wrócić do domu. Hanson był taki zimny. Wiedziała, że to nie potrwa długo. Będzie musiała dać za wygraną i wrócić do rodziców.

Czwartego dnia od rana chodziła po mieście, pożyczwszy od Minnie dziesięć centów na drugie śniadanie. Zgłaszała się do najgorzej płatnych miejsc - bez powodzenia. Gotowa była nawet iść na posługaczkę do małej jadłodajni (zobaczyła ogłoszenie w oknie), ale tam poszukiwano dziewczyny z praktyką. Przeciskała się przez obcy tłum, przybita na duchu. Nagle ktoś chwycił ją pod rękę i odwrócił ku sobie.

- No, no! - zawołał. Od razu poznała Droueta. Był nie tylko rumiany, ale wprost rozpromieniony. Był uosobieniem pogody i dobrego humoru. - Co słysząc, Carrie? - zapytał. - Jak się pani miewa? Ślicznie pani wygląda. Dokąd pani szła?

Carrie uśmiechnęła się pod nieodpartym urokiem jego wesołości.

- Wyszłam z domu - powiedziała.

- Dojrzałem panią przez ulicę - mówił. - Pomyślałem, że to pewnie pani. Chciałem wstąpić do pani. Jak się pani miewa?

- Doskonale! - uśmiechnęła się znowu.

Drouet przyjrzał się jej i zobaczył coś wręcz przeciwnego.

- Chciałbym pomówić z panią. Pani idzie bez wyraźnego celu, prawda?

- Właściwie... tak - rzekła.

- Więc wejdźmy tutaj i zjedźmy cośkolwiek. Boże! Tak się cieszę, że panią spotkałem!

Czuła się tak dobrze w jego towarzystwie, tak miło jej było, że ktoś o niej myśli i o nią się troszczy, że zgodziła się chętnie, chociaż udawała wahanie.

- No - powiedział ujmując ją pod ramię. Tyle przyjaźni było w tonie, jakim to powiedział, że serce jej stajało.

Poszli przez ulicę Monroe'a do starej jadłodajni Windsora, która była w owych czasach wielką, wytworną restauracją, mającą doskonałą kuchnię i obsługę. Drouet wybrał stół pod oknem, skąd można było widzieć gwarny ruch ulicy. Lubił zmienną panoramę miasta: lubił patrzeć i żeby na niego patrzono, kiedy jadł.

- No - rzekł posadziwszy wygodnie Carrie i sam siadając - co pani każe?

Carrie patrzyła na spis potraw, który podał jej kelner, właściwie nie namyślając się nawet nad wyborem. Była bardzo głodna i rzeczy w karcie jeszcze podniecały jej apetyt, onieśmielając jednocześnie wysokością cen. Kurczę duszone *à la printannière* - siedemdziesiąt pięć. Słyszała o takich potrawach, ale wydawało się jej strasznie dziwnym zamawiać jedzenie z karty.

- Zaraz się tym zajmę - powiedział Drouet. - Duszone pomidory.

- Teek - Murzyn na znak zgody pochylił głowę.

- Smażone kartofle.

- Teek.

- Szparagi.

- Teek.

- Maszynka kawy. Drouet zwrócił się do Carrie.

- Nie miałem nic w ustach od śniadania. Przyjechałem przed chwilą z Rock Island. Właśnie szedłem na obiad, kiedy spotkałem panią.

Carrie uśmiechała się ciągle.

- Co pani robiła przez ten czas? - pytał. - Proszę mi wszystko powiedzieć o sobie. Jak się miewa siostra pani?

- Dobrze - odpowiedziała na ostatnie pytanie. Przyjrzał się jej uważnie.

- Pani była chora, prawda? Skinęła.

- Ależ to wstyd i hańba! - zawołał. - Nie wygląda pani dobrze. Wydała mi się pani trochę blada. Co pani robiła?

- Pracowałam.

- Naprawdę?! Gdzie? Wymieniła firmę.

- „Rhodes Morgentau and Scott”, ależ znam ten dom! Przy Piątej ulicy, prawda? Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością! Dlaczego pani tam poszła?

- Nic innego nie mogłam znaleźć - odpowiedziała szczerze.

- Ależ to skandal! - zawołał Drouet. - Pani nie powinna pracować dla takich ludzi! Fabryka mieści się w głębi, prawda?

- Tak.

- To nie jest solidna firma. Nie powinna pani pracować u takich ludzi.

Mówił bez przerwy, pytał, tłumaczył, opowiadał o sobie i o tym, jaka to elegancka restauracja, dopóki nie wrócił kelner z olbrzymią tacą, niosąc zamówione ciepłe, wonne potrawy.

Drouet prezentował się dobrze za stołem zastawionym srebrem, nakrytym śnieżnym obrusem. Zręcznie manewrował nożem i widelcem. Kiedy krajał mięso, pierścionki na palcach zdawały się mówić. Nowy garnitur szeleścił przyjemnie, gdy sięgał po półmiski, łamał chleb lub nalewał kawę. Pomagał Carrie odzyskać pogodę i tak długo otaczał ją ciepłem swego ducha, aż przeistoczyła się w nową dziewczynę. Był to przemiły chłopak, w popularnym ujęciu tych słów, i od razu zawojował Carrie.

Ten mały żołnierz fortuny z łatwością przystosował się do nastroju. Czuła się trochę nie na miejscu, ale widok wielkiej sali działał na nią kojąco, a wytworny tłum na ulicy wydawał się czymś iście cudownym. Ach, co to za przyjemność przychodzić tu na obiady! Drouet musi być szczęśliwy. Jeździ kolejami, ubiera się tak ładnie, jest taki zdrowy i jada obiady w takich wspaniałych lokalach. Wydawał się Carrie ideałem mężczyzny. Dziwiła się jego przyjaźni i życzliwości dla niej.

- Więc straciła pani miejsce z powodu choroby, tak? - zapytał. - I co zamierza pani teraz?

- Szukać innego - powiedziała. Troska, deptająca jej po piętach jak głodny pies za progiem tej sali, mignęła w oczach Carrie.

- Ach, nie, nie warto - powiedział Drouet. - Jak długo pani już szuka?

- Cztery dni.

- Pomyśl tylko! - zawołał, zwracając się do nie istniejącego interlokutora. - Pani nie powinna tego robić. Te dziewczyny - jednym gestem objął wszystkie robotnice fabryczne i

panny sklepowe - nigdy do niczego nie dochodzą. Pani nie może z tego żyć; co, może nie mam słuszności?

Było w jego stosunku do Carrie coś braterskiego. Załatwiwszy się w ten sposób radykalnie z kwestią jej pracy, zmienił temat. Była naprawdę bardzo ładna. Nawet teraz, w źle skrojonej sukience, miała figurkę zręczną, a oczy wielkie i łagodne. Drouet patrzył na Carrie i spojrzenia jego osiągnęły swój cel. Czuła jego zachwyty. Zachwyty ten miał silnych sprzymierzeńców w swobodzie i wesołości. Czuła, że go lubi i lubić będzie coraz więcej. Coś głębszego niż sympatia przenikało ją chwilami. Oczy jej co chwila spotykały wzrok Droueta. Wtedy trudno im było ukryć wymianę pokrewnych uczuć.

- Dlaczego nie miałyby pani, zamiast wracać do domu, pójść ze mną do teatru? - zapytał, przysuwając bliżej krzesło.

- Och, nie mogę! - powiedziała.

- Co pani robi z dzisiejszym wieczorem?

- Nic - powiedziała trochę sucho.

- Nie czuje się pani dobrze tam, gdzie pani obecnie mieszka?

- Ach, sama nie wiem!

- A co pani robi, jeżeli nie znajdzie pracy?

- Wrócę do rodziców.

Coś jakby drżenie było w jej głosie, gdy mówiła te słowa. Wywierał na nią przemożny wpływ. Rozumieli się bez słów; on odczuł jej położenie, ona - że zdaje sobie sprawę z jej położenia.

- Ależ pani nie może tego zrobić, prawda? - prawdziwa życzliwość brzmiała w jego tonie. - Proszę pozwolić, żebym pani pomógł. Pożyczycy pani ode mnie trochę pieniędzy.

- O, nie! - zawołała cofając się.

- A co pani robi? - nalegał.

Siedziała zamyślona, potrząsając bezradnie głową.

Spojrzał na nią po swojemu, tkliwie. Miał w kieszeni kilka pojedynczych banknotów... zielonych. Były miękkie i bezszelestne... wyczuł je palcami i ukrył w dłoni.

- Muszę pani pomóc - powiedział. - Proszę kupić sobie potrzebne rzeczy z ubrania.

Była to pierwsza aluzja, jaką zrobił na ten temat, i Carrie dopiero teraz zrozumiała, jak nędznie wygląda. W sposób nieco obcesowy uderzył we właściwy ton. Wargi jej drżały lek-

ko.

Ręka Carrie leżała na stole. Byli sami w tym kącie sali i Drouet położył swoją ciepłą dłoń na dłoni dziewczyny.

- Ach, Carrie! Przecież sama nie da sobie pani rady! Proszę pozwolić, żebym pani pomógł!

Przycisnął lekko jej dłoń. Próbowwała ją usunąć. Wtedy przycisnął mocniej. Nie protestowała więcej. Wsunął więc delikatnie zielone banknoty do ręki Carrie, a kiedy znowu zaczęła się bronić, szepnął:

- Pożyczam pani... tylko pożyczam. To tylko pożyczka...

Zmusił ją do przyjęcia pieniędzy. Czowała, że wiąże ją z nim jakieś dziwne uczucie. Wyszli razem. Odprowadził ją do ulicy Polk, gawędząc bez przerwy.

- Pani nie ma ochoty mieszkać u tych ludzi? - zapytał w pewnej chwili, nagle zmieniając temat. Carrie słyszała, co do niej mówił, ale pominęła pytanie milczeniem. - Spotkamy się jutro i pójdziemy razem na *matinée*, dobrze?

Carrie znowu próbowała się bronić i znowu ustąpiła.

- Przecież pani nic nie ma do roboty! Proszę kupić sobie ładny żakiet i trzewiki.

Starła się nie myśleć o komplikacjach, jakie powstaną, gdy się z nim rozstanie. W obecności Droueta była pełna nadziei, wesoła, pogodna.

- Niech się pani nie troszczy o tamtych - powiedział. - Pomogę pani!

Carrie pożegnała go z takim uczuciem, jak gdyby oto wyciągnęła się nad nią potężna dłoń, która wybawi ją z kłopotów. Pieniądze, które przyjęła, były to dwa miękkie, zielone banknoty dziesięciodolarowe.

Rozdział VII

POWABY MATERII: PIĘKNO PRZEMAWIA ZA SOBĄ

Nie znalazł się jeszcze nikt, kto by wyjaśnił istotne znaczenie pieniądza. Skoro każde indywiduum z osobna uświadomi sobie, że pieniądz jest i powinien być uważany jedynie za miernik moralny, że powinien być wypłacany jako równoważnik uczciwie zużytej energii, a nie jako przywilej - natenczas wiele z naszych religijnych, społecznych i politycznych trudności raz na zawsze przestanie nas nękać. Pogląd Carrie na moralną wartość pieniądza był poglądem większości ludzi, niczym więcej. Stare określenie: „Pieniądz... coś, co każdy posiada i co ja osiąść muszę”, dość wiernie wyrażałoby jej myśl. Pewną ilość pieniędzy trzyma teraz w ręku, dwa miękkie zielone banknoty dziesięciodolarowe, i czuje, że jest przed czymś o wiele lepszym. Pieniądz to potęga sama w sobie. Jedna strona jej duszy byłaby prawie zadowolona, gdyby wygnano ją na bezludną wyspę ze zwitkiem banknotów. I tylko przeciągły głód skłoniłby Carrie do zrozumienia, że w pewnych okolicznościach pieniądz nic nie znaczy. Ale nawet wtedy jest wątpliwe, czy pojęłaby, że wartość każda jest rzeczą względną. W głębi jej mózgu czaiłby się żal, że posiada taki ogrom potęgi bez możliwości zrealizowania jej.

Biedactwo, drżała rozstawszy się z Drouetem. Trochę było jej wstyd, że jednak okazała się słaba i przyjęła pieniądze. Ale przecież była w takiej potrzebie i teraz jest taka szczęśliwa! Nareszcie kupi sobie żakiet! Nareszcie kupi sobie nowe, zapinane na guziki trzewiki! I będzie miała pończochy! I suknię - aż w zapale robienia sprawunków przekroczyła w dwójnasób siłę kupna swego kapitału.

Wyrobiła sobie słuszny sąd o Drouecie. Dla niej, jak dla większości ludzi, był to poczciwy, dobry chłopak. Rzeczywiście, nie było w tym człowieku nic złego. Dał jej pieniądze z dobrego serca, ponieważ zrozumiał, że jest w potrzebie. Nie dałby może aż tyle, gdyby była ubogim chłopcem, nie dziewczyną, ale nie zapominajmy, że ubogi chłopiec nie mógłby z natury rzeczy przemówić do wyobraźni jego równie silnie jak młoda dziewczyna. Był wrażliwy na wdzięki kobiece. Miał wrodzony pociąg do kobiet. Ale gdyby spotkał żebraka, który by patrząc mu błagalnie w oczy powiedział: „Dobry panie, nie jadłem”, dałby mu

chętnym sercem tyle, ile uważałyby, że dawać należy żebrakom, po czym przestałyby się nim zajmować. Nie myślałyby ani by nie filozofował. W mózgu jego nie zachodziły procesy godne tych pojęć. W swoim wytwornym garniturze, przy swoim dobrym zdrowiu był po prostu beztroskim, bezmyślnym motylem, dążącym do światła lampy. Pozbawiony stanowiska, poddany działaniu przemożnych i potężnych sił, które niekiedy igrają z człowiekiem, byłby równie bezradny jak Carrie, równie bezradny, niezrozumiały, pożałowania godny - zapewniam was - jak ona.

Co do jego umizgów, to nie chciał żadnej kobiety skrzywdzić po prostu dlatego, że nie uważał, iżby stosunek, jaki zamierzał z nią nawiązać, mógł być dla niej krzywdzący. Lubił robić awanse kobietom; lubił, żeby ulegały jego czarowi, nie dlatego, iżby był zimnym, wyrachowanym, „czarnym charakterem”, ale ponieważ wrodzony instynkt mówił mu, że to jest najwyższa rozkosz. Był próżny, zarozumiały, rozkochany w strojach jak pierwsza lepsza lekkomyślna dziewczyna. Prawdziwie sprytny łajdak mógł go oszukać z równą łatwością, z jaką on umiałby uwieść pannę sklepową. Powodzenie Droueta jako komiwojażera oparte było na jego wdzięku i powadze, jaką cieszyła się reprezentowana przez niego firma. Krążył między innymi ludźmi jak uosobienie entuzjazmu - bez zdolności godnych pojęcia intelektu: bez myśli godnych przymiotnika „szlachetny”, bez uczuć wiernych jednemu przedmiotowi czas dłuższy. Niejaka Safo nazwałaby go „wieprzem”. Niejaki Szekspir powiedziałaby o nim „moje beztroskie dziecię!” Stary pijak Caryoe miał go za człowieka rozumnego i dobrego biznesmena. Jednym słowem, był równie poczciwy, jak i ograniczony.

Najlepszym dowodem, że było coś szczerego i bezpośredniego w Drouecie, jest to, iż Carrie zgodziła się przyjąć od niego pieniądze. Człowiek o duszy głębokiej i ponurej, mający cele ukryte, nie zmusiłby jej do wzięcia nawet pięćdziesięciu centów pod płaszczykiem przyjaźni. Ludzie pozbawieni intelektu nie są znowu tak bardzo bezbronni. Natura nauczyła dzikie zwierzęta uciekać w obliczu niebezpieczeństwa. Natura zaszczepiła w małej, głupiej główce owadu lęk przed trucizną. „Czuwa nad stworami swymi” - odnosi się nie tylko do zwierząt. Carrie nie była mądra, a przeto, jak owce w swoim bezrozumie, bardzo wrażliwa. Instynkt samoobrony, silny u tego gatunku istot, przestrzegał ją bardzo słabo albo i wcale przed umizgami Droueta.

Pożegnawszy Carrie, Drouet wieszował sobie pochlebne wrażenia, jakiego o nim nabrała. Słowo daję, to hańba tak traktować dziewczęta! Zima za pasem, a ona nie ma w co

się ubrać! Wstrętne! Zajdzie do Fitzgeralda i Moya na cygaro. Jakoś raźniej i lżej mu się stało, gdy myślał o Carrie.

Carrie wróciła do domu w doskonałym nastroju, co z trudem zdołała ukryć. Posiadanie pieniędzy zrodziło mnóstwo interesujących zagadnień. Jakże może sobie kupić coś do ubrania, kiedy Minnie wie, że ona nie ma pieniędzy? Trudność ta stanęła przed oczyma Carrie, zaledwie przeszła próg mieszkania. Nie, to się nie da zrobić. Żaden wykręt nie przychodził jej do głowy.

- Jakże ci się powiodło? - spytała Minnie, nawiązując do poszukiwań pracy.

Carrie brakowało owej drobnostkowej obłudy, która pozwalała odczuwać jedno, a mówić coś wręcz przeciwnego. Zdolna była do kłamstwa, ale tylko w granicach swoich uczuć. A więc zamiast się skarżyć (było jej przecież tak dobrze), powiedziała:

- Mam coś obiecane.

- Gdzie?

- U Bostona.

- Czy to aby pewne? - zaniepokoiła się Minnie.

- Mam się dowiedzieć jutro - rzekła Carrie. Nie lubiła kłamać, skoro nie zachodziła tego konieczna potrzeba.

Minnie natychmiast wyczuła atmosferę pogody, jaką wniosła Carrie. Uważała, że czas najwyższy uświadomić siostrę, co Hanson sądzi o tej całej chicagowskiej imprezie.

- Gdybyś jednak nie znalazła... - zaczęła.

- Jeśli nie znajdę czegoś prędko, wrócę do domu. Minnie postanowiła skorzystać ze sposobności.

- Sven uważa, że byłoby tak najrozsądniej... przynajmniej na zimę.

Carrie odgadła sytuację. Nie chcą jej trzymać dłużej bez pracy. Nie miała żalu do Minnie, nie miała żalu do Hansona. Teraz, gdy tak siedziała, przetrawiając słowa siostry, rada była, że wzięła pieniądze od Droueta.

- Tak - powiedziała po chwili. - Sama o tym myślałam.

Nie dodała jednak, że myśl ta zbudziła całą mściwość jej natury. Columbia City - czy to dla niej? Znała na pamięć to nudne, małe miasteczko. Tu zaś wielkie, tajemnicze miasto, które zawsze przyciągało ją jak magnes. To, co widziała dotychczas, powiedziało tak wiele o oczekujących ją możliwościach. Wrócić teraz i żyć dawnym ciasnym życiem małego mia-

steczka? Buntowała się przeciwko tej myśli.

Przyszła do domu wcześniej i usiadła w pokoju frontowym, chcąc się spokojnie zastanowić. Co robić? Nie może kupić nowych trzewików, bo nie może nosić ich tutaj. Musi oszczędzić część owych dwudziestu dolarów na podróż do domu. Nie chce pożyczać na to od Minnie. A przecież i wtedy jeszcze nie będzie mogła wytłumaczyć, skąd ma dolary! Gdybyż tylko miała tyle, żeby móc się stąd wydostać!

Wciąż wracała do tego splotu zagadnień. Jutro Drouet spodziewa się zobaczyć ją w nowym zakęcie. Ale to się nie da zrobić. Hansonowie z kolei spodziewają się, że wreszcie uwolni ich od siebie, i ona uwolniłaby ich od siebie, ale nie ma ochoty wracać do domu. Po swojemu wytłumaczają sobie, skąd bez pracy ma pieniądze. To, że je przyjęła, wydało się Carrie czymś strasznym w świetle dnia: Zaczęła się wstydzić. Cała ta sytuacja działała na nią przygnębiająco. Wszystko było takie jasne w obecności Droueta. Teraz wydaje się zagmatwane, beznadziejne, daleko gorsze niż przedtem. Trzymała bowiem w ręku możliwość pomocy, z której nie powinna skorzystać.

Tak bardzo upadła na duchu i Minnie wywnioskowała, że znowu jej się tego dnia nie powiodło. Ostatecznie Carrie postanowiła zwrócić pieniądze Drouetowi. Nie powinna ich brać. Wyjdzie wczesnym rankiem na poszukiwanie pracy. W południe spotka się z Drouetem - jak było umówione - i powie mu. To postanowienie odebrało jej siły: stała się dawną Carrie, zrozpaczoną.

Dziwne, ale trzymając pieniądze w ręku, już przez to samo czuła ulgę. Nawet teraz, po wszystkich swoich konkluzjach, dzięki nim mogła odpędzić każdą smutną myśl, a wtedy dwadzieścia dolarów wydawało się jej rzeczą cudowną, przedziwną. Ach, pieniądze, pieniądze, pieniądze! Co to znaczy mieć pieniądze! Jak łatwo usunęłyby wszystkie jej kłopoty!

Nazajutrz wstała wcześniej i udała się na poszukiwania. Chciała koniecznie znaleźć pracę, ale pieniądze w kieszeni, chociaż przysporzyły jej tyle cierpień, czyniły sprawę mniej groźną. Udała się w dzielnicę składów hurtowych. W miarę jak mijala ulice, rosła w niej świadomość konieczności starania się o pracę, a wraz z tą świadomością opuszczała ją odwaga. „Jakiż tchórz ze mnie!” - myślała. - „Ale przecież tyle razy już pytałam. I zawsze powtarzała się ta sama historia.” Szła wciąż przed siebie, aż wreszcie zdecydowała się wstąpić do jednego miejsca - ze zwykłym rezultatem. Wyszła z uczuciem, że los jest przeciwko niej. Nie ma co próbować.

Bezmyślnie prawie doszła do ulicy Dearborn. Był tam wielki dom towarowy z mnóstwem poszczególnych działów, z rzędem wspaniałych okien wystawowych, z gromadą sprzedających. Natychmiast zmienił się bieg myśli Carrie, Carrie, którą myślenie tak bardzo znużyło. To tutaj zamierzała wejść i kupić sobie nowe ubranie. Ale teraz tak tylko, dla ucieczki przez rozpaczą wejdzie i obejrzy. Obejrzy żakiety.

Nie ma na świecie nic bardziej rozkosznego jak ów stan pośredni duchowego niezdecydowania, gdy zaopatrzeni w odpowiednie środki, pożerani pragnieniem, a jednak powstrzymywani przez wyrzuty sumienia lub brak decyzji wahamy się, co czynić. Wszedłszy do domu towarowego Carrie w takim właśnie była usposobieniu. Doświadczenie, jakiego nabrała w tego rodzaju instytucjach, było najlepszym probierzem ich wartości. Zatrzymywała się przed każdym artykułem zbytku, zanim podchodziła do następnego. Jej serce niewieście gorzało pragnieniem posiadania. Jakby, na przykład, wyglądała w tym... jak ślicznie byłoby jej w tamtym. Doszedłszy do oddziału gorsetów, zastygła w marzeniu na widok wspaniałej kombinacji barw i koronek. Gdyby potrafiła się tylko zdecydować, mogłaby dojść do posiadania jednego z tych cudów. Postąpiła przy dziale klejnotów. Patrzyła na bransolety, kolczyki, szpilki, brosze. Czego by nie dała za prawo posiadania tych cudów! I ona wyglądałaby ładnie i wytwornie, gdyby miała takie rzeczy.

Żakiety były największą atrakcją. Wchodząc do działu ubrań od razu zwróciła uwagę na śliczny żakiecik z brązowego sukna, z wielkimi perłowymi guzami. Rozkoszowała się myślą, że nic nie mogłoby jej sprawić większej przyjemności, niż ten żakiet. Szła wzdłuż oszklonych szaf i gablotek, w których wystawiono ubrania, i pochlebiała sobie, że żakiet przez nią wybrany jest najładniejszy. Przez cały ten czas walczyła, to wmawiając sobie, że mogłaby kupić żakiet, gdyby chciała, to przypominając sobie swoje obecne położenie. Wreszcie południe było już blisko, a ona nic jeszcze nie załatwiła. Musi iść zwrócić Drouetowi pieniądze. Drouet czekał na rogu, kiedy nadeszła.

- Halo! - zawołał wesoło. - Gdzie żakiet? - spojrzał na nogi Carrie - i nowe trzewiki?

Carrie postanowiła wyłożyć swoją decyzję w jakiś inteligentny sposób, ale on tymi słowami przekreślił od razu wszystkie jej plany.

- Przyszłam powiedzieć panu... ja nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

- Ach, o to chodzi! - zawołał. - To pójdziemy razem do Patridge'a.

Carrie poszła posłusznie. Kunsztownie zbudowany gmach wahań i niemożliwości ru-

nał od razu. Nie mogła zebrać się na rzecz tak poważną, jak wytłumaczenie Drouetowi całej sprawy.

- Jeszcze nie jadła pani drugiego śniadania? Naturalnie, że pani nie jadła! Wstąpmy tutaj. - Drouet zaprowadził ją do jednej z wytwornych restauracji przy ulicy State, w gmachu Monroe'a.

- Nie powinnam brać tych pieniędzy - rzekła Carrie, gdy już usiedli w zacisznym kącie i Drouet zamówił śniadanie. - Nie mogę nosić tych rzeczy... tam. Nie wiedzieliby, skąd je mam.

- I co pani zamyśla? - zapytał z uśmiechem. - Obejść się bez ubrania?

- Myślę wrócić do rodziców - powiedziała niepewnie.

- Za długo myślała pani o tych rzeczach - rzekł Drouet. - Zaraz pani powiem, co pani ma zrobić. Pani mówi, że nie mogłaby tam nosić tych rzeczy. Dlaczego nie miałyby pani wynająć sobie umeblowanego pokoju i wyprowadzić się od nich na jaki tydzień?

Carrie potrząsnęła głową. Jak wszystkie kobiety chciała zaprzeczać i być przekonywana. Jego zadaniem było przetrzebić las i wykarczować ścieżki - jeżeli potrafi...

- Dlaczego chce pani wracać do rodziców?

- Nie mogę znaleźć pracy.

- Nie chcą pani trzymać u siebie? - zapytał intuicyjnie.

- Nie mogą.

- Powiem pani, co pani robi. Pójdzie pani ze mną. Zaopiekuję się panią.

Carrie słuchała tego biernie. W tym szczególnym stanie, w jakim się znajdowała, słowa Droueta były dla niej jak świeży powiew, który wdarł się przez otwarte drzwi. Wydał się jej bliski, miły. Był dobrze ubrany, przyzwoity, przystojny, sympatyczny. Głos jego był głosem przyjaciela.

- Co pani będzie robić w Columbia City? - zapytał, słowami tymi budząc w umyśle Carrie nieponętny obraz małego miasteczka. - Przecież tam nic nie ma! Chicago... to mi miasto! Może pani znaleźć ładny pokój, ubrać się odpowiednio, a potem poszukać pracy.

Carrie patrzyła przez okno na gwarne ulice. Oto ono, owo wielkie miasto, tak rozkoszne, gdy nie jesteś nędzarką. Przed oknami przemknął elegancki kocz, zaprzęgnięty w parę doskonale utrzymanych koni. W głębi na poduszkach spoczywała młoda niewiasta.

- I co pani zyska wróciwszy do rodziców? - zapytał Drouet. Pytając, nie miał ukrytego

celu. Szczerze dziwił się, że Carrie może chcieć wrócić do miasteczka, gdzie nie znajdzie nic z tego, o czym marzy.

Carrie siedziała milcząco. Patrzyła w okno. Myślała, co robić. Oni spodziewają się, że jeszcze w tym tygodniu wyjedzie. Drouet wrócił znów do kupna nowego ubrania.

- Dlaczego nie miałyby pani kupić ładnego żakietu? Pani musi mieć żakiet! Pożyczę pani pieniędzy! Niech się pani tym nie kłopotczy! Może pani również wziąć sobie pokój. Nie będę się pani narzucał.

Carrie widziała zasadzkę, nie umiała jednak wyrazić swoich myśli. Czowała się bardziej bezradna niż kiedykolwiek.

- Gdybym mogła znaleźć jaką pracę - szepnęła.

- Może znajdzie pani - zaczął Drouet - jeżeli pani tu zostanie. Ale nie znajdzie pani wyjechawszy. Nie chcę zmuszać pani... Dlaczego nie chce pani się zgodzić, żebym dla niej wynajął ładny pokój? Nie będę się narzucał... niech się pani nie boi. A wtedy, jak już pani będzie u siebie, może się coś znajdzie.

Spojrzał na jej ładną twarz i to dodało mu bodźca. Słodka dziewczyna i tyle! Zupełnie nie podobna do pierwszej lepszej sklepówki. I nie jest głupia.

W rzeczywistości Carrie miała więcej wyobraźni od niego i więcej smaku. Było w niej coś uduchowionego i dlatego mogła się czuć samotna i smutna. Ubiór jej, aczkolwiek ubogi, był gustowny, i sama nie wiedząc o tym, z godnością nosiła swoją ładną główkę.

- Sądzi pan, że mogłabym coś znaleźć? - zapytała.

- Naturalnie! - pochylił się i napełnił jej filiżankę herbatą. - Pomogę pani.

Spojrzała na niego. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- A teraz powiem pani, co zrobimy. Pójdziemy tu niedaleko do Patridge'a i pani załatwi swoje sprawunki. Potem poszukamy pokoju dla pani. Może pani tam zostawić rzeczy. A potem pójdziemy razem do teatru.

Carrie potrząsnęła głową.

- Dobrze, dobrze, wróci pani do siostry. Nie musi pani zaraz zamieszkać w tym pokoju. Po prostu wejdziemy i pani zostawi swoje rzeczy.

Nie mogła się zdecydować aż do końca obiadu.

- A teraz chodźmy obejrzyć żakiety.

I poszli. W magazynie otoczył ich ów blask i szelest nowych rzeczy, wywierający taki

magiczny wpływ na Carrie. Pod wrażeniem dobrego obiadu i promiennej obecności Droueta proponowany przez niego układ wydawał się jej możliwy do przyjęcia. Rozejrzawszy się wybrała zakiet zupełnie taki sam, jak ten, którym się tak zachwycała w „Jarmarku”. Gdy wzięła go do rąk, wydał się jej jeszcze piękniejszy. Sprzedająca pomogła jej zmierzyć. Przypadkiem okazał się jakby na nią szyty i leżał doskonale. Twarz Droueta rozpromieniła się, gdy na nią spojrział. Wyglądała szykownie.

- To, czegośmy szukali! - zawołał.

Carrie obróciła się przed lustrem. Nie mogła stłumić uczucia zadowolenia, patrząc na swoje odbicie. Rumieńce zabarwiły jej policzki.

- Tegośmy szukali - powiedział Drouet. - No, proszę płacić!

- Dziewięć dolarów - szepnęła Carrie.

- Doskonale! Niech pani weźmie ten zakiet!

Sięgnęła do torebki i wyjęła banknot dziesięciodolarowy. Sprzedająca zapytawszy, czy Carrie zaraz włoży zakiet, odeszła. Po chwili wróciła i transakcja została dokonana.

Od Patridge'a poszli do magazynu z obuwem, gdzie Carrie zaopatrzyła się w buciki. Drouet stał obok niej. Widząc, jak ładnie wyglądają na nogach, prosił:

- Niech pani pójdzie w nich! - Ale Carrie przecząco potrząsnęła głową. Pomyślała, że musi wrócić do mieszkania siostry. Kupił jej torebkę za dolara, parę rękawiczek za drugiego i kazał kupić pończochy.

- Jutro wróci pani tutaj po sukienkę - powiedział.

We wszystkim, co czyniła teraz Carrie, był jakby cień nieufności. Im głębiej pozwałała się wciągnąć Drouetowi, tym wyraźniej widziała, że wszystko zależy od tego, czego jeszcze nie zrobiła. Dopóki to się nie stało, jest jeszcze ratunek.

Drouet znał dom na ulicy Wabash, gdzie były wolne pokoje. Pokazując Carrie ów dom, powiedział: - Jest pani moją siostrą.

- Swobodnie dokonał transakcji, wybierając, rozglądając się, krytykując. - Kufer nadejdzie jutro albo pojutrze - tłumaczył gospodyni, która wydawała się bardzo zadowolona.

Gdy zostali sami w pokoju, Drouet w niczym nie zmienił swego postępowania. Rozmawiał tak samo, jak gdyby byli na ludnej ulicy. Carrie zostawiła swoje sprawunki.

- Dlaczego nie miałyby pani przenieść się dzisiaj wieczorem? - zapytał.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie chciałabym ich tak opuszczać.

Rozmyślał nad tym, gdy znaleźli się na ulicy. Dzień był ciepły. Słońce świeciło i wiatr ucichł. Z opowiadań Carrie wyrobił sobie wierne pojęcie o atmosferze panującej u Hansonów.

- Niech pani ich rzuci - powiedział. - Przyjmą to obojętnie. Pomogę pani.

Słuchała, aż rozwiła się jej nieufność. Wreszcie wyraziła swoją zgodę. Dojdzie z nią aż do ulicy Peoria i poczeka na rogu. Spotkają się o wpół do dziewiątej. Wróciła do domu o wpół do szóstej, a o szóstej już zapadło jej postanowienie.

- Więc się nie dostałaś - powiedziała Minnie, robiąc aluzję do obiecanej posady u Bostona.

Carrie spojrzała na nią kątem oka.

- Nie - odpowiedziała.

- Sądzę, że nie warto więcej próbować - rzekła Minnie. Carrie milczała.

Hanson, wróciwszy do domu, zachował się jak zwykle. Umył się w milczeniu i zabrał do czytania gazety. Przy obiedzie Carrie była trochę zdenerwowana. Miała powziąć ważną decyzję i wyraźnie czuła, że jest tu niemile widziana.

- Nic nie znalazłaś? - zapytał Hanson.

- Nie.

Wrócił do przerwanego jedzenia myśląc, że jednak to porządny ciężar mieć ją na karku! Musi wrócić do rodziców. Trudno. Jeżeli raz wyjedzie, nie będzie już mowy o powrocie jej na wiosnę.

Carrie była przerażona tym, co zamyślała zrobić, ale i szczęśliwa, że się wyrwie z tych warunków. Nie będzie im nawet przykro. Zwłaszcza Hanson ucieszy się, że sobie poszła. Nie zatroszczy się, co się z nią stało.

Po obiedzie poszła do łazienki, gdzie nikt jej nie przeszkadzał, i napisała krótki list.

Minnie - opiewał ów list. - Do widzenia. Nie jadę do domu. Zostanę jakiś czas w Chicago. Nie troszcz się o mnie. Poszukam sobie pracy. Wszystko będzie dobrze.

We frontowym pokoju Hanson czytał gazetę. Jak zwykle pomogła Minnie zmyć i wytrzeć naczynia, potem powiedziała:

- Pójdę chyba postać pod drzwiami... - Z trudem opanowała drżenie głosu.

Minnie przypomniała sobie upomnienie Hansona.

- Sven uważa, że nie powinnaś wystawać przed drzwiami - rzekła.

- Ach, naprawdę? Więcej już tego nie zrobię - powiedziała Carrie.

Włożyła kapelusz i zaczęła kręcić się po sypialce, myśląc, gdzie by położyć list do siostry. Wreszcie wetknęła go pod szczotkę do czesania.

Zamknawszy za sobą drzwi frontowe, zatrzymała się chwilę i zastanowiła, co też oni pomyślą? Jednak to, co robi, jest dziwne... Wolno zeszła na dół. Odwróciła się i jeszcze po raz ostatni spojrzała na oświetlone schody, po czym wybiegła na ulicę. Dochodząc do rogu, przyspieszyła kroku.

Gdy wyszła, Hanson podszedł do żony.

- Carrie znowu poszła wystawać przed drzwiami? - zapytał.

- Tak - powiedziała Minnie. - Ale mówiła, że więcej tego już nie zrobi.

Hanson wrócił do dziecka, które bawiło się na dywanie, i zaczął stukać palcem o podłogę.

Drouet czekał na rogu w doskonałym usposobieniu.

- Halo, Carrie! - zawołał na widok zgrabnej postaci dziewczęcej. - Udało się pani wymknąć szczęśliwie, co? No, to wsiadajmy do tramwaju!

Rozdział VIII

ZIMA MA GŁOS: WEZWANIE AMBASADORA

Wśród potęg, które rzucają i igrają wszechświatem, człowiek pozostawiony sam sobie jest jako źdźbło na wicherze. Cywilizacja nasza nie wyszła jeszcze z fazy przejściowej: nie jesteśmy zwierzętami, przestaliśmy się bowiem kierować wyłącznie instynktem; nie staliśmy się ludźmi, ponieważ nie kierujemy się li tylko rozumem. Tygrys nie wie, co to odpowiedzialność. Widzimy, że natura kierując nim posiłkuje się siłami życia: urodził się, aby je zachować i broni swego istnienia nie myśląc nawet o tym. Widzimy, że człowiek daleko odszedł od matecznika w dżungli; wrodzony instynkt zastąpił czymś zbliżonym do wolnej woli, ta wola jednak nie jest dostatecznie rozwinięta, by zająć miejsce instynktu, wystarczy za ster w życiu. Człowiek stał się za mądry, żeby polegać tylko na swoich pożądaniami i instynktach. Jest jednak za słaby, żeby móc je zwalczyć. Jako zwierzę ulega siłom życia. Jako człowiek nie nauczył się jeszcze w dostatecznej mierze samodzielnie nimi kierować. W tym stadium pośrednim pełen jest wahania: ani instynkty jego nie czynią zeń harmonijnej całości, ani wolna wola nie ustanawia harmonijnego związku między nim i naturą. Jest jak źdźbło gnane wiatrem; podlega podmuchom każdej namiętności; działa bądź pod nakazem instynktu, bądź pod nakazem woli; wyzwala się od jednego, by wpaść w niewolę drugiego; upada przez jedno, by wznieść się przy pomocy drugiego; istota nieobliczalnie zmienna. Pociągamy się, że ewolucja wciąż działa, że ideał jest światłem, które nie gaśnie. Nie będziemy trwać zawsze w zawieszeniu między dobrem a złem. Kiedy równowaga między wolą a instynktem będzie ustalona, kiedy pełne zrozumienie pozwoli pierwszej zastąpić całkowicie drugi, natenczas człowiek przestanie się zmieniać. Igła zrozumienia będzie odtąd niezmiennie i pewnie wskazywać kierunek odległego bieguna prawdy.

W Carrie - a w kimże z nas jest inaczej?! - instynkt i rozsądek, pożądanie i zrozumienie walczyły o pierwszeństwo. Szła, dokąd wiodły ją pragnienia. Dawła się raczej prowadzić, niż szła samodzielnie.

Kiedy Minnie nazajutrz, po nocy niepokoju i dociekań - niekoniecznie zabarwionych miłością, żalem lub smutkiem - znalazła list siostry, z ust jej wyrwał się okrzyk:

- I co ty na to powiesz?!

- Na co? - zapytał Hanson.

- Siostra Carrie poszła mieszkać gdzie indziej!

Hanson wyskoczył z łóżka z większą żywością, niż zazwyczaj zdradzał, i spojrzał na list Carrie. Myśli jego znalazły wyraz w lekkim cmoknięciu językiem. Dźwięki takie wydają niektórzy ludzie, chcąc zachęcić konie do szybszego biegu.

- Jak myślisz, dokąd mogła iść? - zapytała Minnie bardzo zaniepokojona.

- Nie wiem. - Coś jakby cynizm błysnęło w jego wzroku.

- Poszła i tyle.

Minnie potrząsnęła głową. Nie mogła jeszcze wyjść ze zdumienia.

- Och, nie wie, co zrobiła! - rzekła.

- Taak - rzekł Hanson po chwili, wyciągając przed siebie ramiona. - Nic na to nie poradzimy.

Kobieca natura Minnie okazała się subtelniejsza. Wyobrażała sobie wszystkie możliwości.

- Och! - powiedziała wreszcie. - Biedna siostra Carrie!

W tym samym czasie, gdy miała miejsce ta szczególna rozmowa, to znaczy o godzinie piątej, mała bojowniczką fortuny spała snem niespokojnym w swoim nowym pokoju, sama.

Położenie Carrie było godne uwagi ze względu na to, co ona w nim widziała. Nie była dziewczyną zmysłową, nie marzyła o wylegiwaniu się leniwie na łonie wszelakich rozkoszy. Spała niespokojnie, przerażona tym, co zrobiła; szczęśliwa, że się wyrwała od Hansonów, zatroskana, czy znajdzie pracę i co zamyśla Drouet. Ów szlachetny nakreślił sobie plan działania, którego nie mógł zmienić żaden przypadek. Nie był w stanie powstrzymać się od zrobienia tego, co zrobić musi. Nie umiał widzieć dość jasno, żeby chcieć tego nie zrobić. Wrodzone pożądanie kazało mu dograć do końca starą sztuczkę uwiedzenia. Musi nacieszyć się Carrie, jak musi zjeść smaczne i pożywne śniadanie. Nigdy najmniejszy wyrzut sumienia nie obudził się w Drouecie z powodu tego, co czynił, i to było w nim złe i grzeszne. Jeżeli miał wyrzuty sumienia, to były one w zarodku, tego możecie być pewni.

Nazajutrz odwiedził Carrie w jej pokoju. Był jak zwykle wesoły, pogodny.

- O! - zawołał. - Dlaczego jest pani taka mizerna? Chodźmy na śniadanie. Musi pani koniecznie kupić sobie resztę rzeczy potrzebnych do ubrania.

Carrie spojrzała na niego z nowym wyrazem w swoich wielkich oczach.

- Chciałabym dostać jakąś pracę - powiedziała.

- Dostanie pani z czasem - rzekł Drouet. - Po co sobie tym teraz zaprzętać główkę?!

Niech się pani przede wszystkim zainstaluje, pozna miasto. Nie będę się pani narzucał.

- Wiem, że pan nie będzie - powiedziała prawie z ufnością.

- Włożyła pani nowe trzewiki, prawda? Proszę wysunąć nóżkę. Ależ ślicznie wyglądają! A zakiet?

Carrie usłuchała.

- Wspaniale leży! - powiedział, odstępując kilka kroków, żeby lepiej widzieć. - Musi pani koniecznie kupić nową suknię. Ale chodźmy przede wszystkim na śniadanie.

Carrie włożyła kapelusz.

- Gdzie rękawiczki? - zapytał.

- Tu - powiedziała, wyjmując je z szuflady w biurku.

- No, to idziemy! - Pierwsza godzina nieufności pierzchła.

I tak było zawsze. Drouet prawie nigdy nie zostawiał Carrie samej. Odbywała czasami samotne spacerki, ale przeważnie chodzili razem po mieście i patrzyli. U „Carson, Pirie's” kupił jej nową spódniczkę i bluzkę. Za jego pieniądze zakupiła drobne przybory toaletowe, aż wreszcie wyglądała jak inne dziewczęta. Była przystojna, tak, naprawdę przystojna! Jak ślicznie jej w tym kapeluszu, a oczy ma naprawdę ładne! Ugryzła zębami swoje drobne, czerwone usteczka i poczuła pierwszy dreszcz własnej potęgi. Drouet był taki dobry...

Pewnego wieczora poszli na „Mikado”, operetkę, która w owym czasie cieszyła się ogromną popularnością. Przed teatrem postanowili zjeść obiad u Windsora, w restauracji odległej od mieszkania Carrie, na ulicy Dearborn. Było dość zimno i przez okno widziała Carrie niebo o zachodzie, jeszcze czerwone od słońca, a już stalowobłękitne w górze, tam gdzie się zlewało z mrokiem. Długa, wąska chmurka purpurowa na błękitnym tle nieba wyglądała jak wyspa na morzu. Widok nagich gałęzi drzew po przeciwnej stronie ulicy przypominał jej nagle obraz, na który tak często patrzyła w dni grudniowe tam, w domu rodziców.

Umilkła i załamała swoje małe rączki...

- Co się stało? - zaniepokoił się Drouet.

- Och, nie wiem! - wargi jej drżały.

Wyczuł coś i objąwszy ją ramieniem pieścił delikatnie jej dłoń.

- Chodźmy - rzekł. - Już wszystko dobrze... już dobrze.

Odwróciła się, żeby włożyć zakiet.

- Lepiej niech pani narzuci boa... Jest chłodno.

Poszli na północ przez Wabash na ulicę Adamsa, a potem na zachód. Lamy w sklepach już się paliły, rzucając na ulicę złote smugi. Zapalono również latarnie; wysoko nad głowami przechodniów paliły się światła w wielkich biurach. Dał zimny wiatr. Publiczność „szóstogodzinna” tłumnie zdążała do domów. Podnoszono kołnierze lekkich płaszczów, głębiej nasuwano na uszy kapelusze. Dziewczęta sklepowe przebiegały parami lub czwórkami, śmiejąc się, gawędząc wesoło.

Nagle para oczu spoczęła na Carrie, jakby ją poznając. Oczy te patrzyły z gromady ubogo odzianych dziewcząt. Suknie tych dziewcząt były zniszczone i zmięte, zakiety stare, cały wygląd nędzny. Carrie poznała spojrzenie i dziewczynę. Była to jedna z robotnic w fabryce trzewików. Tamta patrzyła, niepewna, potem obejrzała się i jeszcze raz spojrzała. Carrie czuła, jak gdyby nagle coś je połączyło. Odżyła stara sukienka. I maszyna. Przyspieszyła kroku. Drouet nie zauważył tego, aż Carrie wpadła na jakiegoś przechodnia.

- Musi pani być bardzo zamyślona - powiedział.

Po obiedzie poszli do teatru. Przedstawienie ogromnie podobało się Carrie. Barwność i wytworność wystawy oszołomiły ją. Miała niejasne pojęcie o dalekich krajach, wielkich potęgach i wspaniałych postaciach. Gdy przedstawienie skończyło się, z nie mniejszym zdumieniem wsłuchiwała się w turkot powozów, patrzyła na tłum wytwornych dam.

- Niech pani poczeka chwilkę - powiedział Drouet, prowadząc ją z powrotem do *foyer*, gdzie wśród szelestu sukien, wymienianych uprzejmości, pochyleń okrytych koronką głów i wśród uśmiechów uwijał się tłum panów i pań. - Popatrzmy!

- Sześćdziesiąt sześć! - wykrzykiwał woźnica wysokim głosem. - Sześćdziesiąt siedem!

- Czy to nie wspaniałe?! - unosiła się Carrie.

- Tak! - rzekł Drouet. Nie mniej od Carrie był pod wrażeniem ogólnej wesołości i elegancji. Przycisnął gorąco jej ramię. Spojrzała na niego. I jej ząbki błysnęły w uśmiechu, i jej oczy siały iskry. Idąc szepnął jej do ucha: - Ślicznie pani wygląda! - Właśnie wyszli, gdy jakiś woźnica otwierał drzwiczki karety i pomagał wsiąść dwóm paniom.

- Proszę się mnie trzymać - śmiał się Drouet - to i my dojdziemy do karety!

Carrie prawie nie słyszała, głowę miała pełną wiru życia.

Zaszli do restauracji. Coś jakby cień myśli o późnej godzinie przemknął przez głowę Carrie, ale nie istniało już dla niej prawo domu, którym by się mogła kierować. Gdyby te czy inne przyzwyczajenia miały czas zawładnąć Carrie, odezwałyby się w takiej chwili. Dziwna rzecz, przyzwyczajenie. Wyciąga niereligijnych ludzi z łóżek do odmówienia pacierz. Ofiara przyzwyczajień, zaniedbawszy zrobić rzecz, która weszła w nawyk, czuje się nie-swojo, jest rozdrażniona tym, że wyszła ze zwykłego trybu. Wyobraża sobie, że jest to głos sumienia, cichy, nie milknący głos, który nawołuje zawsze do czynienia rzeczy słuszych. Jeżeli odstępstwo jest dostatecznie niezwykle, siła przyzwyczajenia okazuje się dość silna, aby zmusić bezbronną ofiarę do powrotu i wypełnienia rzeczy zaniedbanej. „A teraz błogosław mnie”, mówi taki człowiek. „Spełniłem swój obowiązek”, chociaż właściwie wykonał raz jeszcze swój stary, zwykły trick.

Carrie nie wyniosła z domu żadnych określonych zasad. Gdyby je miała, byłaby bardziej świadomie zaniepokojona. Kończyli kolację w nastroju nader serdecznym. Pod działaniem tylu zmiennych wrażeń, milczącej, niedostrzegalnej namiętności, która płynęła od Droueta, dobrego jedzenia i niezwykłego komfortu, Carrie uległa, słuchając z otwartymi ustami. Stała się znowu ofiarą hipnotycznego czaru miasta.

- No - powiedział wreszcie Drouet - chyba już pójdziemy.

Siedzieli nad pustymi talerzami. Oczy ich wciąż się spotykały, Carrie nie mogła nie odczuć wibrującej potęgi, jaką przeczuwała, jaka była rzeczywiście w jego wzroku. Tłumacząc coś miał zwyczaj dotykać jej dłoni w taki sposób, jak gdyby chciał ją tym przekonać. I teraz dotknął ręki Carrie, gdy powiedział, że trzeba już iść.

Podnieśli się i wyszli na ulicę. Miasto jakby zamarło. Na ulicy nie było nikogo z wyjątkiem kilku zapóźnionych przechodniów i „ślepych” karet. Tylko nieliczne nocne restauracje jeszcze były oświetlone. Idąc ulicą Wabash, Drouet w dalszym ciągu uzupełniał swój tom drobnych informacji. Trzymał ramię Carrie. Tłumacząc coś, przyciskał je mocno. Czasami powiedziawszy jakiś dowcip spoglądał na nią i wtedy oczy ich się spotykały. Wreszcie doszli do schodów prowadzących do mieszkania Carrie. Stała na pierwszym stopniu. Głowy ich znalazły się na tym samym poziomie. Ujął jej rękę i patrzył na nią badawczo, gdy tak stała rozmarzona.

O tej samej mniej więcej godzinie Minnie spała mocno po długim wieczorze ciężkich i przykrych rozmyślań. Śniła o siostrze. Zdawało się jej, że stoi z siostrą nad szybem w kopalni. Minnie widziała dno szybu i stosy ziemi i węgla. Patrzyły jakby w studnię. Widziała wilgotne kamienie w dole, gdzie ściany zlewały się ze sobą jak nikle cienie. Obok na zmurzałej linii wisiał stary kosz, używany niegdyś przez górników.

- Zjedźmy! - prosiła Carrie.

- O, nie! - broniła się Minnie.

- Zjedźmy koniecznie! - nalegała Carrie.

Zaczęła spuszczać kosz i pomimo protestów siostry wsiadła i zjechała w dół.

- Carrie! - wołała Minnie. - Carrie! Wracaj! - ale Carrie była już daleko.

Pochłonął ją mrok.

Minnie poruszyła ramieniem.

Natenczas scena ta zmieniła się w jednej chwili. Oczom Minnie ukazało się morze, którego nigdy dotychczas nie widziała. Stały na brzegu czy molo, słowem, na czymś, co się wdzierało daleko w wodę. Carrie podeszła na sam koniec. Patrzyły na siebie. Ale oto to Coś zaczęło się obniżać. Minnie wyraźnie słyszała szum wody.

- Wracaj, Carrie! - wołała, ale Carrie wciąż szła przed siebie. Zdawała się biec. Niepodobna jej dogonić.

- Carrie! - wołała. - Carrie! - Głos jej zamierał w oddali, cichł, a dziwne wody zalewały wszystko. Cierpiała jak jeszcze nigdy w życiu. Miała wrażenie, że coś bezpowrotnie utraciła.

Sceny takie przesuwały się przez mózg Minnie. Upiorne, dziwaczne. Jedna zjawiała się po drugiej. Wreszcie krzyknęła, gdyż śniło się jej, że Carrie wdziera się na skałę, ale palce jej się ześliznęły i Minnie widzi, jak siostra leci w przepaść.

- Co się stało, Minnie? - zawołał Hanson, budząc ją i potrząsając za ramię.

- Co, co się stało? - sennie powtórzyła Minnie.

- Obudź się i odwróć się na drugi bok... Mówisz przez sen. Mniej więcej w tydzień po tych zdarzeniach Drouet wstąpił do

Fitzgeralda i Moya, wytworny w ubraniu i mowie.

- Halo! - zawołał Hurstwood przez drzwi swego pokoju. Drouet zbliżył się do dyrektora, który siedział za biurkiem.

- Kiedy znowu w drogę? - zapytał Hurstwood.
- Niedługo - rzekł Drouet.
- Niewiele cię widziałem od ostatniej podróży.
- Byłem zajęty.

Chwilę rozmawiali o rzeczach ogólnych.

- Słuchaj! - zawołał Drouet, nagle olśniony jakąś myślą. - Może byś wstąpił do mnie wieczorem?

- A gdzie byśmy spędzili czas?

- U mnie, naturalnie!

Hurstwood spojrzał domyślnie. Coś jakby uśmiech przebiegł mu po wargach. Czas jakiś przyglądał się Drouetowi we właściwy sobie mądry sposób, po czym rzekł z miną dżentelmena:

- Doskonale. Chętnie.
- Zagramy w karty.
- Mogę przynieść buteleczkę *sec*? - uśmiechnął się dyrektor.
- Oczywiście - rzekł Drouet. - Przedstawię cię.

Rozdział IX

CO MOŻE WYKRZESAĆ KONWENCJONALNOŚĆ: OKO, KTÓRE JEST ZIELONE

Rezydencja Hurstwooda w dzielnicy Północnej koło Parku Lincolna był to budynek z czerwonej cegły, o typie bardzo rozpowszechnionym podówczas. Trzypiętrowy dom z parterem, niewiele wznoszącym się ponad poziom ulicy. Na drugim piętrze jedno wielkie okno łukowej przed frontem - trawnik, na dwadzieścia pięć stóp długi i na dziesięć szeroki. Za domem podwórko mieszczące stajnię, w której stał koń i powozik.

Dziesięć pokoi tego domu zajmował Hurstwood, jego żona Julia oraz dwoje dzieci, George junior i Jessica. Tę ilość osób uzupełniała służąca reprezentowana przez dziewczęta rozmaitego typu, bowiem pani Hurstwood niełatwo było dogodzić.

- George! Odprawiłam wczoraj Mary! - nierzadko było powitaniem męża przed obiadem.

- Doskonale! - brzmiała odpowiedź, od dawna bowiem przestał dyskutować w domu na niemiłe tematy.

Pogodna atmosfera domowa to jeden z najpiękniejszych kwiatów na świecie. Jest to najdelikatniejszy, najsubtelniejszy i najbardziej pewny pokarm, jaki zna natura. Ludzie wzrosli w jej atmosferze i odżywiani nią wyrastają na typy silne i prawe. Ci, którzy nie znali w życiu jej błogosławionego wpływu, nie pojmą nigdy, dlaczego przy dźwiękach jakiejś melodii łzy nabiegają do oczu. I nie posłyszą nigdy mistycznych chórów, które zniewalają i wprawiają w drżenie serca narodów.

Nie można powiedzieć, iżby rezydencja Hurstwooda przesiąknięta była takim duchem domu. Brakowało jej owej wyrozumiałości i wzajemnego szacunku, bez którego dom jest niczym. Były tam wytworne sprzęty, ustawione artystycznie (o ile pozwalał na to smak mieszkańców). Były miękkie kobierce, bogato kryte fotele i kanapy, wielki fortepian, rzeźba marmurowa przedstawiająca Wenus, dłuta nieznanego artysty, mnóstwo drobiazgów, pochodzących Bóg wie skąd, a sprzedawanych tak chętnie przez dostawców wraz z tym wszystkim, co czyni dom ostatecznie urządzonym.

W pokoju jadalnym stał kredens wypełniony błyszczącymi karafkami i innymi naczy-

niami i przedmiotami ze szkła, sposób ustawienia których nie mógł wywołać żadnych zastrzeżeń. Tu Hurstwood znalazł się na rzeczy. Nie bez zadowolenia wtajemniczał każdą nową Mary natychmiast po jej przybyciu do domu w arkana swojej sztuki. Zresztą nie był z natury rozmowny. Przeciwnie, zachowywał w stosunku do całokształtu życia swoich najbliższych pewnego rodzaju rezerwę, objętą popularnym terminem „dzentelmeneria”. Nie kłócił się, był powściągliwy w mowie. W zachowaniu miał coś z dogmatyka. Czego nie potrafił zwalczyć, to pomijał milczeniem. Miał tendencję odchodzić od rzeczy niewykonalnych.

Swego czasu był formalnie rozkochany w swojej Jessice, zwłaszcza gdy był młodszy i gorzej szły mu interesy. Ale teraz, w siedemnastym roku życia, Jessica zdradzała pewną rezerwę zachowania i niezależności przekonań, nie sprzyjających rozwojowi uczuć rodzicielskich. Uczęszczała do szkoły wyższej i miała o życiu pojęcia patrycjuszki. Przyjaźniła się w swojej szkole z córkami ludzi naprawdę majątnych, którzy byli współnikami i właścicielami solidnych firm. Dziewczęta te przybierały ton odpowiadający wspaniałości ich domowego środowiska. Były to jedyne koleżanki, z którymi Jessica utrzymywała stosunki.

Młody Hurstwood, George junior, liczył rok dwudziesty pierwszy. Zdążył nawiązać obiecujący stosunek z pewną firmą pośredniczącą w nabywaniu gruntów. Nie przyczynił się jeszcze do powiększenia budżetu domowego, ale mówiono, że oszczędza, gdyż chce założyć interes na własną rękę. Był średnio zdolny, dostatecznie próżny, rozmiłowany w zabawach, nie na tyle jednak, aby przynajmniej teraz przeszkadzało mu to w pracy. Wychodził z domu i wracał, wykonywał swoje plany i spełniał swoje fantazje, od czasu do czasu zwiierzając się z czymś matce, kiedy niekiedy opowiadając jakieś zdarzenie ojcu, ale przeważnie ograniczając się do tych ogólników, do jakich sprowadza się większość rozmów. Nie obnażał przed nikim swoich pragnień, zresztą w domu nikogo to właściwie nie interesowało.

Pani Hurstwood należała do typu kobiet, które zawsze pragną błyszczeć i są mniej lub więcej zmartwione widząc, że inne kobiety mają do tego więcej danych. Jej znajomość życia ograniczała się do tego małego konwencjonalnego kółka, do którego pragnęła należeć, ale nie należała. Nie można powiedzieć, iżby nie zdawała sobie sprawy, że jest to rzecz niemożliwa, przynajmniej dla niej. Miała nadzieję, że córce lepiej się powiedzie. Będzie mogła wznieść się nieco przez Jessikę. Przez George'a juniora, dzięki jego powodzeniom w interesach, uzyska przywilej noszenia się dumnie. Zresztą Hurstwoodowi powodziło się nieźle. Majątek jego dotychczas nie był znaczny, ale dochody miał piękne i poważne stano-

wisko u „Fitzgeralda i Moya”. Obaj ci dżentelmeni żyli z nim na stopie prawie przyjacielskiej.

Atmosfera, którą tego rodzaju osoby roztaczają dokoła siebie, musi rzucać się w oczy każdemu. Objawiała się w tysiącu małostkowych rozmów tego samego kalibru.

- Wyjeżdżam jutro do Fox Lake - oznajmił George junior pewnego piątku wieczorem.

- A po co? - pytała pani Hurstwood.

- Eddie Fahrway kupił nową motorówkę i mamy wypróbować, czy jest co warta.

- Ile go kosztuje? - interesowała się matka.

- Przeszło dwa tysiące dolarów. Mówi, że szyk.

- Stary Fahrway musi robić pieniądze - wtrącił Hurstwood.

- Zdaje mi się. Jack mówił, że wysyłają teraz Vegacura do Australii. Mówił, że sprzedali całą pakę do Cape Town w zeszłym tygodniu.

- Pomyślcie tylko! - powiedziała pani Hurstwood. - A przecież pięć lat temu posiadali tylko tę chałupinę przy ulicy Madisona.

- Jack mówi, że z wiosną mają budować sześciopiętrowy dom przy ulicy Robay.

- Pomyślcie tylko! - zawołała Jessica.

W takich okolicznościach Hurstwood zdradzał ochotę wynieść się jak najwcześniej.

- Muszę iść do miasta - mówił wstając.

- Czy pójdziemy w poniedziałek do państwa Vicker? - pytała pani Hurstwood ze swego miejsca.

- Tak - odpowiadał obojętnie.

Kończyli obiad, a on tymczasem szedł na dół po kapelusz i płaszcz. Nagle drzwi skrzypnęły.

- Zdaje mi się, że papa wyszedł - powiedziała Jessica. Jej szkolne nowiny były szczególnie frapujące.

- W liceum urządzą przedstawienie amatorskie - powiedziała pewnego dnia. - Mam w nim wziąć udział.

- Naprawdę? - zapytała matka.

- Tak, więc muszę mieć nową suknię. Kilka najpiękniejszych dziewcząt ze szkoły ma grać. Miss Palmer dostanie rolę Porcji.

- Naprawdę? - zapytała pani Hurstwood.

- Udało im się zaprosić znowu tę Martę Griswold. Wyobraża sobie, że potrafi grać!

- Jej rodzina nic nie znaczy, prawda? - zapytała pani Hurstwood. - Przecież nie mają grosza, prawda? - dodała życzliwie.

- Nie - odrzekła Jessica. - Są biedni jak myszy kościelne.

Rozróżniała skwapliwie bardziej znaczących od mniej znaczących wśród kolegów w szkole, z których niejednego pociągała jej uroda.

- Wiesz? - mówiła pewnego wieczora matce - ten Herbert Grane narzuca mi się ze swoją przyjaźnią!

- Kto to jest, moja droga? - zainteresowała się pani Hurstwood.

- Ach, nikt! - powiedziała Jessica odymając swoje ładne usteczka. - Jest po prostu studentem. Nie ma nic.

Druga strona obrazu ukazała się, gdy młody Blyfford, syn Blyfforda, fabrykanta mydła, odprowadził ją do domu. Pani Hurstwood była w pokoju na trzecim piętrze. Siedziała w bujaku i wyglądała oknem.

- Kto to był, Jessico? - zapytała, gdy córka weszła do pokoju.

- Pan Blyfford, mamó - odpowiedziała.

- Naprawdę? - zapytała pani Hurstwood.

- Tak. Zaprasza mnie na przechadzkę po parku - powiedziała Jessica zarumieniona nieco od szybkiego wejścia po schodach.

- Dobrze, kochanie - odpowiedziała matka. - Ale nie wracaj późno.

Patrzyła przez okno na tych dwoje, gdy szli ulicą. Był to widok bardzo obiecujący, bardzo obiecujący.

W takiej oto atmosferze obracał się Hurstwood przez wiele lat, mało zresztą myśląc o niej. Nie leżało w jego naturze pożądać czegoś lepszego, chyba że to lepsze było natychmiast osiągalne i kontrastowało z tym, co posiadał. Tak jak było, brał i dawał, irytując się czasami na dowody bezwzględności egoizmu swojej rodziny, radując kiedy niekiedy pewnymi oznakami wytworności, które nadawały jej pozory godności i dystynkcji. Żył właściwie życiem instytucji, którą kierował. Tam spędzał większą część czasu... Gdy wieczorem wracał z biura, dom wydawał mu się bardzo miły. Z małymi wyjątkami kuchnia była znośna, potrawy w rodzaju tych, jakie zwykła służąca potrafi przyrządzić. Interesował się nawet poniekąd rozmowami córki i syna, którzy zawsze wyglądali dobrze. Próżność pani Hur-

stwood uczyniła, iż trzymała się zawsze z pewną rezerwą, ale Hurstwood wolał to od zupełnej szczerości. Miłość ich niezupełnie wygasła. Nie było między nimi uczucia głębszego niezadowolenia. Opinie pani Hurstwood nie były pod żadnym względem ciekawe. Nie mówili nigdy ze sobą aż tyle, żeby dochodziło między nimi do argumentacji. Jak się to popularnie i ogólnie mówi, on miał swoje zdanie, ona swoje. Spotykał czasami jakąś młodą kobietę, która pięknnością, sprytem, młodością górowała nad jego żoną: żona jego traciła przez to porównanie. Ale chwilowe podrażnienie wywołane takim porównaniem znajdowało *antidotum* w świadomości swego stanowiska społecznego i pewnego rodzaju dyplomacji. Nie mógł komplikować swego prywatnego życia przez wzgląd na chlebodawców. Nie chcieli skandalu. Człowiek pragnący utrzymać swoje stanowisko musi mieć dystyngowane manieiry, czyste konto i uregulowane stosunki domowe. Był śledzony na każdym kroku. Więc jeżeli pokazywał się w publicznych lokalach w niedzielę po południu lub w sobotę wieczorem, to z żoną albo czasami z dziećmi. Odwiedzał bardziej znane restauracje w Chicago albo jeździł do Wisconsin, spędzając kilka dni na wycieczkach. Robił to co wszyscy i tak jak wszyscy. Wiedział, że tak trzeba.

Kiedy ktoś z jego licznych znajomych z średniej klasy wpadał w kłopoty natury moralnej, Hurstwood kiwał głową. Nie mówi się o takich rzeczach. Jeżeli jednak dochodziło do dyskusji między ludźmi, których zaliczał do przyjaciół, surowo karciał winowajcę: „Mógł to zrobić... każdy ostatecznie to robi - ale dlaczego nie przedsięwziął ostrożności? Człowiek nigdy nie może być za ostrożny”. Tracił życzliwość dla człowieka, który zbłądził i dał się przyłapać.

W tym celu poświęcał zawsze trochę czasu na pokazywanie się z żoną. Byłaby to rzecz zgoła nieznośna, gdyby nie ludzie, z którymi miał sposobność spotykać się wtedy, i nie zabawa, której nie mogła popsuć nawet obecność żony. Śledził ją naówczas z rodzajem zainteresowania, była bowiem jeszcze pociągająca i mężczyźni patrzyli na nią. Była pusta, próżna, lubiła pochlebstwa. Kombinacja ta, wiedział to dobrze, łatwo mogła stać się tragedią dla kobiety w jej warunkach życiowych. Z natury był nieufny względem kobiet. Żona jego zresztą nigdy nie posiadała cnót, które mogłyby pozyskać ufność lub oczarować mężczyznę jego pokroju. Dopóki kochała go namiętnie, wiedział, na ile może jej ufać. Ale gdy miłość przestała być ogniwem łączącym... wszystkiego mógł oczekiwać!

Przez ostatni rok czy dwa wydatki na rodzinę znacznie wzrosły. Jessica żądała wciąż

nowych sukien, a pani Hurstwood, nie chcąc dać się zdystansować córce, również zaczęła się stroić. Hurstwood z początku nic nie mówił, wreszcie zaczął szemrać.

- Jessica musi sobie sprawić nową suknię w tym miesiącu - powiedziała pewnego ranka pani Hurstwood.

Hurstwood ubierał się właśnie przed lustrem w jedną ze swoich cudownych kamizelek.

- Zdawało mi się, że już kupiła jedną suknię - powiedział.

- Była to suknia wieczorowa - tłumaczyła pani Hurstwood.

- Zdaje mi się, że w ostatnich czasach strasznie dużo wydaje na stroje - powiedział Hurstwood.

- Więcej teraz bywa - odrzekła małżonka. Uderzyło ją w tonie męża coś, czego dotychczas nie знаła.

Nie należał do ludzi, którzy wiele podróżują, ale gdy zdarzyło mu się wyjeżdżać, zawsze brał ją ze sobą. Kiedyś jednak powstał projekt pikniku kawalerskiego - dziesięcioodniowa wycieczka do Filadelfii. Zaproszono Hurstwooda.

- Nikt nas tam nie zna - tłumaczył jegomość o twarzy zdradzającej kompletną bezmyślność i dużą zmysłowość (nosił zawsze cylinder olbrzymich rozmiarów). - Moglibyśmy się zabawić - lewe jego oko mrugnęło prawie porozumiewawczo.

- Jedź z nami, George.

Nazajutrz Hurstwood oznajmił żonie:

- Wyjeżdżam na kilka dni, Julio!

- Dokąd? - podniosła głowę.

- Do Filadelfii... za interesami. Patrzyła na niego, jakby czegoś oczekując.

- Tym razem będę cię musiał zostawić w domu.

- Dobrze - odrzekła, ale czuł, że uważa to za dziwne. Przed odjazdem zadała mu kilka pytań, co go zirytowało. Zaczął odczuwać całą przykrość takiego skrepowania.

Na wycieczce bawił się doskonale i nie mógł odżałować, że się skończyła. Nie był rozpustnikiem i nie lubił opowiadać o swoich przygodach. Incydent ograniczył się do kilku uwag, ale pani Hurstwood nie przestała o nim myśleć poważnie. Zaczęła więcej bywać, ubierała się staranniej, uczęszczała do teatrów.

Atmosfera tego rodzaju nie może być zaliczona do kategorii „domowego ogniska”.

Życie Hurstwoodów płynęło siłą przyzwyczajenia, siłą konwensu. Z czasem musiało się stać coraz suchsze, łatwiej zapalne, niebezpieczniejsze.

Rozdział X

TAJEMNICE ZIMY: AMBASADOR FORTUNY ZGŁASZA SIĘ

W świetle poglądów świata na kobietę i jej obowiązki, stan duchowy, w jakim żyła obecnie Carrie, zasługuje na to, aby się nad nim zastanowić. Do czynów takich, jak jej, przykłada się zazwyczaj arbitralnie ustaloną miarę. Społeczeństwo posiada konwencjonalny wzór, według którego ocenia każdą rzecz. Wszyscy mężczyźni powinni być szlachetni, wszystkie kobiety - cnotliwe. Dlaczegoś zbłądził, grzeszniku?

Pomimo wszystkich liberalnych rozważań Spencera i nowoczesnych filozofów naturalistycznych nasze pojęcia moralności wciąż jeszcze tkwią w powijakach. Jest w zagadnieniu moralności coś więcej niż proste uzgodnienie z prawami ewolucji. Sięga ono głębiej niż do rzeczy czysto ziemskich i obejmuje więcej, niż nam się wydawać może. Odpowiedz, dlaczego serce bije? Wytłumacz, dlaczego pewne żalosne melodie wędrują po świecie, wiecznie żywe? Wyjaśnij alchemię róży, której barwny kwiat rozkwita zarówno w deszcz, jak i w pogodę. Na dnie tych faktów kryją się pierwsze zasady moralności.

- O! - myślał Drouet - jak rozkoszne jest moje zwycięstwo.

- O! - myślała Carrie z ponurym zwątpieniem - czym jest to, com utraciła?

Stoimy wobec tego starego jak świat zagadnienia poważni, zatroskani, zmieszani, usiłując odnaleźć istotną teorię moralności, istotną odpowiedź, co jest słuszne?

Z punktu widzenia pewnych warstw społeczeństwa Carrie urządziła się wygodnie. W oczach nędzarza przymierającego głodem, smaganego deszczem i wichrem, dobiła do spokojnej przystani. Drouet wynajął trzy umeblowane pokoje na placu Ogden, z widokiem na park Union, w dzielnicy Zachodniej. Był to miły, pokryty zielonym kobiercem traw plac, który i dzisiaj jeszcze nie ma równego sobie pięknnością w całym Chicago. Z mieszkania rozpościerał się przemiły widok. Okno najlepszego pokoju patrzyło na trawniki parku, teraz ponure i brunatne, wśród których połyskiwały małe stawki. Nad nagimi gałęziami drzew kołyszących się w zimowym wichrze wznosiły się wieżycy kongregacyjnego kościoła, a het,

w oddali - wieże innych świątyń.

Pokoje były dość komfortowo umeblowane. Na podłodze leżał piękny dywan brukselski, bogaty w tony żółte i pąsowe i wyobrażający olbrzymią żardinierkę pełną wspaniałych egzotycznych kwiatów. Między dwoma oknami stało wielkie lustro. Szeroka, miękka, kryta zielonym pluszem kanapa zajmowała jeden róg pokoju. Kilka foteli bujających, obrazy, kilimy, drobiazgi - wypełniały wnętrze tego apartamentu.

W sypialni, do której wchodziło się z pokoju frontowego, stał kufer Carrie kupiony przez Droueta, a w szafie ściennej wisiały szeregi sukien przeznaczonych na najrozmaitsze okazje. Był jeszcze pokój trzeci. Drouet kazał tam wstawić dla Carrie piecyk gazowy, na którym mogła przyrządzać śniadania - ostrygi i inne przysmaki, które lubił pasjami. Wreszcie - łazienka. Całość była przytulna, oświetlona gazem, ogrzewana centralnie. W jednym pokoju mieścił się nawet mały kominek wykładany azbestem - sposób ogrzewania, który wtedy zaczął wchodzić w modę. Przy pracowitości i zamiłowaniu do porządku Carrie, a cnoty te rozwinęła teraz, mieszkanie miało niesłychanie miły wygląd.

A więc tu wygodnie osiedliła się Carrie, wyzwolona z jednych trudności (które tak boleśnie dały się jej we znaki), obciążona trudnościami innymi (przeważnie natury moralnej), a tak zupełnie przeniesiona w odmienne warunki i oderwana od swego poprzedniego życia, jak gdyby przeistoczyła się w inną, nową istotę. Patrzyła w zwierciadło i widziała Carrie piękniejszą od tej, którą знаła przedtem. Patrzyła w swoją duszę - zwierciadło, odbijające sąd jej własny i sąd świata o niej - i widziała Carrie gorszą. Między tymi dwoma odbiciami wahała się niepewna, któremu wierzyć?

- Ależ ty jesteś skończenie piękna! - wołał czasem Drouet.

Patrzyła na niego wielkimi, radosnymi oczami.

- Wiesz o tym, prawda?

- Och, naprawdę nie wiem - odpowiadała uradowana, że ktoś może uważać ją za ładną; niepewna, czy jest dość próżna (a była taka), żeby w to uwierzyć.

W głębi ducha Carrie nie zgadzała się z Drouetem, który tylko chwalił ją. Głos sumienia mówił jej coś wręcz przeciwnego. Z głosem tym spierała się, tłumaczyła mu, przedkładała. Nie był to sprawiedliwy ani mądry doradca. Było to sobie małe, przeciętne sumienie. Reprezentowało świat, dawne otoczenie Carrie, jej przyzwyczajenia, jej zasady w dziwnie zagmatwany sposób.

- Och, ty grzesznico! - mówił ów głos.

- Dlaczego? - pytała.

- Spójrz na inne - szeptał. - Spójrz na te, które pozostały cnotliwe. Jakże by się broniły uczynić to, coś ty uczyniła! Spójrz na cnotliwe dziewczęta! Odwróciłyby się od takiej, gdyby wiedziały, żeś była grzeszna i słaba. Nie próbowałaś walczyć, zanim upadłaś!

Tylko w chwilach samotności i zapatrzenia się w park słuchała Carrie tego głosu. Zdarzało się to nieczęsto, kiedy nic innego nie wchodziło w drogę, kiedy przyjemna strona jej życia nie narzucała się zbyt wyraźnie, kiedy Drouet był nieobecny. Głos ten brzmiał z początku nawet wyraźnie, nigdy jednak przekonywająco. Znajdywała zawsze odpowiedź: zawsze występował strach przed grudniem. Była sama. Tylu rzeczy jej brakowało. Bała się zimna. Potrzeba odpowiadała za nią.

Gdy mija pogodne lato, miasto przywdziewa szarą oponczę i otulone w nią, wiedzie w ciągu długiej zimy swoje pracowite życie. Nieskończone rzędy, budynków wydają się szare. Niebo i ulice przybierają ponury odcień; obnażone, pozbawione liści drzewa i podrywany wichrem pył i skrawki papieru tylko pogłębiają ogólną ponurość kolorytu. Wydaje się, że jest coś w zimnym podmuchu, co gna przez długie ulice roje smutnych myśli. Nie tylko poeci, nie tylko artyści, którzy tak lubią uzurpować sobie prawa do wszelakich przeżyć, to czują, ale i psy, ale i przeciętni ludzie. Bo czują oni tak samo, jak poeta, tylko brak im jego siły ekspresji. Wróbel na drucie telegraficznym, kot na progu domu, szkapa wlokąca ciężki wóz - każde z nich czuje ostry, przejmujący podmuch zimy. Przenika on wszystko, zarówno żywe istoty, jak i rzeczy martwe. Gdyby nie sztuczne ogniska wesela, gdyby nie pogoń za zyskiem i możliwość kupienia sobie przyjemności, gdyby nie wystawy sklepowe, gdyby na ulicach nie barwny tłum kupujących i żadnych rozrywek - prędko byśmy odczuli, jak ciężko spada nam na serce zimna dłoń zimy. Jakże smutne są dni, w których słońce skąpi nam skromnej porcji światła i ciepła! Zależy od nich więcej, niż się zdawać może. Jesteśmy owadami, które rodzi ciepło i które bez ciepła giną.

Podczas takich ponurych dni tajemniczy głos odzywał się w duszy Carrie - ale słabiej, coraz słabiej. Bo nie zawsze nękały Carrie rozterki duchowe. Nie była ponura. Co więcej, nie miała natury dociekliwej, nie poszukiwała prawdy. Jeśli nie mogła znaleźć wyjścia z labiryntu nielogiczności, jaki tworzyło myślenie o danym przedmiocie - po prostu odwracała się od niego.

Drouet przez cały ten czas zachowywał się wzorowo jak na człowieka w jego położeniu. Dotrzymywał jej towarzystwa, wydawał na nią pieniądze, zabierał ją ze sobą wyjeżdżając. Czasami zdarzało się, że zostawała na jeden lub dwa dni sama, kiedy wyjeżdżał na krótko, ale przeważnie wciąż byli razem.

- Słuchaj, Carrie - powiedział pewnego ranka krótko po zainstalowaniu się w nowym mieszkaniu - zaprosiłem mego przyjaciela, Hurstwooda.

- Kto to? - zapytała nieufnie.

- Och, bardzo miły człowiek! Jest dyrektorem u „Fitzgeralda i Moya”.

- Cóż to takiego?

- Najpiękniejsza restauracja w mieście. Bardzo elegancka i uczęszczana.

Carrie milczała. Ciekawa była, co Drouet powiedział o niej przyjacielowi i jak ten będzie ją traktował.

- Wszystko w porządku - powiedział Drouet, odgadując jej myśli. - Nie wie o niczym. Jesteś teraz panią Drouet.

Było w tym coś, co uderzyło Carrie jako niedelikatność. Przekonała się, że Drouet nie ma za grosz subtelności.

- Dlaczego się nie pobieramy? - zapytała, nawiązując do obietnic, które jej był poczynił w swoim czasie.

- Ależ pobierzemy się, jak tylko skończę z tym interesem, o którym ci mówiłem.

Chodziło o małą posiadłość, którą kupił i która mu sprawiła mnóstwo kłopotów, starań i Bóg wie czego. W każdym razie w ten czy inny sposób stała na przeszkodzie do zawarcia małżeństwa.

- Jak tylko wrócę ze styczniowej podróży do Denver, pobierzemy się - mówił.

Carrie przyjęła to jako podstawę do nadziei, był to rodzaj ratunku dla jej sumienia, przyjemne wyjście z sytuacji. W ten sposób rzeczy dałyby się ułożyć. Czyn jej znajdzie usprawiedliwienie.

Właściwie nie była wcale zakochana w Drouecie. Była mądrzejsza od niego. W mglisty sposób zaczęła pojmować, czego mu brakuje. Gdyby nie to, gdyby nie potrafiła wyrobić sobie o nim samodzielnego sądu, byłoby dla niej o wiele gorzej. Byłaby go uwielbiała. Byłaby wysoce nieszczęśliwa, drżąc o jego miłość, bojąc się, że go straci, że on ją porzuci, że zostanie sama na świecie. Z początku starała się przywiązać go do siebie, potem jednak po-

stanowiła czekać spokojnie. Nie była pewna, co o nim właściwie myśli i czego od niego chce.

Gdy zjawił się Hurstwood, ujrzała w nim człowieka o wiele mądrzejszego od Droueta. Odnosił się do kobiet w ów szczególny sposób, który każda kobieta tak ceni. Nie był przesadny, nie był zbyt uniżony. Wielki jego urok polegał na tym, że był uważny i taktowny. Nauczywszy się czarować pięknie opierzone ptaki swojej płci - kupców i biznesmenów odwiedzających restaurację Fitzgeralda i Moya - potrafił okazać jeszcze większy takt, gdy w grę wchodził ktoś, kto mu się naprawdę podobał. Największą podniecie znajdował w pięknych kobietach odznaczających się delikatnością i wytwornością. Był spokojny, miły, pewny siebie. Robił wrażenie, że chciałby się cały oddać na ich usługi, że zrobi wszystko, co damie sprawiłoby przyjemność.

I Drouet pod tym względem okazywał pewne zdolności, zwłaszcza gdy gra warta była świeczki. Nazbyt jednak był egoistą, by starać się osiągnąć ów polot, jakim odznaczał się Hurstwood. Był zbyt impulsywny, żądny życia, zarozumiały. Odnosił zwycięstwo nad kobietami, którym obca była sztuka miłości. Przegrywał haniebnie, jeżeli trafił na kobietę trochę doświadczoną, obdarzoną wrodzoną wytwornością. W Carrie znalazł kochankę, która podpadała pod kategorię drugą, a w której nie było nic z kategorii pierwszej. Był szczęśliwy, że los rzucił mu ją w ramiona taką, jaką była. W kilka lat później, gdy osiągnęła doświadczenie i powodzenie, nie mógłby nawet marzyć o zbliżeniu się do Carrie.

- Powinieneś mieć tu pianino, Drouet - rzekł Hurstwood, uśmiechając się do Carrie - żeby twoja żona mogła grywać.

Drouetowi nie przyszło to do głowy.

- Musimy koniecznie o tym pomyśleć - powiedział wesoło.

- O, ja nie gram! - ostrzegła Carrie.

- To żadna sztuka - rzekł Hurstwood. - Nauczy się pani w parę tygodni.

Był owego wieczora w najlepszej formie towarzyskiej. Garnitur jego był nowy i szczególnie wytworny. Klapy marynarki sterczały z tą sztywnością, jaka cechuje doskonały strój. Kamizelka była ze wspaniałej szkockiej materii, przybrana podwójnym rzędem guzów z masy perłowej. Krawat Hurstwooda był wspaniałą kombinacją jedwabnych nici, ani krzyżący, ani ponury. To, co nosił Hurstwood, nie rzucało się w oczy tak, jak ubranie Droueta. Carrie od razu spostrzegła, że jest szczytem elegancji. Trzewiki Hurstwooda były z miękkiej

czarnej skóry, błyszczące tylko tyle, ile było potrzeba. Drouet nosił lakierki, ale Carrie nie mogła stłumić w sobie podziwu dla miękkiej skóry, która tak dystyngowanie odbijała od reszty bogatego stroju. Zauważyła te szczegóły prawie podświadomie. Wpływało to zresztą z sytuacji. Przywykła do widoku Droueta.

- Może zagramy partyjkę? - zapytał Hurstwood po chwili lekkiej rozmowy. Niesłychanie zręcznie unikał wszystkiego, co mogło zdradzić, że wie cośkolwiek o przeszłości Carrie. Trzymał się z daleka od wszystkich kwestii osobistych i poruszał tematy raczej bezosobowe. Dzięki temu manewrowi Carrie czuła się zupełnie swobodnie w jego towarzystwie. Bawiły ją jego żarty i dowcipy. Udawał szczerze zainteresowanie wszystkim, co Carrie mówiła.

- Nie umiem grać w karty - powiedziała Carrie.

- Charlie, zaniedbujesz swoje obowiązki! - rzucił do Droueta z wyrzutem. - Gramy w swoim kółku... nauczymy panią.

Taktem swoim dał do poznania Drouetowi, że jest zachwycony jego wyborem. Było w zachowaniu Hurstwooda coś, co wskazywało wyraźnie, że mu jest u nich przyjemnie. Drouet czuł dla Hurstwooda większą niż kiedykolwiek życzliwość. I więcej przez to cenił Carrie. Pochwały Hurstwooda stawiały ją w innym, nowym świetle. Sytuacja poprawiła się jeszcze.

- Zobaczymy, co pani ma - rzekł Hurstwood, zaglądając w karty Carrie przez ramię. - Co też pani ma? - przyglądał się chwilę kartom. - Wcale nieźle - dodał. - Ma pani szczęście! Nauczę panią, jak się wsadza męża.

- Słuchajcie no - śmiał się Drouet. - Jeżeli zaczniecie wspólnie spiskować przeciwko mnie, to ładnie wpadnę! Hurstwood to szczęściarz, trzeba ci wiedzieć!

- Nie, to twoja żona... ona przynosi mi szczęście. Dlaczego pani nie miałyby wygrać?!

Carrie spojrzała z wdzięcznością na Hurstwooda i uśmiechnęła się do Droueta. Hurstwood przybrał ton przyjacielski. Przyszedł po prostu po to, żeby się zabawić. Wszystko, co robi Carrie, jest mu przyjemne.

- O - powiedział, zatrzymując jedną ze swoich dobrych kart i dając Carrie sposobność do wzięcia lewy. - Uważam, że to bardzo dobrze zagrane jak na początkującą.

Carrie śmiała się wesoło. Miała wrażenie, że jest niezwykczona, skoro on podjął się jej pomagać.

Nie spoglądał na nią często. Gdy to robił, w oczach jego zapalały się łagodne błyski. Nie dostrzegłbyś w nich cienia czegoś, co nie było tylko dobrocią i życzliwością. Zwykle mądre i sprytne spojrzenie zastąpił wyrazem niewinnym. Carrie nie mogła nie odczuć przyjemności bezpośredniego obcowania z nim. Czuła, że w oczach jego jest naprawdę czymś.

- To brzydko kazać nam grać za darmo - rzekł wreszcie sięgając do kieszonki w kamizelce. - Grajmy na pieniądze!

- Doskonale! - powiedział Drouet, wyjmując banknoty.

Hurstwood okazał się zreczniejszy od niego. Miał już pełne ręce nowych dziesięciocentówek.

- Już! - powiedział, zaopatrując każdego w pieniądze.

- Och! To nieładnie! To hazard! - powiedziała Carrie.

- Nie, to zabawa - śmiał się Drouet. - Jeżeli ograniczysz się do takiego tylko hazardu, to z pewnością pójdziesz do nieba.

- Proszę nie moralizować! - wesoło powiedział Hurstwood.

- Zanim pani się nie przekona, co się stanie z pieniędzmi. Drouet śmiał się.

- Jeżeli mąż pani wygra, to powie nam, czy to takie bardzo zdrożne.

Drouet śmiał się głośno.

Było coś tak przenikliwego w głosie Hurstwooda, ton jego był tak przekonujący, że Carrie odczuła ukryty humor.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał Hurstwood Droueta.

- W czwartek.

- To przykro mieć męża, który się tak obija po świecie, prawda? - zwrócił się Hurstwood do Carrie.

- Jeździ ze mną - bronił się Drouet.

- Musicie państwo koniecznie iść przedtem ze mną do teatru - nalegał Hurstwood.

- Naturalnie - zawołał Drouet. - Co, Carrie?

- Bardzo chętnie - odrzekła.

Hurstwood robił, co mógł, żeby Carrie wygrała. Cieszył się jej szczęściem, czuwał, żeby pieniądze przechodziły do niej, wreszcie zebrał dziesięciocentówki i włożył je do jej ręki. Zjedli skromną kolację, do której on dostarczył wina, po czym oddalił się taktownie.

- No - powiedział, wodząc oczyma po Carrie, a potem przenosząc je na Droueta - mu-

sicie być gotowi o wpół do ósmej. Zajadę po was.

Odprowadzili go do drzwi. Na ulicy czekał powozik. Czerwone latarnie wesoło połykiwały w mroku.

- Kiedy zostawiasz żonę samą - zwrócił się uprzejmie do Droueta - musisz pozwolić, żebym jej dotrzymywał towarzystwa. Postaram się ją zabawić.

- Naturalnie! - rzekł Drouet, bardzo zadowolony, że Hurstwood okazuje tyle względów Carrie.

- Pan jest taki dobry - unosila się Carrie.

- Ale nie! - bronił się Hurstwood. - Pani mąż zrobiłby to samo dla mnie!

Uśmiechnął się i odszedł lekkim krokiem. Carrie była pod wrażeniem tej wizyty. Nigdy w życiu nie zetknęła się z człowiekiem tak wytwornym. I Drouet był zadowolony.

- Szalenie miły człowiek - powiedział do Carrie, gdy wrócili do swego zacisznego mieszkanka. - I mój wielki przyjaciel.

- Takie robi wrażenie - powiedziała Carrie.

RS

Rozdział XI

NAMOWY MODY: UCZUCIE MA SIĘ NA BACZNOŚCI

Carrie orientowała się szybko na drogach fortuny - zwłaszcza tych, które nie prowadziły głęboko. Widząc rzecz jakąś, natychmiast zaczynała się zastanawiać, jak by też wyglądała w odniesieniu do niej? Powiedzmy, nie jest to uczucie szlachetne. Największe dusze nie podlegają mu; i przeciwnie, nie dręczy ono umysłów najniższych. Piękne suknie były dla Carrie argumentem przekonywającym. Przemawiały tkliwie i po jezuicku za sobą.

Gdy znalazła się w takiej od nich odległości, że mogła słyszeć, co mówią, pragnienie posiadania kazało jej dawać im życzliwy posłuch. Głos tak zwanych przedmiotów martwych! Któż przetłumaczy nam język kamieni?

- Moja kochana - mówił koronkowy kołnierz, który przymierzała u Patridge'a - jest ci we mnie bardzo ładnie. Weź mnie.

- Och, te małe nóżki! - mówiła delikatna skóra nowych trzewików. - Jak ślicznie je obuwam! Co by to była za szkoda, gdyby kiedykolwiek pozbawione były mojej opieki.

Skoro te rzeczy raz dostały się do rąk Carrie, skoro miała je już na sobie, mogła do woli marzyć o wyrzeczeniu się ich. Sposób, w jaki do nich doszła, narzucał się Carrie z taką intensywnością, że chętnie przestałaby o nich myśleć - ale nie mogła ich się wyrzec! „Przebierz się w starą suknię... włóż stare trzewiki...” - nadaremnie upominało ją sumienie. Potrafiłaby prawdopodobnie przewyciężyć obawę głodu i wrócić; myśl o ciężkiej pracy w nieprzyjemnym otoczeniu pod naporem sumienia nie wydałaby się jej może aż tak straszna. Ale ze psuć swoją powierzchowność? Być źle ubraną? Brzydką? Nigdy!

Drouet podtrzymywał w Carrie ten nastrój i dodawał ze swej strony wszystko, co mogło osłabić jej siły i zmniejszyć odporność. Tak łatwo się to udaje, skoro prowadzi się atak w myśl czyjegoś pożądanego! We właściwy sobie impulsywny sposób dbał o elegancki wygląd Carrie. Patrzył na nią z zachwytem i ona przyjmowała to bezkrytycznie. Pod tym względem nie potrzebowała kształcić siebie, jak inne piękne kobiety. Zdobyła tę wiedzę w samą porę. Drouet miał zwyczaj, charakterystyczny dla ludzi jego pokroju, oglądania się za stylowo ubranymi kobietami na ulicy i robienia o nich uwag. Miał w sobie właśnie tyle ko-

biecego zamięłowania do strojów, aby być wytrawnym sędzią - nie intelektu, lecz sukien. Widział, jak stawiają swoje małe nóżki, jak noszą głowy, jak się poruszają z wdziękiem i swobodą. Ładny, falisty ruch bioder kobiecych działał nań tak silnie, jak bukiet dobrego wina na znawcę. Odwracał się i śledził z zachwytem znikającą postać. Drżał jak dziecko z tajemnego pożądanego. Kochał, co kobiety kochają w sobie: wytworność. Klękał w zachwyce- niu przed ich ołtarzem.

- Widziałaś tę panią, która nas wyminęła? - zapytał Carrie pierwszego dnia, gdy wyszli razem na przechadzkę. - Co za chód! Cudowny! Prawda?

Carrie obejrzała się. Natychmiast zauważyła wytworność damy.

- O tak! - odpowiedziała wesoło. I w głowie jej zrodziła się obawa, że może popełnić ten czy inny błąd. Jeżeli to jest takie piękne, musi się temu uważniej przyjrzeć. Instynktowo nie czuła chęć dorównania. Z pewnością potrafi tak samo.

Zawsze tak było, że gdy ujrzała rzecz podziwianą, budzącą zachwyt, natenczas zaczynała przyglądać się jej uważnie i starała się naśladować. Drouet nie był dostatecznie delikatny, żeby pojąć swój nietakt. Nie mógł zrozumieć, że byłoby rozsądniej dać odczuć Carrie, że przeszła samą siebie, a nie, że nie dorównuje innym. Nie uczyniłby tego, mając do czynienia ze starszą, rozumniejszą niewiastą, ale w Carrie widział tylko nowicjuszkę. Głupszy od niej, nie mógł, oczywiście, pojąć jej wrażliwości. W dalszym ciągu uczył ją i ranił jej miłość własną - istne głupstwo u człowieka, w którym zachwyt dla pupilki i ofiary rósł z każdym dniem!

Carrie przyjmowała nauki pojętnie. Widziała, co lubi Drouet. W niejasny sposób dojrzała jego słabe strony. Zachwyt kobiety dla mężczyzny słabnie, skoro zobaczy, że tak łatwo i hojnie rozdaje swoje uwielbienie. Kobieta widzi na świecie jeden tylko przedmiot godny najwyższych komplementów i tym przedmiotem jest ona. Jeżeli mężczyzna pragnie odnieść zwycięstwo nad wieloma kobietami, musi się cały oddać każdej.

To, na co Carrie patrzyła w swoim własnym apartamencie, było lekcją z tego samego zakresu.

W tym co i oni domu mieszkał funkcjonariusz jednego z teatrów, Frank A. Hale, dyrektor „Standardu” z żoną, przystojną, trzydziestopięcioletnią brunetką. Byli to ludzie, jakich mamy teraz bardzo wielu w Ameryce: żyjący beztrąsko z dnia na dzień. Hale zarabiał około czterdziestu pięciu dolarów tygodniowo. Jego małżonka, bardzo pociągająca, młoda

usposobieniem, broniła się przed życiem domowym i założeniem rodziny. Podobnie jak Drouet i Carrie, zajmowali trzypokojowe mieszkanie, tylko o piętro wyżej.

Wkrótce po zainstalowaniu się Carrie pani Hale zawarła z nią znajomość i obie kobiety bardzo przypadły sobie do serca. Przez dłuższy czas pani Hale była jedyną towarzyszką Carrie. Toteż nauczyła się patrzeć na świat poprzez plotki pani dyrektorowej. Trywialność, pochwały, bogactwo, konwencjonalne pojęcie moralności, przefiltrowane przez mózg pani Hale spadły nieoczekiwanie na Carrie, wprowadzając ją początkowo w zdumienie.

Własne jej uczucia korygowały poniekąd ów wpływ. Nie należy bagatelizować jej nieustannego dążenia do stania się czymś lepszym. Miały na nią wpływ również rzeczy, które przemawiają do serca. W lokalu po drugiej stronie sieni mieszkała młoda dziewczyna z matką. Pochodziły z Evansville (stan Indiana). Były to córka i żona skarbnika kolejowego. Córka przyjechała dla studiów muzycznych. Matka - dla opieki nad nią.

Carrie nie знаła ich, ale widywała córkę, gdy ta wychodziła i wracała. Czasami widziała ją przy fortepianie w saloniku. Nieraz słyszała ją grającą. Młoda dziewczyna była szczególnie strojnie ubrana jak na swoją sferę. Nosila na palcach pierścionki, które połyskiwały, gdy grała.

Otóż Carrie była bardzo wrażliwa na muzykę. Niektóre tony znajdowały oddźwięk w jej nerwowej naturze. Podobnie i struny harfy zaczynają wibrować, gdy się uderzy w odpowiedni klawisz fortepianu. Pewne akordy budziły natychmiastowe echo w jej wrażliwej duszy, rodziły pragnienie rzeczy, których nie posiadała; zmuszały kochać więcej to, co posiadała. Jeden zwłaszcza utwór młoda pianistka grała z wyjątkowym uczuciem i tkliwością, Carrie słuchała go przez otwarte okna saloniku. Było to w owej godzinie między południem i wieczorem, gdy rzeczy łatwo nabierają wagi dla wędrowca i samotnika. Dusza odbywa wówczas dalekie wędrówki i wraca obdarzona brzemieniem umarłych nadziei i marzeń. Carrie siedziała w oknie, patrząc przed siebie. Drouet był nieobecny od godziny dziesiątej z rana. Starala się wypełnić sobie czas przechadzką, książką Berty M. Clay, którą Charlie zostawił (książka ta nie bardzo ją zająła), wreszcie przebrała się w wieczorową suknię. Potem usiadła patrząc w park, smutna i przybita jak przyroda w owej porze roku, kiedy wszystko zdaje się tęsknić do życia i zmian, jakie w tych warunkach zająć mogą. Gdy tak zadumała się nad swoim położeniem, spłynęła na nią muzyka. Muzyka ta zabarwiła i usidliła myśli Carrie. Wróciła do rzeczy najpiękniejszych i najsmutniejszych, jakie były w jej życiu. Na

chwilę wzbudziła się w niej skrucha.

W tym usposobieniu zastał ją Drouet, wnosząc ze sobą wręcz przeciwną atmosferę. Było już zupełnie ciemno, ale Carrie nie zapalała światła. Ogień na kominku również wygasł.

- Gdzie jesteś, Cad? - zawołał na nią pieszczotliwym imieniem, jakie jej nadał.

- Tutaj - odpowiedziała.

Było coś smutnego i tkliwego w jej głosie, ale on nie wyczuł tego. Nie miał w sobie nic poetycznego, co mogłoby mu pomóc pocieszyć kobietę w położeniu Carrie, pomóc jej przebyć tragiczne momenty. Zamiast tego potarł zapałkę i zapalił gazową lampę.

- Halo! - zawołał. - Płakałaś?

Oczy miała wilgotne od łez.

- Nie rób tego, Cad! - powiedział.

Ujął jej dłoń, podejrzewając w swoim egoizmie, że to długa jego nieobecność tak wpłynęła na Carrie.

- No no! - powiedział. - Już dobrze! Już dobrze! Potańczmy trochę pod tę muzykę.

Nie mógł zrobić głupszej propozycji. Carrie zrozumiała, że nie jest w stanie z nią współczuć. Nie potrafiłaby wyrazić słowami, czego mu brakuje albo co ich tak bardzo różni, ale wiedziała, że tak jest. Był to pierwszy wielki błąd z jego strony.

To, co powiedział Drouet o wytworności owej panny, gdy zobaczyli ją pewnego wieczora wychodzącą z matką, pokazało Carrie istotę i wartość owych modnych chwytów, jakie przyswajają sobie niewiasty, skoro pragną być czymś. Spojrzała w lustro i wydeła usta, przy czym kilkakrotnie kiwnęła głową, jak widziała, że czyni to córka skarbnika. Uniosła suknię zręcznym ruchem. Czyż Drouet nie zwrócił na to uwagi u owej panny i u innych kobiet? A Carrie miała dar naśladowania. Zaczęła zwracać uwagę na owe drobiazgi, które przyswaja sobie piękna kobieta, mająca choć odrobinę próżności. Jednym słowem, jej pojęcie szyku rozwinęło się w dwójnasób, co odbić się musiało na jej wyglądzie. Stała się kobietą o wytwornym smaku.

Drouet zauważył to. Zauważył nowy sposób układania loków, który zastosowała pewnego dnia.

- Bardzo ci ładnie, Cad! - powiedział.

- Naprawdę? - zapytała słodko. I tego jeszcze dnia spróbowała następnych innowacji.

Chodziła teraz wolniej, starając się naśladować córkę skarbnika. Trudno byłoby powiedzieć, jak bardzo zaważyła na Carrie obecność owej młodej dziewczyny w tym samym domu. Wszystko złożyło się na to, że Hurstwood, przyszedłszy pierwszy raz do Droueta, ujrzał młodą kobietę zupełnie różną od tej, którą Drouet zaczepił w pociągu. Wyzbyła się pierwotnych swoich wad ubrania i zachowania. Była ładna, wytworna, zręczna, wdzięczna nieśmiałością, która wypływa z niepewności. Oczy jej miały w sobie coś dziecinnego, co tak działa na wyobraźnię mężczyzn, trochę konwencjonalnych i zimnych. Wieczny urok młodości! Jeżeli w Hurstwoodzie pozostał cień zachwyty dla tego, co młode i nie zepsute, co stanowi czar młodości - to zbudziło się to teraz. Patrzył na śliczną twarzyczkę Carrie, jak promieniują z niej subtelne fale młodego życia. W jej wielkich promiennych oczach nie wyczytał niczego, co człowiek *blase* mógłby uważać za podstęp. Odrobina próżności - gdyby mógł ją dojrzeć - mile by go zaskoczyła.

- Ciekaw jestem - mówił jadąc do domu - gdzie Drouet ją wynalazł?

Powozik jechał między dwoma szeregami gazowych latarni. Splótł dłonie w rękawiczkach. Widział wciąż jasny pokój i Carrie w tym pokoju. Zastanawiał się nad urokiem młodości.

- Muszę posłać jej kwiaty - mówił. - Drouet nie weźmie mi tego za złe.

Nigdy ani przez chwilę nie ukrywał przed sobą faktu, że wywarła na nim tak silne wrażenie. Nie zaprzętał sobie głowy pierwszeństwem Droueta. Snuł po prostu w myśli babie lato marzeń, szukając jak pajak punktu, gdzie by je mógł zaczepić. Nie wiedział, nie zastanawiał się, czym się to może skończyć.

W kilka tygodni potem Drouet w swoich peregrynacjach spotkał jedną z dobrze ubranych znajomych dam w Chicago. Wrócił właśnie z podróży do Omaha. Miał szczerzy zamiar udać się natychmiast do Carrie, ale tak przyjemnie gawędziło się z ową damą, że zmienił plan.

- Chodźmy razem na obiad! - zaproponował, niewiele myśląc, dlaczego nie należało tego robić.

- Chętnie! - zgodziła się dama.

Wstąpili do jednej z lepszych restauracji na towarzyską pogawędkę. Była godzina piąta, gdy się spotkali, dochodziła siódma, gdy dojadali ostatni kąsek.

Drouet kończył właśnie opowiadać coś z zapalem i twarz złożyła mu się do uśmiechu,

gdy nagle oczy jego spotkały się z oczyma Hurstwooda. Dyrektor wszedł w towarzystwie kilku panów i widząc Droueta z kobietą, która nie była Carrie, wyciągnął z tego odpowiednie wnioski.

- A łotr! - powiedział. Po czym dodał z akcentem szlachetnej życzliwości: - Niego-dziwiec! Biedna mała!

Drouet przeskakiwał właśnie z jednej wesołej myśli na drugą, gdy pochwycił spojrzenie Hurstwooda. Nie czuł najmniejszego wyrzutu sumienia do chwili, w której uświadomił sobie, że Hurstwood udaje, że go nie widzi. Natenczas myśli Hurstwooda udzieliły się i jemu. Przypomniał sobie Carrie i ostatnie spotkanie z nią. Do diabła! Musi to jakoś wyjaśnić temu Hurstwoodowi! Nie należy przypisywać więcej niż trzeba przypadkowemu spotkaniu starej znajomej.

Pierwszy raz uczuł coś jakby zakłopotanie. Oto zagadnienie moralne, z którym nie umiał dać sobie rady! Hurstwood będzie pokpiwał z niego, że jest lekkomyślnym smarkaczem. On będzie się śmiał z Hurstwoodem. Carrie nie usłyszy o tym zdarzeniu, jego obecna towarzyszka nigdy się nie dowie. A jednak nie mógł wyzbyć się wrażenia, że za to wszystko zapłaci tylko on, że ciąży na nim piętno - bez winy. Kończył obiad w ponurym nastroju i odprowadziwszy towarzyszkę do tramwaju, wrócił do domu.

„Nie wspomniał mi o swojej ostatniej flammie - myślał Hurstwood. - Sądzi, że ja wierzę w jego wierność względem tamtej małej!”

„Nie powinien myśleć, że się bałamucę, po tym, jak niedawno dopiero wprowadziłem go do siebie!” - martwił się Drouet.

- Widziałem cię - powiedział Hurstwood wesoło za pierwszym razem, kiedy Drouet odwiedził jego wspaniały bar - (nie mógł się od tego powstrzymać!). Podniósł znacząco palec, jak to robią starsi, grożąc dzieciom.

- Stara znajoma, na którą wpadłem, idąc ze stacji - tłumaczył Drouet. - Kiedyś była to piękność!

- Zawsze trochę ciągnie, co? - domyślnie uśmiechał się Hurstwood.

- Ach, nie! - śmiał się Drouet. - Po prostu nie mogłem się wymówić.

- Jak długo zostajesz?

- Tylko kilka dni.

- Musisz koniecznie ze swoją małą wybrać się ze mną na obiad - powiedział. - Oba-

wiam się, że ją marynujesz w zamknięciu. Wezmę łóżę na Joego Jeffersona.

- Już ja jej tam nie chowam! - śmiał się Drouet. - Chętnie pójdziemy!

To niezmiernie podobało się Hurstwoodowi. Nie wierzył w szczerłość uczucia Droueta dla Carrie. Zazdrościł mu. Gdy patrzył na dobrze ubranego, wesołego komiwojażera (w gruncie rzeczy go lubił), oczy zapaliły mu się jak rywalowi. Zaczął badać Droueta, jak tam jest z jego dowcipem i wdziękiem osobistym. Chciał się doszukać w nim słabych stron. Nie było dwóch zdań: uważając Droueta za miłego chłopca, miał go w pogardzie jako kochanka. Z łatwością mógłby go pobić... Wystarczy, żeby Carrie dowiedziała się takiej bagatelki, jak to, co miało miejsce ostatniego wtorku, i Drouet będzie zwyciężony. Takie i temu podobne myśli snuł, rozmawiając z Drouetem i dowcipkując. Przyjaciel nie podejrzewał niczego. Nie potrafił analizować spojrzenia ani atmosfery, jaką wytwarza człowiek taki jak Hurstwood. Z uśmiechem przyjął zaproszenie, podczas gdy przyjaciel przeszywał go sokolim wzrokiem.

Przedmiot tej szczególnie interesującej komedii nie myślał o żadnym z nich. Carrie tak była zaabsorbowana przystosowywaniem swoich myśli i uczynków do nowych warunków, że nie istniała obawa, iżby zechciała zaprzętać sobie głowę innymi zmartwieniami.

Pewnego wieczora Drouet zastał ją strojącą się przed lustrem.

- Cad! - powiedział - zdaje mi się, że robisz się próżna!

- Nic podobnego! - odpowiedziała ze śmiechem.

- Jesteś prześliczna! - mówił, otaczając ją ramieniem.

- Włóż tę nową suknię i pójdziemy do teatru.

- Och, obiecałem już pani Hale iść z nią wieczorem na wystawę - wymawiała się Carrie.

- Ach, obiecałaś? - rzekł, zastanawiając się nad wytworzoną sytuacją w sposób nieco abstrakcyjny. - Bo ja nie mam ochoty tam iść.

- Sama nie wiem - rzekła Carrie urywając, ale nie zaproponowała, że zostanie.

Zastukano do drzwi i pokojówka podała list.

- Mówi, że ma być odpowiedź! - powiedziała.

- Od Hurstwooda - rzekł Drouet, przyglądając się kopercie.

Musicie państwo koniecznie wybrać się ze mną dzisiaj do teatru - pisał Hurstwood. -

Teraz moja kolej! Takeśmy się zgodzili. Wszystko inne upada!

- No i cóż ty na to? - naiwnie zapytał Drouet, podczas gdy Carrie gorzała chęcią dania

przyzwalającej odpowiedzi.

- Zdecyduj, Charlie! - rzekła powściągliwie.

- Uważam, że powinniśmy przyjąć zaproszenie... jeżeli, oczywiście, możesz się wytłumaczyć przed panią Hale.

- Och, naturalnie! - bez namysłu powiedziała Carrie.

Drouet poszedł po przybory do pisania, a Carrie zaczęła się przebierać. Nie zadawała sobie nawet trudu, by zrozumieć, dlaczego ją tak cieszy propozycja Hurstwooda.

- Mam upiąć włosy jak wczoraj? - zapytała, wchodząc do pokoju z różnymi przyborami toaletowymi.

- Oczywiście! - odrzekł uprzejmie.

Była rada, że się niczego nie domyśla. Nie przypuszczała, że ulegnie urokowi, jaki Hurstwood wywierał na nią. Zdawało się jej po prostu, że kombinacja: Drouet, Hurstwood i ona jest miłsza od każdej innej, planowanej na ten wieczór. Ubrała się bardzo starannie i wyszli, przeprosiwszy uprzednio panią Hale.

- Wyglądamy wyjątkowo pięknie dzisiaj - powiedział Hurstwood, gdy ukazała się w przedsionku teatru.

Carrie splonęła pod jego wzrokiem.

- Proszę tędy! - mówił, wskazując drogę do *foyer*. Jeżeli gdzie można spotkać wytworny tłum, to w *foyer* teatru.

Było to uosobienie powiedzenia: „Ostatni krzyk mody”.

- Widziała pani kiedy Jeffersona? - zapytał Hurstwood, pochylając się nad Carrie w łoży.

- Nie, nigdy!

- Jest wspaniały! Wspaniały! - ciągnął, darząc znakomitego aktora komplementami, które tacy ludzie zawsze mają w pogotowiu. Posłał Droueta po program i zaczął tłumaczyć Carrie, kim jest Jefferson - według tego, co o nim słyszał. Carrie była niewymownie zadowolona, prawie zahipnotyzowana otoczeniem, wspaniałością łoży, elegancją swego towarzysza. Kilkakrotnie oczy ich spotkały się przypadkiem i wtedy Hurstwood oblewał ją taką falą uczucia, jakiej nigdy nie doświadczyła dotychczas. Nie mogła sobie wytłumaczyć, co to jest, gdyż już w następnym spojrzeniu lub ruchu ręki Hurstwood zdradzał zupełną obojętność, połączoną z uprzejmością.

Drouet brał udział w rozmowie, ale w porównaniu z Hurstwoodem wydawał się prawie nudny. Hurstwood zabawiał ich oboje i Carrie pojęła, że z nich dwóch niezaprzeczalnie Hurstwood jest typem wyższym. Czuła instynktownie, że jest silniejszy, inteligentniejszy, a przy tym bardzo prosty. Przy końcu trzeciego aktu była już pewna, że Drouet to poczciwy chłopak, ale poza tym - zero. Z każdą chwilą tracił na porównaniu i obniżał się w jej pojęciu.

- Cudownie się bawiłam! - rzekła Carrie, gdy wyszli z teatru po skończonej sztuce.

- Ja również! - powiedział Drouet, nie podejrzewając, że stoczono walkę, w której on poniósł porażkę. Był jak ów cesarz chiński siedzący w swojej własnej chwale, gdy dalsze prowincje już się oderwały od niego.

- Państwu zawdzięczam, że nie wynudziłem się dzisiaj wieczorem - rzekł Hurstwood na pożegnanie. - Do widzenia!

Ujął drobną rączkę Carrie. Prąd uczucia przebiegł między nimi.

- Jestem taka znużona - powiedziała Carrie, opierając się o ławkę w tramwaju, gdy Drouet zaczął rozmawiać.

- Wypocznij chwilkę, a ja wypalę papierosa - rzekł podnosząc się. Potem wyszedł na przedni pomost nie troszcząc się o dalszy rozwój gry.

Rozdział XII

O LAMPACH W PAŁACACH: OFERTA AMBASADORA

Pani Hurstwood nie wiedziała o moralnych defektach swego małżonka, w przeciwnym bowiem razie zaczęłaby podejrzewać jego tendencje, dobrze dla niej rozumiały. Była to kobieta nieobliczalna, gdy się ją sprowokowało. Hurstwood, na przykład, nie potrafiłby powiedzieć, jak się zachowa w pewnych okolicznościach. Nie widział jej nigdy naprawdę rozgniewanej, nie należała bowiem do kobiet dających się łatwo unosić namiętnościom. Zbyt mało ufała mężczyznom, żeby wierzyć, że są bez grzechu. Gniew jej nigdy nie wyładowywał się w jednym wybuchu. Czekwała pielęgnując go, badając szczegóły, uzupełniając je, aż siła jej dorówna chęci zemsty. Równocześnie jednak nie opuściła żadnej okazji dokużenia w sposób mniej lub więcej dotkliwy, raniąc przedmiot swej zemsty, tak jednak, aby się nie domyślił, skąd pochodzi cios. Była to kobieta zimna, opanowana, myśli swoje chowała dla siebie, nie zdradzała ich nawet błyskiem oczu.

Hurstwood wyczuwał tę jej właściwość, aczkolwiek jeszcze nie zdawał sobie z niej sprawy. Żył z żoną w zgodzie, prawie zadowolony. Nie bał się jej ani trochę - nie miał ku temu powodów. Ona zaś zawsze była z niego trochę dumna i pragnęła zachować przez niego stanowisko towarzyskie. Cieszyła się tajemnie, że większość majątku Hurstwood przepisał na jej imię; ostrożność tę przedsięwziął, gdy gorzej mu się powodziło. Pani Hurstwood nie miała najmniejszego powodu przypuszczać, że pożycie ich domowe ulegnie jakiejś zmianie. A jednak cienie, które się na tym życiu kładły, mówiły jej aż nadto wyraźnie, że przepisanie majątku na nią było rzeczą rozsądną. Miała dzięki temu możliwość okazywać upór z pewnymi widokami powodzenia, a Hurstwood postępował oględnie, ponieważ nie był pewny, jak by się zachowała, gdyby była z niego niezadowolona.

Zdarzyło się, iż owego wieczora, kiedy Hurstwood siedział w łoży teatru McVickar z Carrie i Drouetem, George junior znalazł się w szóstym rzędzie parteru w towarzystwie córki pana B. H. Carmichaela, wspólnika w jednej trzeciej wielkiego handlu łokciowego w City. Hurstwood nie widział syna, ponieważ, jak to było jego zwyczajem, siedział w głębi łoży. Z szóstego rzędu widać go było tylko wtedy, gdy się pochylał. Lubił zawsze siadywać w

ten sposób w teatrach i być jak najmniej widzianym, gdy nic nie mógł zyskać przez pokazanie się.

Nazajutrz przy śniadaniu George junior powiedział:

- Widziałem ojca wczoraj w teatrze.

- Byłeś w McVickar? - zapytał Hurstwood najłagodniej w świecie.

- Tak - powiedział George junior.

- Z kim?

- Z panną Carmichael.

Pani Hurstwood skierowała na męża pytające spojrzenie, ale z miny jego nie mogła wywnioskować, czy to było tylko przypadkowe wstąpienie do teatru, czy coś więcej.

- Dobrze grali? - zapytała.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Hurstwood. - Tylko że wciąż idzie ta sama sztuka: „Rip Van Winkle”,

- Z kim byłeś? - pytała z pozorną obojętnością.

- Z Charliem Drouetem i jego żoną. To znajomi Moya. Bawią w mieście przejazdem.

Dzięki stanowisku, jakie piastował, takie pójście do teatru nie było niczym szczególnym. Pani Hurstwood zgodziła się, że sytuacja męża pociąga za sobą pewne obowiązki towarzyskie, w których ona nie może brać udziału. Ale ostatnio Hurstwood kilkakrotnie wymówił się nawałem pracy, kiedy mu proponowała pójście dokądś wieczorem. Nie dalej jak wczoraj rano zrobił tak samo.

- Zdawało mi się, że miałeś być zajęty - powiedziała obojętnie.

- A tak! - zawołał. - Nie mogłem się wykręcić od tego pójścia, ale potem harowałem do drugiej w nocy.

Na tym zakończono dyskusję. Strony zostały jednak przy swoich zdaniach, co nie było obiecujące. Pani Hurstwood nie mogła wybrać chwili mniej odpowiedniej do wystąpienia z pretensjami. Od wielu już lat starał się ograniczyć swoje małżeńskie obowiązki i uważał towarzystwo żony za męczące. Teraz, gdy nowe światło zabłysło na horyzoncie, stara gwiazda zbladła na zachodzie. Z przyjemnością odwróciłby od niej twarz raz na zawsze i każde spojrzenie wstecz irytowało go.

Ona, przeciwnie, nie godziła się na coś mniejszego niż zupełne wypełnienie układu małżeńskiego. Nawet gdyby duch z niego uleciał.

- Pojedziemy dzisiaj za miasto - oznajmiła mu któregoś popołudnia w kilka dni po owej rozmowie. - Pojedziemy do Kingsley na spotkanie państwa Phillips. Zatrzymają się u Tremontów. Musimy im pokazać miasto.

Po tym, co było we czwartek, nie mógł odmówić, chociaż Phillipsowie byli tak nudni i nieznośni, jak tylko próżność i głupota być mogą. Zgodził się, ale niechętnie. Był zły wychodząc z domu.

- Muszę zrobić z tym koniec - myślał. - Nie pozwolę ciągnąć się po wizytach, kiedy mam pełne ręce roboty!

Wkrótce potem pani Hurstwood przysłała z podobną propozycją. Tym razem chodziło o *matinée*.

- Moja droga - powiedział - nie mam czasu. Jestem zajęty.

- Ale znajdujesz czas na chodzenie do teatru z innymi - powiedziała zirytowana.

- Nic podobnego - odrzekł. - Nie mogę tylko zaniedbać swoich stosunków handlowych. I tyle.

- Ach, mniejsza o to! - zacisnęła wargi. Wzajemny ich antagonizm wzrósł.

Z drugiej strony zainteresowanie przyjaciółką Droueta rozwijało się w sposób zatrważający. Młoda dama pod wpływem nowego otoczenia i opieki swego protektora bardzo się zmieniła. Miała zapał bojownika walczącego o wyzwolenie. Nie straciła z oczu łuny piękniejszej przyszłości. Jej wiadomości o życiu wzrastały równomiernie z budzącymi się pragnieniami. Wyczerpujące uwagi pani Hale o bogactwie i stanowisku społecznym nauczyły ją rozróżniać rozmaite stopnie majątności.

Pani Hale lubiła przejechać się w pogodny dzień po słońcu i nacieszyć się widokiem owych pałaców i ogrodów, które były dla niej niedostępne. W dzielnicy Północnej wzniesiono naówczas wzdłuż ulicy, znanej obecnie jako Północna Ulica Portowa, szereg eleganczyńskich pałacyków. Teraźniejsza aleja granitowa nie istniała podówczas, ale jezdnia miała dobry bruk, zielen trawników cieszyła wzrok, domy były imponująco nowe i wspaniałe. Gdy zima minęła i nastały pierwsze dni wczesnej wiosny, pani Hale zamówiła pewnego popołudnia kabriolecik i zaprosiła na przejażdżkę Carrie. Przejechały się z początku po Parku Lincoln, potem het daleko w stronę Evanston, zawróciły o godzinie czwartej i około piątej wjechały z północnego końca na Aleję Portową. O tej porze roku dni są stosunkowo krótkie i wieczorne cienie zaczynały się już kłaść na miasto. Latarnie paliły się owym miękkim

światłem, które wydaje się oczom jednocześnie wodniste i przezroczyste. Jest naówczas jakaś słodycz w powietrzu, przemawiająca z nieskończoną delikatnością zarówno do ciała, jak do duszy. Carrie czuła cały urok tego dnia. Dojrzała duchem do wielu wrażeń. Gdy jechały wzdłuż chodnika, minęła je kareta. Kareta zatrzymała się, woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki eleganckiemu jegomościowi, który najwyraźniej powracał z jakiejś popołudniowej zabawy. Poprzez szerokie trawniki, połyskujące pierwszą wiosenną zielenią, widziała lampy oświetlające wnętrza mieszkań. Oczy jej dojrzeć mogły tu krzesło, tam stół, ówdzie przytulny kącik. Rzeczy te przemawiały do jej wyobraźni silniej niż wszystkie inne. Wróciły dziecinne marzenia o zaczarowanych pałacach i królewskich komnatach. Wyobrażała sobie, że za tymi wspaniałymi podjazdami, gdzie lampy z rżniętego szkła i alabastru paliły się nad drzwiami, ozdobionymi rzeźbą i wspaniałymi kryształowymi szybami, nie może mieszkać troska i niespełnione marzenie. Była głęboko przekonana, że gości tam szczęście. Gdyby mogła przebiec tę szeroką ulicę, przekroczyć próg tego wejścia, które w jej oczach piękne było jak klejnot! Gdyby wolno jej było utonąć w bogactwie i komforcie tam panującym - o, jakże szybko pierzchłoby smutek! Jakże szybko ustałby ból serca! Patrzyła i patrzyła, zdumiona, zachwycona, pragnąca, a przez cały czas syreni głos niezaspokojenia dźwięczał w jej uszach.

- Gdybyśmy mogły posiadać takie domy - rzekła pani Hale. - Co by to była za rozkosz!

- A jednak mówią - powiedziała Carrie - że nie ma ludzi zupełnie szczęśliwych...

Tyle nasłuchiwała się filozofii o lisie i winogronach!

- Jednak zauważyłam - rzekła pani Hale - że każdy woli być nieszczęśliwy... w pałacach!

Wróciwszy do swego mieszkania Carrie ujrzała całe jego ubóstwo w porównaniu z tamtymi domami. Nie była tak niemądra, żeby nie widzieć, iż są to tylko trzy tak zwane pokoje umeblowane. Porównywała je już nie z tym, co posiadała dotychczas, ale z tym, co niedawno widziała. Miała jeszcze w oczach wspaniałość podjazdów pałacowych. W uszach jej dźwięczał turkot karet... Ostatecznie, któż to jest taki Drouet? I kim jest ona?

Nad tym myślała, siedząc i bujając się w fotelu, i patrząc przez okno na oświetlony latarniami park, na ulice Warren i Ashland. Była zbyt zaabsorbowana swymi myślami, żeby zejść na obiad; zbyt zamyślona, żeby móc robić coś innego, niż bujać się w fotelu i nucić.

Przypomniała sobie jakieś stare melodie. Serce tajało w niej, gdy je śpiewała. Marzyła, marzyła, marzyła. To o starym dworcu w Columbia City. To o pałacu na Alei Portowej. To o pięknej sukni, którą widziała u jakiejś pani. To o jakiejś wytwornej scenie. Była smutna bezgranicznie, niepewna, pragnąca, rozmarzona. W końcu wydało się jej, że jest samotna i opuszczona. Nie mogła zapanować nad drzeniem ust. Marzyła i myślała bez końca, siedząc w cieniu okna. Chwile mijały i w końcu ogarnęła ją taka melancholia (choć nie zdawała sobie z tego sprawy), jak nigdy dotychczas.

Była w tym właśnie nastroju, gdy pokojówka przyszła oznajmić, że pan Hurstwood czeka w salonie, pytając o państwa Drouet.

- Widocznie nie wie, że Charlie wyjechał - pomyślała Carrie.

Widowała tej zimy dyrektora dość rzadko, ale wciąż o nim myślała, z tych czy innych powodów, głównie zaś dlatego, że wywarł na niej tak silne wrażenie. Trochę zaniepokojona tym, jak wygląda, pocieszyła się spojrzawszy w lustro i zesłała na dół.

Hurstwood jak zwykle był w swojej najlepszej formie. Nie wiedział, że Drouet wyjechał. Nie zdawał się bardzo zmartwiony tą wiadomością i starał się mówić o rzeczach mogących zainteresować Carrie. Zdumiewała łatwość, z jaką podtrzymywał rozmowę! Posiadał tę łatwość, jak każdy człowiek, który jest obyty towarzyszko i wie, że cieszy się sympatią. Wiedział, że Carrie słuchała go z przyjemnością, toteż bez najmniejszego wysiłku trzymał się interesujących ją tematów. Przysunął krzesło, modulował głos w ten sposób, że brzmiał prawie konfidencjonalnie. Ograniczył się wyłącznie do mówienia o rozmaitych ludziach i rozrywkach. Był tu, był tam, widział tego, widział owego. Potrafił wzbudzić w Carrie chęć zobaczenia tych samych rzeczy i przez cały czas przykuwał jej uwagę do swojej osoby. Ani na chwilę nie mogła zapomnieć o jego obecności, o jego indywidualności. Podnosił oczy i uśmiechał się, z przejęciem opowiadając jakiś szczegół. A Carrie patrzyła w niego jak urzeczona. Z niezwykłą zręcznością zmuszał jej usta do pochwał. Raz dotknął jej dłoni jakby dla większego podkreślenia tego, co mówił, a ona uśmiechnęła się tylko. Zdawał się promieniować atmosferą, która przenikała ją na wskroś. Nie był nudny ani przez jedną chwilę. Zdawała się sobie mądrzejsza, rozmawiając z nim. Ostatecznie rozkwitła pod jego wpływem, okazując najlepszą stronę swojej istoty. Czuła, że w jego obecności jest mądrzejsza niż w obecności innych. Zresztą on zdawał się tak bardzo cenić jej zdanie. Nie było w nim cienia patronowania. A Drouet był pełen tego.

Było coś tak subtelnego, tak osobistego w każdym ich spotkaniu, i to zarówno kiedy Drouet był obecny, jak i wtedy, gdy go nie było, że Carrie nie potrafiłaby o tym mówić bez pewnego zmieszania. Nie należała do rozmownych. Z trudem potrafiłaby uszeregować swoje myśli. Była to w niej raczej kwestia uczuć - silnych i głębokich. Ani razu nie padło słowo lub zdarzenie, które by potrafiła powtórzyć, a co do spojrzeń i odczuć - któraż kobieta zechciałaby je wyjawić? Czegoś podobnego nigdy nie było między nią a Drouetem. Zresztą być nie mogło. Carrie uległa pod naporem rozpaczy i siły entuzjazmu, jaką uosabiał Drouet w szczęśliwym dla niego momencie, gdy dominował nad nią. Teraz przenikały ją tajemne uczucia, których Drouet nie wywołał nigdy, których nigdy nie rozumiał. Spojrzenia Hurstwooda były przenikające jak słowa zakochanego. Ba, nawet silniej działały na nią! Żądały natychmiastowej decyzji... i nie wymagały odpowiedzi.

Ludzie na ogół zbyt wielką wagę przypisują słowom. Łudzą się, że mówienie znaczy wiele. W rzeczywistości jednak słowa są najpłytszą formą argumentacji. Słowa są niejako tylko odbiciem wielkich uczuć i pragnień, stojących poza nimi. Serce słucha dopiero wtedy, gdy milknie dystrakcyjne działanie słowa.

W rozmowie z Hurstwoodem słyszała Carrie nie słowa, które do niej mówił, ale głosy rzeczy, które te słowa reprezentowały. Jak przekonywające były rady samej jego postaci. Jak słodko wyższość jego przemawiała za nim! Rosnące pożądanie, które w nim budziła, miękką ręką kładło się na duszę Carrie. Nie potrzebowała drżeć i bać się, ponieważ było niedotykalne. Błagano ją, przekonywano, kazano wyrzec się praw starych i przyjąć prawa nowe, ale czyniono to bez słowa. Taka rozmowa, jaką oni prowadzili, jest tym samym dla duchowego stanu ludzi, czym muzyka dla momentu dramatycznego, który ma ilustrować.

- Czy widziała pani kiedy domy w dzielnicy Północnej? - zapytał Hurstwood.

- Byłam tam dzisiaj po południu... z panią Hale. Są wspaniałe, prawda?

- Bardzo wytworne - odrzekł.

- Och! - w zamyśleniu powiedziała Carrie - jakże chciałabym mieszkać w takim domu!

- Pani nie jest szczęśliwa! - powiedział miękko po krótkiej pauzie.

Podniósł oczy uroczyście i spojrzał w oczy Carrie. Czuł, że poruszył w niej głęboką strunę. Teraz nadarzyła się sposobność przemówić słówko za sobą. Pochylił się nieco, nie przestając patrzeć jej badawczo w oczy. Czuł całą wagę tej chwili. Próbowana uniknąć jego

wzroku, ale się jej to nie udało. Skupił całą siłę swojej woli. Miał doskonałą sposobność przemówić za sobą. Patrzył i patrzył, i im dłużej to trwało, tym sytuacja stawała się trudniejsza. Biedna mała czuła, że pograża się coraz głębiej. Wyrzekła się nikłych środków ratunku, jakie jej pozostały.

- O! - zawołała wreszcie - proszę tak na mnie nie patrzeć!

- Nie mogę - odpowiedział.

Ustała, dając mu w ten sposób przewagę nad sobą.

- Pani nie jest zadowolona z życia, prawda? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała niepewnie.

Czuł, że jest panem sytuacji. Wiedział o tym. Zbliżył się i dotknął jej dłoni.

- Proszę tego nie robić! - zawołała zrywając się.

- Nie chciałem urazić pani - rzekł swobodnie.

Nie uciekła, co powinna była zrobić. Nie przerwała rozmowy, którą on natychmiast z wdziękiem skierował na inny temat. Wkrótce potem wstał, żegnając się. Czuła, że zwyciężył.

- Nie powinna pani się martwić - powiedział. - Wszystko ułoży się z czasem.

Nie odpowiedziała, ponieważ nie znalazła nic do powiedzenia.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał, wyciągając rękę.

- Tak - odrzekła.

- A więc ani słowa do następnego spotkania. Zatrzymał jej dłoń.

- Nie mogę przyrzec - powiedziała niepewnie.

- Powinna pani być bardziej wspaniałomyślna - powiedział takim tonem, z taką prostotą, że ją to wzruszyło.

- Nie mówmy o tym więcej - powiedziała.

- Dobrze! - rzucił rozpromieniony.

Zszedł na dół i wsiadł do powozu. Carrie zamknęła drzwi i wróciła do swego pokoju. Zdjęła wielki kołnierz koronkowy przed lustrem i odpięła śliczny pasek z krokodylej skóry - ostatni nabytek.

- Staję się straszna - powiedziała ucziwie, czując naglij wstyd i lęk. - Chyba nie postępuję słusznie!

Po chwili rozpuściła włosy, które ciemną falą spłynęły jej na ramiona. Przypomniła

sobie zdarzenia tego wieczora.

- Nie wiem - szepnęła wreszcie - co robić...

- Tak - powiedział Hurstwood jadąc do domu - podobam się jej... Widzę to...

Podniecony pan dyrektor gwizdał przez całe cztery kilometry drogi do domu starą melodię, zapomnianą od piętnastu lat.

Rozdział XIII

LISTY UWIERZYTELNIAJĄCE PRZYJĘTO: POMIESZANIE JĘZYKÓW

Zaledwie dwa dni upłynęły od sceny, jaka rozegrała się na placu Ogden, a Hurstwood znowu zjawił się w saloniku Carrie. Myślał o niej prawie bez przerwy. Jej powolność podniecała go. Czuł, że musi odnieść nad nią zwycięstwo, i to szybko!

Przyczyny jego zainteresowania, że nie powiem oczarowania osobą Carrie sięgały głębiej niż zwykłe pożądanie. Był to rozkwit uczuć, od wielu lat wegetujących na suchej i nieurodzajnej glebie. Możliwe, że Carrie przedstawiała wyższy typ kobiecy od tych, które pociągały go dotychczas. Ostatni romans, jaki miał w życiu zakończył się małżeństwem. Od tego czasu lata i świat nauczyły Hurstwooda, że sąd jego był niesłuszny i niewyrobiony. Cokolwiek zresztą myślał o swoim małżeństwie, mówił sobie nieraz, że gdyby wolno mu było przeżywać jeszcze raz to samo - nie ożeniłby się z taką kobietą. Jednocześnie wieloletnie doświadczenia z kobietami znacznie pomniejszyły jego szacunek dla tej płci. Zachował w stosunku do kobiet pewien cynizm, oparty na licznych doświadczeniach. Wszystkie kobiety, jakie znał, były prawie tego samego typu: samolubne, głupie, próżne. Żony jego przyjaciół nie miały w sobie nic pociągającego; jego własna żona okazała się naturą zimną, pospolitą, której w żadnym razie nie można było nazwać miłą. To, co wiedział o półświatku, w którym obracali się „najlepsi” mężczyźni (a takich znał wielu), ostatecznie uodporniło jego naturę. Patrzył na kobiety podejrzliwie - widział w nich tylko urodę i suknie. Wodził za kobietami ostrym, przenikliwym wzrokiem. Jednocześnie nie był na tyle głupi, iżby nie ocenić kobiety naprawdę szlachetnej. Osobiście nie zagłębiał się w analizowanie istoty cudu, świętej niewiasty. Uchyliłby przed nią kapelusza, zmusiłby w jej obecności rozpustnika i gadułę

do milczenia - podobnie jak ów Irlandczyk-karczmarz, który kaja się przed siostrą miłosierdzia i chętną ręką składa ofiarę na dobroczynność, ale nie zastanawia się, dlaczego tak czyni.

Kiedy człowiek taki jak Hurstwood po wieloletnich przykrych doświadczeniach spotyka młodą, nie zepsutą duszę, natenczas albo trzyma się od niej z daleka (czując własną obcość), albo daje się przyciągnąć, oczarowany odkryciem, które zrobił. Ludzie jego pokroju tylko przypadkiem stykają się z takimi dziewczętami. Nie mają metody, nie wiedzą, w jaki sposób należy wkraść się w łaski młodości. Chyba że natrafiają na cnotę. Jeżeli, na nieszczęście, mucha da się złapać w pajęczynę, pająk może się wysunąć i przystąpić do rzeczy. A więc skoro uosobienie dziewczęcości zabrnęło w błoto miejskie, skoro dostało się pod wpływ uwodziciela i *roué*, nawet jeśli stoi dopiero na krawędzi przepaści, mogą wystąpić oni i rozwinąć wszystkie swoje powaby.

Hurstwood, zaproszony przed Droueta, przyszedł obejrzeć szmatki i ładną buzię. Przyszedł z tym, że spędzi wesoły wieczór, a potem na zawsze straci z oczu nieznajomą. Zamiast tego znalazł kobietę, która oczarowała go młodością i wdziękiem. W łagodnych oczach Carrie nie dojrzał nic, co przypominałoby zimne, wyrachowane metresy. We wdzięcznych jej ruchach nie było śladu tego, co przypominałoby gesty kurtyzany. Hurstwood pojął od razu, że zaszła tu pomyłka, że tylko splotowi okoliczności zawdzięcza poznanie tej dziewczyny. Zainteresował się nią. Tu z pomocą przyszła mu szczerą życzliwość, aczkolwiek nie pozbawiona egoizmu. Pragnął posiąść Carrie, ponieważ sądził, że byłoby dla niej lepiej, gdyby sprzęgła swój los z jego losem, zamiast żyć z Drouetem. Zazdrościł „doboszowi” zwycięstwa jak nigdy niczego i nikomu w życiu.

Carrie była z pewnością lepsza od niego, jak była mądrzejsza od Droueta. Przybyła wprost z atmosfery prowincji. W oczach miała jeszcze blask wsi. Obcy był jej podstęp i zachłanność. Odziedziczyła, oczywiście, obie te cechy, ale tkwiły one jeszcze w zaczątku. Za wiele rzeczy ją dziwiło, za wiele pożądała, by pozostało w niej miejsce na chciwość. Patrzyła dokoła siebie, na wielki labirynt miasta, nie rozumiejąc go. Hurstwood wyczuł w niej piękność i młodość. Pragnął ją posiąść, jak pragnąłby zerwać z drzewa świeży owoc. Czuł się w obecności Carrie jak człowiek, którego w skwarny dzień letni owionie świeży powiew.

Carrie, zostawszy sama po scenie, o której już była mowa, nie mając nikogo, kogo by

się mogła poradzić, przechodziła od jednej dziwacznej konkluzji duchowej do drugiej, aż wreszcie znużona, dała spokój myśleniu. Zawdzięczała coś niecoś Drouetowi, myślała. Nie dalej jeszcze jak wczoraj wydawało się Carrie, że pomógł jej, gdy była smutna, nieszczęśliwa, opuszczona. Żywiła względem Droueta najzyczliwsze uczucia. Miała uznanie dla jego wyglądu, powierzchowności, szlachetności uczuć. Nawet gdy był nieobecny, zapominała o jego egotyzmie. Ale nie znajdowała w nim niczego, co mogłoby ją wiązać z nim na zawsze wbrew wszystkiemu. Zresztą, myśl podobna nie wchodziła nigdy w zakres pragnień Droueta.

Mówiąc prawdę, poczciwy Drouet zabarwiał każdy stosunek swoją lekkomyślnością i niestałą fantazją. Szedł przez życie wesoło, przekonany, że jest powabny dla wszystkich, że miłość kroczy w jego ślady, że nic się nie zmieni - gwoli jego przyjemności. Jeżeli jakaś twarz odwróciła się od niego, jeżeli znajdował jakieś drzwi zdecydowanie przed nim zamknięte - nie przejmował się tym zbytnio. Był za młody, za szczęśliwy. Pozostanie młody duchem do śmierci.

Co do Hurstwooda, pełen był uczuć i myśli związanych z Carrie. Nie miał żadnego określonego planu. Postanowił jednak zmusić ją do wyznania, że go kocha. Zdawało mu się, że w opuszczonych oczach, w niepewnym spojrzeniu, w nieopanowanych gestach Carrie widzi symptomy budzącej się namiętności. Pragnął stać koło niej, skłonić ją, żeby złożyła swoją dłoń w jego dłoni, pragnął wiedzieć, co zrobi później, w jaki sposób zdradzi się ze swoim uczuciem dla niego. Od lat nie odczuwał takiego lęku, takiego wzruszenia. Był na nowo młodzieńcem w uczuciach,; rycerzem w czynach.

Dzięki stanowisku, jakie zajmował, mógł dowolnie rozporządzać wieczorem swoim czasem. Był to na ogół bardzo sumienny pracownik, człowiek, który cieszył się zupełnym zaufaniem pracodawców, przynajmniej w tym, co dotyczyło godzin urzędowania. Mógł wychodzić, kiedy chciał, gdyż było wiadomo, że wywiązuje się świetnie ze swoich obowiązków dyrektorskich bez względu na porę, kiedy to czyni. Jego wdzięk, takt, wytworna sylwetka nadawały barowi właściwy charakter, zaś długoletnie doświadczenie czyniło zeń wytrawnego znawcę potrzeb instytucji. Barmani i pomocnicy mogli przychodzić i zmieniać się, pojedynczo lub grupami, ale dopóki Hurstwood był obecny, stali bywalcy nie odczuwali żadnej zmiany. On nadawał barowi atmosferę, do której goście przywykli. Skutkiem tego rozporządzał dowolnie swymi godzinami, zwalniając się to na popołudnie, to na wieczór,

ale niezmiennie wracając między jedenastą a dwunastą, aby spędzić w barze ostatnią godzinę dnia i dopilnować zamknięcia biznesu.

- Pilnuj, żeby wszystko było w porządku i żebyś ostatni wychodził z baru, George! - powiedział mu raz Moy. I Hurstwood ani razu przez cały ciąg swego urzędowania nie sprzeniewierzył się tym obowiązkom. Żaden z właścicieli od wielu lat nie odwiedził baru po godzinie piątej po południu, a jednak dyrektor dokładnie spełniał ich żądanie, jak gdyby kontrolowali go codziennie.

Tego piątku po południu, zaledwie w dwa dni od ostatniej wizyty, postanowił odwiedzić Carrie. Nie mógł nie widzieć jej dłużej.

- Evans - zwrócił się do głównego barmana - jeśli ktoś się zgłosi, powiedz, że będę między czwartą a piątą.

Pospieszył na ulicę Madisona i wynajął powozik, który w pół godziny zawiózł go na plac Ogden.

Carrie postanowiła wyjść na przechadzkę i ubrała się w suknię z popielatej wełny i obcisły żakiet. Wyjęła rękawiczki i kapelusz i właśnie zawiązywała biały koronkowy szalik dokoła szyi, gdy weszła pokojówka z wiadomością, że pan Hurstwood pragnie ją widzieć.

Zmieszana trochę tą wizytą kazała dziewczynie powiedzieć, że zaraz zejdzie, i kończyła szybko się ubierać.

Carrie nie potrafiłaby powiedzieć w tej chwili, czy jest rada, czy niezadowolona, że pociągający dyrektor czeka na dole. Na policzki jej wystąpiły rumieńce, ale wywołało je raczej zdenerwowanie niż lęk lub radość. Nie starała się odgadnąć, o czym będą ze sobą mówili. Czuła jedno: że musi być ostrożna i że Hurstwood wywiera na nią nieodparty urok. Po czym poprawiwszy raz jeszcze koronkę koło szyi, zeszła do salonu.

Dyrektor sam był nieco zdenerwowany świadomością swoich myśli. Czuł, że zaczął wielką grę. Toteż teraz, gdy chwila decydująca nadeszła i gdy usłyszał na schodach kroki Carrie, nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Był już teraz mniej zdecydowany, gdyż nie miał żadnej pewności co do uczuć Carrie do siebie.

Kiedy jednak weszła do pokoju, natychmiast odzyskał odwagę. Wyglądała dostatecznie pociągająco i uroczo, żeby wzbudzić pragnienie w człowieku zakochanym. Jej nazbyt wyraźne zdenerwowanie pomogło mu się opanować.

- Jak się pani miewa? - zapytał swobodnie. - Nie mogłem pokonać pokusy, żeby

wyść dzisiaj po południu! Mamy taką piękną pogodę.

- O, tak! - powiedziała Carrie zatrzymując się przed nim. - Właśnie wybierałam się na przechadzkę.

- O, naprawdę? - zapytał. - Przypuśćmy, że pani włoży kapelusz i pójdziemy razem?

Minęli park i skierowali się na zachód wzdłuż bulwaru Waszyngtona, gdzie były wspaniałe, asfaltowane bruki, a po obu, stronach wznosiły się imponujące budynki. Była to ulica zamieszкана przez najbogatszych ludzi w dzielnicy Zachodniej i Hurstwood nie mógł opanować pewnego zdenerwowania, że jednak mogą go tu poznać. Uszli zaledwie kilka domów, gdy zauważył na jednej z bocznic szyld właściciela stajni. To rozwiązało w jednej chwili wynikię trudności. Przejadą się po nowych bulwarach.

Bulwar Waszyngtona w owych czasach mało co różnił się od zwykłego zamiejskiego gościńca. Część, którą chciał pokazać Carrie, wybiegała daleko na zachód i (domy spotykało się tam z rzadka) łączyła park Douglasa z parkiem Waszyngtona albo Południowym. Właściwie był to wytknięty gościniec, ciągnący się jakie pięć mil po otwartej, porosłej trawą prerii, a potem skręcający tyleż kilometrów na wschód po takiejże prerii. Domów nie było tu jeszcze wcale, toteż nie istniała obawa, że ktokolwiek mógłby im przerwać rozmowę.

W stajni wybrał ładnego konia i wkrótce znaleźli się na drodze, pewni, że nikt ich nie zobaczy ani nie podsłucha.

- Umie pani powozić? - zapytał po chwili.

- Nigdy nie próbowałam! - przyznała Carrie.

Włożył jej lejce do ręki i skrzyżował ramiona.

- Widzi pani, że to nic trudnego - powiedział z uśmiechem.

- Kiedy się ma spokojnego konia - rzekła Carrie.

- Potrafi pani powozić nie gorzej od każdego innego, trzeba; tylko trochę wprawy! - dodał.

Od dłuższego już czasu czekał na przerwę w rozmowie, aby móc jej nadać poważniejszy ton. Raz czy dwa urywał w nadziei, że gdy umilkną, myśli Carrie przyjmą barwę jego myśli. Ale ona spokojnie podejmowała temat. W pewnej chwili jednak milczenie Hurstwooda zapanowało nad sytuacją. Bieg jego myśli przemówił. Patrzył wzrokiem badawczym przed siebie, jak gdyby myśląc o czymś, co jej wcale nie dotyczy. Ale myśli jego mówiły za siebie. Czują, że zbliża się chwila decydująca.

- Wie pani - rzekł nagle - że odkąd poznałem panią, spędziłam kilka najszcześniejszych wieczorów w życiu.

- Naprawdę? - zapytała ze sztuczną swobodą, ale wzruszona przekonaniem dźwięczącym w jego głosie.

- Chciałem to pani już wtedy powiedzieć - ciągnął - ale nie miałem sposobności.

Carrie słuchała, nie siląc się na odpowiedź. Nie znajdowała godnej odpowiedzi. Pomimo wszystkich owych rozmyślań, co jest słuszne, a co nie, dręczących ją od ostatniego widzenia się z Hurstwoodem, uległa na nowo jego czarowi.

- Przyszedłem dzisiaj umyślnie - rzekł uroczyście - powiedzieć pani, co czuję... spróbować, czy pani zechce mnie wysłuchać.

Hurstwood był romantykiem na swój sposób. Był skłonny do silnych odczuć - nawet poetyckich - a pod wpływem pożądania, jak w tej chwili na przykład, stawał się wymowny. To znaczy uczucia jego i głos zabarwiały się owym patosem i zapalem, które stanowią istotę wymowności.

- Pani wie - rzekł, dotykając jej dłoni i milcząc chwilę, jak gdyby z trudem przychodziły mu słowa - że panią kocham?

Carrie nie drgnęła na te słowa. Pograżyła się w atmosferę, jaką wytwarzał ten człowiek. Pragnął ciszy kościelnej dla wypowiedzenia swoich uczuć i Carrie to uszanowała. Nie odrywała wzroku od płaskiej, jednostajnej równiny, rozciągającej się przed jej oczyma. Hurstwood czekał chwilę, po czym powtórzył swoje słowa.

- Pan nie powinien mi tego mówić - powiedziała.

Słowa jej nie były wcale przekonujące. Były po prostu rezultatem niejasnej myśli, że coś trzeba powiedzieć. On zresztą nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

- Carrie! - zwrócił się do niej po imieniu z życzliwą bezceremonialnością - pragnę, żeby pani mnie pokochała. Pani nie wie nawet, jak bardzo mi jest potrzebne czyjeś uczucie! W życiu moim nie ma nic miłego ani pociągającego. Tylko praca i ujadanie się z ludźmi, którzy są dla mnie niczym!

Mówiąc to Hurstwood szczerze myślał, że los jego jest godny pożałowania. Umiał patrzeć na siebie z pewnej odległości, obiektywnie mówiąc - widzieć to, co składało się na jego życie. Teraz, gdy mówił, głos jego miał owo szczególne drzenie, jakie wypływa ze wzruszenia i z napięcia. I znalazł oddźwięk w sercu towarzyszki.

- A ja sądziłam - rzekła, podnosząc na Hurstwooda swoje wielkie oczy pełne życzliwości i uczucia - że pan jest bardzo szczęśliwy. Pan tak dobrze zna świat!

- To właśnie - powiedział nadając głosowi słodkie tony minorowe. - Za dobrze znam świat.

Była to dla Carrie rzecz zgoła nieprawdopodobna: żeby człowiek tak sytuowany i tak potężny mówił do niej w ten sposób! Jak to się stało, iż w tak krótkim czasie ciasne życie prowincji opadło z niej jak łachman, ustępując miejsca miastu z całą jego, tajemniczością? Oto największa tajemnica! Człowiek bogaty, biznesmen, szukający ucieczki - w niej! Przecież miał pieniądze, komfort, duże wpływy, wysokie stanowisko, ubierał się wytwornie - a jednak szuka ucieczki w niej, w Carrie! Nie mogła sformułować żadnej myśli, która by była słuszna i racjonalna. Nie troszczyła się już o to. Rozkoszowała się ciepłem jego uczucia, ciepłem życiodajnym dla istoty zmarzniętej. Hurstwood pałał pożądaniem i w żarze jego namiętności jak wosk topniały skrupuły Carrie.

- Myśli pani, że jestem szczęśliwy, że nie powinienem się skarżyć? Gdyby pani musiała przebywać dzień po dniu z ludźmi, którzy się panią absolutnie nie interesują; gdyby pani musiała dzień po dniu uczęszczać do miejsca, w którym nie ma nic prócz blichtru i obojętności; gdyby na całym świecie nie miała pani, duszy zdolnej odczuć panią i zrozumieć, z którą mogłaby pani porozmawiać z przyjemnością - może i pani czułaby się nieszczęśliwa.

Poruszył teraz strunę, która znajdowała życzliwy odpowiednik w jej własnej sytuacji. Wiedziała, co znaczy współżyć z ludźmi obojętnymi; iść samej między tłumem, który nie dba ani trochę o ciebie. Czyż jej los nie jest podobny? Czyż nie jest sama, zupełnie sama? Do kogóż by ze swoich znajomych mogła odwołać się, żądać życzliwości czy zrozumienia? Do nikogo. Sama musi żyć, dziwić się, cierpieć.

- Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby pani mnie pokochała - ciągnął Hurstwood. - Gdybym mógł uciekać do pani. Do pani jako do przyjaciółki, towarzyszki. Obijam się po prostu po świecie, tułam się z miejsca na miejsce bez najmniejszego zadowolenia. Dotychczas żyłem bez celu. Zanim poznałem panią, czepiałem się każdej rozrywki, każdej przyjemności. Odkąd poznałem panią... mogłem przynajmniej myśleć o niej!

W mózgu Carrie na nowo błysnęła myśl, że przecież jest ktoś, kto mógłby potrzebować jej pomocy, jej życzliwości. Szczerze jej było żal tego samotnego, biednego człowieka.

Pomyśleć tylko, że całe jego bogactwo jest niczym! Że do niej musi się uciekać - do niej, która przecież jest taka samotna, która nie ma żadnego zaczepienia w życiu. To naprawdę straszne.

- Nie jestem taki zły - mówił błagalnie, jak gdyby musiał się wytłumaczyć przed nią ze swego zachowania. - Pani pewnie sądzi, że prowadzę życie rozpustne i oddaję się najrozmaitszego rodzaju nałogom? Byłem trochę lekkomyślny, ale z łatwością się z tego wyciągnę. Pragnę, żeby pani mnie uratowała, jeżeli mam być czymkolwiek w życiu!

Carrie spojrzała na niego z ową tkliwością, jaka budzi się w cnocie, skoro błysnie jej nadzieja uratowania kogoś od występku. W jaki sposób można takiego człowieka ratować?! Jakież są te jego błędy, które ona może naprawić?! Nie muszą być wielkie... Wszystko w nim jest takie piękne! Co najwyżej drobne uchybienia.

Pokazał siebie w świetle tak smutnym, że poczuła się głęboko wzruszona. „Czyżby tak było?” - myślała.

Objął ją ramieniem. Nie miała serca odtrącić go. Drugą swobodną ręką dotknął jej palców. Świeży powiew wiosny powiał nad gościńcem, wznosząc w górę kilka zwiędłych liści - pozostałość poprzedniej jesieni. Koń stapał lekko, nie kierowany przez nikogo.

- Powiedz mi - prosił cicho - że mnie kochasz...

Oczy Carrie patrzyły wymownie.

- Najdroższa moja - szeptał - kochasz mnie, prawda? Kochasz?

Nie odpowiedziała. Czuł jednak, że zwyciężył.

- Powiedz! - prosił gorąco, przyciągając ją do siebie, tak że usta ich się prawie dotykały. Uścisnął jej dłoń, a potem ujął jej twarz w obie ręce.

- Kochasz? - szepnął, ustami dotykając jej ust.

Odpowiedź dały jej wargi.

- Teraz jesteś moja, moja? - zapytał radośnie, a piękne jego oczy zabłyśły.

W odpowiedzi głowa Carrie spoczęła na jego ramieniu.

Rozdział XIV

MA OCZY, A NIE WIDZI: CZYJŚ WPŁYW SŁABNIE

Znalazłszy się owego wieczora w swoim pokoju Carrie rozkwitła duchowo i fizycznie. Była głęboko ucieszona swoim uczuciem dla Hurstwooda i jego miłością i z radością wyczekiwała następnego spotkania w sobotę wieczorem. Zgodzili się, nie czując zresztą potrzeby utrzymania tajemnicy, a jednak powodowani nią, że spotkają się za miastem.

Pani Hale widziała Carrie, wracającą do domu, z okna swego mieszkania na wyższym piętrze.

- Hm - powiedziała sobie - jeździ na spacerzy z innym pod nieobecność męża. Powinien mieć na nią oko.

Prawdę mówiąc, pani Hale nie była jedyną osobą, myślącą w ten sposób. Pokojówka, która oznajmiała przyście Hurstwooda, miała na tę sprawę własne poglądy. Nie czuła szczególnej sympatii dla Carrie; uważała ją za zimną i nieprzyjemną. Jednocześnie lubiła wesołość i łatwe obejście Droueta, który od czasu do czasu rzucał jej słówko lub w inny sposób okazywał zainteresowanie, jakie w nim budziła każda istota jej płci. Hurstwood był bardziej powściągliwy i krytyczny w zachowaniu. Nie obdarzał wysznurowanej pokojówki taką uprzejmością, jak jego przyjaciel. Zastanowiło ją, że zachodził tak często, że pani Drouet wyjeżdżała z nim pod nieobecność męża. Wyraziła swoje zdanie w kuchni. W rezultacie pomruk plotki poszedł po domu, tajemniczo, jak się to zwykle dzieje z plotkami.

Carrie, uległszy na tyle Hurstwoodowi, że wyznała swoją miłość, nie zaprzętała sobie więcej głowy stosunkiem do niego. Chwilowo mało nawet myślała o Drouecie, zajęta jedynie wytwornością i wdziękiem swego nowego kochanka i jego uczuciem dla niej. Owego pierwszego wieczora nie myślała o niczym innym jak o szczegółach popołudnia, spędzonego w jego towarzystwie. Pierwszy raz ktoś wzbudził w niej wzajemność i to rzuciło nowe światło na jej charakter. Carrie posiadała pewną zdolność inicjatywy, uśpioną dotychczas, która teraz zaczęła dawać o sobie znać. Patrzyła spokojniej na tę sprawę. Czuła, że błysnęła dla niej możliwość znalezienia wyjścia. Hurstwood wydał się jej kotwicą zaczepienia na drodze odzyskania honoru. Uczucia Carrie wracały jej honor, otwierały jej bowiem drogę do

wyzwolenia z sytuacji, którą uważała za uwłaczającą. Nie miała pojęcia, jakie będzie następne słowo Hurstwooda. Uważała tylko, że miłość jego jest rzeczą piękną, i widziała ją lepszą i szlachetniejszą, niż była w istocie.

Jak dotąd Hurstwood myślał tylko o zabawie bez odpowiedzialności. Nie czuł, że czyni coś, co mogłoby skomplikować jego życie. Stanowisko jego było pewne, życie domowe, jeżeli niezupełnie zadowolające, to spokojne; swoboda osobista bezsporna. Miłość Carrie to jedna jeszcze przyjemna strona bytowania. Przyjmie ten nowy dar jako nadprogramową rozkosz. Będzie szczęśliwy z Carrie, a jego osobiste sprawy pójdą zwykłym torem niczym nie zmaćcone.

W sobotę wieczorem Carrie jadła z nim obiad w restauracji, którą wybrał przezornie na ulicy Adamsa, po czym udali się powozem do Cottage Grove przy ulicy Trzydziestej Dziewiątej (lokal ten uchodził podówczas za modny). W trakcie swoich oświadczeń przekonał się, że Carrie opiera jego miłość na podstawach poważniejszych, niż im pierwotnie nadał. Trzymała go w pewnej odległości w sposób zdecydowany, ulegając jedynie owym tkliwym zapewnieniom miłosnym, które przystoją raczej młodym i niedoświadczonym kochankom. Hurstwood czuł, że nie ulegnie jego prośbom, i wyrzekł się myśli nalegania zbyt gorąco.

Ponieważ udawał, że wierzy w jej małżeństwo z Drouetem, postanowił utrzymać się w tej roli. Triumf jego, czuł to, wciąż jeszcze jest przed nim. Jak daleko - nie mógł odgadnąć.

Wracali na plac Ogden dorożką, gdy zagadnął:

- Kiedy zobaczę panią znowu?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze.

- Dlaczego nie mielibyśmy się wybrać w przyszły wtorek do „Bajki”?

Potrząsnęła głową. - Nie tak prędko - rzekła.

- Powiem pani, co zrobię! - dodał. - Będę do pani pisywał na poste restante do Południowego Oddziału Poczтового.

Carrie wyraziła zgodę.

Dorożka zatrzymała się o jedne drzwi dalej, jak sobie życzyła.

- Dobranoc! - szepnął i dorożka potoczyła się dalej.

Na nieszczęście dla nich obojga sprawa rozwijała się tak gładko!

Drouet powrócił. Nazajutrz po południu Hurstwood siedząc w swoim imponującym gabinecie ujrzał wchodzącego Droueta.

- Halo, Charlie! - zawołał swobodnie - już z powrotem?

- Tak - powiedział Drouet zbliżając się i zaglądając przez drzwi.

Hurstwood podniósł się.

- No - powiedział przypatrując się „doboszowi” - różowy jak zawsze, co?

Zaczęli rozmawiać o wspólnych znajomych i ostatnich zdarzeniach.

- Byłeś już w domu? - zapytał w końcu Hurstwood.

- Nie, ale idę! - rzekł Drouet.

- Pamiętałem o twojej małej - ciągnął Hurstwood. - I odwiedziłem ją kiedyś. Myślałem, że nie byłoby ci miło wiedzieć, że jest taka samotna.

- Naturalnie! - śmiał się Drouet. - Jakże się czuje?

- Dobrze, chociaż już się stęskniła za tobą. Radzę ci iść i pocieszyć ją.

- Właśnie idę! - uśmiechnął się Drouet.

- Byłbym bardzo rad, gdybyście oboje zechcieli wybrać się ze mną do teatru we czwartek - rzekł Hurstwood na pożegnanie.

- Dziękuję ci, stary - ucieszył się przyjaciel. - Zobaczę, co mała na to powie i dam znać.

Rozstali się w najlepszej zgodzie.

- Miły człowiek - mówił do siebie Drouet, skręcając za róg w kierunku ulicy Madisona.

- Pocziwy chłopak z tego Droueta - myślał Hurstwood wróciwszy do biura. - Ale to nie towarzysz dla Carrie!

Myśl o Carrie opanowała go całkowicie. Zaczął przemyśliwać nad tym, w jaki sposób uwolni się od Droueta.

Znalazłszy się w swoim mieszkaniu, Drouet jak zwykle ujął Carrie w ramiona. Ale tym razem odpowiedziała na jego pocałunki z dreszczem oporu.

- No - powiedział - udała mi się podróż!

- Naprawdę ci się udała? A jakżeś wyszedł z tym jegomościem z La Crosse, o którym wspominałeś?

- Och, pysznie! Sprzedałem mu cały komplet! Był tam inny drab, przedstawiciel

Burnsteina. Taki sobie blondas z haczykowatym nosem, alem go zapędził w kozi róg. Nawet gadać z nim nie chcieli.

Mówiąc to odpinał kołnierz i spinki, przygotowując się do mycia i zmiany podróżnego ubrania. Carrie nie mogła nie słuchać z przyjemnością jego interesującego sprawozdania.

- Powiadam ci, w biurze otworzyli szeroko oczy, kiedym im opowiedział. Przez ten ostatni kwartał sprzedałem więcej niż wszyscy inni agenci. W samej La Crosse za całe trzy tysiące dolarów.

Zanurzył twarz w miednicy z wodą, prychnął i parsknął, oblewając sobie kark i uszy. Carrie patrzyła na niego z uczuciem będącym mieszaniną obecnego jej sądu o nim i dawnych wspomnień. Wycierał twarz mówiąc:

- W czerwcu upomnę się o podwyżkę. Mogą mi ją dać za to wszystko, co dla nich robię! I dostanę podwyżkę, zapamiętaj to sobie!

- Mam nadzieję, że dostaniesz! - powiedziała Carrie.

- A wtedy, jeżeli uda mi się uporządkować sprawę tego mająteczku, pobierzemy się - ciągnął z pozorami zupełnej powagi, stojąc przed lustrem i szczotkując włosy.

- Nie sędzę, żebyś kiedykolwiek chciał się ze mną ożenić, Charlie - spokojnie powiedziała Carrie. Oświadczyzny miłosne Hurstwooda dały jej odwagę powiedzenia tego.

- Owszem, i zrobię to! Co ci znowu przyszło do głowy? Przestał się mizdrzyć przed lustrem i podszedł do Carrie.

Pierwszy raz Carrie poczuła, że powinna się od niego odsunąć,

- Tyleś razy to już mówił - powiedziała, podnosząc na Droueta swoją śliczną twarzyczkę.

- Owszem, i zrobię to. Ale na to trzeba pieniędzy, żeby żyć, jak ja lubię! Kiedy przyznają mi podwyżkę, będę mógł uporządkować swoje sprawy i pobierzemy się. Nie martw się, malutka!

Chcąc dodać jej otuchy, poklepał ją po ramieniu. Ale Carrie zrozumiała, jak bezpodstawne były jej nadzieje. Widziała wyraźnie, że ten lekkoduch nie zamyśla zrobić ani jednego kroku w jej interesie. Pozostawiał rzeczy swojemu losowi, ponieważ obecna swoboda dogadzała mu więcej od więzów matrymonialnego życia.

W zestawieniu z nim Hurstwood wydawał się człowiekiem poważnym i szczerym. Nie miał zwyczaju zbywać jej byle czym. Sympatyzował z nią i oceniał jej istotną wartość.

Potrzebował jej, podczas gdy Drouet wcale o nią nie dbał.

- O, nie! - powiedziała z wyrzutem. W tonie jej były oddźwięki niedawnych sukcesów, a może i beznadziejność: - Nigdy tego nie zrobisz.

- Dobrze! Poczekaj trochę, to się przekonasz! - powiedział na zakończenie. - Zobaczysz, że się z tobą ożenię.

Carrie spojrzała na niego i znalazła usprawiedliwienie dla siebie. Szukała, czym mogłaby uspokoić sumienie, i znalazła: w tym lekkomyślnym traktowaniu jej słusznych żądań. Obiecywał solennie, że się z nią ożeni, i oto jak spełnia swą obietnicę!

- Powiedz no - rzekł po chwili, uważając, że pomyślnie załatwi sprawę małżeństwa - poszłabyś do teatru z Hurstwoodem? Widziałem go dzisiaj i zaprosił nas oboje.

Carrie drgnęła na dźwięk tego nazwiska, ale opanowała się, więc nic nie zauważyła.

- Kiedy? - zapytała z udaną obojętnością.

- We czwartek. Pójdziemy, co?

- Jeżeli uważasz, że trzeba... - powiedziała tonem tak powściągliwym, że aż mogącym wzbudzić, nieufność. Drouet coś wyczuł, sądził jednak, że wywołała to poprzednia rozmowa o małżeństwie.

- Mówił mi, że cię odwiedził.

- Tak - powiedziała Carrie. - W niedzielę wieczorem.

- W niedzielę? Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że było to przed tygodniem czy coś koło tego.

- Był i wtedy - odrzekła Carrie, nie wiedząc, o czym rozmawiali jej wielbiciele. Czowała się duchowo na bezdrożu i bała się powikłań, które by mogły wypłynąć z jej odpowiedzi.

- O, więc był dwa razy? - zapytał Drouet. Pierwszy cień nieufności przebiegł mu po twarzy.

- Tak - niewinnie odpowiedziała Carrie, czując, że Hurstwood przyznał się tylko do jednych odwiedzin.

Drouet powiedział sobie, że musiał nie zrozumieć, co mówił przyjaciel. Ostatecznie nie przywiązywał wielkiej wagi do tej wiadomości.

- O czym żeście mówili? - zapytał z lekka zaciekawiony.

- Mówił, że przychodzi, ponieważ myśli, że czuję się samotna. Tak dawno nie zacho-
dziłeś do niego, że zastanowił się, co się stało.

- George to porządny człowiek - powiedział Drouet. Pochlebiało mu zainteresowanie dyrektora. - Ubierz się i chodźmy na obiad.

Widząc, że Drouet wrócił, Hurstwood napisał do Carrie;

Powiedziałem mu, że Cię odwiedziłem, ukochana, w czasie jego nieobecności. Nie mówiłem, ile razy, ale on pewnie myśli, że raz. Daj mi znać, coś mu powiedziała. Odpowiedz przez specjalnego posłańca po otrzymaniu tego listu. Muszę Cię widzieć, najdroższa! Daj mi znać, czy możesz się ze mną spotkać na rogu ulicy Jackson i Tropp we czwartek o godzinie drugiej. Pragnę z tobą pomówić, zanim się zobaczymy w teatrze.

Carrie otrzymała ów list we wtorek rano w oddziale pocztowym. Odpowiedziała natychmiast:

Powiedziałam, że Pan był dwa razy - pisała. - Zdaje się, że nie miał o to pretensji. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, postaram się być w czwartek w umówionym miejscu. Wiem, że to bardzo źle postępować tak jak ja.

Przy najbliższym spotkaniu Hurstwood uspokoił ją co do tego.

- Nic się nie martw, kochanie - powiedział. - Jak tylko wyjedzie, obmyślimy cośkolwiek. Tak wszystko ułożymy, że nie będziesz potrzebowała nikogo oszukiwać.

Carrie wyobrażała sobie, że zaraz się z nią ożeni, chociaż Hurstwood ani razu nie wspomniał o tym. To ją podniosło na duchu. Postanowiła urządzić się jak można najlepiej przez czas pobytu Droueta.

- Staraj się nie okazywać więcej zainteresowania niż dotychczas - dawał Hurstwood rady odnośnie do wieczoru, który mieli spędzić razem w teatrze.

- Więc nie patrz tak na mnie! - rzekła Carrie, znając potęgę jego spojrzenia.

- Nie będę! - rzekł uściskawszy jej rączkę na pożegnanie i darząc ją owym spojrzeniem, przed którym się zastrzegła.

- O! - skarżyła się wytykając go palcem.

- Jeszcze nie jesteśmy w teatrze! - rzekł.

Z tkliwością śledził jej kroki, gdy odchodziła. Młodość i uroda działały na niego silniej niż wino.

W teatrze wszystko poszło, jak sobie tego życzył Hurstwood. Jeżeli był kiedykolwiek miły sercu Carrie, to o ileż stał się miłszy teraz! Był wytworniejszy niż kiedykolwiek, ponieważ znalazł wdzięczne medium. Carrie z przyjemnością śledziła każdy jego ruch. Zapo-

mniała prawie o biednym Drouecie, który się pętał między nimi, jak gdyby to on był gościem.

Hurstwood zbyt był mądry, żeby najłżejszym gestem dać do poznania, że cośkolwiek się zmieniło. Jeżeli to możliwe, odnosił się do swego przyjaciela życzliwiej niż kiedykolwiek i nie pozwalał sobie na ośmieszanie go w oczach kochanki, co tak chętnie czynią szczęśliwi rywale. Czuł całą niesprawiedliwość tego rodzaju gry i unikał dorzucenia do niej cienia szyderstwa.

Drażliwą sytuację wytworzyła sama sztuka, i to zresztą z winy li tylko Droueta.

Grano „Przymierze”, w którym żona słuchała uwodzicielskich słów kochanka pod nieobecność męża.

- Dobrze mu tak! - powiedział Drouet po scenie, w której wyznała swoją winę. - Nie mam najmniejszej litości dla mężczyzny, który jest takim durniem jak ten tutaj.

- No, tego nie możesz powiedzieć - uprzejmie rzucił Hurstwood. - Pewnie myślał, że słuszność jest po jego stronie.

- Mężczyzna musi więcej dbać o żonę, jeżeli chce ją zatrzymać!

Wyszli z holu i torowali sobie drogę przez tłum zbity przy wyjściu.

- Panie! - szepnął jakiś głos przy boku Hurstwooda - czy zechciałbyś mi pan ofiarować cenę noclegu?

Hurstwood coś z przejęciem tłumaczył Carrie.

- Jak Boga kocham, panie, nie mam gdzie spać!

Proszącym był człowiek lat około trzydziestu. Robił wrażenie uosobienia nędzy i niedostatku. Drouet zauważył go pierwszy. Wręczył mu datek z uczuciem szczerzej litości w sercu. Hurstwood prawie nie widział tego zdarzenia. Carrie zapomniała o nim wkrótce.

Rozdział XV

BRZEMIE STARYCH WIĘZÓW: MAGIA MŁODOŚCI

Wraz z rosnącym uczuciem dla Carrie przysłała na Hurstwooda zupełna obojętność dla spraw własnego ogniska domowego. Postępowanie jego we wszystkim, co dotyczyło rodziny, nosiło charakter skrajnej niedbałości. Siedział przy śniadaniu z żoną i dziećmi, zaabsorbowany własnymi marzeniami, które sięgały daleko poza granice ich zainteresowań. Czytał gazety, które wydawały mu się bardziej zajmujące przez zestawienie z głupotą rozmów syna i córki. Pomiędzy nim i żoną płynęła rzeka obojętności.

Teraz, gdy poznał Carrie, znowu bliski był szczęścia. Wieczne wyprawy do miasta były rozkoszą. Gdy szedł ulicami o zmierzchu, latarnie mrugały wesoło. Na nowo ogarnęło go od dawna zapomniane uczucie, które przyspiesza kroki zakochanego. A kiedy patrzył na swoje wytworne ubranie, widział je oczyma Carrie - a oczy jej były młode.

Kiedy w żarze tych uczuć doszedł go głos małżonki, kiedy natrętne wymogi pożycia małżeńskiego budziły go z marzeń do zimnej rzeczywistości, wzdygał się w sobie. Wiedział wtedy, że to łańcuch, który mu pęta nogi.

- George! - odezwała się pewnego dnia pani Hurstwood tonem, który od dawna utożsamiał z żądaniem - chciałybyśmy mieć bilet sezonowy na wyścigi.

- Chcecie chodzić na wszystkie biegi? - zapytał trochę podniecony.

- Tak - odrzekła.

Wyścigi, o których mówili, miały rozpocząć się wkrótce w parku Waszyngtona w dzielnicy Południowej. Ludzie nie hołdujący surowej religijności i konserwatyzmowi uważali je za obowiązek towarzyski. Pani Hurstwood nigdy dotychczas nie żądała biletu sezonowego, ale w tym roku, po zastanowieniu, postanowiła upomnieć się o lożę. Po pierwsze jedni z jej sąsiadów, niejacy państwo Ramsay, ludzie majątni (interes węglowy), tak zrobili. Po drugie jej ulubiony lekarz, doktor Beale, dżentelmen, rozmiłowany w koniach i zakładach, wyjawiał zamiar puszczania na Derby swego dwulatka. Po trzecie chciała pokazać Jessikę, która wzrastała w piękność i w lata i którą miała nadzieję szybko wydać za mąż za człowieka bogatego. Wreszcie własna jej chęć brania udziału w podobnych zabawach i pa-

radowania między swymi znajomymi i pospolitym tłumem była czynnikiem równie podniecającym jak wszystkie inne.

Hurstwood myślał czas jakiś o tym projekcie, nie dając odpowiedzi, Siedzieli w pokoju bawialnym na drugim piętrze i czekali na podanie kolacji. Działo się to tego dnia, kiedy zaprosił Droueta i Carrie do łoża na „Przymierze”. Zaszedł do domu przebrać się.

- Jesteś pewna, że bilety na poszczególne biegi nie wystarczą? - zapytał, nie chcąc powiedzieć nic bardziej określonego.

- Nie - odrzekła niecierpliwie.

- No - rzekł z kolei obrażony jej tonem - nie masz się co wściekać. Ja tylko pytam.

- Nie wściekam się - syknęła - tylko proszę o bilet sezonowy.

- A ja ci powiadam - rzekł, skierowując na nią spokojne i zimne spojrzenie - że to niełatwo zrobić. Nie ręczę, czy dyrektor zechce mi dać taki bilet.

Przez cały czas zastanawiał się, w jaki sposób „nabrać” któregoś ze znajomych wyścigowców.

- W takim razie możesz bilet kupić - rzuciła ostro.

- Łatwo ci mówić - zawołał. - Sezonowy bilet rodzinny kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów.

- Nie chcę się z tobą sprzeczać - powiedziała z determinacją. - Chcę mieć bilet i tyle.

Wstała i gniewnie wyszła z pokoju.

- Więc będziesz go miała - powiedział ponuro, nie podnosząc głosu.

Jak zwykle przy stole dnia tego brakowało jednej osoby.

Nazajutrz ochłonął i wystarał się o bilet, chociaż to nie naprawiło niczego. Nie miał nic przeciwko dzieleniu się z rodziną wszystkim, co zarabiał, ale nie lubił, żeby go zmuszano do wydatków wbrew jego woli.

- Wiesz, mam - powiedziała pewnego dnia Jessica - Spencerowie znowu wybierają się w podróż.

- Nie wiedziałam. Dokąd?

- Do Europy - powiedziała Jessica. - Spotkałam wczoraj Georginię. Strasznie zrobiła się dumna z tego powodu.

- Powiedziała, kiedy jadą?

- Zdaje mi się, że w poniedziałek. Znowu będzie o nich wzmianka w gazetach... zaw-

sze tak robią!

- Niech sobie jadą - uspokajała córkę pani Hurstwood,

- I my pojedziemy kiedyś.

Hurstwood wolno podniósł oczy znad gazety, ale nic nie odpowiedział.

- „Wsiądziemy w Nowym Jorku na okręt jadący do Liverpoolu” - zawołała Jessica przedrzeźniając swoją znajomą. - „Mamy zamiar spędzić lato we Francji”. Co za próżność! Jak gdyby to taka wielka rzecz pojechać do Europy.

- Musi coś w tym być, skoro jej tak bardzo zazdrościsz - powiedział Hurstwood. Irytował go ton córki.

- Nie zwracaj sobie nimi głowy, kochanie - powiedziała pani Hurstwood.

- George wyjechał? - pytała innego dnia Jessica matkę; nawiązując do zdarzenia, o którym Hurstwood nie był powiadomiony.

- Dokąd miał jechać? - zapytał podnosząc głowę. Dotychczas wiedział o każdej projektowanej podróży syna.

- Do Wheaton - powiedziała Jessica nie zauważwszy rozdrażnienia ojca.

- Po co? - zapytał zirytowany i prawie zasmucony w duchu, że musi wyciągać z nich w taki sposób wiadomości.

- Na mecz tenisowy - odpowiedziała Jessica.

- Nic mi nie mówił - rzekł Hurstwood niezdolny opanować pewnej goryczy tonu.

- Pewnie zapomniał - obojętnie powiedziała małżonka.

Dawniej okazywano mu w domu pewnego rodzaju szacunek, na który składało się tyleż uznania, co i strachu. Sam nadał stosunkowi córki do siebie odcień bezceremonialności. Zresztą ograniczył ją wyłącznie do słów, ton bowiem był zawsze skromny. Ale jakimkolwiek był ten stosunek w przeszłości, brakowało mu uczucia. Hurstwood czuł, że dzieci wymykają mu się z rąk. Jego wiedza o nich nie sięgała już do spraw intymnych. Czasami widywał je przy stole, czasami nie. Słyszał przypadkiem o ich planach, ale częściej nie. Były dnie, że czuł się jak w lesie, kiedy ze sobą rozmawiali o rzeczach, jakie zamysłali zrobić lub zrobili podczas jego nieobecności. Jeszcze gorsze było uczucie, że dzieją się w domu rzeczy, o których rodzina woli, żeby nie wiedział. Jessica zaczynała rozumieć, że jej sprawy są jej sprawami. George junior nadawał takie tony, jak gdyby był skończonym człowiekiem i miał swoje własne interesy. Wszystko to Hurstwood widział. Nie mogło to nie zostawić na

nim śladu, przywykł bowiem, żeby okazywano mu szacunek, żeby się z nim liczone, przynajmniej z jego stanowiskiem oficjalnym. Czuł, że powaga jego wobec dzieci słabnie. Co gorsza, widział tę samą obojętność i niezależność w żonie - choć to on pracował i płacił rachunki.

Pocieszał się myślą, że ostatecznie nie jest opuszczony. Sprawy w domu mogą się ułożyć, jak chcą... on ma swoją Carrie. Oczyma duszy spoglądał w zaciszne pokoiki na placu Ogden, gdzie spędził tyle rozkosznych wieczorów. Myślał o tym, jak to będzie cudownie, gdy się Droueta zupełnie usunie i Carrie będzie oczekiwała na niego wieczorami w swoim miłym mieszkaniu. Miał nadzieję, że nie nadarzy się sposobność, przy której Drouet poinformowałby ją, że Hurstwood jest żonaty. Wszystko układało się pomyślnie. Po cóż miałby się obawiać, że się to kiedykolwiek zmieni? Postara się jak najprędzej przekonać Carrie i wszystko będzie dobrze.

Nazajutrz po bytności w teatrze zaczął pisywać do niej codziennie, prosząc, żeby również pisywała do niego. Nie był uzdolniony literacko, ale doświadczenie, znajomość świata i rosnące uczucie dla Carrie nadawały tym listom pewien styl. Pisywał je w swoim gabinecie. Kupił pudło wonnego, kolorowego papieru listowego z monogramem i chował je w szufladzie biurka. Przyjaciele dziwili się jego poważnym, oficjalnym czynnościom. Pięciu barmanów z szacunkiem odnosiło się do stanowiska, wymagającego tak wiele pisaniny i ślęczenia nad biurkiem.

Hurstwood sam dziwił się płynności swego stylu. Dzięki prawu naturalnemu, rządzącemu każdym wysiłkiem, to, co pisał, z kolei oddziaływało na niego. Zaczynał odczuwać owe subtelności, dla wyrażenia których znajdował odpowiednie słowa. Każde nowe wyrażenie rodziło nową koncepcję. Uważał Carrie za godną tego, co wyrażał w swoich listach.

Jeżeli miłość ma być nagrodą, jaką życie wyznacza za młodość i wdzięk, Carrie była jej godna. Doświadczenie nie zdążyło jeszcze zwiać z jej duszy owej świeżości, która stanowi największy urok ciała. Blasku jej słodkich oczu nie zaciemniło jeszcze rozczarowanie. I ona poznała udręki zwątpienia i pragnień, ale jedynym śladem, jaki po nich pozostał, była pewna powaga spojrzenia i mowy. Usta jej miały chwilami taki wyraz (gdy mówiła lub milczała), jak gdyby była na granicy płaczu. Nie znaczy to, że smutek zawsze na nich gościł. Wymowa niektórych sylab nadawała jej ustom wykrój wymowny jak sam patos.

Nie było nic zuchwałego w zachowaniu się Carrie, życie nie nauczyło jej jeszcze wy-

niosłości - owego wdzięku, który jest potęgą wielu niewiast. Jej pragnienie uznania nie było dostatecznie silne, aby się miała o nie dopominać. Nawet teraz brakowało Carrie pewności siebie, ale przeżycia, jakie już miała za sobą, czyniły ją trochę mniej nieśmiałą. Pragnęła zabawy, pragnęła stanowiska, a jednak czuła lęk przed tymi rzeczami. Kalejdoskop spraw ludzkich pokazywał jej co godzina nowe obrazy. I każdy z tych obrazów był dla niej chwilowo pożądany. Jedno poruszenie pudełka - i drugi obraz stawał się tym najpiękniejszym, najbardziej upragnionym.

Co się tyczy strony duchowej Carrie, to była wrażliwa, jak tylko taka natura być może. Żal budziły w niej rozmaite sceny - podzielała smutek każdego, kto był nieszczęśliwy, nieporadny. Widok bladych, mizernych, obszarpanych ludzi, którzy przechodzili koło niej jakby zastygli w rozpacz, przyprawiał Carrie o cierpienie. Ubogo ubrane dziewczęta, przebiegające pod jej oknami w mroźne wieczory zimowe z magazynów w dzielnicy Zachodniej, do głębi przepelniały serce jej litością. Stała i gryzła wargi, gdy przechodziły. Potrząsała główką smucąc się. Mają tak mało, myślała. To takie smutne być ubogą, źle ubraną. Widok spłowiałych sukien bolał ją.

- I muszą tak ciężko pracować! - brzmiał jej jedyny komentarz.

Na ulicach widziała czasami, jak ludzie pracują - Irlandczycy z łopatami, węglarze dźwigający ciężkie kosze, Amerykanie wykonujący pracę wymagającą tylko siły - i widok ten ją wzruszał. Praca teraz, gdy była od niej wolna, wydała się Carrie czymś gorszym niż wtedy, gdy musiała ją wykonywać. Patrzyła na nią przez mgłę wyobraźni - blade, przyćmione światło, które było esencją poetyckiego nastroju. Stary ojciec, pracujący w młynie w ubielonej mąką bluzie, często stawał w pamięci Carrie, przypominała go jej pewna twarz w oknie. Szewc pochylony nad warsztatem; kowal, którego zobaczyła kiedyś przez wąskie okno sutereny; murarz, widziany het wysoko w oknie, z zakasnymi rękawami koszuli - wszystko to budziło w wyobraźni Carrie obraz młyna. Gdy o tym myślała - choć nie chciała się do tego przyznać - ogarniał ją smutek.

Cała jej sympatia była po stronie świata pracy, od którego tak niedawno się oderwała i który tak dobrze rozumiała.

Chociaż Hurstwood nie uświadamiał sobie tego, miał do czynienia z dziewczyną o subtelnych i delikatnych uczuciach. Nie wiedział o tym, a przecież właśnie to go w Carrie pociągało. Nigdy nie próbował analizować swego uczucia dla niej. Wystarczyło mu, że w jej

oczach była łagodność, uległość w sposobie bycia, pogodność i ufność w jej myślach. Pociągała go ta lilia, której nigdy nie dojrzał; ze szlamu i mułu, których nigdy nie był w stanie pojąć. Pociągała go, ponieważ była świeża i czysta. Zbudziła w nim miłość. Przez nią życie nabrało wartości!

Pod względem zewnętrznym zmieniła się ogromnie. Z poprzedniej niezręczności pozostał tylko nikły ślad, wdziękiem dorównujący wykwintowi. Małe jej trzewiki obuwały ją ślicznie i miały już wysokie obcasy. Nauczyła się wiele w dziedzinie koronek i owych drobiazgów, które tak dużo dodają powierzchowności kobiecie. Kształty jej rozwinęły się, stały się czarownie okrągłe i pełne.

Pewnego ranka otrzymała list od Hurstwooda, w którym prosił ją o przybycie do parku Jeffersona przy ulicy Monroe. Nie uważał za wskazane ponawiać swych odwiedzin, nawet podczas obecności Droueta.

Następnego popołudnia znalazł się w owym ślicznym ogrodzie. Wyszukali sielską ławkę, ocienianą zielenią świeżo rozkwitłego bzu rosnącego po obu stronach ścieżki. Było to w owej porze roku, kiedy bogactwo wiosny niezupełnie jeszcze przeminęło. Na małym stawku, tuż obok, kilkoro schludnie ubranych dzieci puszczało na wodę białe żaglowe łódeczki. W cieniu zielonej pagody jakiś urzędnik administracyjny odpoczywał skrzyżowawszy ramiona. Obok stała jego laseczka. Stary ogrodnik szedł po trawnikach z sekatorem szukając suchych gałęzi.

Het, wysoko nad nimi niebieścił się błękit wczesnego lata, a w gęstwinie zielonych liści drzew skakały i ćwierkały wróble.

Hurstwood wyszedł tego dnia z domu z uczuciem dobrze znanej sobie nudy. W biurze leniuchował, ponieważ nie potrzebował pisać. Przyszedł tutaj z lekkim sercem, krokiem charakterystycznym dla ludzi, którzy pozostawili poza sobą wszelkie smutki. Teraz w cieni-
stym chłodzie zieleni rozglądał się dokoła z radością kochanka. Słyszał turkot wozów na sąsiednich ulicach, ale były daleko i dźwięk ten jak szmer obijał się o jego uszy. Szum otaczającego miasta dochodził tu ściszony, głos dzwonu dźwięczał jak muzyka. Patrzył i marzył o rozkoszy, która nie miała nic wspólnego z jego obecnym trybem życia. Wrócił w marzeniach do owego dawnego Hurstwooda, do Hurstwooda, który nie był ani żonaty, ani nie miał określonego stanowiska w życiu. Przypomniawszy sobie radość, z jaką oglądał się wtedy za dziewczętami, jak tańczył, odprowadzał je do domu, krążył koło ich drzwi. Pragnął tak bar-

dzo, żeby te czasy wróciły; tu, w tym cudnym otoczeniu czuł się zupełnie wolny.

O drugiej pokazała się na ścieżce Carrie. Szła ku niemu różowa, świeża. Kupiła niedawno nowy kapelusz letni - „marynarz”, opasany śliczną biało-błękitną wstążką. Sukienkę miała z pięknej błękitnej materii, bluzkę - na śnieżnobiałym tle paseczki błękitne, cienkie jak włos. Brązowe trzewiczki wyglądały spod sukni, gdy szła. Rękawiczki niosła w rękę.

Hurstwood patrzył na nią z zachwytem.

- Jesteś, ukochana! - rzekł powstając na jej spotkanie i wyciągając do niej rękę.

- Naturalnie! - powiedziała z uśmiechem. - Myślałeś, że nie przyjdę?

- Nie wiedziałem - szepnął.

Spojrzał na czoło Carrie, na którym wystąpiły krople potu - szła tak szybko. Wyjął z kieszonki własną chusteczkę z miękkiego jedwabiu i delikatnie otarł jej twarz.

- Teraz - powiedział czule - już wszystko dobrze.

Byli szczęśliwi, że są razem... że mogą patrzeć sobie w oczy. Wreszcie, gdy pierwsza radość minęła, Hurstwood zapytał:

- Kiedy Charlie wyjeżdża?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Mówi, że ma do załatwienia jakieś interesy swego Domu tu na miejscu.

Hurstwood spoważniał i zamyślił się. Po chwili podniósł głowę i powiedział:

- Rzuć go i chodź ze mną.

Po czym zaczął się przyglądać chłopcom, bawiącym się łódeczkami, jak gdyby to, o co prosił, było rzeczą małej wagi.

- Dokąd? - zapytała takim samym tonem, mnąc rękawiczki i patrząc na sąsiednie drzewa.

- A dokąd ty byś chciała? - zapytał.

Było coś w jego głosie, co mówiło Carrie, że musi się zastrzec przed mieszkaniem tutaj.

- Nie możemy zostać w Chicago - powiedziała.

Nie myślał, że tak postawi kwestię, że w grę może wchodzić zmiana miejsca pobytu.

- Dlaczego? - zapytał tkliwie.

- O! - rzekła - dlatego, że nie chcę!

Słuchał jej słów, nie rozumiejąc, co oznaczają. Nie uważał zresztą tej rzeczy za waż-

ną: po co decydować teraz?

- Musiałbym wyrzec się swego stanowiska - rzekł.

Ton, jakim to powiedział, dawał do zrozumienia, że jest to drobnostka.

Carrie zamyśliła się, nie przestając cieszyć się otoczeniem.

- Nie chciałabym mieszkać w Chicago, kiedy on tu mieszka - powiedziała z myślą o Drouecie.

- To takie olbrzymie miasto, najdroższa - rzekł Hurstwood. - Jeżeli wyniesiemy się do dzielnicy Południowej, to tak, jakbyśmy wyjechali do innego miasta.

Wymienił tę dzielnicę, chcąc rzecz ująć realnie.

- Nie chciałabym brać ślubu, dopóki on jest tutaj - ciągnęła Carrie. - Nie chcę od niego uciekać.

Ta wzmianka o ślubie zaskoczyła Hurstwooda. Widział wyraźnie, że to jest jej zamiarem, że łatwo się go nie wyrzeknie. Na chwilę widnokrąg jego myśli przecięła wizja bigamii. Zastanowił się, jak by to można było pogodzić z jego obecnym życiem.

Patrzył na Carrie i mówił sobie, że jest przesłiczna. Jakaż to wielka rzecz - jej miłość! Nawet za cenę swobody! Wyrosła w jego oczach właśnie przez to żądanie. Była czymś, co trzeba było zdobyć, to znaczy - wszystkim! Jak inna jest od kobiet, które ulegają łatwo! Odrzucił precz myśl o nich.

- Nie wiesz, kiedy wyjedzie? - zapytał spokojnie. Potrząsnęła głową.

Westchnął.

- Zdeterminowana z ciebie osóbką, prawda? - powiedział po chwili, patrząc jej w oczy.

Czuła, jak ogarnia ją fala miłości na te słowa. Była to дума, że coś się w niej podziwia - miłość dla człowieka, który może w stosunku do niej żywić takie uczucia.

- Och! - powiedziała skromnie - czyż mogę inaczej?

Znowu skrzyżował ramiona i spojrzał poprzez trawniki na ulicę.

- Pragnę - rzekł patetycznie - żebyś poszła za mną. Nie chcę wciąż być daleko od ciebie! Po cóż czekać? Nie jesteś szczęśliwsza teraz, prawda?

- Szczęśliwsza? - zawołała miękko. - Chyba sam wiesz!

- Oto - ciągnął tym samym tonem - na próżno marnujemy życie. Nie jesteś szczęśliwa, a może myślisz, że ja jestem?! Spędzam większość dnia na pisaniu listów do ciebie. Powiem

ci coś, Carrie - zawołał, nadając całą siłę ekspresji swemu głosowi i patrząc na nią błagalnie - nie mogę żyć bez ciebie i koniec! Powiedz - rozłożył swoje białe dłonie gestem beznadziejności - co mam począć?

To zrzucenie ciężaru decyzji na nią wzruszyło Carrie.

- Nie mógłbyś jeszcze trochę poczekać? - zapytała tkliwie. - Pomyślę i znajdę jakieś wyjście po jego wyjeździe.

- I po co to? - zapytał.

- No, może uda nam się jednak wyjechać...

Tak naprawdę nic się nie zmieniło, ale była w nastroju, w którym kobieta przez samą sympatię skłonna jest do ustępstw.

Hurstwood nie rozumiał. Zastanawiał się, w jaki sposób dałoby się przekonać Carrie, jak ją skłonić do porzucenia Droueta. Zastanawiał się, jak daleko mogłaby ją zaprowadzić miłość. Namyslał się nad pytaniem, które dałoby mu na to zadowalającą odpowiedź.

W końcu zatrzymał się na jednej z owych problematycznych propozycji, które często maskują nasze własne pragnienia, pomagając zrozumieć trudności wysuwane przez innych i w ten sposób pokazując wyjście z sytuacji. Pytanie owo nie miało najmniejszego związku z tym, co było mówione dotychczas. Wypowiedział je, zanim zdał sobie z niego sprawę.

- Carrie - rzekł patrząc w jej twarz i przyjmując wyraz poważny wbrew temu, co czuł - powiedzmy, że przyjdę do ciebie za tydzień... albo w tym tygodniu... jeszcze dzisiaj... i powiem ci, że mogę wyjechać... że nie mogę czekać ani chwili dłużej... że nigdy już nie wrócę do tego, co było... czy poszłabyś ze mną?

Carrie spojrzała na niego rozkochanymi oczyma. Miała odpowiedź gotową, zanim zdążył sformułować swoje pytanie.

- Tak - rzekła.

- I nie zatrzymywałabyś mnie, nie sprzeczałabyś się, nie zwlekała?

- Nie... gdybyś nie mógł czekać.

Uśmiechnął się widząc, że bierze słowa jego poważnie. I pomyślał, jaka by to była rozkosz uciec z nią na tydzień lub dwa! Chciał nawet powiedzieć, że żartował, i w ten sposób położyć kres jej słodkiej powadze, ale wydała mu się zbyt pociągająca. Więc zostawił rzeczy swemu losowi.

- Przypuśćmy, że nie zdążyliśmy wziąć ślubu? - zapytał, gdyż nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

- Jeżelibyśmy wzięli ślub dojechawszy na miejsce, nie stawiałabym oporu.

- To miałem na myśli.

- Tak.

Ranek wydał mu się teraz szczególnie piękny. Nie umiałby powiedzieć, skąd do głowy przyszła mu taka myśl. Aczkolwiek była niemożliwa do wykonania, uśmiechał się na samo jej wspomnienie. Przekonał się, jak go kocha. Teraz już nie wątpi i znajdzie sposób, drogę zdobycia jej.

- Dobrze - rzekł żartobliwie. - Zgłoszę się do ciebie lada dzień - i roześmiał się.

- Nie zostałamby przy tobie, gdybyś się ze mną nie ożenił - przekornie dodała Carrie.

- Bo ciebie nie chciałbym wtedy - rzekł ujmując pieszczotliwie jej rękę.

Czuła się niewymownie szczęśliwa teraz, kiedy zrozumiała. Kochała go i za to, że pomoże jej podnieść się we własnych oczach. Co do niego, nie troszczył się o tę klauzulę małżeńską. Myślał, że wobec takiej miłości nic nie stanie na przeszkodzie jego szczęściu.

- Przejdźmy się! - powiedział wesoło, wstając z ławki i obejmując wzrokiem cały park.

- Dobrze - rzekła Carrie.

Minęli młodego Irlandczyka. Odprowadził ich zazdrosnymi oczyma.

- Piękna para - mruknął. - Muszą być bogaci.

Rozdział XVI

NIEROZUMNY ALADYN: FURTKA NA ŚWIAT

Bawiąc tym razem w Chicago Drouet poświęcił trochę uwagi tajemnemu stowarzyszeniu, do którego należał. Podczas ostatniej swojej podróży otrzymał ważne dane w tej materii.

- Powiadam ci - tłumaczył mu inny „dobosz” - to wielka rzecz. Spójrz na takiego Hatenstaba. Nie jest znowu tak diabelnie sprytny. Oczywiście, ma za sobą swój Dom... ale to za mało! Powiadam ci... stopień to robi! Jest masonem wyższego rzędu, a to wiele znaczy. Zna tajemnicze znaki, które mu wszędzie torują drogę.

Drouet postanowił okazać więcej zainteresowania tym sprawom. Wróciwszy do Chicago, zgłosił się do swojej loży.

- Słuchajcie no, Drouet - zagadnął go pan Quincel, człowiek cieszący się powagą w lokalnej organizacji Łosiów - cała nadzieja w was! Musicie nam pomóc!

Było to po skończonym zebraniu. Członkowie rozmawiali ze sobą na stopie towarzyskiej.

- O co chodzi? - zapytał wesoło Drouet, zwracając ku swemu tajemniczemu bratu uśmiechnięte oblicze.

- Dajemy przedstawienie amatorskie od dzisiaj za dwa tygodnie i chcielibyśmy wiedzieć, czy nie znacie jakiej młodej niewiasty, która by się podjęła roli... to łatwa rola.

- Naturalnie! - zawołał Drouet. - O cóż chodzi? - nie zadał sobie trudu, aby pamiętać, że nie zna ani jednej młodej niewiasty, mogącej wziąć udział w przedstawieniu amatorskim. Jego poczciwa natura podyktowała mu odpowiedź twierdzącą.

- Zaraz wam powiem - rzekł pan Quincel. - Postanowiliśmy kupić nowe meble do naszej loży. Ale w obecnej chwili nie mamy dość pieniędzy w skarbcu, więc przyszło nam na myśl zdobyć środki, urządzając małą imprezę.

- Naturalnie! - ożywił się Drouet. - Świetna myśl!

- Niektórzy z naszych chłopców mają talent - ciągnął pan Quincel. - Na przykład taki Harry Burbeck nadaje się na czarny charakter. Mac Lewis to urodzony aktor. Słyszeliście

kiedy, jak deklamuje „Na wzgórzu”?

- Nie.

- Mówię wam, wspaniale!

- Więc chcecie, żebym wyszukał wam jaką młodą niewiastę? - zapytał Drouet. Pragnął jak najprędzej skończyć tę sprawę i przejść do czegoś innego. - Co chcecie grać?...

- „Pod gazową latarnią” - rzekł pan Quincel, wymieniając znaną sztukę Augustyna Dały. Po skreśleniu trudniejszych momentów i sprowadzeniu ilości *dramatis personae* do minimum, „Pod gazową latarnią” po triumfach na scenach publicznych stała się ulubienicą teatrów amatorskich.

Drouet widział kiedyś tę sztukę.

- Doskonała rzecz! - powiedział. - Z pewnością pójdzie. Powinniście zebrać mnóstwo pieniędzy.

- Mamy nadzieję, że zbierzemy - rzekł pan Quincel. - Nie zapomnijcież - dodał, gdyż Drouet zdradzał oznaki niepokoju - o młodej damie, która by mogła odegrać rolę Laury.

- Naturalnie! Postaram się.

Pożegnał się i zapomniał o danej obietnicy, zaledwie pan Quincel przestał mówić. Nie pomyślał nawet, żeby zapytać, gdzie i kiedy ma się odbyć przedstawienie.

Przypomniano mu o tym w jeden czy dwa dni później listem zawiadamiającym, że pierwsza próba odbędzie się w następny piątek wieczorem. Proszono o natychmiastowe zgłoszenie adresu owej młodej damy, aby jej móc posłać rolę.

- Kogo, do diabła, im polecić? - mruknął w zamyśleniu „dobosz”, pocierając swoje różowe ucho. - Nie znam żadnej, która by się choć trochę nadawała do przedstawienia amatorskiego.

Przebierał w pamięci nazwiska znajomych pań i wreszcie zatrzymał się na jednym, właściwie dlatego, że mieszkała w dzielnicy Zachodniej. Obiecywał sobie, że zajdzie do niej wieczorem. Wsiadając z tramwaju zapomniał jednak o tym. O przedstawieniu przypomniało mu dopiero drobne ogłoszenie w „Evening News” - trzy wiersze petitu na czele „Wiadomości Tajnego Stowarzyszenia”, opiewające, że loża Custer zakonu Łosiów daje dnia szesnastego bieżącego miesiąca przedstawienie w Avery Hall. Grana będzie sztuka „Pod gazową latarnią”.

- Do diabła! - zawołał Drouet. - Zapomniałem!

- O czym? - zapytała Carrie.

Siedzieli przy małym stolczku w owym pokoju, który mógł służyć za kuchnię. Tego dnia przyszła Carrie fantazja zrobić kolację w domu i zastawiła stół najrozmaitszymi przysmakami.

- O przedstawieniu, jakie urządza moja loża. Urządzają teatr amatorski i zwrócili się do mnie, żebym im się wystarał o jaką młodą damę.

- Co chcą grać?

- „Pod gazową latarnią”.

- Kiedy?

- Szesnastego.

- Więc dlaczego nie starasz się o tę damę? - zapytała.

- Bo nie znam żadnej.

Nagle podniósł głowę.

- Słuchaj - powiedział - a może ty byś zagrała?

- Ja? - zdziwiła się Carrie. - Nie potrafię grać.

- Skąd możesz wiedzieć? - rzekł w zamyśleniu Drouet.

- Ponieważ - rzekła Carrie - nigdy jeszcze nie grałam w teatrze.

Niemniej była zadowolona, że się do niej zwrócił. Oczy jej błysnęły, gdyż jeżeli było coś, o czym marzyła, to właśnie scena. Wierny swojej naturze Drouet uczepił się tej myśli.

- Mówię ci, to nic trudnego! Doskonale potrafisz zagrać, co tam jest do zagrania.

- Nie, nie potrafię - słabo broniła się Carrie, skłonna do ustąpienia, a jednak nieco onieśmielona.

- Owszem, potrafisz! Dlaczego nie miałabyś potrafić. Oni koniecznie kogoś potrzebują, a ty zabawiłabyś się pysznie.

- Nie, nie - poważniej już opierała się Carrie.

- Z pewnością zrobiłoby ci to przyjemność. Znam ciebie. Widziałem nieraz, jak tańczyłaś w pokoju i naśladowałaś rozmaite typy, i dlatego cię namawiam. Jesteś taka inteligentna.

- Nie, nie jestem - skromnie oponowała Carrie.

- Powiem ci, co zrobisz! Pójdiesz zobaczyć, o co chodzi. Powiadam ci, ubawisz się! Reszta zespołu z pewnością jest nic nie warta. Nie mają żadnego doświadczenia. Co oni

mogą wiedzieć o teatrze?

Zmarszczył się na myśl o ich ignorancji.

- Podaj mi kawę - dodał.

- Nie sędzę, żebym potrafiła grać, Charlie - droczyła się Carrie. - Przecież sam tak nie myślisz, co? Powiedz!

- Owszem. Ani chwili nie wątpię o tym. Zrobisz furorę. I masz ochotę grać. Wiem, że masz. Wiedziałem o tym od razu. Dlatego zwróciłem się do ciebie.

- Jak powiedziałeś... jaka to sztuka?

- „Pod gazową latarnią”.

- A jaką rolę mam dostać?

- Jednej z bohaterek... nie wiem dokładnie.

- Jaka to sztuka?

- Hm... - powiedział Drouet, który w tym kierunku nie miał najlepszej pamięci. - Chodzi o dziewczynę, wyzyskiwaną przez dwoje łajdaków, kobietę i mężczyznę... takich ostatnich wyrzutków społeczeństwa. Ona ma pieniądze czy coś w tym rodzaju i oni chcą jej te pieniądze wydrzeć... Niezbyt dobrze pamiętam, o co właściwie chodzi.

- I nie wiesz, jaką mi chcą dać rolę?

- Nie, jeżeli mam powiedzieć prawdę! - zamyślił się.

- Owszem, wiem! Laury! Tak, tak! Masz grać Laure!

- I nie możesz sobie przypomnieć, jaka to rola?

- Żebyś mnie zabiła, Cad, nie mogę! - odrzekł. - A powinienem. Przecież nieraz widziałem tę sztukę. Jest tam jakaś dziewczyna, którą porwali, kiedy była jeszcze dzieckiem... złapali ją na ulicy... czy coś takiego... i tę dziewczynę ma w rękę para łajdaków, o których wspominałem... - zatrzymał się z kawałkiem pasztetu na widelcu. - Chce się topić... nie, nie, to nie to! - kończył beznadziejnie. - Powiem ci, co zrobię: kupię książkę i koniec! Choćbyś mnie zabiła, nie przypomnę sobie!

- Sama nie wiem - powiedziała Carrie, gdy umilkł. Chęć pokazania się na scenie walczyła w niej z lękiem i nieśmiałością.

- Chyba spróbuję, jeżeli naprawdę sądzisz, że potrafię...

- Naturalnie, potrafisz! - zawołał Drouet. Namawiając Carrie sam zainteresował się jej udziałem w przedstawieniu.

- Myślisz, że przekonywałbym cię, gdybym nie był pewny, że doskonale zagrasz?!

Powiadam ci, potrafisz grać i dobrze ci to zrobi.

- Kiedy mam się zdecydować?

- Pierwszą próbę naznaczyli na piątek wieczorem. Dzisiaj dostarczą ci rolę.

- Dobrze - z rezygnacją rzekła Carrie. - Ale jeśli mi się nie uda, samemu sobie przypisz winę!

- Uda ci się! - zapewniał Drouet. - Po prostu zachowuj się na scenie, jakbyś była u siebie w pokoju. Bądź naturalna; i pójdzie doskonale. Nieraz myślałem sobie, że jesteś urodzoną aktorką.

- Naprawdę? - ucieszyła się Carrie.

- Słowo daję! - zapewniał „dobosz”.

Nie wiedział wychodząc tego dnia z domu i zostawiając ją samą, jaki ogień zapalił w piersi dziewczyny. Carrie obdarzona była ową impulsywną, wrażliwą naturą, która w swojej najbardziej rozwiniętej formie zawsze była chlubą dramatu. Miała wrodzone zamiłowanie do naśladowania i pewne zdolności w tym kierunku. Nawet bez żadnej wprawy potrafiła czasami odtworzyć sytuacje dramatyczne i naśladować przed lustrem mimikę rozmaitych twarzy, widzianych na scenie. Lubiła modulować głos na konwencjonalną modłę zrozpaczonej heroiny i powtarzać bardziej patetyczne ustępy, szczególnie silnie przemawiające do jej wyobraźni. Ostatnio zachwycona powiewnym wdziękiem *ingenue* w kilku dobrze skonstruowanych sztukach czuła tajemną chęć naśladowania jej. Nieraz w samotności swego pokoju powtarzała gesty. W wielu wypadkach, kiedy Drouet zastawał ją mizdrzącą się przed lustrem, Carrie starała się po prostu naśladować wyraz ust i oczu widziany u innej kobiety. Ulegając jego oskarżeniom, brała to za próżność i przyjmowała jego uwagi z lekkim poczuciem winy, a przecież w rzeczywistości były to pierwsze przebłyski subtelnych przebudzeń natury artystycznej, usiłującej odtworzyć pewne formy i momenty piękna, które silniej od innych przemawiały do niej. Wiedźcie, że te niezręczne częstokroć usiłowania i pragnienia naśladowania życia stanowią podstawę każdej sztuki dramatycznej.

Usłyszawszy pełne pochwał zapewnienia Droueta, Carrie nie posiadała się z radości. Jak płomień, który stapia poszczególne cząsteczki w jeden stop, słowa Droueta scaliły jej luźne myśli, że posiada pewne zdolności aktorskie (w co nie wierzyła zresztą), w nadzieję, że jednak tak jest w istocie. Jak każda ludzka istota miała odrobinę próżności. Czuła, że po-

trafi zrobić to i owo - byle dano jej po temu sposobność. Ileż razy śledziła wzrokiem piękne wystrojone aktorki na scenie, myśląc, jak wyglądałaby ona i jak by to było cudownie znaleźć się na ich miejscu! Powodzenie, naprężenie sytuacji, piękne stroje, oklaski nęciły ją, aż wreszcie uwierzyła, że i ona potrafiłaby zagrać, że i ona mogłaby osiągnąć potęgę. Teraz powiedziano jej, że rzeczywiście może, że z tych okruchów, jakie widział w domu, wyczuł w niej potęgę talentu. Było to cudowne uczucie!

Po wyjściu Droueta usiadła przy oknie na fotelu bujającym i utonęła w marzeniach. Jak zwykle wyobraźnia otworzyła przed Carrie wszelkie możliwości. Było to tak, jak gdyby włożono jej do kieszeni pięćdziesiąt centów, a ona snuła plany na tysiące dolarów. Widziała siebie już w kilku patetycznych sytuacjach, wymagających drżącego głosu i bolesnych gestów. Umysł jej rozkoszował się scenami zbytku i wyrafinowania, sytuacjami, w których ona, Carrie, była ośrodkiem skupiającym na sobie wszystkie oczy, potęgą, od której zależy los tysięcy. Bujając się w fotelu czuła już ogrom bólu opuszczenia, rozkosz zemsty za doznaną krzywdę, słodkie omdlenie porażki. Jak zapóźniony przypływ morza, powróciły myśli o wszystkich pięknych kobietach, które widziała na scenie - wszystkie marzenia, wszystkie iluzje, które zawdzięczała teatrowi. Kładła podwaliny pod uczucia i postanowienia, do których nie upoważniała jej obecna sytuacja.

Drouet wracając z miasta zaszedł do łoży i kręcił się po lokalu, przydając sobie ważności, gdy wpadł na niego pan Quincel.

- Gdzież jest ta młoda dama, którąście obiecali sprowadzić? - zapytał.

- Już ją mam! - uśmiechnął się Drouet.

- Rzeczywiście? - zapytał Quincel zdziwiony prawie tym pośpiechem. - Doskonale!

Jaki jest jej adres? - wyjął notes i ołówek chcąc zapisać adres i posłać jej odpis roli.

- Chcecie wysłać jej rolę? - zapytał Drouet.

- Tak.

- Mogę jej wręczyć. Przechodzę z rana koło jej domu.

- Jakaście powiedzieli, gdzie mieszka? Musimy mieć adres na wszelki wypadek.

- Trzydzieści dziewięć, plac Ogden.

- Nazwisko?

- Carrie Madenda - zawołał Drouet, mówiąc pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy. W łoży znano go jako człowieka prostodusznego.

- To brzmi jak nazwisko osoby, która potrafi grać, co? - zapytał Quincel.

- A tak! Rzeczywiście!

Wziął rolę i wręczył ją Carrie z gestem człowieka, który wyświadcza łaskę.

- Powiedział, że to najlepsza rola. Jak myślisz, potrafisz?

- Nie wiem, dopóki nie przejrzę roli. Wiesz, boję się trochę teraz, kiedy już powiedziałam: tak.

- Och, dajże spokój! Czego miałabyś się bać?! To amatorzy. Powiadam ci, jesteś lepszą aktorką od nich!

- No, zobaczę - powiedziała Carrie, pomimo wszystkich obaw zadowolona, że ma już rolę.

Kręcił się po pokoju, ubierając się i strojąc, zanim wypowiedział następne zdanie.

- Przygotowywali program, więc podałem, że nazywasz się Carrie Madenda. No cóż, dobrze?

- Naturalnie - powiedziała Carrie, podnosząc na niego oczy. Pomyślała sobie, że to jednak brzmi trochę dziwnie.

- Na wypadek, gdybyś zrobiła klapę.

- Ależ nie! - była już zadowolona, że przedsięwziął tę ostrożność. To bardzo rozumnie z jego strony.

- Nie chciałem cię przedstawić jako moją żonę - ciągnął - bo samej byłoby ci przykro, gdyby ci się nie powiodło. Wszyscy mnie tam znają. Ale jestem przekonany, że pójdzie dobrze. Zresztą, to problematyczne, żebyś kiedykolwiek w życiu którego z nich spotkała.

- Och, wszystko mi jedno! - powiedziała Carrie z rozpaczą. Teraz zdecydowała się wziąć udział w tej fascynującej grze.

Drouet westchnął z ulgą. Bał się, że czeka go znowu rozmowa o małżeństwie.

Rola Laury, jak się przekonała, przeczytawszy sztukę, była to rola łez i cierpienia. Pan Daly napisał ją, trzymając się ściśle świętych tradycji melodramatu, jakie obowiązywały, gdy rozpoczął karierę literacką. Smutny nastrój, wzruszająca muzyka, długie, wyjaśniające kwestie - niczego nie brakowało.

- „Biedak” - mówiła Carrie, zaglądając do tekstu i nadając swemu głosowi patetyczne tony. - „Marcinie! Podaj mu szklankę wina... niech wypije”.

Zdziwiła ją krótkość roli. Nie wiedziała, że musi być na scenie, kiedy mówią inni. I to

nie tylko być, ale zachować się harmonijnie z tym, co się na tej scenie działo.

- Myślę, że potrafię - powiedziała w końcu.

Kiedy Drouet wrócił wieczorem do domu, zastał Carrie bardzo zadowoloną ze swoich studiów.

- Jakże ci idzie, Caddie? - zapytał.

- Doskonale! - zaśmiała się. - Zdaje mi się, że nauczyłam się już na pamięć całej roli.

- Dobrze. Daj, to cię wysłucham.

- Och, chyba nie potrafię mówić tutaj... tak ni stąd, ni zowąd... - broniła się Carrie.

- Nie rozumiem dlaczego? Łatwiej chyba tutaj niż tam!

- Tego nie wiem - przyznała.

Wybrała na chybił trafił epizod na balu. Odegrała go z uczuciem. W miarę jak grała, zapomniała o obecności Droueta, dając się w zupełności porwać roli.

- Dobrze - chwalił Drouet. - Doskonale, Caddie! Mówię ci, Caddie, świetnie!

Był rzeczywiście zachwycony jej doskonałą grą i widokiem patetycznej figurki ślaniającej się na nogach. Gdy w omdleniu upadła na podłogę, pochylił się nad nią, ujął ją w ramiona i tak trzymał uśmiechnięty.

- Nie boisz się, że się uderzysz? - zapytał.

- Ani trochę!

- Jesteś cudo! Nigdy nie myślałem, że tak potrafisz zagrać!

- Ani ja - powiedziała Carrie z twarzyczką pałającą szczęściem.

- Teraz mogę się założyć, że nie zrobisz klapy! - ciągnął Drouet. - Daję ci na to słowo.

Pójdzie ci doskonale.

Rozdział XVII

BŁYSK ŚWIATŁA PRZEZ SZPARĘ: NADZIEJA ZAPALA OCZY

Owo tak ważne dla Carrie przedstawienie amatorskie miało się odbyć w Avery w okolicznościach, które w przyszłości okazały się ważniejsze, niż początkowo przypuszczano. Mała adeptka sztuki dramatycznej, otrzymawszy rolę, tegoż jeszcze dnia zawiadomiła Hurstwooda o tym, co zaszło:

Naprawdę dostałam rolę! - pisała, bojąc się, że nie uwierzy. - *Mam grać, słowo daję, nie żartuję!*

Hurstwood uśmiechnął się z politowaniem, czytając te słowa.

- Ciekaw jestem, co to znaczy! Trzeba się dowiedzieć! Odpowiedział niezwłocznie, robiąc aluzję do jej zdolności:

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zrobisz furorę. Musisz przyjść jutro rano do parku i opowiedzieć mi wszystko.

Carrie zgodziła się chętnie. Z radością opowiedziała mu wszystkie szczegóły, tak jak je rozumiała.

- To świetnie - powiedział. - Bardzo się cieszę. Oczywiście, doskonale zagrasz swoją rolę! Jesteś taka inteligentna!

Naprawdę nigdy nie widział Carrie tak ożywionej. Porzuciła natychmiast myśl udawania z lekka zmartwionej. Gdy mówiła, oczy jej rzucały iskry, policzki pały. Promieniała zadowoleniem, jakie dawało jej wzięcie udziału w tym przedsięwzięciu. Pomimo wszystkich złych przeczuć - a było ich tyle, ile chwil w dniu - czuła się zupełnie szczęśliwa. Nie mogła ukryć radości, że bierze udział w czymś tak wspaniałym, choć dla zwykłego obserwatora była to rzecz bez znaczenia.

Hurstwood był oczarowany odkryciem, że mała wykazała talent aktorski. Nie ma nic bardziej natchnionego od widoku słusznej ambicji, mniejsza o to, jakie by miała podłoże. Nadaje ona barwę, siłę i piękno temu, kto ją posiada.

Carrie czuła teraz muśnięcie tego boskiego tchnienia. Przyjęła na swój rachunek niezasłużone pochwały, którymi obsypali ją jej dwaj kochankowie. Miłość, oczywiście, wyol-

brzymała w ich oczach to, co zamierzała zrobić Carrie, i ich pochwały za to, co już zrobiła. Niedoświadczenie pozwoliło jej zachować własne przesadzone marzenia, które chwyciła za każde źdźbło sposobności, zamieniając je w złote, czarodziejskie berło, za dotknięciem którego otwierają się przed nami wszystkie skarby życia.

- Trzeba pomyśleć - powiedział Hurstwood. - Powiniennem znać kilku chłopców z tej łoży. Sam jestem „Łosiem”.

- Och, tylko mu nic nie mów, że ci powiedziałam!

- Dobrze - rzekł dyrektor.

- Chciałabym, żebyś był na przedstawieniu, jeżeli będziesz miał czas... ale nie wiem, jak to zrobić... chyba że on sam cię zaprosi.

- Będę z pewnością - tkliwie rzekł Hurstwood. - Urządzą tak, że nie domyśli się, kto mi powiedział. Zostaw to mnie.

Pan dyrektor interesował się przedstawieniem jako takim, jego należenie bowiem do Łosiów było rzeczą nie do pogardzenia. Myślał już o łoży, do której zaprosiłby kilku przyjaciół, i o kwiatkach dla Carrie. Zrobi z tego wielką pompę... Niech mała ma przyjemność.

W dwa dni później Drouet wstąpił na ulicę Adamsa. Hurstwood dojrzał go natychmiast. Było to o piątej po południu. W lokalu pełno było kupców, aktorów, polityków, urzędników. Dobrane towarzystwo okrągłych, różowolicych, ucyndrowanych, upierścienionych jegomościów w sztywnych gorsach - ostatni krzyk mody. John Sullivan stał na jednym końcu błyszczącego baru otoczony gromadą doskonale ubranych sportowców, którzy prowadzili ożywioną rozmowę. Drouet nadszedł uroczystym krokiem. Nowe lakierki skrzypiały głośno, gdy szedł.

- No, mój panie - rzekł Hurstwood - co się z panem dzieje? Myślałem, że pan wyjechał.

- Jeżeli nie będzie pan przychodził regularnie, skreślimy pana z listy - dodał.

- Nie mogłem - tłumaczył się Drouet. - Byłem zajęty.

Torowali sobie drogę do baru między gwarnym, ruchliwym tłumem notablów. Elegancki dyrektor wymienił w ciągu trzech minut tyleż uścisków dłoni.

- Słyszałem, że twoja łoża urządza teatr amatorski - zaczął Hurstwood najswobodniejszym tonem.

- Tak. Kto to mówił?

- Nikt - rzekł Hurstwood. - Przysłali mi kilka biletów po dwa dolary. Czy to coś dobrego?

- Nie wiem - odrzekł Drouet. - Prosimy, żeby im wynalazł jakąś niewiastę.

- Nie miałem zamiaru iść - ciągnął dyrektor. - Ale oczywiście bilet kupię. Jakże im idzie?

- Nieźle. Mają zamiar zakupić z dochodu meble.

- Sądzę, że im się uda... Jeszcze jeden?

Hurstwood miał zamiar na tym zakończyć rozmowę. Ostatecznie jeżeli zjawi się na sali w towarzystwie kilku przyjaciół, zawsze będzie mógł powiedzieć, że go ktoś namówił. Drouet jednak czuł potrzebę uprzedzić możliwość porażki.

- Zdaje mi się, że moja mała weźmie udział w przedstawieniu - powiedział po chwilowym namyśle.

- Co ty mówisz! Jakże to? Skąd?

- Zabrakło im aktorki i zwrócili się do mnie o znalezienie im kogoś. Powiedziałem Carrie, a ona nabrała ochoty spróbować swoich sił.

- To jej dobrze zrobi - powiedział dyrektor. - Z pewnością się uda. Powiadam ci, bardzo dobrze się stało. Czy grała kiedy?

- Nigdy.

- Och, to nic trudnego, ostatecznie.

- O, ona jest inteligentna! - rzekł Drouet, od razu usuwając możliwość przypuszczenia, że mogłaby czegoś nie potrafić. - Łatwo uczy się roli.

- Co ty mówisz?! - zdziwił się dyrektor.

- Tak, mój panie! Miałem prawdziwą niespodziankę któregoś dnia. Niech mnie diabli, jeżeli kłamię!

- Musimy jej zrobić małą owację - rzekł dyrektor. - Pomyślę o kwiatach.

Drouet uśmiechnął się zadowolony.

- Po przedstawieniu musicie iść ze mną na kolację.

- Myślę, że jej się uda - rzekł Drouet.

- Bardzo jestem jej ciekaw - ciągnął Hurstwood. - Na pewno się uda. Nasza w tym głowa. - I Hurstwood uśmiechnął się tym szczególnym uśmiechem, który jest mieszaniną poczciwości i podstępności.

Carrie tymczasem poszła na pierwszą próbę. Przewodniczył jej pan Quincel wspomagany przez pana Millice, młodzieńca mającego po temu kwalifikacje z racji poprzednich doświadczeń scenicznych (co jednak nie znalazło u nikogo z obecnych zrozumienia). Był taki „doświadczony” i taki „oficjalny”, że chwilami graniczyło to aż z brutalnością. Zapomniał, że ludzie, których usiłował wyćwiczyć, grali z amatorstwa, a nie byli płatnymi artystami.

- Proszę pani, pani Madenda - rzekł zwracając się do Carrie, nie wiedzącej, co ma ze sobą zrobić - proszę tak nie stać! Proszę pamiętać: jest pani przerażona... obcy mężczyzna zaczepił panią. Proszę iść tak - tu przeszedł się po scenie Avery drobnym kroczkiem.

Carrie nie bardzo orientowała się, o co mu chodzi, ale nowość sytuacji, obecność obcych mniej lub więcej zdenerwowanych i pragnienie uczynić wszystko raczej niż popełnić omyłkę odebrały jej odwagę. Przeszła się według wskazówek swego reżysera, czując w duchu, że czegoś tu brak.

- Teraz pani, pani Morgan - rzekł reżyser zwracając się do drugiej młodej damy, mężatki, mającej grać rolę Pearl. - Pani usiądzie tu. Panie Bamberger! Pan stanie tam. No, co pan mówi?

- „Wyjaśnij” - stęknął pan Bamberger. Miał rolę Raya, narzeczonego Laury, człowieka światowego, który na wiadomość, że Laura jest znajdą niewiadomego pochodzenia, chce z nią zerwać.

- Jak to tam jest w tekście... co autor mówi?

- Wyjaśnij” - powtórzył pan Bamberger, uważnie śledząc tekst.

- Tak, ale w tekście zaznaczono, że pan jest zgorszony. Niech pan jeszcze raz powtórzy i spróbuje mieć minę zgorszoną.

- „Wyjaśnij?” - zapytał pan Bamberger z oburzeniem.

- Nie, nie, nie tak! Niech pan powie: „wyjaśnij!”

- „Wyjaśnij!” - powtórzył pan Bamberger nadając swemu głosowi inny ton.

- Już lepiej. Proszę dalej.

- „Pewnej nocy” - podjęła pani Morgan, na którą teraz przyszła kolej - „rodzice moi wybrali się do Opery. Kiedy przechodzili przez Broadway, otoczył ich zwykły tłum dzieci proszących o jałmużnę...”

- Niech się pani zatrzyma! - zawołał reżyser biegnąc ku niej z wyciągniętymi ramionami. - Proszę mówić z większym uczuciem!

Pani Morgan spojrzała na reżysera, jak gdyby obawiając się z jego strony osobistej zniewagi. Oczy jej błysnęły niechętnie.

- Proszę pamiętać, pani Morgan - ciągnął, ignorując jej obrażoną minę, ale nieco zmieniając gesty - że pani opowiada wzruszającą historię. Pani opowiada coś, co panią przejmuje głębokim smutkiem. Trzeba to powiedzieć z uczuciem, ze wzruszeniem, o tak: „Otoczył ich zwykły tłum dzieci proszących o jałmużnę...”

- Dobrze - rzekła pani Morgan.

- Więc proszę zaczynać.

- „Sięgnąwszy do kieszeni po drobne, matka moja poczuła, że czyjeś małe paluszki zacisnęły się dokoła jej sakiewki...”

- Bardzo dobrze! - chwalił reżyser, znacząco kiwając głową.

- „Złodziej kieszonkowy!” - zawołał pan Bamberger, czytając tekst swojej roli.

- Nie, nie, panie Bamberger! - rzekł reżyser zbliżając się do niego. - Nie tak. „Złodziej kieszonkowy... co?” w ten sposób. To jest myśl autora.

- Czy nie sądzi pan - nieśmiało wtrąciła Carrie widząc, że nie próbowano jeszcze, czy ktokolwiek umie rolę, a tylko czy potrafi powiedzieć z należną intonacją - że należałoby przede wszystkim przekonać się, czy umiemy na pamięć nasze role? Moglibyśmy w ten sposób ustalić pewne punkty.

- Bardzo dobra myśl, panno Madenda - rzekł pan Quincel, siedzący na uboczu. Podo-
bał mu się ten pomysł jednej z amateerek i dziwił się, że reżyser nie wpadł na to.

- Niech będzie - rzekł reżyser nieco strapiony. - Możemy zrobić próbę i w ten sposób.

- Po czym rozchmurzył się i dodał tonem znawcy: - Powiedzmy, że zrobimy próbę pamięciową, starając się jednocześnie mówić z potrzebnym akcentem.

- Dobrze - zgodził się pan Quincel.

- „Tę rączkę” - ciągnęła pani Morgan, patrząc to na pana Bambergera, to na tekst roli - „matka moja pochwyciła w swoją rękę, i to tak mocno, że słaby dziecinny głosik jęknął z bólu. Matka spojrzała w dół. Obok niej stała dziewczynka w łachmanach”.

- Bardzo dobrze - rzekł reżyser skazany na beznadziejną beczynność.

- „Złodziejka!” - krzyknął pan Bamberger.

- Głośniej! - zawołał reżyser nie mogąc wytrzymać.

- „Złodziejka!” - darł się pan Bamberger.

- „Tak, ale złodziejka z twarzą anioła, licząca najwyżej sześć lat. »Stój« - mówi moja matka - »co robisz?!« - »Próbuję kraść« - mówi mała. - »Nie wiesz, że to źle kraść?« - pyta matka. »Nie« - mówi dziecko. - »Ale to straszna rzecz być głodną«.

- »Kto kazał ci kraść?« - pyta matka. »Ona... tam...« - szeptem mała, pokazując na kobietę stojącą po drugiej stronie ulicy, która widząc, co się dzieje, usiłuje uciekać. - »To stara Judas« - mówi mała."

Pani Morgan wypowiedziała to bez najmniejszego wyrazu. Reżyser był bliski rozpaczy. Kręcił się po scenie, wreszcie podszedł do pana Quincela.

- I co pan powie? - zapytał.

- O, chyba ich nauczymy! - rzekł ten ostatni z miną człowieka, który lekceważy trudności.

- Nie wiem - mruknął reżyser. - Ten Bamberger nadaje się na kochanka jak wół do karety!

- Nie mamy innego - rzekł pan Quincel, wywracając oczy.

- Harrison odmówił w ostatniej chwili. Kogo miałem wziąć?

- Nie wiem - mruknął reżyser. - Ale obawiam się, że ten nic nigdy nie zrozumie.

Właśnie Bamberger wydzierał się: „Pearl! Zwodzisz mnie!"

- Spójrz na niego - szepnął reżyser, zasłaniając usta dłonią. - Boże! Co mam zrobić z człowiekiem, który tak gra swoją rolę?!

- Rób pan, co możesz - radził pan Quincel.

Próba odbywała się w ten sposób do miejsca, kiedy Carrie-Laura wchodzi do pokoju Raya, który po otrzymaniu od Pearl danych co do pochodzenia narzeczonej, napisał do niej list, zrywając z nią. Listu tego jeszcze nie wysłał. Bamberger kończył właśnie słowa Raya: „Muszę wyjść, zanim ona nadejdzie! Jej kroki! Za późno!" i miętosił list w kieszeni, kiedy zabrzmiał słodki głos Carrie.

- „Ray!"

- „Panno... panno Courtland..." - stękał Bamberger.

Carrie patrzyła na niego przez chwilę. Zapomniała o obecnych. Zaczynała czuć swoją rolę. Na wargi jej wypłynął obojętny uśmiech. Odwróciła się, zgodnie z tekstem, i podeszła do okna, jak to nakazywał autor. Uczyniła to z wdziękiem iście czarującym.

- Kto to? - zapytał reżyser, przyglądając się scenie Carrie z Bambergerem.

- Panna Madenda - odrzekł Quincel.

- Nazwisko znam - rzucił reżyser. - Ale kto to taki?

- Nie wiem - rzekł Quincel. - To znajoma jednego z naszych członków.

- Ma więcej rozumu od wszystkich innych - ciągnął reżyser. - Zdaje się interesować tym, co robi.

- I ładna, co? - dorzucił pan Quincel. Reżyser odszedł nie odpowiedziawszy.

W drugiej scenie, gdzie miała rzekomo spotkać się na balu z licznym towarzystwem, Carrie zagrała jeszcze lepiej, zdobywając uśmiech reżysera, który oczarowany, raczył podejść do niej i przemówić kilka słów.

- Była pani kiedy na scenie? - zapytał mimochodem.

- Nie - rzekła Carrie.

- Gra pani tak doskonale, że wziąłem panią za aktorkę. Carrie uśmiechnęła się uradowana.

Reżyser podszedł z kolei do pana Bambergera, który dukał jakiś wzruszający ustęp.

Pani Morgan widziała, co się dzieje, i obrzuciła Carrie zazdrosnymi, czarnymi oczyma zmił.

- Jakaś adeptka - pocieszała siebie pani Morgan, nienawidząc już Carrie i szydząc z niej.

Na tym zakończono próbę i Carrie wróciła do domu z przeświadczeniem, że spełnia dobrze swoje zadanie. Słowa reżysera dźwięczały jej w uszach. Pragnęła, żeby nadarzyła się sposobność powiedzieć Hurstwoodowi. Chciała, żeby wiedział, jak dobrze jej poszło. Drouet również nadawał się do zwierzeń. Nie mogła się doczekać jego powrotu, żeby ją zapytał o próbę, a była zbyt skromna, żeby mu sama o tym powiedzieć. Drouet miał tego dnia głowę zajętą czym innym i sprawa teatru amatorskiego nie wydała mu się ważna. Zadowolili się tym, co mu opowiedziała (przemilczała pochwały), i to uraziło Carrie. Uważał za rzecz zrozumiałą, że dobrze wywiąże się ze swego zadania, i nie zaprzętał sobie tym głowy. Skutkiem tego jakby usunął Carrie na drugi plan, co było irytujące. Odczuła boleśnie jego obojętność i tym więcej tęskniła do Hurstwooda. Zdawało jej się, że nie ma innego przyjaciela na ziemi. Nazajutrz Drouet na nowo zainteresował się teatrem... ale zło nie dało się już naprawić.

Odebrała miły liścik od dyrektora, który pisał, że w chwili gdy go otrzyma, będzie

czekał na nią w parku. Kiedy przyszła, obecność jego podziałała na nią jak blask porannego słońca.

- Jak ci poszło, kochanie? - zapytał.

- Nieźle - odpowiedziała, speszona nieco zachowaniem Droueta.

- Musisz mi opowiedzieć, jak było! Jesteś zadowolona? Carrie opowiedziała mu przebieg próby, ożywiając się, w miarę jak mówiła.

- Ależ to cudowne! Tak się cieszę! Muszę koniecznie wybrać się na próbę! Kiedy następna?

- We wtorek - rzekła Carrie. - Ale nie puszcza się gości.

- Zdaje mi się, że mnie by puścili - znacząco rzekł Hurstwood.

Była zupełnie pocieszona i uradowana jego życzliwością, ale wymogła na nim obietnicę, że nie przyjdzie na próbę.

- Musisz grać jak najlepiej, żeby mi zrobić przyjemność - dodawał jej otuchy. - Pamiętaj! Tak bardzo pragnę, żeby ci się udało! Postaram się, żeby przedstawienie wypadło dobrze... Ty zrób swoje!

- Postaram się - rzekła Carrie podniecona miłością i zapałem.

- To mi dziewczyna - powiedział z tkliwością Hurstwood.

- Pamiętaj - pogroził jej tkliwie palcem. - Jak najlepiej.

- Tak - powiedziała obejrzawszy się raz jeszcze.

Cała ziemia zdawała się być przepojona słońcem tego ranka. Szła przed siebie, a niebo lało w jej duszę czysty błękit. Błogosławieni ci, którzy próbują i są pełni otuchy. I błogosławieni ci, którzy wiedząc uśmiechają się i chwala.

Rozdział XVIII

NA KRAWĘDZI: WITAJ I ŻEGNAJ

Szesnastego wieczorem Hurstwood dał znać swoją subtelność. Rzucił hasło między przyjaciółmi - byli liczni i wpływowi - że urządza się imprezę, w której powinni pomóc. W konsekwencji panu Quincelowi, działającemu w interesach loży, doskonale poszła sprzedaż biletów. Krótkie, czterowerszowe wzmianki ukazywały się we wszystkich pismach. Zrobił to przy pomocy przyjaciela ze sfer dziennikarskich, pana Harry'ego McGarrena, naczelnego redaktora „Timesa”.

- Słuchaj, Harry - rzekł Hurstwood pewnego dnia do McGarrena, który kończył właśnie pić i zabierał się do nieco spóźnionego powrotu do domu - sądzę, że mógłbyś pomóc tym chłopcom.

- O co chodzi? - zapytał dziennikarz, pochlebiony, że się do niego zwraca wspinały dyrektor.

- Loża Custer daje małe przedstawienie amatorskie na swoje cele. Chcieliby mieć wzmiankę w dziennikach. Wiesz, o co mi chodzi... parę wierszy, że coś takiego odbędzie się tego a tego dnia.

- Naturalnie, zrobię to dla ciebie, George! - rzekł pan McGarren.

Przez cały ten czas Hurstwood trzymał się na drugim planie. Członkowie loży Custer dziwili się, że sprawy ich poszły tak gładko. Pana Harry'ego Quincela ogłoszono za gwiazdę w tego rodzaju imprezach.

Gdy szesnasty nadszedł, przyjaciele Hurstwooda stawili się niczym Rzymianie na głos senatora. Od chwili gdy postanowił pomóc Carrie, miała zapewnione wytworne, dobrze ubrane, życzliwe audytorium.

Młodziutka adeptka wystudiowała rolę ku swemu zadowoleniu, ale drżała na myśl, że będzie musiała wystąpić przed tłumem publiczności w potokach światła. Pocieszała się myślą, że inne kobiety i inni mężczyźni też żywią obawy co do wyniku swoich poczynań na deskach scenicznych, nie umiała jednak oddzielić ogólnego niebezpieczeństwa od własnej odpowiedzialności. Bała się, że zapomni roli, że nie potrafi opanować uczucia, jakie teraz ją

wypełnia z powodu udziału w przedstawieniu. Chwilami żałowała, że się dała namówić, drżała obezwładniona przez strach, że stanie i zacznie się gapić nie wiedząc, co powiedzieć, i psując wszystko. Co się tyczy zespołu, to ubył z niego pan Bamberger. Ten beznadziejny wolontariusz ustąpił pod naciskiem krytycznym reżysera. Pani Morgan dotrwała do końca, zazdrosna i zdecydowana grać przynajmniej tak dobrze, jak Carrie. Do roli Raya zaangażowano w końcu aktora zawodowego. Był to człowiek bez talentu, nie odczuwał jednak niepokojęcej nękania tych, którzy nigdy jeszcze nie grali wobec publiczności. Zachowywał się z taką swobodą na scenie (aczkolwiek proszono go o zachowanie dyskrecji odnośnie do poprzednich występów aktorskich), że to jedno wystarczyłoby dla stwierdzenia jego identyczności.

- To takie łatwe! - tłumaczył pani Morgan właściwym sobie afektowanym tonem aktorskim. - Widownia to ostatnia rzecz, jaką zaprzęgam sobie myśli! Pojąć ducha roli, oto co jest trudne!

Carrie nie podobał się ten pan, była jednak zadowolona, żeby nie stłumić w sobie antypatii i łaskawie nie przyjmować na ten wieczór jego udanych umizgów.

O szóstej była gotowa do wyjścia. Wszystko, czego potrzebowała na scenę, przygotowano bez jej udziału. Przymierzyła z rana kostiumy, przejrzała i powtórzyła około pierwszej w południe jeszcze raz rolę i wróciła do domu dokończyć ostatnich przygotowań i czekać wieczora.

Loża przysłała karete. Drouet odwiózł Carrie do drzwi, a potem poszedł do sąsiedniego sklepu po cygara. Mała aktoreczka weszła nerwowo do garderoby i przystąpiła do trudnej sprawy przeistoczenia się, które ją, zwykłą dziewczynę, zmienić miało w Laure, piękność salonów.

Blask płomieni gazowych; otwarte kufry, nasuwające myśl o podróży i zmianach; dziwaczna zawartość pudła z przyborami do charakteryzacji, jak: róż, puder, bielidło, palony korek, czernidło indyjskie, pędzelki do rzęs, peruki, nożyczki, lustra, draperie, słowem wszystko, co służy do przeistoczenia się i maskarady, roztacza dokoła siebie własną atmosferę. Odkąd przybyła do miasta, wiele rzeczy wywierało na nią wpływ, ale w jakiś dziwny, daleki sposób. Ta nowa atmosfera była bardziej przyjacielska. Niczym nie przypominała wielkich, wspaniałych pałaców, które odpychały ją zimno, pozwalając się jedynie podziwiać z daleka. Tu jakby wzięto ją delikatnie za rękę mówiąc: „Wejdz, moja droga!” Przyjęto ją

jak swoją. Tyle razy podziwiała w niemym zachwycie wielkie nazwiska na afiszach, cud długich sprawozdań w pismach, przepiękne stroje na scenie, atmosferę karet, kwiatów, wy- rafinowania. Tu nie było iluzji. Tu były otwarte drzwi. Mogła wejść i zobaczyć to wszystko. Jak gdyby idąc po omacku po ciemnym korytarzu, weszła nagle do pokoju pełnego skarbów i rozkoszy!

Ubierając się w swojej małej garderobie, słuchając słów dochodzących z zewnątrz, widząc uwijającego się pana Quincela i nerwowe przygotowania pani Morgan i Hoagland, śledząc owe dwadzieścia osób zespołu przejętych troską: czy się uda? - nie mogła stłumić myśli, co by to była za rozkosz, gdyby to mogło trwać wiecznie! Jakby to było cudownie, gdyby zagrała dobrze i dostała engagement do prawdziwego teatru! Myśl ta opanowała ją zupełnie, dźwięczała jej w uszach jak melodia starej piosenki.

W przedsionku natomiast rozgrywała się inna scena. Bez współudziału Hurstwooda mały hall wypełniłby się prawdopodobnie wcale nieźle, gdyż członkowie loży dbali o intere- sy. Ale hasło, rzucone przez dyrektora, zrobiło swoje. Przedstawienie zapowiadało się im- ponująco. Wykupiono wszystkie cztery łóżka. Dr Norman, McNeil Hale i jego żona wzięli jedną. To samo już było sukcesem. C. R. Waker, właściciel sklepu towarów łokciowych, które liczone przynajmniej na trzysta tysięcy dolarów - drugą. Znanego handlarza węglem skłoniono do wzięcia trzeciej. Hurstwood i jego przyjaciele - w liczbie ich był Drouet - sie- dzieli w czwartej. Ludzie, których tu spotykałeś, nie należeli do znakomitości, nawet do lo- kalnych notablów w ogólnym tego słowa znaczeniu. Byli świecznikami pewnych sfer, sfer małych fortun i niższych stopni tajemniczego zakonu. Ci panowie Łosie wiedzieli, jak który stoi. Szanowali zdolności, które doprowadziły do zebrania małych fortun, do posiadania własnego domu, trzymania karety lub powozu, ubierania się wytwornie, zajmowania wybit- nego stanowiska w kupiectwie. Oczywiście Hurstwood, który wzniósł się nieco ponad po- ziom umysłów zadowolających się tym, który posiadał spryt i poczucie godności, który zajmował imponujące i ważne stanowisko i zawierał przyjaźń z intuicyjnym taktem - był w tym gronie ważną osobistością, bardziej znaną od innych. Patrzono na niego jak na człowie- ka, który z rezerwą pokrywa liczne stosunki i finansowe powodzenia.

Tego wieczoru czuł się w swoim żywiole. Przyjechał w towarzystwie kilku przyjaciół wprost z restauracji „Rector” kareta. W przedsionku spotkał Droueta, który poszedł po nowy zapas cygar. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem o dzisiejszym przedstawieniu i o sprawach

Łoży.

- Kto tam jest? - zapytał Hurstwood, wchodząc na widownię, gdzie już zapalono światła i gdzie kilkunastu dżentelmenów gawędziło i śmiało się, stojąc w przejściach między krzesłami.

- Jak się pan ma, panie Hurstwood? - zapytał osobnik, który go pierwszy dojrzał.

- Bardzom rad pana widzieć! - zawołał ten ostatni, ściskając wyciągniętą dłoń.

- Zapowiada się wcale nieźle, co?

- A, tak! - swobodnie rzucił dyrektor.

- Custer ma poparcie swoich członków! Ma!

- Tak powinno być! - sentencjonalnie rzekł Hurstwood.

- I cieszy mnie, że tak jest.

- Słuchaj no, George - odezwał się inny okrągły obywatel, którego zbyt obfite kształty wydymały sztywny gors koszuli.

- Jakże ci idzie?

- Świetnie! - odrzekł dyrektor.

- Co cię tu sprowadza? Nie jesteś członkiem Custer.

- Poczciwość wrodzona - śmiał się dyrektor. - Chciałem zobaczyć chłopców.

- Żona przyszła?

- Nie mogła. Czuje się niezdrowa.

- O, to szkoda! Nic poważnego, mam nadzieję?

- Nie, chwilowa niedyspozycja.

- Pamiętam panią Hurstwood, jakeście państwo razem przyjechali do St. Joe - i tu przyjaciel Hurstwooda opowiedział jakieś przestarzałe, nieciekawe zdarzenie. Przerwało to opowiadanie wejście nowych znajomych.

- A ty skąd, George? - dziwił się inny polityk z dzielnicy Wschodniej. - Jakże się cieszę z tego spotkania! Cóż interesy?

- Doskonale. Słyszałem, zostałeś radnym.

- Udało nam się ich wysadzić nawet bez wielkiego trudu.

- Jak myślisz, co robi Hennessy?

- Wróci do swoich cegieł... Ma cegielnię, jak wiesz.

- Nie wiedziałem - przyznał się dyrektor. - Ale musi być wściekły, że mu się nie uda-

ło.

- Pewnie! - uśmiechnął się tamten chytrze.

Niektórzy z jego bardziej wpływowych przyjaciół, których udało mu się zaprosić, zaczęli zajeżdżać własnymi pojazdami. Wchodzili w poczuciu swojej godności i znaczenia.

- Tu stoimy! - zawołał Hurstwood odwracając się od gromady, z którą rozmawiał.

- Ślicznie - rzucił nowo przybyły jegomość około lat czterdziestu.

- Słuchaj no - powiedział inny, klepiąc Hurstwooda po ramieniu i nachylając się nad jego uchem: - Jeżeli to nic dobrego, oberwę ci łeb!

- Warto chyba zapłacić za to, że się spotka starych przyjaciół? Pał diabli przedstawienie!

Innemu, który zapytał: - Czy to naprawdę coś warte? - pan dyrektor odpowiedział:

- Nie wiem... nie sądzę! - po czym z wdziękiem podniósłszy ramię, rzekł: - dla Łoży!

- Chłopcy stawili się na apel, co?

- Patrz, tam stoi Shanahan... Pytał o ciebie przed chwilą.

I tak za sprawą tego jednego człowieka mały teatrzyk rozbrzmiewał echem zadowolonych głosów i szelestem wytwornych szat. Przez owe pół godziny, pozostające do podniesienia kurtyny, zawsze stał w jakiejś poważnej gromadce, w dobranym towarzystwie pięciu czy sześciu ludzi, których barczyste postacie, szerokie białe gorsy i błyszczące spinki najlepiej mówiły o tym, jak im się powodzi. Panowie, którzy przyszli z żonami, zapraszali go, ażeby się z nimi przywitał. Krzesła trzeszczały, woźni kłaniali się, gdziekolwiek się zwrócił. Był między nimi światłem odbijającym w swojej osobie ambicje tych, którzy się z nim witali. Kłaniano mu się, wyróżniano go, obrzucano pochlebstwami. Była to swego rodzaju wielkość przy całej swej małości.

Rozdział XIX

GODZINA W KRAINIE BAŚNI: NIEDOSŁYSZANA SKARGA

Wreszcie ukończono przygotowania poprzedzające podniesienie kurtyny. Aktorzy już się ucharakteryzowali, publiczność zajęła miejsca. Kapelmistrz małej wynajętej orkiestry znacząco uderzył pałeczką w pulpit. Popłynęły pierwsze tony muzyki „kurtynowej”. Hurstwood przestał rozmawiać i razem z Drouetem i swoim przyjacielem Segarem Morrisonem wszedł do loży.

- No, ciekawy jestem, jak się naszej małej powiedzie! - powiedział do Droueta, żeby nikt inny nie słyszał.

Na scenę weszło tymczasem sześć postaci. Drouet i Hurstwood zauważyli natychmiast, że nie ma między nimi Carrie, i zaczęli rozmawiać szeptem. Pani Morgan, pani Hoagland i aktor, który przejął rolę pana Bambergera, byli głównymi osobami. Aktor, którego nazwisko brzmiało Patton, nie miał na swoje usprawiedliwienie nic poza pewnością siebie, ale w danym momencie była to cnota niezastąpiona. Pani Morgan jako Pearl umierała ze strachu. Pani Hoagland ochrypła ze wzruszenia. Cały zespół był tak zdenerwowany, że każdy ograniczał się do bąkania wyuczonych na pamięć ról. Trzeba było wiele dobroduszości i ufności ze strony audytorium, żeby powstrzymać się od okazania aktorom litości przez niepokojne zachowanie się, co jest największą męką dla grających.

Hurstwood zachowywał się zupełnie obojętnie. Z góry przewidywał, że grać nie umieją. Pragnął jednego: niech się choć na tyle uda, żeby można było wieszować później.

Pierwszy strach minął jednak i wykonawcom nie groziła już zupełna klapa. Kręcili się niezręcznie po scenie, pozbawieni wszelkiego wyrazu, czyniąc sztukę niesłychanie nudną, gdy weszła Carrie.

Jedno spojrzenie wystarczyło, a Drouet i Hurstwood poznali, że i ona jest stremowana. Przeszła niezgrabnie przez scenę, mówiąc:

„Czekamy na pana od ósmej”, ale takim bezbarwnym i słabym głosem, że litość brała słuchać.

- Boi się! - szepnął Drouet Hurstwoodowi.

Dyrektor nie odpowiedział.

Miała teraz odegrać scenę, która w intencji autora była zabarwiona humorem:

„Jednym słowem, życie rzuca mną jak piłką!”

Wyszło to jednak tak słabo, że robiło upiorne wrażenie. Drouet kręcił się niespokojnie, Hurstwood stukał nogą po podłodze.

W innym znowu miejscu Laura miała wstać i powiedzieć w przeczuciu życiowej klęski:

„Żałuję, żeś to mówiła, Pearl. Znasz stare przysłowie: nazywaj pannę mężowskim nazwiskiem”.

Bezradność, z jaką to wypowiedziała, była aż śmieszna. Carrie nie trafiła na właściwy ton. Mówiła jak we śnie. Zdawała się odczuwać, że zrobiła klapę. Wyglądała bardziej beznadziejnie nawet od pani Morgan, która już się trochę opanowała i przynajmniej mówiła wyraźnie. Drouet patrzył na scenę, to na widownię.

Ta zachowywała się spokojnie, w nadziei, że jednak coś się zmieni na lepsze. Hurstwood utkwiał oczy w Carrie, starając się ją zahipnotyzować, żeby się opanowała. Chciał przelać na nią własną swoją determinację. Było mu jej żal.

Potem z roli wypadło jej odczytać list, pisany przez jakiegoś nicponia. Widownia zainteresowała się tymczasem dialogiem między aktorem zawodowym i typem, nazwanym przez autora Snorky. Kreował go mały, krótkonogi Amerykanin, który rzeczywiście wykazał pewną dozę humoru, grając jednorękiego żołnierza pół-wariata, zarabiającego na życie jako posłaniec. Wykrzykiwał swoją rolę z taką intonacją, iż aczkolwiek było to dalekie od komizmu, jaki chciał nadać autor, niemniej było zabawne. Teraz jednak Snorky umilkł, ustępując miejsca patosowi reprezentowanemu przez Carrie. Biedaczka nie zdołała się jeszcze opanować. Przebrnęła przez scenę między nią i owym nikczemnikiem, nadużywając cierpliwości widowni. Wreszcie ku powszechnemu zadowoleniu zniknęła.

- Jest strasznie zdenerwowana - rzekł Drouet, czując z łagodności tej uwagi, że sam przed sobą kłamie.

- Radzę ci, idź i przemów do niej!

Drouet rad był zrobić wszystko, byle się rozerwać. Udał się szybko do bocznego wejścia i został wpuszczony do garderoby przez zaprzyjaźnionego woźnego. Carrie stała w kulisach, z rozpaczą czekając na następne wejście, wyczerpana nerwowo, przerażona.

- Słuchaj, Cad - rzekł Drouet. - Czego ty się boisz? Obudź się! Nie masz się czego bać tych drabów. Czego ty się boisz, powiedz?

Wdzięczna była mu za te odwiedziny. Cały zespół był tak zdenerwowany, że odebrało jej to resztę odwagi.

- Rozkrochmal się - ciągnął Drouet. - Czego się boisz? Wejź na scenę i zagraj jak na próbie... Co cię oni obchodzą?

Carrie uspokoiła się trochę pod wpływem jego nastroju.

- Bardzo źle grałam? - zapytała.

- Nic podobnego! Ale potrzebujesz trochę ognia. Graj, jak grałaś dla mnie. Postaraj się potrząsnąć głową, jak to robiłaś wczoraj.

Carrie przypomniała sobie swój triumf w mieszkaniu. Wmawiała w siebie, że przecież potrafi niegorzej to zrobić teraz.

- Co po tym idzie? - zapytał, zaglądając do roli, którą powtarzała.

- Scena między mną i Rayem, w której mu odmawiam...

- Zagraj to z życiem - perswadował Drouet. - Zagraj z ogniem, ot co. Nic sobie z nich nie rób.

- Na panią kolej, panno Madenda! - wołał inspicjent.

- Och! - jęknęła Carrie.

- I czego ty się boisz? - przedkładał Drouet. - Mówię ci, rozkrochmal się! Będę cię śledził z tego miejsca.

- Naprawdę? - ucieszyła się Carrie.

- Tak, naturalnie. Nie bój się. Inspicjent wzywał pannę Madenda.

Weszła na scenę, jeszcze niepewna, ale już trochę opanowana. Pamiętała, że Drouet patrzy na nią.

- „Ray!” - powiedziała tkliwie, głosem spokojniejszym niż dotychczas. (Była to scena, która tak się podobała reżyserowi na próbie).

- Czuje się swobodniejsza! - ucieszył się Hurstwood.

Nie zagrała tak, jak grała na próbach, ale w każdym razie już lepiej. Przynajmniej nie irytowała widowni. Polepszenie gry całego zespołu odwracało uwagę specjalnie od niej. Grali o tyle lepiej, że zaświtała nadzieja szczęśliwego dobrnięcia do końca. Carrie zeszła ze sceny rozgorączkowana, ożywiona.

- No, cóż? - zapytała patrząc na Droueta. - Lepiej było?

- Naturalnie! Jesteś na dobrej drodze. Graj z życiem. Więcej życia! Grasz sto tysięcy razy lepiej niż wpierw. A teraz idź i zrób konkiętę. Wiesz, że potrafisz. Zakasuj tamtych!

- Naprawdę grałam lepiej?

- Mówię, że lepiej! Co teraz idzie?

- Scena na balu.

- No, to ci się powinno udać!

- Nie wiem - odrzekła Carrie.

- Ależ, niewiasto! - zawołał Drouet - grałaś tę scenę dla mnie! Wejdź na scenę i po prostu zagraj jak wtedy. Zobaczysz, że sama będziesz temu rada. Graj, jak grałaś w pokoju. Jeżeli zagraasz tak samo, masz powodzenie zapewnione.

Drouet zawsze skłonny był do pewnej przesady w mowie. Było to ustępstwo na rzecz wrodzonej poczciwości. Rzeczywiście sądził, że Carrie grała tę scenę dobrze, i pragnął, żeby powtórzyła ją przed publicznością. Jego entuzjazm był usprawiedliwiony ważnością chwili.

Gdy nadszedł moment decydujący, szczerze starał się dodać jej odwagi. Wmówił w nią, że grała dobrze. Carrie ożywiła się, zanim przyszła chwila wyjścia na scenę. . - Zdaje mi się, że potrafię - powiedziała wreszcie.

- Oczywiście, potrafisz! Idź i przekonaj się!

Na scenie pani Van Dam czyniła swoje okrutne wyznanie, dotyczące Laury.

Carrie słuchała. Coś uderzyło ją w tych słowach. Co - nie potrafiła powiedzieć. Nozdrza jej drgnęły.

„To znaczy” - mówił aktor zawodowy, Ray - „że społeczeństwo straszliwie mści każdą obrazę. Słyszała pani kiedy o wilkach syberyjskich? Kiedy który z nich pada, słaby i chory, reszta pożera go. Nie jest to porównanie eleganckie, a jednak społeczeństwo ma w sobie coś z wilków. Laura zakpiła ze społeczeństwa, a społeczeństwo, które opiera się na konwenansie, każe jej gorzko za to zapłacić”.

Na dźwięk imienia, które nosiła na scenie, Carrie drgnęła. Zaczynała rozumieć całą gorycz swego położenia. Czuła się jak tamta: wyrzutkiem. Stała w kulisach, zatopiona w myślach. Prawie nie słyszała nic poza tętnem własnej, rozgorączkowanej krwi.

„Chodźcie, dziewczęta” - rzekła pani Van Dam. - „Pilnujmy naszych rzeczy. Są w

niebezpieczeństwie, skoro taka złodziejka jest w naszym gronie".

- Już - szepnął inspicjent tuż obok. Ale Carrie nie słyszała. Szła z wdziękiem, który rodzi natchnienie. Zjawiała się jak jutrzienka przed publicznością, piękna i dumna, zgodnie z tekstem roli przeobrażając się w zimny biały posąg na widok cofającego się przed nią towarzystwa.

Hurstwood zmrużył oczy. Odczuł nastrój. Fale promiennej szczerości i uczucia uderzyły w najdalsze kąty sali.

- „Ray! Ray! Dlaczego nie wracasz do niej!” - wołała Pearl.

Oczy wszystkich zwrócone były na Carrie, dumną i zagniewaną. Śledzili każdy jej gest. Utkwili oczy w jej oczach. Pani Morgan, Pearl, zbliżyła się do niej.

- „Wróćmy do domu” - rzekła.

- „Nie!” - zawołała Carrie. Głos jej pierwszy raz przyjął przejmujące tony, dotychczas nie słyszane u niej. - „Zostań z nim!”

Gestem oskarżenia wyciągnęła ramię w kierunku kochanka. Potem głosem przejmującym w swojej prostocie dodała:

- „Nie będzie cierpieł długo”.

Hurstwood zrozumiał, że widzi coś zdumiewająco wspaniałego. Wrażenie to potęgowały oklaski, gdy kurtyna zapadła, i świadomość, że to gra Carrie. Mówił sobie, że jest cudowna. Uczyniła coś, co wyszło poza jego sferę. Czuł niesłychaną rozkosz na myśl, że należy do niego.

- Wspaniale! - powiedział i nagle, ulegając wewnętrznemu nakazowi, wstał i poszedł do drzwi prowadzących na scenę.

Carrie stała z Drouetem. Hurstwooda przepęłniała miłość do niej. Był poruszony, podniecony bogactwem uczucia, jakie włożyła w swoją rolę. Pragnął obsypać ją pochwałami ze szczerością, która przystała kochankowi, ale oto stał Drouet, którego temperatura uczuć również się podniosła. Drouet był jeszcze bardziej pod wrażeniem niż Hurstwood. W każdym razie z natury rzeczy tak to musiało wyglądać.

- Grałaś niezrównanie! - mówił Drouet. - Przeszłaś samą siebie! Wiedziałem, że potrafisz! Jesteś cudo!

Oczy Carrie błyszczały radością.

- Dobrze zagrałam?

- Czy dobrze?! Ja myślę! Nie słyszałaś oklasków? Oklaski nie umilkły jeszcze i teraz.

- Miałam wrażenie, że coś mnie porywa... jak gdybym tak czuła!

Właśnie nadszedł Hurstwood. Instynktownie wyczuł zmianę zaszłą w Drouecie. Widział, że Drouet jest blisko Carrie, i zazdrość zbudziła się w jego piersi. Robił sobie wyrzuty, że go odsunął w cień, a jednocześnie nienawidził go jako intruza. Z trudem zachował spokój, by móc wieszować Carrie tylko jako przyjaciel. Był to prawdziwy triumf. Oczy jego siała subtelne iskry wesołości.

- Postanowiłem przyjść i powiedzieć, że grała pani cudownie! Wspaniale!

Carrie odczuła jego nastrój.

- Och, dziękuję panu!

- Właśnie jej mówiłem - opowiadał Drouet dumny ze swojej własności - że grała cudownie!

- Naprawdę cudownie! - rzekł Hurstwood, zwracając na Carrie oczy, w których wyczytała o wiele więcej, niż mówiły słowa.

Roześmiała się promiennie.

- Jeżeli dalej tak pójdzie, wyjdziemy stąd z przeświadczeniem, że jest pani urodzoną aktorką!

Carrie uśmiechnęła się znowu. Czuła drażliwość położenia Hurstwooda i pragnęła gorąco pozostać z nim we dwoje, ale nie uchwyciła zmiany, jaka zaszła w Drouecie. Hurstwood czuł, że nie potrafi mówić licząc się z każdym słowem i w duchu przeklinając Droueta za jego obecność, więc uklonił się i wycofał z elegancją Fausta. Ale zgrzytał zębami z zazdrości.

- Niech go wszyscy diabli! Czyż nigdy go się nie pozbędę?! - Był ponury wróciwszy do łóżki i nie mógł o niczym mówić, myśląc wciąż o swojej nieznośnej sytuacji.

Kiedy kurtyna uniosła się w górę, Drouet wrócił. Był bardzo ożywiony i w nastroju gadatliwym, ale Hurstwood udawał, że go sztuka interesuje. Utkwił spojrzenie na scenie, chociaż Carrie jeszcze nie było, gdyż coś w rodzaju melancholijnej komedii poprzedzało jej wejście; nie widział jednak, co się dzieje. Zatopiony był w swoich myślach, wcale nie wesołych.

Było mu obojętne, jak się rozwija sztuka. Carrie od tej chwili stała się ośrodkiem zainteresowań. Widownia, która z początku skłaniała się do poglądu, że nic nie zdoła naprawić

pierwszego ponurego wrażenia, teraz wpadła w drugą ostateczność i widziała potęgę tam, gdzie jej nie było. Carrie skupiła na sobie uczucia wszystkich. Przebrnęła przez swoją rolę dość szczęśliwie, choć było to niczym w porównaniu z owym natężeniem uczucia, z jakim zagrała koniec pierwszego aktu.

Zarówno Hurstwood, jak Drouet, z rosnącą miłością śledzili jej powabną postać. Fakt, że wykazała taki talent, że talent ów objawił się w tak efektownych okolicznościach, ujęty w ramy z masywnego złota i oświetlony blaskiem jej sentymentu i osoby, podniósł Carrie w ich oczach. Dla Droueta była czymś więcej niż dawną Carrie. Pragnął być z nią jak najprędzej w domu, żeby jej to móc powiedzieć. Czekał niecierpliwie końca, kiedy będą mogli iść do siebie.

Hurstwood przeciwnie, widział w potędze nowych powabów Carrie całą nędzę swego położenia. Gotów był kląć siedzącego za nim Droueta! Dobry Boże! Przecież nie wolno mu nawet oklaskiwać Carrie, jak by tego pragnął!

W ostatnim akcie urok wywierany przez Carrie na jej kochanków doszedł do największego napięcia.

Hurstwood śledził bieg sztuki niecierpliwiąc się, kiedy Carrie ukaże się na scenie. Nie czekał długo. Autor wpadł na szczęśliwą myśl wysłać całe towarzystwo na przejażdżkę i Carrie weszła na scenę sama. Pierwszy raz widział ją Hurstwood samą wobec całego audytorium: dotychczas zawsze ktoś jeszcze kręcił się po scenie. Poczuli nagle, gdy wyszła, że jej dawna potęga-urok, któremu uległ przy końcu pierwszego aktu - powróciła. Zdawała się rozkwitać uczuciem teraz, gdy sztuka dobiegała końca.

- „Biedna Pearl!” - powiedziała z naturalnym patosem. - „To smutne pragnąć szczęścia, ale to straszne widzieć, że inny szuka po Omacku, mając je w ręku!”

Z ręką na klamce od drzwi patrzyła teraz smutna na otwarte morze.

Hurstwooda ogarnęła głęboka tkliwość dla niej i dla siebie. Zdawało mu się, że mówi do niego. Dał się zwieść owemu głosowi i gestom, które przy pewnym nastroju podobnie jak muzyka wydają się czymś osobistym, intymnym. Patos ma tę właściwość, iż brzmi tak, jak gdyby był zwrócony zawsze do jednej osoby tylko.

- „A jednak może być z nim bardzo szczęśliwa” - ciągnęła mała aktorka. - „Jej pogodne usposobienie, wesoła twarzyczka rozweselić powinny każdy dom...”

Odwróciła się ku widowni nie widząc. Było tyle prostoty w jej gestach, jak gdyby by-

ła zupełnie sama, Potem usiadła przy stole i wzięwszy do ręki książkę zagłębiła się w niej.

- „Nie pragnąc tego, czego otrzymać nie mogę” - kończyła jakby westchnieniem - „nie mając na całym świecie nikogo z wyjątkiem ich dwojga, radować się będę szczęściem tej niewinnej dziewczyny, która wkrótce zostanie jego żoną”.

Hurstwood nie mógł dość odżałować, kiedy typ, nazwiskiem Peach Blossom, przerwał jej samotność. Poruszył się zirytowany, gdyż pragnął, żeby mówiła dalej. Zachwycał się bladą twarzyczką, wysmukłą postacią w popielatej, powłóczystej sukni, w perłach na obnażonej szyi. Carrie wyglądała na istotę znużoną, pozbawioną opieki. Pod urokiem tego, co się odbywało na scenie, rozplómił się do tego stopnia, iż gotów był pomóc jej wyzwolić się - ku swojej, oczywiście, rozkoszy.

Carrie znowu była sama. Mówiła z uczuciem.

- „Muszę wrócić do miasta pomimo niebezpieczeństwa, jakie mi tam może grozić. Muszę odejść stąd. W tajemnicy, jeśli mi się uda; otwarcie, jeśli mnie do tego zmuszą.”

Rozległ się tupot kopyt końskich i wszedł Ray mówiąc:

- „Nie, już nie pojedę! Odprowadźcie konia!”

Wszedł i oto rozegrała się scena, która więcej niż wszystkie inne w dziwnej i pogmatwanej karierze Hurstwooda przyczyniła się do narodzin tragedii miłości w jego życiu. Bo Carrie postanowiła wydobyć wszystko z tej sceny, i teraz, gdy nadszedł odpowiedni moment, czar sztuki przemówił do niej. Obaj, Hurstwood i Drouet, zauważyli u niej wzrost napięcia uczuciowego.

- „Sądziłam, żeś odjechał z Pearl” - rzekła do swego kochanka.

- „Pojechałem. Alem się pożegnał z towarzystwem w połowie drogi.”

- „Chyba nie posprzeczałiście się z Pearl?”

- „Nie... tak... To znaczy, zawsze się sprzecząmy. Barometr naszego stosunku zawsze wskazuje pochmurno i wietrznie.

- „A czyja to wina?” - zapytała swobodnie.

- „Nie moja” - odparł ponuro. - „Wiem, że robię, co mogę... że mówię, co mogę... ale ona...”

Patton powiedział to prawie poprawnie, ale Carrie odpowiedziała z wdziękiem, który miał w sobie coś natchnionego.

- „Jest twoją żoną” - rzekła, skupiając całą swoją uwagę na milczącym aktorze i łągo-

dząc głos, aż stał się znowu słodki i melodyjny. - „Ray, mój przyjacielu! Uprzejmość jest księgą mądrości, z której całkowitą swoją treść czerpie kazanie o pożyciu małżeńskim. Nie dopuść, żeby twoje było nudne i nieszczęśliwe...”

Złożyła małe rączki gestem błagalnym. Hurstwood słuchał z otwartymi ustami. Drouet kręcił się z zadowolenia.

- „Będzie moją żoną, tak!” - rzekł aktor, którego głos brzmiał dziwnie słabo w porównaniu z jej głosem, ale nie mógł popsuć tkliwej atmosfery, którą wytworzyła i umiała utrzymać Carrie. Zdawała się nie widzieć jego miernoty. Mogłaby grać tak samo, gdyby kazano jej przemawiać do kłody drewna. W swojej wyobraźni miała akcesoria potrzebne do gry. Gra innych nie mogła niczego zepsuć.

- „Już żałujesz?” - zapytała cicho.

- „Straciłem ciebie!” - rzekł ujmując jej małe rączki. - „Dałem się wciągnąć w każdy flirt, który mi się nadarzył. To twoja wina... dobrze wiesz... Dlaczegoś mnie opuściła?!”

Carrie cofnęła się o krok. Zdawała się chcieć opanować w ciszy. Powróciła.

- „Ray!” - powiedziała. - „Największym szczęściem, jakiego doznałam kiedykolwiek, była myśl, że miłość swoją na wieki oddałeś kobiecie cnotliwej, równej ci urodzeniem, stanowiskiem społecznym, rodziną. Co za wyznanie czynisz mi teraz! Dlaczego prowadzisz ciągłą wojnę ze swoim szczęściem?”

Ostatnie pytanie rzuciła z taką prostotą, że dziwnie osobiście zabrzmiało w uszach audytorium i kochanka.

Wreszcie doszło do sceny, w której Ray woła:

- „Bądź moją, jak byłaś dawniej!”.

Carrie odpowiedziała słodko i tkliwie:

- „Nie mogę być dla ciebie tym, czym byłam, ale mogę przemówić do ciebie w duchu Laury, która na zawsze umarła.”

- „Niech będzie, jak chcesz” - szepnął Patton.

Hurstwood pochylił się ku przodowi. Cała widownia słuchała z napięciem.

- „Niech kobieta, na którą patrzysz, będzie mądra czy głupia” - mówiła Carrie z oczyma smutnie utkwionymi w kochanka - „piękna czy brzydka, bogata czy uboga, pamiętaj, że posiada ona tylko jedną rzecz, którą może ofiarować lub której może odmówić: serce.”

Drouet czuł, że mu zaschło w gardle.

- „Piękność swoją, rozum, talenty - wszystko może ci sprzedać, ale serce jej to skarb bez ceny, nie do kupienia.”

Dyrektor Hurstwood słuchał tego jak wezwania do siebie. Zdawało mu się, że są sami, we dwoje i z trudem hamował łzy patrząc na tę smutną, śliczną, rozbrajającą kobietę, którą tak bardzo kochał. Drouet również był podniecony ponad wszelką miarę. Postanowił, że będzie odtąd dla Carrie taki, jakim nigdy jeszcze nie był. Ożeni się z nią, do diabła! Warta tego!

- „W zamian kobieta żąda” - mówiła Carrie, prawie nie słuchając bezbarwnej repliki swego partnera i starając się raczej być w harmonii z żalospelną melodią, która płynęła teraz z orkiestry - „żeby, kiedy patrzysz na nią, oczy twoje mówiły o miłości, żeby, gdy mówisz do niej, głos twój był miły, kochający, tkliwy; żebyś nie gardził nią dlatego, że niezdolna jest pojąć takich wielkich myśli i ambitnych planów. Gdyż kiedy zło i nieszczęścia staną na przekór twoim dumnym planom, zostanie jej miłość, aby cię pocieszyć. Spójrz na te drzewa” - dodała (Hurstwood z największym wysiłkiem opanował wzruszenie) - „jakie są wielkie i mocne! Nie gardź kwiatami, że dać ci mogą tylko swoją woń. Pamiętaj” - dodała tkliwie - „że miłość to wszystko, co dać może kobieta” - kończyła dziwnie słodkim głosem - „ale jest to jedyna rzecz, którą Bóg pozwala nam zabrać poza grób.”

Obaj mężczyźni przeżywali męki miłości. Prawie nie słyszeli końcowych scen sztuki. Widzieli tylko swoje bóstwo poruszające się z niewypowiedzianym wdziękiem, obdarzone siłą, która dla nich była rewelacją.

Hurstwood robił tysiące postanowień. Drouet również. Przyłączyli się zgodnie do burzy oklasków, którymi wywoływano Carrie. Drouet bił w ręce tak długo, aż go zabolęły. Potem zerwał się i wybiegł z łoża. Gdy wybiegł za kulisy, Carrie schodziła ze sceny, ale widząc, że niosą kosz kwiatów, zatrzymała się. Były to kwiaty od Hurstwooda. Spojrzała w kierunku łoża dyrektora i uśmiechnęła się. Jakżeby chętnie wyskoczył z łoża i chwycił ją w ramiona. Zapomniał o ostrożności, którą jako człowiek żonaty powinien był zachować. Zapomniał, że obok siedzą znajomi. Będzie miał tę cudowną dziewczynę, nawet gdyby miał stracić wszystko. Zacznie działać natychmiast. Drouet się skończył, proszę o tym pamiętać! Nie chce czekać ani jednego dnia dłużej! Drouet nie będzie miał Carrie!

Był tak podniecony, że nie mógł usiedzieć w łożu. Wyszedł do przedsionka, a stamtąd

na ulicę. Drouet nie wracał. Ostatni akt skończył się za parę minut. Do szaleństwa pragnął mieć Carrie dla siebie. Przeklinał los, który kazał mu się uśmiechać, kłaniać, maskować, udawać, kiedy chciał powiedzieć Carrie, że ją kocha, kiedy chciał szeptać z nią sam na sam. Zżymał się czując, że płonne są jego nadzieje. Musi nawet zaprosić ją na kolację i znowu udawać! Poszedł wreszcie zapytać, jak się czuje. Aktorzy ubierali się, śmiali, rozmawiali. Drouet rozgadał się, podniecony, szczęśliwy. Dyrektor tylko wielkim wysiłkiem panował nad sobą.

- Idziemy, oczywiście, na kolację - powiedział tonem, który był drwiną z własnego serca.

- O, tak - powiedziała Carrie z uśmiechem.

Mała aktoreczka czuła, że stroją ją tego dnia piękne pióra i że ją po nich będą głaskali. Podziwiano ją, zazdrozczono jej. Pierwszy raz objawiła się jej niezależność, jaką daje powodzenie. Role się zmieniły; patrzyła raczej z góry niż w górę ku swoim wielbicielom. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, że tak jest, czuła jednak zbliżenie się czegoś, co było niekończenie miłe. Gdy się ubrała, wsiedli do czekającej karety i pojechali za miasto. Raz jeden znalazła sposobność dać wyraz swoim uczuciom: kiedy dyrektor wyprzedził Droueta i usiadł obok niej w karecie. Zanim Drouet zajął swoje miejsce, zdążyła uścisnąć Hurstwoodowi rękę tkliwie, serdecznie. Dyrektor nie posiadał się z radości. Sprzedałby duszę za cenę zostania z nią sam na sam. „Och!” - mówił sobie - „co za męka!”

Drouet był w siódmym niebie myśląc, że wszystko to tylko dla niego. Jego entuzjazm zepsuł zabawę. Hurstwood wracał do domu z uczuciem, że umrze, jeżeli nie znajdzie ujścia dla swego miłosnego podniecenia. Szepnął Carrie namiętnie:

- Do jutra! - Zrozumiała. Żegnał Droueta i jego zdobycz z uczuciem, że mógłby go zabić i nie żałować tego. Carrie również cierpiała.

- Dobranoc! - rzekł udając ton przyjacielski.

- Dobranoc! - tkliwie szepnęła aktoreczka.

- Dureń! - szeptał. Nienawidził Droueta. - Idiota! Zrobię z nim porządek! I to wkrótce!

Poczekajmy do jutra!

- No, jeżeli ty nie jesteś cud - mówił zarozumiale Drouet, ściskając ramię Carrie - to jesteś najmiłszą dziewczynką na świecie!

Rozdział XX

POWABY DUCHA: POŚCIG ZA CIAŁEM

W ludziach takich jak Hurstwood namiętność z natury swojej przyjmuje formę groźną. Nie ma nic z zadumy, z marzenia. Nie odczuwa potrzeby śpiewania pod oknami swojej pani, omdlewania i rozpaczania w obliczu piętrzących się trudności. W nocy długo nie mógł zasnąć, głowę miał zajętą myślami. Obudziwszy się wcześniej, wrócił do tego samego drogiego przedmiotu rozmyślań, pochłonięty nim bez reszty. Był wyczerpany fizycznie i znękany duchowo - czyż nie znalazł nowego źródła rozkoszy w swojej Carrie i czyż Drouet nie stał mu na drodze? Nie było nigdy człowieka tak udręczonego myślą, że jego ukochana jest w rękach zarozumialca, napuszonego „dobosza”. Oddałby wszystko, przynajmniej tak mu się zdawało, żeby położyć kres tym komplikacjom, zmusić Carrie do zdecydowania się na coś, co ostatecznie i na zawsze uwolni ją od Droueta.

Co zrobić? Ubierał się zamyślony. Znajdował się w jednym pokoju z żoną, nie zdając sobie sprawy z jej obecności.

Przy śniadaniu nie miał apetytu. Jedzenie, które sobie nałożył, pozostało na talerzu nietknięte. Kawa wystygła. Obojętnie przeglądał gazety. Przeczytał jedno i drugie, ale bez zainteresowania. Jessica jeszcze nie zeszła. Małżonka siedziała przy drugim końcu stołu, trawiając własne myśli. Zgodziła niedawno nową służącą, która zapomniała podać serwetki. Był to powód do gniewnego przerwania milczenia.

- Już ci mówiłam, Maggie - rzekła pani Hurstwood. - Nie będę powtarzać bez końca.

Hurstwood spojrzał przelotnie na żonę. Brwi miała zmarszczone. Zachowanie jej zirytowało go. Następną uwagę zwróciła do niego.

- Czyś już postanowił, George, kiedy weźmiesz urlop? Mieli zwyczaj o tej porze roku układać plany wakacyjne.

- Jeszcze nie. Jestem teraz bardzo zajęty.

- Więc zechciej zdecydować się niedługo, dobrze? Jeżeli mamy wyjechać.

- Sądzę, że mamy jeszcze kilka dni czasu.

- Hm... nie zechcesz chyba czekać na koniec sezonu. Powiedziała to tonem bardziej

podrażnionym.

- Zawsze to samo! - wybuchnął. - Ktoś mógłby pomyśleć, że nigdy niczego nie robię na czas.

- Ja tylko chciałabym wiedzieć, kiedy weźmiesz urlop - nalegała.

- Masz jeszcze kilka dni - odparł z naciskiem. - Przecież nie wyjedziesz przed końcem wyścigów.

Był zirytowany, że mu zaprzatają głowę takimi rzeczami, kiedy on myśli o czymś zupełnie innym.

- Owszem. Jessica nie ma ochoty zostać do końca wyścigów.

- Więc po co w takim razie był wam potrzebny bilet sezonowy?

- Och! - zawołała z akcentem niechęci. - Nie chcę się, z tobą spierać - i podniosła się, chcąc opuścić pokój.

- Słuchaj - rzekł powstając również. W głosie jego dźwięczała determinacja, co zmusiło panią Hurstwood do pozostania w pokoju. - Co się z tobą dzieje? Czyż nie możemy już ze sobą rozmawiać?

- Oczywiście, że możesz rozmawiać ze mną! - powiedziała, kładąc nacisk na słowie „możesz”.

- No, nie powiedziałbym tego, sądząc po twoim zachowaniu. Pytasz, kiedy będę wolny. Myślę, że najwcześniej za miesiąc. Może być, że jeszcze później.

- Więc pojedziemy bez ciebie.

- Pojedziecie, co? - rzucił drwiąco.

- Tak, pojedziemy.

Był zdumiony stanowczością tej kobiety, ale to jeszcze więcej go zirytowało.

- Zobaczymy, jak to będzie. Zauważyłem, że coś za swobodnie sobie poczynasz w ostatnich czasach. Mówisz, jak gdybyś mogła decydować za mnie. Otóż nie możesz! Nie pozwolę wtrącać się do mnie. Jeżeli chcesz jechać, to sobie jedź, ale na mnie niczego nie potrafisz wymóc taką gadaniną!

Był teraz prawdziwie rozgniewany. Jego czarne oczy ciskały błyskawice. Z wściekłością rzucił gazetę na stół. Pani Hurstwood nie odpowiedziała więcej ani słowa. Gdy skończył mówić, odwróciła się na pięcie i poszła w górę. Stał chwilę niezdecydowany, potem usiadł, wypił kilka łyków kawy i poszedł po kapelusz i rękawiczki.

Pani Hurstwood nie spodziewała się takiej awantury. Zeszła na śniadanie w nieszczerzym humorze, postanowiwszy przeprowadzić plan, który sobie nakreśliła. Jessica zwróciła matce uwagę, że wyścigi nie okazały się tym, czego się spodziewano. Życie towarzyskie również zawiodło oczekiwania. Piękna panna uważała codzienne chodzenie na wyścigi za nudne. Tego roku ludzie wcześniej zaczęli się rozjeżdżać do miejsc kąpielowych i do Europy. Kilku młodzieńców z jej kółka (była nimi osobiście zainteresowana) wyjechało już do Waukesh. Jessica doszła do przekonania, że i ona wyjechałaby chętnie, i pani Hurstwood godziła się z nią.

Pani Hurstwood postanowiła poruszyć tę sprawę przy sposobności. Myślała nawet, że zrobi to przy śniadaniu, ale wszedłszy do pokoju wyczuła, że atmosfera z tych czy innych powodów jest wroga. Potem nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego pokłóciła się z mężem i co wywołało tę całą awanturę. Wmawiała w siebie jednak, że mąż jej jest brutalem i że ona nie pozwoli na coś podobnego. Wymaga innego traktowania albo przynajmniej niech wie, skąd ta zmiana!

Co do dyrektora, zajęty był tą nową troską, dopóki nie przyszedł do biura i nie udał się stamtąd na schadzki z Carrie. Natenczas stał się ofiarą nowych komplikacji miłości, pożądania, buntu. Myśli leciały przed nim na skrzydłach sokolich. Z trudnością mógł się doczekać chwili, kiedy spotka Carrie twarzą w twarz. Czym, ostatecznie, była noc bez Carrie, czym dzień? Musi być jego. I będzie!

Carrie, odkąd pożegnała go poprzedniego dnia, przeżyła cały świat nowych uczuć i marzeń. Słuchała bezładnej, entuzjastycznej gadaniny Droueta z wielką uwagą - gdy dotyczyła jej, obojętnie - gdy rzecz szła o niego. Starła się trzymać go jak najdalej od siebie, zajęta wyłącznie myślą o swoim triumfie. W namiętności Hurstwooda widziała cudowne tło do tego, co udało się jej dokonać. Łamała sobie głowę, co on teraz powie? Myślała o nim z tym szczególnym smutkiem, na dnie którego kryje się zadowolenie, że się jest przyczyną czyjogoś nieszczęścia. Doświadczyła pierwszy raz subtelnej zmiany, która z suplikantki czyni rozdawczynię łask. Jednym słowem, pomimo wszystko była bezgranicznie szczęśliwa.

Z rana jednak gazety ani jednym słowem nie wspomniały o wczorajszym zdarzeniu i w świetle zwykłych, codziennych spraw triumf Carrie stracił nieco z owego blasku, którym jaśniał poprzedniego wieczora. Sam Drouet nie tyle mówił już o niej, ile do niej. Czuł instynktownie, że z tego czy innego powodu musi się zrehabilitować w oczach Carrie.

- Sądzę - rzekł, uwijając się po mieszkaniu i przygotowując się do wyjścia na miasto - że jeszcze w tym miesiącu uda mi się załatwić pomyślnie tamten interes i będziemy mogli się pobrać. Mówiłem o tym wczoraj z Mosherem.

- Nie zrobisz tego - rzekła Carrie, czując się dość silna, by przekomarzać się z „dobo-
szem”.

- Owszem! Zrobię! - zawołał goręcej niż kiedykolwiek, tonem człowieka, który się
broni. - Nie wierzysz w to, co powiedziałem?

Roześmiała się.

- Ależ wierzę! Wierzę!

Drouet stracił zwykłą pewność siebie. Pomimo całej płytkości swego umysłu zauwa-
żył, że stało się coś, co przekracza jego zdolności analizowania. Miał jeszcze swoją Carrie,
ale nie była już bezradna ani pokorna. W głosie jej dźwięczała jakaś nowa nuta. Nie patrzyła
już na Droueta oczyma osoby zależnej. Drouet czuł cień czegoś, co nadchodzi. Zabarwiło to
jego uczucia, zmuszając do rozwinięcia owych drobnych grzeczności i do wymówienia
owych słówek, które nie są niczym innym jak samoobroną przed niebezpieczeństwem.

Zaraz po jego odejściu Carrie zaczęła się przygotowywać do schadzki z Hurstwoo-
dem. Ukończywszy toaletę zbiegła ze schodów. Na rogu minęła Droueta, ale przeszli obok
siebie nie poznając się.

Drouet zapomniał jakiegoś rachunku i wrócił do domu. Wbiegł szybko po schodach i
wpadł do pokoju, ale zastał w nim tylko pokojówkę zajętą sprzątaniami.

- Halo! - zawołał na wpół do siebie. - Czyżby Carrie wyszła?

- Pańska żona? Tak, wyszła przed kilku minutami.

- To dziwne - pomyślał Drouet. - Nic mi nie wspominała. Ciekaw jestem, dokąd po-
szła?

Kręcił się po pokoju, przewracając w walizce. Wreszcie znalazł żądany papier i scho-
wał go do kieszeni. Po czym postanowił poświęcić nieco uwagi swojej towarzyszyce, która
była ładna i życzliwa.

- Co panienka robi? - zapytał z uśmiechem.

- Sprzątam - odpowiedziała przystając i przewieszając przez rękę ściereczkę od kurzu.

- Zmęczyła się panienka?

- Nie bardzo.

- Panienska pozwoli, to coś pokażę - powiedział uprzejmie, wyjmując z kieszeni kartę litograficzną, którą jedna z firm tytoniowych wypuściła jako reklamę. Na karcie namalowana była fertyczna dziewczyna z pasiastym parasolem, którego barwy można było zmieniać przy pomocy małej ruchomej tarczy, po odwrotnej stronie, pomalowanej w czerwone, zielone, żółte i niebieskie pasy. Barwy te przeświecały przez szpary wykrojone w parasolu.

- Dowcipne, co? - zapytał, podając kartę pokojówce i pokazując, jak przesuwać barwy. - Nie widziała panienska czegoś podobnego, co?

- Ładne, prawda? - rzekła.

- Panienska może to sobie zatrzymać. Jaki ładny pierścionek! - zawołał po chwili, dotykając zwykłego taniego pierścionka na rękę, w którym trzymała ofiarowany sobie anons.

- Och, czyż ładny?

- A, ładny! - powtórzył, pod pretekstem obejrzenia pierścionka dotykając jej ręki. - Piękny.

Ponieważ pierwsze lody przełamano, wdał się z nią w rozmowę, niby zapominając, że dotyka jej palców.

Dziewczyna jednak wyrwała mu dłoń i cofnęła się o kilka kroków do okna.

- Tak dawno pana nie widziałam - zaczęła kokieteryjnie, gestem trzymając go w pewnej odległości. - Pewnie pan wyjeżdżał?

- A wyjeżdżałem! - rzekł Drouet.

- Daleko pan jeździ?

- Daleko... tak.

- I pan to lubi?

- O, nie bardzo! W końcu każdego to zmęczy.

- Chciałabym móc podróżować - mówiła, wyglądając bezmyślnie oknem. - Co się stało z pańskim przyjacielem, panem Hurstwoodem? - zapytała przypominając sobie nagle o istnieniu dyrektora, który według jej wyrachowania, mógł przedstawiać dla niej pewną wartość.

- Jest w Chicago. Dlaczego panienska pyta?

- Och, tak sobie! Tylko... nie był tutaj od czasu, jak pan wrócił.

- Skąd panienska go zna?

- Czyż go nie anonsowałam ze dwanaście razy w zeszłym miesiącu?

- Tere fere! - śmiał się Drouet. - Nie był i sześciu razy, odkądśmy się wprowadzili tutaj.

- Nie był, co? - uśmiechnęła się pokojówka. - Pan wie swoje, a ja swoje.

Drouet przybrał nieco poważniejszy ton. Nie był pewny, czy nie żartuje.

- Co się panienka tak uśmiecha?

- Och, tak sobie.

- Kiedy go panienka widziała?

- Nie widziałam go od pańskiego powrotu - śmiała się.

- A przedtem?

- Naturalnie!

- Często?

- Prawie codziennie.

Wiedziała, że jest zwiastunką złych nowin, i z góry zastanawiała się, jaki to wywoła efekt.

- Do kogo przychodził? - zapytał nieufnie.

- Do pani Drouet.

Zrobił głupią minę słysząc to, ale co prędzej się opanował, nie chcąc, żeby go brała za durnia.

- Więc cóż? - zapytał.

- A nic - odrzekła dziewczyna, kokieteryjnie pochylając na bok głowę.

- To stary przyjaciel - rzekł, grzęznąc coraz głębiej.

Zapusiłby się dalej w ten miły flircik, ale nagle przeszła mu ochota do dalszych umizgów. Poczł prawie ulgę, gdy dziewczynę zawołano z dołu.

- Muszę iść! - powiedziała wesoło.

- Zobaczymy się później! - zawołał, udając niezadowolenie, że mu przerwano.

Po odejściu pokojówki zastanowił się poważnie nad tym, co mu powiedziała. Jego twarz (nigdy nie potrafił panować w zupełności nad jej wyrazem) zdradzała wszystkie niepokoje i lęki, które go nękały. Czy to możliwe, że Carrie tak często przyjmowała Hurstwooda i ukrywała to przed nim?! Więc Hurstwood kłamał? Co dziewczyna chciała przez to powiedzieć? Zdawało mu się, że w ostatnich czasach Carrie jest jakaś dziwna. Dlaczego była taka zmieszana, kiedy ją zapytał, ile razy Hurstwood był u niej? Do diabła! Teraz to

sobie dopiero przypomniał. Jest w tym wszystkim coś dziwnego...

Usiadł w fotelu bujającym, chcąc to sobie lepiej raz jeszcze przemyśleć. Ujął kolano w rękę. Zmarszczył czoło.

A jednak w postępowaniu Carrie nie było nic szczególnego. To niemożliwe, do diabła, żeby go zdradzała! Przecież nie dalej jak wczoraj była dlań jak najżyczliwiej usposobiona... i Hurstwood również. Patrzcie, jacy to oni są! Z trudem wierzył, że mogliby go oszukiwać!

Ujął swe myśli w słowa.

- Czasami zachowywała się dziwnie. Na przykład, ubrała się i wyszła dzisiaj, nie mówiąc mi słowa.

Potańił głowę i postanowił wyjść na miasto. Brwi miał zmarszczone. Wchodząc do hallu, natknął się na pokojówkę, która szła sprzątać inne pokoje. Miała na głowie wysoki biały czepek, spod którego wyglądała jej sympatyczna i poczciwa twarz. Drouet zapomniał prawie o swoim zmartwieniu, gdy zobaczył, że się do niego uśmiecha. Położył jej przyjaźnie rękę na ramieniu, jak gdyby witając się z nią w przejściu.

- Już się pan przestał ciskać? - zapytała dziewczyna, w dalszym ciągu nastrojona złowróźnie.

- Nie ciskałem się.

- Zdawało mi się! - uśmiechnęła się.

- Niech panienka przestanie sobie tym zaprzętać głowę - po czym dodał swobodnie: - Przecież panienka nie mówiła poważnie?

- Naturalnie! - odrzekła. - Był kilkanaście razy - dodała takim tonem, jak gdyby nie miała zamiaru siać niepokoju. - Myślałam, że pan wie.

Drouet wiedział już, że padł ofiarą zdrady. Nie starał się udawać obojętności.

- Spędzał tu wieczory?

- Czasami... A niekiedy to wychodzili razem.

- Wieczorami?

- Tak... Ale o co się pan tak gniewa?

- Nie gniewam się... Czy jeszcze kto ich widział?

- Naturalnie! - powiedziała dziewczyna, jak gdyby ostatecznie nie było w tym nic szczególnego.

- Kiedy to było?
- Przed pańskim powrotem. Drouet nerwowo przygryzł wargi.
- Panienska nie powie o tym nikomu, co? - rzekł przyjaźnie, ściskając jej ramię.
- Naturalnie! Też miałabym sobie czym zaprzętać głowę!
- Dobrze - rzekł nadąsany, a jednak doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że wywarł na pokojówce dodatnie wrażenie.
- Zrobię z tym porządek! - szepnął namiętnie, czując, że go skrzywdzono paskudnie. - Dowiem się, do diabła, czy rzeczywiście mnie zdradza!

Rozdział XXI

POWABY DUCHA: POŚCIG ZA CIAŁEM

Kiedy Carrie nadeszła, Hurstwood czekał już na nią od kilku minut. Krew tętniła mu w żyłach. Nerwy były w naprężeniu. Pragnął jak najprędzej ujrzeć kobietę, która poprzedniego dnia wywarła na nim tak oszłamiające wrażenie.

- Jesteś! - zawołał, czując lekkość wszystkich członków i podniecenie, samo w sobie tragiczne.

- Tak - rzekła Carrie.

Poszli, jak gdyby przyciągał ich jakiś określony cel. Hurstwood upajał się jej promienną obecnością. Szelest jej ładnej sukienki dźwięczał mu w uszach jak muzyka.

- Jesteś zadowolona? - zapytał, przypominając sobie jej wczorajszy triumf.

- A ty?

Zacisnął ręce na widok uśmiechu, którym go obdarzyła.

- To najlepsza kreacja. Takiej nie widziałem już od dłuższego czasu - przyznał.

Jak poprzedniego wieczora, rozkoszował się wdziękiem Carrie. Teraz przyłączyło się do tego uczucie, którym natchnęła go jej obecność.

Carrie zaś upajała się atmosferą, jaką ten człowiek roztaczał dokoła siebie. Była jednocześnie podniecona i onieśmielona jego urokiem. Z brzmienia głosu Hurstwooda czuła, jak bardzo jej pragnie.

- Takie śliczne kwiaty przysłałeś mi wczoraj - mówiła. - Naprawdę precudne kwiaty!

- Cieszę się, że ci się podobały - rzekł z prostotą.

Myślał przez cały czas, że odwleka się upragniona przez niego rozmowa. Chciał mówić o swojej miłości. Wszystko dojrzało do tego. Jego Carrie była przy nim. Pragnął zanurzyć się z nią i wypłynąć z nią, a jednak szukał słów i nie umiał zacząć.

- Szczęśliwie dojechaliście do domu? - powiedział nagle ponuro. W głosie jego dźwięczało współczucie dla samego siebie.

- Tak - swobodnie rzekła Carrie.

Patrzył na nią przez chwilę badawczo, po czym zwolnił kroku, nie spuszczać z niej oczu.

Uczuła przypływ namiętności.

- Co będzie ze mną? - zapytał.

To zmieszało Carrie. Zrozumiała, że oto otwarła się zaporą. Nie wiedziała dobrze, co odpowiedzieć.

- Nie wiem... - rzekła.

Przygryzł dolną wargę zębami i puścił ją. Zatrzymał się na ścieżce, zdeptał obcasem jakieś źdźbło trawy. Patrzył w twarz Carrie błagalnym, tkliwym wzrokiem.

- Nie chcesz od niego odejść? - zapytał namiętnie.

- Nie wiem - powiedziała Carrie z zupełnym brakiem logiki, nie wiedząc, czego by się mogła uchwycić.

Rzecz w tym, że ogarnęło ją beznadziejne zwątpienie. Oto człowiek, którego ogromnie lubiła, który wywierał na nią wpływ wystarczający, by uwierzyła, że czuje do niego zmysłowy pociąg. Była wciąż ofiarą jego przenikliwych oczu, jego wytwornych manier, eleganckiego ubrania. Patrzyła i widziała przed sobą człowieka wytwornego, sympatycznego, który skłaniał się ku niej z uczuciem budzącym rozkosz już przy obserwowaniu go. Nie mogła oprzeć się urokowi jego temperamentu, błyskowi jego spojrzenia. Prawie czuła to, co czuł on.

A jednak nie mogła stłumić niepokoju. Co Hurstwood wiedział? Co mówił mu Drouet? Brał ją za żonę czy nie? Czy się z nią ożeni? Nawet gdy mówił, a Carrie ulegała mu i w oczach jej zapalały się błyski, nawet wtedy pytała siebie, czy Drouet mu powiedział, że nie są małżeństwem? W tym, co mówił Drouet, nigdy nie było nic przekonującego.

A jednak miłość Hurstwooda nie napawała jej smutkiem. Cokolwiek Hurstwood wiedział, nie odczuwała z tego powodu goryczy. Był najwyraźniej szczery. Jego namiętność była prawdziwa, gorąca. Była siłą w tym, co mówił. Co zrobi? Szła zamyślona, odpowiadając niepewnie, marząc, aż znalazła się na brzegu bezkresnego morza.

- Dlaczego nie chcesz iść ze mną? - nalegał. - Zrobię wszystko, co...

- Ach, nie! - wyrwało się Carrie.

- Co nie? - zapytał. - O czym mówisz?

Ból i zmieszanie odbiły się na twarzy Carrie. Pytała siebie, dlaczego nachodzą ją takie smutne myśli? Jak ostrze szabli świadomość przecięła jej myśl o nędznym ochłapie poza małżeństwem.

Hurstwood sam zdawał sobie sprawę, że to nikczemność wciągnąć w coś takiego Carrie. Chciał zważyć efekt, jaki propozycja jego wywrze, ale nie mógł sobie tego dostatecznie jasno wyobrazić. Nalegał podniecony jej obecnością, zbudzony, gorąco pragnąc urzeczywistnić swój plan.

- Nie chcesz od niego odejść? - zapytał z większą niż poprzednio natarczywością. - Wiesz, że nie mogę żyć bez ciebie... że nie mogę tak dłużej... że tak dalej być nie może...

- Wiem - powiedziała Carrie.

- Nie prosiłbym... nie spierałbym się z tobą... gdybym mógł. Spójrz na mnie, Carrie! Postaw się na moim miejscu. Nie chcesz żyć z dala ode mnie, prawda?

Potrząsnęła głową jakby w głębokiej zadumie.

- Dlaczego nie mielibyśmy rozwiązać tej sprawy... raz na zawsze?

- Nie wiem! - rzekła Carrie.

- Nie wiem! Ach, Carrie! Dlaczego tak mówisz? Nie dręcz mnie! Mów poważnie!

- Mówię poważnie - słodko odrzekła Carrie.

- Nie możesz poważnie mówić takich rzeczy, najdroższa, teraz, kiedy wiesz, jak cię kocham! Przypomnij sobie wczorajszą noc.

Gesty jego i słowa tchnęły pełnym spokojem. Panował nad wyrazem twarzy i ruchami. Tylko oczy biegały niespokojnie, siejąc subtelny, przejmujący ogień, jak gdyby w nich skupiła się cała natura tego człowieka.

Carrie milczała.

- Jak możesz tak postępować, najdroższa? Kochasz mnie? - zapytał po chwili.

Skierował na nią taką burzę uczucia, że ustąpiła. Na chwilę zniknęły wszelkie zwątpienia.

- Tak - odpowiedziała szczerze i tkliwie.

- Więc odejdziesz od niego... jeszcze dzisiaj...

Carrie potrząsnęła głową pomimo całej swojej rozterki.

- Nie mogę czekać dłużej... jeżeli uważasz, że to za prędko... to, powiedzmy, w sobotę.

- Kiedy weźmiemy ślub? - zapytała stanowczo, zapominając w tej trudnej sytuacji o swoich nadziejach, że brał ją za żonę Droueta.

Dyrektor drgnął, przypomniawszy sobie problem, o wiele bardziej zawily, niż sprawa Carrie. Nie zdradził jednak myśli, która jak błyskawica przebiegła mu mózg.

- Kiedy zechcesz - rzekł, postanawiając nie psuć najmniejszą troską chwili tak rozkosznej.

- W sobotę. Kiwnął głową.

- Dobrze... jeżeli weźmiemy ślub w sobotę, to przyjdę!

Dyrektor patrzył na swoją śliczną zdobycz, tak piękną, tak wartą trudu, a jednak tak niełatwą do zdobycia, i uczynił dziwaczne postanowienie. Namiętność jego doszła do tej granicy, której rozum już nie dosięga. Nie dbał o drobne przeciwności w obliczu takiego piękna! Przyjmował sytuację z jej wszelkimi trudnościami: nie miał zamiaru liczyć się z warunkami, które wysuwała zimna prawda. Byłby obiecał wszystko wszystkim, ufny, że los wyprowadzi go z matni. Zakosztuje i on raj! Mniejsza o skutki, które to za sobą pociągnie! Będzie szczęśliwy! Na Boga! Nawet za cenę fałszywego świadectwa, nawet kłamiąc oczywistej prawdzie! Carrie spojrzała na niego tkliwie. Chętnie położyłaby mu głowę na ramieniu, tak to wszystko cudownie wyglądało.

- Dobrze - powiedziała. - Spróbuję się uwolnić do tego czasu.

Hurstwood spojrzał w jej cudną twarzyczkę, po której przebiegały cienie zdumienia i nieufności, i pomyślał, że nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego.

- Zobaczymy się znowu jutro - rzekł - i omówimy wszystko!

Szedł obok niej, szczęśliwy niewymownie, że wszystko tak się gładko ułożyło. Opowiedział jej długą historię radości i szczęścia, ale od czasu do czasu padało też słowo z ust Carrie. Po półgodzinie uświadomił sobie, że spotkanie to musi się skończyć - tak dokładny

bowiem jest bieg świata.

- Do jutra! - rzekł na pożegnanie z wesołością, harmonizującą doskonale z jego dziarskim sposobem bycia.

- Tak! - Carrie odeszła uradowana.

Tyle było w tym wszystkim entuzjazmu, że zaczęła wierzyć w swoją miłość do Hurstwooda. Westchnęła przypomniawszy sobie swego pięknego wielbiciela. Będzie gotowa na sobotę. Odejdzie i będą szczęśliwi!

Rozdział XXII

ISKRY Z KRZESIWA: CIAŁO WALCZY Z CIAŁEM

Nieszczęściem Hurstwooda było, iż zazdrość zrodzona z miłości nie umarła wraz z nią. Zazdrość pani Hurstwood przyjęła taką formę, iż pod wpływem rozmaitych okoliczności zmienić się mogła w nienawiść. Hurstwood i teraz ze względu na swoją powierzchowność wart był uczucia, jakim małżonka obdarzała go ongiś; gorzej było z jego uprzejmością. Straciwszy do żony pociąg, przestał okazywać jej względy, a to w oczach kobiety jest rzeczą o wiele gorszą niż jawna zdrada. Miłość własna dyktuje nam nasze pojęcie zła i dobra w bliźnich. Miłość własna odkryła pani Hurstwood obojętność męża. Widziała w czynach jego i słowach zamiary, wypływające jedynie z braku zainteresowania jej osobą.

W konsekwencji była rozżalona i podejrzliwa. Zazdrość, która pomogła pani Hurstwood zauważyć najdrobniejsze uchybienia męża w stosunku do obowiązków małżeńskich, pomogła jej również widzieć wytworny wdzięk, z jakim traktował resztę świata. W staranności, z jaką dbał o swoją powierzchowność, czytała, że jego zainteresowanie się życiem nie zmniejszyło się ani trochę. Każdy jego ruch, każde spojrzenie miało w sobie coś z owej radości, jaką dawała mu Carrie, z owego zapału, z którym dążył do urzeczywistnienia swego planu. Pani Hurstwood coś czuła, jak zwierzę węszyła zmianę.

Uczucie to spotęgowały bardziej określone i wyraźne postęпки Hurstwooda. Widzieliśmy, jak niechętnie wypełniał owe drobne obowiązki, które przestały go bawić i sprawiać jakąkolwiek przyjemność. Widzieliśmy otwarty bunt, z jakim przyjmował jej irytujące ża-

dania. Drobne te niesnaski wywoływała atmosfera przesiąknięta niezgodą. Że gdy niebo jest tak zaciągnięte gradowymi chmurami, musi nastąpić burza - nie wymaga chyba komentarzy. Powstawszy tego rana od śniadania blada z gniewu wobec zupełnej obojętności, z jaką mąż przyjął jej plany, pani Hurstwood natknęła się w sypialni na Jessikę, która spokojnie kończyła upinanie włosów. Hurstwood wyszedł już z domu.

- Proszę, żebyś nie kazała na siebie czekać ze śniadaniem - rzekła do córki, szukając koszyczka z robotą szydełkową. - Wszystko już wystygło, a ty nie raczysz zejść!

Zwykły spokój opuścił panią Hurstwood. Jessica wyczuła koniec rodzinnej burzy.

- Nie jestem głodna - odrzekła.

- Więc dlaczego nie powiesz i każesz dziewczynie czekać na siebie bez końca? Tracić cały ranek?!

- Nie ma o to pretensji - zimno rzuciła Jessica.

- Więc licz się ze mną, jeżeli nie z nią! - zawołała matka.

- Zresztą nie życzę sobie, żebyś odzywała się do mnie takim tonem. Jesteś za młoda, żebyś mogła tak pozwalać sobie wobec matki!

- Och, mamó, nie kłóć się! - mitygowała Jessica. - Co ci się stało dzisiaj?

- Nic mi się nie stało. Po pierwsze nie kłóć się z tobą. Ale nie wyobrażaj sobie, że ulegając ci w niektórych rzeczach pozwolę, abyś kazała godzinami czekać na siebie. Otóż nie pozwalam.

- Nie każę nikomu czekać - rzekła Jessica, przechodząc z cynicznej obojętności w ostrą defensywę. - Powiedziałam, że nie jestem głodna. Nie chcę żadnego śniadania!

- Jak ty do mnie mówisz, moja panno! Nie pozwolę na to! Słyszysz? Nie życzę sobie, żebyś się do mnie odzywała w taki sposób!

Jessica nie bardzo słyszała, bo już wyszła z pokoju, szelestem sukni i kiwnięciem głowy wyrażając swoją obojętność i niezależność. Nie miała zamiaru dać się wciągnąć w kłótnię.

Tego rodzaju nieporozumienia wybuchały dość często; były rezultatem współzycia natur niezależnych i egoistycznych. George junior okazywał jeszcze większą drażliwość i przesadę w tym, co dotyczyło jego indywidualnych praw, starając się dać odczuć, że jest mężczyzną i broni swoich męskich przywilejów - punkt widzenia co najmniej nieuzasadniony i niesłuszny u dziewiętnastoletniego chłopca.

Hurstwood był człowiekiem posiadającym autorytet i pewną delikatność uczuć. Irytowała go świadomość, że jest otoczony światem, nad którym nie panuje, który przestaje rozumieć.

Gdy stało się coś takiego, jak ów proponowany wcześniejszy wyjazd do Waukesh, do tkliwie uświadamiał sobie swoje położenie. Urodził się na to, żeby przewodzić, a nie dać się prowadzić innym. Jeśli na domiar tego okazywano mu zły humor i osłabiając jego autorytet zadawano mu jeszcze inny cios (na przykład cyniczny uśmiech lub szemranie), natenczas nie potrafił opanować gniewu. Wpadał w pasję i marzył o tym, żeby raz z tym wszystkim skończyć.

Pomimo wszystko zachowywał pozory kontroli i przewodnictwa, chociaż żona buntowała się otwarcie. Jej złe humory i jawna opozycja wpływały jedynie ze świadomości, że może sobie na nie pozwolić. Nie miała nic na usprawiedliwienie swego postępowania, nic takiego, co dawałoby jej jednocześnie siłę i prawo. Tego ostatniego brakowało pani Hurstwood dla dania solidnego podłoża temu, co w pewnej mierze wydać się mogło bezpodstawnym niezadowoleniem. Wyraźny dowód niewielkiej choćby winy byłby owym zimnym powiewem, który chmury podejrzania zamienia w deszcze gniewu.

Wreszcie doszła ją pogłoska, jak sobie poczyna Hurstwood. Doktor Beale, ów piękny lekarz domowy pani Hurstwood, spotkał ją w kilka dni po tym, jak dyrektor Hurstwood zawiózł Carrie na Bulwary Waszyngtońskie. Doktor Beale, jadąc od strony południowej, poznał Hurstwooda dopiero wtedy, gdy go minął. Nie był natomiast pewien co do Carrie - nie wiedział, czy Hurstwood jechał z żoną, czy z córką.

- Udaje pani, że nie widzi swoich przyjaciół mijając ich przejazdem, co? - zapytał zartobliwie doktor Beale.

- Jeżeli ich widzę... oczywiście, witam się! Gdzież to mnie pan widział?

- Na Bulwarze Waszyngtona - rzekł doktor, spodziewając się, że pani Hurstwood natychmiast przypomni sobie to zdarzenie.

Potrząsnęła głową.

- Tak, koło ulicy Hoyne. Jechała pani z mężem.

- Widzę, że jest pan w błędzie - powiedziała. Ale przypomniawszy sobie udział swego małżonka w tej sprawie, natychmiast padła ofiarą podejrzeń, czemu zresztą nie dała wyrazu.

- Wiem z pewnością, że to był małżonek pani - upierał się doktor. - Nie byłem nato-

miast pewien co do pani. Może jechał z córką.

- Może - rzekła pani Hurstwood, wiedząc z góry, że to niemożliwe, gdyż od kilku tygodni stale dotrzymywała towarzystwa córce. Opanowała się na tyle, że postanowiła wyciągnąć jak najwięcej szczegółów.

- To było po południu, prawda? - rzekła, po mistrzowsku udając, że zna tę sprawę.

- Tak, między drugą a trzecią.

- Tak, jechał z Jessicą! - rzekła pani Hurstwood, nie życząc sobie, iżby pomyślano, że ją to obchodzi.

Doktor miał co do tego własne zdanie, ale zmienił temat, uważając, że nie warto się nim zajmować.

Pani Hurstwood poważnie zastanawiała się nad tą wiadomością przez kilka następujących godzin, a nawet dni. Przyjęła za fakt, że doktor widział jej męża w towarzystwie obcej kobiety, że Hurstwood odbywa spacer, wymawiając się przed nią brakiem czasu. W konsekwencji przypomniawszy sobie z rosnącym gniewem, jak często w ostatnich czasach wymawiał się od pójścia z nią dokądkolwiek, zaniedbywał wizyty, nie chciał brać udziału w przyjemnościach, które stanowiły jedyną rozrywkę w jej życiu. Widziano go w teatrze z ludźmi, o których mówił, że to przyjaciele Moya. Teraz widziano go na Bulwarach... Prawdopodobnie znajdzie znowu jakąś wymówkę! Pewnie było tego więcej, o czym ona nie wie... Dlaczego byłby taki zajęty, taki obojętny w ostatnich czasach?! W ciągu ostatnich sześciu tygodni stał się dziwnie drażliwy, dziwnie chętnie wychodził z domu bez względu na to, jaki w nim panował nastrój. Dlaczego?

Przypomniała sobie, z subtelniejszą jeszcze drażliwością, że nie patrzy nigdy na nią z zadowoleniem ani z aprobatą. Oczywiście, uznał ją za starą i nieinteresującą! Widzi jej zmarszczki, być może. Więdną, gdy on promieniował młodością i elegancją. On był nadal wesołym elegantem w życiu, podczas gdy ona... nie skończyła tej myśli. Uważała jednak położenie swoje za bardzo gorzkie i nienawidziła za to męża.

Nie zrobiła tym razem użytku z zasięgniętych informacji, gdyż nie miała w ręku oczywistej prawdy mogącej usprawiedliwić wszczęcie dyskusji. Jedynie atmosfera domu stała się bardziej wroga i nieufna, co wyładowywało się w drobnych utarczkach słownych, ożywionych iskrami gniewu. Sprawa wyjazdu do Waukesha była dalszym ciągiem panującego nastroju.

Nazajutrz po debiucie Carrie na scenie Avery pani Hurstwood pojechała na wyścigi z Jessicą i niejakim panem Bartem Taylorem, synem właściciela składu mebli. Przyjechali dość wcześnie i spotkali kilku przyjaciół Hurstwooda, Łosiów, z których dwaj byli na przedstawieniu poprzedniego dnia. Tysiąc przeciwko jednemu, że nikt nie poruszyłby tematu owego amatorskiego przedstawienia, gdyby Jessica mniej była zajęta umizgami owego młodzieńca, który absorbował, jak mógł najwięcej. To skłoniło panią Hurstwood do tego, że przeciągała powitania w pogawędki, przyjacielskie zaś pogawędki w długie rozmowy. Od jednego z przygodnych znajomych, który przywitał się z nią mimochodem, otrzymała interesujące informacje.

- Jak mi wiadomo - rzekło owo indywiduum, ubrane w strój sportowy najnowszego modelu, z wielką lornetką przewieszoną przez ramię - nie brała pani udziału w naszej wczorajszej zabawie.

- A, tak? - rzekła pani Hurstwood tonem pytającym, zauważywszy, że nie brała udziału w czymś, o czym nie wiedziała, że ma się odbyć. Już miała na ustach: Cóż to było - gdy indywiduum dodało:

- Widziałem pani męża.

Zdumienie pani Hurstwood natychmiast ustąpiło miejsca bardziej subtelnemu uczuciu: podejrzeniu.

- Ach, tak - powiedziała ostrożnie. - Jakże się udało? Bo nie zdążył mi jeszcze opowiedzieć.

- Doskonale. Najlepsze amatorskie przedstawienie, jakie widziałem w ostatnich czasach. Zwłaszcza jedna aktorka zdumiała wszystkich.

- Rzeczywiście? - zapytała pani Hurstwood.

- Co za szkoda, że pani nie mogła przyjść! Żeby też akurat wtedy zachorować!

Zachorować! Pani Hurstwood o mało nie powtórzyła tych słów. Opanowała jednak chęć zaprzeczenia i powiedziała z akcentem prawdy:

- Ja też żałuję.

- Będzie tu dzisiaj tłumno, prawda? - zauważył znajomy, przechodząc na inny temat.

Pani dyrektorowa chętnie zarzuciłaby go pytaniami, ale sposobność się nie nadarzyła. Czowała się jak zagubiona w lesie, bojąc się myśleć, zgadując, co za nowa zdrada kazała mu mówić, że była chora, kiedy chora nie była. Ponieważ nie mogła już nic wyciągnąć ze swe-

go towarzysza, pożegnała się z nim. Ale nie dała za wygraną.

- Był pan wczoraj na przedstawieniu? - zapytała innego przyjaciela męża.

- Tak... a pani się nie wybrała?

- Nie - odrzekła - czułam się niezupełnie zdrowa.

- Mówił mi mąż - odrzekł. - Naprawdę, zupełnie dobrześmy się bawili. Udało się lepiej, niż przypuszczałem.

- Dużo było osób?

- Pełno. Prawdziwe zebranie Łosiów! Widziałem mnóstwo naszych wspólnych znajomych... państwa Harrison, panią Barnse, panią Collins.

- Ależ to całe zebranie towarzyskie!

- A tak! Mojej żonie bardzo się podobało.

Pani Hurstwood zagryzła wargi. - Tak - powiedziała sobie. - Tak postępuje ze mną! Opowiada znajomym, że jestem chora i nie mogę przyjść. - Zaczęła dociekać, dlaczego chciał iść sam. W tym musi coś być! Suszyła sobie mózg - co?

Wieczorem, gdy Hurstwood wrócił, małżonka jego zdecydowanie zapragnęła wyjaśnień i zemsty. Chciała wiedzieć, co znaczy to szczególne zachowanie. Była przekonana, że jest w tym wszystkim więcej, niż doszło do jej uszu. Złośliwa ciekawość kojarzyła się dobrze z nieufnością i resztkami rannych gniewów. Chodziła po domu jak uosobienie klęski, z ponurym wyrazem w oczach, z ustami gniewnie zaciśniętymi.

Z drugiej strony, jakeśmy się mogli spodziewać, dyrektor wrócił do domu w najpogodniejszym nastroju. Rozmowa z Carrie i jej zgoda podniosły go tak na duchu, że był w usposobieniu człowieka mającego ochotę śpiewać z radości. Był dumny z siebie, dumny ze swego powodzenia, dumny z Carrie. Był życzliwy dla całego świata i nie żywił urazy nawet do żony. Postanowił być uprzejmy, zapomnieć o jej obecności, żyć w atmosferze młodości i szczęścia, które odzyskał.

Dom wydał mu się miły i przyjemny. W hallu znalazł gazety wieczorne, położone tam przez służącą i zapomniane przez panią Hurstwood. W jadalni stół był nakryty świeżym obrusem, zastawiony wytworną porcelaną i kryształami. Przez otwarte drzwi zajrzał do kuchni, gdzie wesoło trzaskał ogień i przygotowywała się kolacja. Na małym podwórku, z tyłu domu, George junior bawił się ze szczeniakiem, którego niedawno kupił; w salonie Jessica grała na fortepianie. Tony wesołego walca przenikały każdy kąt tego miłego i komfortowe-

go mieszkania. Zdawało się, że wszyscy, podobnie jak on, są w doskonałym humorze, w harmonii z młodością i pięknem, żądni zabawy i wesołości. Czuł chęć powiedzenia każdemu czegoś miłego; obrzucił zadowolonym spojrzeniem nakryty stół i politurowany kredens, po czym udał się na górę, aby wygodnie rozparty w fotelu wyglądać przez okno na ulicę. Wszedłszy do pokoju zastał tam żonę. Czesła się przed lustrem, zamyślona. Wszedł do pokoju lekkim krokiem, postanowiwszy załagodzić poranną scenę przyjaznym słowem i obietnicą, ale pani Hurstwood milczała. Usiadł więc w wygodnym fotelu, rozłożył gazetę, poprawił się i zaczął czytać. W chwilę później już się uśmiechał z dowcipnego opisu meczu, który się rozegrał między drużynami Chicago i Detroit.

Podczas tego pani Hurstwood śledziła uważnie odbicie męża w lustrze. Zauważyła jego wesoły i beztroski nastrój, pogodny wdzięk, uśmiechniętą twarz i to wprowadziło ją tylko w bardziej ponury nastrój. Dziwiła się, że on może zachowywać się w ten sposób w jej obecności po tym, gdy okazał jej tyle cynizmu, obojętności, niedbałości - okazał i będzie okazywał nadal, dopóki ona zechce to cierpieć. Myślała, jak chętnie wypowiedziałaby mu wszystko, co jej leży na sercu - ile siły, ile uczucia włożyłaby w swoje argumenty. Że nie ustąpiłaby, póki nie uzyska zupełnej satysfakcji. Zaiste! Błyszczący miecz zawisł na cienkiej nitce myśli!

Tymczasem Hurstwood czytał zabawną historię o pewnym przyjeźdźnym jegomościu, który nie znając stosunków, dał się zaplątać w pewną aferę. Tak go to ubawiło, że się w końcu roześmiał. Chciał zwrócić uwagę żony na siebie i przeczytać jej ten artykuł.

- Ha, ha, ha! - zawołał półgłosem, jakby do siebie. - Co za historia.

Pani Hurstwood czesała się dalej, nie racząc nawet spojrzeć.

Spróbował poruszyć inny temat. Czuł, że jego dobry humor musi znaleźć jakieś ujście. Julia prawdopodobnie gniewa się o tę ranną sprzeczkę, ale można ją przecież ułagodzić. Ostatecznie zawiniła ona... ale mniejsza o to. Niech jedzie do Waukesh choćby zaraz. Im prędzej, tym lepiej. Powie jej o tym przy pierwszej sposobności i basta!

- Zauważyłaś - przerwał raz jeszcze milczenie, znalazłszy nowy interesujący temat - że zmusili wreszcie towarzystwo Illinois do oczyszczenia frontu jeziora?

Z trudem zmusiła się do odpowiedzi, ale wyrzuciła krótko:

- Nie.

Hurstwood nastawił uszu. Była w jej tonie nuta, która zawibrowała ostro.

- Oby im się udało! - ciągnął na wół do siebie, na wół do niej, czując, że coś jest tu nie w porządku. Zwrócił całą uwagę na gazetę, wsłuchany w ciche dźwięki, które mogły go ostrzec, co się dzieje.

Prawdę mówiąc, człowiek tak rozumny jak Hurstwood - taki doskonały obserwator i tak wrażliwy na każdą atmosferę, zwłaszcza jeżeli dotyczyła jego myśli - nie popełniłby błędu, który on popełnił w stosunku do żony (biorąc pod uwagę jej podniecenie), gdyby nie był zupełnie zaabsorbowany innymi myślami. Gdyby wpływ Carrie na niego nie był silny, gdyby potęga jej spojrzenia i obietnica nie działały nań tak bardzo, prawdopodobnie dom nie wydałby mu się aż tak miły. Bo nie panował w nim tego wieczora nastrój ani pogodny, ani wesoły. Hurstwood po prostu się mylił i znalazłby łatwiej wyjście, gdyby wrócił do domu w normalniejszym usposobieniu.

Zagłębiwszy się na czas jakiś w gazecie postanowił, że w ten czy inny sposób, ale musi coś zmienić. Najwyraźniej żona nie da się ułagodzić słowami. Więc się odezwał:

- Skąd George ma tego psa, z którym się bawi na podwórzu?

- Nie wiem - syknęła.

Położył gazetę na kolanach i bezmyślnie patrzył w okno. Nie miał zamiaru dać się wyprowadzić z cierpliwości, chciał być stanowczy i przyjemny i pytaniami doprowadzić do zgody i porozumienia.

- Dlaczego takeś się rozgniewała dzisiaj? - powiedział wreszcie. - Po co mamy się kłócić. Wiesz, że możesz wyjechać do Waukesh, kiedy zechcesz.

- Żebyś się mógł swobodnie bawić z inną? - zawołała Julia, zwracając ku niemu twarz, na której zastygł wyraz gniewu.

Odczuł to jak policzek. W jednej chwili opuścił go zgodny, pojednawczy nastrój. Przeszedł do ofensywy. Milczał chwilę, szukając odpowiednich słów.

- Co to znaczy? - zapytał opanowując się i patrząc na zimną, jak gdyby zamarłą twarz Julii, która nie zwracając na niego żadnej uwagi, obojętnie kończyła się czesać przed lustrem.

- Wiesz, co to znaczy - rzekła wreszcie, jak gdyby nie wyczerpała wszystkich informacji, zachowując je na później (czego zresztą nie potrzebowała mu mówić).

- Mylisz się, nie wiem - powiedział na pozór spokojnie, ale zdenerwowany i podniecony tym, co może usłyszeć. Spokój Julii odebrał mu poczucie powagi. Nie odpowiedziała.

- Hm... - mruknął kiwając głową. Była to najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić. Zdradzała jego niepewność.

Pani Hurstwood natychmiast to zauważyła. Odwróciła się do niego z wściekłością rozjuszonego zwierzęcia, gotowa wymierzyć następny cios.

- Masz mi dać jutro pieniądze na wyjazd do Waukesh.

Patrzył na nią ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie widział w jej oczach tego zimnego, stanowczego wyrazu, takiej okrutnej obojętności. Zdawała się zupełnie panować nad sobą... chce wyzwolić się całkiem spod jego kontroli. Czuł, że się nie obroni, że musi atakować.

- Co to znaczy? - krzyknął zrywając się. - Ja muszę! Chciałbym wiedzieć, co cię ugryzło dzisiaj.

- Nic mnie nie ugryzło! - powiedziała czerwona z gniewu.

- Chcę mieć te pieniądze! Możesz się wygadać później!

- A, mogę się wygadać! Co? Nie dostaniesz ani grosza. Co znaczą te insynuacje?!

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - odrzekła. Słowa jej paliły. - Z kim jeździłeś po Bulwarze Waszyngtona?! Z kim byłeś w teatrze, kiedy George was widział?! Myślisz, że jestem idiotka i dam się wystrychnąć na durnia?! Myślisz, że zgodzę się siedzieć w domu i słuchać twoich „nie mam czasu” i „jestem zajęty”, kiedy paradujesz sobie w najlepsze i kłamiesz, że ja jestem chora?! Chcę ci powiedzieć, że twoje wielkopańskie tony się skończyły, przynajmniej w tym, co mnie dotyczy. Nie będziesz niczego dyktował ani mnie, ani dzieciom. Skończyłam z tobą raz na zawsze.

- To kłamstwo! - zawołał przyciśnięty do muru i nie znajdując innej odpowiedzi.

- Kłamstwo! Tak! - powiedziała dumnie, ale z rezerwą. - Możesz sobie to nazywać kłamstwem, ale ja wiem!

- To kłamstwo, mówię ci! - powiedział niskim ostrym głosem. - Od wielu już miesięcy szukasz, co byś mi mogła zarzucić, i wreszcie znalazłaś. Mówię ci - nic z tego. Dopóki jestem w tym domu, jestem tu panem i ani ty, ani nikt inny nie będzie mi dyktował - słyszysz?!

Zbliżył się do Julii z błyskiem w oczach, w którym była groźba. W zimnym, cynicznym zachowaniu się żony - jak gdyby już górowała nad nim - było coś takiego, że gotów byłby ją w tej chwili zabić.

Patrzyła na niego nieodgadniona.

- Ja ci nie dyktuję - powiedziała - tylko mówię, czego życzę sobie... ja.

Odpowiedź Julii była tak spokojna, tak opanowana, że Hurstwood stracił pewność siebie. Nie mógł jej atakować, nie mógł żądać od niej dowodów. Zdawało mu się, że w oczach Julii czyta dowody, prawo, przypomnienie o tym, że cały jego majątek jest w jej rękach. Był jak okręt - silny i niebezpieczny, ale stojący w miejscu... gdyż odjęto mu żagle.

- A ja ci powiadam - rzekł w końcu, z lekka już opanowany - że nie dostaniesz ani grosza!

- Zobaczymy! - rzekła. - Dowiem się, do czego mam prawo. Może zechcesz mówić z adwokatem, jeżeli nie chcesz mówić ze mną.

Była to gra wspaniała i osiągnęła efekt. Hurstwood ustąpił pobity. Czuł, że pozostaje mu tylko błaga. Wiedział, że stoi twarzą w twarz z nieodpartym postanowieniem. Nie wiedział, co mówić. Cała wesołość prysła. Był niespokojny, nieszczęśliwy, zły. Co robić?

- Rób, jak chcesz! - powiedział wreszcie. - Nic nas już nie łączy - i wyszedł z pokoju.

Rozdział XXIII

DUCH PRZY PRACY: JEDEN ŁACHMAN OPADA

Wróciwszy do domu Carrie natychmiast padła ofiarą swoich wahań i złych przeczuć, które są zawsze skutkiem braku decyzji. Nie mogła jakoś przekonać siebie o słuszności swojej obietnicy ani o tym, że teraz, gdy dała słowo, musi go dotrzymać. Przemyślała jeszcze raz całą tę sprawę pod nieobecność Hurstwooda i znalazła mnóstwo zastrzeżeń, które nie przyszły jej do głowy w żarze argumentów dyrektora. Spostrzegła je, kiedy postawiła siebie w szczególnym świetle, mianowicie - godząc się na małżeństwo, choć przecież pozornie była zamężna. Przypomniała sobie to i owo, co zrobił Drouet, i teraz, gdy miała odejść od niego bez pożegnania, czuła, że postępuje niesłusznie. Teraz jest dobrze sytuowany, co dla istoty mającej mniejszy lub większy strach przed światem jest ważnym i rozsądnym argumentem. „Nie wiesz, co się stanie. Straszne rzeczy dzieją się na świecie. Kobiety są bardzo nieszczęśliwe. Nigdy nie możesz powiedzieć, co cię czeka. Tyle ludzi żebrze! Pamiętaj, jakieś głodowała. Trzymaj się tego, co masz!”

Dziwne, ale pomimo całego pociągu, który czuła do Hurstwooda, nie potrafił jej przekonać. Słuchała, uśmiechała się, potakiwała, ale nie godziła się z nim w zupełności. A działo się tak dlatego, że namiętności jego brakowało owego majestatu, który opanowuje rozum, łączy i stapia wszystkie argumenty w jedną masę i na czas jakiś odbiera siłę rozumowania. Ten majestat namiętności ma każdy prawie człowiek raz w życiu, jest on jednak przywilejem młodości i prowadzi do pierwszego zwycięskiego spotkania.

Hurstwood był już niemłody i niepodobna o nim powiedzieć, iż posiadał młodzieńczy ogień, aczkolwiek namiętność jego była gorąca i nierozsądna. Była dość silna, aby wzbudzić skłonność, jak to widzieliśmy u Carrie. Można by o niej powiedzieć, iż wyobrażała sobie, że kocha Hurstwooda, choć go nie kochała. Kobietom zdarza się to często. Pochodzi to stąd, że w każdej kobiecie jest skłonność do kochania, pragnienie być kochaną. Chęć, by jej bronili, opiekowali się nią, darzyli ją uczuciem, jest jedną z cech tej płci. To wraz z sentymentem i naturalną skłonnością do emocji częstokroć utrudnia odmowę. Gotowe są wierzyć, że kochają.

Przyszedszy do domu przebrała się i zaczęła porządkować mieszkanie. W sprawie ustawienia mebli w mieszkaniu nigdy nie zasięgała zdania pokojówki. Młoda ta dama niezmiennie stawiała jeden fotel bujający w kącie, a Carrie również niezmiennie wysuwała go stamtąd. Tego dnia zaledwie zauważyła, że coś nie jest na swoim miejscu, tak bardzo zaabsorbowana była myślami. Kręciła się po pokoju do powrotu Droueta, to znaczy do piątej. Drouet był podniecony i zdecydowany dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy jej stosunku z Hurstwoodem. Niemniej myśląc o tym przez cały dzień, czuł się znużony i pragnął, żeby się to już raz skończyło. Nie przewidywał poważnych komplikacji, a jednak wahał się, od czego zacząć. Gdy wszedł, Carrie siedziała w oknie bujając się w fotelu i patrząc na ulicę.

- I czemu - zapytała niewinnie, znużona własnymi powikłaniami duchowymi i zdziwiona jego pośpiechem i podrażnieniem - tak się spieszysz?

Drouet znalazłszy się wobec Carrie, zawahał się niepewny, co przedsięwziąć. Nie był dyplomata. Nie umiał czytać ani patrzeć.

- Kiedy wróciłaś do domu? - zapytał niemądrze.

- O, przed godziną, czy coś koło tego. Dlaczego pytasz?

- Nie było cię - ciągnął - kiedy wróciłem na chwilę do domu z rana, więc sądziłem, że musiałaś wyjść.

- Słusznie - rzekła Carrie. - Poszłam się przejść.

Drouet patrzył na nią ze zdziwieniem, nie wiedział, jak zacząć.

Patrzył na nią w sposób tak przejmujący, że w końcu zapytała:

- Co mi się tak przyglądasz? Stało się co?

- Nic - odrzekł. - Myślę sobie.

- Myślisz... co? - zapytała uśmiechnięta, dziwiąc się jego zachowaniu.

- Och, nic... nic wielkiego.

- Więc dlaczego tak patrzysz?!

Drouet stał przy stoliku i patrzył na Carrie jakoś szczególnie. Położył kapelusz i rękawiczki i bawił się drobiazgami, które miał pod ręką. Nie chciał wierzyć, że owa śliczna kobietka dała się wciągnąć w grę tak brzydką w stosunku do jego osoby. Gotów był dać się przekonać, że pomimo pozorów wszystko jest w porządku. Ale wiadomości, dostarczone przez pokojówkę, niepokoiły go. Pragnął przeciąć je za jednym razem, ale nie umiał.

- Dokąd poszłaś z rana? - zapytał.

- Powiedziałaś ci, przejść się.

- Mówisz prawdę?

- Tak... dlaczego pytasz?

Zaczynała podejrzewać, że coś musi wiedzieć. Natychmiast przyjęła pozycję obronną. Policzki jej zbladły lekko.

- Bo myślałem, że może nie - rzekł, w najgłupszy sposób przystępując do rzeczy.

Carrie spojrzała na Droueta i w tej chwili wróciła jej odwaga. Widziała, że i on się waha. Kobięcą intuicją wyczuła, że nie ma się czego tak bardzo bać.

- Dlaczego tak mówisz?! - zapytała, marszcząc swoje ładne czoło. - Zachowujesz się bardzo dziwnie dzisiaj.

- Bo i czuję się dziwnie - przyznał.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Drouet rozpaczliwie poruszył drażliwy temat.

- Co jest między tobą i Hurstwoodem? - spytał.

- Między mną i Hurstwoodem... co to znaczy?

- Przychodził tu ciągle w czasie mojej nieobecności?

- Ciągle... - rzekła Carrie - nie. Ale co to wszystko ma znaczyć?

- Ktoś mi powiedział, żeś jeździła z nim na spacer i że cię odwiedzał codziennie.

- Nic podobnego! To nieprawda! - zawołała Carrie. - Kto to mówi?

Zarumieniła się aż do korzeni włosów, ale Drouet nie zauważył tego, gdyż w pokoju panował półmrok. Nabral otuchy, słysząc, że jednak Carrie się broni.

- Ktoś - odrzekł. - Jesteś pewna, że tak nie było?

- Naturalnie. Wiesz przecież, ile razy tu był.

Drouet milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

- Wiem to, coś ty mi powiedziała - rzekł wreszcie.

Kręcił się nerwowo po pokoju. Carrie śledziła niespokojnie jego ruchy.

- Wiem, że ci czegoś podobnego nie mogłam powiedzieć - rzekła opanowując się.

- Gdybym był tobą - po chwili podjął Drouet - nie zadawałbym się z nim. To człowiek żonaty.

- Kto... kto jest żonaty?! - jęknęła Carrie.

- Ależ Hurstwood! - powtórzył Drouet zauważywszy efekt i czując, że tym razem wymierzył cios decydujący.

- Hurstwood! - Carrie zerwała się na równe nogi.

Twarz jej na przemian bladła i rumieniła się.

- Kto ci to powiedział?! - zapytała zapominając, że tym pytaniem przyznaje się poniekąd do winy.

- Wiem. Zawsze to wiedziałem - rzekł Drouet.

Carrie szukała myśli, której mogłaby się uchwycić. Przyznała się teraz do bardzo nędznej roli, a jednak budziły się w niej uczucia, których żadną miarą nie można było nazwać nikczemnym tchórzostwem.

- Myślałem, że ci mówiłem - dodał.

- Nie, nie mówiłeś! - zaprzeczyła, nagle odzyskując spokój. - Nie mówiłeś nic podobnego!

Drouet słuchał ze zdumieniem. To było coś całkiem nowego!

- Myślałem, że ci powiedziałem - rzekł.

Carrie rozejrzała się dokoła siebie jakoś uroczyście, po czym podeszła do okna.

- Nie powinnaś się z nim zadawać - ciągnął Drouet obrażonym tonem. - Po tym wszystkim, co zrobiłem dla ciebie!

- Ty?! - krzyknęła Carrie. - Ty? A cóżeś ty zrobił dla mnie?!

W małym jej mózgu kłębiły się najróżnorodniejsze myśli, wstyd, że ją zdemaskowano; wstyd za perfidię Hurstwooda; gniew, że Drouet ją oszukał, że z niej zakpił. Nagle jedna jasna myśl zaświtała jej w głowie: zawinił Drouet. O tym nie można nawet wątpić. Dlaczego sprowadził Hurstwooda... Hurstwooda, człowieka żonatego, i nie wspomniał nawet o tym słówkiem?! Mniejsza o perfidię Hurstwooda... ale że on tak ją oszukał! Dlaczego jej nie przestrzegł?! Teraz stoi tutaj, on, który nawet na tyle jej nie chciał zaufać, i mówi w kółko o tym, co dla niej zrobił.

- To lubię! - zawołał Drouet, domyślając się, co wywołał swoją uwagą. - Zdaje mi się, że bardzo dużo zrobiłem dla ciebie.

- Ty zrobiłeś, co? - odpowiedziała. - Oszukałeś mię... oto, co dla mnie zrobiłeś! Wprowadziłeś tu swoich przyjaciół pod fałszywym pretekstem... Zrobiłeś ze mnie... O! - głos jej się załamał. Tragicznym gestem splotła swoje małe rączki.

- Nie rozumiem, co jedno z drugim na wspólnego - rzekł Drouet spokojnie.

- Nie! Naturalnie! Jakżebyś ty miał rozumieć! - mówiła, opanowując się już zupełnie, z zaciśniętymi zębami. - Naturalnie! Ty nigdy niczego nie rozumiesz! Nie mogłeś mi powiedzieć, nie mogłeś, co? Pozwoliłeś mi błędzić, aż było już za późno... Teraz wyjeżdżasz ze swoimi informacjami i wymawiasz mi, co dla mnie zrobiłeś!

Drouet nigdy nie podejrzewał, że Carrie jest skłonna do czegoś podobnego. Była podniecona, oczy jej błyszczały, wargi drżały, całe jej ciało zdawało się odczuwać krzywdę, jakiej doznała, dygotać z wściekłości.

- Kto ci coś wymawia? - zapytał rozumiejąc, że popełnił błąd, ale pewny, że to jego skrzywdzono.

- Ty! - tupnęła nogą Carrie. - Ty jesteś podły, wstrętny, nikczemny tchórz, oto, jaki jesteś! Gdybyś miał w sobie choć odrobinę męskiej godności, nigdy nie zrobiłbyś czegoś podobnego!

Drouet patrzył zdumiony.

- Nie jestem tchórzem - powiedział - ale po coś ty w ogóle zadawała się z innymi mężczyznami?

- Z innymi mężczyznami! - zawołała Carrie. - Z innymi... sam wiesz, jak było! Chodziłam z panem Hurstwoodem, ale czyja to wina, co?! Czyś nie ty go tu sprowadził? Sameś go prosił, żeby zachodził do mnie i zabierał mnie na spacer. Teraz, kiedy się już stało,

przychodzisz i mówisz, że nie powinnam tego robić i że to człowiek żonaty!

Umilkła na dźwięk tych ostatnich dwóch słów i załamała ręce.

- O! - jęknęła, panując nad sobą cudownie i wstrzymując łzy. - O! O!

- Nie myślałem, że będziesz się z nim rozbijać w czasie mojej nieobecności.

- Nie myślałem! - zawołała Carrie doprowadzona do pasji szczególnym zachowaniem tego człowieka. - Naturalnie. Myślałeś tylko o tym, co tobie robi przyjemność. Myślałeś, że zrobisz sobie ze mnie zabawkę... lalkę... Otóż dowiodę ci, że nie! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Możesz sobie zabrać swoje brudne prezenty - odpięła małą broszkę, którą jej podarował, i cisnęła z wściekłością na podłogę, po czym zaczęła chodzić wielkimi krokami po pokoju.

To nie tyle zirytowało, ile oczarowało Droueta. Patrzył na nią ze zdumieniem, wreszcie powiedział:

- Nie rozumiem, dlaczego ty się gniewasz. Chyba z nas dwojga ja mam słuszość! Nie powinnaś była tak ze mną postąpić po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

- I coś ty w końcu dla mnie zrobił? - zapytała Carrie odrzucając w tył głowę, z rozchyłonymi wargami.

- Zdaje mi się, że dużo - rzekł Drouet, rozglądając się po pokoju. - Dałem ci tyle sukien, ile chciałaś. Prowadziłem cię wszędzie, dokąd chciałaś. Miałaś wszystko, co miałem ja... nawet więcej.

Cokolwiek bądź można było powiedzieć o Carrie, nie była niewdzięczna. W granicach pojętności swego mózgu oceniała należycie jego dary. Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, a jednak nie dała się przebłagać. Czowała, że Drouet skrzywdził ją bezgranicznie.

- Czy cię o to prosiłam? - zapytała.

- No, ja dawałem - rzekł - a ty brałaś.

- Mówisz tak, jak gdybym o co prosiła - rzekła Carrie. - Stoisz tu i wyrzucasz mi, coś dla mnie zrobił. Nie potrzebuję twoich paskudnych prezentów! Nie chcę nic od ciebie! Zabierz je i zrób z nimi, co ci się podoba. Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

- To mi się podoba! - zawołał. Teraz i on w obliczu straty, jaką miał ponieść, wpadł w gniew. - Wziąć wszystko i jeszcze mnie oskarżać, a potem sobie odejść! Prawdziwie po kobiecemu. Wziąłem ciebie, kiedy nie miałaś grosza, a teraz, kiedy się zjawił inny, jestem niepotrzebny. Zawsze myślałem, że się tak skończy.

Czuł się naprawdę skrzywdzony, że z nim tak postąpiono, i miał minę człowieka, który nie widzi wyjścia z sytuacji.

- To nieprawda! - zawołała Carrie. - Z nikim innym nie odchodzę. Jesteś głupi i niewyrozumiały, jak tylko potrafisz być. Nienawidzę cię! Mówię ci, że cię nienawidzę i nie chcę zostać ani minuty z tobą! Jesteś wstrętny, obrzydliwy... - tu zawahała się nie kończąc - albo nie mówiłbyś do mnie w taki sposób.

Wzięła kapelusz i narzuciła żakiet na wieczorową suknię. Kilka pasm włosów wyknęło się spod opaski i spadło na zaczerwienione policzki. Była zła, złamana, zboląła. Oczy jej szklily się od łez, ale rzęsy pozostały suche. To, co robiła, robiła bez planu, bez przekonania; nie miała najmniejszego pojęcia, czym się to skończy.

- Śliczny koniec! - zawołał Drouet. - Spakujesz manatki i odejdziesz, co? A ja mam wypić to piwo! Założę się, że było coś między tobą a nim, bobyś się tak nie zachowała! Nie chcę tego mieszkania. Możesz się nie wyprowadzać, jeżeli chodzi o mnie. Możesz tu zostać, gwizdź na to, ale do wszystkich diabłów, nieładnieś ze mną postąpiła!

- Nie będę żyła z tobą! - wołała Carrie. - Nie chcę żyć z tobą! Odkąd tu zamieszkaliśmy, nic, tylko się wciąż przechwalasz!

- Nic podobnego - zawołał. Carrie podeszła do drzwi.

- Dokąd idziesz? - powiedział, zatrzymując ją.

- Puść mnie!

- Dokąd idziesz? - powtórzył.

Miał dla niej pomimo wszystko dużo życzliwości i widok Carrie, idącej Bóg wie dokąd, zaniepokoił go.

Carrie uparcie wrywała się ku drzwiom.

Wreszcie nerwy nie wytrzymały. Zrobiła jeszcze jeden wysiłek i wybuchnęła płaczem.

- Bądź rozsądna, Cad - uprzejmie mówił Drouet. - Dlaczego chcesz uciekać w ten sposób? Nie masz dokąd iść. Dlaczego nie zostać tutaj i nie uspokoić się?! Nie będę się narzucał. Sam nie chcę tu zostać.

Carrie z płaczem podeszła do okna. Była tak wzruszona, że nie mogła wydobyć głosu.

- Bądź rozsądna - przekładał. - Nie chcę cię siłą trzymać. Możesz iść, jeżeli chcesz koniecznie, ale dlaczego się nie zastanowić?! Bóg świadkiem, nie chcę cię zatrzymywać!

Nie otrzymał odpowiedzi. Carrie uspokoiła się jednak pod działaniem jego perswazji.

- Zostań, a ja odejdę - rzekł.

Carrie słuchała tego z bardzo rozmaitymi uczuciami. Mózg jej nie wytrzymał tej odrobiny logiki, jaka była w słowach Droueta. Drażniło ją jedno, uspokajało drugie: jej własna krzywda, krzywda Droueta, Hurstwooda, ich zalety, byli uprzejmi i dobrzy dla niej, strach przed światem, który ją tak niegościnnie już raz potraktował, niemożność zostania tutaj, gdzie mieszkanie nie było już jej, efekt, jaki cała ta historia wywarła na niej, wszystko, co sprzysięgło się na to, żeby z niej uczynić kłębek nerwów, zerwany z kotwicy okręcik, gnany burzą, który może tylko jedno: biernie poddać się falom.

- Słuchaj, Carrie - rzekł Drouet uderzony nową myślą.

Podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie dotykaj mnie! - powiedziała, odsuwając się, ale odejmując chustkę od oczu.

- Nie kłóćmy się już. Zapomnijmy o wszystkim. Zostaniesz tu do końca miesiąca i namyślisz się, co robić, dobrze?

Carrie nie odpowiedziała.

- Zrób, jak ci radzę. Po co się masz wyprowadzać? Nie masz dokąd iść.

Wciąż milczała.

- Jeżeli zgodzisz się, wszystko zostanie jak było... ja odejdę. Carrie opuściła chusteczkę i wyjrzała oknem.

- Zrobisz tak? Znów milczenie.

- Zrobisz? - prosił. Patrzyła bezmyślnie na ulicę.

- Ach, Carrie! Powiedzże! Tak czy nie?

- Nie wiem - zmusiła się do odpowiedzi.

- Obiecay, że zrobisz, i nie będziemy już o tym mówić. Tak będzie najlepiej dla ciebie.

Carrie słuchała, co mówi, ale nie mogła się zmusić do rozsądnej odpowiedzi. Czuła, że ten człowiek jest sympatyczny, że nie przestał się nią interesować, i poczuła coś jakby wyrzut. Była w stanie godnym pożałowania.

Co do Droueta, zachowywał się jak zazdrosny kochanek. Uczucia jego były mieszaniną gniewu, że go oszukano, smutku, że traci Carrie; przykrości, że go zdradzono. Pragnął wyrównać swoją krzywdę w ten czy inny sposób, to znaczy zatrzymać Carrie i dać jej odczuć, że zawiniła tylko ona.

- Zostaniesz? - nalegał.

- Zobaczę.

Nie rozwiązywało to kwestii, było jednak pewną zdobyczą. Zdawało się, że kłótnia wygaśnie sama przez się, skoro znajdą możliwość porozumienia się. Carrie była zawstydzona, Drouet zmartwiony. Udawał, że układa swoje rzeczy w walizie.

Siedząc go spod oka, Carrie zaczęła myśleć trochę rozsądniej. Zbłądził, to prawda, ale cóż uczyniła ona?! Był dobry i poczciwy pomimo całego swego egotyzmu. Przez cały ten czas nie powiedział jej nic ostrego. Z drugiej strony, taki Hurstwood! Większy oszust od Droueta! Udawał miłość, namiętność, kłamał przez cały czas! Och, perfidia męska! I ona go kochała. Ale z tym już koniec. Nie zobaczy więcej Hurstwooda. Napisze do niego... powie mu, co o nim myśli. Ale co zrobi potem? Tu jest mieszkanie. Tu jest Drouet, który błaga, żeby została. Życie poszłoby dawnym trybem, gdyby to się dało załagodzić. Lepsze to od ulicy, gdzie nie ma na czym złożyć głowy!

Przez ten czas Drouet wyjmował z szuflad kołnierzyki i niestrudzenie szukał jakichś spinek. Nie śpieszyło mu się z załatwieniem tej sprawy. Czuł, że pociąg do Carrie nie przeminie. Nie chciał wierzyć, że się to wszystko skończy jego wyjściem z mieszkania. Musi się znaleźć jakieś rozwiązanie, jakiś sposób wytłumaczenia Carrie, że on ma słuszość, a ona nie; trzeba jakoś zawrzeć zgodę i na zawsze wygnać z myśli Hurstwooda. Boże, żeby być aż tak dwulicowym!

- Czy myślisz - rzekł po chwili - próbować szczęścia na scenie?

Zastanawiał się, jakie ma plany.

- Nie wiem jeszcze, co zrobię - rzekła Carrie.

- Jeżeli myślisz o teatrze, mógłbym ci pomóc... mam mnóstwo przyjaciół w tych sferach.

Nie odpowiedziała.

- Nie próbuj tylko przebijać się przez życie nie mając grosza przy duszy. Pozwól sobie pomóc - rzekł. - Niełatwa to rzecz zarobić.

Carrie milcząco kołysała się w tę i tamtą stronę.

- Nie chcę narażać cię na takie doświadczenia! Carrie bujała się w fotelu.

- Dlaczego nie powiesz mi, jak to było? - powiedział po chwili. - Dlaczego z tym nie skończyć? Przecież nie chodzi ci o Hurstwooda, prawda?

- Dlaczego znowu zaczynasz? - powiedziała Carrie. - Sameś winien.

- Nie - odrzekł.

- Owszem, tylko ty! - powiedziała Carrie. - Po coś mi to powiedział?

- Przecież nic między wami nie było, prawda? - pytał Drouet, którego stan umysłu domagał się wyraźnego zaprzeczenia z jej strony.

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała Carrie, zmartwiona, że preliminaria pokojowe taki przybierają obrót.

- Dlaczego tak postępujesz, Cad? - rzekł, przerywając pakowanie i znacząco podnosząc ramię. - Mogłabyś mi przynajmniej powiedzieć, jak ja w tym wszystkim wyglądam.

- Nie chcę! - upierała się Carrie, znajdując pociechę jedynie w gniewie. - Wszystko, co się stało, stało się tylko z twojej winy.

- Więc ci o niego chodzi?! - zapytał Drouet zupełnie zbity z tropu, czując nagły przypływ gniewu.

- Och, daj spokój!

- Nie pozwolę robić z siebie durnia! - zawołał Drouet. - Możesz sobie kpić z niego, ile ci się podoba, ale ze mnie... nie! Możesz mi powiedzieć albo nie... jak chcesz... ale kpić z siebie więcej nie pozwolę!

Wrzucił resztę rzeczy do walizki i zatrzaskał ją mściwie. Potem schwycił płaszcz, który odłożył pakując, wziął rękawiczki i skierował się do drzwi.

- Możesz iść do diabła, jeżeli o mnie chodzi! - powiedział na progu. - Nie lubię resztek! - Z impetem otworzył drzwi i zatrzaskał je równie gwałtownie.

Carrie słuchała przy swoim oknie zdumiona raczej niż przerażona tym nagłym wybuchem pasji. Prawie nie wierzyła sobie... był zawsze taki łagodny i grzeczny. Nie należała do kobiet, które potrafią dojrzeć narodziny namiętności. Prawdziwy płomień miłości to rzecz delikatna. Pali się jak łuczywo, tańcząc w rozkosznej krainie bajki. Trzeszczy jak ogień w wielkich piecach. Jakże często zazdrość jest paliwem, którym płomień ów się żywi.

Rozdział XXIV

POPIOŁY Z KRZESIWA: TWARZ W OKNIE

Tej nocy Hurstwood nie wrócił do domu, ale po skończonych zajęciach wziął pokój w „Palmer House”. Był w gorączkowym podnieceniu. Jeżeli żona spełni swoje pogroźki, zażyje to na całej jego przyszłości. Choć nie miał żadnej pewności, co znaczą te jej pogroźki, to mógł mieć pewność, że jej zachowanie przysporzy mu mnóstwo kłopotów. Była zdecydowana i uzyskała nad nim chwilową przewagę. Jak będzie teraz? Przemierzał podłogę swego małego gabinetu, potem pokoju hotelowego, czyniąc rozmaite przypuszczenia, lecz nie dochodząc do żadnego wniosku.

Pani Hurstwood przeciwnie, postanowiła nie zmarnować zatrutej strzały. Teraz, gdy udało się jej faktycznie zastraszyć męża, będzie mu dokuczać żądaniami, na jakie jej pozwolą w przyszłości prawo. Musi dawać jej pieniądze (których będzie żądała w odstępach regularnych), jeżeli nie chce narażać się na przykrości. Mniejsza o to, co on zrobi. Naprawdę nie dbała, czy wróci do domu, czy nie. Będzie się żyło nawet przyjemniej bez niego; będzie mogła robić, co chce, nie radząc się nikogo. Przede wszystkim jednak musi poradzić się adwokata i wynająć detektywa. I dowiedzieć się, na co może liczyć.

Hurstwood przemierzał pokój, rozwiązując w myśli najtrudniejsze punkty, jakie wytworzyła sytuacja. „Majątek jest przepisany na nią” - powtarzał bez końca. „Co za głupstwo zrobiłem! Co to za idiotyczne posunięcie!”

Rozmyślał również o swoim dyrektorskim stanowisku. „Jeżeli wywoła awanturę - jestem skończony. Nie zechcą mnie trzymać, skoro moje nazwisko przedostanie się do gazet. A ci moi przyjaciele!” Ogarniał go coraz większy gniew na myśl o tym, jaką gadaninę wywoła każde posunięcie z jej strony. Jak oświecą to gazety? Wszyscy jego znajomi zaczną się dziwić... Będzie musiał tłumaczyć, zaprzeczać, robić z siebie widowisko. Potem Moya wezwie Hurstwooda na konferencję... diablo go to może kosztować!

Wokół oczu potworzyły mu się drobne zmarszczki, gdy nad tym rozmyślał, a na czoło wystąpiły krople potu. Nie widział wyjścia z sytuacji... żadnego.

Od czasu do czasu jak błyskawica wracała myśl o Carrie i zbliżającej się sobocie.

Pomimo że wszystko tak się gmatwało, to jedno było pociechą: jedna miła rzecz w szeregu tych przykrości! Załatwi ją ku swemu zadowoleniu, gdyż Carrie chętnie zgodzi się czekać w razie potrzeby. Zobaczy, jak się sprawy ułożą jutro, i pomówi z nią. Mieli się spotkać jak zwykle. Widział jej śliczną twarz, jej zgrabną figurkę i nie mógł wyjść ze zdumienia, że życie nie układa się w ten sposób, iżby wolno mu było zachować radość, którą znalazł. O ileż byłoby milej! Potem wracały pogroźki żony, zmarszczki, kroplisty pot.

Z rana poszedł do biura, przejrzał pocztę. Zawierała tylko oficjalne listy. Miał przecucie, że tą drogą spotka go jakaś przykreść. Poczul ulgę, gdy rozerwawszy wszystkie koperty nie znalazł w żadnej nic podejrzanego. Wrócił mu apetyt, który stracił przed pójściem do biura, i postanowił przed udaniem się na schadzkę z Carrie zejść do „Grand Pacific” na filiżankę kawy z rogalikami. Chociaż niebezpieczeństwo nie minęło, ale też i nie zmateriałizowało się jeszcze. A dla Hurstwooda brak nowin już był dobrą nowiną. Gdyby zostawiono mu czas na obmyślenie wszystkiego spokojnie, prawdopodobnie znalazłby jakieś wyjście. Ależ tak! Tak! To nie skończy się katastrofą! Z tego musi być wyjście!

Upadł jednak na duchu, gdy przyszedłszy do parku czekał i czekał, a Carrie nie nadchodziła. Tkwił na swoim ulubionym posterunku przeszło godzinę, po czym wstał i zaczął się przechadzać po ścieżkach. Czy zaszło coś, co nie pozwoliło Carrie przyjść? Może odszukała ją pani Hurstwood? Z pewnością nie! Tak mało liczył się z Drouetem, że nawet nie przyszło mu do głowy, że to on mógł się czegoś domyślić. Przechadzał się niespokojnie, wreszcie zdecydował, że prawdopodobnie nic szczególnego się nie stało. Po prostu nie miała sposobności wyjść tego rana. Oto dlaczego nie uprzedziła go listem. Z pewnością otrzyma go dzisiaj. Może zastanie już list na biurku w swoim gabinecie. Zaraz poszuka.

Po jakimś czasie przestał czekać i ponuro wsiadł do tramwaju w kierunku Madison. Na domiar złego pogodne, błękitne niebo zaciemniły małe i pierzaste chmurki, za którymi ukryło się słońce. Wiatr wiał z zachodu i nim doszedł do biura, niebo zaciągnęło się chmurami na cały dzień.

Wrócił do siebie i przejrzał listy... nie było między nimi listu od Carrie. Na szczęście nie było również listu od żony. Dziękował gwiazdom, że może nie zajmować się tą sprawą teraz, kiedy miał tyle do myślenia. Znowu zaczął przemierzać pokój, udając zwykły humor, ale ponad wszelki wyraz zaniepokojony.

O godzinie pierwszej trzydzieści poszedł do restauracji „Rector” na śniadanie. Wró-

ciwszy zastał w biurze posłańca, który na niego czekał. Patrzył podejrzliwie na chłopca.

- Ma być odpowiedź! - rzekł malec.

Hurstwood poznał pismo żony. Rozerwał kopertę i obojętnie odczytał list. List zaczynał się oficjalnie i był pisany zimno, ze skrajną oszczędnością słów.

Proszę o przysłanie natychmiast pieniędzy, których żądałam. Są mi potrzebne dla zrealizowania moich planów. Może Pan nie wracać, jeżeli Pan nie chce. Jest mi to absolutnie obojętne. Ale potrzebuję pieniędzy. Więc proszę przysłać przez tegoż posłańca.

Skończywszy stał chwilę z listem w ręku. Aż zaniemówił na taką zuchwałość. Powstał w nim gniew, bunt. Pierwszym jego impulsem było napisać w odpowiedzi: „Idź do diabła!”, ale zadowolił się kompromisem, mówiąc chłopcu, że odpowiedzi nie będzie. Potem usiadł na fotelu i patrzył przed siebie nie widząc. Rozmyślał nad tym, co się stało. Co zrobi teraz pani Hurstwood? Podła nikczemnica! Czy będzie próbowała szantażem zmusić go do uległości?! Pójdzie do domu i zrobi z nią porządek, tak! Trochę za wiele sobie pozwala. Oto jego pierwsza myśl.

Później jednak zimny rozum wziął górę. Coś trzeba zrobić. Katastrofa wisi w powietrzu... Pani Hurstwood nie będzie siedziała z założonymi rękami. Znał ją dość dobrze, żeby wiedzieć, że raz zdecydowawszy się na coś, przeprowadzi swój plan. Prawdopodobnie od razu odda sprawę w ręce adwokata.

- Niech ją diabli! - mruknął z zaciśniętymi zębami. - Zrobię jej ciepło, jeżeli ośmieli się mnie szantażować! Zmuszę ją do zmiany tonu, nawet gdybym miał użyć siły!

Wstał i wyjrzał na ulicę. Przewlekły deszcz zaczął już padać. Przechodnie podnosili kołnierze, zakasywali spodnie. Ręce chowano do kieszeni, otwierano parasole. Ulica wyglądała jak morze czarnych kopuł z materiału, trzęsących się, kiwających, ruchliwych. Dorożki i powozy podskakiwały z turkotem, ludzie chowali się, gdzie mogli. Hurstwood zaledwie widział, co się dzieje. Rozmawiał z żoną, radził jej zmienić swoje postępowanie, zanim nie pożałuje...

O czwartej otrzymał następny list. Pani Hurstwood pisała krótko: jeżeli do dzisiaj wieczora nie otrzyma pieniędzy, sprawa zostanie oddana do rozpatrzenia panom Fitzgeraldowi i Moyowi. Przedsięweźmie się również i inne kroki.

Hurstwood omal nie krzyknął wobec takiego natręctwa. Dobrze! Wyśle pieniądze! Sam zawiezie jej pieniądze... rozmówi się... i to natychmiast!

Wział kapelusz i obejrzał się za parasolem. Musi tę sprawę wyjaśnić.

Zawołał dorożkę i kazał jechać przez moknące w deszczu ulice w dzielnicę Północną. Po drodze uspokoił się i zastanowił nad szczegółami sprawy. Co Julia może wiedzieć? Co już zrobiła? Może wpadła na Carrie... a może na Droueta? Może rzeczywiście ma jakie dane i wymierzy mu cios z zasadzki? Nie brakowało jej sprytu. Po cóż miałyby mu grozić w taki sposób, nie mając w ręku dowodów?

Żałował, że nie zawarł z nią kompromisu, że nie posłał żądanych pieniędzy. Może naprawi to teraz. Pójdzie i zobaczy. W każdym razie - będzie unikał kłótni.

Zanim dojechał na swoją ulicę, uświadomił sobie trudność sytuacji. Pragnął jednego, żeby dało się to jakoś ułagodzić, żeby się znalazło to czy inne wyjście. Serce biło mu ze zdenerwowania. Wyjął klucz i próbował nim otworzyć drzwi, ale klucz tkwił w zamku. Pociągnął za klamkę... drzwi były zamknięte. Zadzwoił. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoił drugi raz głośniej. Znowu żadnej odpowiedzi. Nacisnął dzwonek kilka razy ze wściekłością, ale bez rezultatu. Zszedł na dół.

Pod schodami były drzwi prowadzące do kuchni, założone sztabą żelazną jako ochrona przed złodziejami. Doszedłszy do tych drzwi przekonał się, że i one są zamknięte, a okiennice w kuchni opuszczone. Co to znaczy?! Pociągnął za dzwonek i czekał. Wreszcie widząc, że nikt nie nadchodzi, zawrócił i wszedł do dorożki.

- Widocznie wyszli - powiedział, jakby się tłumacząc, do osobnika, kryjącego czerwoną twarz w szeroki płaszcz nieprzemakalny.

- Widziałem w oknie młodą pannę - rzekł woźnica.

Hurstwood spojrzał w górę, ale nie dojrzał już w oknie twarzy.

Ponuro wgramolił się do dorożki, zły, niezadowolony.

Więc to taka gra?! Zamknąć przed nim drzwi i kazać mu płacić? Słowo daję, to przechodzi wszelkie pojęcie.

Rozdział XXV

POPIOŁY Z KRZESIWA: GORSET ROZLUŻNIA SIĘ

Znalazłszy się z powrotem w biurze Hurstwood wpadł w większą rozterkę niż poprzednio. „Boże, Boże” - myślał - „w czym wpadł?! W jaki sposób rzeczy mogły przyjąć tak groźny obrót w tak krótkim czasie?” Prawie nie zdawał sobie sprawy, jak się to wszystko stało. Znalazł się w jakichś potwornych, strasznych, niespodziewanych warunkach... bez uprzedzenia, nagle...

Przez cały ten czas wracały myśli o Carrie. Jakież zmartwienie mogło mu grozić z tej strony? Nie otrzymał listu ani zawiadomienia; tu już wieczór zapada, a ona obiecała spotkać się z nim z rana. Jutro mieli wyjechać razem... dokąd? Spostrzegł się, że w nawale kłopotów nie obmyślił planu działania. Był rozpaczliwie zakochany w Carrie i zaryzykowałby wiele, żeby zdobyć ją w normalnych warunkach - ale teraz? Przypuśćmy, że coś odkryła, przypuśćmy, że wysłała do niego list, w którym pisze, że wie wszystko, że nie chce go więcej znać?! To bardzo prawdopodobne po tym, co go już spotkało. Jednak pieniędzy żonie nie wysłał.

Chodził tam i z powrotem po błyszczącej posadzce swego gabinetu, z rękami w kieszeniach, z brwiami zmarszczonymi, z zaciśniętymi ustami. Pewną satysfakcję sprawiło mu dobre cygaro, ale i ono nie uleczyło jego cierpień! Zaciskał palce i tupał nogami - symptomy walki duchowej, która się w nim odbywała. Cała jego natura była do gruntu wstrząśnięta. Przekonał się, do jakich granic sięga wytrzymałość człowieka. Wypił tego dnia więcej wódki z wodą sodową niż każdego innego wieczora w tym miesiącu.

Pomimo starań, jakich dokładał, wieczór przyniósł tylko jedno: posłał żonie pieniądze. Stało się to po długiej walce, po blisko dwugodzinnych „tak” i „nie”, aż wreszcie wziął kopertę, włożył w nią żądaną sumę i zapieczętował.

Po czym zawołał Harry'ego, chłopca na posyłki.

- Zaniesiesz to pod ten adres - rzekł podając mu kopertę - i oddasz do własnych rąk pani Hurstwood.

- Słucham pana.

- Jeżeli nie zastaniesz pani Hurstwood, przyniesiesz z powrotem.

- Słucham pana.

- Znasz moją żonę? - nie omieszkał pamiętać o tej ostrożności, kiedy chłopiec zawrócił się na pięcie.

- O, tak, znam panią dyrektorową.

- Więc się śpiesz.

- Będzie odpowiedź?

- Sądzę, że nie.

Chłopak wybiegł z pokoju, a dyrektor wpadł znowu w zamyślenie. Zrobił, co chciała. Nie ma co dalej się nad tym zastanawiać. Dał się pobić na dzisiaj. Pozostaje mu jedno: wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści dla siebie. Och, potworność być zmuszonym do takiej uległości! Widział, jak spotyka chłopca we drzwiach z sardonicznym uśmiechem. Weźmie kopertę z poczuciem, że zwyciężyła. Gdyby mógł cofnąć list! Nigdy nie wysłałby go drugi raz! Oddychał z trudem, ocierając pot z czoła.

Chcąc się rozerwać wstał i przyłączył się do kilku przyjaciół, którzy pili przy bufecie. Starał się zainteresować tym, co się dokoła niego działo, ale nie mógł. Myśli jego biegły wciąż do domu... widział scenę, która się tam rozgrywała. Nie mógł nie myśleć, co powiedziała, kiedy chłopiec podał jej kopertę.

Posłaniec wrócił po godzinie i trzech kwadransach. Widocznie oddał kopertę, ponieważ gdy wszedł, nic nie wyglądało mu z kieszeni.

- No? - spytał Hurstwood.

- Oddałem.

- Mojej żonie?

- Tak, pani.

- Masz odpowiedź?

- Pani powiedziała, że był już wielki czas.

Hurstwood zmarszczył się groźnie.

Nie miał już nic do roboty tego wieczora. Myślał ponuro o całej tej sprawie do północy, po czym udał się do „Palmer House”. Zastanawiając się, co mu rano przyniesie nowego, zasnął mocno.

Nazajutrz poszedł, jak zwykle, do biura i odebrał pocztę - pełen nadziei i obaw, co też

mu przyniesie? Ani słowa od Carrie. Ani słowa od żony - co było przyjemne.

Fakt, że jednak posłał pieniądze i że Julia je otrzymała, sprawił mu pewną ulgę. Myślał już o tym z mniejszym zmartwieniem i większą nadzieją na pomyślne załatwienie sprawy. Mówił sobie siedząc przy biurku, że nie ma się czego obawiać w ciągu tygodnia, dwóch. A tymczasem będzie mógł się na coś zdecydować.

I znów myśli jego wróciły do Carrie i do tego, w jaki sposób zabierze ją Drouetowi. Jak to się ułoży? Niepokój, że jednak nie napisała i nie przyszła na schadzkę, wzrósł, gdy zaczął myśleć o niej. Postanowił napisać na poste restante i żądać wyjaśnienia, naznaczając zarazem nową schadzkę. Irytowało go, że Carrie nie otrzyma listu przed poniedziałkiem. Musi znaleźć jakiś szybszy sposób... ale jaki?

Myślał nad tym dobre pół godziny, odrzucając z góry projekt pojechania do niej albo posłania kogoś. Byłoby to narażeniem się. Widząc w końcu, że czas ucieka, napisał list i wysłał. Znowu pograżył się w myślach.

Godziny uciekały, a wraz z nimi możliwość związku, którego tak pragnął. Marzył, że Carrie połączy swój los z jego losem, a oto już południe minęło i nic jeszcze nie zrobiono. Godzina trzecia, potem czwarta, piąta, a listu jak nie ma, tak nie ma. Dyrektor bezradnie przemierzał pokój, ponuro myśląc o swojej porażce. Patrzył na uciekającą gwarną sobotę, na zbliżającą się niedzielę, a sprawa nie posunęła się ani o krok. Ponieważ bar był przez cały dzień zamknięty, nudził się sam jeden, pozbawiony domu, gwaru powszedniego dnia, Carrie, możliwości zmienienia choć na jotę warunków swego życia. Była to najgorsza niedziela, jaką przeżył.

Druga poczta poniedziałkowa przyniosła mu bardzo urzędowo wyglądający list, który na czas jakiś przykuł jego uwagę. Miał pieczętkę kancelarii adwokackiej McGregora, Jamesa i Haya i po wielce uroczystym „Szanowny panie” i dalszych „prosimy stwierdzić” informował krótko, że panowie ci są upoważnieni przez panią Hurstwood do pertraktacji w sprawach dotyczących alimentów i jej praw posiadania. Byliby bardzo wdzięczni, gdyby pan Hurstwood zechciał porozumieć się z nimi niezwłocznie w tej sprawie.

Przeczytał kilkakrotnie ów list, a potem pokiwał głową. Wyglądało na to, że kłopoty rodzinne zaczną się lada chwila.

- No - powiedział po chwili prawie głośno - nie wiem...

Po czym złożył list i schował go do kieszeni.

Jakby dla zwiększenia jego niedoli - znowu ani słowa od Carrie. Był już pewny teraz, że wie, iż jest żonaty, i gniewa się za jego perfidię. Strata Carrie wydawała mu się tym większa teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebował, Postanowił domagać się widzenia z Carrie, jeżeli dość szybko nie będzie miał od niej wiadomości. Rzeczywiście, ze wszystkich przykrości ta najbardziej go dotknęła. Kochał ją zawsze dość silnie, ale teraz, gdy w oczy zająrzała mu możliwość utracenia jej, wydała mu się bardziej pociągająca niż kiedykolwiek. Naprawdę z utęsknieniem czekał na słówko od niej i widział ją wyraźnie oczyma duszy. Postanowił nie wyrzekać się Carrie bez względu na to, co ona o nim myśli. Niech będzie, co ma być! On musi wyświecić jej tę sprawę i to niedługo! Pójdzie do niej i wyzna jej wszystkie swoje komplikacje rodzinne. Wytłumaczy, co się z nim dzieje i jak bardzo jest mu ona potrzebna. Przecież się od niego nie odwróci? Nie, to niemożliwe! Będzie błagał, aż ustąpi, aż mu przebaczy.

Nagle pomyślał: „Przypuśćmy, że jej tam nie ma... że odeszła...” Musiał wstać. Nie mógł siedzieć beczynn timer i myśleć. Ale to niewiele pomogło.

We wtorek było to samo. Doszło do tego, że w końcu zmusił się iść do Carrie, ale doszedłszy na plac Ogden, doznał wrażenia, że ktoś go śledzi. Więc nie poszedł do domu, w którym mieszkała.

Jednym z ciekawszych incydentów tej wyprawy było, iż wsiadł do tramwaju idącego na ulicę Randolph, i sam o tym nie wiedząc, pojechał do gmachu koncernu, w którym pracował jego syn. Poczł ból w sercu. Kilkakrotnie zgłaszał się do swego chłopca. Młodzieniec nie odpowiedział mu słowem. Dzieci zdawały się nie zauważać jego obecności. Tak, los płata ludziom figle! Wrócił do biura i wdał się w rozmowę z przyjaciółmi. Jak gdyby bezmyślna gadanina mogła zagłuszyć smutek!

Tego wieczora zjadł obiad w restauracji „Rector” i wrócił do swego biura. W gwarze i zgiełku baru znajdował jedynie pociechę. Zajmował się drobnymi szczegółami i rozmawiał z tym i owym.

Stał przy swoim biurku po rozejściu się wszystkich i opuścił bar dopiero wtedy, gdy nocny stróż obchodząc rewir zastukał w okno, czy wszystko w porządku.

W czwartek otrzymał drugi uprzejmy list od panów McGregora, Jamesa i Haya. List opiewał:

Szanowny Panie!

Pozwalamy sobie oznajmić Panu, że upoważnieni jesteśmy czekać tylko do jutra (piątek) do godziny pierwszej po południu. Po tym terminie wszczynamy z upoważnienia pani Julii Hurstwood odpowiednie kroki o rozwód i alimenty. Jeżeli Pan nie zgłosi się do nas przed upływem tego terminu, uważać będziemy, że Pan nie ma zamiaru godzić się na kompromis, wobec czego rozpoczniemy odpowiednie kroki.

Szczerze oddani... etc.

- Kompromis! - zawołał gorzko Hurstwood. - Zgodzić się na kompromis!

I pokiwał głową.

Teraz jasno przedstawiono mu sprawę. Wie, czego może się spodziewać. Jeżeli nie pójdzie do nich, mogą wszcząć kroki przeciwko niemu. Jeżeli pójdzie - podyktują mu warunki, na które krew się w nim wzburzy. Złożył list i schował go z innymi. Po czym wcisnął na głowę kapelusz i poszedł się przejść.

Rozdział XXVI

UPADŁY AMBASADOR: W POSZUKIWANIU WYJŚCIA

Carrie, opuszczona przez Droueta, słuchała oddalających się jego kroków, nie zdając sobie sprawy, co właściwie zaszło. Wiedziała, że wybiegł jak burza. Upłynęła dobra chwila, zanim zadała sobie pytanie, czy wróci... nie zaraz, ale w ogóle. Rozejrzała się po pokoju. Za oknami gasł dzień. Zdumiała się, dlaczego czuje się tu teraz nie tak, jak dawniej. Podeszła do stolika, potarła zapałkę, zapaliła gaz. Potem wróciła do fotela, żeby myśleć.

Minęło sporo czasu, zanim zdołała zebrać myśli, ale gdy się to stało, prawda nabrała w jej oczach wagi. Przypuśćmy, że Drouet nie wróci? Przypuśćmy, że nie usłyszy już o nim? Te piękne pokoje nie potrwają długo... Będzie musiała je opuścić...

Musimy powiedzieć na dobro Carrie, że nie liczyła wcale na Hurstwooda. Odrzucała myśl o nim z bólem i żalem. Mówiąc prawdę, była niemal przerażona takim dowodem męskiej nieprawości. Oszukałby ją bez zmrużenia powiek. Znalazłaby się w nowej, dużo gor-

szej sytuacji. A jednak nie mogła wygnać z pamięci jego sylwetki, jego wytwornych manier. Tylko ten jeden postępek wydawał się Carrie nędzny i dziwaczny. Stanowił ostry kontrast ze wszystkim, co wiedziała dotychczas o tym człowieku.

Ale była sama. Była to troska najpoważniejsza, jak na teraz. Co zrobi? Czy będzie zmuszona znowu szukać pracy? Znowu chodzić po dzielnicy handlowej? Scena? Tak! Drouet wspomniał o scenie. Czy jest nadzieja dostania się do teatru? Chodziła tam i z powrotem, zatopiona w licznych i bardzo rozmaitych myślach, a minuty uciekały i noc zapadła już zupełnie. Nie ma w domu nic do jedzenia, a siedzi w miejscu i myśli.

Przypomniała sobie, że jest głodna, i poszła do kredensu w ostatnim pokoju, gdzie znalazła resztki od śniadania. Patrzyła nieufnie. Widok jedzenia był wymowniejszy niż kiedykolwiek.

Jedząc zastanawiała się, ile posiada pieniędzy. Wydało się to Carrie rzeczą niezmiernie ważną, więc niezwłocznie poszła po portmonetkę. Była w komodzie i zawierała siedem dolarów i trochę drobnych. Martwiła ją myśl, jak mało to znaczy, i pocieszyła się, że komorne jest zapłacone do końca miesiąca. Zaczęła również myśleć, co by ze sobą poczęła, gdyby jednak wyszła wtedy z mieszkania na ulicę. Wobec tamtej sytuacji (jak się jej przedstawiała teraz) stan obecny był właściwie zupełnie znośny. Kto wie, może wszystko ułoży się w końcu pomyślnie...

Drouet odszedł... cóż z tego? Nie wydawał się poważnie zagniewany. Zachował się po prostu jak człowiek zirytowany. Wróci... z pewnością wróci. W rogu pokoju stoi jego laska. Zostawił kilka kołnierzyków. W szafie wisi letnia narzutka. Obejrzała się dokoła, usiłując pocieszyć się widokiem tuzina podobnych szczegółów. Ale niestety, myśli jej przybrały inny obrót. Przypuśćmy, że Drouet wróci. Co wtedy?

Oto nowy moment, jeśli nie równie, to prawie jednakowo trudny. Będzie musiała rozmawiać z nim, tłumaczyć mu. On będzie usiłował w nią wmówić, że słuszność była po jego stronie! Życie z nim stanie się niemożliwe!

W piątek Carrie przypomniała sobie umówioną schadzkę z Hurstwoodem. Zbliżenie się godziny, w której stosownie do danej obietnicy miała go zobaczyć, uczyniło klęskę, jaka na nią spadła, dziwnie świeżą i dotkliwą. Zdenerwowana i podniecona, czuła potrzebę czynu. Ubrała się w brązową suknię spacerową i o jedenastej poszła przejść się do dzielnicy handlowej. Musi poszukać pracy.

Deszcz, który groził o dwunastej, a rozpadał się o pierwszej, zmusił Carrie do przyspieszenia kroku i do powrotu do domu. Ten sam deszcz, który spowodował, iż Hurstwood upadł na duchu i przeżył wyjątkowo ciężki dzień.

Nazajutrz była sobota, półświęto w wielu dzielnicach handlowych, przy tym piękny, pogodny dzień. Trawa i drzewa wydawały się szczególnie zielone po wczorajszym deszczu. Gdy wyszła z domu, wróble ćwierkały wesoło na gałęziach. Patrząc na park nie mogła stłumić uczucia, że życie jest jednak piękne dla tych, którzy nie mają powodu do zmartwień i więcej niż kiedykolwiek pragnęła, żeby stało się coś, co uwarunkowałoby jej ów miły stan, w jakim żyła dotychczas. Nie chciała ani Droueta, ani jego pieniędzy; nie chciała mieć nic wspólnego z Hurstwoodem, ale pragnęła, by wrócił ów beztroski stan zadowolenia, kiedy pomimo wszystko była szczęśliwa, szczęśliwsza w każdym razie niż jest teraz, gdy los zmusza ją do samotnych wędrówek.

Zanim doszła do dzielnicy handlowej, wybiła jedenasta, większość interesów zamykano wkrótce. Nie zauważyła tego od razu, przygnębiona wspomnieniem bezowocnych poszukiwań w tej surowej i pracowitej dzielnicy. Szła usiłując wmówić w siebie, że jest zdecydowana szukać pracy, a jednocześnie czując wewnętrznie, że może niepotrzebnie tak się spieszy. Znaleźć pracę nie jest łatwo, a ona ma przed sobą jeszcze kilka dni. Zresztą nie była zupełnie pewna, czy naprawdę musi stanąć twarzą w twarz z gorzkim zagadnieniem utrzymania się z pracy własnych rąk. W każdym razie teraz jest w lepszej sytuacji. Wie, że zyskała na wyglądzie i zachowaniu. Ruchy jej są zupełnie inne. Ubrana jest wytwornie i mężczyźni - dobrze ubrani mężczyźni, którzy przedtem przyglądali się Carrie obojętnie z swoich eleganckich biur - teraz patrzyli jej w oczy z łagodnym błyskiem. Czowała poniekąd wartość tych zmian, ale to nie dodało jej otuchy. Szukała przecież tylko tego, co otrzymać mogła zwykłą drogą, nie zaś dzięki szczególnej łasce. Szukała czegoś, ale nikt jej nie kupi za fałszywe przysięgi i uprzejmości. Chciała uczciwie zarobić na życie.

„W sobotę zamykamy o pierwszej”. Jakże miło i przyjemnie było czytać taki napis na drzwiach instytucji, do której czuła, że powinna wejść i spytać o pracę. To było dla Carrie wymówką, napotkawszy więc kilkanaście tego rodzaju anonsów i widząc, że zegarek wskazuje dwunastą piętnaście, doszła do przekonania, że nie ma co szukać dzisiaj. Wsiadła do tramwaju i pojechała do parku Lincolna. Było tam zawsze coś do obejrzenia: kwiaty, zwierzęta, jezioro; obiecywała sobie, że w poniedziałek wstanie wcześniej i pójdzie na poszuki-

wanie. Zresztą tyle rzeczy może się stać między dniem dzisiejszym a poniedziałkiem!

Niedziela przeszła na podobnych zwątpieniach i smutkach, zapewnieniach i Bóg wie jakich kapryśkach ducha i myśli. Co pół godziny w ciągu tego dnia narzucała się jej myśl - ostro jak świśnięcie bata - że należy działać, działać natychmiast! Potem oglądała się dokoła i zapewniała sobie, że nie jest jeszcze tak źle, że z pewnością wyjdzie z tego obronną ręką. W takich chwilach przypominała sobie, co Drouet mówił o scenie, widziała pewne możliwości w tym kierunku. Postanowiła spróbować jutro.

W poniedziałek wstała wcześniej i ubrała się starannie. Nie miała pojęcia, jak się takie rzeczy robi, ale domyślała się, że ma to jakiś związek z gmachami teatralnymi. Wystarczy ci po prostu zapytać w którymś z teatrów o dyrektora i zwrócić się do niego o posadę. Jeżeli jest co do wzięcia, to weźmiesz. Albo, w ostateczności, on ci powie, jak szukać.

Nie mając żadnego doświadczenia w obcowaniu z osobnikami tego typu, nie znała lubieżności i humoru teatralnego ludku. Wiedziała tylko, jakie stanowisko zajmuje pan Hale, ale za żadną cenę nie chciała spotkać tego pana, a to ze względu na stosunek, który ją łączył z jego żoną.

Istniał w owe czasy teatr - Opera Chicagowska - który więcej od innych był na oczach publiczności. Dyrektor opery, Dawid A. Henderson, należał do lokalnych znakomitości. Carrie była dwukrotnie na wspaniałych przedstawieniach w operze i słyszała o wielu innych. Nie wiedziała nic o Hendersonie ani o sposobach dostania się do teatru, ale czuła instynktownie, że byłoby to coś odpowiedniego dla niej, i skierowała się do gmachu opery. Dość odważnie zbliżyła się do wspaniałego wejścia, weszła do kapiącego od złota i ozdobionego ściennymi malowidłami przedsionka, z którego wchodziło się do biura, ale nie mogła zrobić kroku dalej. Znakomity aktor z opery komicznej występował w tym tygodniu. Otoczyła ją atmosfera dystynkcji i zbytku. Nie chciała wierzyć, że w tym cudownym środowisku mogłoby się znaleźć coś odpowiedniego dla niej. Prawie drżała na myśl o własnej zuchwałości, która musiałaby się zakończyć fatalną porażką. Mogła zdobyć się tylko na tyle odwagi, żeby przyjrzeć się pięknym malowidłom, po czym wyszła. Wydało cię Carrie, że uciekła szczęśliwie i że byłoby szaleństwem myśleć o zaangażowaniu się do tak wspaniałej instytucji.

To małe doświadczenie powstrzymało ją od dalszych prób na ten dzień. Obejrzała inne teatry, ale tylko z zewnątrz. Wbiła sobie w pamięć położenie niektórych z nich - przede

wszystkim Wielkiej Opery i McVicar, gdyż te dwa najwięcej ją pociągały, po czym wróciła. Odwaga zmalowała znacznie, gdyż odżyło w niej poczucie wspaniałości wielkich przedsięwzięć i bezpodstawność jej pretensji wobec społeczeństwa, jak ona je rozumiała.

Tego wieczora odwiedziła ją pani Hale, której wesoła paplanina i przewlekła wizyta uniemożliwiły Carrie zastanowienie się nad wypadkami dnia. Przed udaniem się na spoczynek pograżyła się jednak w najczarniejsze przeczucia. Drouet się nie pokazał. Nie otrzymała znikąd słowa, wydała dolara ze swojej bezcennej sumy na jedzenie i przejazd tramwajem. To jasne, że nie przetrzyma długo. Co więcej, nie znalazła źródła nowych dochodów.

W tej sytuacji myśli jej pobiegły do siostry na ulicę Van Buren (nie widziała jej od dnia swojej ucieczki) i do domu rodzinnego w Columbia City, który wydawał się czymś bezpowrotnie utraconym. Nie oczekiwała stamtąd ratunku. Myśl o Hurstwoodzie, która wracała od czasu do czasu, przyniosła jej tylko smutek. Że chciał ją oszukać w sposób tak okrutny, wydało się Carrie rzeczą potworną!

Przeszedł wtorek i wraz z nim niezdecydowanie i smutne myśli. Nie była w usposobieniu, po doświadczeniach poprzedniego dnia, do szukania posady, a jednak wyrzucała sobie gorzko to, co nazywała swoją słabością. Wyszła z zamiarem odwiedzenia raz jeszcze opery, ale z trudem odważyła się podejść do tego gmachu.

Jednak tym razem zasięgnęła informacji w biurze.

- Dyrektora administracyjnego czy artystycznego? - zapytał elegancki urzędnik. Powierzchność Carrie wywarła na nim wrażenie dodatnie.

- Nie wiem - przyznała Carrie zmieszana tym pytaniem.

- Dyrektora administracyjnego w każdym razie nie może pani widzieć dzisiaj - rzekł młodzieniec. - Wyjechał.

Zauważywszy przerażone spojrzenie Carrie dodał:

- Czego pani sobie życzy?

- Chciałabym się zaangażować do teatru.

- To radzę pani pomówić z dyrektorem artystycznym. Ale i jego nie ma.

- A kiedy bywa? - zapytała Carrie, nieco pocieszona tą wiadomością.

- Znajdzie go pani między jedenastą a dwunastą - informował młodzieniec. - Bywa również po drugiej.

Carrie podziękowała i wyszła pospiesznie, podczas gdy młodzieniec patrzył na nią

przez szybę w jednym ze swoich okienek.

- Ładna! - mruknął do siebie, po czym oddał się niesłuchanie miłym marzeniom na temat względów, okazywanych mu w przyszłości przez Carrie.

Jedną z największych trup komediowych dawała przedstawienie w gmachu opery. Tu już Carrie pytała o dyrektora trupy. Nie знаła w ogóle tego pana i nie wiedziała, że gdyby zabrakło aktorki, to sprowadzono by ją z Nowego Jorku.

- Gabinet na górze - informował osobnik w łoży portiera.

Kilka osób znajdowało się w gabinecie dyrektora. Dwie rozmawiały we wnęce okiennej - jedna spierała się o coś z samym dyrektorem siedzącym za biurkiem. Carrie rozglądała się przerażona, że będzie musiała wypowiedzieć swoją prośbę wobec tego całego audytorium, z którego dwóch panów (ci w oknie) przyglądało się jej badawczo.

- Nie mogę tego zrobić - mówił dyrektor stanowczo. - Pan Frohman ma zasadę nie puszczać nikogo za kulisy. Wykluczone! Wykluczone!

Carrie czekała pokornie. W pokoju stały krzesła, ale nikt nie zaproponował, żeby usiadła. Indywiduum, z którym rozmawiał dyrektor, wyszło z pokoju wielce przygnębione. Dyrektor przeglądał leżące przed nim papiery, jak gdyby były one rzeczą niezmiernie wagi.

- Czytałeś, co „Herald” napisał o Nacie Goodwin, Harris? - zapytał.

- Nie - rzekła owa osobistość. - Co mianowicie?

- Wygłosił, dosłownie, przemowę przed odsłonięciem kurtyny wczoraj w Hooley. Radzę ci, przejrzyj!

Harris zbliżył się do biurka i pochylił się nad „Heraldem”.

- Czym mogę służyć? - zwrócił się dyrektor do Carrie, widocznie dopiero teraz zauważywszy ją (sądził, że chodzi o bilety ulgowe).

Carrie zebrała swoją odwagę, która nie była wielka. Czowała, że jest nowicjuską i że nieodwołalnie spotkać ją musi odmowa. Była tej odmowy tak pewna, iż uważała za stosowne udać, że się zgłasza tylko o radę.

- Czy może pan powiedzieć, w jaki sposób mogłabym się dostać na scenę?

Ostatecznie był to najlepszy sposób nawiązania rozmowy. Panu, zasiadającemu w fotelu, wydała się w pewnej mierze interesująca. Prostota tego pytania i zachowanie się Carrie zrobiły na nim wrażenie.

Uśmiechnął się podobnie jak reszta osób w pokoju (ci jednakże usiłowali ukryć swój

humor).

- Nie wiem - powiedział, przyglądając się jej zuchwale. - Ma pani jaką praktykę w tym kierunku?

- Trochę - rzekła Carrie. - Brałam udział w przedstawieniach amatorskich.

Postanowiła trochę nablagać, żeby wzbudzić w nim większe zainteresowanie.

- Nie przygotowywała się pani do kariery scenicznej? - powiedział z miną mającą przekonać zarówno Carrie jak i obecnych przyjaciół, że jest człowiekiem dobrze się orientującym.

- Nie, proszę pana.

- Hm... nie wiem... - powiedział rozłożony wygodnie w fotelu, patrząc na stojącą przed nim Carrie. - Dlaczego chce pani iść na scenę?

Ośmieliła ją zuchwałość tego pana, uśmiechnęła się jednak w odpowiedzi na jego zachęcający gest i powiedziała:

- Muszę z czegoś żyć.

- O! - powiedział coraz bardziej zachwycony jej powabną powierzchownością, czując, że warto by nawiązać z nią bliższą znajomość - to poważny powód, co? Ale Chicago nie nadaje się do tego celu. Pani powinna była jechać do Nowego Jorku. Tam miałyby pani więcej szans. Tu trudno będzie pani się zaangażować.

Carrie uśmiechnęła się uprzejmie, wdzięczna, że zechciał jej udzielić tak cennej rady. Zauważył ten uśmiech i nadał mu trochę innego znaczenia. Myślał, że nadarza mu się sposobność do łatwego flirtu.

- Proszę, niech pani usiądzie - powiedział, przysuwając krzesło stojące obok biurka i zniżając głos tak, żeby nie mogli ich dosłyszeć dwaj panowie, obecni w pokoju. (Panowie ci mrugnęli do siebie porozumiewawczo).

- No, ja już idę, Barney - rzekł jeden z nich wstając i zwracając się do dyrektora. - Spotkamy się po południu.

- Doskonale - rzekł dyrektor.

Osobnik, który został w pokoju, wziął do rąk gazetę, udając, że czyta.

- A jakiej gaży żądałaby pani? - słodko zapytał dyrektor.

- Nie wiem - powiedziała Carrie. - Zgodzę się na początek na każde wynagrodzenie.

- Rozumiem. Pani mieszka w Chicago?

- Tak, proszę pana. Dyrektor uśmiechał się.

- Próbowała już pani dostać się do chóru? - zapytał tonem bardziej poufnym.

Carrie wyczuła, że poczyna sobie za swobodnie i jakoś nienaturalnie.

- Nie - rzekła.

- Jest to droga, którą przeważnie obierają dziewczęta, chcąc się dostać do teatru. Dobra droga. Można się dużo nauczyć.

Patrzył na nią w sposób przekonywający.

- Nie wiedziałam - szepnęła.

- Nie jest to rzecz łatwa, ale czasami się udaje. - Potem, jak gdyby coś sobie nagle przypomniawszy, wyjął zegarek. - Umówiłem się na drugą, a teraz muszę iść na śniadanie. Czy nie zechciałaby pani zjeść ze mną obiadu? Moglibyśmy porozmawiać swobodnie.

- O, nie! - powiedziała Carrie, w jednej chwili pojawiający zamiary dyrektora. - Ja też mam czas zajęty.

- To przykre - powiedział czując, że się pospieszył i że Carrie ma zamiar odejść. - Proszę zająć jeszcze kiedy. Może będę o czymś wiedział.

- Dziękuję panu - powiedziała z lekka drżącym głosem i wyszła.

- Ładna, co? - zapytał przyjaciel, którego uwagi uszły pewne szczegóły gry dyrektora.

- Tak, niczego sobie - powiedział dyrektor żałując, że pośpiechem popsuł grę. - Ale nigdy nie będzie z niej aktorka. Jeszcze jedna chórzystka... i tyle.

To małe doświadczenie odebrało Carrie ochotę próbować szczęścia u dyrektora opery, ale w końcu odważyła się to zrobić. Pan ten okazał się poważniejszym. Powiedział od razu, że nie ma wolnego miejsca. Zdawał się uważać jej poszukiwania za szaleństwo.

- Chicago to nie miejsce dla początkujących - powiedział. - Pani powinna próbować w Nowym Jorku.

Carrie jednak nie dawała za wygraną i poszła do teatru McVicar, gdzie nie znalazła nikogo. Grano tam „The old Homestead”, ale osoba, do której ją skierowano, była nieobecna.

Te drobne wyprawy zajęły jej czas do godziny czwartej. Wtedy ogarnęło ją dostateczne znużenie, żeby wrócić do domu. Czowała, że powinna próbować w dalszym ciągu i pytać gdzie się da, ale rezultaty jak dotąd nie były zachęcające. Wsiadła w tramwaj i przyjechała na plac Ogden, ale postanowiła jeszcze zająć do oddziału pocztowego w dzielnicy Zachod-

niej, gdzie zwykła odbierać listy Hurstwooda. Był rzeczywiście list, napisany w sobotę. Otworzyła go i czytała z bardzo rozmaitymi uczuciami. Było w tym liście tyle ciepła i taki szczery żal, że nie zjawiała się na schadzkę, że milczy... Poczła litość dla tego człowieka. Że ją kocha, było aż nadto wyraźne, że chciał i ośmielał się ją kochać będąc człowiekiem żonatym - to było złe. Czowała, że zasłużył na odpowiedź, więc postanowiła napisać i dać mu do poznania, że wie o wszystkim i jest oburzona jego perfidią. Powie mu: wszystko między nami skończone.

Znalazłszy się w swoim pokoju natychmiast przystąpiła do wykonania swego planu. Ujęcie w słowa tego, co miała do powiedzenia, zajęło jej sporo czasu. Pisać nie było łatwo.

Nie potrzebuję chyba tłumaczyć, dlaczego nie przyszłam - pisała. - Jak Pan mógł mnie oszukać? Pan nie może się chyba spodziewać, że chcę mieć z nim coś wspólnego. Nie chcę pod żadnym pozorem. Jak Pan mógł tak, postąpić? Uczynił mnie Pan bardziej nieszczęśliwą, niż Pan przypuszcza. Mam nadzieję, że się Pan odkocha. Nie możemy się spotkać nigdy w życiu. Żegnam.

Wzięła ów list nazajutrz i na rogu wrzuciła wolno do skrzynki, wciąż niepewna, czy powinna to zrobić, czy nie powinna. Potem wsiadła do tramwaju i pojechała do miasta.

Był to martwy sezon w domach towarowych, ale słuchano jej z większą życzliwością, niż zwykle słucha się dziewcząt poszukujących pracy, gdyż była ładna i pociągająca. Zadawano jej pytania, do których już zdążyła przywyknąć.

- Co pani umie? Pracowała kiedy pani w magazynie? Ma pani praktykę?

W „Jarmarku”, u „See and Company” - we wszystkich wielkich Domach powtórzyła się ta sama historia. Jest teraz martwy sezon, niech zajdzie później, możliwe, że się coś odpowiedniego znajdzie.

Wróciwszy do domu znużona i rozczarowana, przekonała się, że Drouet był w czasie jej nieobecności. Zniknął jego parasol i letnia zarzutka. Zdawało się Carrie, że nie może się dorachować i innych rzeczy, ale tego nie była pewna. Nie zabrał jednak wszystkiego.

A więc jego odejście skryształizowało się w porzucenie jej. Co ona zrobi?! Prawdopodobnie za dwa, trzy dni znajdzie się znowu na bruku! Suknie jej się zedną. Splotła ręce zwykłym tragicznym gestem, mocno zacisnęła palce. Wielkie łzy zaświeciły w oczach i wolno spłynęły po policzkach. Była sama, tak bardzo sama!

Drouet rzeczywiście się zjawiał, ale w zupełnie innych zamiarach, niż przypuszczała

Carrie. Miał nadzieję ją zastać, usprawiedliwić swój powrót przyjściem po resztę garderoby i przed odejściem pogodzić się.

Więc gdy przybył, nie mógł ukryć rozczarowania nie znalazłszy Carrie. Kręcił się po mieszkaniu w nadziei, że zaraz nadejdzie. Nasłuchiwał jej kroków na schodach.

Czyniąc to wmawiał w siebie, że przyszedł zabrać swoje rzeczy i nie życzy sobie być zaskoczony w mieszkaniu. Wytłumaczy, po co przyszedł, i wyczuje, jak jest do niego usposobiona.

Czekał, a Carrie nie przychodziła. Od szukania po szufladach przeszedł do wyglądania oknem, od wyglądania oknem - do bujania się w fotelu. Carrie nie wracała. Zaczął się niepokoić i zapalił cygaro. Potem puścił się w wędrówkę po pokoju. Wyrzął oknem, zauważył nadciągające chmury. Przypomniawszy sobie, że się umówił na trzecią. Pomyślawszy, że na nic nie zda się czekanie, wziął parasol i zarzutkę, postanawiając to w każdym razie zabrać. Łudził się, że to powinno ją tak czy inaczej dotknąć. Jutro wróci po resztę. I przekona się, jak sprawy stoją.

Wychodząc uczuł szczery żal, że jednak ją stracił. Na ścianie wisiał mały portrecik Carrie - w pierwszym, kupionym przez niego żakieciku - twarzyczka jej była nieco poważniejsza niż w ostatnich czasach. Był naprawdę wzruszony tym widokiem i patrzył w oczy Carrie z uczuciem dość rzadkim u niego.

- Nie postąpiłaś ze mną ładnie, Cad! - powiedział, jak gdyby zwracał się do niej osobiście.

Podszedł do drzwi, obejrzał się jeszcze raz i wyszedł.

Rozdział XXVII

GDY ZALEWAJĄ NAS WODY: SZUKAMY GWIAZDY

List Carrie, pisany tego rana, Hurstwood odebrał wróciwszy z długiej włóczędzy po ulicach, na którą się wybrał po otrzymaniu zawiadomienia panów McGregora, Jamesa i Haya. Zadrżał poznawszy pismo i pospiesznie rozerwał kopertę.

- A więc - powiedział - kocha mnie! Bo po cóż by napisała do mnie! - Był nieco zgnębiony tonem listu Carrie, ale pocieszył się szybko. - Po prostu nie napisałaby, gdybym jej był obojętny!

Była to jedyna ostoja przeciwko ogarniającej go depresji. Niewiele mógł wywnioskować ze słów Carrie, miał jednak wrażenie, że rozumie ich ducha.

Było coś naprawdę niezwykłego - że nie powiem patetycznego - w tym znalezieniu pociechy w wyraźnie sformułowanych zarzutach. On, który zawsze wystarczał sam sobie, teraz szukał pomocy z zewnątrz, i to gdzie?! Mistyczne więzy miłości! Jak silnie one nas wiążą!

Rumieniec wystąpił mu na policzki. Na chwilę zapomniał o liście panów McGregora, Jamesa i Haya. Gdyby tylko mógł mieć dla siebie Carrie, może potrafiłby się wyplątać z tej matni... może wszystko ułożyłoby się pomyślnie. Jest mu obojętne, co robi jego żona... jeżeli on nie straci Carrie. Wstał i przeszedł się po pokoju, snując rozkoszne marzenia o życiu z tą, której oddał serce.

Nie trwało to jednak długo. Poprzednie troski przypomniały się znowu, a wraz z nimi przyszła słabość. Myślał o jutrze i o liście pełnomocnika żony. Nie uczynił jeszcze kroku, a oto popołudnie dobiegało końca. Jest teraz kwadrans po trzeciej. O piątej adwokaci rozchodzą się do domów. Ma czas do jutra w południe. Namyslał się, a ostatnich piętnaście minut uciekło, i zegar wybił piątą. Natenczas porzucił myśli o zobaczeniu się z tymi panami dzisiaj i wrócił do Carrie.

Zwracam uwagę, że Hurstwood nie starał się usprawiedliwić przed sobą. Nie zadawał sobie tego trudu. Myślał jedynie, w jaki sposób przekonać Carrie.

Nie było w tym nic niesłusznego. Kochał ją gorąco. Wspólne ich szczęście zależało od tego. Gdybyż tylko udało się usunąć Droueta.

Myśląc o tym przypomniał sobie nagle, że z rana zabrakło mu świeżej bielizny.

Kupiwszy parę kompletów wraz z tuzinem krawatów udał się do „Palmer House”. Wchodząc miał wrażenie, że przed nim idzie Drouet z kluczem w ręku. Z pewnością nie był to Drouet! Potem przyszło mu na myśl, że może zmienili chwilowo miejsce pobytu. Poszedł wprost do loży portiera.

- Czy pan Drouet mieszka u was? - zapytał urzędnika.

- Zdaje mi się - rzekł tenże.

Po czym, przejrawszy listę:

- Tak.

- Naprawdę? - zawołał Hurstwood, w ten tylko sposób dając wyraz swemu zdumieniu.

- Sam? - dodał.

- Tak - informował urzędnik.

Hurstwood odwrócił się i zagryzł usta. „Jakże to? - myślał.

- Czyżby się posprzecjali?"

Pospieszył do pokoju, podniesiony na duchu, i zmienił bieliznę. Czyniąc to uświadomił sobie, że czy Carrie jest sama, czy wyprowadziła się z mieszkania - musi ją odnaleźć. Postanowił iść do niej natychmiast.

- Wiem, co zrobię! - mówił sobie. - Pójdę i zapytam, czy pan Drouet jest w domu. Dowiem się w ten sposób, czy jest, czy nie, i co się stało z Carrie.

Czuł potrzebę ruchu. Postanowił iść niezwłocznie po kolacji.

Wyszedłszy ze swego pokoju sprawdził, czy Drouet jest obecny, po czym poszedł na kolację. Prawie nie mógł jeść, tak mu się spieszyło wprowadzić w czyn swoje zamierzenie. Przedtem jednak uznał za stosowne upewnić się, gdzie będzie Drouet, więc wrócił do hotelu.

- Pan Drouet wyszedł? - zapytał portiera.

- Nie - odrzekł portier. - Jest w swoim pokoju. Pan życzy sobie posłać mu bilet?

- Nie, nie. Później zajdę! - zawołał Hurstwood i wybiegł z hallu.

Wsiadł do madisonowskiego tramwaju i pojechał na plac Ogden. Śmiało poszedł do drzwi. Na stukanie zjawiła się pokojówka.

- Pan Drouet w domu? - spytał.

- Nie, wyjechał - powiedziała (słyszała, że Carrie tak powiedziała pani Hale).

- A pani Drouet?

- Pani poszła do teatru.

- Rzeczywiście? - zapytał Hurstwood bardzo przybity tą wiadomością. - Nie wie panienka do którego?

Dziewczyna, oczywiście, nie wiedziała, ale że nie lubiła Hurstwooda i chciała mu przysporzyć kłopotu, powiedziała:

- Owszem, do Hooley.

„Pójdę do Hooley” - pomyślał Hurstwood, ale nie zrobił tego. Zanim dojechał do środka miasta, zastanowił się nad całą sprawą i doszedł do przekonania, że byłoby to bezcelowe. Chociaż tak bardzo pragnął ujrzeć Carrie, domyślał się, że nie poszła sama, i nie miał ochoty zaczynać rozmowy przy świadku. Zrobi to później... z rana. Dopiero jutro ma załatwić z adwokatami.

Ta mała pielgrzymka była jakby kubłem zimnej wody dla jego marzeń. Wkrótce wpadł na nowo w ponury nastrój i wszedłszy do baru myślał już tylko o tym, jak by się rozzerwać. Kilkunastu panów ożywiało lokal swoją rozmową. Gromadka polityków hrabstwa Cook konferowała dokoła okrągłego wiśniowego stolika w głębi salonu. Paru młodzieńców wesoło gawędziło koło baru przed udaniem się (z opóźnieniem) do teatrów. Podtusiały elegant z czerwonym nosem, w wysokim staromodnym cylindrze pociągał *ale* z jednej strony baru. Hurstwood skłonił się politykom i wszedł do swego gabinetu.

Około dziesiątej jeden z przyjaciół Hurstwooda, pan Frank L. Taintor, sportsmen i wyścigowiec, widząc go samego, wszedł.

- Halo, George! - zawołał.

- Jak się masz, Frank? - powiedział Hurstwood, prawie ucieszony jego widokiem. - Siadaj! - i wskazał mu jedno z krzeseł w swoim małym gabinecie.

- Co ci jest, George? - zapytał Taintor. - Wyglądasz nieszczególnie. Nie poniosłeś chyba strat, mam nadzieję.

- Po prostu nie czuję się dzisiaj dobrze. Przeziębłem się kilka dni temu.

- Napij się, George! Chyba tobie nie potrzebuję tego doradzać!

Hurstwood uśmiechnął się.

Gdy tak gawędzili, weszło jeszcze kilku przyjaciół Hurstwooda, a zaraz po jedenastej zjawili się paru aktorów, między nimi kilka znakomitości.

Natenczas popłynęła owa bezmyślna rozmowa towarzyska, tak charakterystyczna dla publicznych lokali w Ameryce, gdzie ci, którym brak pozłoty, starają się zetrzeć jej nieco z tych, którzy jej mają pod dostatkiem. Jeżeli Hurstwood miał jaką słabość, to miał ją do znakomitości. Uważał, że poniekąd sam do nich należy. Był za dumny, żeby się pysznić, za sprytny, żeby nie umieć utrzymać się na właściwym poziomie, skoro spotkał się z ludźmi, którzy go nie doceniali. Ale w sytuacji takiej jak obecna, kiedy mógł błyszczeć jako dżentelmen i był traktowany jako przyjaciel na równych prawach z innymi, czuł się najlepiej. W takich okazjach miał zwyczaj „coś przełknąć”. Gdy towarzystwo było szczególnie pociągające, posuwał się nawet do wychylenia szklanki po szklance ze swymi przyjaciółmi, pilnując swojej kolejki płatności, jak gdyby był zwykłym gościem. Jeżeli kiedy bliski był podocho-cenia, a raczej owego szczególnego uczucia ciepła i rozkoszy, jakie poprzedza bardziej nie-chlujny stan - to wtedy, gdy miał dokoła siebie ludzi takich jak teraz, kiedy zaliczał się do grona znakomitości. Tego wieczora, aczkolwiek przygnębiony, czuł ulgę znalazłszy towa-rzystwo i ponieważ zebrali się notable, odłożył na bok troski i cieszył się chwilą bieżącą.

Nie trzeba było czekać długo na skutki. Posypały się opowiadania - odwieczne, po-cieszne, opowiadania, stanowiące przeważną część rozmów rdzennych Amerykanów zebra-nych w takich okolicznościach.

Wybiła dwunasta, godzina zamknięcia baru, i towarzystwo rozeszło się. Hurstwood serdecznie ścisnął ręce przyjaciół. Wyglądał kwitnąco. Doszedł do stanu, w którym umysł, aczkolwiek trzeźwy, widzi wszystko w różowych barwach. Zdawało mu się, że ostatecznie zmartwienia jego nie są aż tak poważne. Wszedłszy do swego gabinetu zabrał się do prze-głądania rachunków, czekając na odejście barmanów i kasjera, którzy wkrótce opuścili lo-kał.

Było to obowiązkiem i zwyczajem pana dyrektora sprawdzić po odejściu funkcyjona-riusza, czy wszystko jest dokładnie pozamykane na noc. Zazwyczaj w lokalu nie trzymano grubszych pieniędzy z wyjątkiem tych, które wpłynęły już po zamknięciu banków. Pieni-ądze te wkładał zazwyczaj do sejfów kasjer, który wraz z właścicielami znał tajemnicę kombi-nacji kluczy otwierających schowek. Niemniej Hurstwood co noc przezornie sprawdzał szu-flady w kasie i drzwiczki w schowku, czy są zamknięte. Po czym zamykał swoje własne

biurko, zapalał odpowiednią lampę przy sejfie i wychodził z lokalu.

Nigdy przez cały czas nie znalazł czegoś nie w porządku. Dzisiaj zamknąwszy biurko podszedł do sejfu i poruszył zamek. Miał zwyczaj mocno pociągnąć za klamkę drzwiczek. Tym razem drzwiczki poddały się z łatwością. Trochę tym zdziwiony zajrzał do sejfu i przekonał się, że leżą w nim pieniądze, nie zabezpieczone pieniądze. Pierwszą jego myślą było, oczywiście, zatrzasać drzwiczki sejfu.

- Muszę nagadać jutro Mayhewowi - powiedział.

Mayhew prawdopodobnie myślał, że wyszedłszy przed pół godziną zatrzasał jak zwykle drzwiczki. Nigdy nie omieszkał zrobić tego dotychczas. Ale tego wieczora Mayhew miał głowę nabitą czym innym. Zastanawiał się nad założeniem interesu na własną rękę.

- Zajrzę! - pomyślał dyrektor, wyciągając szuflady z pieniędzmi. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego to robi. Było to zupełnie niepotrzebne i w innym wypadku nie przyszłoby mu nigdy do głowy.

Oczy jego spoczęły na zwitkach banknotów, ułożonych w tysiące. Nie umiałby powiedzieć, ile było tych tysięcy, ale wzrok jego zatrzymał się na nich. Potem wysunął drugą szufladę. Były w niej wpływy z dnia.

- Nie wiedziałem, że Fitzgerald i Moy mają zwyczaj zostawiać pieniądze - powiedział.
- Chyba zapomnieli.

Spojrzał na drugą szufladę i znowu umilkł.

- Policz! - szepnął mu jakiś głos.

Włożył rękę do pierwszej przegródki i wyjął zwitek banknotów, pozostawiając pojedyncze sztuki. Były tam banknoty stu- i pięćdziesięciodolarowe ułożone w paczki po tysiąc. Paczek tych musiało być dziesięć.

- Dlaczego nie zamykam sejfu? - mówił sobie Hurstwood. - Dlaczego zwlekam?

W odpowiedzi padły najdziwniejsze słowa:

- A posiadałeś kiedyś dziesięć tysięcy dolarów w monecie obiegowej?

I dyrektor przypomniał sobie, że nigdy. To, co posiadał, zebrał stopniowo i przepisał na imię żony. Było to około czterdziestu tysięcy dolarów, ale dostanie je ona.

Zatopił się w myślach i znieruchomiał z ręką na klamce drzwiczek. Tak łatwo było je zamknąć i odsunąć raz na zawsze pokusę! Jednak... zwlekał. Wreszcie podszedł do okna i opuścił żaluzje. Spróbował drzwi, które uprzednio zamknął. Dlaczego teraz raptem stał się

podejrzliwy? Dlaczego chodziło mu o zachowanie tych wszystkich ostrożności? Podszedł do kontuaru, oparł się rękami i zamyślił. Potem otworzył drzwi do swego małego gabinetu i zapalił światło. Otworzył również biurko i usiadł przy nim, żeby pogрузić się w swoich dziwacznych myślach.

- Sejf jest otwarty - mówił głos. - Sprężyna nie zaskoczyła.

Dyrektor utonął w wirze myśli. Nagle powróciły wszystkie troski, wszystkie zmartwienia dnia. A wraz z nimi myśl, że tu jest ratunek. Pieniądze te ułatwiłyby wszystko. Gdyby miał te pieniądze i Carrie! Podniósł się i stał jak skamieniały, patrząc w podłogę.

- Więc cóż? - pytał siebie w myśli. W odpowiedzi podniósł rękę i potarł głowę.

Dyrektor nie był głupcem, który bałby się uwieść tego rodzaju pokusie, ale położenie jego było co najmniej szczególne. Miał wino w żyłach. Wino uderzyło mu do głowy i nadało sytuacji specjalną barwę. Zabarwiło również możliwości zawarte w dziesięciu tysiącach dolarów. Mógłby mieć Carrie. O, tak, mógłby mieć Carrie! Mógłby uwolnić się od żony. Ta ostatnia czekała na jego odpowiedź do jutra. Mógłby nie dawać tej odpowiedzi. Poszedł do sejfu i dotknął ręką zamka. Potem otworzył drzwiczki i wyciągnął szufladę z pieniędzmi.

Skoro raz wyciągnął szufladę, wydało mu się szaleństwem wsunąć ją z powrotem. Oczywistym szaleństwem. Ależ mógłby za to całe lata żyć z Carrie!

Boże! Cóż to takiego? Po raz pierwszy poczuł odrętwienie, jak gdyby czyjaś ciężka ręka spoczęła mu na ramieniu. Obejrzał się przerażony. Nigdzie żywej duszy. Znikąd szmeru. Ktoś przechodził boczną ulicą. Wziął kasetkę z pieniędzmi i włożył ją z powrotem do szuflady. Po czym na wpół przymknął drzwiczki sejfu.

Ludzie, którzy nie wiedzą, co to jest wahanie sumienia, nie pojmą nigdy człowieka mniej silnego duchem, który waha się między poczuciem obowiązku a pożądaniem. Chyba że im się to wahanie graficznie przedstawi. Ludzie, którzy nigdy nie słyszeli uroczystego głosu upiornego zegara, wydzwaniającego ze straszliwą wyrazistością „zrób!”, „nie rób!”, „zrób!”, „nie rób!”, nie mogą być sędziami. Nie tylko wrażliwe, wyższe natury podlegają konfliktom moralnym. Najtęższy okaz rodzaju ludzkiego, gdy kusi go zło, hamowany jest przez poczucie słuszności, pozostające w stosunku wprost proporcjonalnym do potęgi i siły jego złych skłonności. Pamiętać musimy, że nie jest to świadomość dobra, gdyż świadomość dobra nie opiera się na instynktownej odrazie zwierzęcia do zła. Ludzie kierują się instynktem, zanim zaczną nimi kierować rozum. To instynkt powstrzymuje zbrodniarza... to

instynkt (gdzie brak wysoko zorganizowanego rozumu) budzi w złoczyńcy poczucie niebezpieczeństwa i lęk przed złem.

I dlatego przy każdej pierwszej przygodzie, przed każdym nie spełnionym dotychczas złem człowiek się waha. Zegar myśli wybija swoje pragnienia i swoje przestrogi. Dla tych, którym obcy jest ów duchowy dylemat, to, co mówię, wydaje się może rewelacją.

Z chwilą gdy Hurstwood odłożył z powrotem pieniądze, wróciła mu odwaga i zuchowałość. Nikt go nie widział. Był zupełnie sam. Nikt nie mógłby powiedzieć, co zamierza. Mógł rozstrzygnąć tę sprawę sam ze sobą.

Trunek nie przestał jeszcze działać. Chociaż na czoło wystąpiły krople potu, chociaż ręce mu drżały z nieokreślonego lęku, podniecony był oparami alkoholu. Prawie nie zauważył, że czas upływa. Jeszcze raz przebiegł w myśli swoją sytuację, oczy jego nie przestawały widzieć pieniędzy, mózg jego nie przestawał widzieć, czego przy ich pomocy mógłby dokonać. Pobiegł do swego małego gabinetu, potem do drzwi, z powrotem do sejfu. Położył rękę na zamku. Otworzył. Oto leżą pieniądze! Przecież nic złego nie może wyniknąć z tego, że na nie patrzy!

Wyciągnął znowu szuflady i wyjął paczki banknotów. Były takie miękkie, lekkie, łatwe do schowania. Tak niewiele miejsca zajmują mimo wszystko! Postanowił, że je zabierze. Wsadzi do kieszeni. Spojrzał na banknoty i przekonał się, że się w kieszeni nie pomieszczą. Teka! Oczywiście! Teka! Zmieszczą się w tece, zmieszczą się z łatwością. Nikt się niczego nie domyśli. Wszedł do swego gabinetu i wziął tekę ze stolika w rogu pokoju. Położył tekę na biurku i podszedł do sejfu. Dla tej czy innej przyczyny nie chciał tego robić w dużym pokoju.

Najpierw przyniósł banknoty, a potem zawartość dziennej kasy. Weźmie wszystko. Wsadził puste szuflady i przymknął żelazne drzwiczki. Zamyślił się.

Wahanie w takiej chwili jest rzeczą wprost niepojętą, a jednak absolutnie prawdziwą! Hurstwood nie mógł się zdobyć na czyn decydujący. Chciał się jeszcze zastanowić... obmyślić to sobie... zdecydować, jak będzie najlepiej. Czuł tak przemożne pożądanie Carrie, własne jego sprawy wydawały mu się tak zagmatwane, a jednak wahał się. Nie umiałby powiedzieć, jakie zło pociągnęłoby to za sobą, jak prędko okazałyby się skutki zła. Ani razu też nie zastanowił się nad etyczną stroną swojej sytuacji, nie zastanowił się, bo zastanowić się nie mógł.

Włożywszy wszystkie pieniądze do teki wzdrygnął się nagle. Nie robi tego - nie! Pomyśleć tylko, jaki to może wywołać skandal! Policja! Roześlę za nim listy gończe... Będzie musiał uciekać - dokąd?! Wyciągnął obie kasetki i wysypał pieniądze z powrotem. W podnieceniu zapomniał, co robi, i włożył pieniądze w nieodpowiednie przegródki. Miał już zatrzaskać drzwiczki, gdy uświadomił sobie swój błąd i na nowo je otworzył. Pomieszał zawartość obu kasetek.

Wyjął kasetki i naprawił błąd. Ale już się nie bał. Czego miałby się bać?

Gdy trzymał w ręku pieniądze, zamek szcęknął. Zatrzaskał się! Czy on to zrobił? Schwycił zamek, szarpnął, pociągnął kilkakrotnie. Zamknięty! Boże! Teraz już po nim. To pewne.

Gdy uświadomił sobie, że sejf jest rzeczywiście zamknięty, pot wystąpił mu na czoło. Zadrżał od stóp do głowy. Obejrzał się i zdecydował natychmiast. Nie ma co odkładać.

- Powiedzmy, że położę pieniądze - myślał - i wyjdę. Domyślą się, kto to zrobił. Ja ostatni wychodzę z lokalu. Zresztą i inne jeszcze rzeczy...

Natychmiast stał się człowiekiem czynu.

- Muszę z tego wybrnąć!

Pobiegł do swego małego gabinetu, narzucił płaszcz, zatrzaskał biurko i schwycił teczkę. Potem zgasił wszystkie lampy z wyjątkiem jednej i otworzył drzwi. Próbował przybrać zwykłą, pewną siebie minę, ale daremnie. Oddychał z trudem.

- Żałuję, że to zrobiłem - myślał. - To był błąd...

Szedł szybko wzdłuż ulicy. Po drodze spotkał znajomego stróża nocnego, który sprawdzał zamki u drzwi. Musi wyjechać z miasta... i to zaraz.

- Ciekaw jestem, jak odchodzą pociągi?

Wyjął zegarek i spojrzął na godzinę. Dochodziła wpół do pierwszej.

Zatrzymał się przy pierwszej aptece, wiedząc, że jest w niej telefon międzymiastowy. Była to wspaniała apteka i posiadała jedną z pierwszych naówczas prywatnych centrali telefonicznych.

- Chciałbym skorzystać z telefonu - powiedział do dyżurnego urzędnika.

Tamten skinął.

- Proszę 16-43 - zażądał centrali spojrzawszy poprzednio, jaki numer ma centrala dworca Michigan. Kazał zawołać agenta od biletów.

- Jak odchodzą pociągi do Detroit? Urzędnik podał rozkład.
- Dzisiaj nie ma już pociągu?
- Z wagonem sypialnym - nie. Owszem, jest! - dodał. - Pociąg pocztowy o trzeciej.
- Doskonale! - ucieszył się Hurstwood. - Kiedy przychodzi do Detroit?

Myślał, że jeżeli uda mu się dojechać do Detroit i w porę przeprowić się przez rzekę do Kanady, będzie mógł dostać się bezpiecznie do Montrealu. Doznał ulgi na wiadomość, że stanie tam w południe.

- Mayhew nie otworzy sejfu przed godziną dziewiątą - myślał. - Wpadną na mój trop najwcześniej koło południa.

Po czym myślał o Carrie. Musi jak najprędzej dostać Carrie, jeżeli w ogóle ma ją dostać! Musi z nim jechać. Wskoczył w pierwszą dorożkę.

- Plac Ogden! - zawołał gwałtownie. - Dam dolara na piwo, jeżeli się pospieszycie!

Dorożkarz zmusił konia do czegoś, co miało być galopem, a było w każdym razie - pośpiechem. Po drodze Hurstwood obmyślił plan działania. Gdy dorożka zatrzymała się pod wskazanym numerem, wbiegł na schodki i nie szczędził dzwonka dla obudzenia służącej.

- Pani Drouet w domu? - zapytał.

- Tak - odrzekła zdumiona pokojówka.

- Proszę powiedzieć, żeby się ubrała i zeszła natychmiast. Mąż pani Drouet leży w szpitalu, ranny. Chce ją widzieć.

Pokojówka pobiegła na górę, przejęta poważnym i niezwykłym wyrazem twarzy Hurstwooda.

- Co się stało? - zawołała Carrie, zapalając gaz i szukając szlafroka.

- Pan Drouet jest ranny. W szpitalu. Chce panią widzieć. Dorożka czeka przed drzwiami.

Carrie ubrała się pospiesznie i zbiegła na dół, narzuciwszy na siebie tylko niezbędne rzeczy.

- Drouet jest ranny - szybko mówił Hurstwood. - Chce panią widzieć! Spieszmy się!

Carrie była tak zdumiona, że gładko przełknęła tę całą bajkę.

- Niech pani wsiada! - wołał Hurstwood, pomagając Carrie i sam wsiadając.

Dorożkarz zaciął konia.

- Dworzec Michigan! - powiedział Hurstwood wstając i mówiąc tak cicho, że Carrie

nie mogła go dosłyszeć. - Jak możesz najszybciej!

Rozdział XXVIII

PIELGRZYM-WYGNANIEC: DUSZA W NIEWOLI

Dorożka nie minęła jeszcze kilku domów, gdy Carrie, którą powietrze nocne zupełnie już rozbudziło, zapytała:

- Co mu się stało? Ciężko ranny?

- Nic poważnego - uroczyście zapewnił Hurstwood. Był wielce zaniepokojony własną sytuacją i teraz, mając przy sobie Carrie, marzył o jednym: uciec przed ręką prawa. To znaczy nie był w usposobieniu mówienia czegokolwiek poza słowami, które mogłyby urzeczywistnić jego plan.

Carrie nie zapomniała, że coś zostało nie załatwione między nią a Hurstwoodem, ale myśl ta utonęła w jej obecnym wzruszeniu.

- Gdzież on jest?

- Daleko, w dzielnicy Południowej - powiedział Hurstwood. - Będziemy musieli jechać koleją. Tak będzie najprędzej.

Carrie nie odpowiedziała słowa. Koń poczłapał dalej. Uwagę jej przykuwał widok miasta w nocy. Patrzyła na długie szeregi latarni i wpatrywała się w ciemne, milczące domy.

- Jak się to stało? - zapytała, chcąc się dowiedzieć, gdzie jest ranny. Hurstwood rozumiał. Nie lubił kłamać bez potrzeby, ale chciał uniknąć protestów, zanim nie wydobiją się poza granice niebezpieczeństwa.

- Nie wiem dokładnie - rzekł. - Zawiadomili mnie i prosili, żebym sprowadził panią. Podobno nic groźnego, ale pomyślałem sobie, że może lepiej sprowadzić panią.

Poważny wyraz twarzy Hurstwooda przekonał Carrie. Umilkła rozważając.

Hurstwood spojrział na zegarek, zachęcając woźnicę do pośpiechu. Jak na człowieka w tak szczególnym położeniu, był wyjątkowo opanowany. Mógł myśleć jedynie o tym, jak ważną jest rzeczą złapać pociąg i wyjechać spokojnie. Carrie wydawała się łatwa - czego sobie szczerze wieszował.

Wkrótce dojechali do dworca. Podawszy rękę Carrie, wręczył dorożkarzowi banknot pięciodolarowy i pobiegł po bilety.

- Proszę poczekać tutaj - powiedział, gdy weszli do poczekalni. - A ja kupię bilety.

- Zdamę na pociąg do Detroit? - zapytał urzędnika.

- Ma pan cztery minuty.

Zapłacił za dwa bilety, jak mógł najprędzej.

- To daleko? - zapytała Carrie, gdy Hurstwood wrócił.

- Nie bardzo... Wsiadajmy!

Przepuścił ją pierwszą, stanął między nią a portierem, gdy ten przecinał bilety, żeby czasami nie dojrzała, dokąd jadą, po czym pobiegł do pociągu.

Na stacji stały długie szeregi pociągów pospiesznych i pasażerskich oraz kilka podmiejskich. Ponieważ pociąg ten wprowadzono niedawno i nie spodziewano się wielu pasażerów, na peronie kręcił się jeden czy dwóch konduktorów. Wsiadli do ostatniego wagonu i zajęli miejsca. Prawie zaraz rozległo się „Wsiadać!” i pociąg ruszył.

Carrie dopiero teraz przyszło do głowy, że jednak jest to trochę dziwne, ten wyjazd z centralnego dworca, ale nic nie mówiła. Całe zdarzenie było tak niezwykle, że nie przykładała wagi do tego, co przychodziło jej do głowy.

- Co się z panią działo? - zapytał Hurstwood troskliwie, gdyż zaczął oddychać swobodniej.

- Dziękuję. Dobrze - powiedziała Carrie. Wzruszenie przeszkadzało jej traktować Hurstwooda, jak na to zasłużył. Pragnęła nerwowo dojechać, zobaczyć już raz Charliego i dowiedzieć się, co się stało. Hurstwood przyglądał się Carrie. Czuł, co się z nią dzieje. Nie martwiło go to. Nie niepokoił się, że okazuje tyle życzliwości Drouetowi. Była to jedna z właściwości Carrie i podobała mu się ogromnie. Myślał natomiast, w jaki sposób się przed nią wytłumaczy. Ale i to nie było największą troską. To, co uczynił, i obecna ucieczka - le-gły na nim jak wielkie, ciężkie cienie.

- Co za głupiec ze mnie! Po co to zrobiłem! - powtarzał w duchu. - To błąd nie do darowania!

Zatopiony w ponurych myślach prawie nie wierzył, że rzeczywiście to zrobił. Nie mógł uwierzyć, że ucieka przed prawem. Czytał nieraz o takich rzeczach i myślał, że to musi być straszne, ale teraz, gdy to zawisło nad nim, mógł tylko siedzieć i patrzeć w przy-

szość. Przyszłość związana była z Koleją Kanadyjską. Pragnął dojechać do niej. Poza tym rozważał czyny popełnione tego wieczoru, uważając, że były wielkim, niepowetowanym błędem.

- Cóż innego miałem zrobić? - pocieszał się.

Potem postanowił wykorzystać to jak najlepiej dla siebie i od początku wracał do rozważania owej kwestii. Był to bezowocny, męczący trud, istne błędne koło i stawiał go w obliczu zagadnień związanych z obecnością Carrie.

Pociąg z turkotem biegł po szynach wzdłuż jeziora, potem zwolnił biegu, wjeżdżając na ulicę Dwudziestą Czwartą. Przez okna widać było sygnaly i semafony. Lokomotywa dawała krótkie gwizdki ostrzegawcze, czasami dzwoniły dzwonki. Przeszło kilku konduktorów z latarniami. Zamykali drzwiczki i przygotowywali pociąg do dalekiej podróży.

Nagle szybkość pociągu zaczęła wzrastać. Carrie patrzyła na milczące ulice migające w pośpiechu za oknami. Lokomotywa wydawała przeciągły gwizdek „rozstajnych dróg”, którym ostrzegała przed niebezpieczeństwem przejazdów.

- Czy to bardzo daleko? - zapytała Carrie.

- Nie bardzo - rzekł Hurstwood. Z trudem powstrzymywał uśmiech nad jej naiwnością. Pragnął wytłumaczyć się przed Carrie i ułagodzić ją, ale przede wszystkim pragnął wydostać się poza granice Chicago.

Po pół godziny Carrie zorientowała się, że jednak za długo trwa droga. Dokąd on ją wiezie? Mniejsza o to, dokąd.

- Więc to nie w Chicago? - zapytała nerwowo. Byli daleko poza granicami miasta. Pociąg mknął z wielką szybkością wzdłuż linii Indiana.

- Tam, dokąd my jedziemy? Nie.

Było coś w tonie jego głosu, co zbudziło podejrzliwość Carrie.

Jej piękne brwi zbiegły się.

- Przecież jedziemy do Charliego, prawda? - zapytała. Czuł, że chwila nadeszła. Trzeba wyjaśnić później czy wcześniej. A więc pokiwał głową w sposób uprzejmie przeczący.

- Co?! - rzekła Carrie. Była zaskoczona myślą, że odbywa podróż w innym celu, niż przypuszczała.

Patrzył na nią błagalnie i tkliwie.

- Więc dokąd mnie pan wiezie? - zapytała.

W głosie jej dzwięczał strach.

- Powiem ci, Carrie, jeżeli obiecasz, że się uspokoisz. Pragnąłem, żebyś pojechała ze mną do innego miasta...

- O! - rzekła Carrie. Głos jej natężył się prawie do krzyku. - Proszę mnie puścić! Nie chcę! Nie pojedę z panem!

Była zaskoczona zuchwalstwem tego człowieka. Coś podobnego nigdy nie przyszło jej do głowy. Jediną jej myślą było uwolnić się od niego, uciec. Gdyby tylko można było zatrzymać pędzący pociąg, położyłaby kres temu podstępemu porwaniu.

Wstała postanawiając wyjść na korytarz, byle gdzie! Wiedziała, że musi coś zrobić. Hurstwood delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

- Siedź spokojnie, Carrie! Siedź spokojnie! - rzekł. - I po cóż miałabyś odchodzić stąd. Wysłuchaj mnie. Pozwól mi się wytłumaczyć. Poczekaj chwilkę.

Chciała się przesunąć przed nim, ale trzymał ją mocno. Nikt nie widział tej sprzeczki: w wagonie było niewielu pasażerów i ci drzemali.

- Nie chcę! - zawołała Carrie, ustępując jednak wbrew swojej woli. - Puść mnie pan! - mówiła. - Jak pan śmie? - łzy zabłyśły w jej oczach.

Hurstwood rozumiał całe niebezpieczeństwo sprzeczki z Carrie i na chwilę zapomniał o swoim położeniu. Musi coś zrobić z tą dziewczyną, inaczej drogo go to może kosztować. Próbował, jak mógł, tłumaczyć, wkładając w to całą siłę swojej argumentacji.

- Słuchaj, Carrie! - mówił. - Nie powinnaś postępować w ten sposób! Nie chciałem cię urazić. Nie chciałbym zrobić ci najmniejszej przykrości...

- O! - łkała Carrie. - Oooo! Oooo!

- Nie płacz, Carrie, nie płacz! - łagodził. - Nie chcesz mnie wysłuchać? Wysłuchaj mnie minutkę... wytłumaczę ci, dlaczego to zrobiłem. Nie mogłem inaczej. Zapewniam cię, że nie mogłem... Nie chcesz słuchać?

Płacz Carrie denerwował go. Był przekonany, że nie słyszy ani słowa z tego, co do niej mówi.

- Nie chcesz mnie wysłuchać?

- Nie, nie chcę! - wybuchnęła Carrie. - Chcę, żeby mnie pan uwolnił od siebie, albo zawołałam konduktora! Nie chcę nigdzie z panem jechać. Co za ohyda! - i na nowo wybuchnęła płaczem.

Hurstwood słuchał tego z pewnym zdziwieniem. Czuł, że ma powody reagować tak, jak reaguje teraz, a jednocześnie pragnął jak najszybciej wyświecić sprawę. Lada chwila konduktor wejdzie po bilety. Chciał uniknąć wszelkiego zamieszania, przykrości. Przede wszystkim musi ją uspokoić.

- Nie możesz wysiąść, zanim pociąg nie stanie - rzekł Hurstwood. - Niedługo dojeździemy do następnej stacji. Wtedy będziesz mogła wysiąść, jeżeli zechcesz. Nie będę cię zatrzymywał. Chcę jednego: żebyś wysłuchała, co ci mam do powiedzenia. Pozwolisz, że powiem, prawda?

Carrie zdawała się nie słuchać. Odwróciła twarz do okna, za którym świat tonął w ciemnościach. Pociąg pędził ze wzrastającą szybkością przez nagie pola i połacie lasu. Lokomotywa wydawała długie, monotonne gwizdki, gdy zbliżała się do przejazdów.

Do wagonu wszedł konduktor. Odebrał jeden czy dwa bilety od nielicznych pasażerów, którzy wsiedli w Chicago. Zbliżył się do Hurstwooda, który pokazał bilety, Carrie pomimo swego gniewu i chęci działania nie ruszyła się. Nie obejrzała się nawet.

Po odejściu konduktora Hurstwood odetchnął z ulgą.

- Gniewasz się na mnie, ponieważ cię oszukałem - rzekł. - Nie chciałem cię oszukać, Carrie. Jak mi życie miłe. Ale nie mogłem inaczej. Nie mogłem żyć bez ciebie, odkąd cię po raz pierwszy ujrzałem.

Pomijał swój ostatni podstęp jako rzecz niegodną uwagi. Pragnął przekonać Carrie, że jego żona nie stoi już dłużej na przeszkodzie ich związkowi. Starał się wygnać z pamięci fakt ukradzenia pieniędzy.

- Proszę do mnie nie mówić! - zawołała Carrie. - Nienawidzę pana. Proszę mnie zostawić w spokoju. Wsiadam na następnej stacji.

Drżała z gniewu i oburzenia mówiąc to.

- Dobrze - rzekł. - Ale przedtem mnie wysłuchasz, prawda? Po tym wszystkim, coś mi mówiła, jak mnie kochasz, musisz mnie wysłuchać. Nie chcę twojej krzywdy. Dam ci pieniądze na powrót. Chcę jednak, żebyś mnie wysłuchała, Carrie. Nie możesz mi zabronić kochać ciebie... choćbyś nie wiem co mówiła!

Spojrzał tkliwie, ale nie otrzymał odpowiedzi.

- Sądzisz, że oszukałem cię paskudnie... ale to nie jest tak, jak myślisz, Carrie! Nie zrobiłem tego umyślnie. Między mną i żoną wszystko skończone. Nie ma do mnie żadnych

praw. Nigdy w życiu już jej nie zobaczę - oto dlaczego jestem tutaj dzisiaj. Oto dlaczego przyjechałem i zabrałem ciebie.

- Pan mówił, że Charlie jest ranny - gniewnie mówiła Carrie. - Pan mnie oszukał. Pan oszukiwał mnie ciągle, przez cały czas, a teraz pan chce mnie zmusić, żebym z nim uciekła.

Była tak podniecona, że znowu próbowała wstać i przejść obok niego. Nie zatrzymał jej. Usiadła na innej ławce. Zajął miejsce obok niej.

- Nie uciekaj ode mnie, Carrie! - powiedział łagodnie. - Pozwól, niech ci wytłumaczę. Jeżeli zechcesz mnie wysłuchać, zrozumiesz wszystko. Mówię ci: żona przestała istnieć dla mnie. Nie istniała dla mnie od wielu lat... inaczej czyżbym się zbliżył do ciebie? Otrzymam rozwód w najbliższym czasie. Nie zobaczę jej już nigdy. Skończyłem z nią na zawsze. Jesteś jedyną osobą, której pragnę. Jeżeli będę miał ciebie, nie spojrzę na inną kobietę.

Carrie słuchała tego z rozmaitym uczuciem. Brzmiało to szczerze, wbrew wszystkiemu, co zrobił. W głosie i gestach Hurstwooda było owo napięcie, które musi wywierać wrażenie. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Był żonaty, oszukał ją już raz, teraz oszukał ją znowu, uważała go za strasznego człowieka. A jednak jest w takim zuchwalstwie coś, co fascynuje kobietę, zwłaszcza jeżeli daje się jej odczuć, że ona jest tego przyczyną.

Pęd pociągu przyczynił się niemal do rozwiązania tej trudnej sytuacji. Szybki obrót kół i uciekający krajobraz pozostawiały za sobą Chicago. Carrie czuła, że przebyła już wielką przestrzeń, że lokomotywa pędzi w kierunku jakiegoś odległego miasta. Chwilami czuła potrzebę krzyknąć i narobić hałasu, żeby ktokolwiek przyszedł jej na pomoc, lecz zaraz potem wydało się jej to zupełnie bezcelowe - tak daleka jest od wszelkiej pomocy bez względu na to, co czyni. Przez cały ten czas Hurstwood przemawiał do niej łagodnym tonem, starając się wzbudzić w niej życzliwość i sympatię.

- Znalazłem się w położeniu, z którego nie było wyjścia. Carrie nie raczyła dać po sobie poznać, że słucha. - Kiedy się przekonałem, że cię nie zdobędę nie ożeniwszy się z tobą, postanowiłem spalić za sobą mosty i skłonić cię, żebyś poszła za mną. Jadę do innego miasta. Czas jakiś myślałem zabawić w Montrealu, a potem pojedziemy, dokąd zechcesz. Pojedziemy mieszkać do Nowego Jorku, jeżeli zechcesz.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z panem - mówiła Carrie. - Chcę wysiąść z tego pociągu. Dokąd my jedziemy?

- Do Detroit.

- O! - wyrwało się Carrie z rozpaczą. Tak odległy cel podróży zdawał się piętrzyć i bez tego wielkie trudności.

- Nie chcesz jechać ze mną? - zapytał, jak gdyby zachodziła poważna obawa, że jednak rzeczywiście nie zechce. - Przecież niczego od ciebie nie wymagam... tylko żebyś pojechała ze mną. Nie będę ci się naprzykrzał. Możesz zwiedzić Montreal i Nowy Jork, a potem, jeżeli nie zechcesz ze mną zostać... wrócisz. To będzie lepiej, niż upierać się i wracać dzisiaj.

W tej propozycji ujrzała Carrie pierwszy błysk możliwości dla siebie. Ostatecznie wcale przyjemny plan, chociaż bała się sprzeciwu, na wypadek gdyby zażądała ścisłego jego wykonania. Montreal i Nowy Jork! Nawet teraz pędzi ku owym wielkim, nieznanym krajom i będzie mogła zobaczyć... jeżeli zechce. Namyslała się, ale nie dawała tego po sobie poznać.

Hurstwood przyjął to za ustępstwo z jej strony. Ponowił nalegania.

- Pomyśl - rzekł - czego się wyrzekasz. Nie mogę już powrócić do Chicago. Jeżeli nie zechcesz pozostać przy mnie, będę musiał żyć sam, zupełnie sam. Przecież nie chcesz na zawsze odejść ode mnie, Carrie, prawda?

- Nie chcę, żeby pan mówił do mnie - zmusiła się do odpowiedzi.

Hurstwood milczał przez chwilę.

Carrie czuła, że pociąg zwalnia biegu. Oto chwila czynu, jeżeli ma się nań zdobyć. Poruszyła się niezdecydowana.

- Nie myśl o odejściu, Carrie - mówił. - Jeżeli kiedykolwiek byłem czymś dla ciebie, jedź ze mną... Niech się sprawy same przez się ułożą. Zrobię, co każesz. Ożenię się z tobą albo ułatwię ci powrót. Daj sobie czas na przemyślenie tego wszystkiego. Nie żądałbym przecież, żebyś ze mną jechała, gdybym cię nie kochał! Mówię przed Bogiem, Carrie, nie mogę żyć bez ciebie! Nie chcę!

Była w głosie tego człowieka stanowczość i siła, co wywarło na Carrie głębokie wrażenie. Jakiś wewnętrzny ogień zmuszał go do tego, co czynił. Nazbyt ją kochał, by móc myśleć o wyrzeczeniu się jej teraz, w godzinie klęski. Chwycił nerwowo jej rękę i uściśnął mocno.

Pociąg zwolnił biegu. Mijał rzędy wagonów na bocznicach. Na zewnątrz świat był ciemny i posępny. Smugi wody na szybach wskazywały, że pada deszcz. Carrie była w roz-

terce, wahając się między decyzją a bezradnością. Pociąg przystanął, a ona słuchała jego próśb. Lokomotywa cofnęła się. Cisza.

Carrie wahała się, nie będąc w stanie zrobić żadnego gestu. Minuta za minutą uciekały, a ona wciąż nie mogła się zdecydować, on zaś nie przestawał błagać.

- Pozwoli mi pan wrócić, kiedy zechcę? - zapytała, jak gdyby teraz ona miała nad swoim towarzyszem przewagę i mogła mu dyktować swoje warunki.

- Oczywiście! - rzekł. - Przecież wiesz o tym.

Carrie słuchała jak ktoś, kto godzi się na czasową amnestię. Zaczynała odczuwać, że trzyma ster sprawy w swoich rękach.

Pociąg znowu pędził całą parą. Hurstwood zmienił temat rozmowy.

- Jesteś zmęczona?

- Nie - odrzekła.

- Pozwól, że wezmę dla ciebie miejsce w sleepingu.

Potrząsnęła głową. Pomimo całej swojej rozpacz i jego oczywistego oszustwa zauważyła to, co zawsze w nim widziała: był taki troskliwy w stosunku do niej.

- Byłoby ci o tyle wygodniej... zgódź się!

Potrząsnęła głową.

- Więc pozwól, że ci podłożę płaszcz pod głowę - wstał i ułożył swoją letnią zarzutkę w taki sposób, żeby mogła złożyć na niej głowę. - Spróbuj - powiedział tkliwie - czy nie mogłabyś zasnąć na chwilę. - Gotów był ją uściskać za to ustępstwo. Po czym zajął miejsce obok niej i pogрузzył się w myślach.

Fakt, że udało mu się poniekąd ułagodzić Carrie, był rzeczą wielce pocieszającą dla niego, ale była to ulga tylko chwilowa. Teraz, gdy zdołał przełamać jej upór, mógł swobodnie oddać się rozmyślaniom nad popełnionym przez siebie błędem.

Był rzeczywiście w strasznym położeniu, nie pożył nigdy pieniędzy, które ukradł. Nie chciał być złodziejem. Ta suma, jak w ogóle żadna suma, nie mogła być rekompensatą za stracone stanowisko. Nie mogła mu zastąpić przyjaciół, szacunku, nazwiska, rodziny ani Carrie - takiej, jaką pragnął ją mieć. Był raz na zawsze odcięty od Chicago - od swojej łatwej, przyjemnej posady. Obrabował siebie z godności, z przyjemnych wieczorów, z miłych spotkań. I po co? Im więcej nad tym myślał, tym mu się to wydawało dziwniejsze, bardziej nieznośne. Zaczął się zastanawiać nad sposobami naprawienia zła. Zwróci te nie-

szczęsne pieniądze i wytłumaczy wszystko. Może Moy zrozumie. Może mu przebaczą i pozwolą zostać.

Okolo południa pociąg stanął w Detroit. Zdenerwowanie Hurstwooda rosło. Policja musi już być na jego tropie. Prawdopodobnie uprzedzili policję we wszystkich większych miastach, detektywi śledzą go na każdym kroku. Przypomniał sobie okoliczności, w jakich chwymano defraudantów. Oddychał z trudem. Zbladł. Ręce jego czuły potrzebę wykonywania jakichś ruchów. Wbrew prawdzie udawał zainteresowanie rozmaitymi rzeczami. Nieustannie uderzał obcasami o podłogę.

Carrie zauważyła jego podniecenie, nie odezwała się jednak słowem. Nie domyślała się, co to wszystko znaczy, ani że jest w tym coś ważnego.

Nie mógł sobie darować, że nie rozpytał się w Chicago, czy pociąg idzie przez Montreal do którejś ze stacji kanadyjskich.

Może zyskałby w ten sposób na czasie. Zerwał się i poszedł szukać konduktora.

- Czy żadna część tego pociągu nie idzie do Montrealu? - zapytał.

- Owszem. Ostatni wagon sypialny.

Zapytałby o więcej rzeczy, ale to nie wydawało mu się rozsądne, przeto postanowił zebrać resztę informacji na dworcu. Pociąg z turkotem i chrzęstem zajechał na stację.

- Sądzę, że najlepiej będzie jechać wprost do Montrealu - powiedział do Carrie. - Zobaczę, jakie mamy połączenia.

Był niesłychanie zdenerwowany, robił jednak wszystko, co mógł, żeby zachować spokój. Carrie patrzyła na Hurstwooda wielkimi, przerażonymi oczami. Męczyła się duchowo, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Pociąg zatrzymał się. Hurstwood torował drogę do wyjścia. Oglądał się trwożnie, udając, że szuka Carrie. Nie widząc nic podejrzanego podszedł do kasy biletowej.

- Kiedy odchodzi następny pociąg do Montrealu? - zapytał.

- Za dwadzieścia minut.

Kupił dwa bilety i miejsca w wagonie pulmanowskim. Po czym pospieszył do Carrie.

- Jedziemy dalej - rzekł prawie nie widząc, że Carrie ma wygląd zmęczonej i znużonej.

- Chciałabym, żeby się to wszystko nie było stało! - zawołała z rozpaczą.

- Poczujesz się lepiej w Montrealu - powiedział.

- Nie mam przy sobie nic, nic! - utyskiwała. - Nawet czystej chustki!

- Będiesz mogła kupić sobie wszystko zaraz po przyjeździe, najdroższa - zawołał. - Pójdiesz do krawcowej...

Wywoływacz oznajmił, że pociąg podstawiono i czas wsiadać. Hurstwood odetchnął z ulgą, gdy usłyszał turkot kół. Wkrótce znaleźli się nad brzegiem rzeki i przepawili na drugą stronę. Gdy poczuł, że pociąg wjeżdża na prom, rzucił się w tył i odetchnął z ulgą.

- Już niedługo! - powiedział przypomniawszy sobie jej obecność w chwili, gdy poczuł się bezpieczniejszy. - Przyjedziemy na miejsce wczesnym rankiem.

Carrie zaledwie raczyła odpowiedzieć.

- Zobaczę, czy jest wagon restauracyjny - powiedział. - Jestem głodny.

Rozdział XXIX

POCIECHA PODRÓŻY: ZEW OKRĘTÓW Z MORZA

Dla człowieka, który mało w życiu podróżował, kraj różny od jego rodzinnego podwórka jest niezmiernie fascynujący. Jest to jedyna rzecz prócz miłości, która może być pociechą i rozkoszą. Rzeczy nowe zbyt są ważne, by je lekceważyć. I umysł, który jest jedynie odbiciem wrażeń zmysłowych, odrzuca precz smutki, odwraca głowę od śmierci. Cały świat nagromadzonych uczuć mieści się w dramatycznym słowie: „Odchodzę!”

Patrząc na uciekający krajobraz, Carrie prawie zapomniała, że podstępem zmuszono ją do tej długiej podróży, wbrew jej woli i że nie posiada najpotrzebniejszych rzeczy. Zapomniała nawet chwilowo o obecności Hurstwooda i patrzyła na ładne domy farmerskie i zaciszne dworki zdziwionymi oczyma. Był to dla niej świat interesujący. Życie jej zaczęło się znowu. Nie czuła się wcale oszukana. I nie oddawała się również nadziejom. Wielkie miasto to jednak dużo. Może wyrwie się z więzów na swobodę - kto wie? Może będzie szczęśliwa? Te i tym podobne myśli wyniosły ją ponad poziom dociekań. Była uratowana, ponieważ ufała.

Nazajutrz pociąg szczęśliwie dotarł do Montrealu. Wysiedli. Hurstwood - zadowolony, że jest bezpieczny, Carrie - dziwiąc się nowej atmosferze północnego miasta. Hurstwood

był tu kiedyś dawno i teraz przypomniał sobie nazwę hotelu, w którym się zatrzymywał. Gdy wychodził głównym wyjściem ze stacji, słyszał, jak boy wywołuje ten właśnie hotel.

- Pojedziemy tam wprost i weźmiemy pokoje - powiedział do Carrie.

W biurze meldunkowym hotelu Hurstwood zaczął przeglądać spis gości. Zastanawiał się, jakie nazwisko wpisać. Mając przed sobą rejestr, nie mógł tracić czasu na namysły. Przyszło mu do głowy nazwisko, które dojrzał jadąc ze stacji. Brzmiało dość dźwięcznie. Wprawną ręką wpisał: G. W. Murdock z żoną. Czyniąc to czuł, że robi największe ustępstwo na rzecz konieczności. Nie mógł jednak wyrzec się prawdziwych swoich inicjałów.

Gdy wprowadzono ich do przeznaczonego apartamentu, Carrie przekonała się, że zamówił dla niej prześliczny pokój.

- Masz łazienkę - powiedział - możesz się wykąpać po podróży.

Carrie podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Hurstwood przejrzał się w lustrze. Czuł się brudny, zakurzony. Nie miał ze sobą kufra ani bielizny na zmianę, ba, nawet szczotki do włosów.

- Zadzwoń o mydło i ręcznik - rzekł. - I przyślę ci szczotkę do włosów. Potem weź kąpiel i pójdziemy na śniadanie. Ja tymczasem się ogolę. Po śniadaniu pójdziesz kupić, co ci potrzeba z ubrania.

Uśmiechnął się pogodnie mówiąc to.

- Dobrze - rzekła Carrie.

Usiadła w bujającym fotelu, podczas gdy Hurstwood czekał na posługacza, który zastukał po chwili do drzwi.

- Mydło, ręczniki i dzbanek wody z lodem.

- Słucham pana.

- Teraz sobie pójdę - rzekł Hurstwood, zbliżając się do Carrie z wyciągniętymi rękami. Nie drgnęła.

- Bardzo się gniewasz? - rzekł tkliwie.

- Ach, nie! - odpowiedziała prawie obojętnie.

- Zupełnie o mnie nie dbasz?

Nie odpowiedziała, patrząc z uporem w okno.

- Nie myślisz, że potrafisz mnie pokochać... troszkę? - błagał, ujmując jej rękę, choć się przed tym broniła. - Powiedziałaś kiedyś, że tak...

- Dlaczego tak mnie oszukałeś? - zapytała wreszcie.

- Musiałem... - rzekł. - Za bardzo cię pożałowałem.

- Nie miałaś prawa mnie pożądać - powiedziała.

- Och, Carrie! - zawołał - przecież jestem przy tobie. Teraz już za późno. Nie zechcesz próbować polubić mnie trochę?

Zdawał się być zaabsorbowany jakąś myślą, gdy tak stał przy niej.

Przecząco pokiwała głową.

- Pozwól, że zaczniemy nowe życie od dzisiaj. Bądź moją żoną.

Carrie wstała jak gdyby w zamiarze odejścia, ale pochwycił jej rękę. Objął ją ramieniem. Nadaremnie próbowała się bronić. Tulił ją do siebie. W jednej chwili ogarnęło go przemożne pragnienie. Miłość jego zamieniła się w płomień.

- Proszę pozwolić mi odejść! - rzekła Carrie, podczas gdy on trzymał ją mocno.

- Nie chcesz mnie pokochać? - pytał. - Nie chcesz być moją żoną, teraz?

Carrie nigdy nie była usposobiona dlań nieżyczliwie. Przed chwilą jeszcze słuchała jego słów z pewną powolnością, pamiętna na swoją dawną miłość do niego. Był taki przystojny, taki zuchwały!

Ale to uczucie zamieniło się w opór, aczkolwiek niezbyt silny. Na chwilę wzięło nad nią górę, lecz gdy znalazła się w objęciach Hurstwooda, zaczęła ustępować. Coś nowego w niej przemówiło. Mężczyzna, który przyciskał ją do piersi, był silny, pożałował jej, kochał ją, a ona była taka samotna. Jeżeli nie przyjmie go dla jego miłości, co się z nią stanie? Opór Carrie zelżał w ogniu jego miłości.

Uniósł jej głowę i spojrzał głęboko w oczy. Było coś magnetycznego w jego spojrzeniu. Coś, czego nigdy nie potrafiłaby określić. Na chwilę zapomniała o wszystkich jego grzechach.

Przytulił ją mocno i pocałował. Czowała bezskuteczność dalszego oporu.

- Ożenisz się ze mną? - zapytała, nie myśląc, w jaki by to się mogło stać sposób.

- Dziś jeszcze! - powiedział rozkochany.

Posługacz zastukał do drzwi. Z największym żalem wypuścił ją z objęć.

- Umyjesz się i przygotujesz do wyjścia, prawda? - zapytał.

- Dobrze - odpowiedziała.

- Wrócę za trzy kwadransy.

Carrie, zaczerwieniona i podniecona, odsunęła się od Hurstwooda. Hurstwood otworzył posługaczowi.

Znalazłszy się na dole Hurstwood zatrzymał się, szukając fryzjera. W danej chwili czuł się zupełnie szczęśliwy. Zwycięstwo odniesione nad Carrie wynagradzało mu poniekąd wszystko, co musiał wycierpieć w ostatnich czasach. Życie warto jest, aby o nie walczyć! Ta ucieczka od wszystkiego, co posiadał, z czym był związany, kryła jednak w sobie obietnicę szczęścia. Po burzy pokazała się tęcza... Kto wie, może za nią kryje się góra złota?

Właśnie mijał małe czerwono-białe drzwi, gdy odwołał go znajomy głos. Serce w nim zamarło.

- Jak się masz, George! - mówił ów głos. - Co tu robisz, stary?

Hurstwood stanął twarzą w twarz z niejakim panem Kenny, maklerem.

- Przyjechałem w interesach prywatnych - rzekł.

Mózg jego pracował gorączkowo jak klucz na rozdzielczej stacji telefonów. Ten człowiek najwyraźniej nie wie o niczym... Nie czytał gazet.

- Co za dziwne spotkanie! - cieszył się Kenny. - Mieszkasz w tym hotelu?

- Tak - niezręcznie rzekł Hurstwood, przypominając sobie nazwisko, jakim się wpisał do rejestru.

- Długo tu zabawisz?

- Dzień, najwyżej dwa.

- Taak? Już po śniadaniu?

- Już - gładko kłamał Hurstwood. - Idę się ogolić...

- Napijemy się czego?

- Chyba później - wymawiał się. - Zgłoszę się do ciebie! I ty tu zamieszkałeś?

- Tak - rzekł Kenny. Po czym zapytał: - Co nowego w Chicago?

- To, co zawsze! - wesoło uśmiechnął się Hurstwood.

- Jesteś tu z żoną?

- Nie.

- Musimy koniecznie spotkać się jeszcze dzisiaj. Właśnie idę na śniadanie... Przyjdź po ogoleniu się.

- Naturalnie! - rzekł Hurstwood odchodząc. Cała ta rozmowa była dlań męką. Każde słowo zdawało się komplikować sprawę. Ten człowiek przywołał tysiące wspomnień.

Uosabiał wszystko, czego Hurstwood się wyrzekł. Chicago, żonę, elegancki bar - wszystko to było w powitaniu i rozmowie Kenny'ego. Oto Kenny mieszka w tym samym, co i on, hotelu, czeka na pogawędkę z nim, spodziewa się spędzić razem mile czas. Lada chwila przyjdą pisma chicagowskie. W miejscowych gazetach tegoż jeszcze dnia ukaza się odpowiednie wzmianki. Zapomniał o triumfie odniesionym nad Carrie w obliczu niebezpieczeństwa, że może być wkrótce poznany i nazwany tym, czym jest: włamywaczem. Wchodząc do fryzjera, z trudem opanował lęk. Postanowił wynieść się z tego hotelu i gdzie indziej szukać ucieczki.

Wyszedłszy od fryzjera z przyjemnością stwierdził, że hall był pusty. Pobiegł do schodów. Wyjdą z Carrie drzwiami dla pań. Zjedzą śniadanie w jakiejś mniej uczęszczanej restauracji.

Ale w hallu spostrzegł, że przypatruje mu się pewien jegomość. Instynktem wyczuł, że to detektyw. Był to dość pospolitego typu Irlandczyk, drobny, w tanim garniturze, z głową, która robiła wrażenie taniego wydania głowy jakiegoś znakomitego policjanta. Indywiduum najwyraźniej rozmawiało z urzędnikiem prowadzącym rejestr przyjezdnych, teraz zaś bacznie mu się przyglądało.

Hurstwood czuł, jak oczy tego człowieka badają go od stóp do głowy. Znał ten typ. Instynktownie wyczuł, że człowiek ów jest detektywem, że go śledzi. Przeszedł szybko się, udając, że niczego nie zauważył, ale w mózgu jego kłębiły się myśli. Co się teraz stanie? Co ci ludzie z nim zrobią? Zaczął się niepokoić, jak prawnie przedstawia się wydawanie przestępców; Nie rozumiał dobrze tego paragrafu. Czy mogą go aresztować? O, jeżeli Carrie się dowie! Montreal jest stanowczo za gorący! Zaczął marzyć o wydostaniu się stąd.

Carrie wzięła kąpiel i czekała na Hurstwooda świeża, bardziej czarująca niż kiedykolwiek, ale pełna rezerwy. Odkąd wyszedł, poczuła znowu chłód w stosunku do niego. Nie było miłości w sercu Carrie. Czuł to i niepokój jego się wzmógł. Nie mógł wziąć jej w ramiona. Nie próbował nawet. Było w niej coś, co go powstrzymywało. Zresztą wrażenie to było rezultatem jego doświadczeń tam, w hallu.

- Jesteś gotowa? - zapytał uprzejmie.

- Tak - odpowiedziała.

- To pójdziemy na śniadanie. Restauracja tutejsza nie bardzo mi się podoba.

- Dobrze - rzekła Carrie.

Wyszli. Na rogu stał niepozorny Irlandczyk i nie spuszczał z Hurstwooda oczu. Hurstwood z trudem zdołał ukryć, że wie o jego obecności. Zuchwalstwo draba nazbyt było dokuczliwe. Przeszli obok niego. Hurstwood tłumaczył Carrie plan miasta. Restaurację znaleźli niezbyt daleko.

- Jakie to dziwne miasto! - powiedziała Carrie, której wydawało się to miasto dziwne dlatego, że w niczym nie przypominało Chicago.

- Nie jest tak ładne jak Chicago - rzekł Hurstwood. - Nie podoba ci się tutaj?

- Nie - rzekła Carrie, która oddała swoje serce wielkim miastom Zachodu.

- Rzeczywiście, jest mniej interesujące - powiedział Hurstwood.

- Co w nim właściwie jest? - zapytała Carrie, dziwiąc się jego wyborowi.

- Niewiele - przyznał Hurstwood. - Ale ma ładne okolice.

Carrie słuchała z pewnym zażenowaniem. Było w jej sytuacji coś, co uniemożliwiało zachwyt.

- Nie zabawimy tu długo - rzekł Hurstwood, zadowolony, że się jej Montreal nie podoba. - Po śniadaniu pójdziesz kupić, co ci potrzeba, i machniemy do Nowego Jorku. Z pewnością ci się spodoba. Jest w nim o wiele więcej z wielkiego miasta niż w każdym innym mieście z wyjątkiem Chicago.

Oczywiście w planach jego leżało wymknięcie się i ucieczka. Zobaczy, co zrobią detektywi, jakie kroki przedsięwzją jego pracodawcy w Chicago, potem wymknie się do Nowego Jorku, gdzie łatwo jest ukryć się. Znał dostatecznie to miasto, żeby wiedzieć, iż posiada nieskończone możliwości mistyfikacji i tajemnicy.

Im więcej jednak myślał, tym nikczemniejsza wydawała mu się jego sytuacja. Wiedział, że przybycie tutaj nie oczyściło dla niego gruntu. Firma prawdopodobnie zechce go śledzić przez swoich detektywów... przez funkcjonariuszy Pinkertona albo agentów Mooneya i Bolanda. Mogą aresztować go w chwili przejazdu przez granicę kanadyjską. Więc kto wie, może skazany jest na mieszkanie tu miesiącami... i to w jakim stanie?!

Wróciwszy do hotelu Hurstwood zapragnął jak najszybciej przejrzeć pisma. Chciał się dowiedzieć, jak dalece rozprzestrzeniły się wiadomości o popełnionym przez niego przestępstwie. Powiedział Carrie, że wróci za chwilę, i poszedł po dzienniki. Nie spotkał znajomej ani podejrzananej twarzy, a jednak nie chciał czytać w hallu; udał się więc do salonu na drugim piętrze i usiadłszy koło okna, zagłębił się w gazety. Pisano niewiele o jego włama-

niu, ograniczono się właściwie do krótkich wzmianek, które znalazł między opisami morderstw, wypadków, ślubów i innymi wiadomościami podanymi w formie telegramów. Ze smutkiem myślał, czyby się tego nie dało odrobić. Każda chwila spędzona w tym oddalonym, bezpiecznym dlań miejscu, wyraźnie dawała mu do poznania, że jednak był to wielki błąd z jego strony. Przecież musiało być jakieś łatwiejsze wyjście, tylko że on o nim nie wiedział.

Odłożył gazety, zanim wrócił do swego pokoju. Postanowił nie pokazywać ich Carrie.

- No, jakże się czujesz? - zapytał. Zajęta była wyglądem przez okno.

- Och, doskonale - odrzekła.

Podszedł i chciał rozpocząć rozmowę, gdy zastukano do drzwi.

- Pewnie moje sprawunki - powiedziała Carrie.

Hurstwood otworzył drzwi. W progu stał jegomość, który go tak bacznie śledził.

- Pan jest pan Hurstwood, prawda? - rzekł tamten z udaną pewnością siebie i zuchwałością.

- Tak - spokojnie rzekł Hurstwood. Znał ów typ ludzi tak doskonale, że wróciło mu coś z dawnej obojętności w stosunku do niego. Takich ludzi, jak ten, zaliczano do najniższej kategorii u Fitzgeralda i Moya. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Pan wie, co mnie tu sprowadza, co? - konfidencjonalnie rzekł nieznajomy.

- Domyślam się - spokojnie rzekł Hurstwood.

- No, więc co pan zamierza... próbować zatrzymać pieniądze?

- To moja sprawa - ponuro rzucił Hurstwood.

- To się panu nie uda, jak pan wie - dodał detektyw patrząc nań zimno.

- Słuchaj pan - rzekł Hurstwood poważnie. - Pan nic nie rozumiesz w tej sprawie, a ja nie mogę panu tłumaczyć. Cokolwiek zamierzam uczynić, uczynię to bez nacisku z zewnątrz. Pan zechce mi wybaczyć.

- Niepotrzebnie mówi pan do mnie takim tonem - rzekł tamten. - Pan jest w rękach policji. Możemy panu zrobić wiele przykrości, jeżeli tylko zechcemy. Pan nie jest zameldowany w tym hotelu, pan przyjechał nie z żoną i gazety jeszcze nie wiedzą, że pan tu bawi. Powinien pan być rozsądny.

- Co chce pan powiedzieć? - zapytał Hurstwood.

- Czy pan zwróci pieniądze? Hurstwood milczał, wpatrując się w podłogę.

- Nie mam co tłumaczyć się przed panem - rzekł w końcu. - I niepotrzebnie pan mnie pyta. Nie jestem wariatem, jak panu wiadomo. Wiem, co pan może zrobić, a czego pan zrobić nie może. Pan może mi zrobić wiele przykrości, jeżeli pan zechce. Wiem o tym doskonale, ale to nie pomoże panu do uzyskania pieniędzy. Postanowiłem już, co zrobię. Ponieważ napisałem przed chwilą do Fitzgeralda i Moya, nie mam panu nic chwilowo do zakomunikowania. Musi pan poczekać na instrukcję od nich.

Rozmawiając starał się odejść jak najdalej od drzwi, w głąb korytarza, żeby przypadkiem nie słyszała go Carrie. Doszli prawie do końca korytarza, do miejsca, w którym otwierał się on na obszerny, ogólny salon.

- Więc pan pieniędzy nie zwróci? - zapytał detektyw. Te słowa zirytowały Hurstwooda. Krew zalała mu twarz.

Różne myśli tłoczyły mu się do głowy. Nie był złodziejem. Nie pragnął tych pieniędzy. Gdyby tylko miał sposobność wyjaśnienia sprawy Fitzgeraldowi i Moyowi, może wszystko ułożyłoby się pomyślnie.

- Słuchaj pan - powiedział - ta rozmowa do niczego nie doprowadzi. Jestem z całym uznaniem dla pańskiej władzy, ale będę miał do czynienia z ludźmi, którzy znają powody mego postępowania.

- Pieniądzy z Kanady pan wywieźć nie może - rzekł detektyw.

- Nie myślę wyjeżdżać - rzekł Hurstwood. - Kiedy sprawę tę ułożę, nic nie będzie w stanie mnie zatrzymać.

Odwrócił się. Detektyw przyjrzał mu się uważnie, co było nie do zniesienia. Wszedł do pokoju.

- Kto tu stukał? - zapytała Carrie.

- Jeden z moich przyjaciół z Chicago.

Po tym wszystkim, co musiał przejść ostatnio, rozmowa ta tak głęboko wstrząsnęła Hurstwoodem, iż wpadł w nastrój ponury i buntowniczy. Co najbardziej go bolało, to fakt, że jest śledzony jak złodziej. Zaczynał pojmować istotę społecznej niesprawiedliwości, która widzi tylko jedną stronę, niekiedy tylko jeden punkt długiej tragedii. Wszystkie gazety zanotowały tylko fakt: że wziął pieniądze. Jak i dlaczego - nie obchodziło ich wcale. Komplikacje, które doprowadziły do tego, pozostały nieznane. Osądzili go nie rozumiejąc...

Siedząc tego samego dnia z Carrie postanowił zwrócić pieniądze. Napisze do Fitzge-

ralda i Moya, wytłumaczy im wszystko i wyśle pieniądze ekspresem. Może mu przebaczą. Może zaproponują mu, żeby wrócił. W ten sposób wprowadzi w czyn to, co mówił o napisaniu do nich. Po czym opuści to dziwaczne miasto.

Prawie przez godzinę namyślał się nad tym listem. Chciał napisać im o żonie, ale nie mógł. Sprowadził w końcu swój list do przyznania się do lekkomyślności z powodu hulanki z przyjaciółmi. Znalazł sejf otwarty i zabrnawszy tak daleko, że wziął pieniądze, przypadkowo zatrzaskał drzwiczki. Mocno tego żałował. Jest mu niezmiernie przykro, iż przyczynił im tyle kłopotów. Odrobi to, odsyłając z powrotem pieniądze... w większości. Resztę spłaci, jak tylko będzie mógł. Czy jest dlań możliwość powrotu? O tym wspomniał tylko mimochodem.

Konstrukcja listu najlepiej dowodzi rozterki, w jakiej znalazł się ten człowiek. Na chwilę zapomniał, jaką męką byłoby dlań objęcie dawnego stanowiska, nawet gdyby pracodawcy zgodzili się na to. Zapomniał, że jak mieczem odciął od siebie przeszłość i że jeżeli w jakiś sposób na nowo się z nią połączy, to jednak pozostanie rysa dzieląca te dwie epoki. Wciąż o czymś zapominał - o żonie, o Carrie, o pieniądzach, o swojej obecnej sytuacji - jednym słowem nie rozumował jasno. Niemniej wysłał ów list, z odesłaniem pieniędzy czekając na odpowiedź.

Tymczasem zadowalał się obecnością Carrie, starając się wyciągnąć z tego jak najwięcej radości.

W południe pokazało się słońce i rzuciło złotą smugę poprzez otwarte okna. Wróble ćwierkały. W powietrzu dźwięczał śpiew i śmiechy. Hurstwood nie mógł oderwać oczu od Carrie. Była dlań jedynym promykiem szczęścia we wszystkich jego troskach. Och, gdyby tylko mogła go pokochać! Gdyby tylko mogła zarzucić mu ramiona na szyję w porywie szczęścia, w jakim widział ją w parku w Chicago, jakżeby był szczęśliwy. To wynagrodziłoby mu wszystko. To byłoby dowodem, że nie wszystko stracił. Nie dbałby o resztę.

- Carrie! - powiedział wstając i podchodząc do niej - zostaniesz ze mną od teraz, od zaraz?

Spojrzała na Hurstwooda nieufnie, ale stajała pod czarem wzroku, którym patrzył na nią. Była w tym wzroku miłość, silna, mocna miłość, wzmożona przez trudności i smutki. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Pozwól, żebym odtąd był wszystkim dla ciebie - ciągnął. - Nie daj mi dłużej cier-

pieć. Będę ci wierny. Pojedziemy do Nowego Jorku, wynajmiemy sobie ładne mieszkanie. Nie chcesz być moją?

Carrie słuchała z powagą. Nie było w niej wielkiej namiętności, ale bieg wypadków i bliskość tego człowieka zrodziły coś podobnego do miłości. Czowała w stosunku do niego rodzaj żalu, żalu zrodzonego z tego, co tak niedawno było podziwem. Prawdziwej miłości nie wzbudził w niej nigdy. Wiedziałyby o tym, gdyby potrafiła analizować swoje uczucia. Ale to, co czowała teraz i co zrodziła w niej jego namiętność, przerwało zapory istniejące między nimi.

- Zostaniesz ze mną, Carrie, zostaniesz? - prosił.

- Tak - skinęła głową.

Pociągnął ją ku sobie pokrywając pocałunkami jej usta i policzki.

- Ale musisz się ze mną ożenić! - nalegała.

- Dzisiaj jeszcze otrzymam pozwolenie na ślub!

- W jaki sposób?

- Pod nowym nazwiskiem. Przybiorę nowe nazwisko i rozpocznę nowe życie. Od tej chwili jestem pan Murdock.

- Ach, tylko nie to nazwisko! - zawołała.

- Dlaczego?

- Nie podoba mi się.

- Więc jak mam się nazywać?

- Jak chcesz, tylko nie Murdock!

Namyślił się chwilę, nie wypuszczając jej z objęć. Wreszcie powiedział:

- Jak ci się podoba Wheeler?

- Bardzo.

- Więc niech będzie Wheeler. Dzisiaj jeszcze otrzymam pozwolenie.

Ślub dał im ksiądz baptysta, pierwszy duchowny, jakiego udało im się znaleźć.

Nareszcie nadeszła odpowiedź z Chicago. Dyktował ją Moy. Był zdumiony, że Hurstwood uczynił coś podobnego; bardzo mu przykro, że do tego doszło. Jeżeli pieniądze będą zwrócone, nie myślą go prześladować, gdyż są jak najlepiej dlań usposobieni. Co dotyczy jego powrotu i objęcia dawnego stanowiska, jeszcze nie zdecydowali, jaki by to mogło wywrzeć efekt. Pomyślą nad tym i zawiadomią go listownie po jakimś czasie... i tak dalej.

Istotną treścią tego listu było, że Hurstwood musi się pożegnać z wszelką nadzieją i że pragną otrzymać swoje pieniądze w sposób jak najmniej kłopotliwy. Hurstwood czytał to jak wyrok na siebie. Postanowił wpłacić dziewięć tysięcy pięćset agentowi, który miał się do niego zgłosić, pozostawiając tysiąc trzysta na własny użytek. Zatelegrafował w odpowiedzi, wyjaśnił sprawę pełnomocnikowi, który tegoż dnia zjawił się w hotelu, wziął od niego pokwitowanie i kazał Carrie pakować rzeczy. Był nieco przygnębiony swoim ostatnim posunięciem, w chwili gdy je zdecydował zrobić, ale później otrząsnął się z tego. Bał się, że i teraz jeszcze mogą go pochwycić i aresztować, a więc starał się ukryć swoje plany, co mu się z trudem udało. Kazał odesłać kufer Carrie na stację, skąd ekspresem miano go wysłać do Nowego Jorku. Zdawało się, że nikt go nie obserwuje, ale na wszelki wypadek wołał wyjechać nocą. Bał się, że na pierwszej stacji za granicą Kanady albo na dworcu w Nowym Jorku będzie go oczekiwał funkcjonariusz prawa.

Carrie, nie wiedząc nic o kradzieży ani o obawach Hurstwooda, cieszyła się, że rano dojadą na miejsce. Okrągłe, zielone wzgórza biegnące po obu stronach szerokiego, obszernego łożyska rzeki Hudson przykuwały jej uwagę (pociąg trzymał się biegu rzeki). Słyszała o rzece Hudson, słyszała o wielkim mieście Nowym Jorku i teraz wyglądała oknem, chłonąc duszą całą nową dla siebie widoki.

Gdy pociąg skręcił na zachód koło Spuyten Duyvil i biegł dalej, trzymając się zachodniego brzegu rzeki Harlem, Hurstwood nerwowo zwrócił uwagę Carrie na fakt, że są już na krańcu miasta. Po tym, co widziała w Chicago, spodziewała się ujrzeć długie rzędy wagonów-bocznic i natychmiast zauważyła różnicę. Widok kilku okrętów na Harlemie, a potem na rzece East wprowadził w drżenie jej serce. Był to pierwszy znak bliskości oceanu. Potem wjechali w wielką ulicę, z obu stron której wznosiły się pięciopiętrowe domy z cegieł. Wreszcie pociąg wpadł w tunel.

- Wielki Dworzec Centralny! - zawołał kierownik pociągu, gdy po kilku minutach dymu i ciemności pokazało się światło dnia. Hurstwood wstał i schwycił swój niewielki pakunek. Był w największym natężeniu. Czekał z Carrie przy drzwiach. Potem wysiadł. Nikt nie zbliżył się do niego, ale on oglądał się trwożnie na wszystkie strony, kierując się do głównego wyjścia. Był tak podniecony, że zapomniał nawet o Carrie, która szła za nim, dziwiąc się jego roztargnieniu. Gdy wyszli ze stacji, tłum przeredził się. Hurstwood dostał się szczęśliwie na boczną ulicę. Nikt z wyjątkiem dorożkarza nie wołał za nim. Odetchnął z

głębi piersi i obejrzał się przypomniawszy sobie o Carrie.

- Myślałam, że uciekniesz i zostawisz mnie samą - powiedziała.

- Chciałem sobie przypomnieć, którym tramwajem dojedziemy do Gilsey - powiedział.

Carrie prawie nie słyszała co mówił; pochłaniała ją wielkie miasto.

- Ile mieszkańców ma Nowy Jork? - zapytała.

- Och, milion, czy coś koło tego!

Obejrzał się, zawołał dorożkę. Ale zrobił to jakoś inaczej niż zwykle.

Po raz pierwszy od wielu lat przez mózg przeszła mu myśl, że jednak musi się liczyć z tego rodzaju drobnymi wydatkami. Było to bardzo nieprzyjemne.

Postanowił nie tracić czasu na hotele i zaraz obejrzeć się za mieszkaniem. Powiedział o tym Carrie. Zgodziła się.

- Możemy poszukać jeszcze dzisiaj, jeżeli chcesz! - rzekła.

Nagle przypomniał sobie, co zaszło w Montrealu. Niepodobna w większych hotelach uniknąć spotkania ze znajomymi z Chicago. Podniósł się i wydał rozkaz dorożkarzowi.

- Do Belford! - powiedział wiedząc, że hotel ten jest mniej uczęszczany przez jego znajomych. Potem usiadł.

- Gdzie jest dzielnica mieszkalna? - zapytała Carrie, która nie brała wysokich pięciopiętrowych kamienic po obu stronach ulicy za mieszkania prywatne.

- Takiej tu nie ma - rzekł Hurstwood, który dość dobrze znał Nowy Jork. - W Nowym Jorku nie ma poszczególnych dzielnic. Wszystko to są domy mieszkalne.

- W takim razie nie podoba mi się tutaj - rzekła Carrie, która niekiedy zaczynała mieć już własne zdanie.

Rozdział XXX

KRÓLESTWO WIELKOŚCI: PIELGRZYM MARZY

Czymkolwiek człowiek taki jak Hurstwood mógł być w Chicago, było rzeczą oczywistą, że w oceanie takim jak Nowy Jork może być tylko nic nie znaczącą kroplą. W Chicago, którego ludność wahała się wciąż około pół miliona, milionerzy byli nieliczni. Bogacze nie byli tam tak uderzająco bogaci, żeby przytłaczać sobą fortuny średnie. Uwaga mieszkańców nie była na tyle zaabsorbowana przez miejscowe znakomitości na polu dramatycznym, społecznym i religijnym, iżby nie widzieli oni człowieka dobrze sytuowanego. W Chicago istniały dwie drogi do wybicia się: polityka i handel. W Nowym Jorku dróg było przynajmniej z pół setki i każdą z nich kroczyły setki. Skutek tego zaś był taki, że znakomitości było wiele. W morzu roiło się od wielorybów: zwykła ryba musi zniknąć z oczu - staje się niewidzialna. Innymi słowy - Hurstwood był niczym.

Sytuacja jak powyższa pociąga za sobą bardziej subtelne, aczkolwiek nie zawsze brane w rachubę skutki, mogące jednak spowodować tragedię świata. Wielki człowiek wytwarza atmosferę działającą ujemnie na człowieka małego. Atmosferę tę wyczuwa się prędko i łatwo. Przejdź się między wspaniałymi; domami, pięknymi ekwipażami, złożonymi magazynami, restauracjami, rozmaitego rodzaju miejscami rozrywek; wdychaj woń kwiatów, jedwabi, win; upajaj się uśmiechem tryskającym z duszy człowieka zadowolonego; spojrzeniami, które skrzą się jak ostrze włóczni; odczuj i poznaj właściwość uśmiechów, które tną jak klinga szabli, a będziesz wiedział, co to jest atmosfera potęgi i bogactwa. Po cóż sprzeczać się, że nie to stanowi istotę wielkości! Dopóki to pociąga świat, a ludzkie serce w tym jedynie widzi królestwo, które pragnie osiągnąć, dopóty to pozostanie istotą wielkości. Dopóty też atmosfera tego królestwa wywierać będzie swój rozkładowy wpływ na dusze ludzkie. Jest ona jakby chemicznym odczynnikiem. Jeden dzień tej atmosfery, jak jedna kropla odczynnika, tak zmienia, odbarwia poglądy, cele i pragnienia duszy ludzkiej, że nigdy już nie jest ona w stanie wrócić do swojej pierwotnej formy. Jeden dzień spędzony w tej atmosferze jest dla doświadczonego umysłu jak opium dla ciała. Budzi bowiem pożądanie, które, jeśli się je zaspokoi, zawsze kończy się snem i śmiercią. Ach, sny niespełnione, pożerające,

pociągające, nieuchwytnie upiory! One są dla nas wytyczną i drogowskazem, dopóki śmierć i rozkład nie zawładną nami i nie złożą nas, ośleplonych, na sercu natury.

Człowiek w wieku Hurstwooda i z jego temperamentem nie podlega złudom i spalającym pragnieniom młodości, ale nie posiada również siły nadziei, która wytryska jako źródło w sercu młodzieńca. Atmosfera taka nie mogła wzbudzić w nim pragnień osiemnastoletniego chłopca, ale nie podnieciła jego pragnienia, ponieważ brak nadziei przepajał je goryczą. Nie mógł nie zauważyć dowodów bogactwa i komfortu rzucających się w oczy na każdym kroku. Bywał przedtem w Nowym Jorku i znał źródła jego szaleństw. Poniekąd było to dlań miasto upragnione, gdyż tu zbierało się wszystko, co najwięcej cenił na ziemi - bogactwo i sława. Większość znakomitości, do których przypijał w czasie swego dyrektorstwa, pochodziła z tego ważnego i gęsto zaludnionego miasta. Najciekawsze historie o bogactwie i rozkoszy dotyczyły ludzi i miejsc związanych z Nowym Jorkiem. Wiedział, że to prawda, iż nieświadomie ociera się dzień w dzień łokciami o bogactwa; że sto i sto pięćdziesiąt tysięcy nie dawało człowiekowi prawa żyć więcej niż wygodnie w takim jak to mieście. Moda i blichtr wymagały większych sum, człowiek ubogi był niczym. Wszystko to uświadomił sobie teraz z całą jasnością w obliczu tego miasta, odcięty od przyjaciół, pozbawiony swojej skromnej fortuny, nawet nazwiska, zmuszony od początku walczyć o stanowisko i pieniądze. Nie był stary, ale i nie był głupi, żeby nie czuć, że starość się zbliża. I dlatego to zestawienie pięknych strojów, lokali i potęg nabrało szczególnego znaczenia. Nabrało wartości przez kontrast z jego własną, rozpaczliwą sytuacją.

Bo sytuacja była rozpaczliwa. Przekonał się szybko, że uwolnienie się od strachu przed aresztowaniem nie było jedynym *sine qua non* jego egzystencji. Gdy to niebezpieczeństwo minęło, najpierwsze potrzeby stały się najpoważniejszą troską. Nędzna suma trzy-nastu setek marnych dolarów dla opłacenia kosztów komornego, utrzymania, ubrania i przyjemności w ciągu najbliższych lat - był to obraz mało pocieszający dla umysłu człowieka, których przywykł wydawać pięciokrotnie więcej w ciągu jednego roku. Myślał nad tym dość usilnie przez parę pierwszych dni pobytu w Nowym Jorku i doszedł do przekonania, że musi działać szybko. W rezultacie zaczął przeglądać ogłoszenia w pismach porannych i przeprowadził badania na własną rękę.

Przedtem jednak zajął się urządzeniem mieszkania. Szukali mieszkania, jak to było między nimi postanowione, i znaleźli je na ulicy Siedemdziesiątej Ósmej koło Bulwaru Am-

sterdamskiego. Był to dom pięciopiętrowy, ich zaś mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze. Dzięki temu, że ulica nie była jeszcze zupełnie zabudowana, przez okna wychodzące na zachód można było widzieć zielone wierzchołki drzew w Parku Centralnym, na wschód - szerokie wody rzeki Hudson. Za prawo korzystania z sześciu pokoi i łazienki, biegnących w amfiladzie, mieli płacić trzydzieści pięć dolarów miesięcznie; przeciętna, aczkolwiek niczym nie usprawiedliwiona suma, jaką podówczas płacono za takie lokale. Carrie zauważyła różnice między wielkością pokoi tu i w Chicago i nie omieszkała powiedzieć tego.

- Nie znajdziesz nic lepszego, najdroższa! - rzekł Hurstwood. - Chyba w starych domach, ale tam znowu brak wygód, które masz tutaj.

Carrie podobało się to mieszkanie, ponieważ było nowe i miało jasne boazerie. Było to jedno z najnowszych mieszkań, ogrzewanych parą wodną, co stanowiło wielką wygodę. Rozkład mieszkania, zimna i gorąca woda, tuby do rozmów i dzwonek do portiera imponowały jej. Miała w sobie żyłkę dobrej gospodyni i umiała ocenić wartość tych rzeczy.

Hurstwood zawarł układ z domem sprzedaży ratalnej, który dostarczył mebli do całego mieszkania za zaliczkę pięćdziesięciu dolarów i dziesięciodolarowe miesięczne spłaty. Potem kazał zrobić tabliczkę metalową z nazwiskiem G. W. Wheeler i umieścił ją nad skrzynką do listów w hallu. Carrie czuła się z początku nieswojo, gdy nazywano ją panią Wheeler, ale z czasem przywykła do tego i patrzyła na to nazwisko, jakby się jej prawnie należało.

Urządziwszy się w ten sposób Hurstwood zaczął wędrowkę po instytucjach ogłaszających się w pismach, z zamiarem kupienia udziału w którymś z prosperujących barów. Po pałacowym lokalu przy ulicy Adamsa nie mógł strawić pospolitych lokali, które ogłaszały się w pismach. Stracił kilka dni na zwiedzanie ich. Wydawały mu się nieznośnie przykre. Nabrał jednak wiele doświadczenia dzięki rozmowom, gdyż dowiedział się o wpływie Tammany Hall i o tym, jak ważną rzeczą jest być w zgodzie z policją. Przekonał się, że najlepiej prosperowały i kwitły instytucje, które wcale nie prowadziły handlu legalnego, jak na przykład Fitzgerald i Moy. Eleganckie gabinety i prywatne pijalnie na drugim piętrze stanowiły konieczny dodatek do wszystkich lepszych, bardziej kwitnących lokali. Widok wspaniałych kiperów z brylantowymi spinkami w gorsach koszul i w doskonale skrojonych garniturach mówił mu dostatecznie wyraźnie, że sprzedaż trunków tu, w Nowym Jorku, jak i wszędzie jest złotym interesem.

Wreszcie znalazł jegomościa, właściciela lokalu przy ulicy Warren, który mu proponował doskonałą na pozór spółkę. Lokal był przyzwoity, porządny. Właściciel twierdził, że interes jest dochodowy, na to poniekąd wyglądał.

- Mamy do czynienia ze sferą bardzo porządnych ludzi - mówił. - Kupcy, przemysłowcy, wolne zawody. Wszystko ludzie prezentujący się dobrze. Żadnych hulaków. Tych nie wpuszczamy po prostu.

Hurstwood przysłuchiwał się szczękowi kasy i przez jakiś czas przypatrywał się, jak interes idzie.

- Dochód wystarczy na dwóch, co? - zapytał.

- Niech się pan sam przekona, jeżeli zna się pan na handlu trunkami - rzekł właściciel.
- To jeden z dwóch moich barów: drugi jest na ulicy Nassau. Nie mogę prowadzić obu. Gdybym znalazł kogoś, kto się zna na rzeczy, chętnie podzieliłbym z nim zyski z tego lokalu i zostawił mu jego kierownictwo.

- Mam dostateczne doświadczenie - rzekł Hurstwood blado, nie czując jednak możliwości powoływania się na Fitzgeralda i Moya.

- Może pan spróbować, panie Wheeler! - rzekł tamten..

Proponował jedną trzecią udziału w zapasach, sprzętach, dochodach, w zamian za włożenie do interesu tysiąca dolarów i przyjęcie na siebie obowiązków kierownika. Nieruchomość nie wchodziła tu w grę, gdyż właściciel baru tylko dzierżawił lokal od właściciela domu.

Oferta sama w sobie była dobra, ale Hurstwood zapytywał siebie, czy jedna trzecia dochodu zapewni mu sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, co uważał za sumę konieczną dla pokrycia zwykłych wydatków rodzinnych i zapewnienia minimalnego komfortu. Nie był to jednak czas, po tylu niepowodzeniach, na wahanie się lub przebieranie. Miał wrażenie, że jednak jedna trzecia stanowić powinna około stu dolarów miesięcznie. Przy dobrym administrowaniu i inwestycjach przynieść może nawet z czasem więcej. Zgodził się więc przystąpić do spółki i włożywszy żądane tysiąc dolarów, zgłosił się do interesu bez zwłoki.

Miał szczery zamiar cieszyć się z tego, co zrobił. Opowiedział więc Carrie, że jak sądzi, zrobił doskonałe posunięcie. Czas jednak dał mu materiał do rozmyślań. Hurstwood przekonał się, że jego wspólnik jest człowiekiem niemiłym. Często zaglądał do kieliszka, co czyniło go ponurym. Hurstwood nie pozwalał sobie na to w biznesie. Zresztą nie przypomi-

nało to w niczym tego, do czego przywykł u Fitzgeralda i Moya. Rola jego tutaj niczym nie przypominała wspaniałego patronowania w lokalu chicagowskim. Przekonał się, że dużo czasu upłynie, zanim uda mu się ponawiazywać przyjazne stosunki. Ludzie wbiegali i wybiegali z lokalu, nie szukając rozkoszy przyjaźni. Nie było to miejsce do przyjacielskich ani towarzyskich rozmów. Całe dni i tygodnie mijały bez jednego serdecznego pozdrowienia, jakim codziennie witano go w Chicago.

Z drugiej strony - brakowało mu znakomitości owej dobrze ubranej elity, która nadaje wdzięk przeciętnym barom i przynosi wieści z dalekich ekskluzywnych kół. Przez cały miesiąc nie widział ani jednego człowieka tego typu. Wieczorami (spędzał je na swoim posterunku) czytywał w popołudniowych pismach zdarzenia z życia znakomitości, które znał, z którymi nie raz i nie dwa wypił szklaneczkę. Odwiedzali bary takie jak Fitzgeralda i Moya w Chicago albo „Hoffman House”, ale z góry wiedział, że żaden z nich nie zajrzy do takiego lokalu.

Po drugie dochód był mniejszy, niż przypuszczał. Wzrósł trochę, ale Hurstwood czuł, że będzie musiał ograniczyć swoje wydatki domowe, co było upokarzające.

Z początku już to było szczęściem, że wracając późno w nocy do domu zastawał w nim Carrie. Urządzał się tak, żeby zwalniać się z baru między szóstą i siódmą i jeść z nią wspólnie obiad oraz żeby nie wychodzić z domu przed dziewiątą rano, ale czar nowości trwał tylko kilka dni i po jakimś czasie Hurstwood zaczął odczuwać brzemień swoich obowiązków.

Nie upłynął jeszcze miesiąc, kiedy Carrie odezwała się tonem zupełnie naturalnym:

- Będę musiała kupić w tym tygodniu suknię.

- Jaką? - zapytał Hurstwood.

- Och, coś odpowiedniego na ulicę.

- Doskonale! - rzekł uśmiechając się. Nie mógł jednak nie przyznać w duchu, że ze względów finansowych byłoby przyjemniej, gdyby tego nie robiła. Nie poruszano tej sprawy do następnego dnia, ale nazajutrz Hurstwood powiedział:

- Kupiłaś już suknię?

- Jeszcze nie! - rzekła Carrie.

Milczał chwilę, zatopiony w myślach, po czym rzekł:

- Gniewałabyś się, gdybym cię prosił o odłożenie tego sprawunku na parę dni?

- Nie - rzekła Carrie, która nie rozumiała tonu jego prośby - dlaczego? - nigdy nie myślała o Hurstwoodzie w związku z trudnościami pieniężnymi.

- Powiem ci - rzekł. - Ten mój bar pochłania ostatnio mnóstwo pieniędzy. Spodziewam się wycofać je wkrótce... ale w danej chwili kuso ze mną.

- O! - zawołała Carrie - naturalnie! Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu?

- Bo nie zachodziła taka potrzeba - odrzekł.

Pomimo iż się tak łatwo zgodziła, Carrie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w sposobie, w jaki Hurstwood to powiedział, było coś, co jej przypomniało Charliego Droueta i ten jego „mały interes”, o którym zawsze mówił, że go wkrótce załatwi. Myśl ta tylko przebiegła przez mózg Carrie, ale... już się w niej zrodziła. Było to coś nowego w jej pojęciu o Hurstwoodzie.

Inne rzeczy zdarzały się również od czasu do czasu - drobiazgi, które w sumie nabierały wagi niemal rewelacji. Carrie nie była w żadnym razie tępą. Dwoje ludzi nie może przebywać ze sobą, żeby to nie doprowadziło do wzajemnego zrozumienia siebie. Trudności duchowe, jakie przeżywa człowiek, objawiają się zewnętrznie bez względu na to, czy chce tego, czy nie. Troski unoszą się w powietrzu i roztaczają dokoła atmosferę, która mówi za siebie. Hurstwood ubierał się wytwornie jak zawsze, ale nosił ten sam garnitur, w którym chodził w Kanadzie. Carrie dziwiła się, że nie zamówił dla siebie obszernej szafy do ubrań i zadowalał się małą szafką. Zauważyła również, że nie proponował jej nigdy żadnej rozrywki, nie mówił o jedzeniu, zdawał się skłopotany swoim biznesem. Nie był to już lekkomyślny Hurstwood z Chicago, nie pozostało śladu ze swobodnego, wesołego, hojnego Hurstwooda, jakiego wtedy tam znała. Zmiana była zbyt widoczna, żeby mogła jej nie widzieć.

Z czasem wyczuła również, że zmienił się pod innymi względami, że coś przed nią ukrywa. Był widocznie skryty i nie lubił się nikogo radzić. Przekonała się, że nieraz musi pytać go o rozmaite drobiazgi. Nie jest to stan przyjemny dla kobiety. Wielka miłość sprawia, że wydać się to może rozsądne, czasami usprawiedliwione, ale nigdy przyjemne. Gdzie nie ma wielkiej miłości - rezultatem są mniej miłe i bardziej wyraźne wnioski.

Jeśli chodzi o Hurstwooda, to walczył dzielnie z trudnościami, które nasunęły nowe warunki życia. Zbyt był mądry, iżby nie odczuć, że popełnił straszliwą omyłkę, albo by powiedzieć sobie, że dobrze jest jak jest. Nie potrafił też nie porównywać wciąż tego, co miał, z tym, co stracił - godzina po godzinie, dzień po dniu.

Po spotkaniu w Nowym Jorku, wkrótce po zainstalowaniu się tutaj, któregoś z dawnych przyjaciół, nie opuszczał go lęk przed powtórzeniem się tego. To na ulicy Broadway spotkał jegomościa, którego znał. Nie miał czasu udać, że go nie widzi. Wymiana spojrzeń zbyt była ostra; to, że się jednak poznali - zbyt wyraźne. A więc ów przyjaciel, który przyjechał po zakup dla jednego z domów towarowych, wyczuł, że koniecznie musi zatrzymać Hurstwooda.

- Jak się pan ma? - zapytał, wyciągając rękę wyraźnie zmieszany, nie okazując żadnego zainteresowania tym spotkaniem.

- Doskonale! - rzekł Hurstwood nie mniej od niego speszony. - A pan?

- Świetnie! Przyjechałem po zakupy. Urządził się już pan w Nowym Jorku?

- Tak - rzekł Hurstwood. - Mam posadę przy ulicy Warren.

- Rzeczywiście? - ucieszył się przyjaciel. - Bardzo rad to słyszeć... Zajdę odwiedzić pana.

- Bardzo proszę - rzekł Hurstwood.

- Tymczasem do widzenia! - rzekł swobodnie przyjaciel i odszedł.

„Nie zapytał nawet o numer - myślał Hurstwood. - Nie miał oczywiście zamiaru przyjść.” Otarł czoło, które lekko zwilgotniało, w nadziei, szczerzej nadziei, że może nikogo więcej nie spotka.

Te i temu podobne rzeczy wywarły swój wpływ na jego usposobienie. Jedyłą nadzieją była zmiana na lepsze pod względem pieniężnym. Miał Carrie. Płacił za meble. Miał stanowisko. Co się tyczy Carrie, wystarczą jej tymczasem rozrywki, jakich jej może dostarczyć. Potem się poprawi. Tak myśląc popełnił błąd, nie brał bowiem pod uwagę ułomności natury ludzkiej, trudności życia małżeńskiego. Carrie była młoda. Przeżycia ich były wręcz przeciwne. Lada chwila rozbieżność mogła się objawić zbyt wyraźnie przy stole jadalnym. To się zdarza w najlepiej rozumiejących się rodzinach. Jakże często drobne na pozór nieporozumienia wymagają wielkiej miłości, by je puścić w niepamięć. Gdzie tej miłości nie ma - obie strony sumują poszczególne pozycje i dochodzą do rezultatów każde na własną rękę.

Rozdział XXXI

WYBRANKA LOSU: BROADWAY ROZTACZA SWOJE POWABY

Równoległe do efektu, jaki miasto i wytworzona sytuacja wywierały na Hurstwooda, zaznaczyć należy wpływ ich na Carrie, która przyjmowała dary losu z dziwną pogodą. Nowy Jork, wbrew pierwszemu niemiłemu wrażeniu, zainteresował ją ogromnie. Jego jasna atmosfera, ludniejsze ulice i szczególna niedbałość podobały się Carrie. Nigdy w życiu nie widziała tak małych pokoików, jak jej obecne, a jednak polubiła je.

Nowe meble prezentowały się bardzo dobrze; kredens, o który Hurstwood dbał osobiście, polyskiwał szkłem. Sprzęty w każdym pokoju były starannie dobrane, w tak zwanej bawialni albo pokoju frontowym stało pianino, ponieważ Carrie wyraziła chęć uczenia się muzyki. Trzymała służącą i szybko przyswoiła sobie taktykę gospodyni i potrzebne jej wiadomości. Pierwszy raz w życiu czuła, że jej egzystencja jest ustalona i poniekąd usprawiedliwiona w oczach społeczeństwa - według jej rozumienia. Myśli jej były dostatecznie pogodne i niewinne. Przez długi czas nie mogła się dość nadziwić urządzeniu mieszkań nowojorskich i temu, że dziesięć rodzin, mieszkając w jednym domu, wcale się nie zna. Dziwiła się również gwizdkom setek okrętów w porcie, długim, przeciągłym nawoływaniom statków parowych i promów, gdy nad rzeką unosiła się mgła. To, że są głosem z oceanu, już było cudem. Patrzyła ze swego okna na rzekę Hudson i na wielkie miasto, wzrastające szybko po obu stronach. Było nad czym myśleć! Bawiło to ją, jako nowość, dłużej niż przez rok.

Hurstwood był niesłychanie interesujący w swojej miłości dla niej. Pomimo kłopotów nigdy nie zwierzał się Carrie ze swoich trosk. Zachowywał zawsze jednakową godność i ze swobodą przyjmował swoje nowe stanowisko, cieszył się postępami i talentami Carrie. Regularnie przychodził na obiady i znajdował małą jadalnię niezwykle miłą. Niewielkie rozmiary pokoju poniekąd podnosiły jego wytworność. Robił wrażenie dostatku i bogactwa. Białe nakryty stół zastawiony był ładną porcelaną, oświetlony czteroramiennym kandelabrem, którego każdą świecę okrywał czerwony abażur. Wspólnym wysiłkiem Carrie i pokojówki rozbefy i czopsy udawały się wyśmienicie, a mączne potrawy i zakąski w sposób wystarczający uzupełniały menu. Carrie studiowała sztukę robienia biszkoptów i wkrótce osią-

gnęła ten stopień doskonałości, że mogła podać talerz apetycznych lekkich biszkoptów swego wypieku.

W ten sposób upłynął miesiąc pierwszy, drugi, trzeci i czwarty. Przyszła zima, a wraz z nią poczucie, że w domu jest najlepiej. Nie mówiono więc o uczęszczaniu do teatrów. Hurstwood robił duże wysiłki, żeby podołać wszystkim wydatkom, nie dając w ten czy inny sposób do poznania, ile go to kosztuje. Udawał, że wkłada pieniądze w interes, żeby z czasem osiągnąć z niego jak największe dochody. Zadowalał się bardzo skromnymi sumkami na osobiste wydatki i rzadko proponował jakieś kupno Carrie. Tak przeszła pierwsza zima.

Na drugi rok interes prowadzony przez Hurstwooda rozwinął się trochę. Mógł z niego wyciągnąć regularnie sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, jak to sobie poprzednio ułożył. Na nieszczęście Carrie mniej więcej w tym samym czasie doszła do pewnych konkluzji i nawiązała znajomości.

Z natury bierna i pozbawiona inicjatywy, Carrie godziła się na to, co miała. Położenie wydawało się jej zupełnie znośne. Od czasu do czasu chodzili we dwoje do teatru, czasami na spacer po mieście, ale nie utrzymywali z nikim stosunków. Hurstwood, oczywiście, porzucił swoje wytworne maniery wobec niej i ograniczył się do uprzejmej poufałości. Nie było między nimi nieporozumień ani wyraźnej różnicy zdań. Nie mając przyjaciół ani pieniędzy Hurstwood prowadził życie, które nie mogło dać powodu do zazdrości ani nie wymagało komentarzy. Carrie raczej życzliwie odnosiła się do jego poczynań i nie odczuwała braku rozrywek takich, jakie miała w Chicago. Nowy Jork jako całość oraz własne mieszkanie wystarczały jej na razie.

Jednak w miarę jak rozwijał się interes Hurstwooda, rosło również koło jego znajomych. Zaczął pozwalać sobie na większą dbałość o ubranie. Przyznawał, że życie domowe jest przemile, ale rozgrzeszał siebie i od czasu do czasu nie przychodził na obiad. Pierwszy raz zawiadomił Carrie, że nie przyjdzie. Zjadła obiad w samotności, mówiąc sobie, że nie ma ochoty, żeby się to powtórzyło. Na drugi raz też ją zawiadomił - ale w ostatniej chwili. Za trzecim razem zapomniał to zrobić, tłumaczył się później. Zdarzało się to w odstępach mniej więcej miesięcznych.

- Gdzie byłeś, George? - zapytała Carrie za pierwszym razem.
- Zatrzymano mnie w biurze - rzekł. - Musiałem sprawdzić rachunki.
- Przykro mi, że nie mogłeś przyjść - rzekła. - Miałam taki doskonały obiad!

Na drugi raz tłumaczył się w podobny sposób, ale gdy się zdarzyło po raz trzeci, Carrie przyjęła to trochę inaczej.

- Nie mogłem przyjść - powiedział wróciwszy późnym wieczorem do domu. - Byłem strasznie zajęty!

- Nie mogłeś mnie zawiadomić? - zapytała.

- Chciałem - powiedział - ale zapomniałem do ostatniej chwili, a potem było już za późno.

- Miałam taki smaczny obiad! - powiedziała.

Rzecz w tym, iż obserwując Carrie, Hurstwood doszedł do wniosku, że jest na wskroś typem domatorskim. Po roku wspólnego z nią pożycia naprawdę sądził, że zamiłowania Carrie znajdowały ujście w jej zajęciach domowych. Chociaż pamiętał ją zupełnie inną w Chicago, a w ciągu ostatniego roku widywał ją tylko na tle mieszkania i wyłącznie w swoim towarzystwie, chociaż nie miała przyjaciół ani znajomych, doszedł do takiego szczególnego wniosku. Wraz z tym przyszło uczucie zadowolenia, że ma żonę, którą łatwo zaspokoić, która wymaga tak niewiele, a to zadowolenie musiało pociągnąć za sobą odpowiednie skutki. To znaczy, odkąd powiedział sobie, że jest zadowolona z tego, co ma, uważał się za usprawiedliwionego, dając jej tę odrobinę. Miała meble, mieszkanie, pożywienie, rzeczy nieodzowne do ubrania. Coraz rzadziej myślał o dostarczeniu jej rozrywek, o pokazaniu rozkoszy i przyjemności życia. Pociągał go świat zewnętrzny, ale nie przyszło mu do głowy, że może i ona też by ten świat polubiła.

Raz wybrał się bez niej do teatru, innym razem na partię pokera z przyjaciółmi. Odkąd zaczął na nowo porastać w piórka, czuł się jak odrodzony. Oczywiście zadowalał swoje zachcianki w granicach o wiele skromniejszych niż w Chicago. Unikał lokali, gdzie mógłby być narażony na spotkanie z tymi, którzy znali go dawniej.

Otóż Carrie zaczęła to odczuwać na tysiące sposobów. Nie należała do kobiet, które martwiły się z tego powodu poważnie. Nie kochając go, nie była zazdrosna w bolesny dla siebie sposób. Właściwie zupełnie nie była zazdrosna. Hurstwood był zachwycony jej pogodnym usposobieniem, ilekroć zastanawiał się nad tym. Jeżeli nie wracał do domu, nie widziała w tym nic strasznego. Pozwalała mu mieć swoje męskie przyjemności - pomówić z tym, poradzić się tamtego, iść tu i ówdzie. Godziła się, żeby Hurstwood bawił się wedle swego uznania, ale nie życzyła sobie, żeby zaniedbywano ją. Wciąż jednak pozostała roz-

sądna, ograniczając się do stwierdzenia, że Hurstwood się zmienił.

Jakoś w drugim roku ich pobytu w domu przy ulicy Siedemdziesiątej Ósmej lokal po drugiej stronie sieni na tym samym piętrze, co ich, opróżnił się. Zajął go młoda, przystojna kobieta z mężem. Carrie wkrótce zawarła znajomość z nimi. Doprowadziło do tej znajomości zresztą samo urządzenie mieszkań, połączonych ze sobą przez windę kuchenną. Wygodna ta instalacja służąca do przesyłania z dołu zakupów i węgla, do spuszczenia zaś na parter śmieci, należała do dwóch lokali na jednym piętrze. To znaczy z każdego mieszkania otwierały się małe drzwiczki do tej windy.

Gdyby mieszkańcy obu lokali jednocześnie odpowiedzieli na gwizdek windziarza z dołu, natenczas otworzywszy drzwiczki od windy, znaleźliby się twarzą w twarz. Pewnego dnia, gdy Carrie otworzyła drzwiczki, chcąc wyrzucić papiery, nowo przybyła, przystojna dwudziestotrzyletnia brunetka, otworzyła swoje drzwiczki z tym samym zamiarem. Była w szlafrocuku i płaszczu domowym, z włosami w nieładzie, ale taka ładna i miła, że Carrie od razu poczuła do niej sympatię. Nowo przybyła uśmiechnęła się tylko, zawstydzona, ale to wystarczyło. Carrie zrozumiała, że chętnie zawarłaby z nią znajomość. Podobnego uczucia doznała i obca pani, zachwycona niewinną twarzą Carrie.

- To śliczna kobieta ta pani, która wprowadziła się na nasze piętro! - powiedziała Carrie do Hurstwooda przy śniadaniu.

- Co za jedni? - zapytał.

- Nie wiem. Nad dzwonkiem mają tabliczkę z nazwiskiem Vance. Ktoś z nich gra cudownie. Pewnie ona.

- Nigdy nie można przesądzić, kto mieszka obok, prawda? - rzekł Hurstwood, wyrażając w ten sposób zwykłą opinię nowojorczyków o sąsiadach.

- Pomyśl tylko - ciągnęła Carrie - mieszkam w tym domu rok, jest tu dziewięć rodzin, a nie znam żywej duszy! Ci ludzie mieszkają tu przeszło miesiąc, a dzisiaj pierwszy raz ją widziałam!

- To dobrze - rzekł Hurstwood. - Nigdy nie można przewidzieć, kto wprowadzi się obok. Można trafić na fatalne sąsiedztwo.

- I ja tak sądzę - rzekła Carrie.

Rozmowa zesłała na inne tory i Carrie przypomniała sobie o sąsiadce dopiero na drugi czy trzeci dzień, gdy idąc na targ, spotkała panią Vance, która właśnie wracała. Pani Vance

poznała Carrie i skinęła jej głową, na co Carrie odpowiedziała uśmiechem. To ustaliło możliwość zawarcia znajomości. Gdyby nie to drobne zdarzenie, prawdopodobnie nie poznałyby się.

Carrie przez kilka tygodni nie widziała pani Vance, ale słyszała ją grającą poprzez cienką ścianę, dzielącą pokoje frontowe. Podobał się jej wybór utworów i interpretacje pianistki. Carrie grała dość słabo i w jej oczach bogactwo repertuaru pani Vance graniczyło z prawdziwą sztuką. Wszystko, co widziała i słyszała dotychczas - okruchy i cienie - wskazywało, że są to ludzie kulturalni i zamożni. Więc Carrie gotowa była się z nimi zaprzyjaźnić.

Pewnego dnia rozległ się w mieszkaniu Carrie dzwonek. Służąca, która właśnie była w kuchni, nacisnęła guzik otwierający mechanicznie wspólne drzwi wejściowe. Carrie, stojąc we drzwiach swego mieszkania na trzecim piętrze, zaintrygowana, kto by to mógł być, ujrzała panią Vance.

- Sądzę, że się pani nie rozgniewa na mnie - rzekła pani Vance. - Zapomniałam klucza do domu i pozwoliłam sobie nacisnąć guzik państwa.

Było to zwyczajem mieszkańców tego domu, jeżeli zapomnieli klucza, nacisnąć pierwszy lepszy guzik. Nigdy jednak nie przepaszali za to.

- Ależ naturalnie! - zawołała Carrie. - Bardzo mi miło. Sama nieraz tak robię.

- Śliczna pogoda, prawda? - rzekła pani Vance przystając na chwilę.

W ten sposób przebrnęły przez pierwsze trudności zawarcia znajomości i w młodej pani Vance znalazła Carrie przemiłą towarzyszkę.

Kilkakrotnie odwiedziła panią Vance, a pani Vance odwiedziła ją. Oba mieszkania były eleganckie, chociaż mieszkanie Vance'ów wyglądało wytworniej.

- Bardzo byłabym rada, gdyby pani zechciała przyjść dzisiaj wieczorem do nas i poznać mego męża - rzekła pani Vance wkrótce potem. - Bardzo chciałby poznać panią. Pani gra w karty, prawda?

- Trochę - rzekła Carrie.

- Mam talię kart. Jeżeli mąż wróci wcześniej, proszę państwa oboje.

- Nie będzie dzisiaj na obiedzie - rzekła Carrie.

- Więc jeżeli wróci, przyjdzie po panią!

Carrie zgodziła się i tegoż wieczora poznała pana Vance. Był to jegomość o parę lat

młodszy od Hurstwooda. Swoje miłe małżeństwo zawdzięczał nie tyle wyglądowi, ile pieniądzom. Carrie podobała mu się od pierwszego wejrzenia, starał się być wesoły i sympatyczny, nauczył ją nowej gry w karty i opowiadał o Nowym Jorku i jego rozrywkach. Pani Vance grała na fortepianie. W końcu przyszedł Hurstwood.

- Bardzo jestem rad poznać panią - rzekł Hurstwood z wytwornością, która swego czasu usidliła Carrie.

- Myślał pan pewnie, że żona uciekła? - żartowała pani Vance podając mu rękę.

- Nie wiem, czy znalazłaby lepszego męża - śmiał się Hurstwood.

Zajęty był cały wieczór panią Vance i jednym błyskiem świadomości Carrie zrozumiała, czego od niedawna brakowało jej w Hurstwoodzie: komplementów i grzeczności, w których celował. Zauważyła również, że nie jest dobrze ubrana, nawet nie może równać się z panią Vance! Nie były to już tylko przypuszczenia. Sytuacja wyjaśniła się w oczach Carrie. Czowała, że życie jej jest nudne, co było dostatecznym powodem, żeby spochmurniała. Wróciła dawna beznadziejna, bolesna melancholia. Znowu stała się dawną Carrie, pragnącą, do uszu której szeptał jakiś głos o tym wszystkim, co mogłoby jej dać życie.

Przebudzenie to nie pociągnęło za sobą natychmiastowych skutków, bowiem Carrie nie posiadała wiele inicjatywy. Jednak z łatwością dawała się wciągnąć w nurt zmian, w nurt, który mógłby ją unieść. Hurstwood nie zauważył niczego. Nie uświadamiał sobie kontrastu, który wyraźnie rzucił się w oczy Carrie. Nie potrafił nawet dojrzeć cienia melancholii w jej oczach. Co najgorsze, zaczynała boleśnie odczuwać samotność i tęsknić do towarzystwa pani Vance, która polubiła ją ogromnie.

- Chodźmy dzisiaj na *matinée* - rzekła pani Vance pewnego poranka, wchodząc do mieszkania Carrie. Ubrana była w strojny szlafroczek z pąsowego jedwabiu, który narzuciła po wyjściu z łóżka. Hurstwood i Vance wyszli, każdy w swoją drogę, mniej więcej przed godziną.

- Doskonale! - rzekła Carrie. Uwagi jej nie uszedł wygląd pani Vance, mówiący o tym, że jest pieszczona, że o nią dbają. Robiła wrażenie, że jest bardzo kochana, a każde jej życzenie spełnione. - Na co pójdziemy?

- Chciałabym zobaczyć Nota Goodwina - rzekła pani Vance. - Podobno to najlepszy komik. Gazety pisały, że sztuka też jest świetna.

- O której musiałybyśmy wyjść? - zapytała Carrie.

- Przejdziemy się po Broadwayu od strony ulicy Trzydziestej Czwartej - rzekła pani Vance. - To taki miły spacer! Goodwin gra w teatrze na Bulwarze Madisona.

- Bardzo chętnie - powiedziała Carrie. - Ile kosztuje miejsce?

- Około dolara, nie więcej - informowała pani Vance.

Pani Vance wyszła, żeby zjawić się znowu o pierwszej, strojna w elegancką granatową suknię spacerową i doskonale dobrany wysoki kapelusik. Carrie wyglądała uroczo, ale czuła niemal ból, porównując siebie z tą kobietą. Posiadała mnóstwo ślicznych drobiazgów, których brakowało Carrie. Złote sprzączki, elegancka torebka z zielonej skóry z monogramem, wymyślna chusteczka do nosa itp. Carrie czuła, że powinna by mieć więcej lepszych sukien, żeby się równać z panią Vance, i że każdy, kto spojrzy na nie obie, będzie wołał panią Vance choćby dla samego stroju. Była to bolesna, aczkolwiek niezbyt sprawiedliwa myśl, gdyż Carrie urodą nie ustępowała tamtej i była typem pociągającym w rysunku i kolorycie. Była pewna różnica w toalecie ich obu, zarówno w gatunku jak i w świeżości, ale różnica ta nie rzucała się w oczy. Wystarczała jednak, żeby niezadowolenie Carrie z życia wzrosło. Przechadzka po Broadwayu wtedy jak i teraz stanowiła jedną z cech charakterystycznych Nowego Jorku. Spotykało się tam przed *matinée* i później nie tylko wszystkie piękne kobiety lubiące się pokazać, ale i mężczyzn lubiących na nie patrzeć i podziwiać je. Była to imponująca procesja pięknych twarzy i wytwornych strojów. Kobiety zjawiały się w najlepszych swoich sukniach, kapeluszach, trzewikach, rękawiczkach, przechadzając się pod rękę w wędrowkach po eleganckich magazynach lub dążąc do teatrów mieszczących się na odcinku między ulicą Czternastą i Trzydziestą Czwartą. Podobnie i mężczyźni nie omieszkali pojawiać się na Broadwayu. Krawiec mógł tam zbierać modele na najnowsze garnitury, szewc na barwę i fason trzewików, kapelusznik na kapelusze. Jest niezaprzeczoną prawdą, że elegant, zanim zamówił nowe ubranie, szedł przypatrzeć się na Broadway. Fakt ten był tak prawdziwy i tak dobrze rozumiany, że w kilka lat później skomponowano popularną piosenkę opiewającą te i inne fakty, związane z przeglądem mód na Broadwayu, pod tytułem „I jakież on ma prawo do Broadwayu?!“ Piosenka ta cieszyła się ogromnym powodzeniem w miejscowym music-hallu.

Przez cały czas pobytu w Nowym Jorku Carrie ani razu nie słyszała o istnieniu tego przeglądu mody, nigdy nie była nawet na Broadwayu w tych godzinach. Z drugiej strony „przegląd” był dobrze znany pani Vance, która nie tylko wiedziała o jego istnieniu, ale nie-

raz tu przychodziła, żeby widzieć i być widzianą, wywołać wrażenie swoją urodą i nie pozostać w tyle za modą obowiązującą w mieście.

Carrie, wysiadłszy z tramwaju na ulicy Trzydziestej Czwartej, szła krokiem dość swobodnym. Po chwili nie mogła już oderwać oczu od barwnego, strojnego tłumu. Zauważyła natychmiast, że pani Vance sztywnieje pod spojrzeniem przystojnych mężczyzn i elegancko ubranych kobiet, których zainteresowania nie łagodziło poczucie przyzwoitości. Przyglądanie się innym wydawało się rzeczą odpowiednią i przyjętą. Carrie czuła, że na nią patrzą i taksują ją mężczyźni w szerokich płaszczach i cylindrach, z laskami o srebrnych gałkach, którzy przechadzając się ocierali się niemal o kobiety i zaglądali im w oczy.

Kobiety przechodziły pospiesznym krokiem, szeleszcząc sukniami, siejąc dokoła uśmiechy i woń perfum. Carrie zanotowała między nimi krople cnoty i olbrzymi procent występku. Uróżwione i upudrowane policzki, pomalowane wargi, pachnące włosy, wielkie, zamglone, marzące oczy spotykało się na każdym kroku. Zbudziła się w jednej chwili i pojęła, że bierze udział w przeglądzie mody w wytwornym, i to niezwykle wytwornym otoczeniu! Witryny jubilerów błyszcząły po obu stronach ulicy niewiarygodnie często. Kwaciarnie, kuśnierze, szmuklerzy, sklepy z konfekcją - następowały po sobie kolejno. Ulica pełna była pojazdów. Imponujący portierzy w płaszczach z błyszczącymi guzami i lampami stali na progu olbrzymich magazynów, stangreci w lakierowanych butach, białych pantalonach i niebieskich kurtkach czekali na swoje panie czyniące zakupy wewnątrz magazynów. Cała ulica nosiła piętno bogactwa i zbytku i Carrie czuła, że jest poza nawiasem tego. Za cenę życia nie potrafiłaby naśladować wdzięku i powabu pani Vance, która w aureoli swojej urody była uosobieniem pewności siebie. Nie mogła nie myśleć, że w oczach większości ludzi ona jest tą gorzej ubraną. To przygnębiło Carrie i postanowiła nie wracać na Broadway, dopóki nie będzie lepiej ubrana. Jednocześnie marzyła o rozkoszy spaceru po Broadwayu, gdy będzie dorównywała elegancją swemu otoczeniu. Ach, jakże byłaby szczęśliwa wtedy!

Rozdział XXXII

UCZTA BALTAZARA: PROROK JEST PO TO, ŻEBY WYJAŚNIŁ

Uczucia, jakie zrodziły się w Carrie podczas tej przechadzki, uczyniły ją szczególnie wrażliwą na patos, którym przesiąknięta była sztuka. Aktor, którego poszły oglądać, zawdzięczał swoją popularność typowi komedii umiarkowanie smutnej dla wyraźniejszego podkreślenia pogody i wesołości. Dla Carrie, jak wiemy, scena była rzeczą niezwykle pociągającą. Nie zapomniała dotychczas o swoim historycznym występie w Chicago. Wspomnienie to tkwiło w jej mózgu i absorbowало myśli w czasie długich popołudni, kiedy fotel bujający i ostatnia nowość powieściowa stanowiły jedyną jej rozrywkę. Ilekroć była w teatrze, przypominała sobie, że i ona wykazała talent. Niektóre sceny budziły w niej chęć grania podobnej roli, chęć dania wyrazu uczuciom, które ona, odtwarzając tę rolę, musiałaby przeżywać. Prawie niezmiennie wynosiła z teatru żywe wyobrażenia i marzyła o nich przez następne dni. Żyła nimi na równi ze zdarzeniami powszedniego dnia.

Nieczęsto zdarzało się Carrie trafić na sztukę, która swoją aktualnością do głębi wzruszała jej serce. Dziś piękno, wesołość i bogactwo sceny, którą widziała na Broadwayu, wzbudziły w jej sercu przewlekłą pieśń tęsknoty. Och, te kobiety, które ją mijały, setki i setki tych kobiet! Kimże one były? Skąd pochodziły bogate i eleganckie ich stroje, zadziwiającej barwy guzy, drobiazgi ze złota i srebra? Gdzie mieszkały te piękne istoty? Pomiedzy jakimi rzeźbionymi sprzętami, malowanymi ścianami, wspaniałymi kobiercami poruszały się? Gdzie były ich bogate apartamenty, naładowane wszystkim, czego dostarczyć może pieniądze? W jakich stajniach stały te rasowe, nerwowe konie i wspaniałe pojazdy? Gdzie spędzała czas bogato przystrojona służba? Och, te pałace, światła, perfumy, przebogate buduary i stoły! Nowy Jork musi być pełen cudowności, w przeciwnym razie podobne istoty w ogóle nie mogłyby istnieć!

Gdzieś przecież muszą być cieplarnie, w których znajdują schronienie! Bolała ją myśl, że ona, Carrie, nie jest jedną z nich, że niestety jej sen się nie spełnił. Nie mogła się dość nadziwić swojej samotności w ciągu ostatnich dwóch lat, swojej obojętności wobec faktu, że nie osiągnęła tego, o czym marzyła.

Sztuka należała do rzędu owych komedii salonowych, w których wytwornie ubrane damy i panowie cierpią męki zazdrości i przeżywają miłość w otoczeniu kąpiących od złota sprzętów. Tego rodzaju *bons mots* są zawsze pokusą dla ludzi, którzy po całych dniach marzą o rozkoszach materialnych, a których marzenie nigdy się jeszcze nie urzeczywistniło. Widzą, czym jest czar cierpienia w idealnych warunkach życiowych. Któż nie zgodziłby się cierpieć na złoconym krześle? Któż nie zgodziłby się cierpieć w otoczeniu uperfumowanych kobierców, miękkich mebli, służby w liberii? Smutek w takich okolicznościach staje się czymś godnym pożałowania! Carrie pragnęła go. Pragnęła cierpieć na takiej scenie, w takim otoczeniu, mniejsza, z jakiego powodu, albo przynajmniej przeżywać swoje cierpienia pozornie. To, co widziała, wywarło na niej tak oszałamiające wrażenie, że sztuka wydała się jej znakomita. Zatraciła się w świecie, który przedstawiał autor, marząc o jednym tylko - nigdy nie wracać do innego świata! W antraktach przyglądała się konstelacjom gwiazd, uświetniającym swoją obecnością *matinée* (pierwsze rzędy i loże), i nabrała nowego pojęcia o możliwościach Nowego Jorku. Teraz miała pewność, że nie wszystko jeszcze widziała, że miasto to było jednym wirem uciech i rozkoszy.

Gdy wyszły, Broadway dał jej drugą, ostrzejszą nauczkę. Scena, którą obserwowała idąc do teatru, wydała się wspanialsza i osiągnęła swój największy rozkwit. Nigdy nie widziała takiego nadmiaru finezji i szału. To utwierdziło ją w pojęciu, jakie miała o sobie. Nie żyła dotychczas, nie może mieć pretensji, że żyła kiedykolwiek, zanim coś z tego nie zabarwi i jej życia! Pieniądze przepływały przez ręce kobiet jak woda. Widziała to w każdym eleganckim magazynie, koło którego przechodziły. Kwiaty, słodczyce, klejnoty zdawały się być jedynymi rzeczami, jakimi interesowały się wytworne damy. A ona - ona posiada zaledwie tyle, żeby raz czy dwa na miesiąc móc sobie pozwolić na taką skromną przyjemność.

Tego wieczora milutkie mieszkanko wydało się Carrie niesłychanie pospolite. To nie to, czym się zadowala reszta świata. Obojętnie śledziła przygotowania do obiadu. Przeżywała poszczególne sceny widziane w teatrze. Utkwiła jej w pamięci zwłaszcza jedna przystojna aktorka - pierwsza naiwna, o którą bohater starał się i którą w końcu zdobył. Wdzięk tej kobiety podbił serce Carrie. Suknie jej były ostatnim wyrazem sztuki, cierpienia jej miały akcent prawdy. Carrie doskonale była przekonana, że potrafiłaby nie gorzej zagrać. Były nawet miejsca, które zagrałaby może lepiej. Powtarzała niektóre ustępy. Och, gdybyż dano jej taką rolę, jak piękne byłoby jej życie! I ona potrafi wzruszyć grą.

Wróciwszy, Hurstwood zastał Carrie nadąsaną. Siedziała w fotelu, bujając się i myśląc. Nie miała ochoty, żeby przerywano jej te miłe, kuszące marzenia, więc mówiła bardzo niewiele.

- Co się stało, Carrie? - zapytał Hurstwood po chwili, zauważywszy, że jest w spokojnym, milczącym, niemal ponurym nastroju.

- Nic - rzekła. - Czuję się nieszczególnie dzisiaj.

- Nie jesteś chyba chora? - zaniepokoił się i podszedł do niej blisko.

- Ach, nie - powiedziała nadąsana. - Po prostu nie czuję się dobrze.

- To źle - powiedział cofając się i poprawiając marynarkę, która zmarszczyła się przez nachylenie. - Myślałem, że pójdziemy do teatru.

- Nie mam ochoty - rzekła Carrie, niezadowolona, że przzerwano jej piękne marzenia, które pierzchły. - Byłam dzisiaj na *matinée*.

- A... byłaś? - rzekł Hurstwood. - A co grali?

- „Żyła złota”.

- Jakże się udało?

- Bardzo dobrze.

- Więc nie masz ochoty iść dzisiaj do teatru?

- Chyba nie...

Niemniej raz rozbudzona ze swej melancholii, zmieniła przy obiedzie zamiar. Odrobiła pożywienia, gdy się dostanie do żołądka, czyni cuda. Poszła do teatru drugi raz i na jakiś czas odzyskała spokój. Już się w niej jednak dokonało przebudzenie. Choćby się otrząsnęła z tych przykrych myśli, będą one powracały. Czas i ciągle powtarzanie... ach, jakież one tworzyć mogą cuda! Woda spadająca kroplami i twardy kamień - jak doszczętnie kruszeje w końcu.

Wkrótce po owym doświadczeniu z *matinée* - może w miesiąc - pani Vance zaprosiła Carrie na wieczorne przedstawienie. Słyszała, jak Carrie mówiła, że Hurstwood nie wróci na obiad.

- Dlaczego nie miałyby pani iść z nami? Proszę nie robić obiadu dla siebie. Pójdziemy do „Sherry” na obiad, a stamtąd wprost do „Liceum”. Pani nam nie odmówi, prawda?

- Ależ z przyjemnością pójdę! - rzekła Carrie.

O trzeciej zaczęła się ubierać, już o wpół do szóstej bowiem miano się udać do znanej

restauracji „Sherry”, która podówczas rywalizowała z „Delmonico”. Strój Carrie zdradzał wyraźnie wpływ pani Vance. Ta ostatnia bowiem wciąż zwracała uwagę Carrie na nowości we wszystkim, co dotyczyło stroju kobiecego. „Kupi pani sobie taki a taki kapelusz!” albo: „Widziała pani nowe rękawiczki z owalnymi guziczkami z masy perłowej?” - oto kilka zdań wyjętych z obszernego zbioru.

- Jeżeli droga pani będzie kupować trzewiki - mówiła pani Vance - to proszę koniecznie kupić zapinane na guziki, na grubych podeszwach, z naszytymi noskami. Są teraz najmodniejsze.

- Ależ naturalnie! - mówiła Carrie.

- Widziała droga pani bluzki u Altmana? Prześliczne fasony! Oglądałam jedną, w której byłoby pani cudownie! Powiedziałam to, jak tylko pokazali mi tę bluzkę!

Carrie słuchała tych rzeczy ze wzmożonym zainteresowaniem, były bowiem mówione z większą życzliwością, niż to bywa między ładnymi kobietami. Pani Vance tak bardzo polubiła solidną poczciwość Carrie, że z niekłamaną przyjemnością dzieliła się z nią swymi wiadomościami w tej dziedzinie.

- Dlaczego nie kupi pani sobie jednej z tych ślicznych sukienek z *serge*, jakie mają teraz Lord i Taylor? - zapytała pewnego dnia. - Są ogromnie modne i będą bardzo noszone. W ciemnogrnatowej byłoby pani bardzo ładnie.

Carrie słuchała z otwartymi uszami. O tych rzeczach nie było nigdy mowy między nią i Hurstwoodem. Niemniej kilkakrotnie poddała myśl kupienia tego czy owego, na co Hurstwood się zgodził, nie wypowiadając reszty swego zdania. Zauważył nowy zwrot w dążeniach Carrie i słysząc wciąż o pani Vance i jej wspaniałych toaletach, domyślił się wreszcie, czym można tłumaczyć zmianę. Nie miał najmniejszego zamiaru przeciwstawiać się żądaniom Carrie, czuł jednak, że żądania te są bardzo kosztowne. Zaczął dbać o nią ze swej strony i tak jakoś rzeczy szły. Jednak były pewne szczegóły mówiące Carrie wyraźnie, że żądania jej bynajmniej nie napawają go rozkoszą. Nie entuzjasmował się jej sprawunkami. To nasunęło Carrie myśl, że ją zaniedbuje; powstał nowy zgrzyt w ich pożyciu.

Rady pani Vance miały ten skutek, że w takich okolicznościach, jak ta, Carrie ubrana była w sposób, który ją zadowalał. To prawda, że ubrała się, w co miała najlepszego, a to najlepsze było szykowne i modne. Wyglądała na nie dbającą o swoją urodę dwudziestodwuletnią kobietkę i pani Vance chwaliła ją szczerze, co wywoływało rumieńce na białych po-

liczkach i radość w wielkich oczach. Zanosiło się na deszcz i pan Vance na prośbę żony kazał sprowadzić karete.

- Mąż pani nie przyjdzie? - zapytał pan Vance.

- Nie. Zapowiedział, że nie wróci na obiad do domu.

- Zechce pani zostawić mu kartkę z notatką, gdzie będziemy? Może zajdzie.

- Dobrze - powiedziała Carrie, której nie przyszło to na myśl.

- Proszę mu napisać, że będziemy w „Sherry” do ósmej. Musi wiedzieć, gdzie to jest!

Carrie przeszła przez salonik, szeleszcząc suknią, i nakreśliła kilka słów, nie zdejmując rękawiczek. Gdy wróciła z saloniku Vance'ów, zastała nowego przybysza.

- Pani pozwoli przedstawić sobie pana Amesa, mego kuzyna - rzekła pani Vance. - Idzie z nami. Prawda, Bob?

- Bardzom rad z poznania pani - rzekł pan Ames kłaniając się.

Carrie jednym spojrzeniem objęła jego wysoką, kształtną postać. Zauważyła również, że jest ogolony, przystojny, młody, ale nic więcej.

- Pan Ames przyjechał do Nowego Jorku na kilka dni - tłumaczył pan Vance - i chcemy mu trochę pokazać miasto.

- Doprawdy? - rzekła Carrie, rzucając spojrzenie na nowo przybyłego.

- Tak. Przyjechałem z Indianapolis na tydzień lub dwa - rzekł młody Ames, siadając na brzeżku krzesła w oczekiwaniu na panią Vance, która kończyła się ubierać.

- Sądzę, że uważa pan Nowy Jork za wart zwiedzenia, prawda? - zapytała Carrie, starając się uniknąć przerw w rozmowie.

- Wątpię, czy da się zwiedzić w ciągu tygodnia - uprzejmie odpowiedział Ames.

Była to poczciwa dusza, ten młody pan Ames, bez śladu afektacji. Carrie miała wrażenie, że widzi w nim ślady chłopięcej wstydlivości. Nie robił wrażenia człowieka rozmownego, ale posiadał cnotę starannego ubioru i odwagę przekonań. Carrie czuła, że rozmowa z nim nie będzie trudna.

- No, zdaje mi się, że jesteśmy gotowi! Kareta czeka przed drzwiami!

- Chodźcie, ludzie! - rzekła pani Vance wchodząc z uśmiechem. - Bob, masz się opiekować panią Wheeler!

- Spróbuję! - rzekł Bob uśmiechając się i zbliżając do Carrie. - Nie wymaga pani zbytnej opieki, prawda? - rzucił w sposób swobodny, koleżeński.

- Niewiele, mam nadzieję! - rzekła Carrie. Zeszli ze schodów i wsiedli do karety.
- Gotowe! - zawołał pan Vance, zatraskując drzwiczki. Pojazd potoczył się.
- Na co właściwie idziemy? - zapytał Ames.
- Na Shoterna - odrzekł Vance. - W „Lordzie Chumleyu”.
- Jest świetny - unosiła się pani Vance. - Najzabawniejszy aktor, jakiego znam!
- Jak zauważyłem, gazety bardzo go chwalą - rzekł Ames.
- O tym nie wątpię - rzucił Vance. - Powinniśmy się doskonale bawić!

Ames zajął miejsce obok Carrie i uważał za swój obowiązek bawić ją rozmową. Interesowała go ta kobieta, taka młoda i już zamężna, i do tego taka ładna, ale było to zainteresowanie pełne czci. Nie było w nim nic z bawidamka. Szanował stan małżeński i myślał tylko o pannach na wydaniu z Indianapolis.

- Urodziła się pani w Nowym Jorku? - zapytał Ames.
- O nie! Mieszkam tu dopiero dwa lata.
- Ale musiała pani dostatecznie poznać miasto.
- Nie zdaje mi się - rzekła Carrie. - Nowy Jork jest dla mnie taki sam obcy jak wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechałam.
- Pani nie pochodzi z Zachodu, prawda?
- Owszem. Z Wisconsin - odpowiedziała.
- Hm! Wydaje mi się, że większość ludzi niedawno przyjechała do Nowego Jorku. Słyszałem, że w mojej branży pracuje mnóstwo ludzi z Indianapolis.
- A jaka jest pańska branża?
- Pracuję dla przedsiębiorstwa elektrycznego - odrzekł młodzieniec.

Carrie podtrzymywała tę urywkową rozmowę przerywaną od czasu do czasu uwagą któregoś z Vance'ów. Czasami rozmowa stawała się ogólna i nawet wesoła. W ten sposób dojechano do restauracji.

Carrie zauważyła natychmiast, że ulice, którymi jechali, tchną wesołością i żądzą zabawy. Pojazdów było bardzo dużo, przechodnie - liczni, na ulicy Pięćdziesiątej Dziewiątej tramwaje przepełnione. Na ulicy Pięćdziesiątej Dziewiątej i na Piątej Alei smugi światła licznych nowych hoteli, otaczających Plaza Square, dawały pojęcie o zbyt kownym życiu hotelowym. Na Alei Piątej, zamieszkaney przez bogaczy, tłumnie było od pojazdów i panów w wieczorowych strojach. W „Sherry” wspaniały portier otworzył drzwiczki karety i po-

mógł im wyciągnąć. Młody Ames ujął Carrie za łokieć pomagając jej stanąć na stopniu. Weszli do przedsionka, gdzie roziło się od służby, i uwolniwszy się z płaszców przeszli do wspaniałej sali jadalnej.

Nigdy w życiu nie widziała Carrie podobnego przepychu. Przez cały czas pobytu w Nowym Jorku ograniczone środki Hurstwooda nie pozwalały na odwiedzanie takich lokali. Panowała tu nie dająca się bliżej określić atmosfera. Było to miejsce, gdzie pieniądź ograniczał sferę gości do ludzi majątnych i lubiących się bawić. Carrie nieraz czytała o „Sherry” w „Morning” albo „Evening World”. Widywała notatki o tańczących wieczorach, balach, rautach w „Sherry”. Pani „taka a taka” przyjmuje we wtorki w „Sherry”. Młody pan „taki a taki” szesnastego podejmował grono przyjaciół w salonach „Sherry”. Przebiegając te pospolite notatki z życia towarzyskiego (nie mogła się powstrzymać od czytania ich codziennie), nabrała pojęcia o wspaniałości i zbytku tej jedynej w swoim rodzaju świątyni gastronomicznej. I oto nareszcie sama do niej trafiła! Weszła po wspaniałych schodach, na straży których stał wysoki i postawny portier. Widziała przedsionek, w którym stał drugi wysoki i postawny portier. Była obsłużona przez młodzieńca w liberii, który zaopiekował się płaszcami, laskami itp. Oto przepyszna jadalnia, udekorowana, połyskliwa, gdzie bogacze zaspokajają swój głód. Ach, jakże szczęśliwa była pani Vance! Młoda, piękna, elegancka, zamożna... na tyle, żeby móc tu przyjeżdżać powozem. Co za cudowna rzecz - być bogatą!

Vance torował drogę między szeregami stołów, przy których siedziały dwie, trzy, cztery i więcej osób. Wyraz powagi i godności unoszący się nad tym wszystkim od razu rzucał się w oczy nowicjusze.

Światła. Odbicia światła w głębokiej powierzchni zwierciadeł, złocenia na ścianach tak stonowane z barwami, że trzeba było kilku minut badawczej obserwacji, by je dojrzeć. Białe gorsy panów, świetne toalety pań, diamenty, klejnoty, wspaniałe pióra - wszystko to nie mogło nie rzucać się w oczy.

Carrie idąc naśladowała ruchy pani Vance. Zajęła miejsce, które wskazał jej starszy kelner. Zdawała sobie dokładnie sprawę ze wszystkich szczegółów, które się dokoła niej działy - z ukłonów i unizoności kelnerów i „starszych”, za które Amerykanin tak chętnie płaci. Mina, z jaką starszy kelner wskazał gościowi krzesło, ruch ręki, którym zachęcał do zajęcia tego krzesła - warte były same w sobie kilkanaście dolarów.

Usiadłszy rozpoczęli zwyczajem bogatych Amerykanów przegląd kosztownych,

wspaniałych i niezdrowych przetworów gastronomicznych, które jak świat długi i szeroki są dziwołagiem i zaprzeczeniem prawdziwej kultury i godności. Długi spis wykwintnych potraw, którymi można by wyżywić armię, opatrzonych cenami czyniącymi racjonalny rachunek rzeczą niemożliwie śmieszną - spis zup po pięćdziesiąt centów i po dolarze porcja (tuzin do wyboru), ostrygi podawane na czterdzieści sposobów (po sześćdziesiąt centów pół tuzina), *entrées*, ryby, pieczone, wszystko to po cenach, którymi można by opłacić dzienny pobyt w przeciętnym hotelu; półtora dolara i dwa dolary, oto cena większości tych potraw.

Carrie zauważyła to. Cena kurczęcia po wiosennemu przypomniła jej spis innych potraw i cen, w zupełnie innych warunkach, kiedy pierwszy raz w życiu siedziała w dobrej restauracji z Charliem Drouetem w Chicago. Trwało to tylko chwilę - smutny motyw starej piosenki - i utonęło w niepamięci. Ale ta jedna chwila wystarczyła, aby ujrzała tę drugą Carrie - ubogą, głodną, łamiącą sobie głowę nad swoim losem, i całe Chicago - ów zimny zamknięty świat, od którego odeszła tylko dlatego, iż nie mogła znaleźć pracy.

Na ścianach były rysunki - malowidła: błękitne kwadraty w złotym obramowaniu, których kąty stanowiły wymyślne kombinacje kwiatów i owoców, między nimi tłuste amorki lawirowały z anielską zręcznością. Na suficie barwne plamy i znowu złoto promieniami biegnące do środka, skąd lały się snopy światła - mieniające się kule na zmianę z błyszczącymi pryzmatami i stiukami w kształcie złotych łodyg. Błyszcząca posadzka miała odcień czerwony, wszędzie wisiały zwierciadła - wielkie, błyszczące, ukośnie ścięte, odbijające sprzęty, twarze i kandelabry tysiąc i jeden razy.

Stoły nie były niczym zadziwiającym same w sobie, ale „Sherry” wytłoczone na obrusach, nazwisko Tiffany na srebrach, nazwisko Haviland na porcelanie, a nad tym wszystkim światło małych kandelabrow w czerwonych abażurach, odbicie barw na ubraniu i twarzach nadawały im coś szczególnego. To wrażenie elegancji i ekskluzywności pogłębiał każdy kelner sposobem, w jaki się kłaniał, pochylał, podawał i zabierał poszczególne przedmioty. Ekskluzywne, osobiste uszanowanie, z jakim traktował każdego gościa, stojąc pochylony, nachylając ucha, z odstawionymi łokciami, i mówiąc: „Zupa... z zielonego żółwia... teek. Jedna porcja... teek... Ostrygi... oczywiście... jedna porcja... teek. Szparagi. Oliwki... teek...”

Ceremonia ta powtórzyłaby się z każdym, gdyby Vance nie podjął się ułożenia menu, radząc i proponując rozmaite potrawy. Carrie przyglądała się towarzystwu szeroko otwartymi oczami. Więc to jest *high life* Nowego Jorku! Więc to tak spędzali dni i wieczory! Jej

biedny, mały mózdzek nie mógł się wznieść ponad to, żeby nie łączyć każdej poszczególnej sceny z całą sferą. Każda piękna kobieta musi być na Broadwayu po południu, w teatrze na *matinée*, w pojazdach i salach restauracyjnych wieczorem. Wszędzie musi być zbytek i bogactwo, wszędzie czekają pojazdy, wszędzie służba gotowa jest na skinienie, tylko ona jest poza tym. W ciągu dwóch długich lat ani razu nie była w takim lokalu jak ten.

Vance czuł się tu w swoim żywiole, jak czułby się za dawnych czasów i Hurstwood. Zamawiał swobodnie ostrygi, zupy, mięsa, przystawki, kazał podać kilka flaszek wina, które postawiono koło stołu w ruchomym koszu.

Ames patrzył na tłum raczej w zamyśleniu, zwracając do Carrie swój interesujący profil. Czoło miał wysokie, nos długi i gruby, brodę ładnie modelowaną. Miał poczciwe, szerokie, dobrze zarysowane usta, a ciemnobrązowe włosy miały z boku przedział. Carrie widziała w nim coś chłopięcego, choć był zupełnie dorosłym mężczyzną.

- Wie pani - rzekł zwracając się do Carrie - czasami zdaje mi się, że po prostu wstyd wyrzucać pieniądze w taki sposób!

Carrie spojrzała na mówiącego, z lekka zdumiona powagą jego tonu. Zdawał się myśleć o czymś, nad czym ona nigdy się nie zastanowiła.

- Doprawdy? - zapytała życzliwie.

- Tak - powiedział. - Płaci się o wiele więcej, niż te rzeczy są warte. Wszystko dla blichtru!

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mieliby wydawać, jeżeli mają pieniądze! - powiedziała pani Vance.

- Nikomu to nie szkodzi - dodał pan Vance, czytając spis potraw, choć już ułożył menu.

Ames znowu patrzył w dal, a Carrie znowu widziała przed sobą jego czoło. Według jej rozumienia myślał o bardzo dziwnych rzeczach. Gdy patrzył na tłum, wzrok jego złagodniał.

- Proszę spojrzeć na tamtą suknię - powiedział zwracając się znowu do Carrie i wskazując w odpowiednim kierunku.

- Gdzie? - oczy Carrie poszły za jego oczyma.

- Tam... w rogu... w samym rogu sali. Widzi pani tę broszkę?

- Olbrzymia, prawda? - powiedziała Carrie.

- Jeden z największych zbiorów klejnotów, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem - rzekł Ames.

- Prawda? - zapytała Carrie. Czuła, że pragnie być miłą dla tego młodzieńca. Jednocześnie, a może nawet i przedtem jeszcze, zrozumiała, że Ames jest bardziej wykształcony od niej... że to typ wyższy. Na to wyglądał. Takie robił wrażenie, zaś największym urokiem Carrie było (i to ją bawiło) zrozumienie, że ludzie mogą być mądrzejsi od niej. Widziała w życiu mnóstwo mężczyzn, którzy przypominali to, czym w jej pojęciu są „uczni”. Ten młody siłacz siedzący obok niej, o jasnym, pogodnym spojrzeniu, zdawał się wiedzieć rzeczy, które Carrie nie bardzo rozumiała, ale które uznawała. To tak przyjemnie dla mężczyzny być takim, myślała Carrie.

Rozmowa przeszła na książkę cieszącą się dużym rozgłosem w owym czasie - „Mouling a Maiden” Alberta Rossa. Pani Vance czytała tę powieść. Vance czytał wzmiankę o niej w jakimś piśmie.

- Można narobić porządnego hałasu napisawszy książkę - rzekł Vance. - Wszyscy mówią teraz o Albercie Rossie. - Mówiąc patrzył na Carrie.

- Nie słyszałam o tym autorze - uczciwie przyznała Carrie.

- A ja słyszałam! - zawołała pani Vance. - Napisał mnóstwo powieści. Ostatnia jest naprawdę doskonała.

- Nie cenię go - rzekł Ames.

Carrie patrzyła na niego jak w wyrocznię.

- Jego powieścidlą są prawie tak marne, jak „Dora Thorn” - kończył Ames.

Carrie wzięła to za osobisty wyrzut. Czytała „Dorę Thorn” kiedyś. Wydała się jej dosyć interesująca i sądziła, że ludzie uważają tę książkę za arcydzieło. A teraz ten młodzieńiec o jasnym wzroku i ładnych ustach, którego traktowała trochę jak studencika, kpił z tej powieści. Wydawała mu się nędzna, niewarta czytania. Spuściła oczy i po raz pierwszy uczuła przykrość nieporozumienia.

Nie było nic drwiącego ani sarkastycznego w tonie Amesa. Nie miał nic drwiącego ani sarkastycznego w sobie. Carrie czuła, że jest to spojrzenie z wyższego poziomu - jak należy myśleć - i zastanowiła się, w czym jeszcze ma on rację. Zdawał się zauważyć, że słucha go życzliwie, i od tej chwili zwracał się przeważnie do niej.

Gdy kelner pochylał się, kłaniał, dotykał półmisków, czy są dostatecznie ciepłe, przy-

nosił widelce i łyżki i czynił wiele innych rzeczy obliczonych na to, żeby obiadujący zrozumiał ważkość sytuacji, Ames skłaniał się z lekka ku Carrie, w sposób inteligentny opowiadając jej o Indianapolis. Rzeczywiście posiadał bardzo szeroki umysł, który znalazł możliwość rozwinięcia się w dziedzinie elektrotechniki. W sposób gorący i zwięzły udzielał informacji z innych dziedzin, mówił o poszczególnych typach ludzi. Czerwona łuna nad głową nadawała jego twarzy brązowy odcień i potęgowała blask oczu. Carrie zauważyła to wszystko, gdy się pochylał nad nią. Czowała się wyjątkowo młoda. Ten człowiek przewyższał ją. Wydawał się jej mądrzejszy od Hurstwooda, zdrowszy i weselszy od Droueta. Zdawał się niewinny, czysty. Mówiła sobie, że jest wyjątkowo miły. Zauważyła również, że jego zainteresowanie się nią jest jakby dalekie. Nie grała roli w jego życiu ani w niczym, co dotyczyło jego życia, a jednak gdy mówił, odczuwała go.

- Nie chciałbym być bogaty - mówił Ames, gdy obiad dobiegł końca, podniecony obfitością potraw. - Na tyle bogaty, żeby w taki sposób wyrzucać pieniądze.

- O, doprawdy? - rzekła Carrie, gdy narzucono jej tę zupełnie nową koncepcję.

- Doprawdy - rzekł. - Bo po cóż? Człowiek nie potrzebuje takich rzeczy, żeby być szczęśliwym.

Carrie słuchała tego z niedowierzaniem. Ale ponieważ słowa te wyszły od niego, miały dla niej wartość.

- Prawdopodobnie potrafiłby być szczęśliwy nawet sam - myślała. - Jest taki silny!

Państwo Vance podtrzymywali niegasnący ogień wtrącanych zdań i te pełne znaczenia powiedzenia Amesa zabrzmiały dość dziwacznie. Wystarczyło jednak, gdyż atmosfera, jaką roztaczał, wywierała przemożny wpływ na Carrie. Było w nim (lub w świecie, w którym się obracał) coś, co przemawiało do Carrie. Przypomniawszy jej sceny widziane w teatrze - smutki i poświęcenia, które towarzyszyły zawsze... czemu? Nie wiedziała. Zatarł poniekąd gorycz kontrastu jej życia z życiem tamtym - dzięki obojętnemu spokojowi.

Gdy wyszli, ujął ją pod ramię i pomógł jej wsiąść do powozu, po czym pojechali do teatru.

W antraktach Carrie słuchała bardzo uważnie tego, co mówił. Zwracał uwagę na rzeczy, które i jej się podobały, które wywarły na niej silne wrażenie.

- Czy nie sądzi pan, że to wspinała rzecz... być aktorem? - zapytała.

- Tak - powiedział. - Ale dobrym. Teatr to wielka rzecz.

Ta mała aprobata wprawiła w drżenie serce Carrie. Och!

Gdybyż mogła być aktorką... wielką aktorką! Ten człowiek jest taki rozumny... tyle wie... i pochwała to. Gdyby była znakomitą aktorką, tacy mężczyźni, jak on, zachwycaliby się nią. Czowała, że jest dobry, że tak mówi, choćby nawet nie miał na myśli jej. Nie potrafiła by powiedzieć, dlaczego tak czuła.

Po skończonym przedstawieniu okazało się - niespodziewanie - że nie wraca z nimi.

- Naprawdę? - zapytała Carrie z dziwnym uczuciem.

- Tak - powiedział. - Mieszkam tu niedaleko, przy ulicy Trzydziestej Trzeciej.

Carrie nie powiedziała nic więcej, ale to odkrycie zaskoczyło ją. Żałowała, że minął ten przemiły wieczór, ale miała nadzieję, że przeciągnie się jeszcze z pół godziny. Och, te pół godziny, te minuty życia! Ileż nieszczęść kryją w sobie!

Pożegnała go ze sztuczną obojętnością. Bo i po cóż? A jednak czuła, że powóz dziwnie opustoszał.

Wróciwszy do domu jeszcze raz się nad tym zastanowiła. Przecież nie wie, czy go jeszcze kiedy w życiu zobaczy! Czy to nie wszystko jedno... czy to naprawdę nie wszystko jedno, ostatecznie?!

Hurstwood wrócił i leżał już w łóżku. Ubranie jego było porzucane po całym pokoju. Carrie podeszła do drzwi, spojrzała na niego i cofnęła się. Nie chciała się jeszcze kłaść. Chciała pomyśleć. Było jej przykro.

Wszedłszy do jadalni usiadła w fotelu i zaczęła się bujać. Mocno splotła swoje małe rączki. Zaczynała widzieć poprzez mgłę pragnień, niejasnych pożądań. Och, te legiony nadziei i żalów, smutków i bólu! Bujając się, zaczynała widzieć.

Rozdział XXXIII

ZA MURAMI MIASTA: TRACIMY Z LATAMI

Bezpośredni skutek tego był żaden. Skutki tego rodzaju rzeczy zazwyczaj każą na sobie czekać i wznoszą powoli. Ranek przynosi zmianę uczuć. Istniejące warunki niezmiennie przemawiają za sobą. W rzadkich tylko chwilach widzimy marność rzeczy. Serce rozumie, gdy stanie wobec sprzeczności. Usuńcie sprzeczność, a ból przeminie.

Carrie przez następnych sześć, a może i więcej miesięcy wiodła poprzednie życie. Nie spotkała więcej Amesę. Odwiedził państwa Vance, ale ona wiedziała o tej wizycie jedynie z ust swojej przyjaciółki. Potem odjechał na Zachód i jeżeli wzbudził w Carrie jakieś zainteresowanie natury osobistej, to malało ono stopniowo. Ale duchowy wpływ jego nie przeminął i nie miał przeminąć nigdy. Zyskała ideał, do którego porównywała innych mężczyzn, zwłaszcza bliskich sobie.

Przez cały ten czas - to jest prawie trzy lata - Hurstwood szedł równą drogą. Niepodobna było zauważyć obniżenia ani wyraźnego wzniesienia się, przynajmniej nie mógł tego dojrzeć przeciętny obserwator. Ale głęboki psycholog mógł w nim spostrzec zmianę dość znaczną, która pozwalała domyślić się, jaka będzie jego przyszłość. Zmiana ta wyrażała się w zatrzymaniu, jakiego doznała kariera jego od wyjazdu z Chicago. Fortuna człowieka albo rozwój materialny przypomina ściśle jego rozwój cielesny. Albo człowiek staje się silniejszy, zdrowszy, mądrzejszy, jak młodzieniec zbliżający się do wieku męskiego, albo starzeje się, słabnie, niknie duchowo jak człowiek zbliżający się ku starości. Inne stany nie istnieją. Trafiają się okresy między zatrzymaniem wzrostu młodzieńczego i starzeniem się u człowieka w średnim wieku, kiedy oba te procesy się równoważą i w żadnym kierunku się nic nie dzieje. Dajcie jednak czas, a waga przechyli cięższą szalę. Z początku powoli, potem z niewielkim przyśpieszeniem, wreszcie z zupełnie wyraźnym odchyleniem. Tak samo dzieje się z fortuną człowieka. Jeżeli proces wznoszenia nie ustaje, jeżeli nigdy nie osiągnie stadium wahania się, natenczas nigdy nie grozi jej rozkład. Ludzie bogaci częstokroć ratują swoje fortuny przed upadkiem, angażując do pracy umysły młodsze i zdolniejsze. Te młode umysły czuwają nad interesami takich fortun jak nad swymi własnymi i w ten sposób zwiększają

i utrzymują ich rozwój. Gdyby każdy musiał sam osobiście troszczyć się o swoją fortunę; gdyby dano mu dostateczny czas na zupełne zestarzenie się - natenczas fortuna jego znikłaby tak samo, jak znikły jego siły i wola. Wraz ze wszystkim, co posiada, obróciłby się w proch i rozwiął na cztery strony świata.

Ale teraz przyjrzyjmy się, gdzie porównanie to nie wytrzymuje krytyki. Fortuna podobnie jak żywy człowiek jest organizmem, który przyciąga do siebie inne mózgi i inne siły aniżeli te, które uosabia jej twórca. Obok młodych mózgów przyciągniętych zarobkami wspomagają go młode siły, które podtrzymują życie organizmu i wtedy jeszcze, gdy siła i rozum twórczy więdnie. Chroni go też wzrost społeczeństwa lub państwa. Istnienie swoje zawdzięczać może produkowaniu tego, na co wzrasta popyt. Okoliczność ta stawia fortunę poza granice specjalnej pieczołowitości założyciela. Nie wymaga już bowiem tyle zdolności przewidywania, co kierowania. Człowiek słabnie, popyt trwa lub zwiększa się i fortuna bez względu na to, w jakie dostała się ręce, trwa również. Stąd niektórzy ludzie nigdy nie widzą zwrotu w nateżeniu swoich zdolności. Tylko wtedy, gdy tracą fortunę lub zaczyna im się gorzej dziać, widzą własną niezdolność czynienia tak, jak czynili dawniej. Hurstwood znalazłszy się w nowych warunkach życia mógł stwierdzić, że przestał być młody. Jeżeli nie widział, to dlatego, iż osiągnął ów stan doskonałej równowagi, który nie wskazywał wyraźnej zmiany na gorsze.

Nie przyzwyczajony do rozumowania ani wglądania w siebie, nie umiał analizować zmian, jakie się odbyły w jego duszy, a więc i w ciele, ale czuł ich deprymujący wpływ. Ciągłe porównywanie tego, co miał, z tym, co ma, wskazywało odchylenie ku gorszemu, co z kolei czyniło go ponurym i utrzymywało w stanie depresji. Otóż jest rzeczą dowiedzioną, że stała ponurość wytwarza we krwi pewne trucizny, zwane katastates, podobnie jak szlachetne uczucie rozkoszy i radości wytwarza dobroczynne związki, zwane anastates. Jad, wytworzony przez ciągłe martwienie się, szkodzi organizmowi i może nawet wywołać wyraźne fizyczne pogorszenie. To właśnie stało się z Hurstwoodem.

Z biegiem czasu odbiło się to na jego usposobieniu. Oczy zatraciły już ową kpiącą, chytrą przenikliwość, która charakteryzowała go w minionym okresie. Krok jego był mniej elastyczny i pewny. Przeważnie myślał, myślał, myślał. Nowi jego przyjaciele w żadnym razie nie należeli do znakomitości. Byli z tańszego, nieco bardziej przyziemnego surowca. Towarzystwo ich nie mogło mu sprawiać tej przyjemności, jaką były stosunki z wytwornymi

mi gośćmi Fitzgeralda i Moya. Musiał wystarczyć sam sobie.

Prędko, bardzo prędko porzucił myśl przyciągnięcia, zadomowienia, ugłaskania ludzi odwiedzających bar przy ulicy Warren. Prędko, bardzo prędko zaczął rozumieć wartość tego, co stracił. Nie wydawało mu się to niczym szczególnym, kiedy to miał. Wydawało się takie łatwe dojść do stanowiska, móc się ubierać i wydawać pieniądze, ale teraz, gdy to stracił, takie to było dalekie, nieosiągalne. Zaczął patrzeć na swoją przeszłość, jak się patrzy na miasto otoczone murem. Obcy ludzie bronią bram. Nie wolno ci wejść. Ci, co są wewnątrz murów, nie pomyślą, żeby wyjść i zapytać, kim jesteś. Było im tak dobrze wewnątrz murów, iż zapomnieli o tych z zewnątrz, a do tych ostatnich należał on.

Co dzień czytał w gazetach o tym, co się dzieje za murami miasta. W notatkach o ludziach udających się do Europy czytał nazwiska częstych bywalców eleganckiego baru przy ulicy Adamsa. W kronikach teatralnych od czasu do czasu pojawiały się wzmianki o aktorach, których znał ongiś. Wiedział, że się po dawnemu bawią. Wagony pulmanowskie niosą ich wzdłuż i w poprzek kraju, gazety witają ich owacyjnie, eleganckie przedsionki hotelu i pięknie nakryte stoły trzymają ich mocno wewnątrz murów grodu. Ludzie, których znał, ludzie, z którymi trącał się szklankami - są bogaci, zapomnieli o nim. Kto to jest pan Wheeler? Co to jest bar przy ulicy Warren? Ba!

Jeżeli sądzi ktoś, że tego rodzaju myśli nie przychodzą do głowy ludziom pospolitym, że tego rodzaju uczucia właściwe są tylko ludziom subtelniejszym - powiem, że człowiek wyższego umysłu łatwo wyzwała się od takich myśli. Wyższość duchowa daje możliwość filozofowania i ową siłę, która nie pozwala zaprzętać sobie głowy podobnymi rzeczami, martwić się podobnymi troskami. Tylko umysł pospolity jest niesłychanie wrażliwy na wszystko, co ma jakikolwiek związek z fizycznym dobrobytem, niesłychanie wrażliwy. Tylko skąpiec nieintelektualista poci się krwawo przy stracie stu dolarów. I tylko Epiktet uśmiecha się, tracąc ostatnią deskę ratunku fizycznego dobrobytu.

Nadszedł czas (w trzecim roku), kiedy to myślenie zaczęło wywierać wpływ na sprawy przy ulicy Warren. Pomyślny stan interesów obniżył się nieco od swego najlepszego poziomu. To go irytowało i martwiło.

Przyszedł wieczór, kiedy wyznał Carrie, że interes w tym miesiącu idzie gorzej niż w zeszłym. Zrobił to w odpowiedzi na jej plany kupienia kilku drobiazgów, które uważała za potrzebne dla siebie. Carrie nie omieszkała zauważyć, że przestał się jej radzić, kupując so-

bie ubranie. Więc uznała to za podstęp z jego strony. Odpowiedź Carrie była pokorna, ale myśli - buntownicze. Zupełnie o nią nie dba... Chcąc się zabawić, musiała się trzymać państwa Vance.

A oto pani Vance oznajmiła, że wyjeżdżają. Zbliżała się wiosna i mieli zamiar wyjechać na północ.

- Tak - powiedziała pani Vance na zapytanie Carrie - mamy zamiar pozbyć się mieszkania i oddać rzeczy na skład. Wyjeżdżamy na całe lato. Po co niepotrzebnie wydawać pieniądze? Sądzę, że po powrocie będziemy szukać mieszkania trochę dalej od centrum miasta.

Carrie słuchała tego ze szczerym smutkiem. Tak bardzo lubiła towarzystwo pani Vance. Poza nią nie znała żywej duszy w całym domu. Znowu będzie zupełnie sama.

Ponure usposobienie Hurstwooda z powodu zmniejszenia się dochodów z baru i wyjazd państwa Vance spadły na Carrie jednocześnie. Była więc skazana na samotność i zły humor męża. Wcale niewesoła sprawa. Była niezadowolona nie tyle z Hurstwooda, jak sądziła, ile z życia. Czy to jest życie? Co za jednostajność! Co ona miała z życia? Nic, tylko to małe, ciasne mieszkanie. Tacy Vance'owie mogą sobie podróżować, robić tysiące rzeczy, dla których warto żyć... a ona? Po cóż właściwie żyje? Po tych myślach przyszły inne, a po nich łzy - łzy, które wydawały się usprawiedliwione i były jej jedyną pociechą.

Przez jakiś czas stan ten trwał niezmiennie, życie biegło monotonicznie, po czym nastąpiła mała zmiana na gorsze. Pewnego dnia Hurstwood, który od dłuższego już czasu myślał o położeniu tamy zamiłowaniu Carrie do strojów i ukróceniu jej żądań, rzekł:

- Zdaje mi się, że nigdy nie dojdę do niczego z tym Shaughnessym.

- Co się stało? - zapytała.

- Och, to niezdara, niedołęga, oferma! Nie chce się zgodzić na żadne inwestycje, a bez inwestycji interes nie może dawać dochodów.

- Nie możesz go przekonać?

- Nie. Próbowałem. Jediną rzeczą, jaka mi pozostaje, jeżeli chcę do czegoś dojść, to otworzyć coś na własną rękę.

- Dlaczego tego nie robisz?

- Bo wszystko, co posiadam, uwięziłem w tym interesie. Gdybym mógł oszczędzić, otworzyłbym coś na swoje ryzyko, a wtedy mielibyśmy w bród pieniędzy.

- A nie możemy oszczędzić? - zapytała Carrie.

- Moglibyśmy spróbować - poddał. - Myślałem, że gdybyśmy wzięli mniejsze mieszkanie i żyli ekonomiczniej przez rok, miałbym tyle, żeby otworzyć na siebie interes. Wtedy moglibyśmy żyć tak, jak ty byś chciała.

- Ja się zgadzam - rzekła Carrie, chociaż było jej przykro, że aż do tego doszło. Projekt mniejszego mieszkania dźwięczał jak groźba nędzy.

- Jest mnóstwo małych mieszkań na Szóstej ulicy, w okolicach ulicy Czternastej. Moglibyśmy tam poszukać.

- Zrobię to, jeżeli chcesz - rzekła Carrie.

- Sądzę, że mógłbym zerwać z tym drabem, powiedzmy, w ciągu tego roku - rzekł Hurstwood. - Tak jak on prowadzi interes, nie widzę celu tkwić w nim.

- Poszukam - rzekła Carrie widząc, że to, co proponuje, jest sprawą zupełnie poważną.

Rezultat tego był taki, że zmiana została dokonana, nie bez zmartwienia Carrie jednak. Dotknęło ją to boleśniej niż wszystko dotychczas. Zaczęła patrzeć na Hurstwooda po prostu jak na człowieka, a nie męża i kochanka. Czowała się z nim związana jako żona, los jej jest związany z jego losem, cokolwiek by się stało, ale doszła do przekonania, że jest ponury, milczący, nie zaś młody, gorący, silny. Wydał się jej trochę stary... koło oczu i ust... były również inne jeszcze oznaki, które dopomagały Carrie do umieszczenia go na właściwym miejscu, przynajmniej w jej rozumieniu... Zaczęła pojmować, że się omyliła. Zaraz też uświadomiła sobie fakt, że właściwie Hurstwood zmusił ją do ucieczki.

Nowe mieszkanie znajdowało się przy ulicy Trzynastej o kilka domów od ulicy Szóstej i składało się z czterech pokoi. Nowe otoczenie nie bardzo się podobało Carrie. Nie było w pobliżu drzew ani widoku na rzekę. Ulica była solidnie zabudowana. Mieszkało w tym domu dwanaście rodzin zupełnie przyzwoitych, chociaż daleko im było do państwa Vance. Bogatsi ludzie lubili mieć więcej przestrzeni.

W nowym, małym mieszkaniu Carrie postanowiła obchodzić się bez służącej. Uczyniła dom swój dostatecznie miłym, ale nie mógł być dla niej przyjemny. Hurstwood w duszy nie był zadowolony, że musieli wprowadzić takie ograniczenia, ale twierdził, że nic na to nie poradzi. Musi nadrabiać miną i zostawić rzeczy swemu biegowi.

Starał się dać Carrie do zrozumienia, że nie ma powodu do trosk materialnych, i obiecywał jej, że po roku będzie mógł częściej brać ją do teatru i więcej wydawać na jedzenie. Obecne ograniczenie jest tylko chwilowe. Wmówił sobie, że potrzebuje przede wszystkim

samotności i tego, żeby mu pozwolono myśleć. Stał się ofiarą choroby myślenia. Tylko gazety i własne myśli były coś warte w jego oczach. Rozkosz miłości znowu go opuściła. Wykorzystać jak najlepiej to, co się ma, stało się dla niego kwestią życia.

Droga w dół miała niewiele płaszczyzn odpowiednich do lądowania. Usposobienie Hurstwooda przyczyniało się w znacznej mierze do pogłębienia rozłamu między wspólnikami. Ostatecznie pan ów zaczął szczerze pragnąć, żeby Hurstwood ustąpił. Los chciał jednak, że właściciel nieruchomości, w której się mieścił bar, poprowadził sprawę lepiej, aniżeli potrafiłaby to zrobić zła wola.

- Widział pan to? - zapytał pewnego ranka Shaughnessy, pokazując Hurstwoodowi w „Heraldzie” kolumnę, w której notowano sprzedaż gruntów.

- Nie. O co chodzi? - zapytał Hurstwood spojrzawszy na gazetę.

- Właściciel, do którego należy ten dom, sprzedał go.

- Pan żartuje! - zawołał Hurstwood.

Spojrzał i znalazł odpowiednią notatkę. Pan August Viele wczoraj dokonał transakcji z panem J. F. Slawsonem, sprzedając mu posiadłość rozmiarów 25x75 stóp na rogu ulic Warren i Hudson za sumę 57 tysięcy dolarów.

- Więc nasza umowa wygasa? - zapytał Hurstwood w zamyśleniu. - Pierwszego lutego, prawda?

- Tak - rzekł Shaughnessy.

- Nie piszą, co nowy właściciel zamysła robić z posiadłością - ciągnął Hurstwood spojrzawszy raz jeszcze na gazetę.

- Usłyszymy o tym rychło - rzekł tamten.

I usłyszeli. Pan Slawson kupił posesję sąsiednią z zamiarem budowania nowoczesnego domu. Dom, w którym obecnie mieścił się bar, miał być zburzony. Prawdopodobnie budowa nowego potrwa półtora roku.

Wszystko to rozwijało się stopniowo i Hurstwood zaczął się troszczyć, co się stanie z saloonem. Pewnego dnia zaczepił o to swego wspólnika.

- Uważa pan, że warto otwierać saloon w sąsiedztwie?

- A po co? - rzekł Shaughnessy. - Gdzie byśmy dostali drugi taki róg?

- A gdzie indziej nie opłaci się, sądzi pan?

- Ja bym nie ryzykował.

Zmiana stała się poważną troską Hurstwooda. Rozwiązanie spółki znaczyło stratę tysiąca dolarów, a on nie będzie w stanie oszczędzić drugiego tysiąca przez ten czas. Rozumiał, że Shaughnessy jest po prostu zniechęcony spółką i wydzierżawiłby drugi róg, ale sam dla siebie. Zaczął się troszczyć koniecznością szukania nowego współnika. Przewidywał poważne trudności finansowe, zanim sytuacja się wyjaśni. To nie dopomagało mu cieszyć się mieszkaniem albo Carrie, więc przygnębienie rozgościło się w domu.

Nie chcąc tracić czasu, szukał, ale nie trafiało mu się nic odpowiedniego. Co więcej, zatracił już ów reprezentacyjny wygląd, jaki miał po przyjeździe do Nowego Jorku. Złe myśli rzuciły cień na jego oczy, które nie działały już na innych jak dawniej. I nie posiadał już owych trzynastu setek dolarów, które miał wtedy. W miesiąc później, nie widząc zmiany na lepsze, Shaughnessy oświadczył Hurstwoodowi, że Slawson nie chce odnowić kontraktu.

- Widzę, że trzeba będzie z tym skończyć - powiedział z udanym żalem.

- Jak trzeba, to trzeba - ponuro odrzekł Hurstwood. Nie chciał dać tamtemu klucza do swoich myśli, bez względu na to, jakie były. Nie da mu tej satysfakcji.

W dwa dni później uznał, że musi pomówić z Carrie.

- Wiesz - powiedział - zdaje mi się, że nieszczęśliwie wyjdę na całej tej spółce.

- Jak to? - zapytała zdumiona.

- Właściciel sprzedał dom, a nowy, ten, który go kupił, nie chce odnowić kontraktu.

Zamykamy interes.

- Nie możecie otworzyć gdzie indziej?

- Nie mamy gdzie... Zresztą Shaughnessy nie chce.

- Stracisz to, coś włożył?

- Tak - rzekł Hurstwood, którego twarz była maską.

- Och, czyż to nie straszne?

- Zrobił mi kawał i tyle - rzekł Hurstwood. - I tyle. Otworzą w tym miejscu inny bar.

Carrie spojrzała na Hurstwooda i z jego miny domyśliła się, co to znaczy.

- Myślisz, że znajdziesz coś innego? - zapytała nieśmiało. Hurstwood zamyślił się.

Skończyło się z bluffem o pieniądzach i inwestycjach. Widziała, jak jest „ugotowany”.

- Nie wiem - rzekł uroczyście. - Będę próbował.

Rozdział XXXIV

KAMIENIE MŁYŃSKIE PRZY PRACY: PIERWSZE PLEWY

Gdy przedstawiono Carrie sytuację, zaczęła zastanawiać się nad nią tyleż co i Hurstwood. Trzeba było kilku dni, zanim pojęła w zupełności, że rozwiązanie spółki oznacza zwykłą walkę o byt. Wróciła myślą do swoich pierwszych prób w Chicago, do Hansonów i ich mieszkanka, i serce jej zbuntowało się. To okropne! Wszystko, co ma związek z nędzą, jest okropne. Pragnęła znaleźć jakieś wyjście. To, co poznała dzięki Vance'om, uniemożliwiało jej przyjęcie z pokorą tego, co posiadała. Czar *high life* Nowego Jorku (z tych okrucichów, które poznała) wziął ją w swoje posiadanie, przemówił do jej wyobraźni. Nauczyła się, jak się ubiera i dokąd się chodzi, nie mając środków ani na jedno, ani na drugie. Rzeczy tych - tych wszechobecnych faktów - miała pełne oczy i duszę. Im więcej musiała się ograniczać, tym piękniejszy wydawał się jej tamten świat. A teraz zawisła nad nią nędza, grożąc pochłonięciem jej i odsunięciem tamtego świata, do którego jak Łazarz nadaremnie wyciągać będzie błagalnie ręce.

Pozostał również ideał wzniesiony w jej życie przez Amesę. Odszedł, ale zostały jego słowa, że bogactwo nie jest wszystkim; że świat kryje w sobie o wiele więcej, niż ona przypuszcza, że scena - to wielka rzecz, a książki, które ona czyta - nic nie są warte. Był silny i czysty, o ile silniejszy od Hurstwooda i Droueta - nie potrafiła dokładnie zdać sobie sprawy, ale poczucie tej różnicy bolało Carrie. Było to coś, na co najchętniej zamknęłaby oczy.

Przez ostatnie trzy miesiące istnienia spółki przy ulicy Warren Hurstwood zwalniał się na kilka godzin dziennie zwiedzając bary ogłaszające się w pismach. Była to sprawa nagląca, gdyż wiedział, że musi coś prędko znaleźć, albo będzie zmuszony żyć z owych kilkuset dolarów, które zdążył zaoszczędzić... ale wtedy, nie mając nic do włożenia, musiałby się zgodzić na płątną posadę.

To, co się ogłaszało w pismach, było jednak albo za kosztowne, albo za marne. Zbliżała się zima, gazety pisały o bezrobociu, w powietrzu unosiło się przecucie ciężkich czasów - przynajmniej jemu tak się zdawało. W obliczu własnych trosk troski innych nabrały wagi. Żadna wzmianka o bankructwie, o nędzy tej czy innej rodziny, o tym, że ktoś umarł

na ulicy - przypuszczalnie z głodu - nie uszła jego uwagi. Pewnego razu „World” wystąpił z płomienną odezwą, że około 80 000 ludzi zostanie bez pracy tej zimy w Nowym Jorku. Odczuł to jak cios w serce. „Osiemdziesiąt tysięcy! - myślał. - Ależ to okropne rzeczy!”

Było to całkiem nowe rozumowanie jak dla Hurstwooda. Za dawnych czasów zdawało mu się, że na świecie dzieje się wcale nieźle. Nieraz czytał podobne rzeczy w „Daily News” w Chicago, ale nie zwracał na nie uwagi. A teraz to samo oznajmienie jak ponura chmura rzucało cień na widnokrąg jego pogodnych dni. Groziło zaciemnieniem całego życia, zimnem i szarzyzną. Usiłował otrząsnąć się z tego, zapomnieć, wyzwolić. Czasami mówił do siebie:

- Po cóż się kłopotać? Jeszcze nic się nie stało. Mam jeszcze całe sześć tygodni. Nawet jeżeli dojdzie do najgorszego, mam z czego żyć przynajmniej na sześć miesięcy.

Dziwne, ale ilekroć martwił się o przyszłość, myśli jego zwracały się do żony i dzieci. Unikał tych myśli, jak mógł, przez pierwsze trzy lata. Nienawidził żony, doskonale mógł się bez niej obejść. Niech sobie idzie. Nie potrzebuje jej. Ale teraz, gdy mu się zaczęło gorzej powodzić, nieraz zastanawiał się, co się z nią dzieje, co robi, co się dzieje z dziećmi. Przypuszczał, że żyją zbyt wygodnie jak zawsze, w wygodnym mieszkaniu, z jego pieniędzy!

- Do diabła! To oburzające, żeby oni wszystko zabrali! - mówił sobie nieraz w rozmaitych okolicznościach. - Mógłbym nic nie robić...

Kiedy wracał myślą do przeszłości i analizował sytuację, która doprowadziła do kradzieży pieniędzy, zaczynał znajdować dla siebie usprawiedliwienie. I cóż takiego zrobił, czym zawinił, ostatecznie, że go wykluczono poniekąd z życia, że musi walczyć z takimi trudnościami?! Zdawało mu się, że nie dalej jak wczoraj był zamożny, beztroski. Teraz wszystko stracił.

- Nie zasłużyła na to, co wyciągnęła ode mnie! To pewne! Nic takiego nie zrobiłem znowu... gdyby ktoś wszystko wiedział!

Nie przyszło mu na myśl, że powinien winę swoją wyjaśnić. Chodziło mu o usprawiedliwienie się przed sobą samym, o znalezienie czegoś, co pomogłoby mu dźwigać swój los tak, jak go dźwiga każdy inny uczciwy człowiek.

Pewnego popołudnia, coś na pięć tygodni przed zamknięciem biznesu przy ulicy Warren, Hurstwood wyszedł z lokalu z zamiarem odwiedzenia kilku barów ogłaszających się w „Heraldzie”. Jeden znajdował się przy ulicy Gold. Udał się tam, ale nie wszedł do środka.

Bar wyglądał tak nędznie, że z góry odrzucił go jako nieodpowiedni. Drugi był przy ulicy Bowery, słynącej z wielu eleganckich lokali. Ten, który się ogłaszał, mieścił się w pobliżu ulicy Grand i rzeczywiście wyglądał elegancko. Hurstwood rozmawiał około trzech kwadransów o inwestycjach z właścicielem, który twierdził, że jest słabego zdrowia i dlatego szuka wspólnika.

- Na ile ocenia pan swój interes? Ile potrzeba, żeby zostać wspólnikiem w jednej drugiej? - zapytał Hurstwood, który widział siedemset dolarów jako kres swoich możliwości.

- Trzy tysiące - rzekł tamten. Hurstwood zmarkotniał.

- Gotówką?

- Gotówką!

Starał się przybrać minę człowieka, który się namyśla nad kupnem, ale oczy błysnęły mu ponuro. Wstał mówiąc, że się zastanowi i da znać. Jegomość, z którym pertraktował, odczuł jego nastrój.

- Nie sądzę, żeby poważnie myślał o spółce - rzekł do siebie. - Nie mówi wyraźnie.

Popołudnie szare było jak ołów. Dał przykry wiatr zimowy. Zwiedził saloon w dzielnicy Zachodniej, w okolicy ulicy Sześćdziesiątej Szóstej. Dochodziła już piąta i zmrok zapadł, gdy tam dobrnął. Właściciel był to postawny Niemiec.

- Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o pańskim ogłoszeniu - rzekł Hurstwood (saloon niezbyt mu się podobał).

- O, nic z tego nie być. Ja się rozmyśleć i nie sprzedać.

- Doprawdy?

- Tak, ja się rozmyśleć. Nic z tego.

- Dobrze - rzekł Hurstwood żegnając się.

Niemiec nie zwracał więcej na Hurstwooda uwagi, co go rozgniewało.

- Głupi osioł! - mruknął. - Po cóż dawał ogłoszenie?

Przybity, skręcił w ulicę Trzynastą. W mieszkaniu paliło się tylko jedno światło w kuchni, gdzie Carrie przygotowywała obiad. Potarł zapałkę, zapalił gaz i usiadł w jadalni, nie witając się z nią. Carrie podeszła do drzwi i zajrzała.

- Ach, to ty? - po czym cofnęła się.

- Tak - powiedział, nie odrywając oczu od gazety, którą kupił po drodze.

Carrie widziała, że coś jest z nim nie w porządku. Kiedy był ponury, był o wiele

brzydszy. Kąty oczu zapadły mu się. Ponieważ cerę miał z natury ciemną, więc gdy był w złym humorze, miał w sobie coś odpychającego. Trudno było go nazwać miłym.

Carrie nakryła do stołu i wniosła jedzenie.

- Obiad podany - rzekła przysuwając mu półmisek. Czytał dalej nie odpowiadając.

Wróciła i usiadła na swoim miejscu. Czowała się bezgranicznie nieszczęśliwa.

- Nie będziesz jadł teraz? - zapytała.

Odłożył gazetę i przysunął się bliżej. Przez dłuższy czas milczał, rzucając tylko krótkie: „Podaj mi to lub tamto”.

- Ponury mieliśmy dzień, prawda? - zaczęła Carrie rozmowę.

- Tak - powiedział. Jadł w milczeniu.

- Jesteś pewny, że jednak trzeba będzie zwinąć interes? - podjęła Carrie rozmowę, poruszając temat, nad którym nieraz już dyskutowali.

- Oczywiście! - rzekł ostro.

Ton ten rozgniewał Carrie. I ona miała dzisiaj niewesoły dzień.

- Mógłbyś mówić innym tonem - powiedziała.

- O! - zawołał, odsuwając się od stołu jakby w zamiarze powiedzenia czegoś więcej.

Opanował się jednak. Wziął z powrotem gazetę. Carrie wstała, z trudem panując nad sobą. Zrozumiał, że jest urażona.

- Nie odchodź - powiedział, widząc, że kieruje się do kuchni. - Zjedz obiad.

Wyszła w milczeniu.

Czas jakiś patrzył w gazetę, po czym wstał i narzucił płaszcz.

- Wychodzę, Carrie - powiedział. - Czuję się bardzo zdenerwowany dzisiaj.

Nie odpowiedziała.

- Nie gniewaj się - ciągnął. - Jutro wszystko będzie dobrze.

Spojrzał na Carrie, ale nie zwróciła nań najmniejszej uwagi, zajęta zmywaniem naczyń.

- Do widzenia! - powiedział wreszcie i wyszedł.

Był to pierwszy poważny rezultat sytuacji, jaka się między nimi wytworzyła, ale w miarę zbliżania się ostatniego dnia urzędowania przy ulicy Warren, ponury nastrój nie opuszczał domu. Hurstwood nie mógł ukryć, jak reaguje na te sprawy. Carrie nie mogła nie myśleć, do czego to wszystko doprowadzi. Doszło do tego, że rzadko teraz rozmawiali ze

sobą, ale to nie Hurstwood miał coś przeciwko Carrie, ale Carrie stroniła od niego. Zauważył to. Czuł, że obojętnie dla niego. Uczynił możliwość przyjacielskiego porozumienia sprawą nadzwyczaj trudną, po czym zauważył ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, że Carrie uczyniła ją stokroć jeszcze trudniejszą.

Wreszcie zbliżył się ostatni dzień. Kiedy zaś rzeczywiście nadszedł, Hurstwood, który doprowadził się do takiego stanu, w którym burza i pioruny wydać się mogły rzeczą upragnioną, uczuł pewną ulgę przekonawszy się, że jest to taki dzień jak każdy inny. Słońce świeciło, temperatura była umiarkowana. Przyszedszy na śniadanie zrozumiał, że nie jest to takie straszne, jak myślał.

- No - powiedział do Carrie - to mój ostatni dzień na ziemi.

Carrie uśmiechem przyjęła ten humor.

Hurstwood prawie wesoło przeglądał pisma poranne.

- Zajdę na chwilę na Warren - rzekł - a potem obejrzę się za czymś odpowiednim. Cały jutrzejszy dzień poświęcam na szukanie. Sądzę, że przecież coś znajdę teraz, kiedy mam wolną głowę.

Wyszedł z uśmiechem i udał się na ulicę Warren. Shaughnessy już tam był. Wstępne kroki do podziału w stosunku do tego, co włożyli, były już zrobione. Gdy jednak spędził w tym lokalu kilka godzin, zapal jego minął. Chociaż miał tyle zastrzeżeń co do tego baru, teraz, gdy się z nim żegnał, było mu smutno. Żałował, że się tak stało.

Shaughnessy był zimny, urzędowy.

- No - powiedział o godzinie piątej - możemy policzyć i podzielić wpływy.

Tak też uczynili. Ruchomości były uprzednio sprzedane, a otrzymaną za nie sumę podzielono.

- Do widzenia! - rzekł Hurstwood, ostatnim wysiłkiem zdobywając się na uprzejmość.

- Do prędkiego! - rzekł Shaughnessy, zaledwie racząc zwrócić na to uwagę.

W ten sposób zlikwidowano interes przy ulicy Warren.

Carrie czekała w domu ze smacznym obiadem. Ale wysiliwszy się poprzednio, Hurstwood był w usposobieniu poważnym i uroczystym.

- No? - zapytała Carrie.

- Skończyłem - rzekł zdejmując płaszcz.

Patrząc na niego starała się odgadnąć, jak się obecnie przedstawia jego sytuacja finan-

sowa. Jedli przeważnie milcząc.

- Masz dość na kupno udziału gdzie indziej? - zapytała.

- Nie - powiedział. - Tymczasem wezmę, co się nadarzy, i będę oszczędzał.

- To byłoby dobrze, gdybyś coś znalazł - powiedziała Carrie nagłona nadzieją i lękiem.

- Sądzę, że znajdę - rzekł w zamyśleniu.

Przez kilka następnych dni regularnie co rano ubierał się w płaszcz i wychodził na poszukiwania. Z początku pocieszał siebie, że z siedmiuset dolarami, które posiada, z łatwością dokona korzystnej transakcji. Myślał o pójściu do któregoś z browarów, które, jak wiedział, nieraz mają do wydzierzawienia lokale, starać się, aby mu pomogły. Potem przypomniał sobie, że będzie musiał wydać kilkaset dolarów na sprzęty i nic mu nie zostanie na opędzenie wydatków przez pierwszy miesiąc. Wydawał miesięcznie koło osiemdziesięciu dolarów.

- Nie - mówił w chwilach rozsądku. - Tego nie mogę zrobić. Muszę przyjąć jakąkolwiek posadę i oszczędzać. - Projekt jakiegokolwiek posady nasunął komplikacje w chwili, gdy zaczął się zastanawiać, czego właściwie szuka? Gdzie znajdzie taką posadę? W gazetach nie widział ofert poszukujących dyrektorów. Tego rodzaju stanowiska, o czym wiedział, dawano za wieloletnią pracę lub za wniesienie udziału w wysokości jednej trzeciej. Nie miał dostatecznych pieniędzy na wkupienie się do instytucji potrzebującej takiego dyrektora.

Niemniej szukał. Ubranie jego było eleganckie, postawa zawsze doskonała, a to powodowało mimowolne wprowadzanie ludzi w błąd. Ludzie patrząc na niego musieli myśleć, że człowiek w jego wieku, postawny, dobrze ubrany, musi być majątny. Wyglądał na zamożnego właściciela czegoś, na człowieka, od którego zwykły śmiertelnik może się tego lub owego spodziewać.

Ponieważ liczył czterdziesty czwarty rok i był dość tęgi, chodzenie nie przychodziło mu łatwo. Od wielu lat nie ćwiczył się w tym. Męczył się, bolały go ramiona, nogi, zwłaszcza pod koniec dnia, nawet gdy wszędzie jeździł tramwajami. Samo wsiadanie i wysiadanie, jeżeli powtarzało się kilkakrotnie, już było nużące.

Dobrze rozumiał, że ludzie brali go za coś lepszego, niż był w istocie. Zdawał sobie z tego sprawę tak boleśnie, że to utrudniało mu poszukiwania. Nie żeby wolał prezentować się

gorzej, ale że wstydził się ludzi pozorami swego wyglądu. Więc zwlekał, nie wiedząc, na co się zdecydować.

Myślał o hotelach, ale zaraz uświadomił sobie, że nie ma w tej branży praktyki jako urzędnik ani - co ważniejsze - znajomych przyjaciół, do których mógłby się zwrócić. Znał kilku właścicieli hoteli w rozmaitych miastach, między innymi w Nowym Jorku, ale oni wiedzieli, co zrobił u Fitzgeralda i Moya. Nie mógł zwrócić się do nich. Myślał o innych branżach w związku z wielkimi biznesami, które znał - grosernie, ubezpieczenia itd., ale nie miał w tej dziedzinie żadnej praktyki.

W jaki sposób dostać cośkolwiek - oto dręcząca, gorzka troska. Czy będzie musiał iść osobiście prosić? Czekać pod drzwiami, a potem nadrabiając miną powiedzieć, że szuka zajęcia? Cierpiał na samą myśl o tym. Nie, tego nie potrafi!

Szedł bezmyślnie i wreszcie, ponieważ się oziębilo, wstąpił do pierwszego lepszego hotelu. Znał hotele dość dobrze, żeby wiedzieć, że każdy przyzwoity osobnik jest mile widziany na krześle w przedsionku. Zdarzyło się, iż trafił do hotelu „Broadway Central”, który był największym hotelem w owych czasach. Było mu niezmiernie przykro przyjść tu odpocząć. Pomyśleć, do czego doszedł! Słyszał o ludziach wysiadujących po hallach hotelowych, nazywano ich „ogrzewaczami krzeseł”. Sam ich tak nazywał. I oto on, pomimo obaw spotkania kogoś ze znajomych, chronił się w przedsionku hotelu przed zimnem i smutkiem ulicy.

- Tak nie dojdę do niczego - powiedział sobie. - Nie ma sensu puszczać się z rana na wędrowną, jeżeli nie mam dokąd iść. Muszę coś obmyśleć, a potem zacząć szukać.

Przypomniał sobie, że czasami wakują posady barmanów, ale odegnał natychmiast tę myśl. Barmanem... on, były dyrektor!

Było mu nieznośnie ciężko siedzieć tak w przedsionku hotelu, więc koło czwartej wrócił do domu. Wchodząc do mieszkania usiłował przyjąć minę zaabsorbowaną interesami, ale była to tylko nędzna imitacja. Fotel bujający w jadalni taki był wygodny.

Zagłębił się weń rozkosznie z plikiem gazet, które kupił, i zaczął czytać.

Przechodząc przez pokój w trakcie przygotowań do obiadu, Carrie powiedziała:

- Przychodzili dzisiaj po komorne.

- Naprawdę? - zapytał.

Zmarszczył lekko brwi przypomniawszy sobie, że jest drugi lutego i że właściciel

zawsze przychodził tego dnia po komorne. Sięgnął do kieszeni po pugilares, po raz pierwszy poznając, jak smakuje płacenie, kiedy pieniądze nie wpływają. Patrzył na gruby zwitek zielonych banknotów, jak człowiek chory patrzy na lekarstwo mogące go jedynie wyleczyć. Potem odliczył dwadzieścia osiem dolarów.

- Masz - rzekł, gdy Carrie się zbliżyła.

Zagłębił się znowu w gazety. Czytał. Och, spokój, jaki mu dawały! Co za ulga, nie myśleć i nie chodzić! Ten strumień wiadomości podawanych przez telegraf działał jak wody Lety. Zapomniał częściowo o troskach. Oto młoda, piękna kobieta, jeżeli można wierzyć gazetom, chcąc polepszyć sobie los, zmusza męża do rozwodu - w Brooklynie. Oto druga notatka, opisująca zatonięcie okrętu wśród gór lodowych w zatoce Prince koło wyspy Staten. Długa, pogodna kolumna podaje wiadomości teatralne - sztuki, jakie grają; aktorów, którzy biorą w nich udział; wywiady z dyrektorami. Fannie Davenport gra na Piątej ulicy. Daly występuje w „Królu Lirze”. Czytał o wyjeździe na Florydę Vanderbiltów i ich przyjaciół. W górach Kentucky interesująca heca ze strzelaniem.

I tak czytał, czytał, wciąż czytał, bujając się w fotelu w ciepłym pokoju obok radiatora, i czekał, żeby mu podano obiad.

Rozdział XXXV

DROGA DAREMNYCH WYSIŁKÓW: OBLICZE TROSKI

Nazajutrz przejrzał pisma i przebrnął przez długą kolumnę ogłoszeń, robiąc od czasu do czasu notatki. Potem przeczytał dział „Poszukiwane”, czynił to jednak z niemiłym uczuciem. Miał przed sobą cały dzień - cały długi dzień, w którym musi coś znaleźć - i oto w jaki sposób zacznie szukać. Przeczytał długi spis, ale znalazł w nim przeważnie oferty dla piekarzy, subiektów, kucharzy, zecerów, stangretów itp. Tylko na dwóch pozycjach zatrzymał się jego wzrok: jedną była posada kasjera w magazynie mebli, drugą - sprzedającego w składzie wódek. Nigdy nie przyszło mu to do głowy. Postanowił tam pójść. Był to „Alsbery and Company”, skład hurtowy wódek.

Natychmiast wprowadzono go do dyrektora.

- Witam pana - rzekł ten ostatni, myśląc w pierwszej chwili, że ma przed sobą jednego ze swoich klientów z prowincji.

- Witam pana - odrzekł Hurstwood. - Pan poszukuje, o ile się nie mylę, sprzedającego?

- Tak - powiedział jegomość nie ukrywając, że teraz rozumie. - Tak. Dawałem ogłoszenie.

- Myślałem, czyby nie wstąpić - zaczął Hurstwood z godnością. - Mam pewne doświadczenie w tym kierunku.

- O, ma pan doświadczenie? - zdziwił się tamten. - A jakiego rodzaju, jeśli wolno zapytać?

- Prowadziłem już kilka saloonów. Ostatnio byłem właścicielem jednej trzeciej baru na rogu ulic Warren i Hudsona.

- Widzę - rzekł tamten.

Hurstwood umilkł czekając, co tamten powie.

- Szukamy właściwie subiekta - zaczął wreszcie jegomość. - Nie sądzę, żeby to było odpowiednie stanowisko dla pana.

- Rozumiem - rzekł Hurstwood. - Ale w obecnej chwili nie mam możliwości wyboru.

Jeżeli posada ta wakuje jeszcze, obejmę ją chętnie.

Jegomość bynajmniej nie przyjął życzliwie oświadczenia „nie mam możliwości wyboru”. Szukał kogoś, kto nie uważa tej posady za złą i nie będzie oglądał się za lepszą. Zwłaszcza nie chciał człowieka starszego. Chciał mieć pomocnika młodego, energicznego, zadowolonego z niewielkiego uposażenia. Hurstwood wcale mu się nie podobał. Wyglądał na większego pana od swoich chlebodawców.

- Hm - powiedział w odpowiedzi. - Chętnie rozpatrzemy pańską ofertę. Pozostawiamy sobie kilka dni do decyzji. Może zechce nam pan przesłać referencje o sobie.

- Dobrze - rzekł Hurstwood.

Skłonił się na pożegnanie i wyszedł. Na rogu spojrzał na adres składu z meblami i przekonał się, że znajduje się w dzielnicy Zachodniej, przy ulicy Dwudziestej Trzeciej. Poszedł tam natychmiast. Magazyn wydał mu się mały. Nie wyglądał zachęcająco, ludzie pracujący w nim musieli być leniwi i marnie płatni. Obejrzał dom z zewnątrz, ale nawet nie wszedł do środka.

- Prawdopodobnie potrzebują panny za dziesięć dolarów tygodniowo.

O pierwszej pomyślał o zjedzeniu czegoś i wstąpił do restauracji przy ulicy Madisona. Tam raz jeszcze zagłębił się w myśli, dokąd należałoby pójść. Był zmęczony. Znowu się zachmurzyło. Po drugiej stronie, na placu Madisona, wznosiły się hotele patrzące na zgiełkliwą ulicę. Postanowił zajść do przedsionka i posiedzieć chwilę. Było tam ciepło i jasno. Nie spotkał nikogo ze znajomych w hallu Broadway Central. Prawdopodobnie i tu nikogo nie spotka. Znalazłszy miejsce na jednej z pluszowych kanap pod oknem, wychodzącym na ludny Broadway, usiadł i utonął w myślach. Położenie nie wydawało mu się w tej chwili szczególnie złe. Siedząc spokojnie i wyglądając oknem znajdował pewnego rodzaju pociechę w paru setkach dolarów, które miał w kieszeni. Mógł zapomnieć poniekąd o przykrościach swoich niedawnych poszukiwań. A jednak była to tylko ucieczka od ciężkiego do mniej ciężkiego stanu. Był wciąż ponury i przybity. Minuty mijały bardzo powoli. Godzina - był to długi, strasznie długi okres czasu. Wypełniały ją dla Hurstwooda obserwacje i uwagi o gościach hotelowych, którzy wchodzili i wychodzili, i o szczęśliwszych od niego przechodniach na Broadwayu, których krok i ubranie zdradzały pomyślność finansową. Pierwszy raz od przybycia do Nowego Jorku miał czas wolny i mógł pozwolić sobie na przyglądanie się. Teraz, z konieczności będąc skazanym na beczynność, nie mógł się dość nadzi-

wić pracowitości innych. Jak wesoła była przechodząca młodzież, jak piękne kobiety! Byli wszyscy tak wytwornie ubrani. Wszyscy z pośpiechem dążyli dokądś. Widział kokieteryjne spojrzenia ślicznych dziewcząt. Och, ileż to pieniędzy potrzeba, żeby iść za taką - któż to wie lepiej od niego! I jak wiele czasu upłynęło, odkąd miał ostatni raz sposobność to zrobić!

Zegar wydzwonił czwartą. Było trochę wcześniej, ale postanowił wrócić do domu.

Powrót do mieszkania związany był z troską, czy Carrie nie pomyśli, że za dużo przeziaduje w domu? I on wolałby, żeby było inaczej, ale dzień ciążył mu nieznośnie. Tam przynajmniej czuł pewny grunt pod nogami. Mógł siedzieć w fotelu bujającym i czytać. Cały ten zgiełkliwy, pracowity, obcy świat pozostawał na zewnątrz. Mógł czytać gazety. Więc poszedł do domu. Carrie czytała w samotności. W mieszkaniu było prawie ciemno.

- Zepsujesz sobie oczy - powiedział na widok Carrie.

Zdjąwszy płaszcz czuł się w obowiązku zdać sprawozdanie z przebiegu dnia.

- Rozmawiałem z dyrektorem handlu wódkami - powiedział. - Może wyjdę na czyste wody.

- To byłoby cudowne! - zawołała Carrie.

- Tak, byłoby to wcale niezłe, ostatecznie - rzekł Hurstwood.

Zawsze kupował teraz od gazeciarza z rogu dwa pisma: „Evening World” i „Evening Sun”. Więc i teraz nie zatrzymując się wziął te gazety.

Przysunął krzesło do radiatora i zapalił gaz. Miał przed sobą cały wieczór. Kłopoty zniknęły w powodzi wiadomości, które tak lubił czytać.

Następny dzień był stokroć gorszy od poprzedniego, gdyż nie wiedział nawet, dokąd się udać. Do godziny dziesiątej nie znalazł w gazetach nic, co mogłoby być odpowiednie dla niego. Czuł, że powinien wyjść, ale myśl ta napawała go wstrętem. Dokąd, dokąd pójdzie?

- Nie zapomnij zostawić mi pieniędzy na ten tydzień - spokojnie powiedziała Carrie.

Wedle umowy składał na ręce Carrie dwanaście dolarów tygodniowo, z których opłacała bieżące wydatki. Westchnął lekko, gdy to powiedziała, ale wyciągnął pugilares. Znowu doznał owego przykrego wrażenia. Pieniądze płyną, płyną, a nie napływają znikąd.

- Boże! - szepnął do siebie. - Tak nie może być dłużej!

Nic nie powiedział Carrie. Czuła jednak, że prośba jej zakłopotowała Hurstwooda. Wkrótce będzie mu trudno dawać jej i te drobne sumki. „Więc cóż mam zrobić w końcu? - myślała z rozpaczą. - Po co, dlaczego tak cierpię?”

Hurstwood wyszedł i udał się w kierunku Broadwayu. Chciał gdzieś posiedzieć i pomyśleć. Wkrótce doszedł do Grand Hotelu przy ulicy Trzydziestej Pierwszej. Znał ten wytworny przedsionek. Zziął, przeszedłszy dwadzieścia bloków kamienic.

- Pójdę się ogolić - powiedział do siebie.

W ten sposób usprawiedliwiał sam przed sobą siedzenie w przedsionku po dokonaniu zabiegu kosmetycznego.

Ponieważ i tego dnia czas ciążył mu nieznośnie, wcześniej wrócił do domu. Powtarzało się to co dzień. Co dzień potrzeba szukania pracy sprawiała mu ostry ból, co dzień niechęć, wstręt, fałszywy wstyd doprowadzały go do trwonienia czasu w przedsionkach hoteli.

Wreszcie przysły trzy burzliwe dni, kiedy w ogóle z domu nie wychodził. Późnym popołudniem zaczął padać śnieg. Była to prawdziwa zamieć wielkich, delikatnych, białych płatków. Z rana śnieg nie ustał, zerwał się silny wiatr, pisma przepowiadały burzę śniegową. Przez okno frontowe widział głębokie zaspę śniegu.

- Chyba nie wyjdę dzisiaj - odezwał się do Carrie przy śniadaniu. - Gazety piszą, że będziemy mieli straszny czas.

- Węglarz nie przyniósł mi dzisiaj węgla - skarżyła się Carrie na swego dostawcę.

- Zaraz każę ci przynieść - powiedział Hurstwood. Pierwszy to raz proponował, że załatwi za nią jakiś sprawunek. Skłoniła go do tego chęć siedzenia w domu. Musiał czymś zapłacić za taki przywilej.

Śnieg padał cały dzień i całą noc, miasto zaczęło cierpieć na brak dowozu. Gazety poświęcały burzy sporo miejsca, litując się nad rzeszami biedaków, których to najwięcej dotykało.

Hurstwood siedział i czytał w swoim kącie koło radiatora. Nie starał się myśleć o potrzebie znalezienia pracy. Ta okropna burza, paraliżująca wszystko, wyzuła go poniekąd z wszelkich potrzeb. Siedział sobie wygodnie i grzał nogi.

Carrie patrzyła na to z pewną nieufnością. Wątpiła, czy burza daje mu prawo do bezczynności. Zbyt filozoficznie brał swoją sytuację.

Hurstwood tymczasem czytał i czytał. Nie zwracał zbytnej uwagi na Carrie. Spełniała swoje domowe obowiązki i mówiła mało, nie chcąc mu przeszkadzać.

Następnego dnia znowu padał śnieg, na trzeci zaś dzień było bardzo zimno. Hurstwood przejął się przepowiednią gazet i nie ruszał się z domu. Natomiast ofiarowywał się wy-

konywać drobne posługi. Raz poszedł do jatki po mięso, innym razem do kupca korzennego. W rzeczywistości niewiele myślał o tych drobnych usługach w związku z ich istotnym znaczeniem. Czuł, że nie jest zupełnie bezużyteczny i w taką pogodę może się na coś przydać w domu.

Na czwarty dzień wyjaśniło się. Wyczytał w gazetach, że burza się skończyła. Ale i teraz zwlekał, mówiąc sobie, że musi być straszne błoto na ulicach.

Zbliżało się południe, gdy porzuciwszy wreszcie gazety wyruszył w drogę. Ponieważ ociepliło się nieco, na ulicach rzeczywiście było straszne błoto. Przejechał wzdłuż ulicy Czternastej tramwajem i wziął bilet korespondencyjny na Broadwayu. Zapamiętał jedno małe ogłoszenie o saloonie przy ulicy Pearl. Dojechawszy jednak do hotelu Broadway Central, zmienił zamiar.

- I po co? - mówił sobie, patrząc na śnieg i błoto. - Przecież nie mam za co kupić udziału. Stawiam tysiąc do jednego, że nic z tego nie wyjdzie. Chyba wysiądę... - i wysiadł. W przedsiönku zajął miejsce i czekał znowu zastanawiając się, co właściwie należałoby przedsięwziąć.

Gdy tak leniwie tonął w myślach rad, że siedzi pod dachem, przez hall przeszedł elegancko ubrany jegomość. Przystanął, spojrzawszy badawczo, jak gdyby nie wierząc własnym oczom, i poszedł. Hurstwood poznał Cargilla, właściciela wielkich stajni w Chicago pod tą samą firmą, którego ostatni raz widział w Avery Hall na występie Carrie. Odżyło również wspomnienie, że ów jegomość przedstawił go swojej żonie.

Hurstwood był głęboko zmieszany. Oczy jego wyraźnie zdradzały zakłopotanie.

- Ależ to Hurstwood! - powiedział Cargill, teraz dobrze sobie przypominając i żałując, że nie poznał od razu, i podszedł do niego.

- Tak - rzekł Hurstwood. - Jak się pan ma?

- Doskonale! - rzekł Cargill zakłopotany, nie wiedząc, o czym mówić. - Pan tu stoi?

- Nie - rzekł Hurstwood. - Mieszkam stale w Nowym Jorku.

- Słyszałem, że wyjechał pan z Chicago. Często myślałem, co się z panem stało.

- Mieszkam w Nowym Jorku - powtórzył Hurstwood myśląc, jak by się od niego uwolnić.

- Dobrze panu idzie, spodziewam się? Patrzyli na siebie zmieszani.

- Świetnie.

- Bardzo się cieszę.

- Umówiłem się ze znajomymi - rzekł Cargill. - Muszę pana pożegnać. Do rychłego. Hurstwood skinął głową.

- Do wszystkich diabłów! - mruknął kierując się ku drzwiom. - Wiedziałem, że to się musi stać!

Przeszedł wzdłuż kilku bloków na tej ulicy. Zegarek jego wskazywał zaledwie wpół do drugiej. Starał się przypomnieć sobie, dokąd mógłby iść albo co zrobić. Dzień był tak paskudny, że najchętniej pozostałby w domu. Wreszcie nogi przemokły mu i zziębły, wsiadł do tramwaju. W ten sposób dojechał do ulicy Pięćdziesiątej Piątej, nie gorszej i nie lepszej od każdej innej. Wsiadłszy chciał iść na ulicę Siódmą, ale przeląkł się błota. Męka krążenia po ulicach bez celu stała się nie do wytrzymania. Czuł, że się przeziębził.

Przystanął na rogu czekając na tramwaj jadący w kierunku południowym. Nie jest to dzień na chodzenie. Wrócił do domu.

Carrie zdziwiła się, widząc go kwadrans po drugiej.

- Paskudny czas - powiedział tylko tyle. Potem zdjął płaszcz i zmienił trzewiki.

Wieczorem czuł dreszcze i zażył chininy. Nad ranem miał gorączkę i przesiedział cały dzień w domu. Carrie pielęgnowała go. W chorobie był dziwnie bezradny i przy tym niezbyt przystojny z podkrążonymi oczami i włosami w nieładzie. Był mizerny, wyglądał staro. Carrie zauważyła to bez wzruszenia. Chciała być życzliwa, dobra dla niego, ale było coś w tym człowieku, co ją odpychało.

Wieczorem wyglądał tak źle w przyćmionym świetle, że poradziła mu położyć się do łóżka.

- Lepiej, żebyś spał sam - powiedziała. - Będzie ci wygodniej. Przygotuję ci łóżko.

- Dobrze - zgodził się.

Czyniąc to wszystko czuła się bezgranicznie nieszczęśliwa.

- Co za życie! - powtarzała. - Co za życie!

Przechodząc w pewnej chwili przez pokój, w którym siedział koło radiatora, zgarbiony, zatopiony w gazecie, zmarszczyła brwi. Usiadła we frontowym pokoju, gdzie było niezbyt ciepło, przy oknie i płakała. Więc to takie będzie jej życie, więc to takie? Całe życie mieszkać w nędznym mieszkaniu z człowiekiem, który nie ma zajęcia, jest leniwy, obojętny? Jest dla niego tylko służącą, niczym więcej.

Oczy jej poczerwieniały od płaczu. I gdy przygotował dla Hurstwooda łóżko zawołała go, zapaliwszy poprzednio gaz, zauważył to.

- Co ci się stało? - zapytał, spoglądając na jej twarz. Głos miał ochrypły, a nieuczesa-
na głowa potęgowała jeszcze jego ponury wygląd.

- Nic - rzekła Carrie niechętnie.

- Płakałaś - powiedział.

- Nie płakałam - odrzuciła.

Nie z miłości dla niego, to wiedział...

- Nie masz czego płakać - powiedział kładąc się do łóżka. - Wszystko obróci się na
lepsze.

Po kilku dniach wstał, ale ponieważ pogoda była niepewna, nie wychodził z domu. Dostawca wiadomości, Włoch, przynosił teraz codziennie na górę gazety. Czytał je od deski do deski. Po upływie jeszcze kilku dni odważył się wyjść, ale spotkawszy znowu jednego z dawnych swoich znajomych, uznał siedzenie w hallach hotelowych za niebezpieczne dla siebie.

Wracał w dzień wcześniej do domu. Potem w ogóle zaprzestał udawać, że gdziekolwiek chodzi. Zima to nie jest czas odpowiedni do szukania posady.

Przebywając wciąż w domu widział, oczywiście, jak Carrie gospodaruje. Obce jej były idealne metody gospodarcze i oszczędność. Drobne jej odchylenia w tym kierunku nie uszły jego uwagi, zresztą dopiero wtedy, gdy jej żądania pieniędzy na wydatki tygodniowe zaczęły wprawiać go w kłopot. Gdy tak siedział beczynnie, miał wrażenie, że tygodnie mijają dziwnie szybko. Co wtorek Carrie przychodziła po pieniądze.

- Sądzisz, że nie moglibyśmy żyć taniej? - zapytał pewnego wtorku z rana.

- Robię, co mogę - odrzekła.

Nic więcej nie dodał, ale nazajutrz powiedział:

- Zawsze chodzisz po zakupy na Targ Gansevoort?

- Nawet nie wiem, że jest taki!

- Mówią, że wszystko jest tam o wiele tańsze.

Carrie przyjmowała to obojętnie. To były rzeczy, które bynajmniej jej nie zachwyciły.

- Ile płacisz za funt mięsa? - pytał innym razem.

- O, są rozmaite ceny! Stek kosztuje dwadzieścia dwa centy.

- Drogo, prawda? - zapytał.

Pytał również o ceny innych produktów, aż z biegiem czasu stało się to jego manią. Oglądał ceny i pamiętał je.

Rozwinęła się w nim również zdolność robienia zakupów. Zaczęło się od drobiazgów, naturalnie. Gdy pewnego ranka Carrie wkładała kapelusz, zatrzymał ją.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Do piekarza - powiedziała.

- Pójdę za ciebie.

Zgodziła się i poszedł. Każdego południa chodził na róg po gazety.

- Może co potrzebujesz? - pytał.

Stopniowo zaczęła się nim wyręczać. Ale czyniąc to, straciła owe dwanaście dolarów, które wypłacał jej co wtorek.

- Musisz dać mi dziś coś pieniędzy - powiedziała któregoś wtorku.

- Ile? - zapytał.

Dobrze zrozumiała, co to znaczy.

- Około pięciu dolarów - powiedziała. - Jestem winna węglarzowi.

Tego samego dnia powiedział:

- Zdaje mi się, że ten Włoch za rogiem sprzedaje węgiel po trzydzieści pięć centów za miarę. Pomówię z nim.

Carrie słuchała tego obojętnie.

- Dobrze - powiedziała.

Potem zaczęło się.

- George! muszę mieć węgiel na dzisiaj! Zabrakło mi węgla na dzisiaj! - Albo: - Musisz przynieść mięsa na obiad.

Pytał, czego potrzebuje, i przynosił. Wraz z reformą przyszło skąpstwo.

- Dostałem tylko pół funta steku - mówił. - Ale przecież oboje tak mało jemy...

Nikczemne te szczegóły pożerały serce Carrie. Rzucały cień na jej dni i smutek na duszę. O, jakże się zmienił ten człowiek! Po całych dniach siedzi tu nad swymi gazetami. Świat przestał istnieć dla niego. Czasami w piękną pogodę wychodził na cztery godziny, między jedenastą a trzecią. Patrzyła na niego z rosnącą wzdumą.

A jego ogarnęła apatia mająca źródło w tym, że nie widział dla siebie wyjścia. Co

miesiąc musiał czerpać ze swego nędznego zapasu. Teraz zostało mu tylko pięćset dolarów i te oszczędzał, jak gdyby mógł nimi pokryć przez czas nieograniczony pierwsze potrzeby. Ponieważ nie wychodził z domu, postanowił znaszać stare ubranie. Pierwszy raz zdarzyło się to w złą pogodę. Z początku tłumaczył się z tego przed Carrie:

- Jest tak paskudnie dzisiaj... włożę to stare ubranie... A potem weszło mu to w zwyczaj. ,

Przywykł płacić za golenie piętnaście centów i dawać dziesięć centów na piwo. Zredukował te dziesięć centów do pięciu, potem do zera. Potem wyszukał golarza za dziesięć centów i uważając, że goli zadowalająco, chodził stale do niego. Potem przestał się golić codziennie, czynił to co drugi dzień, potem co trzeci, wreszcie raz na tydzień. I tak już zostało. W niedzielę warto było na niego spojrzeć!

W rezultacie, ponieważ stracił szacunek dla siebie, straciła go dla niego i Carrie. Nie mogła zrozumieć, co się stało z tym człowiekiem. Miał trochę pieniędzy, miał przyzwoite ubranie, nie wyglądał źle, kiedy się ubrał starannie. Pamiętała swoją ciężką walkę o byt w Chicago, ale pamiętała również, że ona nigdy nie dała za wygraną. Nie przestała próbować. On zaś nie próbował nawet. Nie przeglądał już ogłoszeń w pismach.

Wreszcie nie wytrzymała.

- Dlaczego kładziesz tyle masła do pieczeni? - zapytał pewnego wieczoru, kręcąc się po kuchni.

- Żeby była smaczna, oczywiście - rzekła.

- Masło strasznie zdrożało - dodał.

- Byłoby ci to obojętne, gdybyś pracował - odrzekła.

Umilkł po tym powiedzeniu i wrócił do swoich gazet, ale słowa Carrie utkwili mu w mózgu. Była to pierwsza ostra wymówka z jej ust.

Tego samego dnia Carrie skończywszy czytać położyła się w pokoju frontowym. Nie było to jej zwyczajem. Hurstwood jak zwykle kładąc się nie zapalił światła. Dopiero położywszy się zauważył nieobecność Carrie.

- To zabawne - mruknął - może się zasiedziała...

Nie myśląc o tym dłużej zasnął. Z rana nie znalazł jej w łóżku. Dziwne, ale przeszło bez komentarzy.

Wieczorem, będąc w rozmowniejszym usposobieniu, Carrie powiedziała:

- Wolę spać sama... Boli mnie głowa.

- Dobrze - powiedział Hurstwood.

Trzeci raz położyła się w frontowym pokoju nic nie mówiąc. Był to straszny cios dla Hurstwooda, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Dobrze - rzekł marszcząc brwi. - Niech śpi sama!

Rozdział XXXVI

PONURE COFNIĘCIE WSTECZ: MAJAK POWODZENIA

Vance'owie, którzy powrócili do miasta już przed Bożym Narodzeniem, nie zapomnieli o Carrie. Ale nie odwiedzili jej, to znaczy nie odwiedziła jej pani Vance, a to z tego powodu, że Carrie nie posłała jej adresu. Wierna swojej naturze Carrie korespondowała z panią Vance, dopóki mieszkała przy ulicy Siedemdziesiątej Ósmej, ale gdy warunki zmusiły ją przenieść się na ulicę Trzynastą, strach, iżby pani Vance nie domyśliła się czasami zmiany, jaka zaszła w ich życiu, nie pozwolił jej podać przyjaciółce nowego adresu. Nie znajdując innego sposobu, wyrzekła się przyjemności korespondowania z panią Vance. Tamta dziwiła się milczeniu Carrie, myślała, że pani Wheeler musiała wyjechać z Nowego Jorku, i w końcu uważała ją za przypadłą. Była więc niezmiernie zdziwiona spotkawszy Carrie na ulicy Czternastej, dokąd udała się po zakupy.

- Ależ to pani Wheeler! - zawołała, poznając Carrie. - Gdzie się pani podziewała? Nie odwiedziła mnie pani! Przez cały ten czas zastanawiałam się, co się z panią stało... Naprawdę...

- Jestem strasznie rada, że panią widzę - powiedziała Carrie uszczęśliwiona, a jednocześnie niezadowolona. Nie mogła w gorszej chwili spotkać pani Vance! - Mieszkam tu niedaleko. Miałam właśnie zamiar w tych dniach odwiedzić państwa. Gdzie pani teraz mieszka?

- Przy ulicy Pięćdziesiątej Ósmej - rzekła pani Vance. - Naprzeciwko Szóstej Alei pod dwieście osiemnastym. Proszę koniecznie przyjść do mnie!

- Naturalnie! - powiedziała Carrie. - Naprawdę strasznie chciałam panią widzieć. I

wiem, że się pani należy wizyta ode mnie. To po prostu wstyd! Ale...

- Jaki jest numer państwa? - zapytała pani Vance.

- Ulica Trzynasta - informowała Carrie ociągając się - numer sto dwunasty.

- O! - rzekła pani Vance. - To w tych stronach... gdzieś niedaleko nawet?

- Tak - rzekła Carrie. - I pani musi kiedykolwiek mnie odwiedzić...

- Ładny z pani numer! - zaśmiała się życzliwie pani Vance. Nie uszło jej uwagi, że wygląd Carrie uległ pewnej zmianie.

- I ten adres... - mówiła sobie... - Musi się im nieszczęśliwie powodzić.

Dostatecznie jednak lubiła Carrie, żeby chcieć ją mieć w swoim orszaku.

- Wejdźmy tu na chwilę! - prosiła, wskazując drzwi magazynu.

Kiedy Carrie wróciła do domu, zastała Hurstwooda jak zwykle nad gazetami. Zdawał się przyjmować swoje położenie ze skrajną nonszalancją. Nie golił się przynajmniej od czterech dni. „O! - myślała Carrie. - Gdyby rzeczywiście przyszła i zobaczyła go w tym stanie?!”

Pochyliła głowę bezgranicznie nieszczęśliwa. Zdawało się jej, że sytuacja jest bezbrzeżnie smutna.

Doprowadzona do rozpaczki zapytała przy obiedzie:

- Czy ten właściciel składu wódek nie odzywał się więcej?

- Nie - rzekł Hurstwood. - Szukają kogoś z praktyką. Carrie zmieniła temat, nie czując się na siłach mówić dalej.

- Spotkałam dzisiaj panią Vance - rzekła po chwili.

- Tak? - rzucił obojętnie.

- Wrócili do Nowego Jorku - podjęła Carrie. - Wygląda tak szykownie!

- A czemu nie, jeżeli on ma z czego płacić - odrzekł Hurstwood. - Ma doskonałą posiadłość.

Patrzył w gazetę. Nie mógł znieść spojrzenia Carrie, w którym malowało się skrajne umęczenie i niechęć.

- Powiedziała, że mnie odwiedzi któregoś dnia.

- Długo będziemy na to czekać, co? - zapytał Hurstwood z odcieniem sarkazmu.

- Nie wiem - rzekła Carrie zirytowana jego zachowaniem.

- Może bym nawet wołała, żeby nie przychodziła!

- Jest za wesola - rzekł Hurstwood znacząco. - Niepodobna utrzymywać z nimi stosunków, nie mając w bród pieniędzy.

- Pan Vance nie skarży się na żonę...

- Może teraz się nie skarży - rzekł Hurstwood kłótliwym tonem, rozumiejąc intencję Carrie - ale to nie koniec jeszcze... Niepodobna przewidzieć, co się może stać. Może mu się noga pośliznąć, jak się pośliznęła innym.

Było coś szelmowskiego w zachowaniu tego człowieka. Oczy jego zdawały się złośliwie patrzeć na ludzi szczęśliwych, oczekując, że musi ich spotkać katastrofa. Własną sytuację zdawał się uważać za rzecz niezależną od niczego, stojącą poza nawiasem.

Były to pozostałości jego dawnej pewności siebie i niezależności. Siedząc w mieszkaniu i czytając o czynach rozmaitych ludzi, czasami miał ten niezależny złośliwy humor. Zapominał wtedy o nużących poszukiwaniach, o przykrym wałęsaniu się po ulicach i podnosił uszy do góry. Jak gdyby mówił:

- I ja potrafię. Jeżeli zechcę. Jeszcze nie koniec ze mną. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których chciałbym dokonać.

Będąc w takim usposobieniu ubierał się, chodził się golić i naciągając rękawiczki, z miną poważną udawał się na poszukiwania. Bez określonego celu. Był to po prostu pewien stan barometryczny. Czuł się odpowiednio nastrojony, aby wyjść i obejrzeć się za czymś.

W takich okolicznościach szły również pieniądze. Znał kilka lokali pokerowych w mieście. Miał znajomych w barach w śródmieściu i w okolicach ratusza. Lubił! zająć i pogawędzić.

Miał kiedyś szczęście w pokerze. Nieraz gra przynosiła mu okrągłą setkę albo i więcej, w czasach, kiedy ta suma była tylko sosem do pokerowego dania, nic nie znaczącym drobiazgiem. Teraz pomyślał o pokerze.

- Mógłbym wygrać kilka setek... jeszcze nie wyszedłem z wprawy.

Musimy zaznaczyć, że myśl ta przyszła mu kilkakrotnie do głowy, zanim ją urzeczywistnił.

Pokój do gry w pokera, do którego zaszedł, mieścił się przy saloonie na ulicy West, w pobliżu jednego z promów. Był tam już przedtem. Grano przy kilku stolikach. Przyglądając się grze czas jakiś, zauważył, że pule są duże w stosunku do stawek.

- Biorę rękę - rzekł, gdy zaczęto rozdawać karty. Wziął krzesło i obejrzał karty. Gra-

jący przyjrżeli mu się w sposób pozornie nic nie znaczący, a jednak badawczy.

Szczyście nie dopisało mu z początku. Dostawał karty bez pary i sekwensu. Otworzo-
no.

- Pasuję - rzekł.

Nawet był rad, że stracił na początek stawkę. W ciągu długiej gry szczęście mu dopi-
sało i wyszedł z saloonu bogatszy o kilka dolarów.

Nazajutrz wrócił znowu, szukając zabawy i wygranej. Tym razem z ręki dostał trójkę.
Ale miał groźnego przeciwnika w młodym, wojowniczym Irlandczyku siedzącym naprze-
ciw. Młodzieniec ów był działaczem politycznym w dzielnicy Tammany, gdzie mieścił się
saloon. Hurstwood nie mógł się dość nadziwić uporowi młodzieniaszka; miał on zimną
krew, która jeśli była bluffem, to bluffem wysokiego gatunku. Hurstwood zaczął się wahać,
zachował jednak albo myślał, że zachował, zimny spokój, którym za dawnych czasów zwo-
dził owych psychologów zielonego stolika, zdających się raczej czytać w myślach i nastroju
niż posunięciach partnerów. Nie mógł przewyciężyć tchórzliwej myśli, że Irlandczyk ma
lepsze karty i będzie grał do końca, wyciągając mu ostatniego dolara do puli. Oczywiście,
jeżeli Hurstwood nie wycofa się przedtem. Jednocześnie jednak wierzył w wygraną. Szanse
miał olbrzymie. Dlaczego nie podnieść do pięciu?

- I trzy - powiedział młodzieniaszek.

- Niech będzie do pięciu! - powiedział Hurstwood, kładąc fiszki.

- I jeszcze pięć! - powiedział młodzieniec dokładając.

- Proszę o fiszki! - zawołał Hurstwood do krupiera, zmieniając banknot.

Cyniczny uśmiech wykrzywił usta młodego przeciwnika. Gdy mu wręczono fiszki,
Hurstwood wpłacił stawkę do puli.

- I jeszcze pięć - powiedział Irlandczyk.

Pot wystąpił Hurstwoodowi na czoło. Zabrną!... głęboko zabrną! Sześćdziesiąt dola-
rów poszło! Zazwyczaj nie był tchórzem, ale myśl, że straci taką sumę, przeraziła go. Osta-
tecznie wycofał się. Nie ufał już swojej trójce...

- Otwieram - rzekł.

- Ful! - zawołał młodzieniec.

Ręka Hurstwooda opadła.

- Myślałem, że mam pana! - powiedział blado. Młodzieniec zgarnął fiszki i Hurstwo-

od odszedł od stolika.

Przedtem jednak nie omieszkął obliczyć pozostałości swojej kasy.

- Trzysta czterdzieści dolarów - powiedział.

Codzienne wydatki i ostatnia strata uszczupliły jego zapasy pieniężne.

Wróciwszy do domu postanowił, że nigdy więcej nie usiądzie do pokera.

Pamiętając obietnicę pani Vance, Carrie raz jeszcze pokornie zwróciła się do męża z prośbą. Dotyczyła powierzchowności Hurstwooda. Tego dnia bowiem przyszedłszy do domu natychmiast przebrał się w stare i znoszone ubranie.

- Dlaczego nosisz te łachy? - zapytała Carrie.

- A po co mam nosić porządne ubranie po domu? - odpalił.

- Myślałam, że samemu byłoby ci przyjemnie... - Po chwili zaś dodała: - Zresztą, ktoś może zajść...

- Kto? - zapytał.

- Na przykład pani Vance.

- Nie potrzebuje mnie widzieć - rzekł ponuro.

Ten brak dumy i jakiegokolwiek zainteresowania wzbudził w Carrie niemal nienawiść do tego człowieka.

„A! - myślała. - Tu go mam! »Nie potrzebuje mnie widzieć«... więc jednak wstydziłby się za siebie”.

Sprawa stała się naprawdę przykra, gdyż pani Vance rzeczywiście ich odwiedziła. Wstąpiła idąc po sprawunki. Zastukała do drzwi Carrie. Carrie dowiedziała się o tym ku swojej bezgranicznej rozpacz, nie było jej bowiem wtedy w domu. Hurstwood otworzył drzwi myśląc, że to ona wraca. Na chwilę rzeczywiście się zmieszał. Odezwał się w nim przygłuszony głos młodości i dumy.

- Jak się pani ma? - wyjąkał w końcu.

- Jak się pan ma? - zapytała pani Vance, z trudem wierząc oczom.

Zauważyła jego zmieszanie. Nie wiedział, prosić ją do pokoju, czy nie.

- Zastałam panią Wheeler? - zapytała pani Vance.

- Nie - powiedział. - Carrie wyszła... Ale powinna zaraz wrócić... Może pani wstąpi na chwilę?

- Neeee - rzekła pani Vance rozumiejąc, że całe ich życie musiało się zmienić. -

Strasznie się spieszę. Chciałam tylko zajść na chwilę... nie myślałam o dłuższej wizycie. Proszę powiedzieć żonie, żeby koniecznie mnie odwiedziła.

- Dobrze - rzekł Hurstwood cofając się, czując bezgraniczną ulgę, że sobie poszła. Był tak zawstydzony, że bezradnie splótł ręce usiadłszy w fotelu.

Carrie podchodząc do drzwi wejściowych z przeciwnej strony miała wrażenie, że widzi odchodzącą panią Vance. Wyteżyła wzrok, ale nie mogła dojrzeć dokładnie.

- Był kto? - zapytała Hurstwooda.

- Tak - powiedział tonem winowajcy. - Pani Vance.

- I widziała cię? - zapytała, nie ukrywając bezmiaru rozpaczy.

Hurstwood odczuł to jak uderzenie bata. Sposepniał.

- Jeżeli miała oczy, to musiała mnie widzieć... przecież otwierałem jej drzwi.

- O! - wyrwało się tylko Carrie. Ruchem nerwowym załamała rękę. - Co mówiła?

- Nic. Powiedziała, że się śpieszy.

- I ty tak do niej wyszedłeś? - zawołała, przestając w końcu panować nad sobą.

- Więc cóż? - zapytał zirytowany. - Przecież nie wiedziałem, że przyjdzie... może wiedziałem, co?

- Wiedziałeś, że się wybiera... - powiedziała Carrie. - Mówiłam ci, że się wybiera do nas... Dziesięć razy prosiłam, żebyś się inaczej ubierał... Och, to przecież straszne!

- Ach, przestań! - zniecierpliwził się. - Co za różnica? Przecież nie możesz podtrzymywać stosunków z nią. Mają za dużo pieniędzy jak na nas.

- Kto ci powiedział, że chcę z nią podtrzymywać stosunki? - gniewnie rzuciła Carrie.

- Na to wygląda... Gniewasz się, że wyglądam nieodpowiednio... Myślałby kto, że z mojej...

Carrie przerwała.

- To prawda - rzekła. - Nie mogłabym utrzymywać z nią stosunków, gdybym nawet chciała... ale czyja to wina?! Łatwo ci mówić, z kim mogę, a z kim nie mogę utrzymywać stosunków... Dlaczego nie szukasz pracy?

Był to grom z jasnego nieba.

- Co ci się stało?! - zawołał gniewnie, zrywając się na równe nogi. - Płacę za mieszkanie czy nie płacę? Masz meble czy...

- Tak, płacisz za mieszkanie - spokojnie rzekła Carrie. - Mówisz tak, jak gdyby czło-

wiekowi mogło wystarczyć siedzenie w mieszkaniu... Od trzech miesięcy nie ruszyłeś palcem, tylko przesiadujesz w domu i wtrącasz się do wszystkiego... Ciekawa jestem, po coś się ze mną ożenił?

- Nie żeniłem się z tobą - rzekł szyderczo.

- Chciałabym się dowiedzieć w końcu, co to było w takim razie wtedy w Montrealu? - spytała.

- Nie ożeniłem się z tobą - odrzekł. - Możesz to sobie wybić z głowy. Mówisz, jak gdybyś nie wiedziała.

Carrie patrzyła na Hurstwooda szeroko otwartymi oczami. Wierzyła, że ich ślub jest ważny, legalny.

- Więc dlaczego mnie okłamałeś? - rzuciła gniewnie. - Dlaczego zmusiłeś mnie do ucieczki z tobą?

Z trudem wstrzymała płacz.

- Zmusiłem! - powiedział z ironią. - Takie to było i zmuszenie...

- O! - zawołała Carrie, załamując się pod tym ciosem. - O! O! - odwróciła się i wybiegła do pokoju frontowego.

Hurstwood był w gorączkowym podnieceniu. Otrzymał straszny cios - moralny i duchowy. Otarł czoło, obejrzał się, potem poszedł do siebie i zmienił ubranie. W pokoju, do którego schroniła się Carrie, panowała głucha cisza. Przestała płakać słysząc, że się ubiera. Pierwszą jej myślą był strach, że zostanie bez pieniędzy, a nie że go straci - jeżeli pójdzie i nie wróci. Słyszała, jak otwiera szafę i wyjmuje kapelusz. Drzwi jadalni zamknęły się. Wiedziała, że odszedł.

Po chwili wstała, otarła oczy i wyjrzała oknem. Hurstwood wyszedł z domu i szedł ulicą w stronę Szóstej Alei.

- Szukać pracy - powtarzał sobie. - Szukać pracy! Każe mi iść szukać pracy!

Usiłował bronić się przed własnymi zarzutami, gdyż sumienie mówiło mu, że jednak ona ma słuszość.

- Diabli nadali tę Vance'ową! - myślał. - Stoi i patrzy na mnie, wiem co myślała...

Przypomniał sobie czasy, kiedy widywał ją na ulicy Siedemdziesiątej Ósmej. Była zawsze wytworna i on starał się nadrabiać w jej obecności miną... niech wie, z kim ma do czynienia! I pomyśleć, że widziała go w tym stanie! - otarł pot z czoła.

- Żeby to wszyscy diabli! - powtórzył dziesiąty raz w ciągu tej godziny.

Był kwadrans po czwartej, gdy opuszczał dom. Carrie tonęła we łzach. Nie ma mowy o obiedzie.

- Co, do diabła - klął w duszy, starając się w ten sposób ukryć przed sobą swoją własną hańbę. - Jeszcze nie koniec ze mną... Jeszcze się trzymam.

Obejrzał się, widząc dokoła wytworne hotele, postanowił zajść gdzieś na obiad. Każę sobie podać gazety i posiedzi wygodnie.

Wszedł do eleganckiego lokalu w „Morton House” (był to jeden z najlepszych podówczas hoteli w Nowym Jorku) i znalazłszy miejsce na kanapie usiadł. Nie troszczył się o to, że topniejące szybko pieniądze właściwie nie pozwalają na tego rodzaju zbytek. Przywykł do beztroski jak palacz opium do narkotyku. Wszystko, byle znaleźć chwilową ulgę, zadowolić pragnienie spokoju! Musi to osiągnąć. Żadnych myśli o jutrze - odrzucał je precz od siebie, jak odrzucał każdą inną przykrość.

Jak się odpędza pewność śmierci, starał się odpędzić od siebie pewność, że wkrótce zostanie bez dolara w kieszeni. Prawie mu się to udawało.

Patrząc na wytwornie ubranych gości, którzy szli tam i z powrotem po pokrytej miękkim dywanem posadzce, przypomniał sobie dawne dni. Podobała mu się młoda przyjezdna dama grająca na fortepianie w przyległej alkwie. Siedział czytając.

Obiad kosztował go półtora dolara. Skończył o ósmej i widząc, że sala pustoszeje, zaś za oknami wzrasta tłum szukających rozrywek, zastanowił się, dokąd ma iść. Nie do domu. Carrie z pewnością jeszcze czuwa. Nie wróci dzisiaj do domu! Spędzi wieczór, jak przystało na człowieka niezależnego. Kupił cygaro i przyłączył się do gromadki osobników szukających rozrywki - byli to właściciele stajni wyścigowych, maklerzy - krew jego krwi i kość kości. Stojąc tak przypomniał sobie wieczory w Chicago - jak je przepędzał! Ileż to razy kończyły się kartami! Przypomniał sobie pokera.

- Grałem ostatnim razem jak szewc - powiedział przypomniawszy sobie stratę sześćdziesięciu dolarów. - Nie powinienem był ustępować... Mogłem zabluffować tego smarkacza. Nie byłem w formie i dlatego przegrałem.

Zastanawiając się nad możliwością tamtej rozgrywki, obliczał, ile by też mógł wygrać, gdyby ostrzej i bardziej energicznie podwajał stawki i bluffował przeciwnika.

- Jestem w tym wieku, że mogę śmiało grać w pokera i wyciągać z tego korzyści...

Spróbuję szczęścia dzisiaj.

Wizja wielkiej puli mignęła mu przed oczyma. Przypuśćmy, że wygra kilkaset dolarów... czy nie warto próbować? Znał wielu takich, którzy żyli z kart i to jak żyli!

- Mieli tyle, co ja, albo i więcej!

Więc udał się do lokalu pokerowego (w sąsiedztwie) czując się trochę jak za dawnych czasów. W tym stanie samozapomnienia, jaki wywołała w nim sprzeczka, a udoskonalił smaczny obiad w hotelu z coctailami i cygarem, był prawie dawnym Hurstwoodem, jakim chciał być zawsze. Właściwie jednak nie był to dawny Hurstwood, lecz człowiek walczący ze swoim sumieniem, nęcony przez miraż.

Pokój pokerowy podobny był do poprzedniego, z tą różnicą, że mieścił się w głębi nieco przyzwoitszego baru. Hurstwood przyglądał się chwilę, po czym zainteresowany grą, przysiadł się. Tak samo, jak poprzednio, z początku szło mu dobrze, wygrał kilkakrotnie, ożywił się, stracił parę stawek, co jedynie wzmogło jego zainteresowanie i stanowczość. Wreszcie poddał się fascynującemu czarowi gry. Upajał się ryzykiem, grał zuchwale, próbował bluffować, podwajał stawki. Wszystko to z bezgranicznym zadowoleniem.

Gotów był uwierzyć, że szczęście jest przy nim. Nikomu nie szło tak jak jemu. Znowu dostał dość dobre karty i postanowił z ręki podwoić stawkę. Ale inni gracze umieli czytać w jego sercu.

- Mam trójkę - powiedział sobie jeden z tych panów. - Nie ustąpię drabowi do końca.

Rezultatem była ożywiona licytacja.

- Podnoszę do dziesięciu.

- Zgoda.

- I znów do dziesięciu.

- Niech będzie.

- I jeszcze do dziesięciu.

- Słusznie.

Kosztowało to już Hurstwooda siedemdziesiąt dolarów. Przeciwnik jego spoważniał. Może ten drab (Hurstwood) rzeczywiście ma dobre karty?

- Otwieram! - powiedział.

Hurstwood pokazał swoje karty. Był pobity. Przegrał. Fakt, że stracił siedemdziesiąt pięć dolarów, doprowadził go niemal do rozpacz.

- Jeszcze raz - zaproponował ponuro.

- Zgoda! - rzekł tamten.

Kilku graczy wstało, ale kilku innych przysiadło się kibicować. Godziny mijały, zbliżała się dwunasta. Hurstwood trzymał się, nie wygrywając i nie przegrywając. Potem nagle zmęczył się i w ostatniej rundce stracił dwadzieścia dolarów. To go zgnębiło.

Wyszedł nad ranem. Zimne, puste ulice zdawały się drwić z jego nieszczęścia. Szedł wolno na Zachód, nie myśląc prawie o swojej kłótni z Carrie. Wszedł na schody, a potem do swego pokoju, jak gdyby nigdy nic. Zajęty był wyłącznie myślą o swojej stracie. Siedząc na brzegu łóżka liczył kasę. Sto dziewięćdziesiąt dolarów i trochę drobnych. Schował pieniądze i zaczął się rozbierać.

- Ciekaw jestem, co mi się stało? - myślał.

Z rana Carrie była małomówna. Hurstwood czuł, że powinien wyjść z domu. Obszedł się z nią paskudnie, ale nie potrafił zmusić się do tego, żeby ją przeprosić. Ponieważ nurtowała go rozpacz, przez dwa czy trzy dni wychodząc z domu żył jak dżentelmen (w jego pojęciu), a było to kosztowne. Eskapady te zubożyły go na ciele i na duchu, nie mówiąc już o pugilaresie, z którego tymczasem ubyło trzydzieści dolarów. Potem wrócił zimny, gorzki rozsądek.

- Dzisiaj przyjdą po komorne - powiedziała Carrie, witając go obojętnie na trzeci dzień z rana.

- Dzisiaj?

- Tak. Jest drugi.

Hurstwood zmarszczył się. Potem ruchem zrozpaczonym wyjął pugilares.

- Strasznie dużo każą sobie płacić za mieszkanie - powiedział.

Zostało mu niewiele ponad sto dolarów.

Rozdział XXXVII

DUCH SIĘ BUDZI: NOWE POSZUKIWANIE WYJŚCIA

Byłoby rzeczą bezużyteczną tłumaczyć, w jaki to sposób w odpowiednim czasie pieniądze skurczyły się do ostatniego banknotu pięćdziesięciodolarowego. Siedem setek, administrowanych w ten sposób, starczyłoby zaledwie do czerwca. Zanim naruszył ostatnią setkę, uważał za wskazane ostrzec, że zbliża się katastrofa.

- Nie wiem - rzekł pewnego dnia, biorąc jako pretekst niewielki wydatek na mięso - ale wydaje mi się, że strasznie dużo kosztuje nas życie.

- A ja nie mam wrażenia - powiedziała Carrie - żebyśmy za dużo wydawali.

- Prawie nie mam już pieniędzy - rzekł. - Nie wiem, co zrobimy?

- Wydaliśmy całe siedemset dolarów?

- Została tylko setka.

Wyglądał tak zrozpaczony, że ją to zaniepokoiło. Czują, że ciągnie ją w przepaść. Czują to od początku.

- Więc dlaczego o nic się nie starasz, George? - zawołała. - Dlaczego przestałeś szukać? Może byś coś znalazł...

- Szukałem - powiedział. - Nie możesz rozkazać ludziom dać komuś posadę.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Co myślisz robić? Sto dolarów nie wystarczy na długo.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jedno, co mogę, to szukać.

Carrie przeraziło to oświadczenie. Z rozpaczą myślała o tym, co jej powiedział. Nie raz myślała o teatrze jako o wrotach, przez które mogłaby wejść do tak bardzo przez siebie pożądanej krainy złota. Teraz jak ongiś w Chicago uchwyciła się sceny jako ostatniej deski ratunku. Coś trzeba zrobić, jeżeli Hurstwood nie znajdzie prędko pracy. Może ona będzie zmuszona znowu rozpocząć walkę o byt?!

Zaczęła się zastanawiać, co by to zrobić, żeby dostać się do teatru. Doświadczenia chicagowskie wyraźnie mówiły Carrie, że nie szukała, gdzie należy. Muszą być ludzie, którzy zechcą cię wysłuchać i wypróbować... ludzie, którzy dadzą ci sposobność wybić się.

W dwa czy trzy dni później, kiedy siedzieli rozmawiając przy śniadaniu, Carrie zaha-
czyła o teatr, mówiąc o spodziewanym przyjeździe Sary Bernhardt. Hurstwood też o tym
słyszał.

- W jaki sposób ludzie dostają się na scenę? - zapytała niewinnie.

- Nie wiem - rzekł. - Muszą być jacyś agenci dramatyczni.

Carrie wolno piła kawę. Nie podniosła oczu.

- I oni wynajdują miejsca w teatrze?

- Przypuszczam.

Nagle ton, jakim mówiła, zwrócił jego uwagę.

- Przecież nie myślisz już o scenie, co? - zapytał.

- Nie - powiedziała. - Tak tylko pytam.

Nie zdając sobie sprawy dlaczego, czuł, że powinien był się przeciwstawić temu pro-
jektowi, gdyby poważnie o nim myślała. Po trzyletnim pożyciu z Carrie przestał wierzyć, że
mogłaby dokonać czegoś naprawdę wielkiego na scenie. Wydawała się za prosta, za uległa.
Według jego mniemania sztuka dramatyczna wymagała pewnej pompy. Jeżeli spróbuje do-
stać się do teatru, wpadnie w ręce jakiegoś drugorzędnego dyrektora i stanie się tym, czym
większość z nich. Wiedział, co myśli pod tym „większość z nich”. Carrie była ładna. Z pew-
nością dałaby sobie radę... ale co się stanie z nim?

- Gdybym był tobą - rzekł - wybiłbym sobie teatr z głowy. To o wiele trudniejsze, niż
sądzisz.

Carrie przyjęła to jako brak wiary w jej talent.

- Chwaliłeś, że dobrze grałam wtedy w Chicago...

- A dobrze - rzekł. - Ale Chicago to nie Nowy Jork. Za duży skok - dodał, czując, że
budzi w niej ducha opozycji.

Carrie nie odpowiedziała. Czuła się urażona.

- Scena - ciągnął - to wielka rzecz, jeżeli możesz być jedną z gwiazd. Bez talentu nie
dojdiesz do niczego. I trzeba dużo czasu, żeby się wyrobić.

- Och, nie wiem!... - rzekła Carrie wstając.

Jednym rzutem oka objął sytuację. Teraz, gdy zbliża się najgorsza chwila, Carrie
wkręci się w ten czy inny sposób do teatru i puści go kantem. Dziwne, ale nie przeczuł w
niej talentu. Dlatego, iż nie rozumiał istoty emocjonalnej wielkości. Nie wiedział, że ktoś

może być emocjonalnie - nie intelektualnie - wielki. Avery Hall, były to czasy zbyt odległe, żeby mógł wrócić do nich myślą i przypomnieć sobie dokładnie, jak było. Za długo żył z tą kobietą.

- A ja wiem - rzekł. - Gdybym był tobą, nie myślałbym o tym. To nie zawód dla kobiety.

- Lepsze to, niż przymierać głodem. - powiedziała Carrie.

- Jeżeli nie chcesz, żebym próbowała dostać się do teatru, dlaczego sam nie szukasz pracy?

Nie miał gotowej odpowiedzi. Przywykł do tego pytania.

- Och, dajmy temu spokój! - odrzekł.

Skutek tego był taki, że postanowiła spróbować. Mniejsza o niego. Nie pozwoli wciągnąć się w nędzę lub coś gorszego jeszcze dla jego kaprysu! Potrafi grać. Zaangażuje się do teatru i będzie aktorką. Co Hurstwood wtedy powie? Już widziała siebie występującą w jednym ze wspanialszych przedstawień na Broadwayu. Widziała siebie ubierającą się w teatralnej garderobie, wychodzącą z teatru koło jedenastej i przypatrującą się wspaniałym karetom, które czekają na wyjście gości. Mniejsza o to, czy będzie gwiazdą, czy nie! Jeżeli raz dostanie się do teatru i otrzyma przyzwoitą gażę, będzie mogła ubierać się, jak to ona lubi, bo będzie miała pieniądze, będzie mogła pójść tu i ówdzie! Jak piękne będzie jej życie! Przez cały dzień cudowny ten obraz stał przed oczyma Carrie. Posępność Hurstwooda czyniła marzenia jeszcze piękniejszymi.

Rzecz ciekawa, ale pomysł ten utkwiał również w mózgu Hurstwooda. Szybko topniejące pieniądze wskazywały, że nie obejdzie się bez podtrzymania. Dlaczego Carrie nie miałyby pomóc trochę, zanim on coś znajdzie?

Wrócił pewnego dnia z gotowym planem.

- Spotkałem dzisiaj Johna B. Drake'a - rzekł. - Ma otworzyć hotel w Nowym Jorku. Powiada, że da mi tam posadę.

- Kto to? - zapytała Carrie.

- Dyrektor „Grand Pacific” w Chicago.

- O! - wyrwało się Carrie.

- Mogłbym wyciągnąć z tego około tysiąca czterystu dolarów rocznie.

- To byłoby wspaniałe, prawda? - zapytała życzliwie.

- Gdybym mógł przetrzymać lato - ciągnął - czuję, że wyszedłbym na czyste wody. Nawiązałem stosunki z dawnymi przyjaciółmi.

Carrie przełknęła tę bajeczkę z całym jej pozornym pięknem. Szczerze życzyła mu, żeby przetrzymał lato. Miał taką beznadziejną minę!

- Ile pieniędzy ci zostało?

- Wszystkiego pięćdziesiąt dolarów.

- Ach, Boże! - zawołała. - Co my zrobimy? Za dwadzieścia dni znowu trzeba płacić komorne!

Hurstwood oparł głowę na rękach i patrzył w podłogę.

- Może ty byś co dostała w teatrze? - poddał blado.

- Może bym i dostała - rzekła Carrie rada, że popiera jej plany.

- Wezmę wszystko, co mi zaproponują - pośpieszył dodać, widząc, że się wypogodziła. - Przecież coś w końcu dostać muszę!

Postanowiła wstąpić do teatru na Madison Square i rozpytać się, gdzie szukać agenta dramatycznego. Wydało się to Carrie jedynie rozsądną drogą. Wszedłszy do teatru zgłosiła się do urzędnika w kasie.

- He - zapytał. - Agent dramatyczny? Nie wiem. Może znajdzie pani adres w „Clipperze”. Wszyscy oni tam się ogłaszają.

- Czy to takie pismo? - zapytała Carrie.

- Tak - powiedział kasjer, dziwiąc się podobnej nieświadomości prostego faktu. - Może je pani dostać w kiosku - dodał uprzejmie, widząc, że pytająca była naprawdę ładna.

Carrie kupiła „Clippera” i próbowała znaleźć adresy agentów, stojąc obok kiosku. Tego nie można było zrobić na poczekaniu. Od ulicy Trzynastej dzieliło ją kilka bloków, wróciła jednak do siebie z bezcennym pismem w rękę, ubolewając nad taką stratą czasu.

Hurstwood był już w domu. Czytał gazety. Siedział na zwykłym miejscu.

- Gdzie byłaś? - zapytał.

- Szukałam agenta dramatycznego.

Nie wiedział, czy należy pytać o rezultat tych poszukiwań. Zauważył jednak w rękę Carrie pismo.

- Co masz?

- To „Clipper” - powiedziała. - Podobno tu ogłaszają się agenci dramatyczni.

- I przeszłaś cały Broadway, żeby to dostać? Mógłbym ci to samo powiedzieć!

- A dlaczego nie powiedziałaś? - zapytała podnosząc głowę.

- Boś mnie nie pytała.

Przeglądała bez planu nabite kolumny druku. Irytowała ją obojętność tego człowieka. Zawsze tylko utrudnia każdą sytuację. Litowała się w sercu nad sobą. Łzy zawisły na rzęsach, ale nie spadły. Nie uszło to uwagi Hurstwooda. - Daj, to poszukam - powiedział.

Chcąc się uspokoić przeszła do pokoju frontowego, on zaś przeglądał pismo. Gdy wróciła, pisał coś ołówkiem na starej kopercie.

- Masz trzy adresy - powiedział.

Carrie wzięła i przekonała się, że były to adresy pani Bermudez, pana Markusa Jenksa i pana Percy'ego Weila. Zatrzymała się na chwilę, potem podeszła do drzwi.

- Równie dobrze mogę iść zaraz - powiedziała nie oglądając się.

Hurstwood patrzył na to z uczuciem pewnego wstydu, reakcja człowieka, u którego proces ogłupienia posuwa się szybko. Siedział czas jakiś, ale potem było mu tego za wiele. Wstał i włożył kapelusz.

- Chyba i ja pójdę - powiedział. I poszedł spacerować bez celu po ulicach, czując jednak, że wyjść musiał.

Carrie zaś udała się przede wszystkim do pani Bermudez, która mieszkała najbliżej. Był to staromodny dom zamieniony na biuro. Biuro pani Bermudez składało się z dwóch ubikacji, które były ongiś pokojem mieszkalnym i alkową do spania, opatrzoną obecnie tabliczką: „Prywatne”.

Wszedłszy, Carrie zobaczyła kilka osób, mężczyzn, którzy nic nie mówili i nic nie robili.

Gdy czekała, aż raczą ją zauważyć, drzwi alkowy otworzyły się i na progu stanęły dwie niewiasty ładząco podobne do mężczyzn, ubrane bardzo surowo w suknie z białymi kołnierzykami i białymi mankietami. Za nimi weszła wspaniała dama lat czterdziestu pięciu, jasnowłosa, bystrooka i na pierwszy rzut oka bardzo uprzejma. W każdym razie uśmiechała się.

- Więc niech pani nie zapomni, o czym mówiłyśmy - rzekła jedna z dam podobnych do mężczyzn.

- Oczywiście - odpowiedziała postawna dama. - Zaraz sprawdzimy - dodała. - Gdzie

będzie pani w pierwszym tygodniu lutego?

- W Pittsburgu - rzekła tamta.
- Więc napiszę tam do pani.
- Dobrze - i obie damy o męskim wyglądzie wyszły.

Natychmiast twarz postawnej damy stała się bezgranicznie surowa i posępna. Odwróciła się i obrzuciła Carrie badawczym spojrzeniem.

- Czym mogę służyć, młoda pani? - zapytała.
 - Czy mówię z panią Bermudez?
 - Tak
 - Więc - zaczęła Carrie niepewnie - pani wyrabia w teatrze engagement?
 - Tak.
 - Czy mogłaby pani wyrobić i dla mnie?
 - Grała pani kiedy?
 - Bardzo niewiele.
 - Z kim pani grała?
 - O, z nikim - rzekła Carrie. - To było takie sobie...
 - Widzę - przerwała dama.
 - Nie, nie wiem o niczym. Twarz Carrie wydłużyła się.
 - Gdyby pani grała już w Nowym Jorku... - zaczęła dama, po czym dodała uprzejmie:
- W każdym razie zapiszemy nazwisko pani i adres.

Carrie stała niezdecydowana, dama zaś wróciła do biura.

- Adres pani? - zapytała młoda panna za kontuarem, podejmując tę nieco krótką rozmowę.

- Mrs Wheeler - powiedziała Carrie zbliżając się do piszącej. Panna zanotowała dokładny adres Carrie i pozwoliła jej odejść.

Podobnego przyjęcia doznała w biurze pana Markusa Jenksa, z tą różnicą, że powiedział na pożegnanie: „Gdyby pani mogła zadebiutować w którymś z teatrów albo przedstawiła nam afisz ze swoim nazwiskiem, może mógłbym coś dla pani zrobić”.

Trzeci agent zapytał:

- Jakiego engagement pani szuka?
- Jak pan to rozumie?

- No, czy chce pani wstąpić do komedii czy do wodewilu? A może do chóru?

- Chciałabym dostać rolę - rzekła Carrie.

- Hm - rzekł ów osobnik. - To kosztuje pieniądze.

- Ile? - zapytała Carrie. Choć się to może wydać śmieszne, nie pomyślała o tym dotychczas.

- Od pani powinna wyjść propozycja.

Carrie patrzyła na niego zdziwiona. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Mógłby mi pan wystarać się o rolę, gdybym zapłaciła?

- Jeżeli nie dostanie pani roli, zwrócimy pieniądze.

- O! - wyrwało się Carrie.

Tamten widząc, że ma do czynienia z osobą niedoświadczoną, ciągnął:

- Złoży pani pięćdziesiąt dolarów. Żaden agent nie może podjąć się takiego trudu za mniejszą sumę.

Carrie dojrzała wyjście z sytuacji.

- Dziękuję - powiedziała. - Pomyślę nad tym. Już chciała się oddalić, ale przystanąła.

- Jak prędko mógłby mi pan znaleźć miejsce? - rzuciła.

- To trudno określić - powiedział. - Może pani czekać tydzień, a może i miesiąc. Dostanie pani rolę, jak tylko znajdzie się coś odpowiedniego.

- Rozumiem - rzekła Carrie uśmiechając się, gdyż chciała wydać się uprzejma. Po czym wyszła.

Agent patrzył za nią chwilę, potem powiedział:

- To zabawne, jak każdą kobietę ciągnie do teatru!

Carrie znalazła strawę do rozmyślań w tej pięćdziesięciodolarowej propozycji. „Może wezmą pieniądze i nic mi za to nie dadzą” - myślała. Miała trochę klejnotów: pierścionek z brylantem, broszkę, inne drobiazgi. Może z łatwością zastawić je za pięćdziesiąt dolarów.

Hurstwood był już w domu, gdy wróciła. Nie myślał, że zajmie to jej aż tyle czasu.

- No? - powiedział, nie śmiąc pytać więcej.

- Niczego nie mogłam się dowiedzieć - powiedziała Carrie. - Wszyscy chcą pieniędzy za znalezienie miejsca.

- Ile? - zapytał.

- Pięćdziesiąt dolarów.

- Za darmo, co?

- Jak każdy. I nie można wiedzieć z góry, czy wzięwszy te pieniądze zrobią coś po-
tem.

- Nie, nie ryzykowałbym pięćdziesięciu dolarów - mruknął Hurstwood.

- Już sama nie wiem - powiedziała Carrie. - Chyba spróbuję zwrócić się do którego z
dyrektorów.

Hurstwood słuchał tego objęty śmiertelnym strachem. Kołysał się w fotelu i zaciskał
palce. Są chwile, w których wszystko wydaje się naturalne. Jeszcze mu się będzie powodzi-
ło w życiu.

Rozdział XXXVIII

PRZENIESIONA W KRAINĘ BAŚNI: PONURY ŚWIAT ZEWNĄTRZ

Podjąwszy nazajutrz swoje poszukiwania, Carrie udała się przede wszystkim do „Ca-
sino”, gdzie miała sposobność dowiedzieć się, że w chórze operowym równie trudno jest o
posadę, jak na każdym innym polu. Ładnych dziewcząt, które potrafią stać w jednej linii,
jest tyle, co chłopców umiejących rąbać drzewo. Przekonała się, że wszystkie aplikantki
traktowane są jednakowo, byle były ładne i zręczne. Własne ich zdanie o tym, co potrafią,
nie wchodzi w rachubę.

- Czy zastałam pana Graya? - zapytała Carrie ponurego portiera stojącego przy
drzwiach.

- Nie przyjmuje. Zajęty.

- Może mi pan powiedzieć, kiedy go zastanę?

- Pani zamówiona?

- Nie.

- Więc niech się pani zgłosi do biura.

- Och, Boże! - wyrwało się Carrie. - A gdzie jest to biuro?

Podał jej numer.

Wiedziała, że nie ma po co chodzić tam teraz. Nie będzie dyrektora. Pozostało jej jed-

no: wykorzystać przerwę i pytać gdzie indziej.

Ponura historia tych prób nie zajmie nam dużo czasu. Pan Dały nie przyjmuje nie zamówionych. Carrie czekała pokornie całą godzinę w ciemnym biurze, aby dowiedzieć się tej prawdy z ust uprzejmego, obojętnego pana Dorneya.

- Musi pani napisać i prosić o audiencję - powiedział.

Więc dała za wygraną.

W teatrze „Empire” natrafiła na szczególnie milczących i obojętnych ludzi. Na każdym kroku przepyszne obicia, boazerie, bogactwo, dyskrecja.

W „Liceum” weszła w jedne z tych ukrytych i osłoniętych drzwiczek pod schodami, które budzą świadomość wielkości tego, kto za nimi przebywa. Tu zetknęła się Carrie z samą powściągliwością uosobioną w urzędniku, portierze i pomocniku, siedzących w aureoli swoich wspaniałych stanowisk.

„O, bądź pokorna... bardzo pokorna. Powiedz nam, czego sobie życzysz. Powiedz prędko, nerwowo, odrzuć na bok godność osobistą. Jeżeli nie sprawi nam to żadnego kłopotu, zobaczymy, co możemy dla ciebie zrobić”.

Oto atmosfera „Liceum” - duch panujący w większości instytucji w City. Ci mali właściciele przedsiębiorstw są panami na swoim własnym gruncie.

Carrie wróciła przygnębiona, przybita swoim niepowodzeniem.

Hurstwood wysłuchał sprawozdania bezowocnych i przykrych poszukiwań.

- Nikogo nie udało mi się widzieć - mówiła Carrie. - Chodziłam i chodziłam, i nacze-
kałam się tyle.

Hurstwood tylko spojrzał na nią.

- Sądzę, że trzeba mieć przyjaciół, żeby się dostać na scenę - powiedział, odejmując jej tym resztę odwagi.

Hurstwood widział trudności przedsięwzięcia Carrie, a jednak nie wydawało mu się to takie beznadziejne. Carrie była zmęczona i rozczarowana, ale teraz mogła odpocząć. Gdy się patrzy na świat z bujającego się fotela, nie wydaje, się on nam aż taki straszny. Jutro znów jest dzień.

Przyszło jutro, a potem znowu jutro i znowu jutro.

Carrie udało się w końcu widzieć dyrektora trupy w „Casino”.

- Proszę wstąpić na początku przyszłego tygodnia - powiedział. - Będę miał miejsca w

chórze.

Był to osobnik wielki i korpulentny, dobrze ubrany i dobrze odżywiony, taksujący kobiety, jak się taksuje konie. Carrie była ładna i zgrabna. Z pewnością da się z niej coś zrobić... musi tylko mieć trochę wprawy. Jeden z właścicieli powiedział niedawno, że chór nie- szczególnie się przedstawia.

Pierwsze dni następnego tygodnia były jednak jeszcze dość daleko. Natomiast pierwszy następnego miesiąca zbliżał się zatrważająco szybko. Carrie zaczęła się martwić, jak nie martwiła się nigdy jeszcze.

- Rzeczywiście szukasz posady? - zapytała pewnego dnia Hurstwooda, doprowadzona do ostatecznej rozpaczy.

- Oczywiście! - odpowiedział, niewiele sobie robiąc z obraźliwości tego pytania.

- Wziąłabym wszystko tymczasem - ciągnęła Carrie.

- Przecież to niedługo już pierwszy! Przedstawiała sobą obraz rozpaczy.

Hurstwood przestał czytać i zmienił ubranie. „Poszukam - myślał. - Pójdę i dowiem się, czy nie mógłbym znaleźć miejsca w którymś z browarów; przyjmę nawet miejsce barmana, jeżeli mi je ofiarują!”

Była to taka sama pielgrzymka, jaką nieraz już odbywał. Jedna, druga odmowa i - po zapale. „Nie ma sensu - myślał. - Równie dobrze mogę siedzieć w domu”.

Teraz, gdy pieniądze szybko topniały, zaczął przyglądać się swemu ubiorowi i doszedł do przekonania, że nawet jego najlepsze ubranie wygląda nieszczególnie. Nie była to myśl pocieszająca.

Carrie wróciła po nim.

- Widziałam kilku dyrektorów *variétés* - powiedziała beznadziejnie. - Trzeba mieć praktykę. Nie chcą przyjąć bez praktyki.

- Obszedłem dzisiaj kilka browarów - mówił Hurstwood.

- Jeden z tych panów powiedział mi, że za dwa, trzy tygodnie da mi u siebie miejsce.

Wobec bezgranicznej rozpaczy Carrie czuł się w obowiązku udawać przed nią, że też działa. Było to ustępstwo, jakie znużenie czyni na rzecz energii.

W poniedziałek udała się Carrie do „Casina”.

- Kazałem pani przyjść dzisiaj? - zapytał dyrektor trupy, badawczo przyglądając się stojącej przed nim Carrie.

- Pan powiedział w pierwszych dniach tygodnia - rzekła zmieszana Carrie.

- Grała pani kiedy? - zapytał prawie surowo.

Podniósł głowę znad papierów i znowu się jej przyjrzał.

Podobała mu się ta ładna, nieśmiała kobietka.

- Proszę przyjść jutro rano do teatru - dodał.

Carrie czuła, że radość rozsadza jej piersi.

- Słucham pana - powiedziała z trudem.

Wiedziała, że chce ją przyjąć. Czy to możliwe, że ją zaangażuje? Och, czyż to możliwe takie szczęście!

Jakże miły stał się zgiełk miasta wpadający przez otwarte okna! Ostry głos był odpowiedzią na niewypowiedziane pytanie, usuwając wszystkie możliwe obawy w tym kierunku.

- Ale proszę być punktualną - surowo dorzucił dyrektor - bo straci pani posadę!

Carrie szybko opuściła gabinet. Nie drażniło jej już lenistwo Hurstwooda. Ma posadę, ma posadę - śpiewało jej w uszach.

Była tak uradowana, że chciała jak najprędzej podzielić się nowiną z Hurstwoodem. Ale idąc do domu i zastanawiając się nad poszczególnymi faktami, zrozumiała anomalię zjawisk, że ona znalazła pracę w ciągu kilku tygodni, on zaś tkwił w beczynności całymi miesiącami. „Dlaczego nic nie znalazł? - pytała siebie Carrie. - Jeżeli ja znalazłam, mógłby znaleźć i on. Nie przyszło mi to wcale tak trudno znowu”.

Zapomniała, że jest młoda i ładna. W porywie entuzjazmu nie zauważyła handicapu wieku.

A przecież to jest tajemnicą powodzenia!

Nie potrafiła jednak nie mówić o tym, co się stało. Starła się być spokojna i obojętna, ale czuła, że właściwie to krzyżący wstyd!

- No? - zapytał, widząc zadowolenie na twarzy Carrie.

- Mam posadę.

- Masz? - zapytał z ulgą.

- Tak.

- Co to za posada? - zapytał, czując, że teraz i jemu od razu wszystko się poprawi.

- W chórze - rzekła.

- W teatrze „Casino”, o którym wspominałaś?

- Tak - powiedziała. - Jutro mam pierwszą próbę.

Chciałaby mówić więcej, ponieważ była szczęśliwa. Wreszcie Hurstwood rzucił:

- Wiesz już, ile ci dadzą?

- Nie, nie chciałam pytać - rzekła. - Zdaje mi się, że płacą od dwunastu do czternastu dolarów tygodniowo.

- Coś koło tego - rzekł Hurstwood.

Dnia tego zjedzono smaczny obiad dla uczczenia poprawy trudnej sytuacji. Hurstwood poszedł się ogolić i wrócił z pięknym kawałkiem steku.

- Jutro i ja zacznę szukać - powiedział i podniósł oczy znad ziemi, czując, że wstąpiła weń nadzieja. Z rana Carrie stawiała się na odpowiednią godzinę i dostała miejsce w chórze.

Ujrzała wielki, pusty, mroczny teatr, przepojony wonią i przepychem poprzedniego wieczora, imponujący wspaniałym, wschodnim wyglądem. Zdumiał i zadziwił Carrie. Niech błogosławiony będzie cud jego rzeczywistości! Będzie się starała być go godna. Górował nad zwykłą bezczynnością, nad pospolitym tłumem, nad potrzebami, nad znaczeniem wszechrzeczy. Strojni ludzie przyjeżdżają tu w karetach, żeby się zabawić. To jest źródło zabawy i wesela. On jest częścią tego. Och, gdyby pozwolono jej tu zostać, jakże czułaby się szczęśliwa.

- Pani nazwisko? - zapytał reżyser prowadzący próbę.

- Madenda - odrzekła, mając duszę pełną nazwiska, jakie Drouet wybrał dla niej w Chicago. - Carrie Madenda.

- Otóż panno Madenda - powiedział bardzo uprzejmie, jak się wydawało Carrie - stanie pani tam.

Po czym zawołał na młodą osobę, która stała już w szeregu.

- Panno Clark! Pani stanowi parę z panną Madenda!

Młoda osoba wyszła z szeregu, więc Carrie wiedziała, gdzie jej wyznaczono miejsce, po czym zaczęła się próba.

Carrie przekonała się wkrótce, że owa próba ma pewne podobieństwo z próbą w Ave-ry Hall, ale zachowanie się reżysera jest o wiele głośniejsze. Zdumiewała ją już energia i ważność pana Millice, to zaś indywiduum zdradzało tę samą ważność, połączoną z brutalną surowością. W miarę jak szła próba, rosły również możliwości wysiłku jego płuc. Było rzeczą oczywistą, że pan ów nie ma najmniejszego szacunku dla godności czy niewinności

owych młodych dam.

- Clark! - wołał, mając na myśli oczywiście pannę Clark. - Dlaczego Clark nie trzyma kroku?

- Czwórkami w prawo! W prawo, powiedziałem! Na miłość Boga, uważać! Uważać! W prawo! - przy czym ostatnie słowo wyrzaskiwał co sił w płucach.

- Maitland! Maitland! - darł się po chwili. Nerwowa, pospolicie ubrana dziewczyna wystąpiła z szeregu.

Carrie drżała za nią, czując dla biedaczki życzliwość i sympatię.

- Słucham pana - szepnęła pani Maitland.

- Co się stało z pani uszami?

- Nic, panie dyrektorze.

- A wie pani, co to znaczy: „kolumna w lewo?”

- A wiem, panie dyrektorze.

- Więc dlaczego skręca pani w prawo? Pani chce, jak widzę, złamać szereg?

- Ja tylko...

- Ma pani jedno tylko: słuchać!

Carrie litowała się nad biedaczką.

Za chwilę już się znęcał nad następną ofiarą.

- Stać! Minutkę! - wrzeszczał. Rozłożył ręce gestem rozpaczliwym. Twarz jego ziała wściekłością. - Elvers! - wołał. - Co ma Elvers w ustach?

- Nic - odpowiedziała panna Elvers, uśmiechając się i kręcąc nerwowo.

- Elvers rozmawia?!

- Nie, panie dyrektorze.

- Więc po co Elvers rusza ustami? Usta w spokoju! Znowu?!

Przyszła kolej i na Carrie. Naraziła się na wymówkę z powodu zbytnej swojej gorliwości.

- Mason! Panna Mason!

Obejrzała się, o kogo chodzi. Dziewczyna stojąca za Carrie dała jej znak, ale Carrie nie zrozumiała.

- Pani! Pani! - wołał dyrektor. - Nie słyszy, co do niej mówię?!

- O! - wyrwało się Carrie. Poczzerwieniała do czubka głowy.

- Przecież nazywa się Mason? - darł się reżyser.

- Nie, panie dyrektorze - tłumaczyła Carrie. - Nazywam się Madenda.

- Co się dzieje z nogami Madendy? Madenda nie umie tańczyć?

- Owszem - rzekła Carrie, która od dawna posiadała tę sztukę;

- Więc dlaczego Madenda nie przebiera nogami? Dlaczego Madenda rusza się po scenie jak mucha w śmietanie?! Potrzebuję ludzi z życiem! Z temperamentem!

Policzki Carrie pałały. Wargi jej drżały.

- Słucham, panie dyrektorze.

I tak w kółko przez bite trzy godziny. Nie przerywał próby, przeplatając ją wybuchami irytacji. Carrie wyszła wyczerpana fizycznie, ale zbyt podniecona, by zwracać na to uwagę. Postanowiła iść do domu i powtórzyć ćwiczenia. Nie popełni żadnego błędu, oczywiście, jeżeli jej się to szczęśliwie uda!

Kiedy wróciła do mieszkania, Hurstwooda jeszcze nie było; Dobrze, że poszedł szukać pracy, myślała Carrie. Zjadłszy coś niecoś, zaczęła powtarzać ćwiczenia. Otuchy dodawała jej nadzieja wyzwolenia się z trudności finansowych. Echo sławy dźwięczało jej w uszach.

Hurstwood wrócił w gorszym usposobieniu, niż wyszedł. Carrie musiała przerwać ćwiczenia i zabrać się do obiadu. To ją zirytowało. Będzie miała teatr i dom. Więc ma i grać, i prowadzić gospodarstwo?

- Ani mi się śni - powtarzała sobie. - Niech się tylko urządzą! Może jadać poza domem.

Każdy dzień przynosił nowe troski. Carrie przekonała się wkrótce, że to nic szczególnego należeć do chóru oraz że jej wynagrodzenie na początek wyniesie dwanaście dolarów tygodniowo. Po kilku dniach ćwiczeń ujrzała wielkich i potężnych tego świata - solistów i solistki. Widziała, że są uprzywilejowani, że się z nimi liczą. Ona była niczym, absolutnie niczym

W domu Hurstwood był jej ciągłą troską. Przecież nic nie robi, a miał czelność pytać, jak jej idzie! Systematyczność, z jaką to czynił, wzbudzała w Carrie obawę, że ma zamiar żyć z jej pieniędzy. Teraz, gdy już miała środki na utrzymanie, irytowało ją to. Zdawał się liczyć poważnie na jej nędznych dwanaście dolarów.

- Jak ci idzie? - pytał uprzejmie.

- O, zupełnie dobrze - odpowiadała.

- Nietrudno ci?

- Będzie łatwo, jak nabiorę wprawy. Po czym znowu tonął w swojej gazecie.

- Przyniosłem słoniny - dodawał po chwili. - Może zechcesz zrobić omlet.

Spokój, z jakim to wygłaszał, zdumiewał Carrie, zwłaszcza teraz, gdy sprawy przyjęły inny obrót. Nadzieja niezależności dodała Carrie odwagi. Czuła, że z przyjemnością nagadałaby mu porządnie. A jednak nie potrafiła mówić z nim tak, jak mówiła z Drouetem. Było w tym człowieku coś, co budziło w niej szacunek. Zdawał się kryć w sobie jakąś niewidzialną siłę.

Pewnego dnia, gdy wróciła z próby, stało się to, czego od dawna oczekiwała.

- Będziemy musieli żyć bardzo oszczędnie - powiedział, kładąc na stół mały kawałek mięsa. - Przecież przed upływem tygodnia nie wypłacą ci w teatrze wynagrodzenia.

- Nie - rzekła Carrie zajęta czyszczeniem patelni.

- Mam tylko na komorne i trzynaście dolarów - dodał.

- Tak! Wiedziałam! - szepnęła do siebie. - Ja mam utrzymywać dom!

Natychmiast przypomniała sobie, że miała zamiar kupić kilka niezbędnych drobiazgów do ubrania. Potrzebowała sukni. Kapelusz ma zniszczony. „Czy się za moich dwanaście dolarów utrzymamy? - myślała. - To nad moje siły! Dlaczego on nic nie robi?”

Zbliżył się ważny wieczór pierwszego występu. Nie prosiła Hurstwooda, żeby przyszedł. I on nie pomyślał o przyjściu. Zbyteczny wydatek. Ma taką małą rolę!

Ogłoszenia pojawiły się już w gazetach. Rozlepiono plakaty na ulicach. Wymieniono nazwiska solistek i solistów. O Carrie ani słowa.

Jak w Chicago, ogarnął ją strach z chwilą wejścia na scenę, ale potem się opanowała. Rzucająca się w oczy i bolesna małoważność roli sprawiła, iż przestała się bać. Czuła, że jest taka mała, iż nikt nie zwróci na nią uwagi. Na szczęście nie kazali jej ubrać się w trykoty. Dwanaście dziewcząt wystąpiło w ślicznych, złocistych tunikach, sięgających zaledwie kolan, i Carrie była w tej dwunastce.

Stojąc na scenie, poruszając się w takt, a od czasu do czasu podnosząc głos w ogólnym chórze, Carrie miała sposobność przyjrzeć się widowni i zaobserwować początek wielkiego powodzenia. Sypały się brawa. Carrie zauważyła, jak marnie grały niektóre z solistek. „Potrafiłabym lepiej” - myślała.

Po skończonym przedstawieniu ubrała się szybko. Ponieważ reżyser skrzyczał tę i ową, ją zaś pominął, zrozumiała, że jej się udało. Chciała wyjść jak najprędzej, gdyż nie знаła prawie nikogo. Gwiazdy zabawiały się plotkami. Na ulicy czekały karety i kilku młodzieńców w nieskazitelnych strojach. Carrie czuła, że jest bacznie obserwowana. Wystarczyłoby jedno mrugnięcie, a miałyby towarzysza. Nie zrobiła tego.

Niemniej jeden z bardziej doświadczonych młodzieńców zaryzykował.

- Przecież nie wróci pani do domu sama - powiedział.

Przyśpieszyła kroku i wsiadła do tramwaju jadącego Szóstą Aleją. Głowę miała tak nabitą swoimi kłopotami, że nie miała czasu myśleć o niczym innym.

- Nie dowiedziałeś się jeszcze niczego o tym browarze? - zapytała Hurstwooda w końcu tygodnia, myśląc, że tym pytaniem skłoni go do przedsięwzięcia czegokolwiek.

- Nie - powiedział. - Jeszcze nic dla mnie nie mają. Ale myślę, że coś z tego wyjdzie.

Nie powiedziała nic więcej. Nie godziła się na utrzymywanie domu ze swojej pensji, wiedziała jednak, że do tego musi dojść. Hurstwood przeczuwał katastrofę i chytrze gotował się do rozmowy z Carrie. Od dawna już zauważył, jak jest pocziwa, jak wiele potrafi znieść. Czuł jakby wstyd, pocieszał się jednak myślą, że przecież w końcu mu się uda.

- Mam już resztki pieniędzy - powiedział. - Muszę coś znaleźć w najbliższym czasie.

Carrie spojrzała na niego. Domyślała się, o co ją chce prosić.

- Gdybym miał jeszcze trochę czasu - ciągnął - czuję, że potrafiłbym się nieźle urządzić. Drake otwiera hotel we wrześniu.

- Rzeczywiście? - zapytała Carrie, uświadamiając sobie, że trzeba czekać na to jeszcze cały miesiąc.

- Chciałabyś mi pomóc do tego czasu? - zapytał. - Mam nadzieję, że się wkrótce urządzę.

- Nie - rzekła Carrie.

- Moglibyśmy wyjść na swoje przy oszczędności - ciągnął. - Zwróciłbym ci wszystko później.

- Naturalnie, że ci pomogę! - rzekła Carrie. Prawie wyrzucała sobie swoje okrucieństwo, że upokarza go prośbą, a jednak buntowała się w duszy, że ma mu oddać cały swój zarobek.

- Dlaczego nie weźmiesz czegokolwiek tymczasem, George? - powiedziała. - Czy to

nie wszystko jedno? Może po jakimś czasie znajdziesz coś lepszego.

- Wezmę byle co - rzekł czując nagłą ulgę, ale i obrażony jej tonem. - Mogę nawet zamiatać ulice! Nikt mnie tu nie zna.

- Och, po cóż zaraz takie rzeczy! - rzekła Carrie szczerze mu współczując. - Przecież są inne zajęcia...

- Wezmę każde! - rzekł z udaną energią.

Po czym zagłębił się w gazetach.

Rozdział XXXIX

O ŚWIATŁACH I CIENIACH: PODZIAŁ ŚWIATA

Rezultatem tej decyzji Hurstwooda było pogłębienie przeświadczenia, że żaden dzień nie jest dniem właściwym. W tym samym czasie Carrie przeżywała trzydzieści dni rozterki duchowej.

Chęć ubrania się, nie mówiąc o upodobaniu w ładnych strojach, wzrosła szybko, w miarę jak uświadomiła sobie, że pomimo ciężkiej pracy nie może dla siebie nic sprawić. Życzliwość, z jaką przyjęła prośbę Hurstwooda, zmaląła wobec tych nowych osobistych trosk. Hurstwood nie powtarzał nieustannie swoich żądań, ale za to pragnienie „wyglądać dobrze” nie dawało Carrie spokoju. Pragnienie to rosło i Carrie, chcąc je zaspokoić, coraz częściej myślała, jak by to było dobrze, gdyby Hurstwood nie wchodził jej w drogę.

Hurstwood zaś, mając w kieszeni ostatnich dziesięć dolarów, rozumował, że lepiej je zostawić, nie uzależniając w ten sposób od Carrie rzeczy takich jak golenie, przejazdy tramwajem itp. Więc będąc w posiadaniu tej małej sumki, powiedział Carrie, że jest bez grosza.

- Jestem bez grosza - rzekł pewnego popołudnia. - Zapłaciłem dzisiaj za węgiel i zostałem z pięćdziesięcioma centami w kieszeni.

- Mam trochę drobnych w portmonetce.

Hurstwood wziął pieniądze i poszedł po puszkę pomidorów. Carrie nie rozumiała, że jest to początek nowego porządku rzeczy. Potem ciągle już musiała dawać pieniądze to na

to, to na owo. Pewnego dnia przypomniała sobie, że wróci dopiero przed samym obiadem.

- Nie mamy smalcu - powiedziała. - Może zechcesz kupić. Nie mamy również mięsa. Może kupisz i szynki?

- Dobrze - rzekł Hurstwood.

- Więc kup pół albo trzy czwarte funta szynki.

- Pół wystarczy - rzekł Hurstwood.

Wyjęła portmonetkę i położyła pół dolara. Udał, że tego nie widzi.

Hurstwood kupił smalcu - sprzedawano go naówczas w paczkach trzy- i półkilowych po trzynaście centów - i zapłacił piętnaście centów za pół funta szynki. Położył sprawunki i resztę pieniędzy na stole kuchennym. Carrie znalazła jedno i drugie wróciwszy do domu. Nie uszło jej uwagi, że dokładnie oddał resztę. Było coś smutnego, pomimo wszystko, w przeświadczeniu, że ostatecznie żąda od niej tylko jednego: żeby go nakarmiła. Carrie czuła, że niesłusznie osądza go tak surowo. Może coś znajdzie. Nie miał żadnych nałogów.

Ale tego samego jeszcze wieczora, gdy wchodziła do teatru, zetknęła się twarzą z twarzą z koleżanką z chóru. Dziewczyna ubrana była w nową szykowną suknię z wełny tweed, na której spoczęły oczy Carrie. Dziewczyna niosła w ręku bukietek fiołków i zdawała się tryskać zadowoleniem z życia. Uśmiechnęła się uprzejmie przechodząc, przy czym pokazała ładne - nawet to miała ładne - zęby. Carrie odpowiedziała jej uśmiechem. „Może ubierać się elegancko - myślała Carrie. - I ja bym mogła, gdybym miała pieniądze tylko dla siebie. Nie mam nic przyzwoitego do włożenia”. Wysunęła nogę i nieufnym spojrzeniem obrzuciła swoje trzewiki.

- Żeby tam nie wiem co, kupię sobie w sobotę pantofle. Niech się dzieje, co chce!

Jedna z najmiłszych i najsympatyczniejszych chórzystek zaprzyjaźniła się z Carrie, ponieważ Carrie nie onieśmiała jej. Była to wesoła, beztroska Manon, poczciwa i uprzejma wobec koleżanek. Chórzystkom nie wolno było właściwie rozmawiać, ale nie przestrzegano tej zasady.

- Strasznie gorąco dzisiaj, prawda? - rzekła. Ubrana była w czerwoną opończę i hełm imitujący złoto. Miała również błyszczący puklerz.

- Tak. Bardzo - powiedziała Carrie, rada, że ktoś chce z nią mówić.

- Czuję, że topnieję! - dodała dziewczyna.

Carrie spojrzała na jej ładną twarzyczkę z wielkimi, błękitnymi oczami i dojrzała kro-

ple potu na skroni.

- Więcej tu chodzenia w takiej operze niż gdziekolwiek - ciągnęła dziewczyna.

- Była pani już w innych teatrach? - zdziwiła się Carrie.

- Och, oczywiście! - powiedziała chórzystka. - A pani nie?

- To moje pierwsze engagement - powiedziała Carrie.

- Naprawdę? Zdawało mi się, że widziałam panią w „Małżonku Jej Królewskiej Mości”.

- Nie - Carrie potrząsnęła głową. - To nie byłam ja.

Rozmowę tę przerwał ryk orkiestry i wybuchy magnezji za kulisami. Znak, że chór ma wyjść. Tego wieczora nie nadarzyła się więcej sposobność do rozmowy, ale nazajutrz, gdy Carrie ubrała się już na scenę, mała zjawiała się znowu u jej boku.

- Powiadają, że za miesiąc trupa wyjeżdża na prowincję - informowała.

- Naprawdę? - zapytała Carrie.

- Tak! Pojedzie pani?

- Nie wiem... chyba tak, jeżeli zechcą mnie zabrać.

- O, z pewnością zechcą! Bo ja nie jadę. Pensja ta sama i trzeba za wszystko płacić...

Nigdy nie wyjeżdżam z Nowego Jorku. Tyle tu jest teatrów!

- I zawsze znajduje pani miejsce?

- Zawsze. Teraz otwiera się nowy teatr na Broadwayu... Zajdę, zobaczę co i jak i przeniosę się, jeżeli nasza buda rzeczywiście wyjedzie.

Carrie słuchała tego z niekłamanym zainteresowaniem. Widocznie nie jest tak trudno dostać engagement. Może i ona znajdzie miejsce, jeżeli ta trupa wyjedzie?

- Wszędzie jednakowo płacą? - zapytała.

- Tak... Czasami dają trochę więcej. Tu marnie płacą.

- Mam dwanaście dolarów - rzekła Carrie.

- Dwanaście? - dziwiła się tamta. - Ja mam piętnaście, a przecież robię mniej od pani.

Nie zgodziłabym się na pani miejscu! Dają pani mniej po prostu dlatego, że myślą, że się pani nie orientuje. Powinna pani dostać co najmniej piętnaście.

- Ale nie dostaję!

- W innym teatrze dostanie pani więcej - ciągnęła mała, która szczerze zachwycała się Carrie. - Pani gra doskonale i oni o tym wiedzą.

Mówiąc prawdę, Carrie rzeczywiście miała ruchy zręczne i dystygowane. Zawdzięczała to wrodzonemu wdziękowi, którego sobie zupełnie nie uświadamiała.

- Sądzi pani, że daliby mi więcej na Broadwayu?

- Naturalnie! - odpowiedziała mała. - Niech pani idzie ze mną. Badanie biorę na siebie.

Carrie słuchała tego z sercem przepełnionym wdzięcznością. Polubiła tego rycerzyka kinkietów. Zdawała się taka doświadczone i promienna w swoim złotym hełmie i wojowniczym, rycerskim rynsztunku.

- Mam zapewnioną przyszłość - myślała Carrie. - Jeżeli w ten sposób znajduje się pracę!

Jednak rankami, gdy ciążyły na niej obowiązki gospodyni i Hurstwood siedział w domu (sam w sobie ciężar nie do zniesienia), los wydawał się Carrie smutny i beznadziejny. Dzięki skąpstwu Hurstwooda jedzenie nie kosztowało wiele, wystarczyło również na komorne, ale na nic więcej. Carrie kupiła trzewiki i kilka innych drobiazgów, co znacznie skomplikowało sprawę komornego. Coś na tydzień przed ową fatalną datą Carrie uprzytomniła sobie, że z nimi krucho.

- Zdaje mi się - zawołała pewnego dnia, zaglądając do portmonetki - że mi nie wystarczy na komorne!

- Ile masz? - zapytał Hurstwood.

- Mam dwadzieścia dwa dolary, ale musimy żyć jeszcze ten tydzień, a jeżeli wydam moją sobotnią gażę na zapłacenie tych wydatków, nie będziemy mieli z czego żyć w przyszłym tygodniu. Jesteś pewny, że ten twój znajomy w tym miesiącu otworzy hotel?

- Tak mi się zdaje. Przynajmniej obiecywał. - Po chwili Hurstwood dodał: - Nie martw się tym. Kupiec może poczeka. Z pewnością zechce poczekać. Od tak dawna u niego kupujemy, że chyba może nam zaufać na tydzień albo dwa!

- Myślisz, że zaufa?

- Myślę.

Tego samego dnia, żądając funta kawy, Hurstwood spojrział badawczo w oczy kupcowi Oeslogge i powiedział:

- Czy miałby pan co przeciwko temu, żebym regulował rachunki w końcu każdego tygodnia?

- Nie, nie, panie Wheeler - rzekł pan Oeslogge. - Wszystko mi jedno.

Hurstwood, zawsze taktowny, nawet w nieszczęściu, nie dodał nic ponadto. Sprawa wydawała się zupełnie łatwa. Spokojnie wyglądał oknem, wziął paczkę, którą mu podano, i wyszedł. Tak się zaczęła gra człowieka zrozpaczonego.

Komorne zapłacone. Pozostał do zapłacenia kupiec. Hurstwood uregulował go ze swoich dziesięciu dolarów. Potem odłożył na dzień, dwa obrachunek z kupcem, co pozwoliło wycofać włożone pieniądze i mieć znowu całe dziesięć dolarów. Stale teraz we czwartek lub piątek płacił kupcowi rachunek za poprzednią sobotę.

Tego rodzaju życie wzbudzało w Carrie chęć jak najprędszej zmiany. Hurstwood widocznie nie zdaje sobie sprawy, że i ona ma jakieś prawa! Zdawał się spokojnie pokrywać wszystkie wydatki z jej zarobków, nie myśląc o dołożeniu czegokolwiek ze swojej strony. - Mówi, że się martwi - powtarzała sobie Carrie. - Gdyby się naprawdę martwił, nie siedziałby beczynnie, oglądając się na mnie! Znalazłby jaką pracę! Przecież niepodobna w ciągu siedmiu miesięcy nie znaleźć jakiegokolwiek zajęcia! Trzeba tylko naprawdę szukać!

Widok Hurstwooda siedzącego wiecznie w mieszkaniu w starym garniturze skłaniał Carrie do szukania rozrywki poza domem. Dwa razy w tygodniu były *matinéés* i Hurstwood musiał zadowalać się zimną przekąską, którą sam sobie przyrządzał. W dwa inne dni od dziesiątej rano odbywały się próby, które przeciągały się przeważnie do pierwszej. Do tego dodać należy kilka wizyt, w tej liczbie do niebieskookiej chórzystki w błyszczącym hełmie. Znajdowała, że jest to przyjemność i ucieczka przed wiecznym ponurym Hurstwoodem.

Błękitnooka tancerka nazywała się Osborne - Lola Osborne.

Miała pokój przy ulicy Dziewiętnastej koło Czwartej Alei, w dzielnicy, w której teraz mieszczą się wyłącznie biura. Pokój był ładny, z widokiem na ogrody, w których rosły miłe dla oka rozłożyste drzewa.

- Rodzice pani nie mieszkają w Nowym Jorku? - zapytała Lolę pewnego dnia.

- Owszem, ale nie mogę z nimi dojść do ładu. Chcą, żebym żyła jak oni. Pani mieszka w Nowym Jorku?

- Tak - rzekła Carrie.

- Z rodziną?

Carrie wstydziła się przyznać, że jest zamężna. Tyle razy skarżyła się na niedostateczne zarobki i wyrażała obawę o swoją przyszłość, iż teraz, gdy zadano jej wprost tego rodza-

ju pytanie, nie chciała się przyznać do męża.

- Tak. Mieszkam przy krewnych - powiedziała.

Panna Osborne wywnioskowała z tego, że Carrie rozporządza swoim czasem tak jak ona. Wciąż zatrzymywała ją, namawiała na spacer, przechadzki, aż wreszcie Carrie zaczęła zaniedbywać godziny posiłku. Hurstwood zauważył to, nie czuł się jednak w prawie, aby robić jej wymówki. Czasami wracała tak późno, że miała zaledwie czas przyrządzić coś do zjedzenia i pójść do teatru.

- Miałaś dzisiaj próbę? - zapytał Hurstwood, umiejętnie ukrywając prawie zupełnie cyniczny protest i żal, które skłoniły go do tego pytania.

- Nie - powiedziała Carrie. - Szukałam innej posady.

Rzeczywiście wcale tak nie było, ale okoliczność ta mogła być dla Carrie wymówką. Toteż uchwyciła się jej jak tonący słomki. Poszły z panną Osborne do dyrektora nowej opery na Broadwayu, ale już o trzeciej wróciły do pokoju Loli i przesiadziały tam do tej pory.

Carrie przyjęła to pytanie jako pogwałcenie jej niezależności. Nie brała pod uwagę, z jak wielkiej swobody korzysta. Nie wolno jednak gwałcić jej ostatniego kroku, świeżo zdobytej swobody! Hurstwood widział to dostatecznie jasno. Był sprytny na swój sposób. Ale było w tym człowieku tyle poczucia słuszności, że nie przyznawał sobie prawa do wyraźnego protestu. W tym stanie niezrozumiałej apatii, w jakim się znajdował, godził się na ucieczkę Carrie z jego życia, jak godził się na ucieczkę możliwości życiowych. Nie mógł nie protestować i nie żalić się w milczący, irytujący, pokorny sposób, co jedynie pogłębiało przepaść między nimi.

Przepaść ta pogłębiła się jeszcze, gdy dyrektor teatru, patrząc zza kulis na jasno oświetloną scenę, zwrócił się do dyrektora baletu:

- Kto to jest... czwarta z rzędu, z prawej strony?

- O, to panna Madenda - rzekł baletmistrz.

- Ładna. Dlaczego nie ona prowadzi szereg?

- To jest myśl - rzekł baletmistrz.

- Radzę panu. Wygląda o wiele lepiej od tej, którą pan teraz wyznaczył do tej roli.

- To jest myśl! Rzeczywiście wygląda lepiej!

Następnego wieczora wezwano Carrie. Myślała, że czymś zawiniła.

- Poprowadzi pani dzisiaj szereg - rzekł baletmistrz.

- Słucham pana.

- Tylko z ogniem - dodał baletmistrz. - Lubimy ogień.

- Słucham pana - odrzekła Carrie.

Zdziwiona tą zmianą myślała, że dotychczasowa prowadząca musiała zachorować. Ale gdy ujrzała ją w szeregu z mściwym wyrazem w oczach, zrozumiała, że może jednak jest to wyróżnienie.

Umiała z wdziękiem potrząsać główką, pochylać ją na bok. Ręce jej nigdy nie zwisły beczynn timer. Na tle baletu robiło to jeszcze lepszy efekt.

- Umie się trzymać dziewczyna! - rzekł innego wieczora dyrektor. Mówił sobie, że chętnie zawarłby z nią znajomość. Gdyby nie to, że wziął sobie za zasadę nie rozmawiać z chórzystkami, starałby się do niej zbliżyć.

- Niech pan da tę małą na czoło białej kolumny - poddał innym razem myśl baletmistrzowi.

Biała kolumna składała się z dwudziestu dziewcząt strojnych w tuniki z śnieżnobiałej flaneli, przybranej złotym i błękitnym haftem. Prowadząca nosiła ten sam strój, ale uzupełniały go srebrne epolety i srebrny miecz wiszący u pasa. Sporządzono dla Carrie taki kostium i w kilka dni później pojawiła się w nim na scenie dumna ze swoich świeżych wawrzynów. Szczególnie uradowało ją to, że wynagrodzenie jej wynosiło już osiemnaście, a nie dwanaście dolarów.

Hurstwood nie wiedział o tym. „Nie dam mu przynajmniej tych pieniędzy - myślała. - Robię dosyć. Przecież muszę mieć co włożyć!”

Rezultat tego był ten, że w ciągu ostatniego miesiąca wydawała pieniądze z karygodną lekkomyślnością, nie zastanawiając się nad tym, do czego to może doprowadzić. Z tego powodu wzrosły komplikacje związane z komornem oraz rozwinął się system kredytowy u kupca korzennego. Ale Carrie postanowiła pomyśleć przede wszystkim o sobie.

Pierwszym jej krokiem było kupienie sukni - przy czym Carrie przekonała się, jak mało może kupić za przeznaczoną na ten cel sumę i jak dużo mogłaby kupić, gdyby wolno jej było użyć wszystkich pieniędzy. Zapomniała, iż będąc sama, musiałaby płacić za pokój i utrzymanie, i wyobrażała sobie, że całe osiemnaście dolarów mogłaby wydać na stroje i przyjemności.

Wreszcie wybrała suknię, która nie tylko pochłonęła nadwyżkę, ale naruszyła dwana-

ście dolarów. Wiedziała, że się zagalopowała, ale kobiece zamiłowanie do strojów wzięło górę. Nazajutrz Hurstwood powiedział:

- Jesteśmy winni kupcowi dolar i czterdzieści centów za ten tydzień.

- Aż tyle - zmarszczyła brwi Carrie.

Wyjęła portmonetkę.

- Mam wszystkiego osiem dolarów i dwadzieścia centów.

- Winni jesteśmy mleczarzowi sześćdziesiąt centów - ciągnął dalej Hurstwood.

- Tak, i węglarzowi - powiedziała Carrie. Hurstwood milczał.

Widział nowe sprawunki Carrie, widział, że zaniedbuje swoje obowiązki domowe, widział gotowość, z jaką spędza popołudnia poza domem. Czuł, że coś wisi w powietrzu.

- Nie wiem - rzekła Carrie. - Nie podołam temu wszystkiemu. Za mało zarabiam.

Było to otwarte wyzwanie. Hurstwood powinien je być przyjąć. Postanowił nie tracić spokoju.

- Nie chcę, żebyś cały trud brała na siebie - powiedział. - Proszę cię tylko, żebyś mi tymczasem pomogła.

- O, tak! - rzekła Carrie. - Wiecznie to samo! Wydajemy więcej, niż zarabiam! Nie wiem, co mam w końcu robić!

- Przecież próbowałem szukać pracy! - zawołał. - Czego jeszcze chcesz ode mnie w końcu?!

- Widocznie nie szukałeś tak jak potrzeba - powiedziała. - Ja znalazłam...

- Owszem, szukałem - rzekł zirytowany do tego stopnia, że aż podniósł głos. - Niepotrzebnie kłujesz mnie w oczy swoim powodzeniem. Prosiłem tylko o pomoc, zanim czegoś nie znajdę. Jeszcze żyję. Jeszcze wypłynę.

Starał się mówić spokojnie, ale głos drżał mu trochę.

Gniew Carrie zgasł w jednej chwili. Zawstydziała się.

- Weź, co mam - powiedziała, wysypując zawartość portmonetki na stół. - Nie wystarczy na wszystko. Jeżeli poczekają do soboty, zdobędę pieniądze.

- Nie potrzebuję tyle - smutno rzekł Hurstwood. - Chciałem tylko na kupca...

Schowała resztę pieniędzy i przez kilka dni starała się wracać na czas i starannie robić obiady. Popełniwszy małe szaleństwo, czuła potrzebę odpokutowania za winy.

Wkrótce jednak dawne myśli powróciły obojgu.

- Zarabia więcej niż mówi - myślał Hurstwood. - Mówi o dwunastu, ale musi zarabiać o wiele więcej! Nie mogłaby kupować tych wszystkich rzeczy. Mniejsza o to. Niech sobie chowa swoje pieniądze. Znajdę coś, nie dziś, to jutro. A wtedy niech idzie do diabła.

Mówił tak jedynie w gniewie, ale słowa te dość dobrze określały jego zamiary na przyszłość.

„Co mnie to obchodzi - myślała Carrie. - Właściwie powinnam mu kazać szukać czegoś! Gdzież tu słuszność, żebym ja go utrzymywała?!”

W tym czasie Carrie zawarła znajomość z kilkoma młodymi ludźmi, przyjaciółmi panny Osborne. Młodzieńcy ci należeli do gatunku, który określa się słowami „weseli chłopcy”. Przyszli kiedyś zaprosić pannę Osborne na popołudniową przejażdżkę. Carrie była właśnie u niej.

- Niech pani jedzie z nami! - prosiła Lola.

- Nie, nie mogę.

- Nie, nie, koniecznie musi pani jechać z nami! Co pani ma do roboty?!

- Muszę być w domu o piątej.

- Po co?

- Obiad.

- Oni proszą nas na obiad!

- Nie, nie mogę! Muszę wracać!

- Koniecznie niech pani jedzie z nami! - prosiła Lola.

- Nie mogę - broniła się Carrie.

- Musi pani jechać! Tacy mili chłopcy! Odwieziemy panią na piątą. Pojedziemy tylko do Central Parku!

Carrie pomyślawszy ustąpiła.

- Ale musicie mnie odwieźć o wpół do piątej!

Słowa te wleciały Loli jednym uchem, a wyleciały drugim.

Po doświadczeniach z Drouetem i Hurstwoodem w stosunku Carrie do młodych ludzi był jakby cień cynizmu - zwłaszcza w stosunku do wesołych i beztroskich chłopców. Czowała się trochę starsza od nich. Niektóre z ich pięknych komplementów wydawały się Carrie głupie. Jednak była młoda sercem i ciałem i młodość miała dla niej swój urok.

- Z pewnością wrócimy, panno Madenda - mówił jeden z chłopców nisko się kłania-

jąc. - Daję słowo, nie zatrzymamy pani! Chyba pani nie sądzi, że umyślnie tak zrobimy, żeby się pani spóźniła?!

- Nie! - uśmiechnęła się Carrie.

Więc pojechali na przejażdżkę. Carrie przyglądała się pięknym strojom, młodzieńcy śmiali się, gadali owe niewinne głupstwa, które w niektórych kołach uchodzą za dowcipy. Carrie patrzyła na wielką paradę pojazdów w parku, zaczynającą się na Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy i skręcającą koło Muzeum Sztuk do wylotu Sto Dziesiątej ulicy i Siódmej Alei. Oczy jej napawały się widokiem strojów, karet, wspaniałych koni, pięknych uprzęży. Zrozumiała całą ohydę nędzy, ale poniekąd zapomniała o swoich osobistych kłopotach do tego stopnia, że zapomniała o istnieniu Hurstwooda. Czekał do czwartej, piątej, nawet do szóstej. Ponieważ się ściemniło, wstał z fotela.

- Widzę, że nie wróci do domu - powiedział ponuro. - Tak - myślał. - Wyrwała się... Już jej nie jestem potrzebny.

Carrie zauważyła swoją winę, ale dopiero kwadrans po piątej, kiedy powóz skręcił w Siódmą Aleję koło rzeki Harlem.

- Która to godzina? - zapytała. - Muszę wracać.

- Kwadrans po piątej - rzekł jej towarzysz, spoglądając na elegancki złoty zegarek bez koperty.

- Ach, Boże! - zawołała Carrie. Po czym opadła na poduszki i westchnęła. - Po co opłakiwać to, co nie wróci? Za późno!

- Naturalnie! - rzekł młodzieniec marzący o przyjemnym obiedzie i pogawędce, która niechybnie doprowadzi do spotkania po teatrze. - Pojedziemy teraz do „Delmonico” i zjemy coś, prawda, Orrin? - zapytał. Był mocno zajęty Carrie.

- Naturalnie! - wesoło zgodził się Orrin.

Carrie pomyślała o Hurstwoodzie. Nigdy dotychczas nie opuściła obiadu!

Zawrócili i o godzinie szóstej piętnaście zasiedli do obiadu w „Sherry”, co wywołało bolesne wspomnienie. Przypomniała sobie panią Vance (która nie zjawiała się wcale u nich po owym niefortunnym występie Hurstwooda), przypomniała sobie Amesę.

Na tej postaci zatrzymała się chwilę. Było to silne, jasne wspomnienie. Lubił lepsze książki od tych, które ona czytała, lepszych ludzi od tych, z którymi ona przestawała. Ideały jego nie gasły w sercu Carrie.

„To wielka rzecz być dobrą aktorką” - dźwięczało w jej uszach.

Jaką ona była aktorką?

- O czym pani myśli, panno Madenda? - zapytał wesoło towarzysz Carrie. - Spróbuję zgadnąć, zgoda?

- Ach, nie! Niech pan nie próbuje! - rzekła Carrie.

Odegnęła wspomnienia i zabrała się do jedzenia. Zapomniała nawet, była wesoła. Ale kiedy doszło do propozycji spotkania się po teatrze, potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała. - Nie mogę.

- Och! Panno Madenda! Błagam! - prosił młodzieniec.

- Nie - powiedziała Carrie. - Nie mogę. Pan jest bardzo uprzejmy, toteż musi mi pan wybaczyć.

Młodzieniec miał minę niezmiernie zmartwioną.

- Poczysz się, stary - szepnął mu do ucha towarzysz. - Dojdziemy z nią do ładu! Zobaczysz! Zmieni zdanie!

Rozdział XL

ZATARG PUBLICZNY: OSTATNIA PRÓBA

Nie było żadnej zabawy po teatrze, przynajmniej Carrie nie wzięła w niej udziału. Przez całą drogę do domu myślała, jak wytłumaczy swoją nieobecność. Hurstwood spał, ale zbudził się i podniósł głowę, gdy przechodziła do swego łóżka.

- To ty? - zapytał.

- Tak.

Nazajutrz przy śniadaniu czuła potrzebę wytłumaczenia się przed nim.

- Nie mogłam wrócić wcześniej - powiedziała.

- Ach, Carrie! - odrzekł. - Nie opowiadaj! Wszystko mi jedno... Ale nie powinnaś tego mówić!

- Nie mogłam przyjść - powiedziała Carrie, czerwieniąc się. Po czym widząc, że patrzy na nią, jakby chciał powiedzieć: „Wiem”, dodała: - Ach, dobrze! I mnie wszystko jed-

no!

Obojętność jej dla domu rosła z każdym dniem. Zdawali się nie mieć o czym mówić ze sobą. Carrie kazała się prosić o pieniądze na wydatki. Doszło do tego, że ze wstrętem to czynił. Wolał „wisieć” u rzeźnika i piekarza. Rachunek u Oeslogge'a doszedł do szesnastu dolarów, bo zrobił zapasy rozmaitych produktów, żeby przez jakiś czas móc nie wydawać pieniędzy. Potem zmienił kupca. Zrobił to samo z rzeźnikiem i innymi dostawcami. Carrie nigdy tego nie powiedział. Prosił o tyle, ile wiedział, że może od niej wydostać, i coraz głębiej brnął w sytuacji, z której nie widział wyjścia.

W ten sposób dożyli do września.

- Czy ten Drake otworzy wreszcie swój hotel? - nieraz pytała Carrie.

- Tak, ale nie przed październikiem - odpowiadał.

Carrie czuła obrzydzenie. - Co za człowiek! - mówiła sobie coraz częściej. Zaczęła więcej bywać. Wydawała większość pieniędzy na stroje. Zresztą nie były to takie wielkie znowu sumy. Wreszcie pojawiły się ogłoszenia, że Opera wyjeżdża na kilka tygodni. „Ostatnie dwa tygodnie wielkiego przeboju Opery Komicznej” - czytało się na plakatach i w pismach. ,

- Nie pojedę! - oznajmiła panna Osborne.

Carrie poszła z nią zaangażować się do innego dyrektora.

- Grała pani kiedy? - brzmiało pierwsze pytanie.

- Gram teraz w trupie „Casino” - powiedziała Carrie.

- A, gra pani w „Casino” - powiedział.

Skończyło się na engagement za dwadzieścia dolarów tygodniowo.

Carrie była zachwycona. Zaczęła odczuwać, że wreszcie zdobyła pozycję w świecie. Ludzie cenią talent.

Tak się zmieniła w ostatnich czasach, że atmosfera domowa stała się dla niej nie do zniesienia. Nic, tylko kłopoty i nędza! Przynajmniej tak się jej wydawało, ponieważ z trudem to znosiła. Wolała unikać domu. Przychodziła spać i nawet pracowała trochę, utrzymując w porządku mieszkanie. Było to miejsce siedzenia dla Hurstwooda. Siedział w fotelu, bujał się, wciąż się bujał, czytał otulony w cień swego przeznaczenia. Przyszedł październik, potem listopad, potem, zanim się obejrzał - martwy sezon zimowy zastał go siedzącego w fotelu.

Carrie zarabiała więcej, niż sądził. Ubierała się teraz elegancko, nawet wytwornie. Widział ją wchodzącą i wychodzącą. Starał się wyobrazić sobie, ile wynosi jej podwyżka. Skąpe jedzenie wychudziło go trochę. Nie miał apetytu. Ubranie jego było już ubraniem nędzarza. Mówić o znalezieniu czegokolwiek zdawało mu się rzeczą śmieszną, ironią. Więc siedział z założonymi rękami i czekał; na co, nie potrafiłby powiedzieć.

W końcu kłopoty stały się nie do zniesienia. Nalegania wierzycieli, obojętność Carrie, cisza domowa, bliskość zimy - wszystko zapowiadało katastrofę. Wywołało ją zjawienie się Oeslogge'a, gdy Carrie była w domu.

- Przychodzę po należność - rzekł Oeslogge.

Carrie nie tuiła zdziwienia.

- Ile jesteśmy panu winni? - zapytała.

- Szesnaście dolarów - odrzekł.

- Co, aż tyle? - zapytała. - Zgadza się? - zwróciła się do Hurstwooda.

- Tak - odrzekł.

- Nie wiem o niczym... - powiedziała Carrie.

Miała taką minę, jak gdyby podejrzewała, że lekkomyślnie wydawał pieniądze na niepotrzebne rzeczy.

- Rachunek się zgadza - tłumaczył. - Nie mogę nic panu dać dzisiaj - powiedział pokornie, podchodząc do drzwi.

- A kiedy? - zapytał kupiec.

- W każdym razie nie przed sobotą - odrzekł Hurstwood.

- Hm... - powiedział kupiec - to mi się nie podoba! Muszę mieć pieniądze! Potrzebuję pieniędzy!

Carrie stała w głębi pokoju, przysłuchując się tej rozmowie. Była bardzo zmieszana. Takie to wstrętne, pospolite! Hurstwood był również przykro dotknięty.

- Nie ma o czym mówić... teraz - powiedział do Oeslogge'a. - Niech pan się zgłosi w sobotę, to dam coś na rachunek.

Oeslogge wyszedł.

- Co my zrobimy? - rzekła Carrie zaskoczona wielkością sumy. - Ja nie jestem w stanie tyle zapłacić!

- Po prostu nie zapłacimy - spokojnie powiedział Hurstwood. - Nie ma rady, nie ma

radę. Musi czekać.

- Nie rozumiem, w jaki sposób narósł taki rachunek? - utyskiwała Carrie.

- Przecież jedliśmy...

- To wprost zabawne - odpowiedziała, jak gdyby nie ufając mu.

- Po co tu stoisz i wydziwiasz? - zapytał ostro. - Myślisz, że sam przejadłem te pieniądze?! Mówisz tak, jak gdybym wziął sobie...

- W każdym razie to o wiele za dużo - rzekła Carrie. - Nie powinno mi się kazać płacić za wszystko. To więcej, niż jestem w stanie zapłacić!

- Dobrze, już dobrze - rzekł Hurstwood siadając w milczeniu.

Scena ta napęłniła go głęboką goryczą.

Carrie wyszła, on zaś siedział, postanawiając coś wreszcie zrobić.

Pojawiły się właśnie w pismach wzmianki i notatki o strajku grożącym liniom tramwajowym w Brooklynie. Wśród pracowników panowało ogólne niezadowolenie z ilości godzin i wysokości zarobków. Jak zwykle - z powodów zgoła niezrozumiałych - robotnicy dla zmuszenia do ustępstw pracodawców i poprawy swego bytu wybrali zimę.

Hurstwood czytał o tym i zastanawiał się, do czego strajk może doprowadzić? Strajk wybuchł na dwa dni przed opisanym powyżej zajściem z Carrie. Pewnego zimnego popołudnia, kiedy na świecie szaro było i ponuro, kiedy śnieg wisiał w powietrzu, gazety przyniosły wiadomość, że strajkują wszystkie linie tramwajowe.

Sam będąc bez pracy i mając głowę nabitą najgorszymi przepowiedniami dotyczącymi bezrobocia i trudności na rynku finansowym, Hurstwood czytał z zajęciem o strajku. Uwagi jego nie uszły pretensje motorniczych i konduktorów. Dawniej zarabiali po dwa dolary dziennie, od roku jednak wprowadzono „kursy”, co do połowy zmniejszyło ich możliwości zarobkowe, zwiększając ilość godzin pracy z dziesięciu na dwanaście, a nawet i czternaście na dobę. „Kursiarze” byli to ludzie dobierani w godzinach największego ruchu tramwajowego, którym płacono od kursu. Płacono za kurs tylko dwadzieścia pięć centów. Kiedy ruch tramwajowy się zmniejszył, zwalniano ich. Najgorsze z tego wszystkiego było, że żaden z „kursiarzy” nie wiedział, kiedy dostanie tramwaj. Dwa kursy to przeciętna nagroda za czekanie, coś około trzech godzin pracy za pięćdziesiąt centów. Czekanie, oczywiście, nie wchodziło w rachubę.

Robotnicy skarżyli się, że system ten jest wyzyskiem i prowadzi do tego, że tylko nie-

liczni z siedmiu tysięcy funkcjonariuszy zarabiać będą dwa dolary dziennie. Żądali porzucenia systemu „kursowego”, ustanowienia dziesięciogodzinnego dnia pracy przy wynagrodzeniu minimum dolara i dwadzieścia pięć centów. Domagali się natychmiastowego przyjęcia tych warunków, które przedsiębiorstwa tramwajowe oczywiście odrzuciły.

Hurstwood z początku sympatyzował z żądaniami tych ludzi; nie jest powiedziane, że nie sympatyzował z nimi do końca, chociaż pozornie przeczyły temu jego czyny. Czytając gazety od deski do deski natrafił z początku na krótką wzmiankę, którą o strajku zamieścił „World”. Przeczytał wszystko: które przedsiębiorstwa objęte są strajkiem, ilu ludzi strajkuje.

- To szaleństwo strajkować w taką pogodę! - myślał. - Ale daj Boże, żeby wygrali!

Nazajutrz pojawiły się obszerniejsze wzmianki. *Brooklyńczycy spacerują!* - pisał „World”. - *Rycerze pracy zatrzymują tramwaje w mieście! Około siedmiu tysięcy ludzi wyszło na ulicę!*

Hurstwood czytając zastanawiał się, do czego to może doprowadzić. Wierzył głęboko w siłę korporacji.

- Nie mogą wygrać - mówił. - Nie mają dość pieniędzy. Policja stanie po stronie przedsiębiorstwa. Publiczność musi mieć tramwaje!!!

Nie sympatyzował z przedsiębiorstwami tramwajowymi, ale po ich stronie była siła. Również własność i interes publiczny.

- Nie mogą wygrać! - myślał.

Pomiędzy innymi artykułami dojrzał cyrkularz ogłoszony przez jedno z przedsiębiorstw.

Atlantic Avenue Railroad

UWAGA!

Ponieważ motorniczy i konduktorzy oraz inni funkcjonariusze porzucili nagle pracę, każdy, kto wbrew woli zmuszony został do strajku, ma możliwość lojalnego powrotu do pracy pod warunkiem, że zgłosi się do niej przed godziną dwunastą we czwartek dnia szesnastego stycznia. Ludzie ci natychmiast dostaną pracę (i gwarantowaną ochronę) na warunkach, jakie przyznano tego rodzaju pracownikom, w porządku zgłoszeń, stosownie do swych uzdolnień i doświadczenia. Ci, którzy się nie zgłoszą, uważani będą za zwolnionych. Miejsca ich otrzymają nowo zgłaszający się do pracy.

Benjamin Norton Prezes

Zauważył również następujące ogłoszenie:

Poszukuje się pięćdziesięciu doświadczonych motorniczych, obznajomionych z systemem Westinghouse, do prowadzenia tramwajów w mieście Brooklyn. Ochrona zapewniona.

Zastanowiły go zwłaszcza słowa „ochrona zapewniona”. Było to dla Hurstwooda symbolem potęgi przedsiębiorstw tramwajowych.

- Mają po swojej stronie policję - pomyślał. - Strajkujący nic nie mogą wygrać!

W tym czasie zdarzył się ów incydent z Carrie i Oeslogge'em. Dużo rzeczy irytowało go już od dłuższego czasu, ale to ostatnie zajście było najgorsze. Nigdy przedtem nie zarzucała mu kradzieży... czy czegoś w tym rodzaju. Wątpiła w prawdomówność tak wielkiego rachunku. Ile się napracował, chcąc zmniejszyć ciężar wydatków! „Obrabiał” piekarza i rzeźnika, żeby nie nachodzili go w domu. Jadł tak mało... prawie nic.

- Do wszystkich diabłów - klął. - Przecież coś w końcu znajdę! Przecież nie jestem jeszcze skończony!

Pomyślał, że teraz rzeczywiście musi czegoś szukać. Za tanio by się sprzedał, siedząc beczynnie po takiej insynuacji! Przecież niedługo on sam znowu utrzymywać będzie cały dom!

Wstał i wyjrzał oknem na zimną ulicę. I wtedy to, stojąc w oknie, pomyślał, że mógłby się zgłosić do Brooklynu.

- Dlaczego nie? - mówił sobie. - Każdy znajdzie pracę. Płacą dwa dolary dziennie.

- A wypadki? - ostrzegał go jakiś głos. - Możesz oberwać...

- Och, nie ma się czego obawiać! - mówił. - Wezwali policję. Każdy, kto zgłosi się do prowadzenia wozu, otrzyma ochronę.

- Nie umiesz prowadzić wozu - mówił znów ów głos.

- Niekoniecznie muszę się zgłosić na motorniczego. Mogę sprzedawać bilety.

- Ale oni poszukują motorniczych!

- Każdego wezmą. Wiem o tym.

Przez kilka godzin dyskutował ze swoim nie istniejącym interlokutorem, nie czując potrzeby rozpoczęcia natychmiastowych działań w sprawie o tak pewnym wyniku.

Z rana ubrał się w najlepsze swoje ubranie, które było jednak dość nędzne, i zaczął kręcić się po pokoju, zawijając w papier kawałek chleba z mięsem. Carrie przypatrywała mu się zaskoczona tym niezwykłym widokiem.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Do Brooklynu - powiedział. - Myślę, że może mnie wezmą - dodał, widząc jej pytające spojrzenie.

- Mówisz o tramwajach? - pytała zdumiona.

- Tak.

- Nie boisz się?

- Czego? Jeżdżą pod ochroną policji.

- Pisali w gazetach, że jest czterech rannych.

- Tak - powiedział. - Ale nie można wierzyć, co piszą gazety. Już tam dadzą sobie radę!

Był całkiem zdecydowany w sposób trochę jakby rozpaczliwy i Carrie zrobiło się go żal. Było w nim coś z dawnego Hurstwooda - nikły cień tego, co było ongiś sprytem i imponującą siłą. Niebo było pochmurne. Polatywały płatki śniegu.

„W taką pogodę!” - pomyślała Carrie.

Wyszedł przed nią, co było rzeczą niezwykłą, i skierował się na wschód na róg ulicy Czternastej i Szóstej Alei, gdzie siadł do tramwaju. Czytał, że ludzie zgłaszają się do pracy całymi grupami w biurze Brooklyn City Railroad i że są przyjmowani. Pojechał tramwajem konnym i promem - ponury, milczący człowiek - do wyżej wymienionego biura. Trwało to długo, gdyż tramwaje stały, a dzień był zimny. Przybywszy do Brooklynu poznał od razu, że w mieście wybuchł strajk. Każdy na swój sposób to okazywał. Na ulicach, na których leżało kilka szyn, nie widać było ani jednego tramwaju. Na rogach, w pobliżu niektórych saloonów, stały grupki ludzi. Minęło go kilka otwartych platform zaopatrzonych w zwykłe drewniane krzesła z napisem: „Flat-bush” albo „Prospect Park. Opłata dziesięć centów” i „Kurs dziesięć centów”. Widział dokoła zimne, ponure twarze. Praca wypowiedziała wojnę.

Przybywszy do biura zauważył na ulicy niewielkie gromadki ludzi i kilku policjantów. Na dalszych rogach inne grupy; wiedział, że to strajkujący - w pogotowiu. Domy były tu małe, drewniane, ulice marnie brukowane. Po Nowym Jorku Brooklyn wydawał się ubogi i nędzny.

Skierował się w sam środek małej grupki, oglądany od stóp do głowy przez policjantów i zgromadzonych ludzi. Jeden z oficerów zwrócił się do Hurstwooda:

- Pan czego?

- Chciałem się zgłosić do pracy.

- Biuro na tamtych schodach - informował granatowy mundur.

Twarz jego nie wyrażała żadnego uczucia. W sercu sympatyzował ze strajkującymi i gardził „łamistrajkiem”, pomimo to jednak czuł i rozumiał godność i potrzebę policji, której zadaniem jest zachowanie ładu. Nigdy nie myślał o jej właściwym znaczeniu społecznym. Nie miał do tego głowy. Tkwiły w nim dwa uczucia neutralizujące się wzajemnie. Gotów był walczyć za tego człowieka jak za siebie samego, ale tylko wtedy, gdy otrzyma odpowiedni rozkaz.

Zerwij z niego mundur, a stanie po stronie tamtych.

Hurstwood wszedł po zakurzonych schodach do małego, ponuro malowanego gabinetu, w którym za barierą stało długie biurko i siedziało kilku urzędników.

- Co proszę? - zapytał jegomość w średnim wieku zza długiego biurka.

- Potrzebujecie ludzi?

- Co pan jest... motorniczy?

- Nie. Jestem niczym - rzekł Hurstwood. Nie był wcale zdetonowany swoim położeniem. Wiedział, że potrzeba ludzi. Jeżeli jeden go nie weźmie, weźmie go drugi. Ten jegomość może go przyjąć albo nie przyjąć - jak mu się żywnie podoba.

- Wolimy, oczywiście, ludzi doświadczonych - powiedział jegomość. Umilkł. Hurstwood uśmiechał się obojętnie. Po czym jegomość dodał: - Sądzę, że się pan nauczy. Pańskie nazwisko?

- Wheeler - rzekł Hurstwood.

Jegomość napisał coś na kartce.

- Proszę z tym iść do remizy - powiedział - i oddać majstrowi. Pokaże panu, co należy robić.

Hurstwood poszedł na dół, potem na podwórze. Szedł we wskazanym kierunku, odprowadzany wzrokiem policjantów.

- Jeszcze jeden, który chce spróbować - rzekł oficer Kiely do oficera Maceya.

- Mam wrażenie, że dostanie za swoje - spokojnie rzekł oficer Macey do kapitana Kiely'ego.

Wiedzieli, co to strajk.

Rozdział XLI

STRAJK

W warsztatach, do których skierowano Hurstwooda, brakowało rąk roboczych: pracą kierowało trzech ludzi. Kręciło się tam mnóstwo sił niewykwalifikowanych - dziwacznych, wygłodzonych postaci, wyglądających na ludzi, których rozpacz zmusiła do chwycenia się tego ostatecznego środka. Usiłowali być energiczni i chętni, ale w warsztacie panował nastrój pod psem.

Hurstwood minął warsztat i wyszedł na wielki ogrodzony plac, na którym były serie wozów i pętlic. Po szynach poruszało się sześć wozów prowadzonych przez instruktorów, z uczniami przy kierownicach. Reszta chętnych kandydatów czekała przed drzwiami prowadzącymi do warsztatów.

Hurstwood w milczeniu przyglądał się tej scenie. Czekał. Na chwilę wzrok jego zatrzymał się na towarzyszach, chociaż nie interesował się nimi więcej niż wozami. Nie było w nich nic ciekawego. Jeden czy dwaj byli bardzo chudzi i mizerni. Inni mieli miny dziarskie. Inni znowu - brudni i wypłowiali, jak gdyby przez dłuższy czas los wystawił ich na działanie zmiennych warunków atmosferycznych.

- Pisali w gazetach, że mają powołać policję - usłyszał Hurstwood za sobą.

- Z pewnością powołają - powiedział drugi. - Zawsze w takich wypadkach powołują policję...

- Myślisz, że będziemy mieli jakie przykrości? - pytał pierwszy.

- Chyba nie...

- Ten Szkot, co to wyszedł z ostatniego wozu - wtrącił trzeci - powiada, że zdzielili go w ucho...

Towarzyszył tym słowom krótki, nerwowy śmiech.

- Jeżeli wierzyć gazetom, to temu na Piątej Alei musiało być porządnie ciepło - dodał inny. - Wybili szyby i wyciągnęli go na ulicę, zanim policja się zorientowała.

- Tak. Ale dzisiaj wzmocnili posterunki policji - łagodził znowu inny.

Hurstwood przyjmował to bez komentarzy. Rozmawiający wydali mu się wystraszeni. Gadali beładnie, po prostu mówili dla własnego spokoju. Wyrzwał na plac i czekał.

Dwóch ludzi przeszło tuż obok niego i stanęło za jego plecami. Usposobieni byli rozmownie. Słuchał, co mówią.

- Pan kolejarz? - zapytał jeden.

- Ja? Nie. Pracowałem zawsze w fabryce papieru.

- A ja miałem pracę w Newark do października - odwzajemnił się tamten.

Potem powiedzieli coś tak cicho, że Hurstwood nie dosłyszał. Potem znowu rozmowa stała się głośna.

- Nie mam za złe, że strajkują - mówił jeden. - Mają słuszość, zupełną słuszość, ale ja muszę znaleźć pracę!

- To samo ja! - rzekł drugi. - Gdyby mnie nie zwolnili tam w Newark, nie bawiłbym się w taki gips.

- Piekło nie życie, co? - powiedział pierwszy. - Biedny człowiek nie ma z czego żyć. Mógłbyś, człeku, zdechnąć z głodu na ulicy, a nikt nie zatroszczy się o ciebie!

- Słusznie pan gadasz - powiedział drugi. - Zwolnili mnie, bo zamknęli budę. Pracowali całe lato, uciulali dość towaru i budę zamknęli.

Hurstwood słuchał tego niezbyt uważnie. Czuł się trochę wyższy od tych ludzi, trochę lepszy. Dla niego było to biedne, ciemne bydło w ręku poganiacza.

- Biedacy! - myślał, wyrażając w ten sposób uczucia, jakie miał za dawnych, niepowrotnych, lepszych czasów.

- Następny! - zawołał inspektor.

- Pan jesteś następny! - dotknął jego ramienia sąsiad. Hurstwood wystąpił i wlaź na platformę. Instruktor przyjmował z góry, że obejdzie się bez długich wstępów.

- Widzicie tę dźwignię - mówił, dotykając elektrycznego wyłącznika przytwierdzonego do dachu. - W ten sposób puszcza się lub zatrzymuje prąd. Jeżeli chcecie cofnąć wóz, obracacie korbą w ten sposób. Jeżeli chcecie puścić tramwaj w przód, to korbę obracacie w tę stronę. Jeżeli chcecie tramwaj zatrzymać, przesuwacie dźwignię na sam środek.

Hurstwood uśmiechnął się, słuchając tych prostych wskazówek.

- Ta dźwignia reguluje szybkość - ciągnął instruktor. - W tym miejscu - pokazał palcem. - daje szybkość około czterech mil na godzinę. Tutaj osiem. Możecie uzyskać szybkość czternastu mil na godzinę.

Hurstwood przyglądał mu się spokojnie. Nieraz obserwował motorniczych przy pracy.

Prawie wiedział, jak to robią, i był przekonany, że potrafi tak samo - byle miał trochę praktyki.

Instruktor wytłumaczył jeszcze kilka szczegółów, po czym powiedział:

- Teraz wprowadzimy wóz tyłem do remizy.

Hurstwood stał spokojnie, podczas gdy wóz wjechał tyłem na plac.

- Na jedno musicie uważać - dodał instruktor - to znaczy mieć lekką rękę. Trzeba czekać, aż się zrobi jedno, zanim się zacznie drugie. Największy błąd początkujących polega na tym, że zaraz puszczają wóz na największą szybkość. To niedobrze. To niebezpieczne. I niszczy motor. Trzeba tego unikać.

- Rozumiem - rzekł Hurstwood.

Czekał spokojnie, a instruktor mówił i mówił.

- Teraz spróbujcie - rzekł w końcu.

Hurstwood położył rękę na dźwigni i wprowadził ją w ruch lekko, jak mu się zdawało. Dźwignia chodziła lżej, niż przypuszczał, rezultatem czego wóz potoczył się naprzód, rzucając go na drzwi. Wyprostował się ogłupiały, podczas gdy instruktor ruchem dźwigni zatrzymał wóz.

- Trzeba uważać - powiedział tylko.

Hurstwood przekonał się, że prowadzenie wozu i regulowanie szybkości nie są tak łatwe, jak z początku sądził. Raz czy dwa byłby wpadł na ogrodzenie, gdyby nie słowa i ręka jego towarzysza. Instruktor był bardzo cierpliwy, ale nie uśmiechał się nigdy.

- Trzeba umieć posiłkować się obiema rękami jednocześnie - mówił. - To przychodzi z praktyką.

Wybiła pierwsza, a on wciąż jeszcze stał na wozie praktykując. Uczuł głód. Padał śnieg. Było mu zimno. Zmęczyła go ta jazda tam i z powrotem po wąskim placu.

Doprowadzili wóz do końca i obaj wysiedli. Hurstwood wszedł do remizy i usiadł na stopniu wozu. Wyjął z kieszeni owinięte w papier śniadanie. Wody nie było, a chleb zesechł się, ale jadł z apetytem. Nie robiono ceremonii z obiadem. Przełknąwszy rozejrzał się, myśląc o trudnej pracy, jaka go czeka. Była przykra, nieskończenie przykra we wszystkich swoich fazach. Nie dlatego, że była niemiła, gorzka, ale że była ciężka. „Dla każdego byłaby ciężka” - myślał.

Zjadłszy stał, czekając jak poprzednio swojej kolejki.

Chciano mu dać popraktykować po południu, ale większość czasu spędził mu na czekaniu.

Wreszcie zapadł wieczór, a wraz z nim troska, jak spędzi noc. Było wpół do szóstej. Musi coś zjeść i to niedługo. Jeżeli zechce wracać do domu, to ma przed sobą dwie i pół godziny jazdy i marszu na chłodzie. Zresztą otrzymał rozkaz stawienia się nazajutrz o siódmej rano, więc gdyby nocował w domu, musiałby wstać Bóg wie o której. Posiadał coś koło półtora dolara z pieniędzy Carrie, z czego miał zamiar zapłacić dwutygodniowy rachunek węglarzowi, zanim się zdecydował, co robić.

- Muszą tu mieć jakiś lokal - myślał. - Gdzie nocuje ten z Newark na przykład?

Ostatecznie postanowił zapytać. Koło drzwi stał mały człowiek czekający na chłodzie swojej kolejki. Był to prawie chłopiec jeszcze, mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat, wysoki i chudy. Trochę lepszej stawy uczyniłoby go ruchliwym i tęgim.

- Co oni robią, jeśli ktoś nie ma pieniędzy? - dyskretnie zapytał Hurstwood.

Młodzieniec zwrócił ku niemu bystre, badawcze spojrzenie.

- Chodzi wam o jedzenie?

- Tak. I nocleg. Nie mogę wracać dziś do Nowego Jorku. - Majster załatwi to. Trzeba się do niego zwrócić. Mnie załatwił.

- Tak?

- Tak! Powiedziałem, że nie mam grosza przy duszy. Nie mogłem wracać do domu. Mieszkam w Hoboken.

Hurstwood na znak, że rozumie, odchrząknął.

- O ile wiem, mają tu noclegi na górze. Nie wiem, jak i co. Pewnie brudno i ciasno. Dał mi w południe bon na obiad. Lichy obiad i mało.

Hurstwood uśmiechnął się ponuro. Chłopak zaśmiał się. - Żadna zabawa, co? - zapytał czekając na przychylną odpowiedź.

- A żadna.

- Zaczepiłbym go teraz - ciągnął chłopak - bo potem może wyjść.

Hurstwood usłuchał rady.

- Czy mógłbym się gdzieś przespać dzisiaj? - zapytał. - Gdybym musiał wracać do Nowego Jorku, to obawiam się, że...

- Jest kilka miejsc na górze - powiedział majster. - Jeżeli chcecie skorzystać...

- Chętnie.

Miał zamiar prosić o bon na kolację, ale chwila, w jego mniemaniu, ku temu odpowiednia nie nadchodziła, więc w końcu postanowił sam kupić sobie coś do zjedzenia.

- Poproszę go jutro rano - powiedział.

Zjadł w taniej restauracji w sąsiedztwie i ponieważ było mu zimno i markotno, poszedł na poszukiwanie owego noclegu. Była to izba mieszcząca dziewięć pryczy, kilka drewnianych krzeseł, miednicę i piecyk żelazny, w którym palił się ogień. Chociaż przyszedł tak wcześnie, zastał już jednego lokatora. Siedział przed piecem i grzał ręce.

Hurstwood zbliżył się. I on wyciągnął ręce do ognia. Cierpiał z powodu nędzy i trudności związanych z tym ostatnim wysiłkiem znalezienia pracy, ale podniecał się do wytrwania. Sądził, że mu się to uda na jakiś czas.

- Zimno, co? - zapytał tamten.

- Tak - odrzekł Hurstwood.

Długie milczenie.

- Nie bardzo się tu będzie spało, co? - zaczął znowu tamten.

- Lepiej tu niż nigdzie - odrzekł Hurstwood. Znowu milczenie.

- Chyba się już położę - powiedział tamten.

Wstał, podszedł do pryczy i wyciągnął się zdjawszy uprzednio tylko buty i zwinawszy pod głowę brudne prześcieradło i koc. Widok ten przejął odrazą Hurstwooda, ale nie zastanawiał się nad nim dłużej, bezmyślnie patrząc w ogień. Po jakimś czasie i on postanowił pójść spać. Podszedł do pryczy, zdjął buty.

Gdy to uczynił, do izby wszedł młodzieniec. Nadrabiał miną.

- Lepszy rydz niż nic - rzekł, oglądając się dokoła.

Hurstwood nie wziął tego do siebie. Uważał słowa młodzika za wyraz indywidualnego zadowolenia, więc mu nie odpowiedział. Młodzieniec uznał, że jest nie w humorze, i usiadł na pryczy, pogwizdując z cicha. Ujrzawszy, że ktoś śpi w izbie, zamilkł. Zaległa cisza.

Hurstwood starał się ułożyć jak najwygodniej, nie zdejmując ubrania i trzymając z dala od głowy brudny koc. W końcu jednak bezgranicznie znużony zdrzemnął się. Koc wydawał mu się coraz bardziej pożądany, zapomniał o jego wyglądzie, nasunął go na ramiona i zasnął.

Z rana zbudził go z przyjemnego snu hałas, jaki czyniło kilku ludzi uwijających się w zimnej, ponurej izbie. We śnie był w Chicago, w swoim pięknym, wygodnym domu. Jessica dokądś się wybierała i on rozmawiał z nią o tym. Śniło mu się to tak wyraźnie, że był niemal zaskoczony kontrastem rzeczywistości. Podniósł głowę. Gorzka, zimna rzeczywistość otrzeźwiła go ostatecznie.

- Chyba trzeba już wstać - powiedział.

Nie było wody na piętrze. Włożył trzewiki na zimne stopy i wstał otrząsając się i rozprostowując zeszywniałe członki. Ubranie go uwierało, włosy miał w nieładzie.

- Piekło! - mruknął kładąc kapelusz. Na dole sytuacja nie była zachęcająca.

Znalazł hydrant i rodzaj koryta, w którym dawniej pojono konie, nie było natomiast ręcznika, a chustkę miał brudną od wczoraj. Zadowolił się przemyciem oczu lodowatą wodą. Potem odszukał majstra, który był już na stanowisku.

- Jadł pan śniadanie? - zapytał ów szlachetny.

- Nie - odrzekł Hurstwood.

- Radzę zjeść. Pański wóz wyjeżdża za chwilę.

Hurstwood zawahał się.

- Mógłbym dostać bon na jedzenie? - zapytał z wysiłkiem.

- Proszę - rzekł majster.

Posilił się marnie jak poprzedniego wieczora, złą kawą i kawałkiem zimnego mięsa, po czym wrócił.

- Wyprowadzi pan ten wóz za kilka minut - rzekł majster.

Hurstwood wgramolił się na platformę w mroku remizy i czekał na sygnał odjazdu. Był zdenerwowany, a jednak to, że wyruszy, już było ulgą. Wszystko lepiej niż remiza!

Tego dnia, czwartego dnia strajku, sytuacja zmieniła się na gorsze. Strajkujący, idąc za radą przywódców i gazet, zachowywali się dość spokojnie. Nigdzie nie zanotowano gwałtownych wystąpień. Tramwaje zatrzymywano, to prawda, i obrzucano wyzwiskami jadących. Zmuszono do kapitulacji kilka brygad, zbito kilka szyb, rozlegały się okrzyki i pogroźki, ale najwyżej w pięciu czy sześciu miejscach doszło do poważniejszych zamieszek. Zresztą zamieszki te wywołały grupy, do których nie przyznawali się przywódcy.

Ale bezczynność i widok triumfu Towarzystw Tramwajowych wspomaganym przez policję rozgniewały strajkujących. Widzieli, że co dzień więcej wozów wyjeżdża na miasto.

Dzień w dzień Towarzystwa głośniejsze wołały, że opozycję robotników przełamano. To nasywało robotnikom najrozpaczliwsze myśli. Wiedzieli, że metody pokojowe doprowadzą tylko do tego, że wkrótce ruszą wszystkie tramwaje, zaś ci, którzy upominali się o słuszne prawa, zostaną na lodzie. Nic nie było tak na rękę Towarzystwom, jak metody pokojowe!

Robotnicy natychmiast zmienili taktykę i przez tydzień w mieście panował gwałt i zamieszanie. Napadano na wozy, bito policję, zrywano szyny, strzelano, aż doszło do regularnych bitew na ulicach: tłum wystąpił otwarcie do walki. Wezwano policję.

Hurstwood nie wiedział nic o tej zmianie nastrojów.

- Wyprowadź pan wóz! - zawołał majster, machając w jego stronę potężną pięścią. Konduktor w zielonym mundurze wskoczył na tylną platformę i zadzwonił dwa razy na znak odjazdu. Hurstwood poruszył korbę i wóz wyjechał z remizy na ulicę. Tu dwaj krzepcy policjanci stanęli obok niego na platformie - z obu stron.

Na dźwięk gongu przy bramie do remizy konduktor dwukrotnie zadzwonił i Hurstwood nacisnął korbę.

Dwaj policjanci rozglądali się spokojnie.

- Psiakrew, zimno - rzekł policjant z lewej strony.

- Miałem tego dość wczoraj - rzekł drugi. - Nie chciałbym takiego zajęcia na stałe!

- Ani ja!

Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na Hurstwooda, który stał z twarzą wystawioną na zimne poddmuchy wiatru, starając się pamiętać o instrukcjach.

- Nie zwalniać biegu - mówił majster. - Nie zatrzymywać tramwaju dla nikogo, kto nie wygląda na pasażera. W żadnym razie nie zatrzymywać wozu na widok tłumu!

Policjanci milczeli przez chwilę.

- Ostatni, który wyruszył, musiał szczęśliwie przejechać - powiedział jeden. - Nie wiadać jakoś tramwaju.

- Kto jedzie z nim? - zapytał drugi, rozumiejąc oczywiście, że był to komplement pod adresem policjanta.

- Schaeffer i Ryan.

Znowu zaległo milczenie. Wóz szybko sunął po szynach. Na tej części ulicy nie było wielu domów. Hurstwood nie widział również wielu ludzi. Sytuacja nie wydawała mu się straszna. Gdyby nie było tak zimno, sądził, że mogłoby być wcale nieźle.

Uczucia te uległy raptownej zmianie na widok zakrętu, którego nie oczekiwał. Przerwał prąd i skręcił ostro, ale nie dość szybko, żeby uniknąć naturalnego wstrząsu. Czuł, że powinien się jakoś wytłumaczyć, ale się powstrzymał.

- Trzeba uważać na zakrętach - rzekł policjant po lewej stronie.

- Słusznie - rzekł Hurstwood zawstydzony.

- Na każdym kroku będzie pan miał zakręty - rzekł policjant po prawej ręce.

Za rogiem okolica była bardziej ludna. Hurstwood dojrzał przed sobą jednego czy dwóch pieszych. Z bramy wyskoczył chłopak z bańką na mleko i obdarzył Hurstwooda pierwszym niemiłym mu pozdrowieniem.

- Łamistrąk! - wołał. - Łamistrąk!

Hurstwood słyszał to, starał się jednak wstrzymać od komentarza nawet wobec siebie. Wiedział, że czeka go to i jeszcze więcej z tego samego repertuaru.

Na następnym rogu koło przystanku stał jakiś człowiek i dawał znaki, żeby zatrzymać wóz.

- Nie zwracaj pan na niego uwagi - rzekł oficer. - To zasadzka.

Hurstwood usłuchał. Dojechawszy do rogu przekonał się, że rozsądna była rada. Widząc, że motorniczy ma zamiar go zignorować, stojący pogroził mu pięścią.

- Krwiożerczy tchórze! - wrzasnął.

Pół tuzina ludzi, ukrytych za węglem domu, obsypało tramwaj wyzwiskami i przekleństwami.

Hurstwooda aż poderwało. Rzeczywistość była gorsza od wszelkich przypuszczeń.

- Nie żałowali czasu - rzekł jeden z policjantów.

- Może przygotowali argumenty - dodał drugi.

- Może...

Hurstwood podjechał kilka kroków i wstrzymał wóz. Zanim zdążył to zrobić, zebrał się tłum. Składał się on ze strajkujących motorniczych i konduktorów, częściowo zaś z ich sympatyków i przyjaciół.

- Złaż z wozu, ojcie - odezwał się jeden ze strajkujących głosem, który miał być pojednawczy. - Nie chcesz przecież odbierać innym chleba od gęby, co?

Hurstwood trzymał rękę na kierownicy błady i niezdecydowany.

- Cofnąć się! - wrzeszczał jeden z oficerów, wychylając się z platformy. - Oczyszczyć mi

zaraz szyny! Pozwólcie człowiekowi spełnić jego obowiązek.

- Słuchaj, ojczy - rzekł przywódca, ignorując policjanta i zwracając się wyłącznie do Hurstwooda. - Wszyscy jesteśmy ludzie pracujący jak ty. Gdybyś był z zawodu motorniczym i potraktowali cię tak, jak nas, to nie chciałbyś, żeby ktoś skorzystał i zajął twoje miejsce, co? Nie chciałbyś, żeby ktoś przeszkadzał ci walczyć o słuszne prawa, nie?!

- Oczyszczyć drogę! Oczyszczyć drogę! - krzyczał drugi policjant. - Cofnąć się! - wyskoczył z platformy, stanął przed tłumem i zaczął go rozpychać. W jednej chwili towarzysz znalazł się przy nim.

- Cofać się! - krzyczeli. - Wynosić się! Co to, u diabła, znaczy?! No, jazda!

Zawrzało jak w ulu.

- Nie pchać! - zawołał głosem zdeterminowanym jeden ze strajkujących. - Nic złego nie robię.

- Wynosić się! - wołał policjant, wymachując pałką. - Bo dostaniesz tak, że ci oko zbieleje!

- Co do diabła - wołał inny ze strajkujących, pchając się naprzód, przy czym dodał kilka barwnych epitetów.

Pałka policjanta spadła mu na czoło. Ogłuszony zachwiał się na nogach i mimo woli cofnął. W odpowiedzi ciężka pięść spadła na kark policjanta.

Rozwścieczony policjant zaczął rozdzielać razy na wszystkie strony wymachując pałką. Pomagał mu w tym dzielnie brat po mundurze, ciskając ciężkie przekleństwa na wzburzone wody. Nie zrobiono nikomu poważnej krzywdy, a to dzięki zręczności strajkujących, którzy wywijali się od uderzeń. Stali teraz po obu stronach chodników i klęli.

- Gdzie konduktor? - wrzeszczał jeden z policjantów, oczyma szukając owego osobnika, który nerwowym krokiem wystąpił naprzód i stanął obok Hurstwooda. Hurstwood patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę bardziej ze zdumieniem niż ze strachem.

- Dlaczego nie uprzątniecie tych kamieni z szyn? - zapytał policjant. - Dlaczego stojicie jak głab? Chcecie stać tak do wieczora?! Do roboty!

Hurstwood oddychał z trudem. Wyskoczył razem z nerwowym konduktorem, jak gdyby do niego odnosiły się te słowa.

- Prędzej! Spieszcie się! - wołali policjanci.

Pomimo zimna zgrzani byli i wściekli. Hurstwood pracował z konduktorem, dźwiga-

jąc kamienie. Rozgrzało go to.

- Łamistrąk! - wołał tłum. - Tchórz! Kradnij, kradnij nasz grosz! Okradaj biedaka, co? Jeszcze dostaniesz za swoje! Poczekaj!

Okrzyki te nie pochodziły z jednych ust. Słyszeć je było z rozmaitych stron, a towarzyszyło im więcej gorszych jeszcze przekleństw.

- Pracuj, bandyto! Nędzniku! - wołał jakiś głos. - Spełniaj brudną robotę! Chłepcz krew robociarzy!

- Żeby cię Bóg pokarał głodową śmiercią! - wołała stara kobieta, Irlandka, otwierając okno i wysuwając z niego potarganą głowę.

- I ciebie! A tak! - dodała, wygrażając jednemu z policjantów. - Ty krwawy, nędzny złodzieju! Będziesz bił mego syna po głowie, co nędzniku? Bandyto?! Ja cię...

Ale policjant był głuchy.

- Idź do diabła, stara wiedźmo! - mruknął do siebie, wodząc okiem po rozjuszonym tłumie.

Kamienie usunięto z szyn. Hurstwood zajął z powrotem swoje miejsce i tramwaj ruszył wśród nie milknącego chóru epitetów. Oficerowie zajęli miejsca przy nim, konduktor pociągnął za dzwonek, gdy nagle rozległo się: trach! trach! i przez drzwi i okna posypały się kamienie. Jeden przeleciał tuż koło głowy Hurstwooda. Inny trafił w okno.

- Największą szybkością! - zawołał jeden z oficerów, sam chwytając za korbę.

Hurstwood usłuchał i tramwaj zwiększył szybkość przy akompaniamencie gradu kamieni i deszczu wyzwisk.

- Ten... - powiedział jeden z oficerów - dał mi w kark.

- Ale dostał za to!

- Znam tego draba, który nazwał nas... - ciągnął pierwszy.

- Porachuję się z nim!

- Przez chwilę myślałem, że już z nami krucho - powiedział pierwszy.

Hurstwood rozgrzany i podniecony patrzył badawczo przed siebie. Było to dlań zdumiewające doświadczenie. Fakt, że przecierpiał tyle, jedynie utwierdzał go w decyzji przetrwania do końca. Ani razu nie wracał myślami do Nowego Jorku lub do swego mieszkania, jazda absorbowała go.

Bez przeszkody wjechali w handlową dzielnicę Brooklynu. Ludzie gapili się na wybi-

te okna wozu i na Hurstwooda w jego jasnym palcie. Od czasu do czasu ktoś wołał „Łami-strajk!”, sypały się też inne wyzwiska, ale tłum wstrzymał się od atakowania wozu. Na stacji końcowej jeden z oficerów wysiadł i zatelefonował na posterunek, zdając raport z zajścia.

- Zebrał się tłum - mówił. - Prawdopodobnie czekają na nas. Lepiej wysłać ludzi i oczyścić drogę.

Drogę powrotną tramwaj odbył spokojniej. Obrzucano go wyzwiskami, przekleństwami, pogroźkami, ale na tym koniec. Hurstwood odetchnął z ulgą na widok remizy.

- No - powiedział do siebie - wcale nieźle mi poszło.

Wóz wjechał do remizy. Pozwolono mu odpocząć, a potem wezwano do pracy. Tym razem wsiedli inni policjanci. Podniesiony nieco na duchu przeprowadził wóz przez ulice z mniejszym niż poprzednio lękiem. Z jednego powodu jednak cierpiał niewymownie. Dzień był chłodny, padał śnieg, dał ostry wiatr, co silnie dawało się we znaki przy przyśpieszonym biegu tramwaju. Nie był odpowiednio ubrany. Drżał, przestępował z nogi na nogę (widział, że czynili to inni motorniczy), ale nie mówił słowa. Nowość i niebezpieczeństwo tego przedsięwzięcia łagodziły poniekąd odrazę i niechęć, że musi brać udział w takich zajściach; nie na tyle jednak, żeby mógł stłumić w sobie gorycz i ponurość.

„Pieskie życie - myślał. - Paskudna sprawa, że do tego doszło!”

Jedyną rzeczą, która dodawała mu bodźca, było wspomnienie obelgi, rzuconej przez Carrie. Nie upadł jeszcze tak nisko, żeby to ścierpieć! Może coś zarobić... choćby w ten sposób, tymczasem... Potem będzie lepiej. Będzie mógł nawet oszczędzać.

Jakiś ulicznik cisnął weń grudą błota, gdy tak rozmyślał, i trafił w ramię. Zabolało go to i rozgniewało więcej niż wszystko, co musiał wycierpieć od rana.

- Ha, nikczemnik! Szelma! - zawołał.

- Zranił was? - zapytał policjant.

- Nie.

- Zejdz, ojciec i bądź człowiekiem! Pamiętaj! Walczymy o słuszne zarobki! O nic więcej! Mamy rodziny do wyżywienia - człowiek ów zdawał się być nastrojony pokojowo.

Hurstwood udał, że nie widzi. Patrzył przed siebie z ręką na kierownicy. A jednak głos tamtego miał w sobie coś przekonywającego.

Ciągnęło się tak przez cały ranek do późnego popołudnia. Odbył w ten sposób trzy kursy. Obiad, który mu dano, nie był zupełnie proporcjonalny do takiej pracy. Zimno rów-

niez dawało się we znaki. Przy końcu każdej linii wstępował na kieliszek, ale czynił to z głęboką odrazą. Jeden z robotników w remizie z litości pożyczył mu czapki i futrzanych rękawiczek, za co był mu niezmiernie wdzięczny.

Podczas drugiego kursu popołudniowego w połowie linii zaszedł mu drogę tłum. W poprzek szyn leżał słup telegraficzny.

- Sprzątnąć mi to zaraz! - krzyczeli obaj policjanci.

- O! O! O! O! - ryczał tłum. - A sami nie łaska?!

Obaj policjanci zeszli z platformy. Hurstwood chciał iść za ich przykładem.

- Zostańcie! - zawołał jeden z policjantów - bo uciekną z waszym wozem.

Pośród wieży Babel głosów Hurstwood usłyszał jeden tuż obok siebie.

- Zejdź, ojczy! Zachowaj się jak człowiek! Pokaż, żeś też człowiek! Nie wojuj z biedakami! Zostaw to bogaczom!

Poznał w mówiącym tego, który zwracał się do niego na rogu. Teraz jak i poprzednio udawał, że nie słyszy.

- Zejdź - grzecznie powtórzył ów człowiek. - Przecież nie chcesz walczyć z biedotą? Co ci z tego? - był to motorniczy nastrojony filozoficznie i jezuicko.

Trzeci policjant pojawił się skądś i przyłączył do dwóch poprzednich. Ktoś pobiegł do telefonu o posiłki. Hurstwood rozglądał się dokoła, zdecydowany, ale niespokojny.

Ktoś pochwycił go za połą.

- Złaż zaraz! - wołał, usiłując wyciągnąć go na ulicę.

- Puść! - dziko krzyknął Hurstwood.

- Ja ci pokażę! Łamistrąk! - zawołał jakiś młody Irlandczyk, wskakując do tramwaju i zamierzając się ramieniem. Hurstwood pochylił się i zamiast w twarz otrzymał uderzenie w kark.

- Won stąd! - wrzeszczał oficer, biegnąc na pomoc i swoim zwyczajem nie szczędząc przekleństw.

Hurstwood oprzytomniał blady i drżący. Sprawa zaczęła przybierać poważny obrót. Ludzie patrzyli nań, obrzucali przekleństwami, wymyślali mu. Jakaś dziewczyna pokazała język.

Zaczął się wahać w swoim postanowieniu, kiedy nadjechał wagon patrolujący, z którego wysiadło kilku funkcjonariuszy policji. Oczyszczono szyny. Droga była wolna...

- Ruszać! Prędko! - padł rozkaz.

Hurstwood wprawił motor w ruch.

Skończyło się utarczką, prawdziwą utarczką, która wybuchła w powrotnej drodze o milę lub dwie od remizy. Była to bezgranicznie nędzna dzielnica. Hurstwood chciał jak najprędzej przez nią przejechać, ale szyny były znowu zabarykadowane. Z odległości kilkunastu kroków widział, że jacyś ludzie coś dźwigają.

- Znowu! - zawołał jeden z policjantów.

- Tym razem oberwą! - powiedział drugi oficer, wyprowadzony w końcu z cierpliwości. Hurstwood cierpiał niewymowne męki. Jak poprzednio tłum zaczął od przekleństw. Ale tym razem, zamiast podchodzić blisko, ciskał, co miał pod ręką. Rozbito kilka szyb. Hurstwood dostał kamieniem.

Obaj policjanci rzucili się na tłum, tłum natomiast rzucił się na tramwaj. Jakaś kobieta - właściwie dziewczynka - szła na przedzie, dźwigając wielki drag. Była szczególnie podniecona i podbiegłszy do Hurstwooda, uderzyła go. Zachwiał się na nogach. Towarzysze jej rozzuchwaleni tym czynem rzucili się na Hurstwooda i powalili go. Nie miał czasu krzyknąć ani wydobyć głosu.

- Puście mnie! - zawołał padając.

- Ach, ty, krwiopijco! - krzyknął któryś. Posypały się razy, kopnięcia. Zdawało mu się, że się dusi. Potem dwaj jacyś ludzie wyciągnęli go. Był wolny.

- Wstańcie - powiedział jakiś głos. - Nic wam się nie stało.

Przyszedł z wolna do siebie. Poznał policjantów. Czuł się bliski omdlenia. Po brodzie kapało mu coś mokrego. Dotknął ręką, spojrzał, była czerwona.

- Zranili mnie! - zawołał dziko, sięgając po chustkę.

- No, no - uspokajał go oficer - proste zadrażnienie!

Oprzytomniał zupełnie i rozejrzał się dokoła. Stał w sklepiku, gdzie też zostawili go na chwilę. Wyjrzał na ulicę, opierając brodę, i zobaczył swój wóz i podniecony tłum. Nadjechał wagon patrolujący, potem drugi.

Podszedł do drzwi i wyjrzał. Nadjeżdżał ambulans.

Policja szarżowała energicznie. Aresztowano kilka osób.

- Wyjdźcie, jeżeli chcecie prowadzić dalej wóz - rzekł jeden z oficerów, otwierając drzwi i zaglądając do środka.

Wyszedł. Czuł się niepewny i przerażony.

- Gdzie konduktor? - zapytał.

- Już go nie ma! - posłyszał.

Hurstwood podszedł do wozu i nerwowo wdrapał się na platformę.

Usłyszał gwizd kuli. Coś otarło się o jego ramię.

- Kto strzelał? - krzyczał oficer. - Na Boga, kto strzelał?! - Obaj policjanci zeskoczyli z wozu i pobiegli w stronę jednego z zabudowań. Poczekał chwilę, po czym i on zszedł z wozu.

- Do diabła! - mruknął. - Tego za wiele!

Doszedłszy nerwowym krokiem do rogu, zniknął w bocznej uliczce.

- Och! - wyrwało mu się z głębi piersi.

O parę domów dalej spotkał małą dziewczynkę.

- Niech pan lepiej pełza! - zawołała za nim.

Szedł do domu pomimo zawiei śnieżnej i o zmroku dobrnął do kolejki. Przedziały pełne były zadowolonych ludzi: przyglądali mu się ze zdziwieniem. W głowie miał zamęt, czuł się zmieszany. Cud świateł na rzece, lśniących wśród białych podmuchów śniegu, miął i prześliznął się niepostrzeżenie. Przywłókł się do domu. Carrie nie było. Kilka gazet wieczornych leżało na stole, jak je zostawił. Zapalił gaz i usiadł. Potem wstał i obejrzał stłuczone ramię. Zwykle zadraśnięcie. Umył twarz i ręce, przyczesał włosy. Obejrzał się za czymś do zjedzenia, po czym zaspokoiwszy głód, usiadł w fotelu. Co za cudowna chwila!

Podparł brodę rękami, zapomniał nawet o gazetach.

- Taaak - powiedział po jakimś czasie zupełnie już opanowany - to całkiem poważna gra!

Odwrócił się i dojrzał gazety. Z westchnieniem sięgnął po „Worlda” - *Strajk w Brooklynie* - czytał. - *Starcia we wszystkich dzielnicach miasta!* - Rozpostarł wygodnie gazetę i zagłębił się w jej treści. Była to jedyna rzecz, jaka mogła go w tej chwili zainteresować.

Rozdział XLII

POWIEW WIOSNY: PUSTA ŁUPINA

Ci, którzy patrzą na brooklyńską przygodę Hurstwooda jako na rzecz w samym swoim założeniu niesłuszną, muszą zdać sobie sprawę z ujemnego wpływu, jaki wywarł na nim fakt, że próbował i nie udało mu się. Carrie powzięła o tym jak najmylniejsze pojęcie. Mówił tak mało, iż wyobraziła sobie, że spotkała go zwykła brutalność - i dlatego tak łatwe ustąpienie zakrawało na kpiny. Po prostu nie chce pracować.

Występowała teraz w grupie wschodnich piękności, które w drugim akcie opery komicznej wezryr przedstawia nowemu potentatowi jako najcenniejszy skarb w jego haremie. Żadna z nich nie miała powiedzieć słowa, ale pewnego wieczora (kiedy Hurstwood nocował w remizie) główny aktor, gwiazda, czując się w szczególnie wesołym nastroju, zapytał grobowym głosem, co przyjęto wybuchami śmiechu:

- Ktoś ty?

Zdarzyło się, że to właśnie Carrie składała przed nim niski ukłon. Mogła to być każda inna - jeżeli chodzi o niego. Nie oczekiwał odpowiedzi, a gdyby odpowiedź wypadła głupio, zasłużyłaby na naganę. Ale Carrie, którą wiara w siebie i doświadczenie uczyniły zuchwałą, powtórnie skłoniła się przed władcą mówiąc:

- Twoja służa.

Była to odpowiedź zupełnie trywialna, ale w tonie, jakim to Carrie powiedziała, było coś, co zwróciło uwagę publiczności. Śmiano się serdecznie na widok komiczno-uroczystego władcy, puszającego się przed młodą niewiastą. I aktor, słysząc śmiech, uznał odpowiedź Carrie za zadowalającą, więc dodał:

- A ja myślałem, że jesteś Smith - co również przyjęto śmiechem.

Carrie drżała ze strachu, uświadomiwszy sobie, co uczyniła. Aktorzy mieli surowo zabronione wtrącać samowolnie słowa lub wykonywać gesty. Groziła za to grzywna lub coś gorszego. Carrie nie wiedziała, czym się to może dla niej skończyć.

Stała w odpowiedniej pozie za kulisami, oczekując następnego wyjścia, gdy główny bohater, który właśnie schodził ze sceny, zauważył ją.

- Może pani to zostawić na stałe - powiedział, widząc, że wygląda inteligentnie - ale proszę nic więcej nie dodawać!

- Dziękuję - pokornie szepnęła Carrie. Już go nie było, a ona drżała od stóp do głowy.

- Masz szczęście! - powiedziała któraś z koleżanek. - Żadna z nas nie ma roli mówio-nej!

Nie było dwóch zdań co do znaczenia tego incydentu. Cała trupa zrozumiała, że to początek kariery Carrie. Carrie nie posiadała się z radości, gdy następnego wieczora słowa jej wywołały ten sam entuzjazm. Wróciła do domu uszczęśliwiona, przekonana, że niedługo coś się musi stać. Ale widok Hurstwooda odegnał precz wesołe myśli, ustępując miejsca pragnieniu, żeby się to wszystko raz wreszcie skończyło!

Nazajutrz zapytała, jak mu się wiodło.

- Nie będą puszczać tramwajów. Chyba że je poprowadzi policja. Nie przyjmują niko-go... przynajmniej nie przed upływem tygodnia.

Przeszedł następny tydzień, a Carrie nie zauważyła żadnej zmiany. Hurstwood wydał się bardziej apatyczny niż kiedykolwiek. Patrzył na nią, jak wychodzi na próby każdego ranka, z największym spokojem. Czytał i czytał bez końca. Kilkakrotnie złapał się na tym, że patrzy na jakiś artykuł, a myśli o czymś zupełnie innym. Pierwszy raz zdarzyło się, gdy czytał o przyjęciu urządzonym przez klub, którego był częstym bywalcem, do którego ongiś należał. Siedział zapatrzony w ziemię. Zdawało mu się, że słyszy znajome głosy, trącanie się szklankami.

- Zuch jesteś, Hurstwood! - wołał jego przyjaciel Welker. Znowu widział siebie wytwornie ubranym, uśmiechającym się, wesołym - niewyczerpane źródło dowcipnych anegdot!

Uniósł głowę. W pokoju panowała cisza. Było w tej ciszy coś upiornego. Słyszał wyraźnie cykanie zegara. Może się zdrzemnął? Ale trzymał gazetę i to, co czytał, tak wyraźnie utkwilo mu w pamięci, że odrzucił przypuszczenie drzemki. A jednak było to niezwykle. Ale gdy się zdarzyło po raz drugi, nie wydało się już tak dziwne.

Rzeźnik i kupiec, piekarz i węglarz - nie ci, z którymi obecnie robił interesy, ale ci, u których wyczerpał kredyt - nieustannie go nachodzili. Przyjmował ich uprzejmie, nie silił się na wykręty. Wreszcie stał się zuchwały, udawał, że go nie ma w domu, wyrzucał ich za drzwi.

- Nie mogę wycisnąć kropli krwi z rzepy - mówił. - Będę miał, to zapłacę!

Mała przyjaciółka Carrie, panna Osborne, na widok takiego powodzenia koleżanki stała się jej satelitką. Mała Osborne nie marzyła, że do czegoś dojdzie. Zdawała się to rozumieć w sobie właściwy jakiś koci sposób i instynktownie uczepiła się Carrie swymi małymi, delikatnymi pazurkami.

- Och, ty się z pewnością wybijesz! - powtarzała z zachwytem. - Tak cudownie grasz!

Aczkolwiek nieśmiała, Carrie wierzyła w siebie. Wiara innych upewniała ją, że musi, a jeżeli coś musiała, to znajdowała do tego odwagę. Znajomość świata i konieczność okazały się dobrymi sprzymierzeńcami. Żaden mężczyzna nie mógł już jej zawrócić głowy pierwszym lepszym komplementem. Życie nauczyło ją, że mężczyzna może się zmienić i upaść. Pochlebstwa w najprzyjemniejszej nawet formie straciły dla Carrie wartość. Tylko świadomość bezwzględnej wyższości mogła ją wzruszyć. Wyższość w rodzaju geniusza, jakim był Ames.

- Nie podoba mi się żaden aktor w naszej trupie - zwierzała się Loli. - Tacy zarozumialcy!

- Nie uważasz, że pan Barclay jest strasznie miły? - pytała Lola, która otrzymała z tej strony jeden czy dwa zachęcające uśmiechy.

- Och, owszem! - rzekła Carrie - ale jest nieszczerzy. Stroi takie miny!

Kiedyś odezwała się Lola:

- Czy sama płacisz za swoje mieszkanie?

- Naturalnie - rzekła Carrie. - Dlaczego pytasz?

- Bo wiem, gdzie mogłabym dostać tanio, za bezcen przemiły pokój z łazienką. Jest za duży dla mnie, ale byłby w sam raz dla nas obu, a kosztuje tylko sześć dolarów tygodniowo za dwie osoby.

- Gdzie? - zapytała Carrie.

- Na Siedemnastej!

- Nie wiem, czy opłaci mi się zmieniać mieszkanie - powiedziała Carrie, w myśli rozważając sprawę trzydolarowego komornego tygodniowo. Mówiła sobie, że gdyby nie potrzebowała utrzymywać kogoś, pozostałoby jej siedemnaście dolarów!

Projekt ten nie urzeczywistnił się aż do czasu owego brooklyńskiego przedsięwzięcia Hurstwooda i otrzymania przez Carrie pierwszej mówionej roli. Natenczas poczuła, że musi

być wolna. Przyszło jej na myśl, czyby nie porzucić Hurstwooda, niech sam o siebie się troszczy! Ale w ostatnich czasach zauważyła w nim tak szczególne cechy charakteru, że zaczęła się obawiać, czy zechce ją puścić. Będzie ją nachodził w teatrze i naprzykrzał się w ten sposób. Nie była pewna, że tak zrobi, ale może tak zrobić. To będzie kłopotliwe, jeżeli w ten czy inny sposób się uprze. Niepokoiła się tym.

Sprawa posunęła się szybko, gdy zaproponowano jej lepsze stanowisko. Jedna z aktorek grająca podrzędną rolę naiwnej oznajmiła, że odchodzi. Wybrano Carrie.

- Ile ci będą płacić? - zapytała panna Osborne na wieść o tej pomyślnej zmianie.

- Nie pytałam - przyznała Carrie.

- Ależ zapytaj koniecznie! Boże! Do niczego nigdy nie dojdiesz, jeżeli nie nauczysz się upominać o swoje! Powiedz, że żądasz czterdzieści dolarów!

- Ach, nie! - przeraziła się Carrie.

- Koniecznie! - mówiła Lola. - Powiedz czterdzieści!

Carrie postanowiła zażądać podwyżki, czekała jednak, dopóki dyrektor nie wezwał jej i nie powiedział, jak ma być ubrana do nowej roli.

- Ile mi pan da? - zapytała.

- Trzydzieści pięć dolarów - odrzekł.

Carrie za bardzo była zdumiona i uradowana, żeby zażądać czterdziestu. Nie posiadała się z radości i omal nie zadusiła Loli, mówiąc jej o tym.

- Powinnaś dostać więcej - rzekła przyjaciółka - zwłaszcza jeżeli masz sama sprawić sobie kostiumy.

Carrie słuchała tego zgaszona. Skąd weźmie pieniądze? Nie miała nic odłożonego na taki wypadek. Dzień płacenia komornego się zbliżał.

- Ani mi się śni płacić - powiedziała sobie. - Czy to ja korzystam z mieszkania? Tym razem nie oddam swoich pieniędzy! Wyprowadzę się!

Panna Osborne zaś na nowo wystąpiła z projektem wspólnego mieszkania, tym razem energiczniej niż poprzednio.

- Zamieszkamy razem, dobrze? - błagała. - Znajdziemy sobie cudowny pokój! I będziemy mieszkać prawie darmo!

- Bardzo mi się to uśmiecha - szczerze powiedziała Carrie.

- Błagam, zrób to! - prosiła Lola. - Tak dobrze będzie nam ze sobą!

- Chyba tak zrobię - powiedziała po chwili. - Muszę się zastanowić.

Ponieważ myśl ta w niej utkwiła, zaś zbliżał się termin płacenia komornego, a ona potrzebowała sukni - znalazła dla siebie usprawiedliwienie w beczynności Hurstwooda. Stał się jeszcze bardziej posępny i małomówny.

Gdy zbliżył się termin płacenia komornego, nowa myśl przysłała mu do głowy. Wierzyliście byli nieustępliwi, niepodobna było dłużej żyć w ten sposób. Dwadzieścia dwa dolary to za dużo za komorne!

- Za ciężko dla niej - myślał. - Możemy znaleźć tańsze mieszkanie!

Podniecony tą myślą odezwał się przy śniadaniu.

- Czy nie uważasz, że płacimy za drogo za mieszkanie?

- Naturalnie! - powiedziała Carrie, nie podejrzewając zasadzki.

- Myślałem, czy nie należałoby poszukać mniejszego mieszkania... Po co nam cztery pokoje?

Gdyby uważnie patrzył w twarz Carrie, musiałby dojrzeć w niej niepokój, jakim napełniał ją ten oczywisty dowód, że jednak nie myśli jej opuścić. Nie widzi nic dziwnego w propozycji dalszego obniżenia stopy życiowej!

- Och, sama nie wiem - powiedziała niechętnie.

- Muszą być gdzieś w okolicy domy... znajdziemy chyba dwupokojowe mieszkanie.

Serce w niej się zbuntowało. „Nigdy - pomyślała. - Kto da pieniądze na przeprowadzkę! Pomyśleć tylko! Mieszkać z nim w dwóch pokojach!” Postanowiła szybko wydać pieniądze na stroje... zanim stanie się coś strasznego. Uczyniła to tegoż jeszcze dnia. Teraz pozostało jej już tylko jedno.

- Lolu - powiedziała, wchodząc do przyjaciółki - wiesz, chyba się zdecyduję.

- Och, cudownie! - zawołała panna Osborne.

- Możemy zaraz się wprowadzić?

- Naturalnie! - zawołała Lola.

Poszły obejrzeć pokój, Carrie miała zaoszczędzonych dziesięć dolarów z ostatniej tygodniówki - starczy na komorne i życie. Większą gażę miała otrzymać dopiero za dziesięć dni, wtedy dopiero będzie bogatsza o siedemnaście dolarów. Zapłaciła owe sześć dolarów do połowy z przyjaciółką.

- Pozostało mi tyle, żeby przeżyć do końca tygodnia - przyznała się Loli.

- Och, mam pieniądze! - wesoło zawołała Lola. - Całe dwadzieścia pięć dolarów! Weź ode mnie!

- Nie - powiedziała Carrie. - Dam sobie radę. Postanowiły przeprowadzić się w piątek, to znaczy za dwa dni.

Gdy postanowienie zapadło, serce Carrie zawiodło ją. Uważała się niemal za zbrodniarkę. Patrząc dzień w dzień na Hurstwooda czuła, iż aczkolwiek jest to widok niemiły, to jednak jest w nim coś tragicznego.

Patrzyła na niego owego dnia, kiedy zapadło postanowienie przeprowadzenia się, i wydał się jej nie nikczemny i bezczynny, ale znużony, skrzywdzony przez los. Oczy jego straciły blask, twarz poryły zmarszczki, osłabł. Zdawało się Carrie, że zaczął siwieć. Nie wiedząc o czekającej go katastrofie, siedział i bujał się w fotelu, a ona patrzyła, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Widząc, że koniec bliski, stała się prawie miła.

- Może byś przyniósł puszkę brzoskwiń? - zapytała, kładąc przed nim papierek dwudolarowy.

- Naturalnie! - rzekł ze zdziwieniem patrząc na pieniądze.

- Może dostaniesz szparagów... ugotowałabym na obiad... Hurstwood wziął pieniądze, narzucił płaszcz, włożył kapelusz.

Carrie zauważyła, że oba te przedmioty były stare i zużyte. Widziała to dość wyraźnie przedtem, ale teraz narzuciło się to jej z większą niż poprzednio siłą. Może przetrzyma... Przecież w Chicago dobrze mu się działo! Pamiętała jego wytworną postać w czasach, gdy spotykali się w parku. Był taki szykowny, taki schludny. Czy to wszystko jego jedynie wina? Wrócił i położył na stole sprawunki i resztę.

- Zatrzymaj pieniądze - rzekła. - Będziemy potrzebowali to i owo kupić.

- Nie - powiedział z odcieniem dumy. - Schowaj ty.

- Ach, nie, proszę cię! - powiedziała prawie niecierpliwie. - Przecież zawsze jest coś do kupienia.

Zdziwiło go to, nie wiedział bowiem, że w oczach Carrie był uosobieniem tragizmu. Z trudem opanowała drżenie głosu.

Mówiąc prawdę, podobnie zachowywała się Carrie w każdej okoliczności. Przypomi-

nała sobie czasami chwilę rozstania z Drouetem i gorzko żałowała, że tak nieładnie z nim postąpiła. Miała nadzieję, że nigdy więcej go nie spotka, ale wstydziła się swego postępuku, choć w momencie rozstania nie miała innego wyboru. Z całą życzliwością zgodziła się jechać do Droueta, gdy Hurstwood oznajmił, że zdarzył mu się wypadek. Było w tym wszystkim coś okrutnego. Nie umiając wytłumaczyć sobie logicznie, co mianowicie, pomyślała z uczuciem, że Drouet nie domyśla się, co Hurstwood zrobił, i dlatego uważa ją za oschłą. Stąd wstyd. Nie żeby ją choć trochę obchodził. Nie chciała jednak zrobić przykrości komuś, kto był dla niej kiedyś dobry.

Nie wiedziała, co czyni, pozwalając sobie na tego rodzaju uczucia. Hurstwood, widząc dobroć Carrie, nabrał o niej lepszego mniemania. „Jest z gruntu poczciwa” - myślał.

Carrie odwiedziwszy po południu pannę Osborne, zastała tę młodą damę przy pakowaniu. Śpiewała.

- Dlaczego nie przeprowadzisz się dzisiaj? - zapytała Lola.

- Och, nie mogę - rzekła Carrie. - Będę w piątek. Czy zechciałabyś mi pożyczyć dwadzieścia pięć dolarów?

- Nie! - śmiała się Lola, sięgając do sakiewki.

- Muszę kupić sobie rozmaite rzeczy - mówiła Carrie.

- Och, dobrze! Dobrze! - powiedziała Lola rada, że może pomóc przyjaciółce.

Upłynęło już wiele dni, odkąd Hurstwood nie wyszedł z domu dalej niż do kupca lub na róg po gazety.

Monotonia mieszkania ciążyła mu - nie wychodził wcale od dwóch dni - ale zimna, pochmurna pogoda trzymała go w domu. Piątek był ciepły i pogodny. Był to jeden z owych cudownych powiewów wiosny, które zima zsyła nam na znak, że ziemia nie jest po wsze czasy pozbawiona ciepła i piękna. Złota kula zawieszona na błękitnym niebie lała na ziemię strumienie gorącego światła. Ćwierkanie wróbli wyraźnie mówiło, że na świecie jest pięknie. Carrie otworzyła okno w frontowym pokoju. Owiał ją południowy wiatr.

- Śliczny dzień - powiedziała.

- Rzeczywiście? - zapytał Hurstwood.

Po śniadaniu przebrał się w swoje lepsze ubranie.

- Wrócisz na drugie śniadanie? - zapytała nerwowo.

- Nie.

Wyszedł na ulicę i skierował się leniwie na północ, wzdłuż Siódmej Alei, obrawszy rzekę Harlem jako cel swojej wędrówki. Widział na rzece kilka okrętów, gdy jeszcze chodził w tamtą stronę do browarów. Był ciekaw, jak się rozwija ta dzielnica.

Minąwszy ulicę Pięćdziesiątą Dziewiątą poszedł zachodnią stroną Parku Centralnego, a potem ulicą Siedemdziesiątą Ósmą. Przypomniawszy sobie te okolice i przystanął, chcąc się przyjrzeć mnóstwu nowych budynków. Bardzo się tu zmieniło. Wielkie, otwarte przestrzenie zabudowały się szybko. Wracając wszedł do parku u wylotu ulicy Jedenastej, po czym skręcił znowu w Siódmą Aleję. Około pierwszej był nad rzeką.

Płynęła zygzakami przed jego oczyma zalana światłem, między falistymi wzgórzami po prawej stronie i wysokimi, zarosłymi lasem górami po lewej. Nastrój wiosenny zbudził w nim poczucie piękna tego widoku. Stał jakiś czas z rękoma założonymi za plecy. Po czym zawrócił i szedł brzegiem ku wschodowi, leniwie myśląc o okrętach, które tu kiedyś widział. Było około czwartej, kiedy uciekający dzień i chłód wieczorny zmusił go do powrotu. Był głodny i cieszył się na posiłek w ciepłym pokoju.

Gdy wrócił do mieszkania koło piątej, okna były ciemne. Poznał, że Carrie nie było w domu, nie tylko po tym, że nie paliły się lampy, ale że w szparze tkwiły gazety. Otworzył drzwi swoim kluczem i wszedł. Wszędzie ciemno. Zapalił gaz i usiadł postanowiwszy zaczekać chwilę. Nawet jeżeli Carrie wróci, obiad będzie spóźniony. Czytał do szóstej, potem wstał przygotować sobie cośkolwiek do zjedzenia.

Czyniąc to zauważył, że pokój dziwnie jakoś wygląda. Dlaczego? Obejrzał się, jak gdyby czegoś mu w tym pokoju zabrakło, i zobaczył kopertę w tym miejscu, gdzie zwykle siadywał. Koperta ta mówiła za siebie...

Podszedł do stołu drżąc cały, zanim wziął ją do rąk. Głośno szeleścił papier w jego palcach. Zielony banknot leżał wewnątrz papieru:

Kochany George! - czytał, mnąc banknot w rękę. - Odchodzę. Nie wrócę. Nie ma sensu starać się utrzymać mieszkanie. To nad moje siły. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ci pomóc, gdybym mogła, ale nie mogę utrzymać nas dwojga i płacić komornego. To, co zarabiam, muszę mieć na ubranie. Zostawiam ci dwadzieścia dolarów. To wszystko, co mam. Rób, co chcesz, z meblami. Wszystko mi jedno.

Carrie.

Opuścił na ziemię list i rozejrzał się spokojnie po pokoju. Teraz wie, czego w nim brakowało. Był to malutki, stojący zegar, własność Carrie. Zniknął z kominka. Wszedł do pokoju frontowego, do swojej sypialni, do bawialni, wszędzie zapalając gaz. Z szyfonierki zniknęły platery i srebro. Ze stołów - serwetki koronkowe. Otworzył szafę - pusta. Otworzył szuflady - zabrała wszystkie swoje rzeczy. Kufer Carrie nie stał na zwykłym miejscu. W jego sypialni wisiało stare ubranie, jak je powiesił wychodząc. Niczego innego nie brakowało.

Wszedł do bawialni i stał czas jakiś, patrząc w podłogę. Cisza stała się nieznośna. Małe mieszkanie wydało się Hurstwoodowi dziwnie opuszczone. Zapomniał, że jest głodny, że to dopiero pora obiadowa. Miał wrażenie, że to późna noc.

Potem nagle przypomniał sobie, że trzyma w ręku pieniądze. Wszystkiego dwadzieścia dolarów, jak pisała. Wrócił na swoje zwykłe miejsce, nie gasząc światła i czując dziwną pustkę dookoła.

- Nie dam się - mruknął.

Potem nagle przypomniał sobie, że jest zupełnie sam.

- Odeszła ode mnie! - szepnął i powtórzył: - Odeszła ode mnie!

To miejsce, gdzie się czuł tak dobrze, gdzie spędził tyle spokojnych chwil, stało się tylko wspomnieniem. Stał wobec czegoś zimnego, surowego. Opadł na fotel, podparł brodę rękami, zastygł cały w bólu, bez myśli...

Ogarnęło go coś, jakby nagła miłość, litość nad sobą samym.

- Nie powinna była odchodzić - szepnął. - Przecież byłbym coś znalazł w końcu!

Czas jakiś siedział nieruchomo, po czym dodał wyraźnie i głośno:

- Bo próbowałem... przecieżem próbowałem?!

O północy jeszcze siedział w fotelu bujając się, z oczyma utkwionymi w podłogę.

Rozdział XLIII

ŚWIAT STAJE SIĘ POCHLEBCĄ: SPOJRZENIE W MROK

Przeniósłszy się do swego wygodnego pokoju, zatroszczyła się Carrie, jak też Hurstwood przyjmie jej odejście. Ułożywszy w pośpiechu najpotrzebniejsze rzeczy, poszła do teatru, prawie spodziewając się spotkać go przed drzwiami. Ponieważ go nie było, strach Carrie ustąpił i zaczęła myśleć o nim życzliwiej. Potem zapomniała o Hurstwoodzie prawie zupełnie aż do końca przedstawienia, kiedy znowu zjawiła się obawa spotkania go na ulicy. Ponieważ dzień za dniem mijał, a Hurstwood nie dawał o sobie znaku życia, przestała się obawiać jego natręctwa. Wkrótce uwolniła się zupełnie - z wyjątkiem rzadkich tylko chwil - od mroku, który zaważył nad jej życiem w ich wspólnym mieszkaniu.

To ciekawe, jak szybko zawód pochłania człowieka. Carrie, słuchając plotek małej Loli, nabrała wiedzy o teatrze. Dowiedziała się, jakie pisma teatralne wychodzą, co które z nich znaczy, które zamieszcza artykuły o aktorach itp. Zaczęła czytać wzmianki teatralne nie tylko o operze, w której miała malutką rolę, ale i inne. Stopniowo ogarnęło ją pragnienie, żeby i o niej ktoś kiedyś napisał wzmiankę. Marzyła, żeby być wymienioną jak inne i zachłannie czytała pochwały i krytyki, których nie oszczędzono wysoko postawionym w hierarchii teatralnej. Świat złudy, z którym wiązały się interesy Carrie, pochłaniał ją w zupełności.

Właśnie w owym czasie pisma codzienne i magazyny zaczęły ilustracjami zaspokajać zainteresowanie publiczności pięknosciami scenicznymi (potem przeszło to w prawdziwą gorączkę). Pisma, zwłaszcza niedzielne, umieszczały specjalne dodatki teatralne, w których pojawiały się twarze i postacie dobrze znanych znakomitości, opatrzone artystycznymi opisami. Również i magazyny - zwłaszcza nowsze - podawały od czasu do czasu portrety gwiazd, a niekiedy poszczególne zdjęcia scen z głośniejszych sztuk. Carrie śledziła je z rosnącym zainteresowaniem. Kiedy pojawią się zdjęcia z jej opery? Czy ktoś uzna jej fotografię za godną umieszczenia?

W ową niedzielę poprzedzającą objęcie nowej roli Carrie przeglądała jakieś pismo teatralne. Nie miałyby przykrej niespodzianki, nie znalazłszy wzmianki o sobie, ale oto w no-

tatce zamieszczonej przy końcu ważniejszych wiadomości znalazła ową wzmiankę. Czytała z natężeniem:

Rolę Katiszy, wieśniaczki, w „Żonach Abdula” w teatrze na Broadwayu, graną poprzednio przez pannę Inez Carew, obejmuje panna Carrie Madenda, jedna z najzdolniejszych członkiń chóru.

Carrie nie posiadała się z radości. Och, czyż to nie cudowne! Nareszcie! Pierwsza, od dawna oczekiwana, wymarzona wzmianka! Napisali o niej, że jest zdolna. Nie mogła się powstrzymać, żeby się nie śmiać głośno. Czy Lola wiedziała?

- Jest wzmianka o mnie - powiedziała Carrie - że od jutra obejmuję nową rolę.

- Co? Ależ wspaniale! - cieszyła się Lola. - Świetnie! - mówiła podbiegając i nachylając się nad Carrie. - Jeszcze napiszą, jeżeli dobrze zagraasz! Umieścili kiedyś moją fotografię w „Worldzie”.

- Naprawdę? - zapytała Carrie.

- Czy naprawdę? Ja myślę! - uniosła się mała. - I dali dokoła taką ramę!

Carrie zaśmiała się.

- Mojej fotografii nikt jeszcze nigdy nie umieścił!

- Ale umieści! - pocieszała Lola przyjaciółkę. - Grasz lepiej od wszystkich naszych aktorek!

Carrie była jej za to głęboko wdzięczna. Prawie kochała Lolę za życzliwość i komplementy, jakich jej nie szczędziła. To było takie miłe, takie potrzebne!

Rola przyniosła Carrie nową wzmiankę - że zagrała ją poprawnie. To podobało się jej jeszcze więcej. Zaczęła myśleć, że świat zwrócił wreszcie na nią uwagę.

Pierwszego tygodnia, gdy otrzymała swoją zwiększoną gażę, trzydzieści pięć dolarów wydało się Carrie olbrzymią sumą. Trzy dolary za mieszkanie, to wydatek znikomo mały. Zwróciwszy Loli dług, miała jeszcze do rozporządzenia siedem dolarów, co z czterema, które jej pozostały z zeszłego tygodnia, tworzyło jedenaście. Pięć z tego szło na ratę tygodniową za stroje, które musiała sobie sprawić. Następnego tygodnia była jeszcze bogatsza! Miała zapłacić trzy dolary za pokój i pięć za ubranie. Resztę mogła zużyć na jedzenie i przyjemności!

- Oszczędź trochę na lato - radziła Lola. - Prawdopodobnie budę zamkną w maju.

- Sama o tym myślałam - rzekła Carrie.

Systematyczne wpływanie trzydziestu pięciu dolarów tygodniowo dla kogoś, kto przez kilka lat skazany był na skrajną oszczędność, jest rzeczą wysoce demoralizującą. Carrie czuła, że sakiewka jej pęka od zielonych banknotów wcale poważnej wartości. Nie mając nikogo na swoim utrzymaniu, zaczęła kupować piękne suknie, miłe dla oka drobiazgi, zaczęła jeść dobrze, ozdabiać swój pokój. Nie szukała długo przyjaciół. Poznała kilku młodzieńców stanowiących orszak Loli. Członkowie trupy operowej zawierali z nią znajomość bez uprzedniej ceremonii przedstawienia się. Jeden z aktorów był nią wyraźnie zajęty. Kilka razy już odprowadził ją do domu.

- Zajdźmy co zjeść - zaproponował jej kiedyś o północy.

- Dobrze - zgodziła się Carrie.

W wesołej restauracji, pełnej amatorów nocnego życia, surowo oceniła swego towarzysza. Był zarozumiały, pewny siebie. Nie umiał mówić o niczym, co mogłoby wnieść rozmowę ponad zwykły poziom rozmów o strojach i materialnym powodzeniu. Po kolacji uśmiechnął się uprzejmie.

- Idzie pani wprost do domu, prawda?

- Tak - odrzekła.

„Nie jest taka niedoświadczona, na jaką wygląda” - pomyślał. Szacunek jego i zachwyty dla Carrie wzrosły.

Przez długi czas nie mogła się powstrzymać od udziału w przyjemnościach Loli. Były dnie, kiedy jeździły powozami; były noce, kiedy szły po teatrze na kolacje; popołudnia, kiedy spacerowały po Broadwayu gustownie ubrane. Carrie z radością wpadła w wir zabaw wielkomięjskich.

Nareszcie fotografia Carrie ukazała się w jednym z tygodników. Nie wiedziała o tym. Aż jej dech zaparło z radości. *Panna Carrie Madenda* - czytała podpis. - *Jedna z ulubienic trupy „Żony Abdula”*. - Za poradą Loli kazała się zdjąć kilkakrotnie przez Savony. Stąd pismo wzięło fotografię. Z początku miała kupić kilka numerów pisma, ale potem przypomniała sobie, że nie ma nikogo tak bliskiego, żeby mu móc posłać swoją podobiznę. Na całym świecie jedna jedyna Lola zdawała się nią naprawdę interesować!

Stolica nie jest terenem łatwym towarzysko i Carrie przekonała się wkrótce, że trochę pieniędzy nic jej nie przyniosło. Wytworny i bogaty świat pozostał dla niej zamknięty. Czuła, że poza wesołą beztruską, z jaką ludzie zbliżali się do niej, nie kryje się głębsza przyjaźń

ani uczucie. Każdy zdawał się gonić za własną rozrywką, niepomny na smutne konsekwencje, jakie mogłoby to pociągnąć dla innych. Tyle nauczyli ją Drouet i Hurstwood.

W kwietniu dowiedziała się, że opera prawdopodobnie w maju zostanie zamknięta, zależnie od frekwencji. Na następny sezon trupa wybiera się na objazd prowincji. Zastanawiała się, czy ją wezmą. Jak zwykle panna Osborne przez wzgląd na skąpe wynagrodzenie radziła starać się o engagement na miejscu.

- Letnia trupa ma grać w „Casino” - informowała Carrie, zdobywszy poprzednio dokładne informacje. - Spróbujmy się tam dostać!

- Chętnie! - rzekła Carrie.

Zgłosiły się w odpowiednim czasie. Kazano im przyjść znowu za kilka dni. Było to szesnastego maja. Ich teatr zamykano piętnastego.

- Kto chce wyjechać z trupą na przyszły sezon, musi podpisać umowę w tym tygodniu - oznajmił dyrektor.

- Nie podpisuj! - radziła Lola. - Ja nie pojechałabym na twoim miejscu.

- Wiem - rzekła Carrie - ale może nie znajdę nic innego.

- Ja bym tam nie podpisywała - mówiła Lola (miała stałe źródło dochodu w swoich adoratorach). - Pojechałam raz i wróciłam bez grosza przy duszy!

Carrie zamyśliła się. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżała z trupą.

- Damy sobie radę - mówiła Lola. - Zawsze dawałam sobie radę.

Carrie nie podpisała.

Dyrektor, który miał grać ze swoją trupą przez lato w „Casino”, nie słyszał nigdy o Carrie, ale wzmianki w gazetach, fotografie w tygodniku i nazwisko jej na afiszu zrobiły swoje. Dał jej milczącą rolę za trzydzieści dolarów tygodniowo.

- A nie mówiłam? - cieszyła się Lola. - Nie powinno się wyjeżdżać z Nowego Jorku! Zaraz o tobie zapominają.

Ponieważ Carrie była ładna, jegomość, który zajmował się doborem fotografii do niedzielnego ogłoszenia w pismach, wybrał między innymi jej zdjęcie. Umieścił ją na widocznym miejscu i dał długą wzmiankę. Carrie była zachwycona. Dyrektor zdawał się nie wiedzieć o tym. Jak poprzednio, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Z drugiej strony nie miała nic do grania w swojej roli. Rola Carrie polegała na milczącym asystowaniu w poszczególnych scenach. Carrie miała być małą kwakierką, w milczeniu przyglądającą się te-

mu, co się dokoła niej działo. Autor skeczu uważał, że z takiej roli można dużo zrobić, jeżeli da się ją w odpowiednie ręce. Teraz, gdy dano ją Carrie z łaski, uważał, że równie dobrze można by ją skreślić.

- Nie martw się, stary - uspokajał go dyrektor. - Jeżeli okaże się pierwszego tygodnia do niczego, skreślimy ją.

Carrie nie wiedziała nic o tym, co ją czeka. Spokojnie studiowała swoją rolę, czując, że niewiele da się z niej zrobić. Na próbie kostiumowej była niepocieszona.

- Nie najgorzej - rzekł autor, gdy dyrektor zauważył dziwaczny efekt, jaki zły humor Carrie wywarł na rolę. - Każ jej zmarszczyć się, kiedy Sparks tańczy.

Carrie nie wiedziała o tym, ale między brwiami jej zarysowała się ledwo dostrzegalna zmarszczka, zaś usta wyduły się trochę.

- Proszę się więcej zmarszczyć, panno Madenda! - powiedział reżyser.

Carrie rozpogodziła się natychmiast, biorąc te słowa za wyrzut.

- Nie! Nie! Proszę marszczyć brwi! Jak poprzednio!

Carrie patrzyła na niego zdziwiona.

- Proszę zrobić, jak mówię. Proszę się groźnie zmarszczyć, kiedy Sparks zacznie tańczyć. Chcę zobaczyć, jak to wyjdzie!

Nie było to nic trudnego. Carrie zmarszczyła czoło. Efekt był tak zabawny, tak prześmieszny, że nawet dyrektor raczył zaaprobować.

- Pyszenie! - powiedział. - Jeżeli utrzyma się w tym tonie, powodzenie zapewnione!

Podszedł do Carrie mówiąc:

- A żeby tak pani ciągle była nachmurzona? Proszę zrobić groźną minę. Niech pani udaje zagniewaną. To może być bardzo zabawne.

W wieczór premiery miała Carrie wrażenie, że jednak rola jej jest bez znaczenia. Szczęśliwa, rozbawiona widownia zdawała się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi. Marszczyła groźnie brwi, ale - bez skutku.

Publiczność skierowała uwagę na bardziej sztuczną i złożoną mimikę gwiazd.

W drugim akcie publiczność znudzona nieco przydługim dialogiem zaczęła się rozglądać po scenie i dojrzała Carrie. Stała tam, szaro ubrana, wdzięczna, chłodna, nadęta. Z początku sądzono, że coś ją w danym momencie irytuje, że mina ta była naturalna i pozbawiona wszelkiego komizmu. Kiedy jednak nie przestawała marszczyć brwi, patrząc to na

jedną z głównych osób na scenie, to na drugą, publiczność zaczęła się uśmiechać. Postawny jegomość w pierwszym rzędzie powiedział sobie, że to pierwszorzędny kąsek ta mała. Takie zmarszczki gotów był scałować z czoła! Wszyscy panowie patrzyli na nią. Była kapitalna, niezrównana.

Wreszcie bohater, który śpiewał na przodzie sceny, usłyszał tłumiony śmiech w miejscu, w którym śmiechu się nie spodziewał. Śmiano się coraz głośniejsze. Gdy doszedł do miejsca, w którym spodziewał się głośniejszych braw - brawa wypadły cicho. Co się stało? Zrozumiał, że coś się dzieje. Wreszcie dojrzał Carrie. Stała sama na scenie, groźnie nachmurzona, zaś widownia pokładała się ze śmiechu.

- Tego za wiele! - zawołał po zejściu ze sceny. - Nie pozwolę, żeby pierwsza lepsza psuła mi robotę! Albo ona przestanie, kiedy ja jestem na scenie, albo ja zejść ze sceny!

- Ależ wszystko w porządku! - rzekł dyrektor, gdy sprawa oparła się o niego. - Ona robi to, co jej wypada z roli. Nie zwracaj na nią uwagi!

- Ale ona psuje mi efekt!

- Nic podobnego! - rzekł dyrektor. - To tylko trochę komizmu na stronie.

- Na stronie, co?! - krzyczał śpiewak. - Zepsuła cały efekt! Nie zniosę czegoś podobnego!

- Poczekaj do końca przedstawienia. Poczekaj do jutra. Zobaczmy, co się da zrobić.

Następny akt jednak pokazał, co należy zrobić. Carrie wysunęła się na plan pierwszy. Widownia im więcej patrzyła na Carrie, tym więcej się nią zachwycała. Wszystko inne blade wobec osobliwej, pikantnej, rozkosznej atmosfery, jaką Carrie dokoła siebie roztaczała. Dyrektor i koledzy aktorzy czuli, że zdobyła publiczność.

Sprawozdania w pismach jeszcze przyczyniły się do triumfu Carrie. Ukazały się długie artykuły chwalcące walory burleski, z kilkakrotnym odniesieniem do gry Carrie. Wszyscy z zachwytem podkreślali zaraźliwy charakter jej humoru.

Panna Madenda stworzyła arcydzieło sztuki charakterystycznej w ostatniej sztuce wystawianej w „Casino” - pisał krytyk pisma „Sun”. - Jest to spokojny, pełen rezerwy humor, który rozgrzewa jak dobre wino. Prawdopodobnie rola ta nie była uznana za ważną, rzadko bowiem widzimy pannę Madenda na scenie, ale widownia z przewrotnością sobie właściwą dokonała wyboru. Mała kwakierka stała się faworytką, zaledwie zjawiała się na scenie, z łatwością też zdobyła uwagę i sympatię publiczności. Dziwne są, zaiste, kaprysy losu.

Krytyk „Evening World” szukający jak zwykle *bon mot*, które by poszło po mieście i przyjęło się, napisał:

Jeżeli chcesz się wypogodzić, idź popatrzeć, jak Carrie się chmurzy!

Skutek był zdumiewający - przynajmniej w tym, co dotyczyło Carrie. Jeszcze tego samego ranka dyrektor powińszował jej listownie:

Wstępny bojem zdobyła pani miasto. Cudownie! Cieszę się ze względu na panią i na siebie.

Otrzymała również list od autora.

Tego wieczora, gdy wchodziła do teatru, dyrektor powitał ją niezwykle łaskawie.

- Pan Stevens - powiedział, mając na myśli autora - pisze piosenkę i życzyłby sobie, żeby pani odśpiewała ją w przyszłym tygodniu.

- O, ja nie śpiewam! - zawołała Carrie.

- To nic trudnego. To coś zupełnie prostego, jak mówił Stevens. I w guście panny Madenda.

- Oczywiście, mogę spróbować - uprzejmie rzekła Carrie.

- Może zechce pani zająć do mego gabinetu przed udaniem się do garderoby? - podjął dyrektor. - Muszę omówić z panią jedną sprawę.

- Chętnie - rzekła Carrie.

Gdy weszła do gabinetu, dyrektor podał jej arkusz papieru.

- Chcemy, oczywiście, być w porządku wobec pani - rzekł. - Kontrakt pani opiewa na trzydzieści dolarów tygodniowo na przeciąg trzech miesięcy. Co pani powie na sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo i kontrakt półroczny?

- Och, naturalnie! - zawołała Carrie, nie wierząc własnym uszom.

- Więc może pani zechce podpisać?

Carrie spojrzała i zobaczyła, że podawał jej nowy kontrakt, podobny do poprzedniego, ze zmianą jednak wysokości gaży i czasu trwania. Ręką drżącą ze wzruszenia podpisała swoje nazwisko.

- Sto pięćdziesiąt tygodniowo! - szepnęła zostawszy sama. Przekonała się - któryż milioner nie wie tego? - że człowiek nie jest w stanie zrozumieć znaczenia pieniędzy. Były to tylko błyskotliwe, szeleszczące słowa, zawierające świat możliwości.

Siedząc w trzeciorzędym hotelu przy ulicy Bleeker, ponury Hurstwood przeczytał

między wzmiankami teatralnymi o triumfie Carrie. Z początku nie uświadomił sobie, co to znaczy. Potem nagle zrozumiał i raz jeszcze przeczytał od początku.

- Dopięła swego - mruknął.

Rozejrzył się po brudnej, pogryzionej przez mole hotelowej sypialni.

- Tak, dopięła swego! - pomyślał. I nagle wróciło wspomnienie dawnego świata z jego pluszowymi meblami, z jego światłami, z jego pięknymi pojazdami, kwiatami. Ach, Carrie jest już poza murami otaczającymi miasto! Wspaniałe wrota otwarły się i weszła - z krainy zimna, smutku. Wydawała mu się taka daleka, jak wszystkie znakomitości, które znał ongiś.

- Niech sobie ma! - szepnął. - Nie będę się jej narzucał... Było to ponure postanowienie dumy zgiętej, zszarganej, ale nie złamanej.

Rozdział XLIV

I TO NIE JEST BAJKA: CZEGO NIE MOŻNA KUPIĆ ZA ZŁOTO

Wróciwszy na scenę Carrie dowiedziała się, że zmieniono jej garderobę.

- Zajmie pani tę garderobę, panno Madenda - rzekł jeden z woźnych teatralnych.

Nie potrzebowała już drapać się po kilku stopniach ani dzielić z koleżanką nędznej klitki. Dano jej stosunkowo duży i komfortowy pokój z wygodami, jakich nie miały mniejsze aktorki. Odetchnęła głęboko z ulgą. Odczucia Carrie były raczej natury fizycznej aniżeli duchowej. Właściwie zupełnie nie myślała. Głos miały serce i ciało.

Okazywane względy i powinszowania stopniowo zbudziły w Carrie poczucie ważności swego obecnego stanowiska. Już jej nie kazano, ale ją proszono, i to grzecznie. Koledzy i koleżanki patrzyli na nią zazdrośnie, gdy zjawiła się w swojej skromnej sukience, którą nosiła w tej sztuce. Wszyscy, którzy byli równi jej albo ponad nią, uśmiechali się teraz uprzejmie, jak gdyby mówiąc: „Zawsze byliśmy jej życzliwi!” Tylko aktor, któremu tak brzydko popsuka szyki, trzymał się z daleka. Czyż mógł całować rękę, która go pobiła?

Grając swoją skromną rolę Carrie stopniowo uprzytomniła sobie, co znaczą dla niej oklaski. Było to uczucie bardzo miłe. Czuła się prawie winna, może nie dość godna. Kiedy ktoś z kolegów lub koleżanek odezwał się do niej za kulisami, odpowiadała uśmiechem.

Duma i zuchwałość nie miały do niej dostępu. Nigdy nie przyszło jej do głowy być wyniosłą lub zimną - inną, niż była dotychczas. Po przedstawieniu wróciły z Lolą zamówionym poprzednio powozem.

Potem przyszedł tydzień, w ciągu którego podawano jej do ust pierwsze owoce powodzenia - grono po gronie. To nic, że wspinała gaża należała jeszcze do przyszłości. Świat zdawał się zadowalać obietnicą. Zaczęła otrzymywać listy i karty wizytowe. Niejaki pan Whitters - którego nigdy w życiu nie widziała - dowiedziawszy się w jakiś sposób adresu Carrie, uprzejmie kazał się zameldować.

- Pani wybaczy mi śmiałość - powiedział. - Ale czy pomyślała już pani o zmianie mieszkania?

- Nie przyszło mi to na myśl - rzekła Carrie.

- Jestem w stosunkach z Wellingtonami... to ten nowy hotel na Broadwayu. Pani prawdopodobnie widziała ogłoszenie w pismach.

Carrie wiedziała, że Wellington należy do najnowszych i najbardziej eleganckich hoteli w mieście. Słyszała, jak mówiono, że posiada wspinałą restaurację.

- Właśnie - rzekł pan Whitters, przyjmując do wiadomości, że Carrie wie, o co chodzi - posiadamy kilka eleganckich apartamentów, które chętnie przedstawilibyśmy pani do obejrzenia... jeżeli, oczywiście, pani jeszcze nie postanowiła, gdzie spędzi lato. Nasze apartamenty są wytworne pod każdym względem... zimna i gorąca woda, prywatne łazienki, usługa na każdym piętrze, windy i temu podobne udogodnienia. Pani wie, jaką mamy restaurację!

Carrie patrzyła na pana Whittersa spokojnie. Czy bierze ją za milionerkę?

- Czy mogłabym się dowiedzieć o ceny? - zapytała.

- Właśnie o tym chciałbym pomówić z panią prywatnie. Mamy pokoje od trzech do pięćdziesięciu dolarów dziennie.

- Boże! - wyrwało się Carrie. - Gdzież mogłabym płacić takie pieniądze!

- Rozumiem, co pani pomyślała - przerwał uprzejmie pan Whitters - ale pani pozwoli, że wyjaśnię. Powiedziałem: nasze zwykłe ceny. Jak każdy inny hotel mamy prócz tego ceny specjalne. Może pani nie pomyślała o tym, ale nazwisko pani przedstawia dla nas pewną wartość.

- O! - wyrwało się Carrie, która nagle zrozumiała.

- Naturalnie. Egzystencja każdego hotelu zależy od reputacji jego gości. Znakomita aktorka jak pani - skłonił się uprzejmie, Carrie zarumieniła się - przyciąga uwagę publiczności i może pani wierzyć albo nie, gości.

- Ach, tak? - powiedziała Carrie, starając się zająć jakieś stanowisko w stosunku do tej dziwacznej propozycji.

- Otóż - ciągnął pan Whilters, gładząc swój miękki kapelusz i uderzając nogą o podłogę - jestem tu po to, żeby zagwarantować naszemu hotelowi pobyt pani. Proszę się nie kłopotać warunkami. Nie widzę potrzeby, żebyśmy w ogóle zaprzęтали sobie nimi głowę. Zgodzimy się na każdą cenę przez lato... to prosta formalność... na każdą, jaką pani zechce ustalić.

Carrie chciała przerwać, ale nie dał jej wtrącić słowa.

- Może zechce pani przyjść dzisiaj albo jutro... im wcześniej, tym lepiej... pokażemy pani kilka ładnych wytwornych apartamentów... najlepszych, jakie mamy.

- Pan jest bardzo uprzejmy - rzekła Carrie wzruszona grzecnością agenta. - Bardzo bym chciała skorzystać z pańskiej propozycji. Chciałabym zapłacić, ile się należy. Nie chciałabym...

- Proszę, niech się pani tym nie kłopotuje! - zawołał pan Whilters. - Możemy tę sprawę załatwić ku zadowoleniu pani w każdej chwili. Jeżeli cena trzech dolarów dziennie dogadza pani, zadowolimy się nią. Wystarczy, żeby pani wpłaciła tę sumę na ręce funkcjonariusza hotelowego w końcu tygodnia albo miesiąca... jak pani woli... a my w zamian wydamy pani pokwitowanie na sumę taką, jaką normalnie pobieramy za tego rodzaju apartament.

Umilkł.

- Może zechce pani przyjechać obejrzeć pokoje?

- Chętnie, ale mam dzisiaj próbę z rana - rzekła Carrie.

- Och, niekoniecznie zaraz! - odrzekł. - Kiedy pani zechce. Czy dogadza pani dzisiaj po południu?

- Tak - rzekła Carrie

Nagle przypomniała sobie Lolę, której chwilowo nie było w domu.

- Nie mieszkam sama - powiedziała. - Mieszkam z koleżanką, która musi przenieść się ze mną. Zapomniałam o tym.

- Och, doskonale! - ożywił się pan Whilters. - To pani sprawa, kogo pani zechce zabrać

ze sobą! Jak powiedziałem, zrobimy wszystko, żeby było pani dobrze u nas.

Z ukłonem zwrócił się ku drzwiom.

- Więc możemy oczekiwać pani koło czwartej?

- Tak - rzekła Carrie.

- Będę, żeby panią oprowadzić - rzekł pan Whitters znikając.

Po próbie Carrie zwierzyła się Loli.

- Co, naprawdę? - zawołała Lola. - Czyż to nie nadzwyczajne? Naprawdę zaproponowali ci? - mówiła o Wellingtonach jak o dyrektorach teatru. - Och, co za radość! Świetnie! Pamiętasz, to ta restauracja, w której byliśmy z tymi Cushingami?! Pamiętasz?

- Przypominam sobie - rzekła Carrie.

- Przecież lepiej nie mogło się złożyć!

- Chodźmy obejrzyć pokoje - powiedziała Carrie po południu.

Apartament, jaki pan Whitters przedstawił Carrie i Loli, składał się z trzech pokoi i łazienki na luksusowo urządzonej piętrze. Utrzymany był w barwach czekoladowej i ciemnoczerwonej; dywany i portierey dobrane w tonie. Trzy okna wychodziły na Broadway, trzy inne na boczną ulicę przecinającą Broadway w tym miejscu. Apartament składał się z dwóch wspaniałych sypialni, w których stały biało lakierowane łóżka z mosiężnymi okuciami, kryte białym atłasem, i ozdobione wstążkami krzesła i szyfonierki. W trzecim pokoju - rodzaju saloniku - pianino, wysoka lampa ze wspaniałym abażurem, stolik, kilka wygodnych foteli bujających, półki na książki i serwantki z cennymi drobiazgami. Na ścianach obrazy. Wielkie miękkie poduszki tureckie leżały na kanapach, na podłodze wielkie, aksamitne pufy. Za taki apartament płacono sto dolarów tygodniowo.

- Och, jak tu pięknie - mówiła Lola przechadzając się po pokojach.

- Wygodnie - rzekła Carrie, unosząc koronkową firankę i patrząc na ludny Broadway.

Łazienka wyglądała jak cacko, cała biało lakierowana, z błękitną wanną i niklowanymi okuciami.

Była obszerna, wygodna, z wielkim lustrem ściennym i trzema matowymi lampami.

- Zadowolona pani? - zapytał Whitters.

- Bardzo! - rzekła Carrie.

- Więc proszę się łaskawie przeprowadzić, kiedy tylko pani zechce. Chłopiec wręczy pani przy drzwiach klucze.

Uwagi Carrie nie uszedł elegancki, wyłożony dywanem hall, marmurowy przedsiónek, wspaniała poczekalnia. O takim mieszkaniu marzyła nieraz!

- Chyba nie mamy na co czekać? - zapytała Lolę, myśląc o pospolitości pokojów na ulicy Siedemdziesiątej.

- Och, naturalnie! - zawołała Lola.

Nazajutrz kufry Carrie były już w nowym mieszkaniu.

Gdy się w czwartek ubierała po *matinée*, ktoś zastukał do drzwi garderoby.

Carrie spojrzała na bilet, który podał jej boy, i drgnęła mimo woli.

- Powiedz, że zaraz do niej wyjdę - powiedziała cicho. Po czym spojrzawszy na bilet dodała: - Pani Vance!

- Ach, mała grzesznico! - zawołała ta ostatnia na widok Carrie idącej ku niej przez pustą scenę - jak się to stało?!

Carrie uśmiechnęła się wesoło. Pani Vance nie była ani trochę zmieszana. Mogłeś pomyśleć, że długie ich niewidzenie było rzeczą tylko przypadku.

- Sama nie wiem - rzekła Carrie, wbrew pierwszemu wrażeniu ciesząc się z widoku miłej, ładnej i poczciwej kobiety.

- Wie pani, widziałam pani fotografię w dodatku niedzielnym, ale zmyliło mnie nazwisko! Pomyślałam sobie, że to z pewnością pani albo ktoś bardzo do pani podobny i mówię: Pójdę i zobaczę, ona czy nie ona! Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu była tak zdumiona! Jak się pani powodzi?

- Doskonale! A pani?

- Świetnie! Ależ ma pani szczęście! Boże! Wszystkie gazety piszą tylko o pani! Myślałam, że taka pani dumna, że nie zechce na mnie patrzeć! Prawie bałam się przyjść tutaj!

- Ach, nonsens! - powiedziała Carrie czerwieniąc się. - Pani wie, że zawsze rada panią widzę.

- Ostatecznie odnalazłam panią. Czy zechciałaby pani przyjść do mnie na obiad? Gdzie pani mieszka?

- W Wellingtonie - powiedziała Carrie, pozwalając sobie przy tych słowach na nikły cień dumy.

- Ach, tak? - zawołała pani Vance, na której ta nazwa wywarła odpowiednie wrażenie.

Pani Vance taktownie unikała w rozmowie wspomnień o Hurstwoodzie, chociaż cią-

gle przychodził jej na myśl. Niewątpliwie Carrie rzuciła męża. Tyle się domyślała.

- Och, dzisiaj to chyba nie! - powiedziała Carrie. - Mam tak mało czasu! Muszę wracać już o wpół do ósmej. Może pani przyjdzie na obiad do mnie?

- Ach, nie! Nie mogę! - rzekła pani Vance uważnie przyglądając się Carrie. W oczach pani Vance Carrie nabrała znaczenia i stała się miłszą przez samo swoje powodzenie. - Obiecałam solennie wrócić do domu na szóstą. - Spojrzawszy na mały, złoty zegarek na piersiach dodała: - Muszę już iść. Kiedy pani do mnie przyjdzie, jeżeli w ogóle zechce pani przyjść?

- Kiedy pani dogodniej.

- Więc jutro. Mieszkam na Chelsea.

- Znowu się pani przeprowadziła? - wesoło roześmiała się Carrie.

- Tak. Pani wie, że nie mogę mieszkać dłużej niż sześć miesięcy w jednym miejscu. Proszę pamiętać, jutro o wpół do szóstej.

- Nie zapomnę! - rzekła Carrie, spoglądając za odchodzącą panią Vance. Przyszło jej na myśl, że wygląda równie wytwornie jak ta kobieta... może nawet wytworniej. Było coś w uprzejmości i serdeczności pani Vance, co dało Carrie odczuć jej własną wyższość.

I teraz, jak co dzień, portier „Casino” podał jej paczkę listów. Ilość listów szybko wzrosła od poniedziałku. Wiedziała, co zawierają. Listy miłosne w najprymitywniejszej formie. Pierwszy raz w życiu otrzymała taki list jeszcze w Columbia City. Potem jako chórzystka otrzymywała je również od panów, którzy prosili o wyznaczenie spotkania. Doskonale bawiły się nimi z Lolą. (I Lolę zasypywano listami.)

Ale teraz było ich więcej i były inne. Panowie z fortuną nie wahali się dodawać, jako uzupełnienie do swoich osobistych cnót, że posiadają konie i pojazdy. Oto jeden z listów:

Posiadam milion. Mogę zapewnić Pani największy zbytek. Nie ma rzeczy, której Pani zażąda, a której bym nie był w stanie Jej dostarczyć. Piszę to nie dlatego, iżbym chciał mówić o pieniądzach, ale że Panią kocham i przez to pragnę zaspokoić każde Jej pragnienie. To miłość dyktuje mi te słowa. Czy wyznaczy mi Pani pół godziny, abym mógł przedstawić Jej moją sprawę?

Listy, które przychodziły na ulicę Siedemnastą, czytane były z większym zainteresowaniem (aczkolwiek nigdy z przyjemnością) niż te, które dostawała po zainstalowaniu się w hotelu Wellington. Ale nawet i wtedy jeszcze próżność Carrie - jeśli świadomość swojej

wartości nazwać można próżnością - nie była dostatecznie zaspokojona, żeby ją te listy mogły nudzić. Każda forma pochlebstwa, jako nowość, podobała się Carrie. Ale będąc sprytna, widziała różnicę między swoim poprzednim a obecnym stanowiskiem. Nie miała dawniej sławy ani pieniędzy. Teraz przyszły. Nie pochlebiano jej dawniej, nie oświadczano się z miłością. Dlaczego? Uśmiechała się na myśl, że mężczyźni nagle przekonali się, że jest bardzo pociągająca. Działo to na Carrie w ten sposób, że chłód i obojętność rosły.

- Spójrz na to - mówiła do Loli. - *Czy wyznaczy mi pani łaskawie pół godziny* - powtórzyła przeciągając sylaby. - Też pomysł! Jacy ci mężczyźni są głupi, co?

- Z tego, co pisze, widać, że ma mnóstwo pieniędzy - rzekła Lola.

- Każdy tak mówi - niewinnie powiedziała Carrie.

- Dlaczego nie kazać mu przyjść? Wysłuchaj, co ci ma do powiedzenia!

- Ani mi się śni! Wiem, co powie! Nie chcę zawierać w ten sposób znajomości!

Lola popatrzyła na nią swymi wielkimi, wesołymi oczyma.

- Przecież nic ci nie zrobi! A miałybyś z nim pyszną zabawę! Carrie potrząsnęła głową.

- Jesteś strasznie dziwna - rzekła błękitnooka aktoreczka.

Los uśmiechnął się wreszcie do Carrie. Przez cały ten tydzień, chociaż nie otrzymywała jeszcze zwiększonej gaży, świat zachowywał się w taki sposób, jak gdyby jej ufał i rozumiał ją. Bez pieniędzy - albo nie mając ich w ręku - Carrie opływała we wszystko, co można było za pieniądze kupić. Drzwi wspaniałych apartamentów zdawały się otwierać, zanim poprosiła o to. Pałacowe komnaty jakby cudem zstępowały ku niej! Eleganckie mieszkanie pani Vance na Chelsea stało dla niej otworem. Mężczyźni przysyłali jej kwiaty, wyznania miłosne, ofiarowywali swoje fortuny. Ale marzenia Carrie pędziły naprzód! Sto pięćdziesiąt dolarów zdawały się być wrotami do skarbcza Aladyna! Czowała zamęt w głowie na myśl o tym; możliwości życiowe przy takiej fortunie rosły i mnożyły się w oczach. Marzyła o rozkoszach, które nie istniały; widziała światła radości, jakich nigdy nie było na lądzie ani na morzu. Nareszcie po całym świecie marzeń przyszło owo pierwsze sto pięćdziesiąt dolarów.

Wyplacono jej Carrie banknotami: trzy dwudziestki, sześć dziesiątek i sześć piątek. Banknoty te tworzyły gruby zwitek. Towarzyszył im uśmiech i ukłon kasjera, który wypłacał gażę.

- A, tak! - rzekł, gdy Carrie zgłosiła się do okienka. - Panna Madenda. Tak. Sto pięćdziesiąt dolarów. Sztuka zdaje się mieć zapewnione powodzenie.

- Tak, zdaje się - powiedziała Carrie.

Zaraz po niej podeszła do okienka jedna z mniej znaczących aktorek. I Carrie natychmiast zauważyła zmianę tonu.

- Ile? - ostro zapytał kasjer. Jedna z takich, jaką Carrie niedawno była, czekała na swoją skromną gażę. Mimo woli przypomniawszy sobie owe czasy, kiedy jej wypłacano z taką miną, jak się płaci służącej, cztery dolary pięćdziesiąt w fabryce obuwia. Majster, który robił wypłatę, rozdawał koperty ruchem księcia wyświadczonego łaskę gromadce pokornych petentów. Wiedziała, że tam, w Chicago, tego właśnie dnia jakaś izba fabryczna pełna jest nędźnie ubranych dziewcząt, zgarbionych nad turkoczającymi maszynami; że w południe pożywią się lichym śniadaniem w półgodzinnej przerwie; że w soboty pobiorą (jak to było wtedy, gdy jeszcze należała do nich) lichą zapłatę za pracę dziesięciokrotnie cięższą od tej, którą ona wykonuje tutaj. Och, jak łatwe jest teraz życie! Świat jest taki piękny i pogodny! Była tak wzruszona, że postanowiła iść do hotelu, zastanowić się, co z tym zrobić?

Nie potrzeba wiele czasu, żeby pieniądze zdradziły całą swoją impotencję - zwłaszcza jeżeli pragnienia nasze należą do królewskich uczuć. Mając swoich sto pięćdziesiąt dolarów w rękę, Carrie nie wiedziała, co z nimi począć. Jako rzecz sama w sobie dotykalna, którą mogła oglądać, którą mogła brać do ręki, pieniądze były rozrywką, ale tylko przez kilka dni. Nie były potrzebne do zapłacenia rachunku hotelowego, miała w danej chwili wystarczającą ilość sukien. Jeszcze dzień, dwa i otrzyma nowe sto pięćdziesiąt dolarów. Zaczęła dochodzić do przekonania, że nie były tak nieodzowne znowu dla zapewnienia sobie tego komfortu, jaki ma teraz. Jeżeli chce być czymś lepszym... pójść wyżej, musi mieć więcej, o wiele więcej.

Potem zgłosił się do Carrie jeden z owych krytyków piszących wywiady, aby błysnąć dowcipem, dowieść prawdziwości obserwacji, wykazać głupotę tak zwanych wielkości i zabawić publiczność. Carrie podobała mu się - powiedział to otwarcie, dodając, że jest uroczą, poczciwą i ma szczęście. To podziałało jak podcięcie batem. Redakcja „Heralda”, która urządzała imprezę na rzecz funduszu bezpłatnego rozdawania lodu, uhonorowała Carrie, prosząc ją o objęcie protektoratu wraz z innymi znakomitościami. Odwiedził ją młody autor, który napisał sztukę. Sądził, że będzie mogła w niej zagrać. Niestety, nie miała żadnego są-

du. Myśl ta była przykra. Potem przekonała się, że dla bezpieczeństwa musi złożyć pieniądze w banku. W ten sposób doszła do wniosku, że drzwi do doskonałej radości życia nie stoją dla niej otworem.

Stopniowo wmówiła w siebie, że to dlatego, iż jest lato. Nic się nie dzieje - z wyjątkiem takich widowisk jak to, w którym ona była gwiazdą. Piątą Aleję brukowano, korzystając z tego, że bogacze wyjechali. Aleja Madisona przedstawiała się niewiele lepiej. Broadway pełen był ludzi szukających pracy przed rozpoczęciem nowego sezonu. Całe miasto jakby przycichło. Wieczory schodziły jej na pracy w teatrze. Stąd uczucie, że nie ma co robić.

- Nie wiem jak ty - powiedziała pewnego dnia do Loli, siedząc w oknie wychodzącym na Broadway - ale ja czuję się czasami tak samotna. A ty?

- Nie - rzekła Lola. - To znaczy bardzo rzadko! Nie chcesz nigdzie chodzić. To wszystko przez to!

- Dokąd mam chodzić?

- Ależ jest mnóstwo miejsc, dokąd można iść! - mówiła Lola, która miała na myśli swoje własne lekkomyślne eskapady w towarzystwie wesołych młodzieńców. - Ale ty z nikim nie chcesz chodzić.

- Nie chce mi się chodzić z ludźmi, którzy piszą do mnie listy. Wiem, co to za jedni.

- Nie powinnaś się nudzić i skarżyć na samotność - rzekła Lola znająca powodzenie Carrie. - Niejeden chętnie klęczałby u twoich nóg, gdybyś tylko zechciała.

Carrie patrzyła na przechodzący pod oknami tłum.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie. Podświadomie ciążyła jej beczynność.

Rozdział XLV

OSOBLIWE KOLEJE NĘDZARZA

Hurstwood, siedząc ponuro sam jeden w tanim hoteliku, do którego przeniósł się ze swoimi siedemdziesięciu dolarami osiągniętymi ze sprzedaży mebli, i czytając doczekał się, że minęło gorące lato i nastąpiły jesienne chłody. Nie był obojętny na fakt, że pieniądze topnieją szybko. Z niepokojem patrzył, że co dzień płacić musi pół dolara za mieszkanie, i wreszcie wziął tańszy pokój, aby na dłużej wystarczyło mu pieniędzy. Często widywał w pismach notatki o Carrie. Fotografia jej zjawiała się w „Worldzie” raz czy dwa razy, a stary numer „Heralda” znaleziony na krześle poinformował go, że brała udział z innymi osobami w jakimś dobroczynnym przedsięwzięciu. Czytał to z dziwnym uczuciem. Każda wiadomość zdawała się odsuwać Carrie dalej w jakiś świat, który im był dalszy, tym więcej mu imponował. Na słupach ogłoszeniowych również zjawiała się Carrie jako mała kwakierka wyniosła i dumna. Niejednokrotnie zatrzymywał się przed takim plakatem, wpatrując się ponuro w ładną twarzączkę.

Ubranie jego było zniszczone. Stanowił krzyczący kontrast ze wszystkim, czym Carrie wydawała się być obecnie.

Chociaż nie miał zamiaru zbliżyć się do niej, myślał, że gra w „Casino”, była dla Hurstwooda podświadomą ulgą. Nie czuł się zupełnie osamotniony. Sztuka zdawała się mieć zapewnione powodzenie i po upływie miesiąca czy dwóch Hurstwood przyjął za pewnik, że będą ją grać do końca. We wrześniu trupa wyjechała na objazd, ale uszło to jego uwagi. Gdy z całego majątku zostało mu wszystkiego dwadzieścia dolarów, przeniósł się do piętnastocentowego domu noclegowego na Bowery, gdzie sypiał w nagiej izbie, w której stało kilka stołów z ławami i parę krzeseł. Tu najchętniej siedział z zamkniętymi oczami, marząc o dawnych czasach. W końcu weszło to w nałóg. Z początku nie były to sny, ale przeniesienia się duchem do scen i zdarzeń jego życia w Chicago. Im terażniejszość stawała się bardziej ponura, tym jaśniejsza wydawała się przeszłość. Wszystko, co wiązało się z przeszłością, już przez to samo było dla Hurstwooda ulgą.

Nie zdawał sobie sprawy z początku, jak dalece opanował go ten nałóg, aż pewnego dnia złapał się na tym, że usta jego powtarzają odpowiedź daną ongiś jednemu z przyjaciół.

Byli u Fitzgeralda i Moya. Zdawało się Hurstwoodowi, że stoi we drzwiach swego eleganckiego gabinetu wytwornie ubrany i rozmawia z panem Segarem Morisonem o wartości gruntów w południowej dzielnicy Chicago (Morison inwestował w tym interesie).

- Może przystąpisz do spółki? - zapytał Morison.

- Ach, nie! - odpowiedział słowo w słowo tak samo, jak wtedy, przed laty. - Mam pełne ręce roboty!

Ruch warg oprzytomnił go. Zastanowił się, czy rzeczywiście mówił? Kiedy za drugim razem coś podobnego mu się zdarzyło, naprawdę mówił.

„Dlaczego nie skaczesz, głupie bydlę? Skacz!”

Była to stara angielska anegdota, którą opowiadał grupie aktorów. Nawet gdy oprzytomniał na dźwięk swego głosu, nie przestawał się uśmiechać. Siedzący obok zły i nachmurzony staruszek zmieszał się, potem zaczął mu się przypatrywać podejrzliwie. Hurstwood otrząsnął się. Nastrój wspomnień pierzchnął w jednej chwili. Był zawstydzony. Chcąc się rozerwać, wstał i wyszedł na ulicę.

Pewnego dnia przeglądając ogłoszenia w „Evening World” przeczytał, że w „Casino” gra nowa trupa. Oniemiał. Carrie wyjechała! Przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj widział na ulicy plakat z jej podobizną, ale prawdopodobnie był to plakat stary, który zapomniano zerwać. Dziwne, ale fakt ten wstrząsnął nim. Musiał przyznać przed sobą, że w ten czy inny sposób liczył na jej obecność w mieście. Teraz wyjechała. Nie mógł się dość nadziwić, że przeoczył fakt tak ważny. Bóg jeden wie, kiedy znowu wróci! Naglony nerwowym strachem wstał i przeszedł do brudnego hallu, gdzie w kącie przeliczył pieniądze. Zostało mu zaledwie dziesięć dolarów.

Zastanawiał się, w jaki sposób reszta lokatorów domu noclegowego daje sobie radę. Nie zdawali się robić cośkolwiek. Może zebrzą - z pewnością zebrzą. Wiele razy dał jałmużnę takim jak oni. Widywał ludzi proszących na ulicy. Może i on w ten sposób coś zyska. Myśl ta przejęła go trwogą.

Przesiadując w domu noclegowym doszedł do ostatniej pięćdziesięciocentówki. Oszczędzał i liczył, aż przyplącił to zdrowiem. Zgarbił się. Ubranie jego straciło resztki przyzwoitego wyglądu. Postanowił, że musi coś zrobić wreszcie! Przechadzając się doczekał się następnego dnia z dwudziestoma centami w kieszeni - suma niewystarczająca, żeby się pożywić jutro.

Zebrawszy całą odwagę przeciął Broadway i skierował się do hotelu Broadway Central. Nie doszedłszy zatrzymał się niezdecydowany. Wysoki portier o tłustej twarzy stał przy bocznym wejściu rozglądając się. Hurstwood postanowił zwrócić się do niego. Idąc wprost przed siebie stanął przed portierem. Nie było już odwrotu.

- Mój przyjacielu - rzekł (nawet prosząc czuł swoją wyższość) - czy mógłbym dostać jaką robotę w waszym hotelu?

Portier patrzył na Hurstwooda, który ciągnął:

- Jestem bez pieniędzy... bez pracy... muszę znaleźć pracę, mniejsza o to jaką. Nie chcę mówić o tym, czym byłem. Ale jeżeli powie mi pan, gdzie dostanę robotę, będę panu niezmiernie wdzięczny. Na parę dni choćby. Muszę znaleźć jakąś pracę.

Portier patrzył przed siebie, udając obojętnego. Potem widząc, że Hurstwood znów chce coś powiedzieć, odezwał się:

- To nie ode mnie zależy... Proszę się zapytać w biurze.

Dziwne, ale odpowiedź ta podnieciła Hurstwooda do dalszych wysiłków.

- Myślałem, że dowiem się czegoś od pana.

Eks-dyrektor wszedł do hotelu i skierował się do biura.

Zdarzyło się, że jeden z dyrektorów był obecny. Hurstwood spojrzał mu prosto w oczy.

- Czy mógłbym dostać jaką pracę na kilka dni? - zapytał. - Jestem w takim położeniu, że muszę znaleźć coś od razu.

Wytworny dyrektor spojrzał na niego z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć:

- Widzę to...

- Przyszedłem - tłumaczył Hurstwood - ponieważ kiedyś sam zajmowałem stanowisko dyrektorskie. Zdarzyło mi się nieszczęście, ale nie po to tu przyszedłem, żeby panu o tym opowiadać. Chciałbym dostać pracę... choćby na tydzień.

Zdawało się dyrektorowi, że widzi gorączkowe błyski w oczach proszącego.

- Jaki hotel pan prowadził? - zapytał.

- To nie był hotel - rzekł Hurstwood. - Byłem przez piętnaście lat kierownikiem baru Fitzgeralda i Moya w Chicago.

- Rzeczywiście? - zapytał tamten. - Jak doszedł pan do tego stanu?

Postać Hurstwooda stanowiła silny kontrast z jego oświadczeniem.

- Przez własne szaleństwo - tłumaczył Hurstwood. - Nie warto mówić. Pan może się dowiedzieć, jeżeli pan zechce. Jestem teraz skończony i proszę mi wierzyć, nie jadłem od rana.

Hotelarz zainteresował się opowiadaniem. Nie wiedział, co począć z taką figurą, ale powaga Hurstwooda skłoniła go do uczynienia jednak czegoś.

- Proszę zawołać Olsena - zwrócił się do funkcjonariusza.

W odpowiedzi na szybkie zniknięcie boya hotelowego zjawił się Olsen, główny portier.

- Olsen - zwrócił się do niego dyrektor. - Może znajdzie się na dole jakaś robota dla tego człowieka? Chciałbym, żeby dostał u nas pracę.

- Nie wiem, sir - rzekł Olsen. - Mamy tylu ludzi, ilu nam potrzeba. Ale jeżeli pan sobie życzy, i dla tego coś się znajdzie.

- Niech pan znajdzie, Olsen! Zaprowadź go pan do kuchni i niech go Wilson nakarmi.

- Słucham, sir - rzekł Olsen.

Hurstwood poszedł za nim. Zniknąwszy z oczu dyrektora Olsen natychmiast zmienił zachowanie:

- Chciałbym wiedzieć, do diabła, co mu znajdzie do roboty! - mrucał.

Hurstwood milczał. Dla niego ten potężny sługus był jedynie przedmiotem wewnętrznej pogardy.

- Macie dać coś do zjedzenia temu człowiekowi - powiedział Olsen do kucharza.

Tamten obrzucił Hurstwooda spojrzeniem, a widząc błysk inteligencji i sprytu w jego oczach, powiedział:

- Siadajcie.

W ten sposób zainstalował się Hurstwood w „Broadwayu”, ale nie na długo. Nie był w możliwości ani w usposobieniu, aby wykonywać ową czarną robotę, jaką zawsze można znaleźć w suterrenach hotelu. Ponieważ nic innego się nie nastęczało, kazano mu pomagać palaczowi, zamiatać sutereny, jednym słowem, używano go do rozmaitych posług. Portierzy, kucharze, oficjaliści - wszyscy byli nad nim. Co więcej, wygląd Hurstwooda nie podobał się tym panom. Był za spokojny, flegmatyczny, nie był towarzyski, więc uczynili mu pobyt w hotelu niemiłym.

Ale on cierpiał wszystko z uporem i obojętnością rozpacz, śpiąc w komórcie na stry-

chu, jedząc, co kucharz raczył mu wydzielić, dostając kilka dolarów tygodniowo, które usiłował oszczędzić. Organizm jego nie był w stanie znieść tego długo.

Pewnego dnia w lutym posłano go do wielkiego składu węgla za interese. Padał śnieg, było wilgotno, ulice tonęły w błocie. Przemoczył buty w czasie tej wędrówki i wrócił do domu zmęczony i zziębnięty. Przez cały następny dzień czuł się niezwykle przygnębiony i znużony i starał się jak najwięcej siedzieć w miejscu, ku irytacji tych, którzy lubią energię - w innych.

Po południu kazano mu uprzątnąć kilka skrzyń dla zrobienia miejsca nowym zapasom żywnościowym. Nie mógł ruszyć paki.

- Co się stało? - zapytał starszy portier. - Nie możecie udźwignąć?

Starał się z całych sił, ale wreszcie dał za wygraną.

- Nie - powiedział.

Tamten spojrzał na niego i zobaczył, że jest śmiertelnie blady.

- Nie jesteście chyba chorzy? - zapytał.

- Zdaje mi się, że tak - odrzekł Hurstwood.

- Więc usiądźcie sobie!

Usiadł, ale wkrótce pogorszyło mu się. Z trudem udało mu się wdrapać do swego pokoju, gdzie pozostał przez cały dzień.

- Ten Wheeler jest chory - oznajmił jeden z nocnych portierów dyżurnemu urzędnikowi.

- Co mu jest?

- Nie wiem. Ma silną gorączkę. Zbadał go hotelowy lekarz.

- Radzę odesłać go do Bellevue - powiedział. - To zapalenie płuc.

Odesłano go natychmiast do szpitala.

Po trzech tygodniach kryzys minął, ale dopiero około pierwszego dnia maja wzmocnił się na tyle, że mógł wstać. Wtedy wypisano go. Stracił posadę w hotelu.

Trudno sobie wyobrazić bardziej nędzną i pożałowania godną istotę, wałęsającą się w promieniach wiosennego słońca, od tej, która była ongiś zdrowym, wesołym dyrektorem. Korpulentność jego gdzieś znikła. Twarz miał chudą i bladą, ręce białe, ciało obwisłe. W ubraniu, ze wszystkim, co miał przy sobie, ważył zaledwie sto trzydzieści pięć funtów. Dało mu stary garnitur: tanią brązową marynarkę i zniszczone spodnie. Zaopatrzono go rów-

niez w trochę drobnych i radę. Powiedzieli, żeby odwołał się do dobroczynności publicznej. Znowu zamieszkał w domu noclegowym na Bowery, namyślając się, dokąd by pójść? Stąd już tylko jeden krok dzielił go od żebraniny.

- I co ma człowiek zrobić? Nie mogę umrzeć z głodu.

Pierwszy raz spróbował żebrac na zalanej słońcem Drugiej Alei. Od strony Parku Stuyvesant szedł wytwornie ubrany jegomość. Hurstwood opanował nerwy i zbliżył się do niego.

- Może zechciałby mi pan ofiarować dziesięć centów? - zapytał wprost. - Jestem w takim położeniu, że muszę żebrac.

Jegomość prawie nie patrząc na Hurstwooda sięgnął do kieszeni w kamizelce i wyjął drobną monetę.

- Oto jest - rzekł.

- Stokrotnie dziękuję - rzekł Hurstwood cicho, ale tamten nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

Zadowolony z wyniku, ale zawstydzony swoim położeniem, postanowił prosić o dwadzieścia pięć centów, ponieważ tyle potrzebował. Szedł dalej, rozglądając się dokoła. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim nadeszła odpowiednia w jego mniemaniu osoba i chwila. Prosił, ale mu odmówiono. Tak nim to wstrząsnęło, że potrzebował całej godziny, żeby przyjść do siebie, po czym znów kogoś zaczepił. Tym razem dano mu monetę niklową. Z wielkim wysiłkiem zebrał jeszcze dwadzieścia centów, ale dużo go to kosztowało.

Nazajutrz puścił się znów na żebraninę, narażając się na kilkakrotną ostrą odprawę i zyskując dwa wspaniałomyślne datki. Wreszcie powiedział sobie, że istnieje rzecz taka, jak znajomość fizjonomii i że człowiek, jeśli chce, może przybrać swobodną minę. Nie było to jednak nic miłego owo nagabywanie przechodniów. Widział, jak zatrzymano jednego żebraka, i bał się, że mogą zaaresztować i jego. Niemniej żebrał dalej, niejasno przedstawiając sobie owo nieokreślone coś, co jest zawsze lepsze od tego, co jest.

Z uczuciem zadowolenia przeczytał pewnego ranka o powrocie trupy „Casino” z panną Carrie Madenda. Myślał o niej dość często w ostatnich dniach. Tak dobrze się jej powodzi! Tak dużo pewnie ma pieniędzy! Nawet teraz jednak musiał wycierpieć wiele niepowodzeń, zanim odważył się zwrócić do niej. Był rzeczywiście głodny, gdy sobie powiedział:

- Zwrócę się do Carrie. Nie odmówi mi kilku dolarów.

Poszedł więc któregoś dnia w stronę „Casino”, przechadzając się kilkakrotnie koło gmachu teatralnego, aby ustalić, gdzie znajduje się wejście dla aktorów. Potem usiadł w pobliżu parku Bryant i czekał.

- Przecież nie odmówi mi pomocy! - powtarzał sobie ciągle.

Od godziny wpół do siódmej krążył jak cień koło wejścia od ulicy Trzydziestej Dziewiątej, udając, że jest zwykłym przechodniem, ale drżąc z obawy, żeby jej czasem nie przeoczyć. Był trochę zdenerwowany teraz, gdy zbliżała się decydująca chwila. Ale ponieważ był słaby i głodny, stał się odporniejszy na tamtego rodzaju cierpienia. W końcu zobaczył, że aktorzy przybywają. Natężenie nerwowe doszło do takich granic, iż miał wrażenie, że dłużej tego nie zniesie.

Raz zdawało mu się, że Carrie idzie, i posunął się naprzód, ale przekonał się, że jest w błędzie.

- Musi już przyjść niedługo - powiedział do siebie, prawie bojąc się spotkania z nią, ale jednocześnie przybity myślą, że może wejść innymi drzwiami. Pusty żołądek sprawiał mu dotkliwy ból.

Jedna osoba za drugą mijały Hurstwooda. Prawie każda była dobrze ubrana, prawie każda miała minę obojętną. Widział przejeżdżające pojazdy - panów, prowadzących pod rękę panie - nocne życie rozpoczynało się w dzielnicach teatrów i hoteli.

Nagle zajechała kareta. Stangret wyskoczył otworzyć drzwiczki. Zanim Hurstwood namyślił się, co czynić, dwie damy wysiadły, przeszły szeroki trotuar i zniknęły we drzwiach. Zdawało mu się, że poznał Carrie, ale stało się to tak nieoczekiwanie, taka mu się wydała piękna, elegancka, daleka, że nie mógł wierzyć własnym oczom. Czekał jeszcze chwilę, drżał z pożądania, a potem widząc, że tymi drzwiami nikt już nie wchodzi i że zaczyna napływać publiczność, doszedł do wniosku, że to rzeczywiście musiała być Carrie, i dał za wygraną.

- Boże! - szepnął, idąc szybko ulicą, po której przechadzali się szczęśliwsi od niego. - Muszę przecież coś znaleźć!

O tej porze, kiedy Broadway przyjmuje swą najbardziej interesującą postać, pewien dość szczególnie wyglądający osobnik niezmiennie zajmował posterunek na rogu ulicy Broadway i Dwudziestej Szóstej, w miejscu, gdzie łączy się z nimi również Piąta Aleja. Była to pora, w której do teatrów zaczynają przybywać goście. Sygnały świetlne oznaczające miej-

sca nocnych rozrywek paliły się po obu stronach. Żółte oczy latarni przy pojazdach i karetkach migwały ze wszystkich stron. Pary i grupki, złożone z trzech lub czterech osób, mieszały się z tłumem przechodniów rozbawione, roześmiane. Na Piątej Alei spacerowicze - jegomość w stroju wieczorowym prowadzący damę pod rękę, kilku zamożnych przechodniów; klubowcy porzucający jeden lokal dla drugiego. Po przeciwnej stronie jezdnii wielkie hotele ziały światłem setek okien; kawiarnie i pokoje bilardowe pełne były zadowolonych, szukających rozrywek ludzi. Nad tym wszystkim zawisła noc pulsująca pragnieniem zabawy i wesela, owym dziwacznym pragnieniem wielkiego miasta, które chce się zabawić na tysiąc rozmaitych sposobów.

Tym jedynym w swoim rodzaju jegomościem był nawrócony eks-żołnierz. Ponieważ sam cierpiał biedę i odbierał razy z winy naszego szczególnego ustroju społecznego, doszedł do wniosku, że obowiązkiem jego wobec Boga jest pomagać bliźnim. Forma tej pomocy była na wskroś oryginalna i przez niego obmyślona. Polegała na zdobyciu noclegu dla wszystkich bezdomnych, którzy zbiorą się w tym szczególnym miejscu, aczkolwiek on sam nie posiadał dostatecznych środków na zapewnienie sobie bezpiecznego dachu nad głową.

Obrawszy miejsce w tym lekkomyślnym środowisku, stał otulony w szary płaszcz, nasunawszy na czoło kapelusz z szerokimi kresami. Czekał na aplikantów, którzy w ten czy inny sposób zdążyli już przejrzeć naturę jego dobroczynności. Przez chwilę stał sam jeden, przypatrując się zawsze fascynującej scenie jak człowiek nie mający nic lepszego do roboty. W wieczór, o którym mowa, przechodzący policjant pozdrowił go przyjacielsko jak „kapitana”. Ulicznik, który nieraz przedtem go widywał, przystanął gapiąc się. Reszta przechodniów nie widziała w nim nic szczególnego - z wyjątkiem stroju. Brali go za przechodnia, który przechadza się i pogwizduje dla własnej przyjemności.

Po upływie pierwszej godziny pokazało się kilka postaci. Tu i tam w tłumie przechodniów zauważyć mogłeś marudera, zbliżającego się celowo do owego jegomości. Jakaś ponura osobistość przeszła na następny róg i lękliwie rozejrzała się dokoła. Inna nadeszła Piątą Aleją i stanęła na rogu ulicy Dwudziestej Szóstej. Rozejrzała się i zniknęła. Dwa czy trzy wybitnie bowerowskie typy nadeszły Piątą Aleją od strony Madison Square, ale nie odważyły się podejść bliżej. Żołnierz w szarej oponczy odmierzał dziesięć kroków w tę i tamtą stronę, gwizdząc obojętnie.

Ze zbliżeniem się godziny dziewiątej zamarło poprzednie ożywienie. Atmosfera hoteli

nie była już taka beztroska. I powietrze się ochłodziło. We wszystkich kierunkach poruszały się dziwaczne postacie - zaglądały, badały w promieniu nie istniejącego koła, którego nie miały odwagi przekroczyć. Było ich wszystkich ze dwanaście. Nagle, gdy zimno dotkliwiej dało się we znaki, jedna postać wystąpiła naprzód. Przeszła Broadway od strony ulicy Dwudziestej Szóstej i drogą okrężną zbliżyła się do kapitana. Było coś wstydlivego i nieufnego w jej ruchach, jak gdyby intencją jej było na ostatnią chwilę odsunąć postanowienie przyłączenia się do jegomości w płaszczu. Potem nagle, tuż przy żołnierzu, człowiek ów zdecydował się i przystanął.

Kapitan spojrzał, jakby poznając. Nie wymienili jednak między sobą pozdrowienia. Nowo przybyły skłonił się nieznacznie i mruknął coś jak człowiek proszący o jałmużnę. Tamten tylko wskazał mu, gdzie ma stanąć.

- Tam - powiedział.

Było to jakby zerwanie czaru. Chociaż żołnierz nie przerywał swojej wędrówki, ze wszystkich stron zaczęły się wynurzać postacie. Ludzie ci nie witali się nawet z przywódcą, ale przyłączali do tamtego, przestępując z nogi na nogę, zacierając ręce, otrząsając się z zimna.

- Zimno, co?

- Chwała Bogu, zima minęła.

- Wygląda na deszcz...

Pstre towarzystwo wzrosło do dziesięciu osób. Niektórzy znali się pomiędzy sobą i zaczęli rozmawiać. Inni trzymali się z daleka, nie chcąc łączyć się z gromadą, ale nie życząc sobie, iżby ich wykluczono. Byli ponurzy, milczący, zaskoczeni oglądali się dokoła, na nic właściwie nie patrząc.

Jeszcze chwila, a zawiązałyby się ożywiona rozmowa, lecz żołnierz nie dał im ku temu sposobności. Obliczywszy, że jest ich dość, aby móc rozpocząć, wystąpił naprzód:

- Łóżko dla każdego, he? - zapytał. Ogólny pomruk i szept potwierdzenia.

- Ustawić się jeden za drugim. Zobaczą, co będę mógł zrobić. Nie mam centa przy duszy.

Utworzyli krótką, łamaną linię. Teraz, przez kontrast, jaśniej rzucały się w oczy cechy charakterystyczne. Jeden w szeregu miał drewnianą nogę. Kapelusze były przeważnie opuszczone, tworzyły doskonały komplet drugorzędnych nakryć głowy z Hester Street.

Spodnie były obszarpane i dziurawe na kolanach, marynarki spłowiały i zniszczone. W świetle wystaw sklepowych twarze wydawały się suche, ziemiste, inne znowu czerwone, z workami pod oczami, nabrzmiałe; inne posiniaczone, mieniające się barwami tęczy, podobne do sygnałów kolejowych. Kilka osób przyciągniętych niesamowitym widokiem tej gromadki podeszło bliżej. W końcu zebrał się wcale spory tłum. Ktoś z szeregu zaczął mówić.

- Cicho! - zawołał kapitan. - Otóż, panowie, ci ludzie nie mają gdzie spać. Muszą gdzieś się przespać dzisiejszej nocy. Nie mogą pozostać na ulicy. Potrzebuję dwunastu centów na ulokowanie jednego z tych ludzi. Kto mi je da?

Żadnej odpowiedzi.

- Musimy tu czekać, chłopcy, póki ktoś się nad nami nie zlituje. Dwanaście centów to znowu nie taka wielka suma!

- Oto piętnaście centów - zawołał młody człowiek, występując naprzód. Oczy mu błyszczały. - Wszystko, na co mnie stać.

- Dziękuję. Mam piętnaście centów. Wychodź z szeregu - kapitan wziął jednego z bezdomnych za ramię i odprowadził go kilka kroków dalej.

Wróciwszy zajął swoje miejsce i zaczął na nowo:

- Pozostało mi trzy centy. Ci ludzie muszą gdzieś przespać dzisiejszą noc. Jest ich - liczył - jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu, dziewięciu, dziesięciu, jedenastu, dwunastu. Jeszcze dziewięć centów, a następny będzie spał w łóżku. Dajcie mu wygodne, ciepło łóżko na dzisiejszą noc. Sam tego dopilnuję. Kto mi da dziewięć centów?

Jeden z ciekawych, tym razem mężczyzna w sile wieku, podał mu monetę pięciocentową.

- Mam osiem centów. Jeszcze cztery centy, a człowiek ten będzie mógł się przespać w łóżku. Dajcie, panowie! Strasznie opornie idzie nam dzisiaj! Każdy z was ma dach nad głową. A co będzie z tymi?

- Macie - rzekł jeden z przechodniów, kładąc mu do ręki drobną monetę.

- W ten sposób - rzekł kapitan - mam opłacone dwa łóżka dla dwóch osób i pozostaje mi jeszcze pięć centów dla następnego. Kto ofiaruje mi brakujące siedem centów?

- Ja - rzekł jakiś głos.

Idąc tego dnia Szóstą Aleją, Hurstwood przypadkiem przeciął ulicę Dwudziestą Szóstą w kierunku Alei Trzeciej. Był przygnębiony, głodny, śmiertelnie zmęczony i przybity.

W jaki sposób trafi teraz do Carrie? Przed jedenastą przedstawienie się nie skończy. Jeżeli przyjechała powozem, to powozem również odjedzie. Będzie musiał ją zaczepić w okolicznościach nader przykrych dla siebie. Co najgorsze, był głodny i zmęczony. W najlepszym razie musi czekać cały dzień, dzisiaj bowiem nie starczy mu odwagi na zaczepienie jej. Nie ma gdzie spać ani co zjeść.

O parę kroków na Broadwayu zauważył kapitana w otoczeniu włóczęgów, ale sądząc, że jest to gromada ludzi zebranych koło kaznodziei ulicznego albo patentowanego fakira, postanowił minąć ich. Jednak przechodząc jezdnię w kierunku Madison Square, zauważył szereg ludzi, którzy mieli już zapewnione łóżka. Ludzie ci wychodzili po jednym z większej gromady. W świetle latarni elektrycznych poznał podobne sobie postaci, które widywał na ulicach i w domach noclegowych - ludzi wyczerpanych na duchu i na ciele. Zaciekawiony, co by to mogło być, zawrócił.

Kapitan prosił uprzejmie jak wyżej. Hurstwood słuchał ze zdumieniem i uczuciem ulgi tych tak często powtarzanych słów: „Ten człowiek musi gdzieś spać!” Przed sobą widział szereg nieszczęśliwych, którzy nie mieli jeszcze zapewnionego noclegu. Widząc, że ktoś przyłączył się do nich spokojnie i zajął ostatnie miejsce w szeregu, postanowił uczynić to samo. Dużo mu przyjdzie z pogardy! Był taki zmęczony. W ten sposób usunie przynajmniej jedną trudność. Jutro, być może, będzie lepsze.

Za jego plecami, tam gdzie stali ci, którzy mieli już zapewnione noclegi, odczuwało się pewne odprężenie. Ludzie ci wyzbywszy się niepewności rozmawiali z pewną swobodą. Niektórzy zdradzali usposobienie towarzyskie. Polityka, kwestie religijne, rząd, sensacyjne wiadomości z gazet, najważniejsze zdarzenia na świecie znajdowały tutaj słuchaczy i komentatorów. Ochryple, przepite głosy rozprawiały na najrozmaitsze tematy. Odpowiedzi były niejasne, niezdecydowane.

Ci, którzy byli zbyt zmęczeni lub oteźpiali, żeby móc rozmawiać, patrzyli bokiem bezmyślnie jak woły.

Stanie daje się we znaki. Hurstwooda czekanie zmęczyło ostatecznie. Miał wrażenie, że upadnie. Przeszł z nogi na nogę. Nareszcie przyszła jego kolej. Za człowieka, stojącego przed nim, ktoś wniósł opłatę.

Uszczęśliwiony przeszedł do szeregu tych, którzy mieli zapewniony nocleg. Hurstwood był teraz pierwszy. Kapitan przemawiał w jego interesie.

- Dwanaście centów, panowie, dwanaście centów, panowie, dwanaście centów zapewni temu człowiekowi łóżko! Nie stałby tu na zimnie, gdyby miał dokąd iść!

Hurstwood przełknął coś, co podeszło mu do gardła. Głód i słabość uczyniły zeń tchórze.

- Proszę - rzekł jakiś przechodzień, podając pieniądze kapitanowi.

Tamten uprzejmie i przyjaźnie dotknął ręką ramienia eks-dyrektora.

- Proszę tam stanąć - rzekł.

Znalazłszy się po drugiej stronie, Hurstwood odetchnął lżej. Czuł, że świat nie jest taki zły, jeżeli są w nim tacy dobrzy ludzie. Inni zdawali się czuć podobnie.

- Kapitan to dzielny chłop, co? - powiedział stojący przed nim jegomość, człeczyna mały, nędzny, przybity, jakby złamany. Robił wrażenie, że nigdy w życiu nie był ulubieńcem ani wybrańcem losu.

- Tak - obojętnie powiedział Hurstwood.

- Spójrzcie na tę w powozie - rzekł inny.

Właśnie zatrzymał się powóz. Jakiś jegomość ubrany w strój wieczorowy podał kapitanowi banknot, który tamten przyjął ze zwykłym „dziękuję” i zwrócił się do swego szeregu. Pochyliły się karki, gdy mignęły klejnoty w białym gorsie koszuli; powóz ruszył. Tłum zakochał się w zachwycie.

- To zapewnia nocleg dziesięciu ludziom - rzekł kapitan, odliczając tyłu z szeregu stojącego przed nim. - Stańcie przy tamtych. Zostanie tylko siedmiu. Potrzebuję dwanaście centów.

Pieniądze napływały powoli. Z biegiem czasu gromadka skurczyła się do garstki. Piąta Aleja z wyjątkiem zapóźnionego pojedynczego pojazdu lub przechodnia była pusta. Broadway z rzadka usiany był przechodniami. Od czasu do czasu ktoś zauważywszy małą grupkę wręczał drobną monetę i przechodził niedbale.

Kapitan trwał na posterunku twardo, zdecydowanie. Nie ustawał w swoich przemówieniach, ograniczał się do najmniejszej ilości słów, które wygłaszał z pewnością siebie, jak gdyby wierząc, że nie może mu się nie udać.

- Zbliżcie się. Nie mogę sterczeć tu całą noc! Ci ludzie są zmęczeni, zziębli. Niech mi ktoś da cztery centy.

Potem przyszedł czas, kiedy nic w ogóle nie mówił. Wręczano mu pieniądze, on zaś,

zebrawszy dwanaście centów, za każdym razem wyławiał jednego z grupy i kazał mu stanąć w szeregu. Potem rozpoczął swoją przechadzkę tam i z powrotem, patrząc w ziemię.

Teatry opróżniły się. Reklamy świetle zgasły. Zegar wydzwonił jedenastą. Jeszcze pół godziny i zostało mu tylko dwóch.

- No, panowie! - wołał do ciekawych, którzy przystawali popatrzeć, co się dzieje. - Osiemnaście centów zapewni nam wszystkim nocleg dzisiaj. Osiemnaście centów. Posiadam w zapasie sześć. Niech mi ktoś da te osiemnaście. Pamiętajcie, że jeszcze muszę tym ludziom zapewnić nocleg. Osiemnaście centów.

Nikt nie odpowiedział. Chodził tam i z powrotem patrząc w ziemię, od czasu do czasu mówiąc łagodnie: „Osiemnaście centów!” Zdawało się, że ta nędzna suma odsuwa upragniony koniec dalej niż wszystko inne. Hurstwood, znajdując niejakię podtrzymanie w długim szeregu, którego część stanowił, z trudem jednak powstrzymywał się od jęku, tak był słaby,

Wreszcie od Piątej Alei nadeszła dama w sukni wieczorowej i w płaszczu. Towarzyszył jej elegancki pan. Hurstwood spojrzał mimo woli. Przypomniała mu zarówno Carrie w jej nowym otoczeniu, jak i jego samego za dawnych czasów, gdy w ten sposób odprowadzał własną żonę.

Gdy się jej przyglądał, dama dojrzała dziwną gromadę i wysłała swego towarzysza. Podszedł trzymając w ręku banknot, elegancki, wytworny.

- Proszę! - rzekł.

- Dziękuję - rzekł kapitan, zwracając się do dwóch pozostałych aplikantów. - Zostanie nam coś niecoś na jutro - dodał.

Z tymi słowami dołączył tych dwóch do szeregu i idąc ku przodowi liczył.

- Stu trzydziestu siedmiu - oznajmił. - Teraz, chłopcy, równaj się! Na prawo zwrot. Już niedługo!... Spieszcie się. - Stał na czele i krzyknął: - Naprzód!

Hurstwood szedł za innymi. Przez Piątą Aleję, poprzez Madison Square, potem przez ulicę Dwudziestą Trzecią, potem Trzecią Aleję posuwał się długi wąż postaci. Nocni przechodnie i maruderzy zatrzymywali się i oglądali, gdy to towarzystwo ich mijało. Policjanci gawędzacy na rogach patrzyli obojętnie lub kłaniali się dowódcy, którego widywali już przedtem. Przeszedłszy Trzecią Aleję zmęczeni dobrnęli na ulicę Ósmą, gdzie był dom noclegowy zamknięty na noc. Oczekiwano ich tam jednak.

Stali z dala od tłoku, podczas gdy przywódca konferował wewnątrz. Potem drzwi się otworzyły i zaproszono ich głośnie:

- Nie śpieszyć się!

Ktoś idący na przód otwierał pokoje, nie trzeba więc było wołać o klucze. Wspinając się po pochyłych wydeptanych schodach Hurstwood obejrzał się i zobaczył kapitana. Czuwał. Wszystkich obejmował swą życzliwą opieką. Gdy ostatni wszedł, kapitan zawinął się w płaszcz i zniknął w mroku nocy.

- Nie mogę dłużej - rzekł Hurstwood. Nogi bolały go nieznośnie. Opuścił się na nędzne posłanie w małej, ciemnej izdebce, którą mu przeznaczono. - Muszę coś zjeść albo umrzeć.

Rozdział XLVI

ZNOWU MAĆ SIĘ WZBURZONE WODY

Pewnego wieczora, po powrocie do Nowego Jorku, Carrie zszedłszy ze sceny kończyła toaletę, przygotowując się do wyjścia z teatru, gdy do uszu jej doleciał szmer pod drzwiami. Zdawało się Carrie, że zna ten głos.

- Mniejsza o to. Chcę się widzieć z panną Madenda.

- Proszę o bilet wizytowy.

- Dobrze! Dobrze! Masz bilet!

Pół dolara przeszło z ręki do ręki i zastukano do garderoby Carrie.

Otworzyła.

- No, no - rzekł Drouet. - Słowo daję! Jak się masz? Poznałem, że to ty, jakem tylko na ciebie spojrział.

Carrie cofnęła się w oczekiwaniu niemiłej rozmowy.

- Nie chcesz mi podać ręki? Ależ z ciebie elegantka! Dobrze, dobrze! Podaj mi rękę!

Carrie podała rękę, uśmiechając się - jeżeli nie do niczego więcej, to do nieposkromionej dobroduszości tego chłopca. Chociaż trochę starszy, zmienił się bardzo niewiele. Taki sam elegancki, taki sam zręczny, taki sam różowy, taki sam wesoły.

- Ten drab nie chciał mnie wpuścić, póki nie wsunąłem mu w łapę. Wiedziałem, że to

ty... od razu! Ależ masz powodzenie! Świetnie grasz swoją rolę! Wiedziałem, że będzie z ciebie znakomita aktorka. Przechodziłem koło teatru i myślałem sobie, dlaczego nie wstąpić na chwilkę? Czytałem twoje nazwisko na afiszu, ale nie przyszło mi na myśl, że to ty, dopóki nie zobaczyłem ciebie! Wtedy od razu przypomniałem sobie. Przecież mogłaś mnie powalić jednym palcem! To samo nazwisko, jakie miałaś wtedy w Chicago, prawda?

- Tak - powiedziała Carrie przytłoczona niemal jego pewnością siebie.

- Przypomniałem to sobie, jakem cię tu ujrzał! No, jakże ci się powodziło?

- O, doskonale! - rzekła Carrie ociągając się. Była zaskoczona tym najściem. - A tobie?

- Mnie? Świetnie! Teraz mieszkam tutaj.

- Naprawdę? - zapytała Carrie.

- Tak. Już od sześciu miesięcy. Prowadzę tutaj filię. Jak dawno jesteś na scenie? - dopytywał się Drouet.

- Około trzech lat.

- Co ty mówisz? Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o tym! Zawsze mówiłem, że z ciebie będzie aktorka... może nie?

Carrie uśmiechnęła się.

- Owszem, mówiłeś.

- Wyglądasz na wielką damę - ciągnął. - Nigdy w życiu nie widziałem nikogo tak zdolnego! Nawet wyrosłaś, prawda?

- Ja? Może trochę...

Spojrzał na jej suknię, potem na jej włosy widoczne spod eleganckiego kapelusza, potem w oczy, choć starała się je odwrócić od niego. Najwyraźniej pragnął nawiązać dawny stosunek... zaraz i niezwłocznie.

- No - powiedział widząc, że zbiera torebkę, rękawiczki, chusteczkę i gotuje się do wyjścia - chciałbym, żebyś zjadła ze mną obiad. Dobrze? Jestem tu z przyjacielem.

- Nie mogę - powiedziała Carrie. - Przynajmniej nie dzisiaj. Umówiłam się z kimś na jutro od wczesnego rana.

- Więc cóż z tego?! Chodźmy! Mogę spławić tego przyjaciela. Chciałbym raz porządnie nagadać się z tobą.

- Nie, nie - powiedziała Carrie. - Nie mogę. Nie namawiaj mnie. Nie jadam tak późno.

- Więc chodź gdzie pogadać.

- Nie, nie, nie dzisiaj - potrząsnęła głową. - Może kiedy indziej.

Po twarzy jego przebiegł jakby cień zrozumienia. Może zaczął uświadamiać sobie, że jednak coś się zmieniło między nimi.

Pocziwa natura Carrie kazała jej jednak obdarzyć czymś więcej tego, który zawsze ją lubił i dobrze się do niej odnosił.

- Przyjdź jutro do mnie do hotelu - rzekła, chcąc w ten sposób dać mu rekompensatę - zjesz obiad u mnie.

- Doskonale! - rzekł Drouet, rozpogadzając się natychmiast. - Gdzie mieszkasz?

- W Waldorfie - powiedziała. Był to najelegantszy, niedawno wykończony hotel.

- O której?

- Przyjdź o trzeciej - uprzejmie zapraszała Carrie.

Nazajutrz Drouet zjawił się o oznaczonej porze. Carrie bez szczególnej radości myślała o tej wizycie. Jednak gdy go zobaczyła - był jak zawsze przystojny, na swój sposób szykowny, w doskonałym humorze - wątpliwości jej, czy aby obiad będzie miły, rozwiały się. Rozmawiał z dawną swobodą.

- Strasznie muszą tu zdzierać, co? - zapytał na powitanie.

- Tak - rzekła Carrie.

Będąc z natury egoistą, przeszedł od razu do mówienia o sobie.

- Wkrótce będę miał własny interes - mówił. - Mogę liczyć na dwa tysiące dolarów.

Carrie słuchała życzliwie.

- A co się stało z Hurstwoodem? - zapytał nagle.

Carrie zarumieniła się.

- Pewnie jest tutaj - powiedziała. - Nie widziałam go od dawna,

Drouet zamyślił się. Aż do tej chwili nie był pewny, czy jednak eks-dyrektor nie jest wpływową osobistością, której należy szukać na dnie tego wszystkiego. Zdawało mu się, że tak nie jest. Ale dopiero pewność sprawiła mu ulgę. „Widocznie Carrie zerwała z nim - myślał. - I słusznie!”

- Człowiek zawsze popełnia karygodny błąd, robiąc coś takiego jak on! - zauważył.

- Co mianowicie? - rzekła Carrie, nie przygotowana na to, co miała usłyszeć.

- Och, wiesz przecież! - Drouet ruchem ręki uchylił pytanie.

- Nie wiem. O czym ty mówisz?

- No, ta jego afera w Chicago... zanim wyjechał.

- Nie wiem, o czym mówisz - rzekła Carrie. Czyżby w ten sposób wyrażał się o ich wspólnej ucieczce z Chicago?

- Oho! - nieufnie rzekł Drouet. - Przecież wiedziałaś, że wziął dziesięć tysięcy dolarów i czmychnął z tobą?

- Co?! - zawołała Carrie. - Przecież nie chcesz twierdzić, że Hurstwood ukradł pieniądze?

- Jak to? - zapytał Drouet zdumiony jej tonem. - Przecież musiałaś o tym wiedzieć? Naprawdę nie wiedziałaś?

- Ależ naturalnie, że nie wiedziałam!

- To zabawne... Tak, ukradł. Przecież było o tym w gazetach.

- Ile, powiadasz, wziął? - zapytała Carrie.

- Dziesięć tysięcy dolarów... Ale jak mi mówiono, większość z tego odesłał później.

Carrie patrzyła bezmyślnie na wspaniały dywan pokrywający posadzkę. Drouet rzucił nowe światło na ostatnie lata jej przymusowej ucieczki. Przypomniała sobie teraz setki rzeczy, które powinny były nasunąć jej podobne podejrzenie. Wyobraziła sobie, że ukradł dla niej. Zamiast odrazy uczuła dla Hurstwooda szczerą życzliwość. Biedny człowiek! Jakież to straszne, że to nad nim przez cały czas wisiało!

Podczas obiadu Drouet podochocony winem i smacznym jedzeniem wpadł w doskonały humor. Wyobraził sobie, że udało mu się na nowo zdobyć Carrie. Że nie jest to rzecz tak bardzo trudna znowu wejść w jej życie, mimo że stoi tak wysoko. Och, co za gratka! myślał. Jaka ona elegancka, piękna, sławna! W oprawie swojej teatralnej sławy i hotelowego otoczenia była Carrie dla Droueta przedmiotem największych pragnień.

- Pamiętasz, jakieś się denerwowała tego wieczora w Avery Hall? - zapytał.

Carrie uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Nigdy nie widziałem lepszej gry niż twoja wtedy, Cad - rzekł podpierając się łokciami. - Myślałem, że będziemy razem żyć tak miło!

- Nie powinieneś mówić w ten sposób - rzekła Carrie z odcieniem chłodu.

- Nie pozwalasz mi powiedzieć, że...

- Nie - powiedziała wstając. - Zresztą na mnie czas. Muszę się ubierać do teatru. Mu-

szę cię pożegnać. Chodźmy.

- Och! - powiedział Drouet - poczekaj chwilę. Masz jeszcze mnóstwo czasu.

- Nie - uprzejmie rzekła Carrie.

Drouet powoli podnosił się od wspaniale zastawionego stołu i poszedł za nią. Odpro-
wadził ją do windy. Żegnając się powiedział:

- Kiedy cię zobaczę znowu?

- Och, może się uda... - rzekła Carrie. - Będę tu przez całe lato. Do widzenia.

Drzwi windy były otwarte.

- Dobranoc! - rzekł Drouet widząc, że wsiada do windy.

Potem poszedł smutnie przez hall. Zbudziła w nim dawne pragnienia, ponieważ była
mu taka daleka. Wesoła beztroska otoczenia mówiła mu o niej. Uważał, że go życie
skrzywdziło. Carrie zaś miała głowę zaprzątniętą zupełnie innymi myślami.

I tej nocy minęła Hurstwooda przy wejściu do „Casino” i nie poznała go.

Nazajutrz idąc do teatru zetknęła się z nim twarzą w twarz. Czekał mizerniejszy niż
kiedykolwiek, zdecydowany ją zobaczyć, nawet gdyby miał posłać jej parę słów. W pierw-
szej chwili nie poznała go, widząc nędznego, obdartego żebraka. Przestraszyła się, gdy pod-
szedł do niej blisko. Jakiś obcy, wygłodniały człowiek.

- Carrie - szepnął - czy mogę zamienić z tobą kilka słów?

Odwróciła się. Poznała go w jednej chwili. Jeżeli kiedykolwiek żywiła w sercu wrogie
dlań uczucie, uczucie to opuściło ją w tej chwili. Pamiętała, co Drouet mówił o popełnionej
przez niego kradzieży.

- Co się z tobą stało, George? - zapytała.

- Byłem chory - odrzekł. - Wyszedłem niedawno ze szpitala. Na miłość boską, daj mi
parę groszy... zechcesz?

- Naturalnie - powiedziała Carrie. Wargi jej drżały i z trudem panowała nad sobą. -
Ale co się z tobą dzieje?!

Otworzyła torebkę i wytrząsnęła z niej wszystko, co miała przy sobie, jedną piątkę i
dwa banknoty po dwa dolary.

- To wszystko, co mam - powiedziała.

- Dziękuję - rzekł. - Oddam ci kiedyś.

Carrie patrzyła na niego. Czuła, że przechodnie zaczynają się jej przyglądać, że robi

się zbiegowisko. To samo czuł i Hurstwood.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć, co się z tobą dzieje? - zapytała nie wiedząc, co począć. - Gdzie mieszkasz?

- Mam pokój na Bowery - odrzekł. - Nie ma sensu opowiadać ci o tym tutaj. Już wszystko dobrze.

Zdawał się poniekąd chcieć uniknąć jej uprzejmych pytań, los był dla niej o tyle łańskawszy!

- Lepiej odejść już stąd - powiedział. - Jestem ci bardzo wdzięczny. Nie będę ci się więcej naprzykrzał.

Próbowała odpowiedzieć, ale on odwrócił się i zniknął w kierunku zachodnim.

Przez długie dni wspomnienie to ciążyło na duszy Carrie jak zmora. Z czasem zapomniała o nim. Drouet zgłosił się znowu, ale tym razem wcale go nie przyjęła. Jego staranie się o jej względy wydawało się Carrie nie na miejscu.

- Nie ma mnie - brzmiała odpowiedź, jaką dała boyowi.

Tak szczególne wydawało się jednak światu jej samotne życie, że stała się interesującą w oczach publiczności; była taka spokojna, taka skromna.

Wkrótce potem dyrekcja postanowiła wyjechać z trupą do Londynu. Następny sezon letni nie zapowiadał się już tak dobrze.

- Co pani powie na to, żeby podbić Londyn? - zapytał pewnego popołudnia dyrektor.

- Może być wręcz przeciwnie - odrzekła.

- To chyba wyjedziemy w czerwcu.

W gorączce przygotowań do podróży zapomniała o Hurstwoodzie. Obaj, zarówno on, jak i Drouet, sami odkryli, że wyjechała. Ten ostatni zgłosił się kiedyś do teatru i aż krzyknął usłyszawszy nowinę. Chwilę stał w przedsionku, gryząc koniec wąsa. Wreszcie doszedł do wniosku, że dawne czasy minęły bezpowrotnie.

- Ostatecznie nic takiego szczególnego - powiedział. Ale w głębi swego serca nie wierzył w to.

Hurstwood dziwnym sposobem przetrwał długie lato i jesień. Skromne zajęcie windziarza w pewnej sali tańca dało mu możliwość przeżycia jednego miesiąca. Często chodząc głodny, często sypiając w parku, przebrnął przez dalsze dni. Pomoc instytucji dobroczynnych, do których chodził od czasu do czasu w poszukiwaniu kawałka chleba, zrobiła resztę.

Ku schyłkowi zimy Carrie wróciła i zjawiała się w teatrze na Broadwayu w nowej sztuce; ale on o tym nie wiedział. Tygodniami wałęsał się po mieście zebrząc, a reklamy świetlne, głoszące jej powrót, oświetlały nocą ludne ulice żadne zabawy. Drouet widział je, ale nie próbował nawiązać kontaktu.

Mniej więcej w tym czasie Ames przyjechał do Nowego Jorku. Zrobił majątek na Zachodzie i otworzył własne laboratorium przy ulicy Wooster. Oczywiście przez Vance'ów zetknął się znowu z Carrie. Ale nic ich ze sobą nie łączyło. Myślał, że w dalszym ciągu związana jest z Hurstwoodem. Musiano go dopiero poinformować, że tak nie jest. Nie wiedząc, jak się to stało, nie próbował rozumieć i wstrzymywał się od wszelkich komentarzy.

Był na nowej sztuce w towarzystwie pani Vance i wyraził się o niej pochlebnie.

- Nie powinna być w komedii - powiedział. - Zdaje mi się, że jest stworzona do czegoś lepszego.

Pewnego popołudnia przypadkowo spotkali się u Vance'ów i zaczęli przyjacielską pogawędkę. Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego poprzednie silne zainteresowanie Amesem ustąpiło. Bezspornie jednak dlatego, że w owe czasy przedstawiał on dla Carrie coś, czego nie posiadała; ale tego nie była w stanie pojąć. Powodzenie dało Carrie chwilowe wrażenie, że teraz obdarzona jest wszystkim, co on tak wysoko stawiał. W rzeczywistości jednak jej gazetową sławę cenił bardzo nisko. Uważał, że można od Carrie oczekiwać czegoś większego.

- Nie przechodzi pani do dramatu? - zapytał, przypominając sobie jej zainteresowanie tą dziedziną sztuki.

- Nie - powiedziała. - Przynajmniej nie teraz.

Spojrzał na nią w sposób tak szczególny, iż zrozumiała, że popełniła błąd mówiąc tak. Więc dodała:

- Chociaż pragnęłabym bardzo.

- Myślałem, że przejdzie pani do dramatu - ciągnął. - Pani ma ten rodzaj usposobienia, który nadaje się do dramatu.

Zdziwiło ją, że mówił o usposobieniu. Więc aż tak jasno ją widzi?

- Dlaczego? - zapytała.

- Sądzę - odrzekł. - Jest pani z natury współczująca.

Carrie uśmiechnęła się i zaczerwieniła lekko. Był z nią tak niewinnie szczery, że po-

ciągnęło ją to do niego. Znowu dźwięczał w jej uszach dawny zew ideału.

- Nie wiem - odrzekła, nie mogąc ukryć zadowolenia.
- Widziałem panią na scenie - powiedział - Pani gra bardzo dobrze.
- Cieszy mnie, że się panu podobam...
- Bardzo dobrze - dodał - jak na komedię.

Oto wszystko, co powiedzieli sobie owego dnia (przerwano im), ale nie była to ich jedyna rozmowa. Pewnego popołudnia siedział w rogu pokoju z oczami utkwionymi w podłogę, gdy weszła Carrie w towarzystwie jednej z pań. Ciężka praca nadała twarzy jego wyraz zmęczenia. Ale Carrie nie mogła pojąć, co w tej twarzy przemawiało do niej?

- Pan sam? - zapytała.
- Słuchałem muzyki - odrzekł.
- Zaraz wrócę - rzekła towarzyszka Carrie, która nie widziała nic interesującego w tym jegomościu.

Patrzył w twarz Carrie, gdyż stała przed nim chwilę, podczas gdy on siedział.

- Ileż patosu w tym utworze! - powiedział.
- O, tak! - rzekła Carrie uchwyciwszy ów patos teraz, gdy zwrócono na to jej uwagę.
- Niech pani usiądzie - rzekł wskazując jej krzesło obok siebie.

Słuchali czas jakiś w milczeniu, ogarnięci tym samym uczuciem, tylko że ją przejęło to do głębi serca. Muzyka czarowała Carrie jak za dawnych czasów.

- Nie wiem, co jest w muzyce - zaczęła, poruszona niewytłumaczoną tęsknotą, która nagle się w niej zrodziła - ale czuję się zawsze tak, jakbym pragnęła czegoś...

- Tak - powiedział. - Wiem, co pani czuje.

Ponieważ z taką szczerością wypowiedziała swoje uczucia, powrócił do jej usposobienia.

- Nie trzeba się smucić - rzekł.

Myślał chwilę, po czym rzucił uwagę harmonizującą z tym, co czuli oboje.

- Świat jest pełen ponętnych sytuacji, ale niestety, możemy osiągnąć tylko jednej z nich na raz. Po cóż wyciągać ręce do tego, czego nie jesteśmy w stanie uchwycić?

Muzyka ucichła. Podniósł się, stanął przed Carrie, jak gdyby chcąc się uspokoić.

- Dlaczego nie zagra pani w jakimś dobrym, silnym dramacie? - powiedział. Patrzył teraz wprost na Carrie, badając jej twarz. Jej wielkie, życzliwe oczy, bolesny wykrój ust

przemawiały za tym, że sąd jego był słuszny.

Carrie drgnęła, widząc tak poważne zajęcie się nią. Uczucie osamotnienia opuściło ją na chwilę. Oto pochwała przychylna, głęboka.

- Ma pani coś szczególnego w oczach i ustach - ciągnął dalej. - Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłem panią, uderzył mnie wyraz pani ust. Myślałem, że się pani rozplącze.

- Jakie to dziwne! - zawołała Carrie uradowana. Właśnie czegoś takiego pragnęła!

- Potem zauważyłem, że to pani zwykły wyraz. Dzisiaj znowu mnie to uderzyło. Jest w pani oczach jakiś cień, który nadaje całej tej twarzy jednolity charakter. Zdaje mi się, że to jest głębia.

Carrie patrzyła mu w oczy wzruszona.

- Pani prawdopodobnie nie zdaje sobie z tego sprawy - ciągnął.

Odwróciła głowę rada, że tak mówi, marząc, by mogła usprawiedliwić owe uczucia, jakie malowały się na jej twarzy. Otwierały drzwi nowym pragnieniom.

Miała powody myśleć o tym nieustannie do nowego z nim spotkania, co się stało w kilka tygodni później. Czowała, że wyrzekła się dawnych ideałów, które zrodziły się w jej duszy w garderobie Avery Hall i przyświecały długo. Dlaczego je zatraciła?

- Wiem - powiedział zadowolony, że udało mu się rozwiązać zagadkę - to, co uderza w twarzy pani, odnajdujemy w innych jeszcze rzeczach. W patetycznym śpiewie, w obrazie, który wzrusza nas głęboko. Jest tym, na co świat lubi patrzeć, bo w sposób naturalny wyraża jego własne tęsknoty.

Carrie patrzyła, nie bardzo rozumiejąc znaczenie tego, co mówił.

- Świat zawsze dąży do wyrażenia siebie - ciągnął. - Większość ludzi nie potrafi ująć w słowa swoich uczuć. Zrzuca to na innych. W tym mieści się znaczenie geniuszu. Jeden wyraża pragnienie i tęsknoty ludzkie w muzyce, inny w poezji, jeszcze inny w dramacie. Czasami natura obdarza tą szczególną zdolnością twarz. Czyjaś twarz wyraża czasami wszystkie pragnienia i tęsknoty. Stało się to z panią.

Patrzył na nią z takim przekonaniem w oczach, że zaczęła rozumieć. W końcu pojęła, że wyraz jej twarzy jest owym czymś, co wyraża pragnienie świata. Wzięła to do serca jako rzecz zasługującą na wiarę, ale on dodał:

- Nakłada to na panią brzemień obowiązków. Tak się zdarzyło, że właśnie pani to po-

siada. Nie jest to żadna zasługa pani... to znaczy, równie dobrze mogłaby pani tego nie mieć. Niczym nie zapłaciła pani za to, żeby to mieć. Ale teraz, gdy jest pani w posiadaniu tego, musi pani coś z tym zrobić.

- Co? - zapytała Carrie.

- Sądzę, że powinna pani przejść do dramatu. Jest pani taka wrażliwa i ma pani taki melodyjny głos. Niech pani da coś z tego innym ludziom. To tylko wzmocni pani siłę.

Carrie nie zrozumiała tych ostatnich słów. Zrozumiała natomiast, że jej dotychczasowe powodzenie nie znaczy nic albo znaczy bardzo mało.

- Jak pan to rozumie? - zapytała.

- Bardzo prosto! Posiada pani tę właściwość w oczach, ustach, w całej swojej naturze. Może pani ją z łatwością zmarnować, jak pani wiadomo. Jeżeli pani nie rozwinię tych darów, jeżeli obróci je pani wyłącznie na swoją korzyść, to szybko je pani zmarnuje. Oczywiście pani stracą wyraz. Usta pani się zmieniają. Może pani tego nie zauważyć, ale tak będzie. Natura postara się o to. Tak się zapalał do każdej dobrej sprawy, że wpadł w entuzjazm i wygłaszał wprost płomienne kazania. Carrie w ten czy inny sposób interesowała go. Pragnął dodać jej bodźca.

- Wiem - powiedziała czując, że zawiniła przez zaniedbanie.

- Gdybym był panią - ciągnął - przeszedłbym do dramatu. Efektem tego było zmęczenie wzburzonych wód. Carrie całymi dniami martwiła się tym w swoim bujającym fotelu.

- Nie sądzą, żebym długo pozostała w komedii - powiedziała kiedyś mimochodem do Loli.

- O, dlaczego? - zapytała tamta.

- Zdaje mi się - rzekła Carrie - że nadaję się do poważniejszej sztuki.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Och! - powiedziała Carrie - zawsze tak myślałam...

A jednak nie robiła nic, smucąc się po dawnemu. Droga do czegoś lepszego była dłuższa... albo taką się jej wydawała, a ona lubiła wygody. Więc tonęła w beczynności i marzeniach.

Rozdział XLVII

LOS ZWYCIĘŻONEGO: HARFA NA WIETRZE

W owych czasach były w Nowym Jorku instytucje dobroczynności podobne do tej, jaką reprezentował kapitan, a które Hurstwood popierał w ten sam nieszczęśliwie dla siebie sposób. Jedną z nich był Dom Misyjny Sióstr Miłosierdzia przy ulicy Piętnastej - szereg podobnych gmachów z czerwonej cegły, przed drzwiami których wisiała puszcza na składki, obwieszczająca, że w południe wydaje się tu darmo posiłki każdemu, kto się zgłosi o pomoc. To proste ogłoszenie skromnie pokrywało jak najszerszej pojętą dobroczynność. Instytucje społeczne i dobroczynne tak są liczne w Nowym Jorku, iż rzecz taka jak ta rzadko kiedy wpada w oczy ludziom lepiej sytuowanym. Ale dla człowieka, który ma umysł wyłącznie jedną myślą zajęty, ogłoszenie takie samo się narzuca. Człowiek, który nie był tym szczególnie zainteresowany, mógłby stać co dzień w południe na rogu ulicy Piętnastej i Szóstej Alei i nie zauważyć, że z tłumu wypełniającego tę wielką arterię co parę sekund odrywa się smagany niepogodą nędzny osobnik o twarzy mizernej, w poszarpanym odzieniu. Fakt niemniej pozostaje prawdziwy i im dzień jest zimniejszy, tym wyraźniej rzuca się w oczy. Brak miejsca i specjalnej sali jadalnej w Domu Misyjnym zmuszał do zastosowania szczególnego systemu, który pozwalał na wpuszczenie jednorazowo tylko dwudziestu pięciu stołowników, więc na ulicy tworzył się „ogonek” i ustanowiono porządek wejścia. Rezultatem tego było codzienne widowisko, które jednak z biegiem czasu stało się czymś tak pospolitym, że w nikim nie budziło zastanowienia. Ludzie czekali cierpliwie jak bydlę w najgorszą pogodę, czekali po kilka godzin, zanim ich można było wpuścić. Nikt nikogo o nic nie pytał, nikt nikomu nie wyświadczał grzeczności. Zjadłszy wychodzili. Niektórzy wracali regularnie przez całą zimę.

Wysoka niewiasta mająca w sobie coś macierzyńskiego niezmiennie stała na straży we drzwiach podczas całej tej operacji i liczyła wpuszczanych. Ludzie posuwali się w uroczystym skupieniu. Nikt nie zdradzał pośpiechu ani zniecierpliwienia. Był to przeważnie milczący pochód. W najgorszą pogodę stał przed Domem Misyjnym „ogonek”. Gdy dał lodowaty wicher, ludzie tupali nogami i uderzali rękami. Palce i twarze ich wyglądały jakby

zjedzone zimnem. Gdybyś się przyjrzał tym postaciom w pełnym świetle, uznałbyś je za należące do jednego typu. Stanowili klasę ludzi, którzy we dnie przesiadują na ławkach w parku i śpią na nich w letnie noce. Odwiedzają Bowery i inne temu podobne nory w Zachodniej dzielnicy, gdzie uboga odzież i wymizerowane twarze w nikim nie budzą zainteresowania. Są to ludzie, którzy w chłód i niepogody przesiadują w tak zwanych „bawialniach” tanich domów noclegowych, którzy tłoczą się do tańszych przytułków otwieranych dopiero o godzinie szóstej po południu na najnędzniejszych ulicach Zachodniej dzielnicy. Licha strawa spożywana nie w porę i nieregularnie zdążyła uczynić spustoszenie w ich organizmach. Wszyscy byli bladzi, słabi, z policzkami zapadłymi, z oczyma podkrążonymi i błyszczącymi, z wargami, które wydawały się chorobliwie czerwone przez kontrast. Włosy mieli rzadkie, uszy anemiczne, trzewiki popękane, obcasy i noski pozdzierane. Należeli do klasy, która unosi się na powierzchni, płynie z prądem. Każda fala ludzi zmywa jedną postać, jak bałwany zmywają piasek z burzliwych brzegów morza.

Przez ćwierć wieku blisko w innej znowu dzielnicy miasta piekarz Fleischmann dawał kromkę chleba każdemu, kto zgłosił się o północy do bocznych drzwi jego restauracji na rogu Broadwayu i ulicy Trzynastej. Co noc w przeciągu tych dwudziestu pięciu lat około trzystu ludzi tworzyło „ogonek” i z uderzeniem dwunastej zbliżało się do drzwi, biorąc po kromce chleba z wielkiego kosza umieszczonego na ulicy. Od chwili, gdy ustanowiono to rozdawnictwo, aż do naszych czasów zachodziły tylko niewielkie zmiany w wyglądzie i liczbie tych ludzi. Były między nimi dwie, trzy postacie, dobrze znane tym, którzy od kilku lat śledzili ową szczególną procesję. Dwie inne nie opuściły ani jednej nocy w ciągu lat piętnastu. Około czterdziestu przychodziło mniej więcej regularnie. Resztę „ogonka” tworzyli obcy. W dniach paniki i bezrobocia rzadko kiedy przekraczali liczbę trzystu. W dniach ogólnego dobrobytu, kiedy mało słyszało się o bezrobociu, rzadko kiedy nie dociągali do tej liczby. Ta sama liczba w burzę i pogodę, w chłody i upały, w czasach złych i dobrych przybywała na owo melancholijne rendez-vous o północy przed skrzynią z chlebem Fleischmanna.

Z obu tych instytucji podczas surowej zimy, która teraz nastąpiła, nieraz korzystał Hurstwood. Pewnego dnia, gdy zimno szczególnie mu dokuczało, zaś żebranina nic nie przyniosła, czekał do południa na datek ofiarowywany nędzaczom. Dnia tego już koło godziny jedenastej kilkunastu podobnych mu wyłoniło się z Szóstej Alei. Nędzna ich odzież powiewa-

ła i szeleściła na wietrze. Oparli się o żelazne ogrodzenie okalające mury zbrojowni Dziewiątego Pułku, wychodzące na tę część ulicy Piętnastej. Wszyscy oni przyszedli wcześniej, chcąc się dostać do pierwszej grupy. Mając przed sobą godzinę czekania, z początku trzymali się w pewnej odległości. Ponieważ jednak zaczęli nadchodzić inni, posunęli się ku przodowi, chcąc bronić swego prawa pierwszeństwa. Do tej gromady przyłączył się Hurstwood, idąc od strony Szóstej Alei, i stanął tuż przy drzwiach przed innymi. Ci, którzy czekali dawniej, ale stali dalej, przysunęli się teraz. Chociaż nie wymieniono ani słowa, samym swoim zachowaniem zdawali się mówić, że przyszedli pierwsi.

Widząc, że postępowanie jego budzi sprzeciw, Hurstwood spojrział na stojących, po czym zajął miejsce na końcu szeregu. Gdy porządek przywrócono, zwierzęce uczucie sprzeciwu ustąpiło.

- Musi być chyba koło południa - powiedział ktoś.

- Tak jest - rzekł drugi. - Czekam blisko godzinę.

- Ależ zimno!

Patrzyli łakomie na drzwi, które wszystkich muszą wpuścić. Nadszedł posłaniec od kupca z koszem prowiantów. To wywołało kilka słów na temat kupców kolonialnych i cen produktów spożywczych.

- Jedzenie staniało - powiedział ktoś.

- Gdyby wybuchła wojna, byłaby to niemała pomoc dla kraju - dodał ktoś.

„Ogonek” rósł szybko. Liczył już pięćdziesięciu albo więcej ludzi. Ci, którzy stali u góry, zachowaniem się swoim zdawali się wieszować sobie, że nie będą potrzebowali tak długo czekać, jak ci przy końcu. Było wiele kiwania głowami i oglądania się na stojących dalej.

- Mniejsza o to, który jesteś z kolei, bylebyś był w pierwszej dwudziestce piątce - pouczał jeden z tej liczby. - Wpuszczają wszystkich naraz.

- Hm! - wyrwało się Hurstwoodowi, który pozwolił się tak zdystansować.

Przeważnie jednak panowało milczenie. Mizerni ludzie postękiwali, zacierali ręce, przytupywali.

Wreszcie drzwi się otwarły i ukazała się w nich zakonnica o macierzyńskim wyglądzie. Obrzuciła spojrzeniem szereg. Posuwał się wolno. Ludzie wchodzili jeden za drugim, póki nie naliczyła dwudziestu pięciu. Natenczas podniosła swoje potężne ramię i szereg za-

trzymał się. Sześciu ludzi stało na schodach. Eks-dyrektor w ich liczbie. Czekać niektórzy rozmawiali, inni postękiwali narzekając. Inni jak Hurstwood milczeli ponuro. Wreszcie go wpuszczono. Zjadłszy wyszedł zirytowany trudem, jaki kosztowało go dostanie się tam.

O godzinie jedenastej pewnego wieczora - może w dwa tygodnie potem - stał, czekając cierpliwie na północne rozdawnictwo chleba. Miał dzień nieszczęśliwy, ale teraz przyjmował swój los z filozoficznym spokojem. Jeżeli nie mógł zdobyć sobie wieczorem kolacji, mógł zawsze przyjść tutaj. Kilka minut przed dwunastą wysunięto wielką skrzynię, a o północy w drzwiach stanął postawny Niemiec, wołając: - Gotowe! Szereg natychmiast posunął się naprzód. Każdy brał swoją kromkę i szedł w inną stronę. Tego dnia eks-dyrektor jadł chleb, idąc w mroku nocy ku miejscu swego noclegu.

W styczniu bliski był przekonania, że się już dlań wszystko skończyło. Życie zawsze wydawało mu się rzeczą bezcenną, ale teraz ciągły niedostatek i osłabienie procesów witalnych uczyniły powaby ziemskie rzeczą nieciekawą i nieważną. Kilkakrotnie, gdy bieda mu dokuczyła, przemyślał nad tym, żeby położyć kres swoim męczarniom, ale ze zmianą pogody, ze znalezieniem noclegu lub zdobyciem miedziaka zmieniał zamiar, postanawiając czekać. Codziennie przeglądał stare gazety, czy nie ma w nich wzmianki o Carrie, ale nadaremnie czynił to przez całe lato i jesień. Potem zauważył, że oczy zaczynają go boleć. Tracił wzrok tak szybko, że przestał w końcu próbować czytać w ciemnych norach, które odwiedzał. Złe i niedostateczne pożywienie osłabiło wszystkie funkcje jego organizmu. Pozostało mu tylko drzemać, jeżeli nadarzyło się miejsce ku temu i jeżeli miał pieniądze, żeby za nie zapłacić.

Zaczynał rozumieć, że z powodu nędznego ubrania i chudości ludzie biorą go za chroniczny typ włóczęgi i żebraka. Policja gnała go precz, tanie jadłodajnie i domy noclegowe kazały mu się wynosić z chwilą, gdy zaspokajał swoje potrzeby snu i pożywienia. Przechodnie odpędzali go. Coraz trudniej było mu zyskać coś od kogokolwiek.

Musiał wreszcie przyznać przed sobą, że przegrał stawkę. Było to po długiej serii zwracań się do przechodniów, po narażeniu się na ciągłą odmowę. Ludzie starali się uniknąć zetknięcia z nim.

- Błagam o parę groszy, panie - powiedział do ostatniego. - Na miłość Boga! Umieram z głodu!

- Ach, wynoście się - zawołał ów człowiek, który okazał się pospolitym typem. -

Znam się na takich! Nic dobrego z was!

Hurstwood wsadził ręce do kieszeni. W oczach błysnęły mu łzy.

- Słusznie! - powiedział. - Jestem nic dobrego. Byłem dobry. Miałem pieniądze. Muszę z tym skończyć - i czując śmierć w sercu, skierował się na Bowery. Ludzie przed nim już odkręcali gaz i umierali. Dlaczego nie miałby on tego uczynić? Przypomniał sobie dom noclegowy, gdzie były małe, zaciszne pokoiki z gazem, jak gdyby przygotowane do tego, co on zamierza. Opłata wynosiła piętnaście centów.

Po drodze spotkał zamożnie wyglądającego jegomościa, który czysto ogolony wychodził od fryzjera.

- Może zechce mi pan ofiarować parę groszy? - zwrócił się do niego śmiało.

Jegomość obejrzał go od stóp do głowy i sięgnął po miedziaka. Ale w kieszeni miał tylko dwudziestopięciocentówki.

- Proszę - rzekł podając Hurstwoodowi monetę. - Macie i wynoście się.

Hurstwood szedł dziwując się. Widok wielkiej błyszczącej monety był mu miły. Przypomniał sobie, że jest głodny i że może się przespać za dziesięć centów. Odrzucił myśl o śmierci - przynajmniej na jakiś czas. Tylko wtedy, gdy nie mógł zdobyć nic prócz obelg, myśl o śmierci wydawała się istotna.

Pewnego dnia w środku zimy zaczął się najgorszy okres. Pierwszego dnia było pochmurno, zimno, nazajutrz spadł śnieg. Prześladował go zły los. Wyżebrał tylko dziesięć centów na nocleg, a i te wydał na jedzenie. Wieczorem znalazł się na bulwarze u wylotu ulicy Sześćdziesiątej Siódmej, w którą wreszcie skręcił, idąc do Bowery. Szczególnie zmęczony całodzienną wędrówką, która mu nic nie przyniosła, przemoczył nogi i ocierał nabite błotem obcasy o trotuar. Stare, liche palto podniósł aż do czerwonych z zimna uszu, stary kapelusz derby nasunął tak głęboko, że aż wywinęło się rondo. Ręce miał w kieszeniach.

- Przejdę się po Broadwayu - powiedział sobie.

Gdy doszedł do ulicy Czterdziestej Drugiej, reklamy świetlne siały już snopy światła. Tłumy śpieszyły na obiad. Przez jasne szyby okien na każdym rogu widział wytworne towarzystwo siedzące w eleganckiej restauracji. Na ulicy mknęły powozy i nabite ludźmi tramwaje.

Nie powinien był przychodzić tutaj w stanie takiego zmęczenia i tak wygłodzony. Kontrast był zbyt silny. Nawet jemu przypominały się lepsze czasy.

- Po co? - myślał. - Ze mną koniec. Już po wszystkim.

Ludzie odwracali się i patrzyli na niego, tak niezwykła była ta dziwaczna postać. Kilku policjantów odprowadziło go okiem, chcąc się przekonać, czy aby nie zaczepia przechodniów o jałmużnę.

Raz przystanął bez celu, podświadomie, i zajrzał przez okno do imponującej restauracji, przed którą paliła się reklama świetlna. Przez szeroką, kryształową szybę widział bogate dekoracje ścienne w barwach czerwonej i złotej, palmy, zastawę srebrną, błyszczące kryształy, wytworny tłum. Chociaż umysł jego osłabł, głód był w nim dostatecznie silny, aby mu pokazać wartość i znaczenie tego, na co patrzył. Stał jak wryty, postrzępione spodnie mokły w błocie. Patrzył bezmyślnie.

- Hm... - powiedział po chwili. - Macie słuszność. Jedzcie. Nikt niczego więcej nie pragnie.

Potem głos jego ścichł. Zdawał się nie widzieć tego, na co patrzył.

- Strasznie zimno - szeptał. - Strasznie zimno.

Na rogu Broadwayu i ulicy Trzydziestej Dziewiątej wielkimi literami gorzało nazwisko Carrie. „Carrie Madenda” - czytał -, „w Casino!!!” Mokra, wilgotna uliczka jaśniała tym napisem. Był tak jaskrawy, że przyciągnął uwagę Hurstwooda. Spojrzał w górę, a potem na wielki ekran, na którym widniała fotografia Carrie naturalnej wielkości.

- To ty! - zwrócił się do niej. - Nie byłem dla ciebie odpowiedni! Ha!

Przystanął, usiłując myśleć logicznie. Ale już tego nie umiał.

- Dopieła swego - mówił, mając na myśli pieniądze.

- Więc niech da coś i mnie...

Skierował się do bocznych drzwi „Casino”. Potem zapomniał, co chciał zrobić, i przystanął, głębiej wsuwając ręce do kieszeni, by ogrzać dłonie. Nagle przypomniał sobie. Wejście dla aktorów! Naturalnie!

Podszedł do odpowiednich drzwi. Otworzył je.

- Czego? - zapytał portier.

Zauważywszy, że Hurstwood przystanął, zbliżył się i popchnął go ku wyjściu.

- Chciałbym widzieć pannę Madenda - rzekł Hurstwood.

- Tylko tyle? - zawołał portier, ubawiony tym widokiem. - Proszę stąd wyjść! - i znowu go popchnął.

Hurstwood nie miał sił opierać się.

- Chciałbym widzieć pannę Madenda - próbował tłumaczyć, stojąc już za progiem. - Mam prawo... Ja...

Ale portier wymierzywszy mu ostatnie pchnięcie zamknął drzwi. Hurstwood pośliznął się i upadł w śnieg. Zabolało go to. Zaczął krzyczeć i kłać dziko.

- Przeklęty psie! - wołał. - Przeklęty stary łajdaku! - mówił, otrząsając błoto ze swojej wytartej marynarki. - Sam wyrzucałem takich... takich jak ty!

Zbudziło się w nim złe, mściwe uczucie przeciw Carrie. Mściwa, zła myśl, zanim wszystko nie utonęło w niepamięci.

- Winna mi jest cośkolwiek do jedzenia - mówił. - Przynajmniej tyle jest winna!

Beznadziejnie skręcił znowu w Broadway, chodząc tam i z powrotem, płacząc, żebrząc, tracąc wątek myśli, zapominając jedno po drugim, jak to zwykł czynić umysł wyczerpany i zamglony.

Był to prawdziwy wieczór zimowy, gdy powziął ostateczną decyzję. Już po godzinie czwartej noc spowiła świat swoją ciemną barwą. Padał śnieg - lekki, powiewny śnieg, niesiony długimi smugami przez wiatr. Ulice pokryte były śniegiem... gruby na sześć cali, zimny, delikatny kobierzec, który nogi przechodniów i koła wozów zamieniały w czarne błoto. Po Broadwayu szli ludzie otuleni w ulstery, pod parasolami. Po Bowery wlekli się ludzie podniósłszy kołnierze nędznych palt i opuściwszy na uszy kapelusze. Przechodnie na pierwszej ulicy - biznesmeni i przyjezdni - dążyli do wytwornych hoteli. Na drugiej tłumy nędzarzy przemykały się przez niskie drzwi izb, w głębi których tliły się światełka. Wcześniej zapalono światła w tramwajach, których turkot łagodził kobierzec śniegu. Całe miasto zdawało się spowite w miękką, białą płaszc.

Carrie siedziała w wytwornym pokoju w hotelu Waldorf. Czytała „Ojca Goriot”, książkę, którą polecił jej Ames. Książka była tak głęboka, a samo to, że polecił ją Ames, zbudziła w Carrie tak wielkie zainteresowanie, że prawie pojęła głębię jej treści. Po raz pierwszy też uświadomiła sobie, jak nędzną i bez znaczenia była jej dotychczasowa lektura. Znużyło ją jednak czytanie. Ziewnęła, podeszła do okna, spojrzała na długi szereg pojazdów dążących Piątą Aleją.

- Czy to nie straszny czas? - zwróciła się do Loli.

- Okropny! - rzekła owa mała dama, zbliżając się do Carrie.

- Tyle śniegu napadało, że chyba będziemy mieć sanne!

- Och! - zawołała Carrie pełna jeszcze cierpień ojca Goriot.

- Więc tylko to przychodzi ci do głowy?! Więc nie żal ci ludzi, którzy muszą dzisiaj noc spędzić na ulicy?!

- Naturalnie, że mi żal - powiedziała Lola. - Ale cóż ja mogę? Nie mam nic...

Carrie uśmiechnęła się.

- Gdybyś miała, też byś nic nie zrobiła.

- Owszem - rzekła Lola - ale ludzie mi nie pomogli, kiedy byłam w takim położeniu.

- Czy to nie straszne? - ciągnęła Carrie wpatrzona w szalejącą burzę.

- Spójrz na tego człowieka - śmiała się Lola, pokazując przechodnia, który pośliznął się i upadł. - Człowiek, który pada, ma zawsze taką strasznie głupią minę, zawsze!

- Trzeba będzie kazać sprowadzić dzisiaj powóz - powiedziała Carrie w zamyśleniu.

Do przedsionka hotelu „Imperial” wszedł pan Charles Drouet, otrzepując swój wspinały ulster ze śniegu. Niepogoda przygnała go tego dnia wcześniej do domu, budząc jednocześnie pragnienie owych rozkoszy, które pozwalają zapomnieć o śniegu i przykrościach życia. Dobry obiad, towarzystwo młodych kobiet, wieczór spędzony w teatrze - w tym zamykał się dlań sens życia.

- Halo, Harry!! - zawołał zwracając się do jegomościa rozpostartego wygodnie w głębokim fotelu. - Jak się masz?

- O tyle, o ile - odrzekł wesoło zapytany.

- Okropny czas, co?

- Wierzę ci! - rzekł tamten. - Siedzę i myślę, co zrobić z wieczorem.

- Chodź ze mną - nalegał Drouet. - Przedstawię cię... Powiadam ci, cudo!

- Kto to?

- Och, kilka panienek! Mieszkają tu niedaleko na Czternastej ulicy. Możemy się świetnie zabawić. Właśnie myślałem o tobie.

- Powiedzmy, zajdziemy po nie i zaprosimy je na obiad, co?

- Naturalnie! Wpadnę na chwilę na górę i przebiorę się.

- A ja zajdę do fryzjera! Muszę się ogolić.

- Doskonale - rzekł Drouet.

Nowe trzewiki skrzypiały, gdy szedł do windy. Motyl jak zawsze gotów był rozwinąć

skrzydła do lotu.

W wytwornym wozie pulmanowskim (z przedpokojem), pędzącym z szybkością czterdziestu mil na godzinę przez śnieg i mrok nocy, siedziały trzy osoby spokrewnione ze sobą.

- Pierwszy dzwonek na obiad w wagonie restauracyjnym - oznajmił służący wozu pulmanowskiego, zaglądając przez drzwi, w śnieżnobiałej kurtce i takimże fartuchu.

- Nie chce mi się już grać - odezwała się najmłodsza z trzech jadących osób, rozkapryszona przez los ciemnowłosa piękność, odsuwając ręką karty.

- Pójdziemy na obiad? - zapytał ją małżonek będący uosobieniem tego, co zrobić może z człowieka dobry krawiec.

- Jessico! - rzekła matka, która również służyć mogła za przykład, czym jest strój dla kobiety w pewnym wieku - wepchnij mocniej tę szpilkę w krawacie... jeszcze wypadnie.

Jessica usłuchała. Instynktownie poprawiła swoje wytworne uczesanie i spojrzała na wysadzany klejnotami zegareczek. Mąż patrzył na nią z zachwytem, albowiem piękność, nawet zimna, ma w sobie coś fascynującego - gdy się patrzy na nią z pewnego punktu.

- No, już niedługo będzie nam dokuczać ta pogoda! - powiedział. - Za dwa tygodnie będziemy w Rzymie.

Pani Hurstwood, siedząc wygodnie w kącie, uśmiechnęła się. To tak miło być teściową młodego, bogatego chłopca, którego stosunki finansowe osobiście dokładnie zbadała.

- Myślisz, że statek wypłynie w taką pogodę? - zapytała Jessica.

- O, tak - odrzekł małżonek. - To bez różnicy.

Przez korytarz przeszedł przystojny, jasnowłosy syn bankierski, też z Chicago, który od dawna zachwycał się ciemnowłosą pięknnością. Nawet teraz nie omieszkał zerknąć na Jessikę, co nie uszło jej uwagi. Ze sztuczną obojętnością odwróciła swoją piękną twarzyczkę. Bynajmniej nie z niewieściej skromności. Ale próżność jej została już zaspokojona.

W tym samym czasie stał Hurstwood na bocznej ulicy w pobliżu Bowery przed odrapanym czteropiętrowym domem, z którego deszcze i śniegi zmyły kolorową ongiś szatę. Stał w tłumie innych mężczyzn - w tłumie, który rósł stopniowo i teraz jeszcze wzrastał.

Zaczęło się od dwóch, trzech ludzi, którzy stanęli przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę dla rozgrzewki. Na głowach mieli spłowiałe kapelusze derby z dziurami w denkach. Liche palta ciężkie były od śniegu, wytarte przy kołnierzach. Spodnie - nędzne łachmany,

obszarpane u dołu, zwieszane nad wielkimi, wykoślawionymi butami zdartymi do podszwy. Nie starali się nawet wejść do środka, ale stali spokojnie przed drzwiami, wsadziwszy głęboko ręce w kieszenie, gapiąc się na latarnie i rosnący tłum. Z każdą minutą zwiększała się ilość czekających. Byli między nimi starcy z siwym zarostem i wyblakłymi oczami; mężczyźni stosunkowo młodzi, ale zjedzeni chorobą; mężczyźni w średnim wieku. Żaden nie był otyły. Były w tej kolekcji twarze blade jak płótno. Były czerwone jak cegła. Jedni mieli chude, zgarbione ramiona, inni drewniane nogi, inni znowu byli tak wychudzeni, że ubranie zdawało się wisieć na nich. Były między nimi wielkie odstające uszy, opuchłe nosy, nabrzmiące wargi, a przede wszystkim czerwone, przekrwione oczy. Ani jednej zdrowej, normalnej twarzy w całym tłumie, ani jednej prostej postaci, ani jednego śmiałego spojrzenia.

Pchali się na siebie w zimnie i wietrze. Widziałeś tu dłonie nie ochraniane przez płaszcze ani kieszenie, czerwone z zimna, uszy do połowy przykryte czymś, co było ongiś kapeluszem, uszy sztywne, zmarznięte. Drżeli na śniegu, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze, pochylając się rytmicznie, zgodnie.

W miarę jak rósł przed drzwiami tłum, rozlegał się szmer. Nie była to rozmowa, ale uwagi do nikogo właściwie nie skierowane, przekleństwa i wyrażenia gwarowe.

- Do ciężkiej cholery! Mogliby już otworzyć!

- Trzymają, psiakrew!

- Bo to przecież nie zima!

- Wolałbym być w Sing-Sing!

Silniejszy podmuch wiatru. Skupili się ciaśniej. Ruchomy, przytupujący, drżący tłum. Bez gniewu, bez grózb, cierpliwy. Milcząca wytrwałość, nie opromieniona dowcipem ani przyjaznym słowem.

Z turkotem przejechała kareta. Ktoś siedział wygodnie oparty o poduszki. Człowiek stojący najbliżej drzwi dojrzał go.

- Temu to dobrze.

- Nie marznie.

- Eh eh eh! - mruknął trzeci, chociaż kareta od dawna zniknęła za zakrętem.

Noc zapadała pomału. Ulice zaroily się od ludzi śpieszących do domów. Mężczyźni i dziewczęta sklepowe szli szybkim krokiem. Tramwaje podmiejskie były przepelnione.

Lampy gazowe paliły się jasno i każde okno wyglądało jak żółta latarnia. Tłum czekających niezmiennie stał przy drzwiach.

- Nigdy nie otworzą? - odezwał się jakiś zduszony, ochrypły głos.

To zdawało się wznowić zainteresowanie, jakie budziły zamknięte drzwi. Wielu spojrzęło w tym kierunku. Patrzyli na drzwi, jak patrzają nieme zwierzęta, jak psy skomlaące i skaczące do klamki. Przeskakiwali z nogi na nogę, patrzyli, rozglądali się, mruczeli pod nosem to przekleństwo, to jakąś uwagę. Wciąż czekali, a śnieg wciąż padał i zasypywał ich miękkimi płatkami. Tajał na starych kapeluszach i zgarbionych ramionach. Zbierał się w zagłębieniach i fałdach, ale nikt go nie strzepywał. W środku gromady ciepło i para topiły śnieg, woda spływała z powyginanych kapeluszy, ale właściciele ich nie mogli sięgnąć ręką, żeby je zetrzeć. Po brzegach grudki śniegu nie tajały. Hurstwood, który nie mógł przepchać się do środka, stał z opuszczoną głową, zgarbiony.

W szparze u góry drzwi pokazało się światelko. Czekających przejął dreszcz możliwości, „a jednak”... Szmer uznania. Wreszcie rozległ się zgrzyt otwieranego zamka, tłum nastawił uszu. Wewnątrz ktoś chodził. Znowu szmer. Ktoś krzyknął:

- Otwórzże raz! - i drzwi się rozwarły. Przez chwilę panował ścisk, popychanie się w ponurym, zwierzęcym milczeniu, najlepiej mówiącym o tym, co się tu odbywa, po czym tłum roztopił się w budynku jak płatki śniegu; zniknął. Mokre kapelusze i mokre płaszcze, zziębnięty, przerażony, wylękniony, zgarbiony tłum, poruszający się w zimnych, nagich ścianach. Była godzina szósta i na twarzy każdego przechodnia czytałeś wyraz: „Wieczera”. Ale tu nie wydawano wieczerzy. Mogłeś się tu tylko przespać.

Hurstwood położył piętnaście centów i zmęczonym krokiem poszedł na górę do przeznaczonej dla siebie izdebki, którą mu wskazano. Była to wstrętna dziura - brudna, ciemna, drewniana. Mały płomyk gazowy oświetlał dostatecznie ten nędzny kąt.

- Hm! - powiedział.

Odchrząknął i zamknął drzwi.

Po czym zaczął powoli rozbierać się, ale zdjęwszy płaszcz zatrzymał się i obetkał nim szparę między drzwiami i podłogą. Marynarkę położył w tym samym miejscu. Stary, zniszczony, pogięty kapelusz ostrożnie umieścił na stole. Potem zdjął trzewiki i rzucił się na łóżko.

Zdawał się nad czymś namyślać chwilę, gdyż wstał i zgasił gaz, stojąc spokojnie w

ciemności, ukryty przed wzrokiem ludzkim. Po kilku chwilach, w których niczego nie rozważał, tylko się wahał, na nowo odkręcił kurek od gazu, nie przyłożył doń jednak zapalki. Nawet wtedy jeszcze stał nieruchomy, spowity w dobroczynną noc, a wydobywające się wyziewy wypełniały izdebkę. Gdy woń gazu uderzyła go w nozdrza, drgnął i zatoczył się na łóżko.

- Po co? - szepnął słabym głosem, układając się na spoczynek.

Oto Carrie osiągnęła to, co na początku wydawało się jej celem życia. Przynajmniej taką część, jaką dane jest istotom ludzkim osiągnąć z ich pragnień. Mogła cieszyć się swymi strojami, meblami, pojazdami, kontem bankowym. Miała przyjaciół - jak rozumie ich świat - takich, co to się kłaniali i uśmiechali w uznaniu jej powodzenia. O tym marzyła kiedyś. Miała sławę, popularność - rzeczy, niegdyś dalekie, istotne, teraz powszednie, obojętne. Była piękna szczególnym wdziękiem, a jednak czuła się samotna. Jeżeli nie miała nic innego do roboty, przesiadywała w swoim fotelu bujającym, śpiewając i tęskniąc.

Bo w życiu spotyka się typy intelektualne i typy uczuciowe... dusze, które rozumują, i dusze, które czują. Z pierwszych wywodzą się ludzie czynu, generałowie i mężowie stanu. Z drugich - poeci i marzyciele, wszyscy artyści.

Jak harfa na wietrze ten drugi typ odpowiada na każde drgnienie wyobraźni, znajduje w sobie oddźwięk na każdy przyływ i odpływ ideału.

Człowiek nie rozumiał jeszcze marzyciela, jak nie rozumiał ideału. Dla marzyciela prawa i moralność świata są nie do zniesienia surowe. Wiecznie wsłuchany w dźwięk piękna, zapatrzony w dalekie loty, stara się im dotrzymać kroku, umęczając w tym pochodzie stopy. Tak tęskniła, tak szła Carrie, śpiewając i bujając się w swoim fotelu.

A trzeba pamiętać, że intelekt małą w tym odgrywa rolę. Gdy zaświtało jej Chicago, zobaczyła, że miasto może ofiarować więcej radości, niż jej kiedykolwiek zaznała. Więc siłą swego temperamentu przyłgnęła doń. W wytwornych strojach i eleganckim otoczeniu ludzie zdawali się znajdować szczęście. Więc starała się być jak najbliżej tych rzeczy. Chicago, Nowy Jork, Drouet, Hurstwood, świat wykwintu i świat sceny - były to w jej życiu jedynie przypadki. Nie o nich, ale o tym, co one sobą przedstawiały, marzyła Carrie. Czas wykazał, że dała się złudzić pozorom.

Och, więzy pętające ludzkość! Jak niedoskonałe jest wciąż jeszcze nasze widzenie! Oto Carrie - na początku uboga, nie zepsuta, uczuciowa. Wszystko, co piękne, znajdowało

oddźwięk w jej pragnieniach, a jednak czuła się odgradzona niby murem od wszystkiego, co piękne. Prawo powiada: „Niech cię nęci piękno, jeśli chcesz, ale nie zbliżaj się do tego piękna, póki nie zyskasz doń prawa!” Konwenans powiada: „Polepszysz sobie los jedynie uczciwą pracą!” Jeżeli uczciwa praca nie popłaca; jeżeli jest trudna do zniesienia; jeżeli jest to długa, długa droga, która nigdy nie doprowadza do celu, ale nuży serce i stopy; jeżeli pociąg do piękna jest tak silny, że porzucasz uwielbianą drogę i godzisz się obrać ścieżkę znienawidzoną, która jednak szybko doprowadza do wymarzonego celu - któż pierwszy rzuci kamieniem? Nie zło, ale tęsknota za czymś lepszym najczęściej kieruje krokami grzechu. Nie zło, ale dobro częstokroć wabi natury uczuciowe, nieprzywykłe do rozumowania.

W szychu i blasku swego powodzenia szła Carrie nie wiedząc, co to szczęście. Kiedy brał ją Drouet, myślała: „Oto osiągnęłam, co może być najlepszego!” Kiedy Hurstwood wskazał jej lepszą drogę: „Teraz jestem szczęśliwa!” Ale ponieważ świat chodzi własnymi drogami i omija tych, którzy nie chcą brać udziału w jego szaleństwach, poczuła się Carrie samotna. Sakiewka jej zawsze otwarta była dla tego, kto potrzebował najwięcej. W swoich przechadzkach po Broadwayu nie myślała już o elegancji i wytworności spotykanych osób. Gdyby posiadały więcej owego spokoju i piękna, jakie jaśniały het, daleko, wtedy dopiero godne byłyby zazdrości.

Drouet zrzekł się swoich pretensji i nie pokazywał się więcej. O śmierci Hurstwooda nie wiedziała nawet. Samotna, czarna łódź odbiła od filaru przy ulicy Dwudziestej Siódmej i wypłynęła na swój tygodniowy objazd, wioząc wraz z wielu innymi i jego bezimienne zwłoki na Potter's Field.

Tak przeminęło wszystko, co było interesującego w nich obu w odniesieniu do Carrie. Wpływ, jaki wywarli na jej życie, da się wytłumaczyć jedynie naturą jej pragnień. Był czas, gdy obaj reprezentowali dla Carrie wszystko, co jest najpotężniejsze w granicach ludzkiej osiągalności. Byli osobistymi przedstawicielami tego, co pragnęła osiągnąć - i utytułowanymi ambasadorami wykwintu i spokoju, przybywającymi w aureoli listów uwierzytelniających. Jest rzeczą całkiem naturalną, iż gdy przestał ją interesować świat, jaki reprezentowali ambasadorowie, cofnęła im swoje *agréments*. Nawet gdyby Hurstwood powrócił do niej w blasku swojej pierwotnej sławy i piękna, nie mógłby jej już pociągnąć. Dowiedziała się, że w jego świecie, podobnie jak w jej, szczęście nie istnieje.

W samotności swojej była żywą ilustracją tego, na jakie bezdroża skrócić może istota

kierująca się raczej uczuciem niż rozumem. Aczkolwiek tylekroć spotykały ją zawody, czeka wciąż na ów upragniony dzień, gdy zaczną żyć urzeczywistnionymi snami. Ames wytknął Carrie nowy etap, ale gdyby potrafiła go osiągnąć, oczy jej dojrzałyby etapy dalsze. Wiecznie trwać bowiem będzie pogoń za blaskiem radości opromieniającym dalekie szczyty.

O, Carrie, Carrie! O, ślepe dążenie ludzkiego serca! Naprzód, wciąż naprzód - powiada - i gdzie zabłyśnie światło, tam dąży. Czy będzie to brzęk dzwonka samotnego pastucha nad jakimś spokojnym krajobrazem, czy promień światła w lesistej okolicy, czy odbicie duszy w oczach przechodnia, serce wie i odpowie - pójdę za nim. Dopiero gdy stopy znużą się i nadzieje wydadzą się płonne - boli serce i w duszy zbudzą się tęsknoty. Wiedz, że nie ma dla ciebie ani przesyty, ani zadowolenia. W swoim fotelu bujającym przy oknie marzyć będziesz długo sama. W swoim fotelu bujającym przy oknie marzyć będziesz o takim szczęściu, jakiego nigdy nie zaznasz.

R S